

Diabeł





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Diabet

Djabet

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM I

Józefowi Kremerowi
AUTOROWI LISTÓW Z KRAKOWA,
w dowód głębokiego szacunku
PRZESYŁA
AUTOR

Powieść ta napisana była w roku 1853, zatem lat dwadzieścia temu; drukowała ją Gazeta Warszawska Antoniego Leśniowskiego, a później nieco poprawną wydał w Wilnie Zawadzki. W kilka lat potem przełożona na język Czeski, doczekała się w nim dwóch wydań.

Za podstawę do niej służyły żywe podania, rękopisma i mnogi materiał pamiętnikowy, który by dziś znacznie mógł być obfitszym i dozwolił może z większym bogactwem szczegółów, epokę tę odmalować. — Nie chcieliśmy wszakże przerabiać *Djabła*, aby mu pierwotnego jego charakteru nie odebrać i nie tknęliśmy go wcale. Warunki w jakich pisanym być musiał naówczas, jak łatwo się domyśleć, wpłynęły znacznie na rozwinięcie obrazu, którego część po za ramy się usunęła. — Ogólny pomysł powieści musiał być do wymagań artystycznych zastosowany, treść jednak — zapewnić możemy, jest ściślej historyczną, niżeli by się zdawać mogło. — Opowiadania współczesnych tej epoki, którzy w jej życiu gorący udział brali, najwięcej nam posłużyły do nacechowania epoki, i niema — możemy śmiało powiedzieć, jednego rysu w *Djable*, który by: *mutatis mutandis*, z nich zaczerpnięty nie był. Naówczas jeszcze spotykało się na prowincji starych szambelanów Stanisławowskiego dworu, siwych już paziów J. K. Mości, oficerów Kościuszkowskich, posłów czteroletniego Sejmu, dawnych urzędników i złotą młodzież z czasów *tężyzny*, która to gadatliwością starym właściwą, opowiadała swe wspomnienia. Autor miał tę słabość i nawyknięcie, że słyszane powieści co dzień sobie spisywał, ratując je od zaguby. Służyły mu one później nie tylko do tego opowiadania, ale do bardzo wielu innych, z tegoż źródła dobytých. — Radzibyśmy aby za przykładem naszym i młodsze pokolenie zbierało podania żywe, których drogocennej treści, najżywszą wyobraźnią zastąpić niepodobna. Rola jej ograniczać się musi w wykonaniu szczegółów i odżywieniu suchych tych danych, które w pierś żywą włożone, jak róże Jerychońskie odzielone, wskrzeszone wykwitają.

D. 18. Listop. 1872
Drezno

J. I. K.

I

Było to jakoś w marcu 1787 roku, w porze ze wszystkich u nas najmniej stałej, o czem z dawna świadczy przysłowie, (widać klimat się nie zmienił). Wyrzywały się czasem dzionki z jasnym słońcem i cieplejszym powietrzem, to znowu jak zadał wiatr z północy lub wschodu, napędzał śnieżnicy ogromnej, mrozu i pluty na przemiany, tak, że pies na dwór nosa by nie wytknął.

Wszyscy panowie szlachta gospodarze, siedzący po otkanych dobrze i zamczystych dworkach swoich, z kalendarzami na stołach a okularami na nosie, unosili się nad szczególniejszą trafnością, z jaką prognostyki na ten raz zmiany aury przepowiadały. Duńczewski tryumfował, nie trudno bowiem było zgadnąć w stylu kalendarzowym, pisząc o marcowej pogodzie — jasne i chmurne dni chodzące jak zwykle stronami; znalazła się zawsze jakaś strona, w której przepowiednia trafiła. Wyglądano wiosny jak to się jej co roku wygląda, choćby kto był najstarszy, i sześćdziesiąt ich widział, z niecierpliwością, z upragnieniem, czasem aż do rozpaczki dochodząc, gdy po dniu jasnym i zwiastującym trawkę zieloną, chwycił znowu przymrozek i sypnął śnieg na przekor.

Czuje bo człowiek że policzone dni jego, że tych wiosennych cudów nie wiele mu oglądać: w dzieciństwie nie dozwala niemi się nacieszyć szalą latek nieopatrznych, w młodości zasłania oczy krew gorąca, a na starość nic już nie bawi, dla niej zima rok cały. Tylko w pośrodku życia jest jedna chwila tęsknoty, chwilka niedługa, w której się człowiek czepia do ziemi; ukocha ją i uczuje goręcej, jakby przed rozstaniem.

W tym roku, jakoś im gorętsze były życzenia wiosny, tem leniwiej dla nich zdawała się przychodzić; zanosilo się było zawczasu na ciepło, stopniały grudniowe śniegi, myślano już z pługami i radłami wychodzić w pole, aż znowu uderzyły mrozy, zaszumiały zawieje, i zima jak w grudniu.

Tymczasem, pomimo nieprzyjaznej aury i groźących roztopów wiosennych, król Jegomość Stanisław August, na nic niezważając, posuwał się ku Kaniowu; a na całej drodze, którą miał przebywać, czyniono wielkie na przyjęcie jego przygotowania. Nie tylko miasta, miasteczka, gródki, ale wioski i dworki, ba, austerje po gościńcach oczyszczały się, stroiły i gotowały solennie witać monarchę.

Kraj przez który miał przejeżdżać, cały był w wielkim ruchu, niepokoju, zamieszaniu; do zakątków nawet odleglejszych docierały wieści i zwykły tryb życia zmąciły. Grody budowały łuki tryumfalne, złociły klucze, a co było uczonych lub uchodzących w swej profesji za literatów, kuło wiersze łacińskie lub polskie, kleciło mowy, piłowało dystychy, rysowało cyfry, wieńce, palmy i emblemata. Ciolka Poniatowskich obracano na wszystkie strony, czyniąc go to wołem ofiarnym starożytnych, to symbolicznym siły wyrazem. A że król Jegomość sam, nie bez pewnego prawa za uczonego uchodził, i znał się na tych rzeczach niepospolicie, wiersze i oracje niemało kosztowały potu i mozołu — a co w nich zasiano nadziei!! Piękne panie poczawszy od wojewodzin do prostych ale ładnych szlachcianek, sposobiły się też, zbrojne we wszystkie swe wdzięki, wystąpić na przyjęcie koronowanego, który, że na piękności znał się także, i umiał ją cenić, powszechna chodziła fama.

Sprowadzano stroje z Warszawy i Paryża, dobywano kosztowności pradziadowskie, mężom bolały głowy do wydawania i wysłuchiwania rozkazów, a co i tu nasnuło się pajęczych nitek nadziei!!

Panowie szlachta moderowali stare swe rzędy i wysadzane kulbaki, których Karol Gustaw nie pozabierał na pamiątkę do Szwecji, i co od Wiedeńskiej świata nie widziały wyprawy, tylko przez okna lamusu, lub masztarni; ujeżdżali koniki, kręcili wąsy i zmwiali się gdzie króla Jegomości spotykać wypadało. Nie było pokoju nikomu, nawet kahałom żydowskim, niedozwalającym się ubiedzić; bo rabini także smażyli głowy nad mowami szpikowanymi starym testamentem, a jeden z nich nawet wypalił rezolutnie oracją po łacinie, co ksiądz Naruszewicz nie mało podziwiał.

Jednych ciekawość, drugich próżność, innych nadzieja tajemna, wiodła naprzeciw pańskiej kolasy; wywiadywano się pilnie o kierunek drogi, o stanowiska, noclegi, odpoczynki, przepzęgi, na wyścigi dobijając o cześć przyjmowania króla, choćby tylko przez ćwierć godziny, bodaj w karczmie traktowej.

Była to chwila szału nie do opisania, a tysiące scen drobnych czyniły ją naprzemian śmieszną, rozrzewniającą, poważną. Jedni wynosili naprzeciw monarchy dzieci przebierane wytwornie, wyprowadzali chóry dziewic strojnych, stawiano ołtarze, wznoszono piramidy i świątynie, palono ognie ofiarne, odegrywano dramata, deklamowano panegiryki, a co było nieraz lataniny, krzątania i kłopotu nim się udało na swoim postawić — na wołowej by skórze tego nie spisał.

A wieleż to śniadań gorących w oczekiwaniu próżnem zamarzło, wiele to wykwiutnych wieczerz zjedli słudzy — zawodów tu, jak wszędzie nie brakło. Pora była marcowa, drogi niepewne, błota i grudy naprzemiany, król często chybiał przyrzekłszy, i do rozpaczy doprowadzał gorejące serca poddanych.

Biada temu, kogo losy niosły w drogę królewskim gościńcem — nie znalazł nigdzie austerji wolnej na trakcie, nie mógł się rozminąć ze szlachtą licznymi krążącą pocztami, z pułkami magnatów butnemi jak Tatarzy, z ciurami, wozami i landarami zalegającymi drogę całą.

W Głuszy, wiosce wołyńskiej, należącej podówczas do podczaszynej Ordyńskiej z domu księżniczki W... która znajdowała się właśnie na drodze Jego Królewskiej Mości,

czyniono już przygotowania od miesiąca na odwiedziny królewskie: miała bowiem pod-
czaszyna pewną obietnicę i słuszne powody spodziewania się, że król jej dotrzyma.

Głusza, ogromna osada o której geograficznym położeniu zamilczeć nam wypadnie,
była jedną z przepysznych włości bogatego kraju naszego, co to im nie brak nic od Boga;
ludzie sobie winni sami, jeśli im tam niedobrze. Klucz, którego stanowiła główne fun-
dum, składał się z kilku wielkich wsi i przysiółków, liczących do tysiąca domów; jedną
stroną przypierał do odwiecznych puszczy i lasów, drugą do najżyźniejszych pól w świecie.
Środkiem płynęła rzeka spławna, użyźniająca nieprzekoszone łąki, obracająca niezliczone
młyny, i jakby umyślnie podsuwająca się pod sam ogród pałacowy dla dodania mu roz-
maitości, świeżości i wdzięku. Samo fundum, stara niegdyś siedziba książąt W... których
ostatnią dziedziczką była podczaszyna, odznaczało się położeniem, jak wszystkie odwiecz-
ne grodziska na tej ziemi.

W wiekach kiedy więcej było pustych obszarów niż ludzi, umiano dobrze wybierać
posady zamczysk i dworców, stawiano je zawsze u szumiącej wody, na wesołych wzgó-
rzach, w pośród cienistych drzew, pilnując, żeby i oko z wałów miało się sobie gdzie
porozkoszować, pobujac, a nieprzyjaciela z daleka dopatrzeć. Ale teraz ani śladu już nie
pozostało starego gródka w Głuszy, który się niegdyś bronił Tatarom, a w ostatnich woj-
nach kozackich został zburzony; na jego miejscu zbudowano pałacyk w początku dREW-
niany, później murowany gmach, który się otoczył za Augusta II. ogrodem we włoskim
smaku, a dziś przerabiał na dzikie promenady. Jedynym śladem starożytnego grodziska,
były zielone wały, poprzierane na tarasy ogrodowe i fosy, na których stawiano zgrab-
ne mostki w stylu *rustyk* zwanym. Obok starych lipowych szpalerów, altan i strzyżonych
w kształcie piramid, wazonów i kolumn, świerków i grabów, puszczały się swobodnie po-
zasadzone drzewa, białe altany w sposobie świątyń i chińskich domków, groty muszla-
mi i kamykami misternie sadzone, pustelnicze chatki i niby wiejskie chałupki. Sam pałac
ze wspaniałym frontem, świeżo przerobionym wedle planu budowniczych królewskie-
go Merliniego i Fontany, wspaniale zdobiły dwa rzędy kolumn od dziedzińca i ogrodu;
od wjazdu przedłużały go dwie oficyny o piętrach, a podwórzec kwadratowy z fontanną,
która nie zawsze była, zamykały żelazne sztachety i brama ustrojona w trofea militarne.
Słowem, była to wcale pańska rezydencja, której by się najwykwintniejszy z magnatów
nie powstydział, a w urzędzeniu jej znać było smak wielki i najczulszą staranność. W tej
chwili wyglądało to wszystko, dzięki spodziewanym odwiedzinom królewskim jeszcze
świetniej, piękniej i ozdobniej. Pałac był na nowo pomalowany, dziedziniec brukowany
i wyżyrowany, a gdyby nie śnieżek co gdzieniegdzie plamił ziemię, nie dojrzałbyś na niej
żadnej zimowej pstroczyny, tak pilnie ją czyszczono i ubito. W pałacu, oficynach, na
przyległym folwarku, w stajniach, wszędzie zakręt i ruch był ogromny; ludzie latali jak
oparzeni, rzały poubierane w aksamitne chomąta i farbowane pióra konie, otrzepywano
powozy, nakładano kulbaki, zwoływano się z daleka, kłął nie jeden, bili nawet niecierpli-
wi, i w powszechnym zamęcie widać tylko było, że się wszyscy ogromnie spieszyli.

Na progu pałacowym stali kupkami pacholki, liberja, dworzanie, pokojowcy, popy-
chając się, spędzając, wbiegając i wybiegając z pokojów; groźny głos marszałka wąsatego
dawał się słyszeć czasami, to znów ginał w głębinach antykamery. Wewnątrz nie więcej
było hałdu i nie mniej niecierpliwości. W wielkiej sali niebiesko marmoryzowanej, za-
okrąglonej od ganku ogrodowego, między której kolumnami ukazywały się malowane
zręcznie w niszach boginie, bogowie greccy i tancerki herkulańskie, szum dawał się sły-
szyć pomieszanych głosów niewieścich i męskich. Sala ta najwspanialsza w pałacu, ubrana
była z wcale nie wiejską wykwintnością; rzekłbyś, że ją całą w pace z Paryża sprowadzono,
tak od stropu do posadzki, lśniła się najmodniejszym przepychem.

Niemal wszystko tu było nowiuteńkie i tak doskonale dobrane, jakby z pod jednego
sztukmistrza i rzemieślnika wyszło dłoni. Kształt sprzętów, ozdób, draperyj, fraszek co ją
zdobiły, dziwnie się pięknie godził z formami budowy, z jej stylem i architektonicznymi
ornamentacjami. Postacie bóstw, wśród tego, jak świątynia starożytna, przybranego sa-
lonu, unosiły się wdzięczne, rozkoszne, a tak wybornie umieszczone, że bez nich byłoby
mu czegoś niedostawało. Wprawdzie, te figury trochę były za nagie, trochę na starą Pol-
skę za śmiało rysowane, wielce pogańskim trąciły światem; ale też i salon którego stroju
dopełniały, nie miał w sobie nic polskiego, nic coby przypomnieć mogło kraj, na któ-

rego stał ziemi. Z końca w koniec zaludniała go myśl pod obcą urodzona strefą, sprzęty zagraniczną wyrobione modą i ręką, tkaniny nie naszych warsztatów, obrazy nie naszego życia. Było to w swoim rodzaju doskonale piękne, ale całkowicie zimne, jak wszystko co modne tylko i nowe, z czym się człowiek nie poślubił godzinami wspomnień i cierpienia. Wielka ta sala, która środek pałacu zajmowała cała, ze ścianami w niebieski marmur z żyłkami złotymi, z kolumnami białymi z wytwornemi gipsaturami, z bóstwy pogańskimi, w tej chwili poczyniała połyskiwać od zawczasu zapalonych świateł w żyrandolach ze szkła i brązu, w kandelabrach i alabastrowych urnach, których cztery stały po rogach na marmurowych półkolumnach. Bogate draperje z białego i niebieskiego atlasu, ze złotą i białą frędzlą, zwisały się we wdzięcznych fałdach po nad okna; i w około trojga drzwi wiodących do przedsienia i bocznych pokojów. Z dwóch stron, dwie kanapy także ozdobione brązami, stoły w stylu greckim oparte na chimerach i podobne fotele obite niebieskimi gobelinami, czekały tylko gości, mających zasiąść do koła. Przed trojgiem drzwi szklanych wychodzących na ogród, stały na półkolumnach białych, podobnych do tych na jakich w rogach ustawiono urny alabastrowe, sześć pięknych posągów marmurowych, wybornie naśladowujących starożytne. Były one dłuta Le Brun'a i wystawiały Apollina Belwederskiego, Antinousa, Herkulesa, Venus Medycejską, Florę i Bachantkę. Na konsolach między oknami, widać było prócz tego, przepyszny zbiór was etruskich. Kilka żółtych popiersi wybornego starożytnego dłuta, parę drobnych brązów z wykopalisk Pompei, i nowsze statuetki w smaku wieku. Wyjąwszy alfrasca w niszach, nie było w sali malowań innych, ale dwanaście tych postaci dosyć ją ożywiały. Posadzka była z kunsztownie wysadzanego drzewa, na sposób dawnych mozaik, z niepospolitym wykonana smakiem; w pośrodku jej kwadratową wielką taflę zajmowała kopja obrazu starożytnego, zwanego *weselem Aldobrandyńskim*.

Spojrzenie na tę jedną salę, dawało się już domyślać mieszkańców tego domu, tęskniących pod chmurnym niebem północy, za cieplejszą ukochaną Italją, za gwarną Francją, za wszystkim co nie nasze.

Nim poznamy bliżej nieco i pałac i jego właścicieli, spojrzmy na grupę, która niespokojnie zwija się w pośrodku wielkiej niebieskiej sali. Główne w niej stanowisko, zajmuje kobieta lat średnich, nie bardzo już młoda, lecz jeszcze świeża i ładna, której widocznie chodzi o to by się jak najpiękniejszą, jak najmłodszą pokazać jeszcze. Strój jej wedle najświeższego kroju w Paryżu podobno kurjerem sprowadzony od sławnej Henryetty, wyfilozofowany był, ażeby odmłodzić, i po części celu swego dopinał. Cała prawie była w bieli, złoto tylko gdzie niegdzie połyskiwało na tem tle śnieżnym, i dodawało mu powagi. Była to wyniosłej postawy i poważnego oblicza kobieta, z oczyma niebieskimi, z brwią i włosiem ciemnym, z koralowemi usty, których różowość z puszeki wyczerpniętą być musiała, a tak biała, tak świeżuchna i rumiana, że nie jeden niedowiarek i te kolory uznałby za pożyczane. Na czole jej świecił djadem przepyszny, niby gałąź polnej konwalii, której kwiaty z pereł i djamencików, a liście były z smaragdów... gdzieś na listku czepiała się brylantowa rosy kropelka. Na szyję spływał sznur pereł, spięty ogromnemi brylantami, a drugi podobny spleciony tylko inaczej, utrzymywał suknię w stanie, opasywał piękne ręce. Cała suknią zaszyta w złote drobniuchne gwiazdeczki migotała, ale na nieszczęście, barwą swoją nazbyt widocznymi czyniła kształty, którym lata nadały nieco za wyraziste obrysy. Owal twarzy piękny jeszcze i regularny, mdławe spojrzenie pełne dotąd melancholicznego wdzięku, usta ślicznego rysunku, jeszczeby pociągnąć, jeszczeby podobać się mogły, gdyby może nazbyt nie ubiegały się o to. Z pod zasłony w pół przezroczystej, którą jak chmurką osłoniła szyję, nieco rąk i gorsu, przeglądały paluszki drobniuchne, różowe, prześliczne jeszcze, gdyby ich nadto pierścieni nie ukrywało. Łatwo w niej było poznać panią domu, po głosie, postawie i rozkazach które wydawała. — Obok niej stał młodziuchny mężczyzna, rzadkiej piękności i słodczy wyrazu w twarzy, którą jeszcze nawet puszek młodzięczy nie okrył. Dość słusznego wzrostu, ale gibki i cieniuchny, rysy miał doskonałe, niemal niewieście-piękne, oczy czarne, ogniste, osobliwszą na wiek palającą energią, usta trochę ściśnione ale drobno wycięte, czoło wyniosłe i nos prosty z rozdętymi nozdrzami, arystokratycznego galbu. Była to wprawdzie piękność raczej kobieca niż męzka, ale i wiek tak młody, że zmęźnić nie dał mu czasu. Ubranie wszakże młodzięca starsze było od niego i niczem się nie różniło od wykwintnego stroju panów owej epoki. Miał na sobie frak z fioletowego weneckiego aksamitu haftowany perełka-

mi, z guzami perłowej macicy i brylantów, podobną resztę ubrania, kamizelkę z białego atlasu ze srebrem, białe pończochy i z bogatymi sprzączkami trzewiki. Z rękawów fraka, z pod kamizelki płynęły prześlicznych koronek zwoje, wśród których wielka tylko na piersi ciemniała kamea. Puder okrywał mu włosy, i coś powietrznego, idealnego nadawał tej twarzy, którą jakby białym śnieżnym obłokiem, puklami otaczał. Kobieta niekiedy spoglądała na uśmiechnięte lica młodzieńca z dumą, z wewnętrzną jakąś radością, która zdradzała matkę — ale nie miała czasu pocieszyć się widokiem milej twarzy, bo ją od niej tysiączne odrywały starania. Służąca jeszcze opinała na niej białą ową chmurę, a druga zamykała bransolety, trzecia ustawiała coś w misternej fryzurze głowy, inna ociągała suknię i dysponowała fałdom, by się jak najrzęczniejszy układały, a dziesięciu przynajmniej z męskiej służby stało czekając rozkazów, które się krzyżowały, latały, odwoływały, powtarzały i gmatwały do niewyrozumienia.

Obok młodego człowieka stał drugi nie stary wcale mężczyzna, dziwna zaprawdę figurka, ale widać że ważna, bo na jednej stopie z panią domu dysponował i rozrządzał się absolutnie. Był to człowiek lat około czterdziestu mieć mogący, średniego wzrostu i uśmiechniętej twarzy, którego wszystkie ruchy dworactwem przesiąkły jak gąbka wody i uśmiechu pełne się być zdawały. Nadzwyczaj zgrabny, giętki, wyłamany, gdyby nauczyciel tańcu lub fechtunku, jegomość ten cały przecie w czerni był ubrany, a rabacik maleńki przekonywał, że do stanu duchownego liczyć się miał ochotę. Frak jego, kamizelka, pończochy, trzewiki, wszystko było czarne; maleńki płaszczyk zarzucony na ramię strój cały przykrywał. Kapelusik miał pod pachą, u boku cieniuchną szpadę, na trzewikach świecące klamerki stalowe, na piątym palcu prawej ręki sygnecik brylantowy, mankiety i żabocik suto przystrojone koronkami. Nie wiem jak wam dać wyobrażenie tej tłuszcuchnej maskowatej twarzyczki, u której pod nastrzępioną fryzurą biega dwoje oczek piwnych, żywych, złych, dowcipnych i bystro chwytających najmniejszy ruch, najlżejsze skinienie; jak odmalować uniżoność tę i dumę, pochlebstwo pomieszane z sarkazmem, które się doskonale zamalgamowały we wszystkich jego gestach i poruszeniach. Odmalujcie go sobie sami, domyślcie jeśli chcecie, choć nic dziś za wzór do tego obrazka służyć nie może. — Ja się wyrzekam.

Naprzeciw pani podczaszynej, jej syna i labusia w paradnej herbowej liberji, na której łączyły się smoki książąt W... i bramy obozowe Ordyńskich, stało kilku służących, mocno wypudrowanych i strojnych, a na czele ich czarno ubrany, widocznie pierwszy kamerdyner, cudzoziemiec z miną poważną i przejętą bardzo godnością swoją a ogromem włożonych na się obowiązków — z marszczką na czole, z zagryzionymi ustami — ostatnie odbierał rozporządzenia i rozkazy.

Trochę z boku, w polskim stroju, dworak jakiś posiwiły, kiwając głową i ruszając ramionami, przypatrywał się wszystkiemu niespokojny.

Rozmowa piorunująca toczyła się po francuzku w kółku wybranych.

— Prawdziwie to trzeba oszaleć, cieniuchnym ale wyuczono-spieszczonym głosem wołała żywo podczaszyna — tysiące jeszcze rzeczy zostało się na sam ostatek! a godzina blisko. A! mój Labe, gdyby broń Boże chybić co miało, jaby umarła, jaby zemdląca ze wstydu! Wystawcie sobie że o nasz honor chodzi; przyjmujemy króla! potrzeba przekonać Najjaśniejszego Pana, że i w naszym kraju, może się znajdować dom na zagranicznej całkiem, na wykwińskiej stopie. Labe Poinot! kochany Labe! zlituj się nademną! uspokój mnie, drzę cała — dodała mdlejące coraz bardziej spojrzenie rzucając na fertycznego francuzika, który się wciąż uśmiechał dla uspokojenia podczaszynej.

— Niech wasza ekscelencja (tak zawsze tytułował Poinot panią podczaszynę) niech wasza ekscelencja, zupełnie być raczy spokojną — wszystko gotowe, lub gotowości blizkie i wszystko udać się musi!

— Kiedyż bo to z temi gburami, z temi ludźmi naszymi, z temi — niezgrabiaszami, mój Labe, niepodobna nic w porze i porządnie zrobić. To są męki Tantalą! Już już, zdaje ci się że pojęli, aż oto najokropniejszą gotują ci pomyłkę! — Panie Sieninski, dodała głosem odmiennym po polsku do starego kontuszowego, idź mi waćpan zaraz z oczów i nie śmieję się pokazywać w tym barbarzyńskim, tatarskim jakimś stroju — pilnuj tylko zdaleka porządku i bezpieczeństwa.

— Tak, mruknął odchodząc stary z powolnym ukłonem — idź precz a pilnuj, bo co ci Francuzi, te pudle i szpice co tak zręcznie na dwóch łapkach służą, pewnie nic

nie dopilnują, rychlej by zwędzili. Pójdę, pójdę, i po jakiego bym tu diabła miał leżć nieproszony.

— Monsieur Robert! zawołała podczaszyna — zmiłuj się, pilnuj żeby światła były wszędzie pozapalane, żeby służba wdziała rękawiczki w porę, pamiętaj też o pokojach królewskich... W gabinecie światła powinny być przyćmione — zawiesiliście mój portret tam gdzie kazałam?

— Alfierze, odezwała się do syna, posyłaj po karety, nie będę czekać na te panie, które się ubierają bez końca, niech mnie doganiają pod austerją — boję się, truchleję, ginę żebyśmy się nie opóźnili! Czy są ludzie z wachlami rozstawieni od gościńca w alei do dworu? niech zapalą ogień co prędzej! na Boga! gotowi mi illuminacją przez głupią oszczędność poplątać.

Pani podczaszyna wołała tak mieszając rozkazy najrozmaitsze blisko ćwierć godziny, a coraz to ktoś wyleciał, rozległ się czyjś głos w ganku, bieganie po wschodach, szmer w sieni. Sam nawet Labe i pan Alfier niejednokrotnie do różnych poselstw użyci byli. Tymczasem zmierzchało, zmierzchało powoli, pani podczaszyna coraz się bardziej niecierpliwiła, aż wreszcie zatoczyły się powozy, zajęchała służba konna, janczary, kozaki, pachołeta postrojone i podczaszyna zaklinając znów labusia by wszystkiego pilnował, by o wszystkim pamiętał, ruszyła ku pojazdowi, który na nią i na syna jej czekał; kobiety rzuciły na nią lekką jak piórko szubę, białą atlasową z łabędziego puchu, na Alfiera przepyszne futro sobolowe z pąsowym wierzchem, widocznie z pradiadowskiego przyakomodowane, i syn z matką wyszli na ganek.

Tu widok był prześliczny.

Długa aleja lipowa, ręką zimy jakby naumyślnie przystrojona w białe szrony, cała świeciła dwoma rzędami pochodni, przez spędzone umyślnie trzymany gromady; wśród tych migocących światel, gdzie niegdzie na podwyższeniu, płonęły beczki smolne, całe okryte gałęzmi sośniny i jodeł w kształcie piramid posplatanemi. Pałac i oficyny rześisto gorzały lampami po gźemsach, u kolumn drzwi i okien rozwieszonemi. Ta czarodziejska illuminacja, jakby blaskiem dnia zachodzącego, lub luną pożaru oświetlała dziedziniec, zajęty w tej chwili dworem pani podczaszynnej. Stały w nim kilka karet paradnych, zaprzężonych białemi, tarantowanemi i dzikiej maści cugami. Obok nich we wschodnich niemal strojach, dworskie janczary, kozactwo, barwa, pachołeta, na dzielnych koniach czekali na panią. Krewny daleki Ordyńskich i dawny przyjaciel ich domu, a sługa z pradziadów książąt W... pan stolnikowicz Puchała, w odświętnych szatach, przy kameryzowanej szabli, która niemal cały jego składała majątek, w starym kołpaku sobolim pod czapliwym piórem, stał na przodzie dowodząc orszakowi, który miał podczaszynnie towarzyszyć. Pani ledwie rzuciła okiem na otaczające ją sługi, i szepnęła do syna wsiadając do karety:

— Mój Boże, jak to wszystko dziko wygląda! jak to jeszcze polskie! u nas prawdziwie nic zrobić nie można, jesteśmy niewolnikami przesądów nawet w ubraniu! Siadaj Alfierze, a nie zapomnij komplementu sobie przygotować, którymbys powitał króla naszego, gdy mu cię zaprezentuję.

— A! nie pożegnałem się z babunią! szepnął cicho młodzieniec.

— Ale siadajże! kwaśno odpowiedziała matka, nie odjeżdżasz przecie do Ameryki; zbyt jesteś jeszcze dzieckiem na twój wiek, wierzaj mi.

— Ruszać! zawołał grzmiącym głosem pan Puchała — i powozy poczęły się powoli posuwać z przed ganku w oświeconą aleję.

Labuś który był przyprowadził podczaszynę do karety, natychmiast się cofnął i wbiegł szybko do pałacu, służba poszła za nim, i wkrótce podwórzec był niemal pusty, a lampy same sobie paliły się powolnie, bo nikt się ich blaskom nie przypatrywał.

II

Za kolumną w głębi, stał przyglądając się z daleka odjazdowi podczaszynnej, stary niegdys marszałek dworu, Sieniński, gładził wąsa, zażywał tabaki, poglądał, mruczał i ruszał ramionami jak to zwykle starzy aż nareszcie odezwał się nieco głośnie.

— No! kiedym ja niepotrzebny, a te frygi mają tu królować, to czegoż sobie będę darmo głowę łamał, żeby im pieczone i gotowane podstawić; niechajże sobie rady dają, a ja wolę do mojej starej jejmości!

To rzekłszy i poprawiwszy pasa na dość zaokrąglonym żołądku, krokiem poważnym zmierzyl ku oficynie. Wszędzie to teraz nawet po kątkach krzątano się, umiatano, ustawiano, przygotowywano i kłócono się z Francuzami, których dom był pełen, na co pan Sieniński tylko się uśmiechał. Minął tak obojętnie drzwi jedne i drugie, otworzył furteczkę, i w rogu oficyny najdalszym wszedł na ciemne wschodki, z drzwi już na ogród nie na podwórzec otwartych, wiodące ku górze. Wschody te stały ciemne, ale światła z dziedzińca, przez okna wpadające na korytarz, dostatecznie do pokierowania się, błyskiem odbitym je rozwidniały. Tu cicho było, samotnie, ani śladu ruchu i gwaru, który w reszcie zabudowań pałacowych panował.

Zcicha otworzył drzwi pan Sieniński, wsunął się boczkiem do pierwszego pokoiku, dobrze ogrzanego, ale dość ubogiego w sprzęt i ozdobę.

Był to przedpokoik z kominkiem, na którym paliło się ognia trochę — w nim stół dębowy, zydeł, stołków para, trochę garnuszków i imbryczków, szafka w ścianie i skromne łóżeczko. Przed kominem na stołku siedziała dziewczę z kądzielą i widać że drzemało, bo bardzo żywo jęło się do wrzeciona zobaczywszy wchodzącego.

— A jejmość co robi? spytał po cichu i ostrożnie Sieniński.

— A cóż? modli się odpowiedziała dziewczynka.

Wtem ze drzwi przymkniętych wiodących do dalszych pokojów, dał się słyszeć głos cichy i łagodny.

— A kto tam?

— To ja Jaśnie Wielmożna pani, odparł stary głośnie, to ja, Sieniński; ale może przeszkadzam?

— Chodź-że waszec, chodź! odezwano się znowu z głębi.

Obciągnąwszy kontusza i poprawiwszy pasa, potarłszy czupryny, Sieniński przybliżył się na palcach, powolnie drzwi uchylił i wsunął się z niskim ukłonem do drugiego pokoiku.

Ten drugi niewiele był ozdobniejszy od pierwszego; widać, że w przerabianiu pałacu, zapomniano o tym kątku. Było to jeszcze przeszłowieczne jakby mieszkanie, okna z szybkami niewielkimi, obicia wypłowiałe na ścianach, lamperje lakierowane na biało — sprzęt także niebył wytworny, znać go tu zniesiono po reformie umeblowania, bo krzesła, kanapka, stoliki, miały postać zużytych starych sług przeszłego pokolenia. — Na boku pod ścianą, stał nieco wykwintniejszy kantorek wysadzany, na nim zegar odwieczny gdański, dwa stare puhary i różne drobnostki nie nowego kształtu i smaku.

Na ścianach ciemnych kilka obrazów, przedstawiały postacie i sceny pobożne, a wśród nich portret pięknego mężczyzny z podgoloną głową, w rysiej kierei i zbroi, szczególnie odbijał wyrazem oblicza męzkim a łagodnym. Tuż zawieszona była Najświętsza Panna Częstochowska, a przy niej gromnica, lampa i wianki, dalej święty Michał Archanioł obraz staroniemieckiej szkoły, w ramach ołtarzykowych, i święty Józef z lilją w ręku, i święty Franciszek i Antoni Padewski. Cała niemal litanja wisiała na ścianach w różnych formatach i kształtach, ale nie było między temi wizerunkami brzydkich bazgranin nieumiejętnej ręki; wszystko niemal albo kopijami były z włoskich mistrzów, lub staremi naiwnymi utworami niemieckiej szkoły XV. i XVI. wieku.

Jeden też to przepych był w tym pokoiku, zresztą nadzwyczaj skromnym i ubogim. Na krześle ostawiona poduszkami, siedziała u stołu zgrzybiała staruszka w białym czepcu przewiązanym żółtą w szafranie ufarbowaną chusteczką, w białym szlafroku, z różańcem w ręku i wielką księgą pobożną na kolanach.

Twarz jej zwrócona ku drzwiom, wzbudzała na pierwszy rzut oka jakieś uszanowanie, i niemal wciąż przejmowała, tak na niej widocznie wypiętnowały się lata świętobliwie spędzonego żywota. Błada, pomarańczowa, zwiędła, a jednak zachowująca jeszcze ślady piękności w kształtnym, kościstym nosie, drobnych ustach i oprawie oczów, pełna była wyrazu łagodności, rezygnacji, dobroci anielskiej.

Nigdy może starość z pięknej twarzy kobiecej, piękniejszej nie utworzyła ruiny; Obok lic jaśniejących młodością i wdziękiem, to oblicze zbladłe i smutne, jeszcze by było zwróciło oko i zmusiło przed sobą uchylić głowę. Uśmieszek jakiś niemal dziecięcy, tak był

szczerzy i wesoly — igrał na ustach staruszki, która się w bok wzięła spoglądając na wchodzącego Sienińskiego.

— A co Sienińsiu, waść taki do mnie! ha! nie zapomniałeś o starej. Oj, pochlebca z ciebie, pochlebca, dworak! czy to niema już tam co robić, żeś się do mnie przywłókl? Dwór się tam słyszę do góry nogami przewraca! Żeby go jeszcze uchowaj Boże temi illuminacjami nie podpalili!

— Juściż, taki pałacu by spalić nie powinni, trochę obojętnie rzekł Sieniński — alem ja ich porzucił, niech sobie sami dają rady kochane Francuzy. JW. podczaszyna kazała mi się niepokazywać i z kąta tylko pilnować porządku, poszedłem też precz... Dziś tu u nas wszystko do kuchcika francuzkie, niema co nam robić.

— Czy już podczaszyna pojechała? spytała staruszka.

— Już, tylko co się to potoczyło; cała aleja w ogniu, ludzi kilkuset z wachlami — dwór pojechał za panią; reszta pań jeszcze nie gotowa... Ale JW. pani ani chce spojrzeć, a to dalibóg śliczny widok choć ślicznie i kosztuje.

— Daj mi tam waszec święty pokój z temi widokami, moje oczy dosyć ich już widziały na świecie, wkrótce da miłosierny Bóg jaśniejszą nad te wszystkie światłości oglądać. Co mi tam mój Sienińsiu wasze fajerwerki i illuminacje, głupstwo to kochanku. — A mójże Michaś pojechał? zapytała troskliwie.

— JW. podczaszyc siadł z panią.

— Ażeby mi go tylko gdzie nie zaziębiła fertycząc się tam, bo to takie nieuważne i matka i on — a cóż na siebie wziął, nie widziałeś tam waszec?

— Sobolową szubę karmazynową JW. pani, nie zmarznie w niej, boć i karetą pojechali.

— Oj, nie uwierzysz bo, mój Sieniński, jakie to delikatne, tak mi go nieboraka po babsku wychowali, niech im to Bóg niepamięta!

Oboje westchnęli.

— Szalawiła chłopczysko, głowa mu się pali, nawet dziś do mnie na minutę nie przybiegł — dodała staruszka patrząc w ziemię, dobrze mu za to uszy natrę, boć należało, należało...

— Już co temu, to jak Boga kocham, gorąco przerwał stary, nie winien on JW. pani, nie winien. JW. podczaszyna nie puściła go ani na minutę od siebie. Sądny dzień w pałacu. — Wszyscy wiele tego jest, i nas, i tej chałustry, nie mogli wystarczyć... nawet ten Labuś — tu się w język ukąsił Sieniński żeby mu nie dać jakiegoś przydomku — latał, z pozwoleniem, jak kot z pęcherzem. No! jest bo co robić! Zachciało się króla IMci przyjmować, niechajże skosztują *raritys*.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Co mi to za król! co mi to za król! szepnęła jakby sama do siebie; oj mnie mości Sieniński co jeszcze pamiętam jak przez sen prawdziwego króla Jana III., już to na tego niemczyka i patrzeć się nie chce. I tamciż byli Niemcy, co po Janie panowali; także to byli jakieś przybłędy, co po koronę za jałmużną do nas przyszli, i spasali się na naszym chlebie Bóg wie za co, ale i ten, choć to niby swój — pozał się Boże! Dawnoż to ekonomowało na Litwie. — ??

Sieniński choć bardzo z natury cierpliwy i chętnie milczący, zdawał się nieco jednak zgorszony tem wystąpieniem staruszki, ale zamilkł.

— Już to nie śmiejąc kontrować — odezwał się namyśliwszy — jaki on tam jest to jest, a takiż to koronowana głowa i pomazaniec Pański.

— A! temu się nie przeczy, przerwała jejmość; korony mu z głowy nie zdejmuję, niech go Bóg błogosławi — ale to nie Sobieski mosanie, oj nie Jan III. mospaneńku!

— Wiadomo, JW. pani, wiadomo!!

— Może on tam i dobry sobie i im, dodała stara, im takiego właśnie niemczyka czy francuzika było potrzeba — niechże się nim cieszą.

— To taki JW. pani nie będzie miała nawet ciekawości go widzieć?

— A dajże mi tam waszec z nim pokój, wszakiem ci mówiła, że mi czas do zobaczenia innego majestatu się sposobić, nie z tą młodzieżą się trzpiotać. Rada bym tylko żeby mi Michasia nie zaziębili... oj, i nie zbałamucili! dodała z westchnieniem modlitwy.

Stary Sieniński, który rad słowa zastępował czemkolwiek, westchnął także.

— Dobre to chłopię, pocziwy dzieciuch — mówiła dalej — w pół do siebie staruszka — ale tak go psują, że ani sposobu uchronić.

— Już co to, to prawda! Boże miły, wiele i mnie to leż kosztuje — rzekł stary — ale niema sposobu, francuzi tu królują i na francuza wystrychną.

— Żeby mu choć głowy nie obalamucili, a serca nie zepsuli — bo serce ma złote!

— Kubek w kubek, kroplą w kroplę, nieboszczyk pan podczaszy!

— Biedaczysko! westchnęła babka — i łza srebrzysta, rychło rękawem otarta, po zeschłej stoczyła się twarzy.

Wśród tej rozmowy, pan Sieniński usłyszawszy skrzypienie pierwszych drzwi, jakby przecuciem niepokoju się obejrzał.

— O ho! rzekł — to już ktoś pewnie przyszedł po moją duszę.

W tem, głowa dziewczynki ukazała się w przedpokoju.

— No, a co tam? spytała staruszka.

— Marszałka proszą.

— A co? nie mówiłem, dobrej nocy życzę JW. pani! do nóg upadam!

— Dobranoc ci mój kochany, dobranoc — choć ty podobno tej nocy nie bardzo będziesz spał.

— Panie marszałku! poczał nagiąć głos z przedpokoju. — Labe prosi — Labe... bardzo pilno...

— Ależ idę idę! wysuwając się z westchnieniem rzekł — stary. Labe siud — Labe tud — a niema jemu końca! nie mogliby się obejść i kwadransa bezemnie. Już tam jakaś bieda z tą frygą mnie czeka! Skaranie Boże! skaranie Boże!

— Prędzej panie marszałku! zawołał nadbiegając ktoś drugi — Labe się niecierpliwi!!

— To niechże do krośset... chciał już klnąć Sieniński, ale się wstrzymał i dodał:

A nie może poczekać? Jużciż konno ze wschodów nie zjadę, żeby do niego pospieszyć, ani karku sobie dla niego nie nadkręcę?

III

Gdy tak w pałacu reszta przygotowań na przyjęcie królewskie się dopełnia, z pośpiechem, który najczęściej opóźnia wszystko zamiast ułatwić cokolwiek, gdy Labe Poinsoł głowę traci wśród polskich sług, z którymi tylko na migi rozmówić się może, powozy podczaszynej suną się aleją lipową, ku oświeconej na przeciw pałacu, na wielkim gościńcu stojącej austerji, widocznie na dzień uroczysty wyświeżonej. Gmach ten, który zwykle stał dosyć odrapaną pustką i frontem tylko nieco okazańszym miał obowiązek zamykać długą ulicę, teraz odnowiony, wymalowany, wyluminowany, zajmowały tłumy szlachty sąsiedniej, oczekującej na Najjaśniejszego Pana, kilku orderowych, na których czele wojewoda, gromady wiosek z chorągwiami, chlebem i solą, żydzi z miasteczka blizkiego kałalem całym z rabinem, baldachimem, półmiskiem pokrytym pąsowym adamaszkiem, na którym tort z cyfrą S. A. R. pysznie się bielił — i mnóstwo ciekawych różnego stanu ludzi. Już od południa niemal wszyscy w pogotowiu stoją, głodni, zziębli, a niespokojni wysyłają na zwiady, czy kogo nie widać od strony Warszawy — a nie widać nikogo.

Ale zyskali na tem, że się tak przyjazd opóźnił, bo ten różnobarwny tłum, nigdy się lepiej wydawać nie mógł, jak teraz przy pochodniach nocnych. Panowie szlachta w najbogatszych swych strojach, konno, na dzielnych turczynach, źrebcach własnego stada, na kulbakach pozłocistych i rzędach wysadzanych, w kontuszach i żupanach z lamy i wschodnich materyj, u boku szable kameryzowane, na głowach kołpaki sobole, pióra czaple, kity strusie, spinki połyskujące. Niektórzy kobiercami perskiemi pookrywali dżianety, poupinali na głowach końskich czuby ze staroświecka i pęki piór nawet przy ogonach końskich posadzali; drudzy pofarbowali starą modą grzywy i ogony białym rumakom na pąsowo. Za panami których kupka łśni się od złota i drogich kamieni, świeci się barwy najświeższemi, niemniej wspaniała ciżba pacholków w strojach z węgierska, z kozacka, z janczarska i od fantazji; a wszyscy szumnie i bogato za katy.

Tuż i karetą pana wojewody i jego hajducy a służba; opodał szare i bure stanęły w odświętnych świtach gromady wiosek milczące i zamyśłone; znowu w innej stronie ścisnęli się żydzi w atlasowych i alepinowych żupanach, lisich szubach i sobolich czapkach, nieśmiejąc ich na głowę włożyć, wobec karety pana wojewody, choć była próżną. Wszyscy

czekając patrzą, wdychają, a niektórzy już i klną sobie po cichu, jak komu do humoru. Wysłano dziesięciu posłańców z rozkazem, żeby jak tylko ukaże się kalwakata królewska, dawali znać cwałem, bo szlachta chciała na dalszym trochę wzgórzu, u granicy województwa, powitać monarchę. Ale posłanych ani widać ani słysząc. Nadjeżdżające karety i dwór podczaszynej, przerwały jednostajność oczekiwania; rozstąpiła się szlachta, wojewoda który się grzał w izbie u komina, głowę przez okno wysadził, jakaś otucha wstąpiła w serca wszystkich.

— No, rzekł ktoś, kiedy pani podczaszyzna przybyła, to nie bez racji, już i Najjaśniejszy musi być niedaleko.

Ależ bo zimno było czekać doprawdy, a mróz pod wieczór trochę sobie za nadto pozwalał, jak na mróz marcowy.

— Cóż tam słyhać panie cześniku? odezwała się, ostrożnie taflę u karety podnosząc podczaszyzna, do najbliższej stojącego na koniu, wąsatego i rumianego pana Styryjki.

— JW. pani, wiatery po uszach dźga, więcej nic.

— A król Jegomość?

— Król daleko JW. pani — Bóg wysoko! a mróz szerokoko i głęboko.

— Cześnik zawsze żartuje.

— Zwłaszcza kiedy zimno, odparł raźnie Styryjko, bo czemużby się człowiek rozgrzewał jeśli nie dobrą myślą? I cześnik pokręcił ogromnego obmarzłego wąsa.

— Ale bez żartu, cześniku, N. pan miał być u nas w Głuszy na godzinę czwartą! czy uchoj Boże w drodze nie trafiło się jakie nieszczęście? spytała cieniuchnym głosem podczaszyzna przymrużając oczki.

— Najjaśniejszego pana poddani wszędzie widać tak miłują jak my, i nie łatwo mu się wyrwać. Bogiem a prawdą, zmówiłem już trzy Zdrowaś na tę intencję, żeby nas przybycie Najjaśniejszego koronata spuściło z tej niewygodnej warty na mrozie, ale coś nie skutkuje!

— Gdzież pan wojewoda?

— Dobrze sobie poradził, rzekł cześnik, grzeje się u komina w izbie karczemnej, czekając języka. Możeby i JW. pani nie zawadziło wejść i trochę się rozgrzać.

— Ale cóż to jest? spoglądając na maleńki kameryzowany zegareczek, powtórzyła podczaszyzna, już szósta a tak się ciemni!

Cześnik tylko westchnął.

— I mróz coraz to gorzej — dodał — a tu z konia zsiść niepodobna — nuż dadzą znać, mógłbym gramoląc się po staremu chybić N. Pana. Zmówię jeszcze trzy pacierze do Ś. Antoniego; patrona rzeczy zgubionych.

Ledwie to wyrzekł, gdy siwy wysokiej i pięknej postawy mężczyzna, w wielkiej delii niedźwiedziej wysunawszy się z austerji, przybliżył się do powozu. Był to pan wojewoda, ale nie z owych to wojewodów, których pradziadami byli cnych owych rycerzy dwunastu, tak dzielnie narysowanych w kronice Miechowity i Bielskiego; — tamtych potomkowie spoczywali gdzieś pod marmurowymi trumienami, po fundowanych przez się klasztorach i opactwach. Ten nowego autoramentu wojewoda, z nazwiska nie krajowiec, z miny nie wojak, wypudrowany i wystrojony po wersalsku, choć poddeptany a udający młodzika, pachnący, grzeczniuchny, delikatny, nie wiem coby był począł, gdyby mu doprawdy przyszło ze szlachtą swoją ciągnąć na wojnę przeciw poganinowi.

Już zdaleka uśmiechał on się do podczaszynej, jako stały wielbiciel jej wdzięków, i zaraz rozpoczął francuzką z nią rozmowę, przez w pół otwarte okno karety.

Cześnik Styryjko wąsa kręcił w prawo i lewo, przysłuchując się tej paplaninie, której niewiele rozumiał, a tem więcej nie lubił.

— Mosanie Jędrzeju, rzekł wreszcie zniecierpliwiony z cicha do sąsiada o strzemieniu, który zawinięty w wilczurę zębami kłapał, coraz to wypuszczając nogi ze strzemion i w futrze je podjąwszy zagrzewając — niema co robić, ucmy się taki po francuzku!

— Co waść pleciesz mości cześniku! Wmości bo zawsze żarty się trzymają!!

— Ba! to nie żart! ze wszystkiego widać, że taki na przyszłym sejmie wypadnie uchwała, aby wszystka szlachta inaczej jak po francuzku mówić się nie poważyła. — I jest racja!

— Ależ mróz! co za racja?

— Dalej widzisz waszeć, senatorowie szlachty nie będą rozumieć, a że rycerstwo taki zawsze młodszy bracia, będą się musieli starszym akomodować. Słyszę jak pan wojewoda

o tem właśnie naradza się z naszą podczaszyną. Otośmy wpadli w łapkę panie Jędrzeju, pójdziemy na starość do szkół pod ferułę Francuzów.

— Czy waść w nogi nie marzniesz? zapytał pan Jędrzej.

— Alboż co? ja nie.

— Jakimże sposobem ja, choć buty mam wyporkami podszyte, kostnieję po kolana! zapytał szlachcic.

— Wszystkiemu temu winno, że waść po francuzku nie umiesz, odpowiedział cześnik serjo; gdybyś *parle franse* umiał, poszedłbyś z wojewodą, podczaszyną i tą laleczką podczaszycem, grzać się w austerji przy kominie.

Kareta podczaszynę już była podjechała pod wrota austerji i pani wysiąść miała na zaproszenie wojewody, gdy gościńcem dał się słyszeć tentent konia puszczonego czwałem. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, a głos jakiś zawołał:

— Król jedzie! Król jedzie!

Nie jechał jednak nikt jeno posłaniec, kozak wojewodziński, który dopadłszy do karety pańskiej zakrzyknął:

— Król już o ćwierć mili.

Rozruch się stał wielki. — Szlachta poczęła się szykować i naradzać głośno, reszta zgromadzonych przybliżyć ku karczmie, wojewoda wskoczył do swojej karety, a podczaszyna postanowiła pozostać przy austerji, oczekując zbliżenia Najjaśniejszego Pana.

— Panowie bracia! przez okno powozu wychylając upudrowaną głowę, zawołał złą dosyć polszczyzną wojewoda — jedziemy wszyscy na spotkanie.

— Jedziemy! Jedziemy! *virtim*, odpowiedziano gęsto, i tęgim wyciągnionym klusem, cześnik na przedzie na bułanku, popędzili wszyscy w ścieśnionej kolumnie, niezważając na noc i grudę; przed niemi kilku kozaków z kagańcami bliższym przyświecali, dalsi omackiem i sprytem koni bili się za pierwszymi jak mogli. — W drodze już napotkano pułkownika Słomińskiego, który wszędzie króla poprzedzał i konie dla niego zagotowywał. Spytano go jak daleko jeszcze król? niedosłyszano odpowiedzi, i konni z kareta wojewody posunęli się dalej.

Pułkownik przybył tymczasem do austerji, a podczaszyna choć go nie znała, natychmiast synowi poleciła przywitać, a jednemu do pałacu prowadzić.

— Król daleko? panie pułkowniku, zapytał młody Alfier.

— O ćwierć mili.

— Cóż go tak opóźnić mogło?

— Złamaliśmy koło u karety w której jedzie król JMość z księdzem biskupem Smoleńskim, potrzeba było naprawiać.

— Możeby można podesłać powozy?

— Nie! nie! wszystko się szybko ułatwiło, Najjaśn. Pan już się zbliża!

Te słowa, które doszły uszy podczaszynę, widać było, że na niej uczyniły wielkie wrażenie; serce zabiło żywo, oczy zabłyśły, niespokojna spojrzała w tafle karety szukając w niej zwierciadła, chcąc go spytać, czy przeszłość powrócić może, poprawiła suknie i westchnęła.

Tymczasem cisza znowu do koła, chłopci tylko spoglądali to na cugi swej pani, to na żydów, z których się po trosze śmieli, nie wyjmując nawet rabina, a Izraelici stchórzywszy kompletnie, z baldachymem i tortem zdawali się mieć ochotę ukryć się w krzaki. Na gościńcu w dali migwały blaski kozacych kagańców, a że droga szła ciągle pod wysoką dosyć górę, światła zdawały się unosić w powietrze, a jadący za niemi szlachta, jak orszak duchów w obłokach migali. Ciemna noc otaczała wszystko, szparki ostrego wiatru zadymały ze wschodu, oczy podczaszynę nieruchomie wlepione w stronę z której się przybycia króla spodziewały, machinalnie poglądały gdzieś w dal, — myśl była gdzieindziej, w czarnej czy jasnej, ale żywo pamiętnej przeszłości.

Kagańce wciąż unosiły się wyżej, drobniały, i już tylko migwały jak gwiazdki maleńkie, aż z przeciwnej strony zabłyśły światełka inne, razem zastanowiły się wszystkie... Wiatr przyniósł długi okrzyk, i kilka wystrzałów smugami czerwonawymi przerznęły ciemności. Widocznie musiały się tam na górze zatrzymać powozy, bo światła im towarzyszące nieruchomie płonęły w miejscu, podczaszyna oczów z tego nie zwróciła widoku.

— Mój Boże! mój Boże! — mówiła tęskno w duchu do siebie — dwanaście lat! dwanaście lat! a tam tak się zapomina pędko! Starościna Opecka, kasztelanka mazowiecka,

wojewódzicowa mściławska, i tyle innych, tyle, musiał zapomnieć — kto wie czy mnie przypomni?

— Co oni tam robią na górze? — dodała głośno, zaczynając się niecierpliwić — nieznośny ten gbur cześnik prawi pewnie oracją bez sensu i końca. Czemuż biskup nie przerwie? czemu już nie jadą?

Nie postrzegła się, jak sześć karet nowych w tej chwili zastanowiły się przy jej powozie przed austerją — były to panie z sąsiedztwa, już od dawna zgromadzone i ubierające się w pałacu, które po długiej toalecie dopiero w ostatniej chwili nadjechały, razem z pod czaszyną króla powitać. Szczebiotanie tych po większej części młodych i świeżych kobiet, które się nagle ukazały do koła z okien karecianych, przerwało dumanie pod czaszynie.

— A król? a król? — ozwały się zewsząd przybyłe — *Madame! Comtesse! et le Roi?*

Te uparte dopytywania o króla z ust świeżutkich, przykro zabrzmiały w uszach gospodyni, zdawało jej się, że wszystkie te twarzyczki, wcześniej uzbroiły się w słodziuchne słowa i uśmiechy, aby jej wydrzeć spójrzenie króla, aby go od niej odciągnąć.

— *Que sais-je?* — odpowiedziała niedbale, chowając się w głąb powozu swego.

I smutek osiadł na jej skroni, spuściła głowę.

— O jak one wszystkie brzydko, bezwstydnie zalotne — zawołała w duszy — dla tego że to król, każdaby rada go sobie pociągnąć. Myślą tylko jakby go usidlić, jakby kupić sobie tytuł kochanki, a kto wie jakie tytuły mężom! O to szkaradne! szkaradne, *eela souleve le coeur*.

Właśnie w chwili tego cnotliwego oburzenia, światła na dalekiej górze poruszać się zaczęły, nowy okrzyk wiatr przyniósł i pod czaszyna przejęta mimowolnie wykrzyknęła:

— A! król jedzie! król jedzie!

Co się tam działo w karetach, opisywać nie będziemy, ale to pewna, że wszystkie panie jęły stroje poprawiać i oczyma, braknących na nieszczęście szukać zwierciadeł, młodsze drżały, starsze były zadumane, poważne matrony wzdychały.

Gromady wiejskie ustanowiły się zaraz pod przewodnictwem sołtysów z obu stron wjazdu do alei wiodącej ku domowi, naprzód wystąpili starzy poważni gospodarze z chlebami, żydowski kahał zawsze z baldachymem, korzystając z zajęcia tego stanowiska przez wieśniaków, wysunął się przed nich, z wyraźnym zamiarem wzięcia kroku przed kmieciami.

Szmer dał się słyszeć w ciżbie, kilka podniosło się głosów, poczęto traktować, gdy w tem o staję już zagorzały światła, zatętniał gościniec i powozy królewskie szeregiem idące, ukazały się na gościńcu. Żydzi utrzymali się przy zdobytym fortelem placu, pod czaszyna i syn jej wyskoczyli z karety na podeślane im niedźwiedzie, przez hajduków rzucone.

— Król! Król! — wołali już wszyscy.

Jakoż na ten raz nie omyliły się wykrzyki, i Najjaśniejszy Pan w istocie zbliżył się jadąc w karecie z księdzem biskupem Smoleńskim.

IV

Poprzedzali go w mniejszym powozie generał Komarzewski z adjutantem J. kr. Mości panem Arnoldem Byszewskim, owym to sławnym handlarzem koni, co się potrafił dobić z małego sługi największych łask i zaszczytów; potem jechał książę Józef karetą króla, dalej podkomorzy Brański z drugim adjutantem i długi szereg powozów — dwór, przybocznych, kancelarją, garderobę i sługi w sobie mieszczących. Orszakowi towarzyszyła szlachta konno, oddział wojewodzińskiej dworskiej milicji, kilku wyższych urzędników ziemskich i liczne poczty panów, którzy od województwa do województwa króla przeprowadzali i otaczali.

Stanisław-August, przywykły już do podobnych po drodze swej atencji, bo go te spotykały kilka razy co dzień, zobaczywszy światła, iluminacją, karety pań i stojącą na drodze całą linią wystrojonych kobiet, rozkazał zatrzymać się powozom. A choć mu się nie bardzo wysiadać chciało, pełen zawsze galanterji dla płci pięknej, wysiadł z ks. biskupem Smoleńskim naprzeciw pod czaszynie, i uprzedzając kilku słowy francuskiemi, nadzwyczaj uprzejmie ją pozdrowił.

Na twarzy podczaszyniej znać było wielkie wzruszenie, podobne do silnego i prawdziwego uczucia — niespokojnie zwróciła oczy na króla wśród komplementu francuskiego, którym go także witała, i drżącą ręką wskazała na syna, przyklękającego do ucałowania podanej łaskawie ręki królewskiej.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się — jest to potomek rodziny, która zawsze służyła wiernie tronowi W kr. Mości, pragnący także krew swą przelać, by dowieść że się od niej nie odrodził.

— Dzięki Bogu — z uśmiechem odparł Stanisław-August, przypatrując się z zajęciem pięknemu młodzieńcowi, który cały zarumieniony z ziemi powstawał — nie żyjemy w czasach, w którychby ofiary krwawe były potrzebne. Syn pani niech mi tylko obyczajem przodków da serce swe, a innej ofiary, da Bóg nie będę wyciągał od niego.

— To serce miałeś już i masz, Najjaśniejszy Panie! bo wszystkie twych poddanych do ciebie należą! — rzesko i przytomnie odezwał się Alfier.

Król łagodnie się na to oświadczenie uśmiechnął poglądając na matkę i syna, a że wypadło mu widać powiedzieć jeszcze jeden komplement, dodał z cicha.

— Mój Boże! któżby to powiedział, że takiego już pani masz syna! zaledwie zdaje się jej bratem.

Żywszy rumieniec oblał lice podczaszyniej, ale w tem wojewoda, który marzył we fraczku materjalnym, przypomniał że i Najjaśniejszemu panu chłodno być mogło.

— Racz Wasza królewska Mość przyjąć ubogą gościnię w domu, który cały ci jest oddanym — odezwała się podczaszyna.

— Wdzięchen jestem mojej drodze, że mnie tu przywiódła! — grzecznie rzekł Stanisław August. — Kochana podczaszyno, prowadź-że mnie i nie ziębnij.

— Król tych słów domawiał gdy z baldachymem i rabinem siwym na czele przysunęli się żydzi, niosąc tort i domagając się przystępu.

Biskup Naruszewicz chciał ich zbyć żarciem, ale to nie tak łatwo z żydami, którzy niechcąc zrozumieć udają że nie rozumieją; rabin miał pretensją do retoryki, i wielkim rozpoczął głosem:

— Najjaśniejszy Panie!

— Kochany rabbi — rzekł biskup — żadna mowa przyjemniejszą być nie może Jego królewskiej Mości Panu naszemu najmiłościwшему, nad ciepłą izbę...

Rabbi niedosłyszawszy przyjął to za komplement, uklonił się tylko, zastąpił drogę i rozpoczął powtórnie:

— Najjaśniejszy Panie! Jako powiedziano jest w Piśmie świętem i prorokach...

— Powiedziano, powiedziano — przerwał biskup donośnie — nie będziesz nudził pana twego — dajcie tort i pozwólcie się pożegnać.

Rabbi jeszcze nie zrozumiał i rozpoczął po raz trzeci:

— Tyś jest ten w którego oczy wlepił naród izraelski.

— Najjaśniejszy Panie, to nie żarty, uciekajmy bo nas oczyma zjedzą — zawołał biskup — panie rabinie dalszy ciąg odkładamy do przyszłej da Bóg wizyty królewskiej, a tymczasem sesją solwujemy.

Król wsiadł był już do karety, a żydzi chcąc czemkolwiek powetować stratę mowy, którą rabinowi w sposób tak gwałtowny ucięto, zakrzyknęli głosem ogromnym:

„Vivat Najjaśniejszego! Pana naszego Stanisława Augusta.”

Intencja była najlepsza, choć improwizacja niedosyć poprawnie się udała.

Widząc że już król rusza ku pałacowi, pospieszyli i włościanie do karety z chlebem i solą, od których że się mowy nie obawiano, przyjął Najjaśniejszy Pan ofiarowaną bułkę, w skromny obwiniętą ręcznik, podziękował, — i cały szereg powozów na dany znak, dźwignął się oświeconą przepysznie aleją ku pałacowi, który gorzał w dali brylantowemi obsypany światłami.

V

Komuż nie są znane rysy twarzy Stanisława Augusta? Pędzel Bacciarellego, Lampiego, Le Brun'ów i tylu innych malarzy owego czasu, odwzorowywał je niemal co kilka miesięcy, tak że od młodych rysów 1764, do znużonej i smutnej twarzy 1798, wszystkie przemiany tego oblicza zostały na płótnie, na papierze, w marmurze, a u wielu jeszcze żywych,

w wiernej dotychczas pamięci. W kraju i za granicą niemal co roku nowe się ukazywały portrety królewskie, aż do tego pośmiertnego już sztychu, w którym król opromieniony spokojem jakiego w życiu nie doznawał, zdaje się na ziemię z politowaniem poglądać. Dwa zwłaszcza z tych mnogich wizerunków odznaczają się fantazją obmyślenia i wyrazem twarzy, stanowiąc jakby dwie epoki w życiu jego, choć krótki czas je od siebie przedziela. Na jednym, Stanisław siedzący nad stołem, w ręku trzyma klepsydrę, jakby jej pytał czy mu jeszcze wiele pozostało godzin szczęśliwych; twarz zamyśloną iskierka nadziei opromienia, a godło dodane świadczy, że miał otuchę w przyszłości. *Lucebit lumen de Coelo!* Na drugim prawie tak samo siedzący król, ale z klepsydry ostatki godzin zakreślonych losem wyciekły; zdala widać niebo zachmurzone i przez obłoki wyciskający się blady jakiś wymodlony promyk mającego już zagasnąć słońca. Twarz Poniatowskiego pełna smutku, zamyślenia, prawie męztwa wydobytego boleścią; a na karcie przed nim tajemnicze leżą słowa *quaesivit coelo lucem*.

To oblicze było właśnie twarzą, z jaką król jechał teraz w swą podróż. Nie był to młody ów, wesół, swobodny, zalotny, o miłostkach, o sztuce i poezji marzący tylko pan exstolnik, którego niegdy posłowie przybywający zastali z pędem w ręku malującego swą liberją koronacyjną; nie był to ów wielbiciel licznych piękności co dwór jego otaczały, nie amator-artysta, nie literat-poeta, ale dojrzały mężczyzna, na którego licu wypiętnowała się tęsknota zmarnowanego i zakłóconego życia. Pięknej i wspaniałej postawy, wielce szlacheckich i arystokratycznych rysów twarzy, dobrotliwego wyrazu fizjognomji, aż do zbytku może wydający powierzchownością miękkość wrodzoną charakteru, — Poniatowski nosił już we wszystkich rysach królewskiego swego oblicza, jakieś piętno żaloby, które panowanie jego wycisnęło na kraju całym. Znać w nim było człowieka co musiał walczyć, nie będąc do walki stworzony, — cierpieć, nie umiejąc znosić boleści, — milczeć, gdy usta pragnęły się szczyrze otworzyć; człowieka, który nie wierzył w żadną przyszłość i żył do dniową egzystencją, z bojaźnią przewidując, rychło li na piąty akt dramatu, którego był bohaterem, czarna zapadnie zasłona. Zużyty zawczasem ciałem i umysłem, wyczerpany z uczucia i zapału, zimno jakoś, litośnie, czasem niemal szydersko poglądał na świat i ludzi, w których święty jeszcze pałał ogienek. Nawet miłość, to uczucie, co ostatnie drzwi pustego serca zamyka, już było z piersi jego wyszło; pozostały wspomnienia, potrzeba rozrywki, szumu, gwaru i ludzi. Mało kto dziś pojmuje dla czego król naówczas otaczał się w poufalszem swoim pożyciu ludźmi niewielkiej wartości moralnej, dowcipnisiemi, śmiały mi pochlebami co doń językiem tylko a nie sercem mówili, ale to łatwo tłómaczyć się daje tą potrzebą posłusznej zachceniu wrzawy, szumu i śmiechu, która na zawołanie powstawała i cichła. Widywano go często u łoża w tajemnej komnacie na kolanach we łzach, ze złożonemi rękoma; on prosił wówczas Boga o wiarę, o trochę życia, o odrobinę jakiegokolwiek nadziei, której sam w sobie wyrobić nie mógł; — on modlił się o iskierkę, by nią podsyć resztę martwych dni bez barwy i wdzięku. Lepsza była rozpacz od takiej odrętwiałości, ale i na nią zdobyć się nie mógł. Przed ludźmi, jakby wstydzając się tych ran duszy, król bywał wesół i dowcipny, ale na zimno, z musu, nic go prawdziwie wzruszyć, nic rozdrażnić i pogniewać nie mogło. Resztką władzy i złota stwarzał sobie cuda, przyciągał rozkosze, kupował niespodzianki, cóż kiedy już ani się im dziwić, ani ich użyć nie mógł!

Pomimo starannie skrywanego stanu umysłu i serca, na twarzy jego czytać było łatwo, że go już nic nie obchodziło. Usta mówiły, uśmiechały się formami uczucia, ale wiało z nich pustką; oczy patrzyły szklannym wzrokiem, na czole wzniosłym wisiąca nieruchoma chmura jesienna, z której nawet burzy nie można się było spodziewać — niosąca tylko mgły i ciemności. To też wzrok podczaszynej, która od lat dwunastu, od pobytu swego w Warszawie, nie widziała króla, nie znalazł w Poniatowskim ideału, który w jej sercu pozostał.

Było to jeszcze też same co przedtem oblicze, ale jakby blado, niesmiałą ręką artysty narzucone na płótno, a nie ożywione duchem jego; coś na kształt pośmiertnej maski pomalowanej barwami życia.

— Mój Boże! — mówiła do siebie wracając — jakże się odmienił, jak wiele musiał przecierpieć! Czy jego mówić już zapomniały, usta nie umieją się uśmiechać. Na co się rodzić świeżym, wesółym, pięknym, kiedy tak rychło gasną świeżość, wesele i wdzięki.

Ale dajmy dumać podczaszynej, a spójrzjmy na resztę królewskiego dworu.

Książę Józef, synowiec królewski, był naówczas jeszcze dwudziesto czteroletnim młodzieńcem, w którego pięknych pełnych życia rysach, rozlewała się energiczna dusza. Stracił on później nieco tej potęgi młodzieńczej, gnuśnie czas jakiś niewieściejąc, dopóki znów nieszczęśliwe wypadki powołujące do czynu, nie dały mu oręża w dłoń, nie wlały ognia w duszę. W tej chwili był to młody, w całym znaczeniu wyrazu młody książę — życie mu się śmiało, wabiły kobiety, szumiała w koło hulanka, tyle miał przed sobą nadziei, tyle nieszczęść do spróbowania i przebycia. Wszystkie panie których był ulubieńcem, unosiły się nad jego pięknnością, zupełnie w smaku wieku; a kiedy z Potocką tańczył, tłumy się zbiegały patrzeć i poklaskiwać idealnie nadobnej parze. Mamy jego portrety z tamtych czasów przez John'a i Pichler'a: twarz na nich ładna, więcej niż piękna, sympatyczna, miła i pełna wyrazu słodczy. Z dworzan otaczających o których kilka słów tylko powiemy, na pierwszym planie, nieodstępny króla towarzysz i niewyczerpany pochlebca, stał książę biskup Naruszewicz, exjezuita, exnauczyciel w Wilnie i Warszawie, exproboszcz Niemeńczyński — z lirą zawsze strojną do ody na cześć Najjaśniejszego, z usty gotowemi do dowcipnego żarciku, historjograf pańskiej podróży, pocieszyciel w chwilach tęsknoty, prałat zresztą niepospolitych darów umysłu i serca, trochę idący za wiekiem w którym żył, rad natrzęsający się ze swojej i mniszej sukni, nie unikający tłustego dwuznacznika w rozmowie ani hulackiego towarzystwa, i częściej podobno mający do czynienia z Horacjuszem niż z brewiarzem, z Tacytem niż z Ewangelią. Twarz jego, którą uszlachetniały nieco ubiór i w tył zarzucone włosy, nie miała rysów starszylacheckich, choć rodzina Naruszewiczów należała z dawna do najpierwszych w Litwie i z najdostojniejszych była skoligacona — typ to był dość pospolity, starty, nie piękny, ale dwoje oczu dowcipnych i usta pełne myśli, ożywiały go i wyrazem zastępowały, co w rysach zabrakło. W obejściu, nadała mu dworszczyzna powagę i pokorę, której się tu nauczyć, codzienną miał zrzeczność.

Postać generała Komarzewskiego, który niedawno tyle miał kłopotu z procesem gorszącym awanturnicy Diugrumowej, człowieka nieznanego pochodzenia i początków, niczem się krom wielkiej rezolucyjności, śmiałości i dobrego tonu nie odznaczała. Zimna krew człowieka co bywał nie raz na wozie i pod wozem (a raczej na stole i pod stołem po nie jednej hulance), wielkie panowanie nad sobą, pewien rodzaj cynizmu dobrego towarzystwa, który był cechą czasową owej tężyzny Stanisławowskiej — nadawały mu właściwą fizjonomję po której łatwo poznać było ulubieńca.

Arnold Byszewski, niegdyś jak plotkarze mówili po cichu, pokojowiec u pana Cywińskiego, ognistszy był, żywszy, swobodniejszy, bo mu na głowie nie ciążyła polityka. Miarą jego charakteru mogła być owa awantura po pojedynku Branickiego z Casanową, która swego czasu tyle wrzawy narobiła w Warszawie, gdy Byszewski mścił się chcąc na winnym, o mało wszystkich nie pokaleczył w Warszawie znajdujących się włochów.

Podkomorzy Brański, wychowaniec wieku, najwierniejszy obyczajów jego reprezentant, rozpasany hulaka, karciarz i niepohamowany rozpustnik, przy wdzięcznej bardzo powierzchowności, zgniły był wewnątrz i zepsuty do niewypowiedzenia: jedno jeszcze uczucie honoru tlało na tych ruinach cnót wszystkich, wszystkich narodowych przymiotów, spalonych na ofiarę ciała i sprawom jego. Młody, a już całkowicie zużyty w namiętnej grze, której szau nigdy powściągnąć nie umiał, szukał jeszcze jakiegoś gorączkowego zajęcia; trafiło mu się nieraz do szeląga i do ostatniego zgrać pierścionka, postawić na kartę powóz którym przyjechał, konie, ludzi i wyjść z szulerskiej jaskini gołemu jak święty turecki. Naówczas przyjaciele liczni i familja, która do niego była bardzo przywiązana, a którym odpłacał tylko tem, że się do niej w zrospaczonych razach udawał, ratowała go czem i jak mogła. Podkomorzy na jakiś czas gry się wyprzysięgał, a w tydzień najdalej siedział znowu za zielonym stołem.

Nie będziemy się zresztą rozciągać nad obrazem królewskiego dworu, który dość był liczny i pozornie świetny. Nie było widać ani jednej twarzy coby powagą, wielkością, heroizmem jaśniała na wyżynie czasów i okoliczności. Król musiał się otaczać pochlebcami, bo w niczyje rady nie wierzył, a ludzi łatwych do codziennego potrzebował życia, jak do strawności po obiedzie śliwki, które mu regularnie przynoszono. Cisnęli się i zagraniczni awanturnicy i domorośli adulatorowie, niemyślący wcale jak się ta hulanka skończyć może, gdy kapelli stróny się porwą i ręce zmartwieją. — Aby dzień do wieczora! to było hasłem wszystkich co króla otaczali, a byle kto co zarwał jakkolwiek, pochwylił i cieszył

się zdobyczą. Po za dworem króla byli wszyscy ludzie z wiarą, z myślą, uczuciem głębokiem, z nadzieją niepokonaną i zapałem nieostudzonym, a jedna twarz taka warzyła i mroziła swoim ukazaniem się najweselszą biesiadę *pieczeniarzy*. — To nazwanie już naówczas poczynało być stosowane do wszystkich poufanych adherentów królewskich, chociaż później dopiero głośnie się stało, gdy przeciwnicy ich przybrali na sejmie imię *patryjotów*. Nie można też było w istocie dobrać lepszego nazwiska dla ówczesnego królewskiego dworu.

Były tam umysły bogato obdarzone, ludzie z wielkim dowcipem; z nauką, poeci, artyści, ale całej tej ciżbie brakło tego co i naukę i talent i dowcip i poezją uszlachetnia, podnosi, uczacnia — brakło charakteru i powagi. Wszyscy tam życie ludzkie, sprawy kraju, cnotę i wiarę, obracać byli przywykli w żart nieustanny, w krotoczwilę zabawiającą, i nie było rzeczy z którejby ktoś nie skorzystał dla popisania się z dowcipem.

Dowcip poplaćcał nad wszystko, to też wyrazem całej owej literatury najenergiczniejszym dziś, zostały satyra, paszkwil i epigramma.

Jeśli na chwilę zmuszono ich brać co na serjo, łacniej się pogniewali niż oburzyli, zniecierpliwili raczej niż zaboileli. Wśród takiej atmosfery miłem być mogło życie dla tych, co nigdy nie spojrzeli wyżej nad siebie i głębiej w serce swoje; miło być mogło spędzić z nimi wieczór, bo towarzystwo to odznaczało się najwykwintniejszym tonem i polem europejskim aż do przesady wytwornym, — ale nazajutrz po pijanych uściskach, wyśmiano by tego coby się dopominał o dowody zaprzysiężonej wczoraj przy kieliszku przyjaźni. Zdrady miłosne, plotki złośliwe ubrane, wyśmiewania zaoczne, nie liczyły się tu nawet, tak były pospolitą strawą; śmiano się z nich, bawiono nimi chwilę i zapomniano dla nowych. Część niewieścia dworu nie była lepszą niestety! kto wie czy gorszą nie była? Nigdy może rozwolnienie obyczajów, a raczej zupełna obojętność na wszelkie *decorum*, na obowiązki i cnotę, nie doszły do tak wysokiego stopnia. Mężowie mieli sobie za punkt honoru dozwalać żonom, *à la française*, najnieograniczeńszej swobody, wstydząc się zarówno przywiązania i zazdrości; liczyli tylko kochanków pań swoich, jak się obrachowywa ziewając belki pułapu; panie też mieniały ich jak suknie, rzucały jak rękawiczki, brały jak się bierze wstążki lub koronki, gdy się podobają w sklepie.

Dla nikogo to nawet nie było tajemnicą, bo całe miasto mówiło nazajutrz o każdym tryumfie i upadku. Rzadko nawet to wywoływało pojedynek, a ten raczej się odbył za aktorkę lub nieznaną jaką dziewczynę, niżeli za żonę. Rozwody wreszcie nie zwracały oczów ani uwagi niczyjej, bo w owym czasie biorąc rozwód kobieta, uważała się jeszcze za skrupulatkę, gdy i bez niego mogła żyć sobie z kim chciała. Zły przykład z góry, te obyczaje krzewił i rozpowszechniał; od króla poszło zgorzenie do panów, od panów przeszło do zamożniejszej szlachty, do mieszczan wielkich miast, obiecując jak wszelka zgnilizna rozszerzać się coraz dalej a dalej.

Niech nikt nie sądzi, byśmy tu czarnemi przesadzali barwami. Współcześni pisarze, pozostała korespondencja, aż nadto dowodnie świadczą że tak było. Szał dochodził do najwyższego stopnia, jak w owym Rzymie cesarów, co chyląc się do upadku, koniom oddawał cześć boską, a z kazirodztwa i nierządu szukał chluby po ulicach... Ale tamto było rozbestwienie zwierzęce, przy swej szkaradzie coś olbrzymiego mające; tu chłodna pokrywka wykwiutnego poloru, szczególną barwę nadawała temu szaleństwu na zimno, rozpuście bezsilnej, zepsuciu grzecznemu, uśmiechnionemu spokojnie jak cnota, a zastygłemu jak lód. Dziwny to zaprawdę był czas, biedni to ludzie byli, których tak Bóg pokarał zapomnieniem wszystkiego co święte, co wielkie i piękne: miotali się nieszczęśliwi w nieustannym wysiłku, chcąc pochwycić roskosz, która z przed ust ich uciekała, lub jak owoc z nad martwego morza, rozsypywała się w proch i zgniliznę; uśmiechały się usta, a wewnątrz duszy padały łzy gorące, których powieki zaschłe wyrzucić z siebie nie mogły.

VI

W ganku pałacowym spotkała Najjaśniejszego pana gospodyni na czele wszystkich dam, części szlachty która pospieszyła uprzedzić powozy, urzędników i dostojniejszych sąsiadów. Pałac oblany był blaskami iluminacji, od przedsięnia począwszy zdobyły go i wonią wiosenną napełniały kwiaty, wśród których mitologiczne posągi, prześliczne w białych,

kształtnych unosiły się grupach. Z jednej strony Amor i Psyche, z drugiej Jupiter z Ganimedesem, wychylały się z zieleni.

Król zastanowił się w progu niebieskiej sali, i czy to że go w istocie piękność jej uderzyła, czy że znów poczuł się obowiązany do komplementu rzekł z uśmiechem pełnym przymlenia:

— Ale za prawdę, pani tu mieszkasz po królewsku, ten salon nie oszpeciłby stolicy stolic, Paryża!

Podczaszyna uśmiechnęła się zarumieniona, a dworzanie króla, echem przesady, porzucili na wyprzedki wtórować jego pochwałom.

Cały ten orszak złożony z kobiet po większej części pięknych, z mężczyzn młodych lub młodość udających, rozlał się teraz po gmachu, nowe mu dając życie. Tylko szlachta kontuszowa, nie wiedząc dla czego, przez jakieś uczucie odosobnienia, zbiła się w kupkę i odstrychnęła machinalnie od dworu i francuzkiego towarzystwa, trzymając na ustroniu, poglądając tchórzliwie, prawie smutno.

Król jegomość podziwiając piękności salonu, zapragnął obejść pałacowe apartamenta, domyślając się w nich zapewne więcej jeszcze cudów i wdzięków. Gospodyni zdawała się tem niezmiernie uradowaną, i wybrana garstka, poszła za Stanisławem Augustem, który jeśli nie był wesół w duszy, to wybornie odegrywał wesołość, ożywienie, a nawet podbudzoną ciekawość. Cóż miał robić?

Za wielką salą weszli naprzód do mniejszego pokoju, który cały od góry do dołu zawieszony był obrazami najprzedniejszemi włoskiej i flamandzkiej szkoły. Był to nie wielki gabinet, bo z dwóchset płócien małych rozmiarów składający się, ale i po nocy poznać było można, że się nic nie wcisnęło dla zapchania próżnego miejsca. Prawdziwy znawca ze złości dla sztuki dobierał każdy obraz, i z wyboru ich prześlizną, ciekawą utworzył całość.

Stanisław August wielki miłośnik i znawca malarstwa, sam artysta (w chwilach nudy i zmęczenia), z wielkiem zajęciem rzucił okiem po ścianach, i znowu wykrzyknik obił się o uszy uszczęśliwionej gospodyni.

— A to cuda prawdziwie! pani tu masz arcydzieła! Albo się myślę, lub to prawdziwy i przepysznie dochowany Corregio — Corregio jakiego nie mam ani ja, ani nikt w Polsce...!!

— Ten szczęśliwy Corregio czekał tu tylko ażebyś go Najjaśniejszy panie, godnym swej królewskiej galerji osądził! szybko odpowiedziała podczaszyna.

— Będzie to dwojako perła mojego zbioru — rzekł król schylając głowę, jako arcydzieło mistrza i jako z rąk twych pani, pamiątka. A Baciarelli! co też powie Baciarelli, żem w drodze dostał Corregia. Król zastanowił się trochę, jakby chciał przypatrywać się innym obrazom, ale prędko myśl mu odeszła.

— To trzeba by widzieć po dniu, odezwał się zawracając — zbyt wiele ginie piękności, choćby przy takim oświeceniu jakim są piękne twe oczy, kochana podczaszyno — dodał cichutko z uśmiechem galanterji pełnym.

— Najjaśniejszy Panie, odpowiedziała równie cicho gospodyni — oczy te we łzach zagasły, i źle już dziś świecą. Westchnienie które przerwał frazes księdza Naruszewicza, zmienić się musiało w uśmiech.

— Gdybym nie oglądał świeżo, odezwał się biskup zsiniałych nosów i zamarzłych wąsów braci szlachty, myślałbym na Herkulesa, że cudem jakim zabłądziliśmy do Włoch, N. Panie.

— Lub do kraju czarów, dodał Stanisław August postępując naprzód.

Pokój następujący był rodzajem gabinetu różnych osobliwości, któremi się naówczas chętnie panowie i panie zabawiali, bo modą było udawać uczoność i badać naturę, zastępującą nieobecne na nieszczęście świata temu Bogu. Był to rodzaj nabożeństwa modnego w XVIII wieku. Gabinet pani podczaszynie, odznaczał się nietylko istotnem bogactwem osobliwości natury i dobozem machin, ale nader wikwintnem ich urządzeniem.

Szafy, stoły marmurowe, mahoniowe półki, były misternie w piękną ustrojone całość. Kamienie szlifowane świeciły z za szklanych pudeł, w których systematycznie ułożone były! Piękny dobór muszli, kolekcja motylów, wypchane ptaki i zwierzęta, najświeższego wynalazku maszyny fizyczne do różnych doświadczeń, zalegały każdy kątek, tak ich tu było pełno.

— A tu znów co innego! z cudów w cuda nas pani prowadzisz! a czegoż tu nie ma! rzekł N. Pan.

— To drobnostka N. Panie, odpowiedziała dumniejąc jednak pochwałami podczaszyna — nie byłabym śmiała pokazywać tego gabinetu naukowego mego syna, gdyby przezeń dalej nie prowadziła droga. Na wsi wychowując dziecię, obejść się bez tego nie było można.

— Ależ i pół tuzina nauczycieli, musiałaś pani razem z temi osobliwościami sprowadzić, dla ich eksplikacji — dodał Stanisław August.

— Szczęściem, odpowiedziała szybko, szukając kogoś oczyma pani domu — trafił mi się nieoceniony człowiek, co stu innych zastąpić potrafi, jedyny w swoim rodzaju, bo powiedzieć mogę, umiejący doskonale wszystko... chodząca biblioteka, do tego człowiek najlepszego tonu i Francuz — skarb, istny skarb!

Biskup drobineczkę usta przygryzł nieznacznie.

— Chciałam by miał właśnie tu szczęście być przedstawionym Waszej królewskiej Mości — gdzież jest Labe Poincot?

— Radbym mu podziękować za staranie z jakim mnie i krajowi pożytecznego wykształcił obywatela — dodał dosyć zimno król, który poczynał się już nudzić i ukradkiem spoglądał na Naruszewicza, jakby wzywając ratunku z toni. Biskup zdawał się odpowiadać oczyma i gestem królowi.

— *Nulla redemptio* N. Panie! kielich wypić do dna, nic nie pomoże.

Zjawił się w porę Labe Poincot, i cały zgięty, wylamany, pokorny jak liść jesienny upadły na ziemię, ucałował białą rękę królewską. Król znalazł w magazynie podróжным jakąś grzecznośćkę dla niego, i ruszył dalej, spodziewając się już rychłego końca oglądzin, ale się mylił niestety.

Po gabinecie historii naturalnej i fizyki, nastąpiła przepyszna daktyliotheka i gazo-phyllicjum, a że Stanisław i starożytne kamea i numizmata lubił i zbierał, musiał się tu dłużej zatrzymać. Nie spodziewał się wcale rzadkości które tu znalazł, co chwila wykrzykując z podziwienia i obracając się po konfirmacją do Naruszewicza.

— Księżę biskupie, wstyd nam z Albertandim, wstyd! Patrz co to za Lisymachus! jaki typ, jakie dochowanie — a to jest onyks przepyszny — gdzieżeś to pani pozdybywać mogła — *raritates!* na pocziwość!

— We Włoszech! odpowiedziała podczaszyna jakby od niechcenia.

— No — rzekł król odchodząc, teraz musimy się od tego oderwać, ale jutro rano daktyliothekę z księdzem biskupem przewartujemy.

Naruszewicz z pokorą się uklonił, i niespokojnie spojrział na drzwi oświeconej sali, której głąb' tajemniczy, przerażał go widocznie. Król pospieszył dalej widząc, że przegład daleko poprowadzić może.

Następowała biblioteka i zbrojownia razem.

Zbiór ten ksiąg mógł liczyć przeszło dziesięć tysięcy woluminów, po większej części francuzkich, włoskich, a w bardzo małej liczbie polskich, gdyż podczaszyna bibliotekę po Ordyńskich, installując nową, nabytą w Paryżu, sprzedać kazała hurtem nie wiem komu, aby te barbarzyństwo miejsca filozofom nowym nie zabierało.

Nowe tedy wykrzykniki króla i biskupa, nad pięknym ksiąg doborem i smakownem ich urządzeniem, nad wspaniałemi zbrojami i starożytnemi pamiątkami, co ściany i górne szaf gżémsa ozdabiała.

Zdawało się nareszcie, że przegład pałacu był ukończony, i że na ten raz nic nie zostawało, tylko powracać, by się czemś orzeźwić i posilić. Pora była bardzo pomyśleć o żołądkach.

Właśnie się i król JMość skręcał już chcąc wychodzić, gdy niespodzianie, ukryte drzwi stanowiące całą ścianę biblioteki, jakby niewidzialną poruszone siłą rozwarły się, wielki blask z nich uderzył, król się zastanowił i ujrzał przed sobą długą ulicę zieloną, oświetloną lampami alabastrowemi, zwieszonemi od umajonego stropu, a w końcu jej, daleko, — coś tajemniczo połyskującego...

Podczaszyna uśmiechnęła się wdzięcznie, skłoniła się, wskazała drogę, i zaprosiła króla dalej.

— Idźmy więc na te Elizejskie pola wśród których duchy jakieś błakające się spozstrzegam, rzekł Stanisław podając uprzejmie rękę gospodyni.

— Jakkolwiek piękne i miłe mogą być duchy, odezwał się ksiądz biskup do generała Komarzewskiego po cichu — wolałbym jakie pieczone mięso zobaczyć.

Cały orszak towarzyszący królowi, postępował za nim i podczaszyną, ulicą z drzew cytrynowych, pomarańczowych, laurów i granatów ustawioną przez bardzo długą oranżerję. Zamykająca ją ściana ubrana była w kształcie zielonej altany, pod tą stał z darni ołtarz, a na nim paliła się ofiara, przed jaśniejącą z lamp różnobarwnych cyfrą J. K. Mości, i koroną z napisem meralu koronacyjnego:

„*Hanc jussit fortuna mereri.*”

Sześć panien cudnej urody, w białych pół przezroczystych sukniach, ubranych w girlandy kwiecia, wiły wieńce i rzuciły je pod stopy królowi. Nareszcie, na doskonale urządzonym obłoku, spuścił się geniusz w postaci maleńkiej dziewczeczki nad głową królewską i złożył na niej lekko wieniec bluszczu, lauru, dębu i nieśmiertelniczek razem splecionych, który Stanisław trwożny o fryzurę wziął w rękę zaraz, całując zań białe paluszki gospodyni.

Geniuszowi udało się bez szwanku podnieść nazad z obłokiem.

— To Olimp, rzekł król, a nie Elizu pola — bo i bóstwa widzę. — ...

Wtem poczęła się na cześć króla ułożona przez Labe Poinot, który i wiersze i muzykę utworzył, kantata francuzka, odśpiewana przez owe dziewice, przy akompaniamencie ukrytego za drzewami klawicembału. Poniatowski jeśli nie uczył, bo to mu trudno było — to przynajmniej doskonale uczucia radości umiał wśród tego przyjęcia odegrać. Dwór poklaskiwał ochoczo, biskup szukał komplementu nie zbyt wysłużonego, ale go jakoś wynaleźć nie mógł, i odłożył na po wieczery.

Wraz z pięknymi owemi sześciami bóstwami, które się okazały później córkami śmiertelnej tylko szlachty i jak proste śmiertelniczki dały się zaprosić na przygotowaną wieczerzę — wszyscy z oranżerji przeszli kolejną, znów, przez bibliotekę, daktyliotekę, gabinet fizyczny, galerję i nie jeden serdecznie się uradował widząc drzwi przeciwne otwarte, a stół ogromny wspaniale już zastawiony do kolacji. Właśnie się do stołu tego udać miano, gdy Stanisław August uproszony przez gospodynię, aby wieczerzy nie jedząc chciał wcześniej spocząć — pożegnał gości, przez wybranych poprzedzony tylko, zniknął.

Dwór tem swobodniej posunął się ku sali jadalnej, gdy książę Józef stryjca zastępujący, podał rękę podczaszynie.

VII

Zebrani goście z sąsiedztwa, wraz z przybyłymi z królem osobami, posiliwszy się niezmiernie wystawnym bankietem, prawdziwie jakby dla monarchy przygotowanym, na którym nie brakło nic, co tylko podniebieniu, językowi i oczom przyjemność uczynić mogło; (bo pomimo pory roku, najpiękniejsze owoce, najrzadsze przysmaki, późne i wczesne, na półmiskach w koło, wśród rokoszujących się łakotnisiów obiegały) — wstali od stołu dzieląc się na grona wedle wieku i ochoty. Jedni poszli za generałem Komarzewskim do bocznej sali, gdzie kosze starego węgryzyna do pijatyki zapraszały, popisywać się tęgością głów i objętością żołądków; drudzy za księciem Józefem, przy odzywającej się wybornej kapeli ruszyli do tańca.

Ksiądz biskup Naruszewicz nie chcąc należeć wyraźnie do czcicieli bachusowych, po kilku kielichach i kilku conceptach, cofnął się cicho do przeznaczonego mu apartamentu, by spisać wypadki dnia tego, w powierzonym mu dzienniku, który z gorliwością i powagą historjografa utrzymywał.

Tymczasem pijatyka dosyć hałaśliwa i coraz ferworu nabierająca *crescens cundo* — gdyż po edukacji Sasów, głowy ogromnie wiele znosić mogły i nie łatwo kto spoić się dawał — ciągnęła się nieprzerwanie pod przewodnictwem kilku szlachty pokrewnych domu, doskonale umiejących wymyślać zdrowia, mnożyć toasty, wznosić wiwaty i pod najdziwniejszymi pretekstami wznosić do góry kielichy, których niegodziło się odstawić nie wychyliwszy *sub paena infamiae*. Pito naprzód Najjasniejszego, potem księcia prymasa, księcia ex-podkomorzego, wojewodziny Podolskiej, marszałkowej koronnej, kasztelanowej Krakowskiej, potem księcia Józefa, potem dalszych kolligatów, senatu i wielkich urzędników koronnych i litewskich, szlachty i korony i W. księstwa, gospodyni, jej syna, przytomnych gości każdego z osobna; tandem gdy się assumptu wyczerpało, nastąpiły wi-

waty życzeń ogólnych — kochajmy się, miłości braterskiej, niech się święcą dobre czasy, *czort by bidu wziął* i t. p. Przyszło i do oklepanego zdrowia — wszystkich dam przytomnych oczom i sercom, a skończyło nad rankiem zdrowiem w pik złośliwości powszechnej wzniesionem głośno — wszystkich *pieczeniarzy!* Tak dbano przy kielichach o opinię.

W sali balowej z równą gorliwością powtarzano tańce, jak tam wiwaty i toasty. Szarzało już, gdy z ostatnim polskim tańcem puszczono się po wszystkich pokojach pałacowych, aż do oranżerii. Młody Alfier doskonale chwilami dotrzymywał generałowi Komarzewskiemu do kielichów, to znów księciu Józefowi do tańca. Rzeźwy, przytomny, grzeczny, uprzejmy, ochoczy i nad wiek umiejący gospodarować już w domu, co zapewne we krwi wziął po dziadach, niegdyś sławnych w swem województwie z domów zawsze otwartych dla braci szlachty i równie otwartego dla niej serca.

Podczaszyna acz się do końca nie uwolniła od obowiązków gospodyni domu, ale znać było że je spełniała z przymusem, z jakimś zamyśleniem i nieprzytomnością. Uśmiech jej chciał być wesołym a oko błyszczącym, czoło pogodnym, ale chwilami wpadała w zadumanie, i widocznie ciężar wspomnienia czy zawiedzionych nadziei, piękną jej białą pierś uciskał, bo się wznosiła westchnieniem.

Może też, choć zawsze śliczną jeszcze była i w pośród młodszych nawet ponętą, wesołość dziewczica towarzyszek, uśmiechy i szepty nowego pokolenia, do którego przyłączyć się już nie mogła, nieprzyjemnie ją drażniły. Otaczała ją powaga jakaś jakby odpychająca wielbicieli — w pośród majestatu swego była trochę odosobnioną, a obudzone lepszych czasów wspomnienia, sercem zatęsknionem miotały.

Niekiedy, choć nikt tego dostrzedz nie mógł — łza nawet dobiegała z serca aż do samych powiek, zakręciła się w nich i widząc że jej na ten błyszczący świat wyniść nie wolno — powracała nazad do głębi.

Już ustawiali znużeni tancerze, już cichła wrzawa balowa nadedniem, gdy Labe Poinso, który nieznacznie ale zręcznie dyrygował wszystkim, z twarzą ożywioną, uszczęśliwioną, jasną, przybliżył się ostrożnie do pani podczaszynie.

— Spodziewam się, rzekł po cichu z pewną dumą, że wasza ekscelencja nie masz mi nic do wyrzucenia.

— A! wszystko było prześliczne! udało się wybornie — jestem panu bardzo a bardzo wdzięczna — z przymusem niejakiem odezwała się gospodyni — dokazałeś pan cudu.

— Król zdaje mi się był kontent a nawet zdziwiony trochę.

Gospodyni uśmiechnęła się zimno.

— Król? tak! tak! ale uważałeś pan jak prędko nam zniknął?

— Wszakże W. ekscelencja samiście go o to prosili?

— Nie sądziłam aby mnie tak łatwo wysłuchał!

— Interesa Stanu, a przytem potrzeba spoczynku! W całej podróży mowami, oracjami, deklamacjami nie dają mu pokoju! Spodziewam się jednak, dodał Francuz z uśmiechem wyższości, że N. Pan potrafił odróżnić moją kantatę, od tych pospolitych paplanin.

— O! nie wątpię!...

— Była zdaje mi się w najświeższym smaku, i śmiem sobie pochlebiać...

— Istotnie, N. Pan... przypominam sobie, unosił się nad nią.

— Podziwiał też urządzenie galerji, gabinetu, numizmatyki i biblioteki, mam więc nadzieję, że Wasza ekscelencja, której teraz nie będę już potrzebny, gdy hrabia — (Labe dawał ten tytuł bez braku wszystkim jeżdżącym karetą) — gdy hrabia już na świat wychodzi...

— Mówić będę, i wierz mi że wszelkich dołożę starań.

— Pochlebiam sobie, że taki człowiek jak ja, dodał Francuz, w kraju takim jak Polska... przydać by się mógł N. Panu.

— O tym interesie wierzaj mi Labe, nie zapomnę — jutro jeszcze król ma oglądać zbiory nasze, wcisnę mu słówko.

Labe skłonił się nisko i poszedł nadszkakiwać dworakom, których wcześniej względy chciał sobie pozyskać, zamierzwszy dostać się z pomocą podczaszynie, do kancelarji króla, z tytułem sekretarza. Nie on tam jeden zaprawdę, latał tego wieczora w słodkich nadziejach i marzeniach; nie było prawie nikogo w liczbie gości płci obojej, coby sobie z tego zbliżenia do króla i faworytów jego, nie usnuł jakich na przyszłość korzyści. Marzyli jedni o starostwach, drudzy o kadukach, o Stanisławie i Orle Białym, o powołaniu

do dworu, o uplątaniu króla w miłości, o pokierowaniu się w Warszawie, poselstwie na sejm i nie wiem już jakich honorach, korzyściach lub przyjemnościach.

Tak upłynęła noc kołysanym nadziejami, wśród kielichów i tańca, a sen co na krótko zamknął powieki szczęśliwych, marzenie ich na chwilę jeszcze przedłużył.

Podczaszyna nadedniem już, w zmiętej swej sukni w złote gwiazdki, zrzuciwszy z ramion mglistą zasłonę, padła znużona w krzesło i odprawiła otaczające ją kobiety.

Czoło jej schyliło się w dłonie, wyraz głębokiego smutku je zasępił, łzy niewstrzymane teraz, spadły na białe jej ręce. Szczęściem nie było nikogo co by o przyczynę tych łez zapytał, komuby się z nich wytłumaczyć było potrzeba.

— Tak, tak, mówiła do siebie w duchu — napróżno marzyłam chwilę, przeszłości powrócić nie można, ani zwiędłego serca ożywić! Ale za cóż moje cierpi jeszcze tak żywo, za co dziecinnie wzięło igraszkę za prawdę? chwilowy kaprys za niepokonaną namiętność? Wszystko znikło jak sen, właśnie wtenczas gdy żywszą karmiłam nadzieję, że wszystko powrócić może... Ach! głupi kto wierzy ich sercu...

Oni go nie mają! oni go nie mają!

I z oburzeniem prawie gniewnem podniosła oczy zapłakane; w tem drzwi się otworzyły, zadrżała i lekko krzyknęła podczaszyna, Alfier pokazał się w progu, jakby wywołane żywe przypomnienie obowiązków, nowej życia epoki i nowych jej nadziei...

— A! to ty! zawołała podczaszyna kładąc rękę na czole — ja tak jestem zmęczona, czego chcesz Alfierze?

— Nic nie! tyłkom chciał zobaczyć czy mama spi? Co to jest? łzy?

— Ale nie! śni ci się chyba! łzy wdzięczności i ukontentowania może, po dniu tak dla nas pamiętnym.

Alfier stanął osłupiały: słowem nie mogąc wierzyć, przyczyny prawdziwej nie umiejąc się domyśleć.

— Idź spać, wstając powoli z krzesła i wyciągając ku niemu rękę, zawołała po chwili matka — ja także spocząć potrzebuję... Bardzoś ty się zmordował?

— Ja? nic a nic. Jedna noc! alboż tak ochoczo ją spędziwszy, wśród wesela i śmiechu, zmęczyć się można?

Gorżko jakoś, ale nieznacznie uśmiechnęła się matka.

— Idź spać, powtórzyła po cichu, w twoim wieku nic jeszcze nie męczy, ale na przyszłość sił ci potrzeba...

Alfier nie mogąc zrozumieć smutku matki i jej skwapliwego pozbywania się siebie, odszedł powoli zamyślony.

W sieni spotkał się ze starym Sienińskim.

— A pan jeszcze na nogach! krzyknął stary — niechże ja — jak sobie chce, ale podczaszycowi czas by położyć się i wywczasować choć trochę.

— Dość że wszyscy się uwzięli zapędzać mnie do łóżka, śmiejąc się rzekł młody chłopak, a ja na złość wam wszystkim ani myślę się kłaść — dość na to będzie jeszcze później czasu.

— Ale cóż JWPan myślisz robić, cały pałac chrapie...

— A! dobrze żeś mi poddał co mam z sobą począć — odezwał się bijąc po czole Alfier — muszę pójść do babuni! ona już pewnie wstała, napiję się u niej kawy. I tak wczoraj z wieczora być u niej nie miałem czasu, a pewnie biedaczka ciekawa i niespokojna.

— No! no! to dobra myśl, odezwał się stary — ale niechże JWPan weźmie co na siebie, bo przez dziedziniec iść potrzeba, a wiatr smali jak w styczniu...

— Daj mi swoją bekieszę Sieniński.

— Coś to nieprzystało — ze mnie na JW Pana...

— A nie plótlbyś, dawaj kiedy ci mówię.

To rzekłszy pochwycił ze starego, ruszającego ramionami, podbity lisami przydziełek i szarpnął się pędem ku oficynie.

Cisza znowu panowała w podwórzu — gdzieś tam dogorywały śwędlawie lampy, kopciły dopalające się światła, spali wszyscy co noc spędzili na hulance, kręcili się tylko ciężko i niechętnie, ci co nie dzieląc zabawy, przysposabiać ją musieli dla drugich.

W oficynie u starej pani (jak ją zwano powszechnie) cicho też było, ale przez żaluzje i franki już światelko błyskało. Alfier rzuciwszy okiem na górę, poleciał wschodami.

VIII

W przedpokoju, toż samo dziewczę, któreśmy tu widzieli z wieczora, klęcząc u komin-ka i przygotowując ranną kawę, drzemało znowu trochę — błądy płomyczek ogniska oświetlał tylko silniej wydatniejsze sprzęty.

Alfier drzwi otworzył po cichuteńku, na palcach wsunął się do przedpokoju, przybliżył się do Agatki i korzystając z jej ospałości serdecznie ją naprzód wyściskał.

Dziewczyna nie krzyknęła nawet, może się domyśliwszy rannego gościa, ale pomimo cichego skradania się podczaszyca, z drugiego pokoju natychmiast głos się dał słyszeć.

— A kto tam?

— Wstała babunia? — spytał przybyły.

— A toż panicz wie — odpowiedziała Agatka poprawiając włosy — że o czwartej pani już nie śpi.

Alfier podskoczył do drzwi i z uśmiechem do nich zapukał — babunia nie śpi?

— A to ty moje kochane dziecko! chodź-no chodź, ale czemu ty nie spisz, czyżbyś tak rano już wstał?

Zrzuciwszy ciężką lisiurę, w balowym swym stroju, z wesołą twarzą, podskakując wpadł młody chłopiec do pokoju babki. Staruszka siedziała już w krześle z koronką i księ-gą, a gruba świeca żółta z zieloną umbrelką paliła się przy niej.

— Jak się masz Michasiu — zawołała wyciągając ręce ku niemu — jak że się masz dziecko moje? A! Chryste Panie! cóżeś tak wystrojony, — krzyknęła — czy to dopiero z festynu? czyście tam do białego dnia szaleli?

— A cóż babunia myśli? — spytał, całując jej ręce Michał Alfier — późno bardzo rozeszliśmy się, nie warto już kłaść się w łóżko pomyślałem sobie, i ot przybiegłem do babuni na kawę.

— Agatko! Agatko! — odezwała się krzątając staruszka, szukając kluczy i sparta o sto-lik podnosząc się już z krzesła — chodź no tu śpiochu! patrzajno, żeby mi tam kawa nie zbiegła, żebyś mi jej wodą nie dolewała, dostań dobrej śmietanki — słyszysz? A odsuń pudeleczo co tam stoi w kątku i podaj no mi je, niech dobędę sucharków.

Spojrzała w oczy wnukowi z uśmiechem macierzyńskim, rozkoszując się widocznie w pięknej, ożywionej jego twarzyczce.

— Chce babunia — zaczął swawolnik — żebym jej opowiedział od A do Z całe przyjęcie, przybycie i zabawy królewskie i nasze?

— A daj ty mi święty pokój! — ruszając ramionami odezwała się starościna — gadaj mi lepiej o sobie... coś ty robił? czyś tańcował? czyś się nie zaziębił na tym wietrze? czyś nie chory?

— A gdzie tam, ja zdrow jak ryba i wesół jak ptaszek.

— Bo wam młodym aby pohulać. — O mój Boże! jakie to jeszcze dziecinne! No! no! ale to wiek po temu. Mówże? bawiłeś ty się dobrze?

— Przedziwnie babunieczku i piłem ogromnie jak gąbka...

— Jak to, ty piłeś?

— Starego węgryzna łokciowemi kielichami.

— Głowa cię nie boli?

— Nic a nic! jak po wodzie! Tańcowałem też do upadłego, śmiałem się do rozpuku i roztrzępiałem się tak...

— Widzę, widzę, roztrzępiałeś się tak, że podobno i wieczorny i ranny pacierz poszły z wiatrem.

Na wspomnienie o pacierzu, uśmiech lekki, trochę szyderski, przeleciał po usteczkach wychowańca Labe Poinso.

— E! moja babciu — rzekł Michał — jak się postarzeję to się będę modlił. Poinso powiada, że wszystko może być modlitwą, zacząwszy od...

— Jużciż nie od butelki i tańca — surowo przerwała starościna — twój ten Po-insot sensu nie ma za trzy grosze, że ci takimi andronami głowę nabija. Chce z ciebie zrobić Francuza, nich mu Bóg nie pamięta. Lepiej u nas było Michasiu, dopókiśmy się wszyscy modlili, a i wśród festynów o Panu Bogu nie zapominali. Wasz czas ze swoim niedowiarstwem, to przepowiednia ciężkich plag Boskich.

— Na co nas babunia tak ciężko straszy! co znowu? Świat owszem wyrósł, porozumiał — dawniej panowało barbarzyństwo, przesady, zabiera się dopiero nowy i lepszy w świecie porządek...

Staruszka pokiwała głową.

— Nie plótl byś Michasiu — przerwała — za panią matką pacierz, co ci Poinsoł naszwargotał. Francuz wiercipięta, sam nie wie co plecie, a tobie widzę świta w głowie, ot pij kawę póki gorąca.

Agatka wniosła w tej chwili na tacy imbryczki i ukradkiem zasłaniając się fartuszkiem uśmiechnęła się do figlarza, który jej na migi posłał całusa.

Babunia nalewała tymczasem, z troskliwością dobierając kożuszki i gromadę sucharków; podczaszyc nucąc coś okręcał się po pokoju i oko jego padło na wspomniony już obraz staro-niemieckiej szkoły, wystawujący Archanioła Michała. Zatrzymał się przy nim chwilę i odwrócił z jakimś uczuciem wstrętu, dziwnym w młodym filozofie.

Malowanie to, na które właśnie padał blask świecy, oprawne w staroświeckie wytwornie wyrobione ramy, godne było zastanowienia i rozbioru znawcy. Wiek osiemnasty jeszcze się był nie rozpatrzył i nie rozmiłował jak nasz w dziełach pierwotnych katolickich szkół malarstwa, bo wedle ducha swego, wyłącznie kochał się w mitologii i manjerowanych kompozycjach artystów swoich, lub tem co w wiekach poprzedzających najbliższem ich było. Obraz ten wszakże i w XVIII wieku zwracał oko każdego, tak silnie na nim wyraził mistrz pobożny zwycięstwo dobrego ducha nad szatanem. Promienisty w złotej zbroi Archanioł, z rozwiniętymi płomiennymi skrzydłami, z pełną zapału twarzą, której pokoju niebieskiego bój nie potrafił zamęcić, stał jedną nogą deptając głowę ducha ciemności — w rękach miał kopię ze sztandarem, na którym powiewało imię Jezus i *Quis ut Deus?* (*Mich-a-el*). Pobożny malarz nie wahał się tu położyć imienia Jezusowego, które zwyciężało przed wieki i wszelką tchnęło siłę. W górze nad Archaniołem lśniło się niebo pogodne, jasne, lazuruowe, po niżej kłębammi zwiły się chmury, i czarne, nieprzejrzane, ciemnymi kręgi otaczały głowę szatana.

Prześliczne siłą, wyrazem potęgi anielskiej i spokojem zwycięstwa było lice Michała arcy-wojownika, ale szczęśliwy malarz jeszcze zdaje się dobitniej, wyraziściej, mocniej wycisnął na twarzy djabelskiej wszelką złość, wezbranie bezsilnego gniewu, szyderstwo męczarni towarzyszące, mękę upokorzenia, zajadłość upadku i dumę niepokonaną. Ta czarna djabelska fizjognomia, wykończona i wystudjowana jak obraz cały, była w swoim rodzaju arcydziełem, zwracała nawet zanadto może oczy patrzącego i psuła trochę efekt ogólny — gdyż jakkolwiek zwycięzko wyszedł artysta z trudnego zadania oblicza Archanioła, zdawało się, że trafem jakimś, czy usposobieniem szczególnem, jeszcze lepiej udało mu się odwzorować ideał złego i szkarady.

Podczaszyc z dzieciństwa przywykły spoglądać na patrona swojego i babki, zawsze się przerażał tym okropnym djabeł, który czasem takie na nim czynił wrażenie, że się po nocach zrywał przelękły zjawieniem szatana, a babka niekiedy zasłaniać musiała dół obrazu, aby się tak dziecko nie obawiało. Wyrosłszy nawet, Michaś zachował zawsze wstręt do tego szatana: teraz dziwnym fenomenem, straszyl go jeszcze i pociągał razem; ile razy był u babki oczów od niego oderwać nie mógł. Wzrok djabelski zaiskrzony, gniewny, szyderski, ściagał go wszędzie, lice to poczarne stało mu w myśli i głowie bez przestanku, a niekiedy twarze ludzi częściami przypominały mu to usta, to oczyma ten prototyp szkarady. W ciemnościach nieraz przywidywało mu się, że widzi Lucyfera tego wychylającego się głębiną czarnej i uśmiechającego zdradliwie.

I teraz mimowolnie spotkawszy wejrzenie szatana, podczaszyc wzdrygnął się, odwrócił i rzekł do babki:

— Moja babciu, czemu też babunia tego obrazu szkaradnego wyrzucić gdzie na strych nie każe... Malowanie nie osobliwsze, a djabeł tak szkaradny że aż strach...

— Wiesz kochańciu, że to pamiątka po dziadzie i pradziadzie moim, a przedstawia mojego i twojego patrona, bo nie wiem na co przechrzcieli cię dla głupiej jakiejś mody na pogańskiego jakiegoś Alfiera, którego nie znałeś na chrście świętym... dla mnie ty zawsze będziesz Michałem.

— Ale moja babciu co się tyczy świętego Alfiera, proszę także mu nie ujmować, bo niezawodna rzecz, że opat Alfier żył pod Neapolem w którymś klasztorze Cystersów w XI wieku i jest kanonizowany.

— Nie sprzeczam się moje dziecko, ale ja wolę znajomego mi lepiej świętego Michała. Otóż i obraz ten, który go reprezentuje, jest mi bardzo drogi.

— Ale ten djabeł, ten szkaradny djabeł, babuniu.

— Straszny, to prawda moje dziecko, ale dobrze się go nauczyć bać, żeby w jego szpony nie popaść.

Alfier rozśmiał się.

— Czyż godzi się w naszym wieku — rzekł z tryumfem tęgiego ducha (*esprit-fort*) wierzyć w te stare banialuki... Któż wierzy dziś w djabłów i piekło?

— Cóż bo ty dziś pleciesz! co pleciesz! kiwając głową z oburzeniem przerwała staruszka. — Dalipan ten głupi Poinset zupełnie cię obalamucił! Filozofujesz! bredzisz, ale słuchaj starej swej babki, nie brykaj rozumem, bo czem kto wojuje, od tego ginie. Nasi dziadowie wierzyli pocziwie i bali się Pana Boga, a nie mędrkowali po francuzku i po niemiecku, bo to nie polska rzecz, i było im z tem dobrze. Ten wasz wiek, co go to nazywacie filozoficznym, do niczego pocziwego nie prowadzi, pamiętaj waść!! Pij kawę i gadaj o czem innym.

— A cóż babunia każe? chyba o królu Jegomości?

— I ten wasz król to także farmazon — ruszając ramionami odezwała się starościna — dajcież mi z nim pokój.

— O biskupie Naruszewiczu...

— O tym co to wiersze pisze! wiem! wiem! taki to i biskup mosanie! at! biskupi jak należy w poezję się nie wdają, zwłaszcza światową... Mów lepiej o sobie, czyś się dobrze bawił, czyś się wyskakał?

— O! wyśmienicie! Panien było hukiem i ładne prawie wszystkie. Sędzianki jak trzy róże, łowczanki jak dwie piwonie, cześniówny jak lilie trochę przywiędłe, a podkomorzanki jak trzy śledzie...

— Niepocziwy! — zaczęła się śmiać babka — a godzi się to tak ośmiewać? Pfe! pfe! i tego za moich czasów nie bywało, żeby kawalerowie z panienek sobie żarty stroili. — Patrzej go! trzy śledzie, no! no! a któż ci się tam najlepiej podobał?

— Babunieczku, jeszcze żadna.

— No to przecie masz sens, bo też waści bardzo wcześniej o tem myśleć, nawet cię za rano w świat puszczają...

— Mama prezentowała mnie królowi Jmci z pięknym bardzo komplementem, na co Najj. Pan odpowiedział z niewymowną łaskawością, a ja też wtrąciłem moje trzy grosze... zdaje mi się że moja przytomność podobała się królowi; mama mówi, że życzy sobie abym po powrocie jego z Kaniowa jechał do Warszawy i prezentował się na dworze.

— Zdaje mi się, nie ujmując matce twojej — rzekła stara poważnie — że wszystko to jakoś robicie za wcześniej. Jeszcze bym ja ciebie w to wielkie miasto, o którym mówią, że to teraz Sodoma i Gomora — nie puściła tak rychło, mógłbyś gdzieindziej pouczać się trochę, a z biedy choć podróżować, albo wojskowego skosztować życia.

— Mnie się babunieczku już co innego marzy — spiesznie przerwał młody chłopiec. — Cuda prawią o tej Warszawie, zowią ją małym Paryżem; tak się tam bawią wesoło, ochoczo, tyle ślicznych dam, tyle otwartych domów; dla czegożbym nie miał jak inni wejść na dwór królewski i służyć królowi i krajowi, młodych moich lat użyć?

— Michasiu! ej, Michasiu — smutnie a poważnie odezwała się staruszka, już wcale nie żartobliwym tonem — martwi mnie doprawdy to co mówisz, widzę że nie myślisz tylko o zabawie, a świat i życie, serce moje nie zabawka to wcale, to poważne, to święte dzieło, do którego ze skruczą w sercu przystępować potrzeba jak do ołtarza ofiary... wszak i ono ofiarą być powinno.

— Kochana babunieczko — całując ją w rękę i przymilając się przerwał Michał, teraz się to inaczej widzą te rzeczy, czasy się odmieniły! może to kiedyś tak bywało, ale dziś! dziś! piękniebym się wyrwał, żebym chciał wskrzeszać dawne, wyśmiane obyczaje.

Starościnnie pobożna ła zakręciła się w oku.

— Róbcie sobie co chcecie — rzekła z cicha — ja do waszych rad nie należę, a wy mnie starej nie posłuchacie... na co wam darmo mówić! Tak, masz rację... inne to, inne czasy, wyście teraz w przekonaniu waszem rozumiejsi bez wąsów, niż my pod siwizną; kierujcie się jak was rozum wasz uczy, ale daj Boże, by to na dobre wyszło! Nie wątpisz Michasiu, że cię kocham, bo byś srogo przed panem Bogiem zgrzeszył...

— A babuniu! — przerwał młody chłopiec.

— Żal mi ciebie, żal szczerze, bo cię może w najlepszych intencjach do zguby prowadzą. Twój Poincot, jakiś szoldra, co się na nasze nieszczęście tu przybłąkał, zaszczerpił w tobie tę niewiarę i głupię jakąś filozofię która ich tam wszystkich obalamuciła... Daj Boże by ci serca nie popsuł, a głowy na wieki nie obłąkał!!!... Zrobicie sobie co się wam podoba... jedną tylko rzecz musisz mi przyrzec...

— Wszystko co babunia każe...

— Małą rzecz, a i to nie dla mnie, dodała staruszka, kochany mój Michale. Pamiętasz jakieś małym dziecięciem ze złożonymi rękami modlił się z rana i wieczorem u kolan moich z Anusią... Ile razy zapomniałeś pacierza (Anusia go nigdy nie opuściła) a zasnąłeś bez niego, to cię w nocy zawsze przykre sny dręczyły... Nie zapomnijże i w życiu nigdy, nie zapomnij na prośbę moją, choć krótkiego pacierza; on od ciebie szatana, który tym światem zawładnął dziś widzę, odpędzi...

Na ustach Michała przelotny, niedostrzeżony ukazał się uśmiezek, ale szczęściem staruszka go nie dostrzegła, a posłuszny wnuk przyrzekł jej, że się modlić będzie.

Dzień już był jasny, kiedy się ta rozmowa kończyła, Michał musiał się iść przebrać, pożegnał staruszkę szybko i szybciej jeszcze zbiegł po wschodach do swego mieszkania, nucąc jakąś piosnkę francuzką.

IX

Nazajutrz część gości z królem przybyłych, wyprzedzając Najjaśniejszego, dość rano popieszyła przodem, torując mu drogę, przygotowując nowe festyny, szlachta tylko z sąsiedztwa asystowała przy śniadaniu i pożegnaniu.

Z królem pozostali książę Józef, generał Komarzewski, biskup Naruszewicz i Ryx, co nigdy na krok nie odstępował Poniatowskiego. Był to przecie jedyny człowiek, na którego król czasem do złości się niecierpliwił i może dla tego stał mu się tak nieodbitcie potrzebny. A że te gniewy suto się zawsze opłacały, starosta Piaseczyński niekiedy je nawet, jak mówiono, wywoływał.

Wspaniałe śniadanie przygotowane zostało w sali dla gości, król go jednak nie tknął, bo już był po zwykłej filiżance mocnego bulionu — wstał przez ten czas przeglądać galerję, zbiory numizmatów i bibliotekę, w czem mu sama gospodyni przewodniczyła. Odprawiono pana Poincot pod jakimś pozorem, i Stanisław August pozostał na chwilę sam na sam ze smutną i zamyśloną podczaszyną, z czego nie bardzo się rad zdawał, okazując nawet trochę niepokoju. Oboje zresztą byli pomieszani, zafrasowani, trwożni, on że się wspomnień i wymówek lękał, ona że się może ostatniej obawiała stracić nadziei.

Lecz od czegoż umiejętność świata i nauka użycia słowa? Stanisław August doskonale umiał mówić tylko to co chciał, zdając się powiadać więcej daleko; posiadał ten talent rzadki niedopuszczenia rozmowy po za pewne granice, talent który często bardzo się przydać może, a mało komu jest dany. Grzeczność i galanterja francuzka, szczebiotliwa a czcza, zastąpiły zgasłe sentymanta — pochlebstwa zakryły brak uczucia, i podczaszyna rychło spostrzegła że się jej obawiano.

Z obrażoną więc dumą postanowiła zamknąć w sercu, co już zeń ulatywało na usta. Udała uśmiech, zmyśliła wesołą obojętność, a że syn na myśl jej przyszedł, wysiliła się nawet na prośbę.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się dobrawszy chwilę — pozwolisz bym pod jego ojcowską opiekę syna mojego przysłała. Sierota to i ostatni dobrego rodu potomek, godziło by się, żebyś Wasza król. Mość podał mu rękę...

— Chwała Bogu — rzekł w duszy król — pozostała jej tylko ambicja, i pospieszył chwytając drżącą rączkę białą podczaszynie, z usilnem naleganiem.

— Proszę mi go przysłać! pokieruję nim, popchnę, uczynię dla niego co tylko pani rozkażesz! Kawaler tak pięknie wychowany, nie może nie zrobić sobie świetnego losu na dworze moim, a gdyby i dalej na świat wyrzecz zapragnął, chętnie mu dam listy polecające do dworów. Słowem, zajmę się nim gorliwie...

Podczaszyna niskim, ceremonialnym bardzo ukłonem podziękowała królowi, choć ledwie nie gniew czuła w rozdarciem sercu, tak ją chłód ten króla, niegdyś kochanka, zabijał, tak ją ta zimna urzędowa grzeczność bolała.

Ks. biskup Naruszewicz, który, kto wie, może się domyślał przykrego położenia króla Jmci, pośpiesznie polknąwszy co sądził potrzebnem by w drodze nie osłabnąć z głodu, przybiegł w pomoc panu z uśmiechniętą twarzą — spojrzął na rozmawiających, a usiłując wyręczyć Poniatowskiego, rozpoczął od pochwał gospodyni i jej rezydencji.

— Zaprawdę — rzekł, nieznacznie dając znak królowi — w całej naszej peregrynacji nigdzie nic podobnego widzieć się nam nie trafiło. Na wsi, pośród naszej ubogiej Polski, tyle nagromadzić skarbów, tak urządzić życie, to rzecz niepojęta, to zasługa nawet, a przykład dla drugich wielkiej wagi.

— A co najdziwniejsze — dodał król siląc się na najwyszukańszy komplement, że ja tu nigdzie śladu barbarzyństwa naszego, naszych obyczajów, naszych nałogów i przesądów nie widzę! Marzę że jestem we Francji, wśród Paryża, a nic mnie nie przebudza.

— Maleńki Wersal! — rzekł biskup.

Podczaszyna słuchała pochwał, ale widać było że te ją nie poruszały wcale, w innym razie byłaby je przyjęła jak najmiłszą woń dla siebie — ale teraz...

— W moim smutnym wdowim stanie — odparła po cichu, z wyrazem głębokiego rozżalenia — szukać musiałam jakiejś pociechy, otaczając się tem co mnie przynajmniej odurzyć i rozerwać mogło; wiele też uczyniło się dla syna, którego zawczasu chciałam oswoić ze światem, w jakim go widzieć pragnę. Nie wychowałam go wcale po polsku, ledwie umie ten język, a co do sposobu myślenia, obejścia się, wyobrażeń, mogę Waszej królewskiej Mości zaręczyć, że i w Paryżu z nim bym się nie powstydzila. Wiele mi w tem dopomógł Labe Poinot.

— Kiedy tak, ten Labe dobrze się sobie nazywa... przerwał biskup dowcipując; król się nieco uśmiechnął.

— W istocie — rzekł — właśnie to wzbudza admiracją moją, że tu nic nie widzę polskiego, że gdyby nie zima zaglądnąca przez okno, sądziłbym się jeszcze w salonie pani Geoffrin. Ale nie te to już czasy! — dodał spuszczać oczy Poniatowski.

Powoli do pokoju, w którym podczaszyna, król i biskup prowadzili rozmowę, zaczęli się wciskać i inni biesiadnicy. Komarzewski jedną ręką dopijając kielicha za drzwiami, drugą dobywał zegarka jakby chciał przypomnieć zbliżoną godzinę wyjazdu... bo powozy już oczekiwały. Przemówiono coś jeszcze, ten i ów skorzystał z ostatniej chwili, by grubo osolony łaciną, a zdawna wysmażony wypalić królowi komplement; nareszcie poczęto się ruszać, a Stanisław August zbliżył się do gospodyni by ją pożegnać. Jakim tam ona wzrokiem rzuciła na odjeżdżającego, który unikał jej wejrzenia, ostatnią z sobą unosząc nadzieję, tego opisać niepodobna.

W tem król skinął, i rozkazał sobie podać pudełko, które starosta Piaseczyński przyniósł z drugiego pokoju na srebrnej tacy.

— Pozwól pani — rzekł z uśmiechem do podczaszynie — bym zawdzięczając jej, i dar tego arcydzieła Corregia, i jej niedorównaną gościnność, postarał się pozostać czemkolwiek w tem miejscu, bodaj maleńką i nic nie znaczącą pamiątką. Wstyd mi za mój dar tak ubogi i wcale nie królewski, ale serce co go ofiaruje, wylane dla ich domu, może mu cokolwiek przydać ceny.

To mówiąc, z otwartego pudełka Stanisław dobył przepyszne kolje z kameów starożytnych i z pełnym galanterji ukłonem, podał je pani podczaszynie.

Ona słuchała słów jego ze spuszczonej oczyma, z których dobrze że łza nie wytrysła — zniżyła się przyjmując pamiątkę i dowód łaski J. kr. Mości, ale na podziękowanie zaledwie słów kilka znalazła. Król rzucił okiem szukając widocznie Alfiera i rozkazał mu się przybliżyć.

— Kawalerze — odezwał się biorąc z rąk biskupa przygotowany już order Św. Stanisława i wkładając go na młodego chłopca zarumienionego z radości jak dojrzała wisznia — daję ci jako pamiątkę i zachętę dla służenia tronowi i ojczyźnie.

— Nie zasłużyłem jeszcze Najj. Panie — klękając i całując rękę królewską, przebaknął Alfier.

— Ale nie wątpię że zasłużyysz, krew poczciwa nie kłamie, będziesz godnym W... i Ordyńskich, co daj Boże!

— Amen! — dołożył biskup.

— A teraz mości panowie — zawołał Poniatowski podany biorąc kapelusik — komu w drogę temu czas; choć nie miło to zaczarowane opuścić ustronie, przecież potrzeba, żelazna woła konieczność.

— Bo inaczej na nocleg w K... nie staniemy, dodał Komarzewski, gdyż już dochodzi jedenasta...

Wszyscy ruszyli się przeprowadzić króla, a szlachta z cześnikami Styrpejko rzuciła się do koni, chcąc mu towarzyszyć do granic powiatu lub dalej nawet, konwojując powozy. Ktoś tam jeszcze miał w zanadru przygotowaną mowę pożegnalną. W ganku powtórzyły się podziękowania, komplementa, kielichy, wiwaty, okrzyki, ukłony i z hałasem wielkim ruszyła w ostatku królewska karoca lipową aleją, szeregiem zgromadzonego znów ludu.

Podczaszyna znikła natychmiast z ganku i pobiegła do swojego pokoju, gdzie na nią smutek i boleść czekały, Alfier odprowadzał króla ze szlachtą.

X

Powiedzmy teraz słów kilka o rodzinie Ordyńskich i osobach ją składających, któreśmy tylko zdaleka dotąd widzieli.

Rodzina ta należała do szczerzej liczby bojarsko-szlacheckich, prawie książęcych familji na Rusi, które tu już panowanie polskie zastało w znaczeniu i powadze. Herb jej, brama obozowa, podobnie jak wiele innych ruskich, złożony z kilku lasek, które później heraldykom naszym podobało się przeważać strzałami, klamrami, literami, bramami, podobny był do widywanych dziś jeszcze po starych cmentarzyskach Wołynia i Podola grobowych znamion, które niewątpliwie wszystkim czysto rusińskim herbom dały początek. Były to widać godła gmin i ich wodzów, równie na chorągwiach jak na mogiłach używane, które później stały się znamieniem szlacheckim. Ordyńscy z dawien dawna mieli ogromne posiadłości nad Styrem i Horyniem: ich stolicą przed stu laty już wyszła z imienia, był gródek Ordyń czyli Ordynia, malowniczo na brzegu Horynia sterczący. Głuche podanie, fałszywe ale stare, wiodło ich od znacznego jakiegoś, nawróconego wodza Ordy tatarskiej, lecz tego się wypierali Ordyńscy, utrzymując, że byli rodzimymi Wołyńskimi ziemianami. Ród to był, jak pisze Paprocki i Okolski, zawsze wielkiego animuszu ludzi, ale mężowie często zbytnią mieli skłonność do Weneri i Bachusa. Wiodło się im jakkolwiek, gdyż przez kilka wieków dziedzicznie prawie brali krzesła w swoim województwie, i wielkie w niem pozyskali znaczenie. Zamiast jednak przyrobienia majątności, pomimo dosyć bogatych połączeń i wniesionych im przez kilka dziedziczek imion, podupadać zaczęli na fortunie. Ojciec zwłaszcza pana podczaszego, a dziad Michała-Alfiera, człowiek niewielkich zdolności a nazbyt miękkiego serca, ostatecznie się był zaszargał. Całe swe życie siedział on na wsi, i żył nazbyt hojnie szafując swem mieniem.

Przez cały rok gromadziła się u jego stołów, piła i jadła szlachta, nie tylko województwa Wołyńskiego, ale ziem przyległych; byle święto, występ był ogromny, a co sejmik zjeżdżał starosta w kilkaset koni i dworzani do miasta, gdzie całe miesiące przenoszono do jego kwatery beczki węgryzna ze wszystkich winiarni, i wytaczano je co dzień z lagrem tylko na dnie. Hrehory, tak mu było na imie (choć miał drugie imie Michał), z kielichem w ręku, nieruszając się z krzesła, gdyż tak był otyły że prawie chodzić nie mógł, a dwóch hajduków w razie potrzeby z miejsca na miejsce go przenosili, słuchając teorbany swego Daniłka trawil dnie całe; a jeśli zmęczony śpiewak ucichł, występował nadworny jego trefniś, niejaki pan Jakób Mława, który powiastkami i facecyjkami miał obowiązek go zabawiać. Cały też boży dzień śmiał się tylko pan Hrehory, aż mu się brzuch i troisty trząś podbródek, a to mu wszelki ruch zastępowało, bo innego użyć nie mógł. Ożeniony przez przyjaciół z ubogą ale znacznego rodu księżniczką S... mało z nią żył, bo po trzech leciech rozpoczął już ów tryb życia, o którym mówiliśmy, a pani z synkiem którego Bóg dał, całkiem inny musiała na ustroniu prowadzić. Pobożna to była, pracowita, cicha i zacna niewiasta, ale najlepsze jej chęci i usiłowania na niewiele się przydały; nic prawie mężowi prócz pięknej kolligacji i piękniejszych jeszcze cnót swych nie wniósłszy, nie miała też prawa rozrządzać jego mieniem, i musiała płacząc patrzeć jak mizernie niszczało. Szarańcza pochlebców i wydrwigroszów ciągle otaczała Hrehorego, zabierała co tylko miał, objadała go i opijała, i tak się nieborak ani postrzegł gdy majątek zahaczył, że pod koniec dla nieładu i długów naprzykrzonych, niemal chleba brakowało.

Niemogąc już wina, pił jeszcze piwo i wódkę pan Hrehory, śmiejąc się ze swym teorbanistą i trefnisiem po staremu, póki ich stało; gdy i ci od pustej szpiżarni uciekli, umarł nieboraczysko. Wdowa szczerze go oplakiwała, boć w gruncie, gdyby cokolwiek lepsza głowa, człowiek był bardzo pocziwy, ale nigdy żadnej rachuby i interesów zrozumieć nie chciał, a do pracy żadnej nikt go nie napędził. Ledwie kto z nim na serjo mówić zaczął, mrugał na Daniłka lub dawał znak Jakubkowi, i teorban lub concept przerywały rozmowę, a figel jaki kończył ją śmiechem.

Śmierć jego była sowitą karą za grzechy. Z tej ciżby mniemanych przyjaciół, z tego tłoku pochlebców, nikt a nikt przy nim oprócz spłakanej nie pozostał żony; nawet niewdzięczny Daniłko drapał z teorbanem do któregoś z Sanguszków, a trefniś go jeszcze poprzedził, zabrawszy Hrehoremu ostatnią z niedźwiedziami bekieszę. W przeciągu kilku tygodni, z osamotnienia i przymuszonej trzeźwości, biedny starzec tak spadł z ciała, tak okropnie wychudł, żeby go był nikt nie poznał; na nogach jednak odzwyczajonych od posługi, utrzymać się już nie mógł. Siedział milczący z przymrużonymi oczyma, aż go tęsknota, niedostatek, smutek i zmiana życia dobiły. Przed samym zgonem wpadł w gorączkę, otworzył oczy, uśmiechnął się i snem, widzeniem, przeszło mu przed oczyma dawne życie.

— Graj Daniłko! graj! wołał ciągle — hej! hej! tę ukraińską, kozacką, hulaszczą, *szczo to znajesz*. To znów obracał się jakby do Jakóbka i wyzywał go niby na facecje... Z wielkim śmiechem nareszcie przyszła czkawka śmiertelna, spadł z krzesła i skończył choć późno opamiętawszy się, wykrzykiem — Jezus, Maria, Józef!

Po śmierci, wdowa z małym jeszcze synkiem, który miał naówczas ledwie rok trzynasty, nie byłaby sobie pewnie dały rady, gdyby Pan Bóg co czasem opiekuje się wybraną jaką rodziną, nie dając jej upadać, nie wziął ich pod skrzydło swoje. Już, już wierzyciele rozchwytywać mieli majątki, dotąd w ręku Ordyńskich zostające, gdy niespodziewanie odebrała pani Hrehorowa wezwanie, aby przybyła do mężowskiego brata.

Miał bowiem pan Hrehory rodzonego, o którym jeszcześmy nie wspomnieli, żyjącego w stanie duchownym. Stosunki rodzinne wyniosły go rychło na dość znaczne stanowisko, został naprzód kanonikiem Łuckim, potem prałatem, trzymał dwa bogate probostwa a następnie dano mu infulacją Ołycką. Ksiądz Adam szczęściem był tak oszczędnym jak Hrehory nieopatrzny, i całe życie swoje zbierał tylko grosz do grosza. Nieraz też się już u niego chciał być pożywić brat, ale infułat, który nie miał zwyczaju puszczać z rąk pieniędzy, nie życzył sobie też podsycać hulaneł na które zrywał się i bolał. Był to człowiek milczący, dosyć pobożny, charakteru bojaźliwego, i nadzwyczaj dla siebie i dla drugich skąpy. Dziwo prawiono o jego oszczędności, dworze, stole i życia sposobie.

Póki był kanonikiem, żył zupełnie zamknięty, a do stallów na nabożeństwo przychodził w wytartej rysiej szubce, którą jeszcze do seminarjum od ojca był dostał. Potem zmuszony do nieco wystawniejszego życia, tak je sobie urządził, że nikomu nie chciało się z nim dzielić stołu i towarzystwa. Księża kanonicy i wikarjusze w dniu uroczyste musieli u niego zjadać objadki, ale znając je, wprzódy z domu dobrem się na nie przygotowały śniadaniem; z obcych zaś mało kto do księdza infułata zawitał. Ksiądz Adam na tym dostojenstwie chodził w bardzo wytartych fioletach, do rysiej starej szubki kazał tylko dać nowy kołnierzyk z kłamanego sobola, w zimie po piecach nie palił jak powiadał dla zdrowia i mortyfikacji, a jadł gorzej najuboższego szlachcica.

Z jego to powodu, przewzano kwaśną lurę węgierską, *infułacką matmazją*, i długo w tych stronach, wszystkie brzydkie wina nosiły to imię, zresztą, byle kto do jego kieszeni nie zaglądał, infułat wcale był dobrym człowiekiem. Siebie nawet nie żałował na posługę chrześcijańską i obywatelską, ale grosza nie zaofiarował w żadnym razie. Co dziwna, to że zdawał się przeciwko obyczajowi wszystkich ludzi nałogowych, znać się do swojego defektu skąpstwa. Jeden ze śmielszych kanoników, często mu jego sknerstwo na publicznych przygryzał kazaniach, a infułat nie okazał niczem by go to obrażać miało. Raz nawet po takim kazaniu spotkawszy sam na sam oratora w zakrystji, rzekł do niego:

— Dziękuję księdzu kanonikowi, za nauczkę i obrok duchowny — wszyscyśmy ludzie!

Kanonik który myślał, że tu go reprimanda spotka, zmieszal się zrazu, potem zdziwił tem pomiarkowaniem i już chciał niewinniać się, bo mu się żal starego zrobiło, gdy infułat dodał z westchnieniem:

— O tak! wszyscyśmy ludzie i słabi. — Ale starszych błędy publicznie na pośmiewisko podawać, czyli się godzi, sumieniu to WMPana dobrodzieja do rozwiązania polecam.

Kanonik odszedł zgryziony i upokorzony.

Trybu wszakże życia swego, bynajmniej potem ksiądz Adam nie zmienił. Raz w rok na imieniny bratowej, którą wysoce szacować umiał, zjeżdżał regularnie starą bryką zieloną w wilją z wieczora; nazajutrz na jej intencją odprawiał mszę świętą w kapliczce, bywał na obiedzie, i póki żył brat, często z nim nawet niewidząc się, odjeżdżał nazad.

Ciężkim był dla niego widok marnotrawstwa pana Hrehorego, którego że do opamiętania przywieść nie mógł, potem już i nie próbował nawracać; wdychał tylko przed bratową, przewidując, że w ręku poczciwego ale nieopatrzego Ordyńskiego, ostatek rodzinnego mienia stopnieje.

Gdy mu znać dano o smutnym upadku fortuny Hrehorego, nie dał się z Ołyki wyciągnąć, ani go chciał poratować; zjechał dopiero na pogrzeb z duchowieństwem. Starał się nieco wdowę pocieszyć, dodać jej mężstwa i otuchy, ale nierozwiązawszy worka, trzeciego dnia po egzekwjach solennych, do domu powrócił.

Znając jego skąpstwo, nie mogła się domyśleć bratowa, czego ją teraz do Ołyki wzywano, ale natychmiast z synkiem, od którego była nieodstępna, pospieszyła do infułata.

Zastała go już na śmiertelnym łożu i po ostatnim pomazaniu, ale jeszcze przytomnego zupełnie. Przyjął ją z uśmiechem.

Chwała Bogu, że się Asindzki doczekał, rzekł pokaszlując, — a dobrze żeś się pospieszyła, bo dalej, dalej, mogliby mnie powołać tam!! wskazał w górę.

— Dusza już się ledwie w mizernem ciele kołacze nie traćmyż czasu, a mówmy o czym potrzeba.

Podniósł się na łokciu i nieco ku starościnie stękając przybliżył.

— Bliska chwila, w której Bóg litościwy, z grzechów mnie moich sądzić będzie, a grzechy moje wielkie, bom się biorąc suknię duchowną, świeckich sentymentów i kłopotów pozbyć nie umiał. Dałem światu zgorszenie zbierając chciwie grosz, a odrywając od gęby drugim i sobie. Bóg widzi, że przecie nie ze wszystkim może miał myśl grzeszną, choć i *nepotyzmus* nie cnota w księdzu. Smutno mi było patrzeć na upadek mojego rodu przez nieboszczyka pana Hrehorego dokonany, zawczasu postanowiłem sobie ciuć i sknerzyć, by was kiedyś podratować. Mniejsza o to, że mnie ludzie za to oplwali, ale nie wiem jaki u Pana Boga znajdę rachunek.

Nie zbierałem ci ja nigdy grosza krzywdą ludzką, ani wydzierstwem, bo by mi się roztopił w ręku waszych, ale odejmując sobie, odejmując innym z tego co sądzili, że mi im pozycja moja i przyzwoitość dawać kazała. Zebrało się tam grosza dosyć, moja jejmościuniu, daj Boże by mi go przebaczone tam na górze — zabierzcie go, a użycie na dobre uczynki. To sobie tylko u Asińdzki waruję, by póki życia jej i syna, dzień w dzień zakupywana była msza święta za duszę moją, a w rocznicę śmierci niechaj będą egzekwije. Bez wystawy, bez ceremonii, bez przepychu, cztery świece, kilimek i krzyż, dosyć będzie, byle była modlitwa, nie przejdzie to parę talarów. Co się tycze pogrzebu jużem ja wszystko rozdysponował, — z pokorą świętą niech będzie bez niepotrzebnej pompy, na to już grosz odłożony i do najmniejszej świeczki sam opłaciłem. Weźmij Asińdzka te klucze od alkierzyka, tam wszystek mój grosz w złocie znajdziesz. Odesłać go zaraz do domu, długi poopłacać, majątności nasze wykupić, a nie szafować nim, i chłopca uczyć zawczasu oszczędności, żeby mu co ojcowskiego w żyłach nie zostało. Zaraz mi to Asindzka każ zabierać, pókim ja jeszcze żyw, żeby potem kwestji nie zrobiono, albo nie uchwycono czego. A proszę się spieszyć, bo ostatek życia Panu Bogu należy i wiem, że go już nie wiele zostało. Syna mi tu przyprowadzić, żeby mi też go choć grzesznymi rękami pobłogosławił.

Wdowa rozplakała się padając do nóg staruszkowi, który w cichości i z zebraniem wielkim ducha pomodlił się nad głową chłopięcia — potem infułat kufrę i szkatułki powynosić kazał i na wozy powkładać, a sam dopiero uspokojony, znowu na śmierć gotować się począł.

W ten sposób niespodzianie jakoś, Ordyńscy znowu na nogi stanęli, a zarząd wdowy nie tylko znacznie podniósł ich fortunę, ale ją jeszcze rozrobić potrafił. Zawsze u nas kobiety rządniejsze były od mężczyzn, i wiele majątności im winny byt swój lub podźwignienie; nie raz widywano je zaprowadzające rząd w najzagmatwanych interesach, dające

sobie radę z procesami, gospodarstwem, wychowaniem dzieci, oszczędzając bez skąpstwa, a tam gdzie ledwie wprzód na liche życie starczyło, tworzące zamożność i zbiory. W ogólności w czasach dawniejszych, więcej zmuszeni żyć publicznym życiem, mężczyźni tracili raczej niż zbierali, kobiety rządziły, gospodarowały i utrzymywały porządek. Pani Ordyńska przy pomocy fortuny mężowskiego brata i lepszych nieco czasów, wkrótce do dawnej świetności przyprowadziła fortunę — opłaciła wierzycieli, ustanowiła porządek i miała grosza podostatkiem na wszystko. Wychowanie syna tymczasem szło sobie bez wykwintu, bez wielkich przyborów, po staropolsku, z oglądaniem się na to do czego było powinno przygotowywać młodego człowieka. Ordyński po prostu z pod feruły dyrektorskiej poszedł do szkół, i skończył nauki nie objawiając nadzwyczajnych talentów, ale też nigdzie niebędąc ostatnim. Przytem, jak to dawniej bywało, rósł z niego człowiek praktyczny. Matka kochając go nie oszczędzała, hartowała ciało razem i duszę. — Przybywając na ferje do domu, musiał jej w pocie czoła gospodarzyć, rachować, jeździć, pilnować robotnika nieraz, i uczyć się jak grosz pocziwie zapracowany przychodzi mozolnie. A choć w przyszłości bogatym być miał, matka go wcale nie przyzwyczajała do wygodów zawczasu. Sukienką się musiał kontentować ze starej przerobioną, futerkiem ladajakiem, butem domowym i grubą bielizną, z talarka zaś każdego któren do kaletki dostał, ścisły potrzeba było zdać rachunek. W ten sposób trochę ostro ale z osładzającą surowości konieczną, wychowany dobrocią i macierzyńskim staraniem, wyrósł Ordyński na młodzieńca, co mógł być krajowi użytecznym człowiekiem, dla którego przyszłość nie była straszną. W głowie miał wcale dobrze, uczucie pocziwie biło w sercu, wiedział co w jego położeniu i stanie potrzebnem być mogło, miał pojęcie swoich obowiązków, a nie uląkłby się ani ubóstwa, ani pracy. Konia dosiąść dzikiego, w szablę się ściąć, umiał doskonale, znał prawo krajowe, że go lada kauzyperda w polę by nie wywiódł, a gospodarz był z niego co się zowie; bo rzecz swoją po ekonomsku, zbliska w najdrobniejszych znał szczegółach. Matka nigdy mu w głowę nie nabijała żeby miał być panem, owszem ustawicznie postękiwała na interesa i zalecała oszczędność, tak że się ani domyślił że bogatym być może.

Wyszędzszy ze szkół nie dano mu próżnować, a że jedynaka nie chciało się matce na azardy wojenne wystawiać, pod pozorem, że pomocy jego potrzebuje, zatrzymała go w domu używając do interesów i gospodarstwa. Jeździł po trybunałach atentując sprawom, a resztę czasu spędzał, na oglądaniu pilnem majątności. Tymczasem, jak skoro lat doszedł, szlachta pamiętająca o Ordyńskich, zaraz mu pokoju nie dając, wybrała go posłem na sejm. Matka nie bardzo była temu rada, bojąc się miasta dla syna, ale musiała pozwolić, zwłaszcza, gdy do niej przyjechali sejmikowicze usilnie jej przedstawując, że się ta posługa od młodego i możnego obywatela krajowi należy.

— Ależ to dzieciuch odparła matka ze łzą w oku.

— Starościno dobrodziejko, rzekł pan Puhala, krew pocziwa nie zawodzi, zresztą instrukcja i przykład innych panów posłów wskażą mu drogę, a serce najpewniejszą wykreśli.

Dopiero się naówczas Ordyński młody przekonał, że wcale ubogim nie był, bo matka nie chciała by się w stolicy nieprzyzwoicie i nieodpowiednio stanowi swemu pokazał. Jednego ranka zawołała go do siebie i zamknawszy pokoik, zbliżyć się kazała do swojego krzesła.

— Słuchaj-no mój drogi, odezwała się, dorosłeś dzięki Bogu, masz rozum, czas ci go użyć samemu — nie będę ci taić dłużej, że dzięki Opatrzności, spadkowi po stryju, mojej też pracy i oszczędności majątek będziesz miał znaczny, choć ci go ojciec nic nie zostawił. Łatwiej go stracić niż nabyć, gdyby nie stryj, gdyby nie moje horowanie wycierałbyś może cudze kąty, choć z senatorskiego rodu pochodzisz po mieczu i kądzieli. Bogactwo rzecz krucha, kto w niem na nędzę nie pamięta, nie czas się jej obawiać gdy już przyszła. Oto masz rachunki z mojej opieki i stan twojego majątku, oddaję ci go, ale pamiętaj, żebyś marnie nie puścił krwawego potu mojego.

— Matko dobrodziejko, odpowiedział jej syn padając do nóg jak długi, nie chcę ja wcale majątności do rąk moich odbierać, rządź i rozporządzaj nią jak swoją, a co mi łaska twoja na sustentację wyznaczysz, tem się kontentować będę.

— Dobrze to, że się chcesz zdać na mnie, ściskając go zawołała starościna, ale jabym rada spojrzeć i zobaczyć, jak ty sobie poradzisz, bom ci to i ja nie wieczna, przytem kiedy

cię już obywatele wyborem na publiczny urząd zaszczytli, to się jakoś przyzwoicie pokazać należy. Wedle stawu grobla, ale znowu lada chróstem się nie zbędziemy, potrzeba ci i dworu i koni i człowieka coby ci wszystkiego dojrzał, i sukienki od ludzi, i szabelki strojnieszkiej i całego moderunku szlacheckiego. Nie chcę żebyś myślał drugich zakasowywać, ale ostatnim znowu być nie powinieneś, żeby się za ciebie województwo nie wstydziło.

Za radą pani matki przysposobiwszy się Ordyński, pojechał na sejm przystojnie, a choć nie błyszczał nad innych, znać jednak było po nim, że miał się za co postawić w potrzebie. Imię znane pociągnęło go do dworu, zrobiło mu stosunki w lepszych ówczesnych towarzystwach, wiedziano o podźwignionej fortunie, o znaczeniu familji między szlachtą, i dwór a stronnictwo dworu pomyślało by go sobie zjednać. Młody przytem, przystojny, majątny, dobrą był ze wszech miar partją, których tyle prawie na sejm przyjeżdżało co posłów.

Nie jeździły do stolicy szlachcianki, ale panie większego tonu i imion, zwłaszcza uboższe, co się świeciły tylko staremi pamiątkami lepszych czasów, lub tytułikiem cudzoziemskim, chętnie swe córki i krewne na ten targ wywoziły, a nuż komu w oko wpadną?

Przez te krewne, kuzynki, kolligatki, zwiększali panowie stronnictwa swoje i robili sobie wiernych adherentów. W życiu tak polityką przesiąknęli, jak było nasze, i małżeństwa też często za narzędzia użyte bywały.

Właśnie podczas gdy młody Ordyński posłował, przybyła do Warszawy księżna W... z córką. Mąż jej jeden z najwyższych urzędów piastował w Rzeczypospolitej, i po części z powodu intryg w które się dał wprowadzić żonie, po części dla wielkich wydatków na jakie go jej przepych narażał, znacznie nadszczerbił majątku — starostwa go tylko trzymały przy splendorze do którego był przywykł. Książę Jan był człowiekiem dość pospolitym, nie wielkiej głowy, ale mocnego przekonania o ważności swej, nie śniło mu się, żeby nim żona kierowała i był najpewniejszym zawsze, że idzie własną drogą i wolą, a nie czynił tylko co ona mu zręcznie natchnęła. Wszyscy o tem doskonale wiedzieli prócz niego.

Księżna pochodziła z rodziny saskiej, bardzo podobno znakomitej i herbownej ale zubożalej, ożeniono go z nią w Dreźnie, bo żaden Niemiec tej gołej fanaberji nie chciał. Nowa polka z początku wzbraniała się jechać do kraju, który sobie barbarzyńskim wyobraziła, namawiała męża żeby się wyprzedał i osiadł w Saksonji, ale to jedno jej się nie powiodło, książę stanowczo odpowiedział, że z tego nic nie będzie. Pojechali tedy do Polski za dworem, a tu rozpatrzywszy się jejmość i widząc, że łatwiej jej będzie o wielkie znaczenie niż w domu, zgodziła się żyć w przybranym kraju, choć ojczyznę mężowską wyśmiewała bez litości. Nie lepiej też traktowała i swoją własną, będąc całą duszą francuzką; taką ją uczyniło ówczesne wychowanie. Nie bardzo piękna, wcale nie młoda, ale wielkiego tonu i straszliwej przebiegłości, księżna uroiła sobie, że powinna trząść Polską do której przybyć raczyła i odrazu rzuciła się w intrygi polityczne. Znalazła na tem polu i pomocników i wielbicieli i współzawodników, mając ucho u króla, pokrewieństwo bliskie z wszechmogącym Brühlem, stosunki przez męża z całą Koroną i Litwą; łatwo się obeznawszy z tokiem spraw powszednich i sposobem prowadzenia ich krajowi właściwym, poczęła księżna działać i bawić się.

A że dawała świetne bale, że szafowała łaską królewską i ministra, że zręcznie wyśmiewała Polaków, co u nich zawsze uchodziło za najlepszy ton i dowód jakiejś wyższości; wkrótce i dom się jej napełnił i dwór ją otoczył powolny, nadskakujący, spełniający jej skinienia, tak że pochłubić się mogła iż dopięła w zupełności życzeń swoich celu. Książę w pokoju ducha zawsze był sobie najpewniejszy że on żoną kieruje, że ona mu tylko pomaga, i w miarę jak jej znaczenie rosło, on sobie wzrost ten przypisywał. Był to najszczęśliwszy z ludzi, choć najdoskonalej przydeptany pantoflem. Małżeństwu temu dał Pan Bóg jedną tylko córkę, dziedziczkę nadrujnowanego mienia, imienia i w części charakteru matki, z maleńkimi odmianami. Panienkę naturalnie wychowaną na cale cudzoziemski sposób, wykołysano francuzczyzną i dobrym tonem europejskim, a że Bóg dał jej piękność, marzono dla niej wielkie losy, nie mniej jak Radziwiłła lub Potockiego. W czasie owego sejmu, księżna ostatkami goniąc dawała świetne bale, choć panienka ledwie była wyszła z dzieciństwa, ale że jej pilno w świat było, ani ojciec, ani matka pieszczonej jedynaczce sprzeciwić się nie śmieli.

Książę spraszał licznych gości na swoje wieczory, a że jego projekta polityczne potrzebowały wsparcia od posłów, w liczbie innych bywali i oni. Ze zaś dobra książęce leżały na Wołyniu, a pan Ordyński był nawet, dalekim wprawdzie, kolligatem W... naturalnie wciągnięty został do domu dygnitarza.

Nie wiem jak się to stało, ale któż podobne wypadki wytłumaczyć potrafi? Ordyński zaledwie ujrawszy księżniczkę, szalenie się w niej rozkochał, a że naówczas między nim a nią na oko wielki był przedział, bo księstwo oboje daleko wyżej myślami i nadzieją strzelali, nie pokazał się więc wcale ze swoim afektem. Młoda księżniczka nie wiem nawet czy w tłumie otaczającym wyróżniła naówczas Ordyńskiego, który i nieśmiały był i niewytresowany do wielkiego świata.

Skończył się sejm nie doszły, powrócił pan poseł do domu, do płóciennego kitła, do czarnych butów, skromnego życia i gospodarstwa, trzeba było książęcych wieczorów zapomnieć, a pamięć tak je uparcie nasuwała na oczy! Postrzegło rychło oko matki, że młokos przywiózł z sobą jakiś niepotrzebny smutek, i domyśliła się, że to musiało być coś serdecznego, ale syn się do niczego nie przyznał, a ci co go otaczali o niczem też nie wiedzieli.

Minął rok jakiś, aż tu zmarło się księciu staremu nagle prawie w podróży, z nim upadło wiele marzeń i nadziei; księżna poznała dopiero, że ten powolny i dobroduszny mąż wielce jej przecie był potrzebny. Chciała z razu znowu odjeżdżać do Niemiec, ale tam chleba nie było, tu się jeszcze trzymały starostwa, musiała dla nich pozostać. Dom wszakże tak świetny niedawno, opustoszał, a że familja księcia gdy go nie stało, straciła ochotę z Niemką się bratać, i inni też od niej odstąpili; córkę dorosłą gwałtem potrzeba było wydać za mąż, a tu się nikt a nikt nie trafiał. Nadszedł sejm drugi, i ten zastał jeszcze księżnę w Warszawie; pan Ordyński znowu posłował, ale teraz zmieniły się wielce okoliczności, i gdy młody człowiek przyszedł z atencją do księżnej wdowy, choć się jej nie podobał, że był czysty polonus, z rodzaju tych któremi ona się najbardziej brzydziła, bo nawet po francuzku nie mówił, przecież dowiedziawszy się o majątku, o koligacji, imieniu, znaczeniu, bardzo go zaraz łaskawie przyjęto.

O Radziwiłłach i Potockich ani już pomyśleć było można — zwrócono się więc do Ordyńskiego, którego posiadłości i senatorską prozapją ktoś księżnej pani wyliczył. Piękna księżniczka z uśmiechem przyjmowała pana posła, a Niemka choć usta gryzła i zmuszona mówić z nim po polsku, szwargotała jak na mękach, przecież wysilała się na uprzejmą rozmowę, by mu wielki swój rozum, choć w niezgrabnej szacie ukazać. Nie potrzebujemy mówić jakiej to oliwy dołało do ognia, którym stale tlało pocziwe serce starościca; jednakże ledwie niewyraźnie nagłony i naprowadzony by się stanowczo z intencją swoją objawił, bez matki posunąć się nie śmiał tak daleko. Wiedziała księżna o powodach milczenia, a gdy poseł wzdychając do domu ruszył, bijąc żelazo póki gorące, pojechała za nim do dóbr swoich wołyńskich niedaleko Ordyńca i dzisiejszej siedziby ich położonych, choć dotąd nigdy w nich nie bywała.

W kilka tygodni potem poszóstne paradne jej cugi wiozły ją z wizytą do naszej starościnej, o której ani wątpiła, że ją potrafi blaskiem swym zaćmić i do czego zapragnie nakłonić. Ale starościna nie łatwą była do ujęcia czczem słowem i pozorami jakimś, umysł to był wyższy, instynkt szczęśliwy i niechybny w poznawaniu ludzi; — przyjęła księżnę poważnie, godnie, grzecznie, ale nie dała się olśnić ani niemiecko-francuzkiemi tonami, ani wyblakłą wielkością; — matka zresztą i córka zarówno się nie podobały jej. A już jej byli dworscy coś szepnęli, że syn w Warszawie do księżnej uczęszczał, co nie w smak poszło staruszce.

— Będę się modlić, żeby to Pan Bóg od naszego domu odwrócić raczył — powiedziała sobie w duchu — a na co nam te szwabskie gołe splendory i zamorskie koligacje! Wolałabym prostą szlachciankę, co by mi pocziwie kądziel przędła, a uczyniła go szczęśliwym i spokojnym, niżeli te niemieckie czupiradła, którym wieś nie smakuje i nasz obyczaj śmierdzi a pieniądze tylko polskie pachną.

Polecał zaraz starościc do księżnej do Głuszy, dowiedziała się matka, milczała, aż gdy odwiedziny te powtarzać się zaczęły, postanowiła wreszcie otwarcie się z synem o tem rozmówić. — Próżne były rady, przestrogi i lzy nawet macierzyńskie — serce głośniejsze od nich mówiło. Starościc kochał, kochał szalenie, po staropolsku, bez westchnień, bez łzów i wykrzykników do natury, gwiazd, księżycy, ale stale, uparcie, cicho i namiętnie.

Księżna która się na miłości znała doskonale, boć sama miała miejsce zaszczytne w sławnej *Saxe galante*, dostrzegłszy co się święci, zasiadła w Głuszy naumyślnie pod nosem pani Ordyńskiej. Zawołano na sejm znowu, bo ciągle próbowano, czy się też który nie uda, pojechał posłem starościc, powlokła się wdowa z córką do Warszawy, a biedaczka Ordyńska płakała desperując nad jedynakiem.

Panna była zupełnie obojętną dla pięknego chłopca, który dla niej przywyklej fryzury, do cudzoziemskiego stroju i obcego języka, wydawał się nawet trochę nieokrzesanym i śmiesznym. Serce jej spało jeszcze, matka dysponowała, rozum kazał słuchać, przyszłość obiecywała swobodę, więc mu nie była przeciwną. Starej zaś księżnie pilno potrzeba było zięcia i dla majątku i dla tego, by nim znowu kierując po swojemu, do polityki i intryg dworskich powrócić, do których na starość coraz bardziej tęskniła.

Wytrzymałszy dopóki mógł w milczeniu, starościc oświadczył nakoniec matce, niepokonaną swą miłość ku księżniczce. Słuchała go poczciwa wdowa wzdychając, a nareszcie gdy się jej do nóg rzucił, odpowiedziała podnosząc go:

— Wiesz kochanie moje, że mi to oddawna nie tajno! umyślnie milczała od pierwszej naszej rozmowy i perswazji, i mówić o tem nie chciałam. Jesteś młody trudno z sercem twojem mówić rozumnie, a zważ tylko do czego to prowadzi. Nie nasze to, choć nazwisko nosi polskie, wychowane nie dla nas, gardząc nami, zepsute dworszczyną. Matka, Boże odpuść, za życia księcia, nieboszczyka, w jego butach chadzała, zechce się jej i wścicine włożyć, córka zwyczajnie jak córka, niedaleko padnie jabłko od jabłoni. Majątku pasz, a fonfrów co niemiara, splendorów się chce, a pracy nie lubi. Kochaneczku to nie dla nas ta pupka norymberska!

Prawił tam co mógł zalecając pannę starościc, ale argumenta macierzyńskie zachwiać się tem nie dały, ona mówiła jak było, on przyrzekał przyszłość której się tylko domyślał.

— Latają oni za tobą i głowę ci przewrócili, co mnie już nie mało leż kosztuje, zrobisz sobie co zechcesz, ale pamiętaj żebyś nie żałował. I to ci jeszcze powiadam w dodatku, że jeśli się ożenisz z księżniczką, ja mojego dożywocia i deportatów ci nie ustępuję, dobrze choć to na złą godzinę zachować.

Starościc różnie koło matki chodził, aż przecie tyle wytupał, że już nie pochwalając, przynajmniej się nie sprzeciwiała. Pojechał więc z oświadczeniem, które chciwie przyjęto — sam pan wojewoda był swatem.

Księżna jejmość jednak ogłędna matka, zaraz szepnęła o donacjach, zapisach, o prawie, ofiarując ze swojej strony bardzo liberalnie całe dobra dziedziczne, byleby z nich sumą jaką ją kontentowano.

Na oko były to wielkie rzeczy, klucz bowiem Głuski stanowił rozległą majątność, ale na tem tyle było sum, legatów, długów, zastawów, procesów i różnych ciężarów, że obrachowawszy je, zostawało ledwie z czego trzecią część zapewnionego sobie przez księżnę dochodu opłacić. Starościna twardo stanęła w interesie — posłano z obuch stron prawników dla umowy o intercyzę, pilnowała się matka żeby nic nadto co bezpiecznie postąpić mogła, nie puścić z rąk; księżna ze swej strony żądała koniecznie rezygnacji dożywocia i zakwitowania z deportatów, ale pani Ordyńska przy swoim stanąwszy, odmówiła tego otwarcie.

— Chętnie bym się zgodziła — odpowiedziała swemu prawnikowi — pozostać na łasce syna, bo serce jego wiadome i bardzom go pewna, ale kiedy się idzie pod panowanie tych Sasów, którzy go niechybnie osiodlają, powiem waści szczerze, że z rąk im patrzeć nie będę; muszę pilnować, żeby się co zostało na złą godzinę, bo oni to z wiatrem puszcza.

Księżna sądząc że fochami wdowę przekona, spróbowała zerwać traktację — starościc aż struchlał, ścisnął matkę za kolana, padał jej do nóg, nic nie pomogło.

— Dla twojego szczęścia z chęcią bym moje dała, rzekła z powagą stanowczo, ale dla ich chciwości i fantazji nie uczynię nic. Bądź zresztą spokojny, strachy na lachy, zobaczysz jak się prędko udobruchają.

Jak przepowiedziała tak się stało, księżna widząc że pani Ordyńskiej nie zje w kaszy, dała się ulagodzić, zezwoliła na taką intercyzę jakiej żądano, niby dla szczęścia dzieci robiąc ofiarę, i poczęła tylko naglić o przyspieszenie wesela.

Starościc był w gotowości, dzięki opiece macierzyńskiej, która wszystko powoli oddawna przysposabiała na akt weselny, choć go teraz łzami oblać miała.

Odbył się ślub wystawnie bardzo, a że małżonek ani tytułu, ani znaczenia nie miał w stolicy, poleciała zaraz księżna do Warszawy wyrabiać mu wakujące podczaszostwo, które z przed nosa zasłużeńszemu chwyciła, nie wiem co tam za nie obiecawszy.

Zatem poszło że pan podczaszny nowy musiał jechać do Warszawy, a za staraniem matki żony, która tysiące wynajdowała powodów, by mu nie dać na wieś powrócić, zamieszkał powoli w stolicy. Nieznacznie otwarto dom świetny, na wielką stopę, zawładano zakochanym i tak go dobrze spętano jak nieboszczyka księcia; z tą tylko różnicą, że w sprawach publicznych, wpływ kobiecy nigdy go nie mógł z prawej drogi sprowadzić.

XI

Matka tymczasem gospodarowała na wsi, sama jedna siedząc, gdyż synowi rzadko do niej dojechać pozwolono, wdychała nad nieszczęściem, które z góry przewidywała, twarzą wesołą na pozór, kryjąc głęboki smutek.

Umarł wreszcie August III a z nim stosunki księżnej i ostatek jej znaczenia i wpływów; młody król nowy wystąpił w całym blasku; a jedną z najgorliwiej poklaskujących przy jego koronacji i usiłujących zwrócić na siebie oko Najjaśniejszego, była pani podczaszyna. Jej piękność, młodość, cudzoziemskie wykwiłne wychowanie, dowcip świetny, nad wszystko wdzięk którym obdarzoną była, a który nie jedną już równie gwałtowną jak podczaszego wzbudził namiętność, wkrótce u nóg pięknej pani ugięły królewskie czoło, tak chętnie schylające się na skinienie kobiece.

Zimne dotąd i nietknięte serce pięknej pani naszej, które z uczucia żarty sobie stroiło, pierwszy raz wzruszyło się prawdziwie. Począwszy od prostej, obrachowanej zalotności, skończyła na przywiązaniu namiętnem.

Ona wkrótce już nie widziała w nim monarchy ale kochanka. Poniatowski co dopiero pod koniec życia potrafił się stale przywiązać do marmurowych wdzięków ostatniej ulubienicy, przeląkł się tej miłości, gdy o niej wątpić nie mógł. Lubił on kobiety ale kochać nie umiał; Sybaryta przeszedł zrywając kwiaty po drodze życia i rzucając je zwiędłe pod nogi. Podczaszyna stała się wkrótce pośmiewiskiem swych rywalek, które nie pojmując jak kochać można było tak zapamiętałe i biorąc szczerą miłość za niezręczną komedię, naśmiewały się z biednej obłąkanej.

Działo się to wszystko tak, że podczaszny przywykł do form zalotności powszedniej będącej w obyczajach, niedopatrzył się niczego, nie umiając przypuścić nawet by mu kto skarb jego chciał wydrzeć. Usłużni dopiero przyjaciele otworzyli mu oczy, wskazali postępowanie żony, i naprowadzili na przekonanie, że serce jej nie należało do męża.

Biedny podczaszny zrazu uderzony tem odkryciem jak piorunem, osłupiał, chciał szukać zemsty, a widząc ją niepodobną, zadrzał nad ogromem swego nieszczęścia. Przypomniali mu się za późno — prorocze słowa matki!

Wyspięgowawszy raz posłańca królewskiego i przejąwszy przez sługi bilecik, wpadł do żony zajadły, wściekły boleścią i rozpaczą, tak że przestraszona uciec od niego musiała. Sądząc że ją zabije.

A że się wówczas nic nie utaiło w Warszawie, bo chciwie skandalów szukano dla zabawki próżniaczej, tegoż wieczora wiedziała stolica o tragicznej scenie. Podczaszny ochłonawszy jeszcze, poleciał do zamku, wyprosił sobie sekretne posłuchanie u króla, a tam jak się znalazł, nikt nie wiedział. Widziano go tylko że wyszedł poruszony bardzo, a król długo zdawał się zamyślony i zafrasowany.

Tegoż wieczora choroba rzuciła nim o łóżko, na pierwszą wieść o niej przybiegła matka w rozpacz, zwołano doktorów, ale pomimo największych starań, w dziesięć dni podczaszny krótkie swe życie zakończył, zostawując syna w kolebce i młodziuchną wdowę. Grób ten powinien był rozdzielić na wieki podczaszynę z Poniatowskim, ale miłość tej kobiety nie patrzyła granic, nie pojmowała przeszkód, nie ważyła przyzwoitości. W żałobie jeszcze, rada swobodzie, w więzach swych utrzymać starała się Poniatowskiego i może gorącością uczucia, może samem zgorzeniem drażniącym już dość zmartwiałego króla, na czas jakiś przyciągnęła go ku sobie.

Myśleli wówczas niektórzy że się król przywiąże, że ta miłość nareszcie, po tylu a tylu kapryсах, przejdzie jeśli nie w namiętność to przynajmniej w nałóg. Inaczej się stało. — Poniatowski kochać nie umiał sercem, nęciło go tyle różnobarwnych oczu i tyle coraz

odmiennych piękności, że się im oprzeć nie umiał. Gwałtowne sceny na które narażała go zazdrość pod czaszynej, co raz bardziej zaczęły zrażać od niej, każąc się obawiać niewoli; usuwał się, oddalał nieznacznie, szukał powodów opuszczenia, nareszcie całkiem ją porzucił.

Co się tam na ówczas działo z kobietą która przegrała wielką stawkę swego życia, wypowiedzieć trudno; kilka tygodni mówiono po całym mieście o jej rozpaczach, znajdując ją *nienaturalną*, potem znikła nagle ze świata ówczesnego i mówić o niej przestali — bo co z oczów to z myśli. Dokąd się wówczas udała nie wiadano nawet, błędziła w początku po kraju jeżdżąc na pozór bez celu, byle w miejscu nie siedzieć, potem z synem wyjechała za granicę i tam zamieszkała lat kilka.

Majątkiem tymczasem rządziła ciągle starościna Ordyńska, nie tylko swoim, ale i pod czaszynej, bo na nim już znaczne miała sumy spłacane wierzycielom.

Dopominała się ona wnuka, a że syn dosyć obojętnej matce nie wielką był pociechą, odesłała go pod czaszyną z Włoch do babki, w zamian otrzymawszy potrzebną jej na dalsze podróże sumę. Kilka tak lat Michał pod okiem staruszki wychowywał się w Głuszy, dopóki znów pod czaszyną znudzona wszystkim: Paryżem, Rzymem, Neapolem, Florencją, nie zleciała jednego poranku jak z obłoku do starego cichego domostwa.

Palily ją jakieś fantazje, któremi się durzyła niemogąc zaspokoić, z kolei stawała się artystką, literatką, ogrodniczką, filozofką, i odrzucała co chwyciła zaledwie skosztowawszy. Przybywszy do Głuszy poczęła przebudowywać wszystko, przestawiać cały pałac ojcowski, zakładać ogrody, sprowadzać Francuzów, Włochów, Niemców, kupować książki, posągi, medale, osobliwości pod pozorem wychowywania syna, w istocie szukając lekarstwa w swym smutku.

Michał teraz począł się wychowywać częścią przy babce, częścią u matki, która postanowiła na przekór staruszce, wykształcić go na wzór cudzoziemski. Powierzyła więc dziecie trochę podrosłe niejakiemu Labe Poinso, który z Francji podobno uciekać musiał z powodu ciężących nad nim podejrzeń o popełnienie niewyjaśnionej jakiejś zbrodni. Tak mówili nieprzyjaciele jego, on zaś wspominał tylko o prześladowaniach politycznych!

Poinso był wcale niepospolitym człowiekiem, choć może serce i charakter nie odpowiadały umysłowym jego zdolnościom. Obdarzony żywym i łatwym pojęciem, pamięcią zadziwiającą i darem chwytania a obracania na swą korzyść wszystkiego co go w jakikolwiek sposób dotknęło, wykształcony był naukowo na wiek swój niepospolicie, i gdyby nie duch czasu co w nim grał najgłośniejszy, byłby zdolny pokierować wychowaniem młodego człowieka. Ale zwykle tego rodzaju ludzie nie mają swojego zdania, a przesadzają opinie wieku którego są wyrazem najpospolitszym — tak było i z nim, nikt może dobitniej, silniej i z większą egzageracją nie przedstawiał XVIII wieku.

Umiał on po trosze wszystkiego, a nade wszystko chwycił ogólne nauki zarysy, z pomocą których przy niewielkiej pracy, mógł w krótkim czasie przysposobić się do wykładu niemal każdej umiejętności. W niczem wprawdzie jaśniej i lepiej nad swoich mistrzów nie widział, ani dalej zaszedł, ale w ślad za nimi doskonale zdążył. Z pomocą książki na zawołanie był astronomem, matematykiem, historykiem, latinistą, hellenistą, numizmatykiem, archeologiem, botanikiem, mineralogiem, czem było potrzeba. Słowem *ex libro doctus* jak to dawniej zwano. Oprócz tego miał czas nabrać talentów — śpiewał, grał na klawicymbale, malował nieźle guaszem, wykrawywał sylwetki, bazgrał dekoracje, w potrzebie dyrygował orkiestrą i występował jak aktor na teatrze amatorskim.

Był to człowiek uniwersalny, ale jak większa część tych uniwersalnych geniuszów; nie zgłębił nic i ślepo szedł kolejami wieku swego, po kolana w jego błędach.

Czytanie dzieł pseudo-filozoficznych, które właśnie w tej chwili świat cały aż do głów koronowanych przyprawiały o gorączkę, i jemu pomąciło zdrowsze wyobrażenia zaczerpnięte w pierwiastkowym wychowaniu religijnem. Była to godzina w której każdy miał sobie za obowiązek coś burzyć, gdyż wszystko niemal zwano przesądem, a wzdychano do stanu natury, usiłując do niego powrócić, by się w niem obmyć jak w źródle.

Poinso stał się zapalonym zwolennikiem encyklopedystów, a choć nosił dla jakiejś przyzwoitości i ceremonii suknię duchowną, dawno już nie miał wiary, i szczególnym był materialistą. Dla formy tylko mówił czasem o istotności Najwyższej, ale nigdy nie wspominał Boga, z obrzędów wiary wyśmiewał się dowcipnie, czerpiąc krytykę i koncepta w dykcjonarzu Voltair'a, który był dlań skarbnicą nieprzebraną. Można sobie wyobrazić,

jak taki człowiek wychowując dziecię, wpłynąć na nie musiał, zwłaszcza że szal prozelityzmu ożywił go do tego stopnia, iż żadnej nie minął zrzeczności nawet z obcymi, żeby im swych zasad nie próbował zaszczepić.

Michaś wprost od religijnej, pobożnej i duchem chrześcijańskim przejętej babki, dostał się w jego ręce. Ponsot w początku nie mógł sobie z nim dać rady, tak go znajdował źle i po barbarzyńsku prowadzonym, tyle w nim spotykał przesądów i zakrzewionych wyobrażeń fałszywych. Chłopiec między nim a babką w początku nie wiedział co począć, w co wierzyć, kogo słuchać; trwało to czas jakiś, nareszcie pod czaszyna będąc przekonaną o niezmiernej wyższości Labe Poinot, odebrała go gwałtem od starościny, i oddała całkowicie w ręce Francuza.

Staruszka płakała rzewnie, ale się temu oprzeć nie mogła, a Michasiowi któremu z Neapolu matka przywiozła imię Alfiera, zakazano nawet chodzić do babki do oficyn, czego zresztą niebardzo słuchał.

Dwa więc całkiem przeciwne sobie duchy ogarnęły umysł dziecięcy — z jednej strony duch wiary głębokiej, do fanatyzmu prawie, a raczej do ascetyczności posunięty, czasem surowy do zbytku, to pojmujący że niema nic mało-ważnego gdzie chodzi o przyszłość Niebieską, przywiązany do form i praktyk, gdyż żadna forma czczą nie jest, a duch bez niej istnieć nie może — z drugiej, duch burzliwy wieku co niszczył i wywraçał nie patrząc gdzie się zatrzyma, duch sceptycyzmu bez granic, zimnego rozbioru, rozumowania i materjalizmu, co bojąc się by nie uwierzyć za nadto, wolał wszelką wiarę odrzucić. Dwa tak sprzeczne działania zachwiać musiały umysłem słabym i giętkim, a jedno z nich otrzymało wreszcie przewagę. Wpływ pobożnej babki był pierwszym, więc się głęboko zaszczepił, — nauczyciela, częściej i dłużej się powtarzał, wlewał z każdym słowem nauki. Na dnie więc pozostał pierwszy odcisk młodości, ale powierzchownie zwyciężyło wrażenie ostatnie. Michał który z początku ze wszystkiego się babce spowiadał i o wszystko co go drażniło ją pytał, później zamilkł już i przyjął za prawdę co Poinot mu powiedział. — Wszakże głos jakiś wewnętrzny często się w nim odzywał wspomnieniami przeszłości.

Francuz dołożył starań około wychowania swego, a przyznać trzeba że mu z nim nie szło trudno, bo uczeń był ciekawy, pojętny, umysłu żywego, i do nauki ochoczy. Bóg go szczerze obdarzył w talenta i wrodzony ten spryt, który często bywa udziałem mierności, niekiedy zwiastunem niepospolitych darów. Tu chodziło tylko o uczynienie z niego dobrze wychowanego panicza; uczono więc wiele, ale bardzo powierzchownie, więcej dla świata niż dla niego. Że Michał nie miał gorączki pracy, popędu do poświęcenia się czemuś wyłącznie, a równie po trochę chwycił wszystkiego, Poinot uczynił go wkrótce czem sam był, na małą skalę, to jest uniwersalnym a płytkim polyhystorem salonowym. Przebiegłszy z nim pędem cały kurs nauk, przeczytawszy celniejsze arcydzieła współczesne, w których cały duch wieku się upostaciował — resztę rozmowami dowcipnemi dopełniał. Uczeń niestety, uwierzył w mistrza, a nadewszystko dał sobie wmówić, że cechą najwyższej mądrości było w nic nie wierzyć, co by się matematycznie dowieść nie dawało. Takim z rąk pana Poinot, utalentowany zresztą, wyrwał się już na świat młody chłopiec, myśląc tylko jakie go przyjemności, jakie szwały i rozkosze czekają w życiu swobodnem, które znał tylko z książek i romansów, a trochę od Francuza mówiącego otwarcie o dworze Ludwika XV i regencji. Wystawiał on sobie to życie całkiem nie po staropolsku, ale z francuzka.

Jeżeli kiedy surowsza myśl pracy, obowiązków, poświęcenia, doleciała uszu jego z ust starej poczciwej babki, dawał jej przelecieć jak naprzykrzonemu komarowi, licząc ją do tych starych przesądów, które encyklopedyści powalili na ziemię. Najpierwszym obowiązkiem zdawało mu się być szczęśliwym, największą pracą, trochę się przez grzeczność ponudzić, o poświęceniach zaś myślał że je przyjmować należy, ale ofiarować się z niemi nie uczuwał potrzeby.

Życie, życie — jak wieniec z róż, lilij i wonnego kwiecica, wydawało mu się zdała czarowną wiązką; niecierpliwie ręce wyciągał ku niemu, rwał się by zbliżyć doń i począć nareszcie używać. Co tam zawczasu marzeń, co dramatycznych scen przeleciało, gorząc jak bengalskie ognie przez tę młodą główkę — ile uśmiechających się twarzy przemknęło w tych snach wieszczych, ile rączek białych objęło szyję jego drżącą, ile ust koralowych z usty spragnionemi się spoilo!!

Nigdy życie nie dotrzyma obietnic młodości — ale jakże ziścić je może, gdy na złość jemu, ta chwila szalona tak szafuje, tak rzuca, tak sypie przyrzeczeniami bez końca!! W jednej godzinie nadziei wyciska treść kilku ludzkich żywotów; — i dziwnoż-że potem, gdy rzeczywistości dotknąć się przyjdzie, chłodnej, nudnej, ospałej, bezbarwnej, ręce opadają, pierś narzeka, oko płacze?

Michał marzył już rozpasany szalenie — a zamiast okiełznać ten popęd niebezpieczny, wszystko go dokoła podbudzało, nikt hamować nie myślał.

Galerja obrazów składała się z samych scen miłości, rozkoszy, zbytku — tysiące twarzyczek uśmiechały się z jej ram złoconych; — w księgach które czytał, swawolne myśli latały jak pstre motyle, — rozmowy Poinso'ta mało kiedy nie zaczęły o jakie zgorzenie lub wypadek dający głęboko do myślenia młodemu chłopcu; sama historia nawet pojęta jak ją wiek XVIII rozumiał i wykladał, była podżegaczem namiętności, usprawiedliwieniem wszystkiego złego, koniecznością charakteru, temperamentu lub losu.

Niecierpliwa żądza poczęcia nareszcie tego życia, które sobie wyobrażał tak pełnem wrażeń i rozkoszy, zachmurzała czoło młodego chłopca, zzymającego się na to wiejskie więzienie, w którym go dotąd trzymano. Biedny, nie pojmował jeszcze że najśłodszymi chwilami są właśnie te, w których się wszystkiego spodziewamy, nic jeszcze nie otrzymawszy.

Zbliżała się nakoniec godzina upragnionej emancypacji, a choć mu zapowiedziano że w pierwszym roku pobytu jego w Warszawie Labe Poinso't pozostanie przy nim dla towarzystwa, nie wiele się o to troszczył pan Michał, pewien będąc że powolny nauczyciel w niczem sprzeciwić mu się nie zechce.

Dwa powody skłoniły podczaszynę do skorzystania z przyjazdu królewskiego i zaproszenia N. Pana do domu swego; chciała ona raz jeszcze widzieć tego, którego ukochała silniej i stalej niż w owym wieku było zwyczajem, chciała spróbować czy to uczucie które zgasiły lata nie wstanie z martwych choć na krótką chwilę; czuła się jeszcze piękną, ale na brzegu tej przepaści która starością się zowie, ostatniem wdzięku pragnęła błysnąć raz jeszcze. — Jako matka także myślała o synu, i przejeżdżającemu monarsze przedstawiając i polecając Michała, nie wątpiła że mu tem przyszłość utworuje.

W Warszawie jeszcze odebrał król list pani podczaszynej, a pamiętny dawnych stosunków, przez wdzięczność, przez litość, przez grzeczność wreszcie, a trochę może przez ciekawość, zgodził się na usilne prośby dawnej kochanki. — Głusza też niewiele była mu z drogi, miłą czy półtóry tylko zboczyć do niej trzeba było jadąc do Wiśniowca. Tym sposobem podczaszyna miała zaszczyt przyjmować u siebie ukoronowanego gościa, ale gorzkiemi opłakała go łzami, nieotrzymawszy nawet jednego wejrzenia, coby dawne przypomniało uczucie.

XII

Po wyjeździe króla, po rozsypaniu się gości spieszących każdy w inną stronę z opowiadaniem odmiennem, pałac w Głuszy długi czas smutną się pustką wydawał. Spoczywali wszyscy marząc, wzdychając lub ze smutków przędąc nowe nadzieje. Podczaszyna płakała. O! niczem to jeszcze niewiara, opuszczenie w młodości, gdy nie liczym lat, godzin, chwil zbliżających nas do siwizny, piszącej na ostygłej głowie: — wygnany jesteś z raju! ale na krańcu lat namiętnych, stracić skarb ostatni do którego serce przyrosło — to rozpacz często nie przeżyta, zabijająca jak trucizna! Ona w życiu całym, nie kochała nikogo prócz niego; dziwną anomalią w wieku zepsucia i płochości, była stałą i wierną, na chwilę nie zajął ją kto inny — a co leż wylała nad listami donoszącemi jej o każdej nowej Poniatowskiego intrydze, to tylko jedno jej serce policzyć mogło. Nieszczęśliwe to było przywiązanie do człowieka, co w kobietach szukał rozrywki nie serca, którego równie zajmowały staroscina Opecka, i żydówka Czajka, jakaś pani kasztelanowa i pani Lhuillier, wojewodzicowa Mścislawska, piękna Elja, piękna młynareczka, i tyle i tyle innych niepoliczonych jednodniowych bogiń i królowych! Jej się do końca zdawało że do niej wrócić powinien, bo ona go jedna kochała. Ale Stanisław August dawno był o krótkich i przelotnych z nią stosunkach zapomniał.

Była jeszcze piękną, niosła mu wspomnienie lat szczęśliwych, myślała że go poruszy, że oczaruje, pociągnie choćby tylko na krótką godzinę; — on zbył ją słodką, powszednią

grzecznością, podarkiem, pochlebstwem, a ile razy oko jej spotkało się z królewskim wejrzeniem, wyczytała w nim tylko przestach jakiś i lodowate zdrętwienie wyczerpanego człowieka, który sercem zamarł na wieki. Gorzkie też były lzy podcasynej, bo z nimi spływała ostatnia życia nadzieja, a poczyniała się bezcelna, nudna starość. Kochała syna, ale sercu jej rozdrażnionemu ustawicznemu pragnieniem, miłość ta pocziwa wystarczyć nie mogła; cieszyła się nim, nieumiejąc samemu zaspokoić macierzyństwem.

Już jasno marcowe słoneczko świeciło w pustych salach pałacu, gdy z pokoju swego wyszła powolnym krokiem podcasyzna biała, bezmyślna, zrozpaczona prawie, szukając w ruchu roztargnienia. Wszystko jeszcze po trudach tygodniowych przygotowań we śnie odpoczywało, fizjonomia tylko pokojów i rozrzucenie mebli świadczyły o gwarze jaka tu niedawno panowała. Krzesła rozmawiały jeszcze z sobą pozwracane charakterystycznie, stoliki pełne były fraszek które oglądano; na jednym leżało pudełko z naszyjnikiem z kameów, na innym rzucony order Ś. Stanisława — pamiątka królewskiej bytności.

W sali jadalnej, w przyległym gabinecie woń pijatyki dawała się czuć jeszcze, a porzucane narzędzia muzyczne, drzemiąc odpoczywały na ziemi. Gdzie niegdzie zmięta firanka, oberwany liść z wazonu, zgubiona chusteczka, byłby jakby jakichś scen tajemniczych świadectwem.

Podcasyzna z niemniejszym uczuciem spojrzała na ten teatr ostatniego dramatu swego życia, jak niegdyś na pompejańskie wykopalisko.

I tu i tam wrzawę, wesele, śmiech, pieśni, замуrowało milczenie na wieki. Dzień ten ostatni poleciał w przeszłość na zawsze, pozostawując za sobą szczątki tylko, okruszyny, zwietrzałe wonie i trochę w sercu boleści.

Tylko w sali niebieskiej tańczyły jak wczoraj obojętne bóstwa, uśmiechając się zawsze jednostajnym uśmiechem do smutnej kobiety, która od tego obrazu mitologicznej radości ze wstydem odwróciła oczy.

Posunęła ręką pudełko z naszyjnikiem jakby je z przed siebie sprzątnąć chciała, spojrzała na Corregia który się lepiej od niej królowi podobał, westchnęła i rzuciła się na krzesło.

— Co począć z sobą? zawołała w duchu — gdzie się podziać, czem wyschlą próżnię serca zapełnić?

I jak w pustym gmachu, na wołanie rozpaczliwe, echo tylko przedrzeźniając odpowiada, tak w pustce jej serca rozległo się stokroć pytanie bez odpowiedzi.

W tem drzwi się otworzyły, Bóg zsyłał jej znowu żywe rozwiązanie zadania: — wszedł syn uśmiechnięty, rozmarzony, szczęśliwy, śledząc na licu matki smutku, którego wprzód był nie pojął, nie rozumiał teraz.

Podcasyzna podniosła głowę usiłując go zwieść udaną wesołością, którą odpowiedziała na powitanie syna — ale źle grała komedję.

— Widzisz kochana mam — rzekł Alfier, że wszystko się nam najśliczniej udało — powitanie, kantata, przyjęcie, król był wesół i zostawił nam dotykalne dowody swego ukontentowania, mogę się więc spodziewać jak najpomyślniejszych w Warszawie sukcesów!

— Prawda kochany Alfierze, wszystko poszło jak najlepiej, zimno odparła podcasyzna — to też widzisz że już spokojna.

— Ale czegoż jeszcze smutna?

— Moje dziecię, wszak rozstać się będziemy musieli?

— Rozstać? prawda kochana mam, ale nie na długo, i nie daleko będziemy od siebie.

— Niedaleko?? nie wiem, szepnęła matka której myśl jakaś szukania spokoju pod obcym niebem snuła się po udręczonym sercu — ja podobno do Włoch pojedę, ty do Warszawy, i Bóg wie — kiedy się zobaczymy.

— Do Włoch? to zapewne na kilka miesięcy?

— Na kilka tygodni, na miesiące kilka, na rok, na dłużej, któż to wie wyjeżdżając?

I znowu smutnie spuściła głowę milcząca, — Alfier tymczasem którego po młodemu paliła potrzeba wypowiedzenia co mu na sercu ciążyło, chodził i mówił żywo:

— Król! król niezrównanej dobroci człowiek, nieprawda mam? co to za przyjemność? jaka słodycz? uśmiech jaki? ile powagi! ile nauki! jaka spokojność na tem jasnym czole?

Matka spojrzała na syna z politowaniem prawie.

— Dziecko! odpowiedziała cicho, jakże ty jeszcze mało znasz ludzi! jak ciebie oszukać łatwo! nie widziałeś tylko to co było na wierzchu. On spokojny! on wesoły!

— Tak go to zajmowało wszystko — obrazy, książki, zbiory — przypatrywał się, unosił!

— Proste to roztargnienie które mu na chwilę dozwala o ciężkich boleściach zapomnieć.

— Miałżeby być nieszczęśliwy?

— Ma nieprzyjaciół, a najstraszliwszego w samym sobie — życie mu tak zbrzydło, niema serca.

— Mamo, uśmiechnął się młody człowiek, zdaje mi się że się nieco uprzedzasz? Ja go znalazłem pełnym najpiękniejszych uczuć.

Matka uśmiechnęła się znowu, widać nie chciała prowadzić dalej rozmowy, powstała z krzesła, wskazała na obraz Correggia.

— Pamiętaj o tem Alfierze, każ go upakować i odwieść do Warszawy, nim król z Kaniowa powróci. Przepraszam cię, muszę pójść spocząć.

I wolnym krokiem, rzucając trochę zdumianego syna, odeszła do swego pokoju.

— Co to za nieszczęście postarzyć choć trochę, zawołał do siebie Alfier, kręcąc się i nucąc piosnkę stanąwszy przed wielkim zwierciadłem — wszystko się zaraz widzi jakoś fałszywo, smutnie! Ta biedna mama coby się miała cieszyć — tak teraz znużona, tak przybita, po prostu się musiała okrutnie zmęczyć! Miałożby to być i ze mną później?? A! nie! nie! nie rozumiem nawet jak można dobrowolnie stawać na takim punkcie żeby się nam świat z czarnej tylko strony pokazywał. Życie to tak słodka rzecz — niech żyje życie!!

Właśnie na ten z głębi serca rzucony wykrzyknik, boczne drzwiczki uchyliły się po cichu i wyskakujący kawaler Ś. Stanisława, ujrzał po za sobą ładną panienkę, która się z niego śmiała serdecznie.

— A panna Anna już wstała! zawołał nagle ją spostrzegłszy i nizki oddając jej ukłon.

— A pan podczaszyc widzę w przewybornym humorze!

Ale opiszmy choć króciuchno, to śliczne zjawisko, któreśmy panną Anną nazwali. Była to szesnastoletnia ledwie, córka jedynaczka marszałka dworu podczaszynej, Sienińskiego, staruszka któregośmy niedawno poznali. Nie powiem żeby to był cud piękności, ale świeższej i ożywieńszej twarzyczki, w którejby oczy i usta dobitniej mówiły co się w sercu działo, trudno sobie wyobrazić. Ciemnych włosów i oczu, niewielkiego wzrostu, zręczna, silna, z barwą zdrowia na twarzy, z czarnem, śmiałem i pełnem energii wejrzaniem, Anusia miała rysy fizjognomii pięknej Polki — szlachcianki, córki żołnierza, przyszłej matki pokoleń rycerskich, dla której życie nie straszne, bo krzyż w myśli i na piersi, wiara w sercu, mężtwo w łonie — zbroją na wszystkie przygody.

Śmiała się z jej ust i oczów młodość w całej krasie swojej, ufność w niezachmurzone jutro i jakieś lekceważenie przyszłości, oczy biegały figlarnie, usta zdawały się nieumieć otworzyć chyba piosenką. Przytem wszystkim na czole gładkiem, marmurowem było i trochę dumy i trochę wiary w swe siły.

Panna Anna wzięta na wychowanie naprzód przez panią starościnę, która ją pochylała prawie na równi z Michałem, zostawała przy niej od dzieciństwa; od roku zaś jakiś kaprys podczaszynej przyłączył ją do jej dworu i panien respektowych. Jedynaczka była u starego Sienińskiego, a ten skrzętnie zbierał grosiwo i wieści chodziły na dworze, że tam go niemało być musiało, bo stary bardzo skąpił, kapitałiki oddawał na procenta, i lada dzień mógł dobyć wioskę z kieszeni. Anusia była wielką ulubienicą starościnej, która obejść się bez niej dnia jednego nie mogła; a przyczyniało jej łaski i to, że dwór podczaszynej sfrancuziały wcale jej nie smakował, maniery jego przyjąć nie chciała i żartowała sobie z cudzoziemców którzy go składali, a najwięcej z Labe Poinot. Gdy inne już szczebiotały po francuzku, lub udawały, że choć trochę liźnęły tego języka, Anusia szczerze sobie z niego się prześmiewała i zaklinała że go się uczyć nie myśli, a choć ojciec byłby jej chętnie nowomodną sprawił sukienkę i na puder pozwolił, chodziła w staroświeckich jubkach i włosach jakie jej Bóg dał.

Anusia wychowała się prawie razem z podczaszycem, który niewiele od niej był starszy; — dawniej przed jednym obrazem mawiali pacierze, na jednym elementarzu czytać się uczyli, razem katechizm powtarzali, podpowiadając sobie wzajemnie; dziecinne ich serce

pierwsze się spotkały na świecie, młodość zastała ich już na przeciw siebie, tęsknota tych lat oboje razem powitała, — jak-że się pokochać nie mieli?

W początku było to przywiązanie dziecięce, potem miłość, która o sobie nie wiedziała, nareszcie przyszło to zjednoczenie serc czujących, że bez siebie żyć nie mogą, że są spojone na zawsze ręką Bożą.

Podczaszyc myślał tak z początku, gdy się poczuł zakochanym, a potem? otwierający mu się świat, zatarł trochę miłość ku Anusi; poczynął się śmiać ze swych uczuć dziecinnych, a niekiedy dumał tylko jak z nich skorzystać i piękne dziewczę przycisnąć do serca, a jutro — porzucić. Inaczej kochała Anusia, która od razu widziała przestrzeń dzielącą ją od podczaszyca; nie obiecując sobie nic, nie rachując na niego, bo widziała jak szaleć poczynął; — jednakże przywiązała się do niego po cichu, namiętnie, tak, że w duszy powtarzała:

— Ja nigdy zamąż nie pójdę — on musi kiedyś, kiedyś choć na starość do mnie powrócić, gdy się przekona że na świecie przywiązańszego nie znajdzie serca. Będę z daleka poglądać na niego, czekać i modlić się.

Lecz ile razy pan Michał, który znał dobrze co się tam w sercu jej działo, chciał w imię praw dawnych i poufłości dziecinniej, choćby pocałunek wyprosić, Anusia stawiała mu się tak hardo, tak poważnie i dumnie, że się obawiał do niej przystąpić. Musiał się nauczyć ją szanować, ale szacunek ostudzał w nim namiętność i co dzień bardziej oddalał go od niej. Nie rozumiał on ani charakteru Anusi, ani jej przywiązania. Od niejakiego czasu nawet byli całkiem na zimno, a Alfier, z którego strony była wina, udawał sam zagniewanego, puszył się dumnie, niby mówić do niej nie chciał, a wściekał się w głębi, że Anusia z tego się śmiejąc, na nic nie uważała.

Było to bowiem dziewczę owych pocziwych dawnych czasów naszych, w których najsrozsza boleść jak tylko długo trwająca, godziła się z wesołością powszednią, spokojem i uśmiechem nawet. Cierpiało się z piosenką na ustach, popłakiwało ukradkiem, a w biały dzień przy ludziach, oczy i czoło wiały pogodą i rezygnacją.

Dziś więksi egoiści, wywodzimy publicznie treny i żale nad sobą, nie tyle z bólu jak z próżności, żeby zmusić ludzi do litości, użaleń i zwrócenia na nas oczu.

XIII

— A! panna Anna już wstała?

— Podczaszyc jak widzę w przedziwnym dzisiaj humorze.

— Jakże bym nie miał być wesoł i szczęśliwy? król mi dał Św. Stanisława, jadę do Warszawy, i nareszcie pokosztuję życia!!

Dziewczę rozśmiało się serdecznie.

— Boję się, żebyś pan z tem życiem tam nie spotkał się tak jak ten oficer kozacki, co to przeszłego roku był w Głuszy, ze szparagami — nie wiedząc od którego końca miał je poczynać.

— Panna Anna ma mnie widzę za takiego młokosa i...

— A uchowaj Boże! któż mówi młokosa? — przerwała Anusia — ja JW. podczaszyca mam tylko za dwudziesto-letniego (lub coś podobnego) kawalera, co marzy o Warszawie jak gdyby tam byli inni ludzie i inne jakieś życie, nie to co u nas. Naturalnie z takim sentymentem tam jadąc, to się przy rogatkach głowę straci.

— O! o! proszę bardzo nie lękać się o nią!

— Prawdziwie — poważniej trochę poczęła Anusia, spoglądając ukradkiem na niego — teraz już do pana ani przystąpić, ani pożartować, taki się z podczaszyca zrobił wielki statysta! a tak jeszcze niedawno kradliśmy razem kozuszki z kominka u starościnej.

— Pięknie nie dawno — odparł Michał — już ja tego i nie pamiętam!

— Wszak ci to, kto chce, i wczorajszego dnia bardzo łatwo zapomni — z urazą odpowiedziała Anusia usuwając się nieco.

— Panna Anna gniewa się na mnie? — zapytał podchodząc młody człowiek.

— Daj-że mi pan pokój! jak gdyby córka starego Sienińskiego mogła i śmiała gniewać się na syna pani podczaszynej — ruszyła ramionami — ale łza kręciła się w jej oczku.

— Gniewają się na siebie tylko równi, a słudzy jak ja wdychają i płaczą.

Była przy drzwiach za których klamkę już brała, gdy Alfier przykro uczuwszy cierpienie Anusi, posunął się ku niej żywo poruszony ostatnimi słowy, zapomniawszy powagi, którą chciał przybrać przed chwilą.

— Anusi! Anuleczku! — zawołał dawnym imieniem i głosem pocziwie drżącym, chwytając jej różową ale małą rączkę — poczekajże... co ci to, ty bo się gniewasz na mnie, ja cię muszę przeprosić.

— Mówiłam panu, że choćbym chciała, gniewać się nie mogę.

— No dosyć tych żartów dziecko! pogódźmy się po staremu, chcesz? przyznam się że jam winien, odpokutuję jak każesz, ale bądźmy z sobą znów jak za dobrych naszych czasów.

— Dobre czasy już minęły! — westchnęła Anusia.

— Ale jeszcze mogłyby powrócić!

— O! nie, nie! nigdy! nigdy! panu już spieszo do innych lepszych czasów, a mnie nie do tego idzie. Tyle to wesela co w dzieciństwie.

Anusia mówiąc to, trochę odstąpiła odedrzwi, podniosła oczy czarne i wzrok jej spotkał ogniste wejrzenie Alfiera.

— Tem bardziej — rzekł uśmiechając się — kiedy, jak mówisz czasy te wrócić nie mogą, czemuż ich choć dniem jakim nie przedłużyć — nie gniewaj się na mnie, a mówmy z sobą jak dawniej.

— Musiałabym zacząć od połajania — szepnęła Anusia.

— No to zacznij sobie i łaj jeśli ci to potrzebne na co, ale potem winę mi darujesz.

— Z warunkiem, że się nie powtórzy.

— Nigdy!

— Pewnie?

— Jak babunię kocham, to stara przysięga.

— Teraz ona może także spłowiła dla pana.

— O! nie! nigdy — z jakimś wzruszeniem serdecznym odpowiedział podczaszyc spoglądając w oczy Anusi, która się zdawała go badać — nie myśl żebym już był tak złym i płochym; nie przestanę kochać, do kogom się przywiązał w dzieciństwie.

— I bądź pan pewien — cichym głosikiem odezwała się Anusia, że nie znajdziesz na szerokim świecie przywiązańskich serc do siebie nad te, co ci twą pierwszą młodość przypomnia. Ja wiem — dodała ze łzą w oku, że przepaść nas rozdziela, wiem, że i tych kilka słów powiedzieć bym nie powinna, ale... a! myśl pan sobie jak chcesz.

Nie dokończyła, zarumieniła się, poczęła uciekać ku drzwiom znowu. Michał poskoczył za nią, pochwycił i zbliżył usta do rozognionej smutkiem jej twarzy.

— Znowu! — zawołała surowo odwracając się Anna do odskakującego podczaszycy. — O! pan mnie nigdy nie zrozumiesz!

W oczach jej gniew pałał dumny.

— Przepraszam! przepraszam na klęczkach — doprawdy nie wiem jak się to stało, ale nie mogłem się wstrzymać — chciałem znów dobre nasze czasy przypomnieć.

— Nie, te nigdy nie wróć! — smutno powtórzyła Anusia — jak ta wiosna co minęła, nie przyjdzie już więcej.

— Ale się zaczyna druga?

— Ta się panu rozwinie w Warszawie — odpowiedziało dziewczę, chwyciło za drzwi i znikło.

Michał pozostał chwilę jak przykuty do miejsca, ruszył tylko ramionami...

— Dziwne stworzenie — rzekł w duchu — takie to zapalczywe a dumne! Co ona myśli? już ciż nie roi żebym się z nią miał żenić!

— A! a! to by było zabawnie! biedna Anusia!

Przeszedł się kilka razy zamyślony po pokoju.

— A jednak, rzekł znowu, smutno mi, bardzo smutno bez niej będzie, czuję, że zapomnieć ją trudno, ale to dzieciństwo, potęsknię, powzdycham i jakoś to minie. — Począł myśleć o czem innym, ale głos Anusi tętnił mu w uszach, wzrok Anusi patrzył nań ze wszystkich obrazów, ciągle ją, i ją tylko widział przed sobą.

— Znajdziemy się przecie w życiu! rzekł pocieszając się po chwili, i wyszedł rozmazony. Nie wiedział jak zgadł trafnie, rzucając na wiatr te słowa.

XIV

Wkrótce zaczęto robić przygotowania do wyjazdu podczaszycy, a matka jego równocześnie wybierała się także do Włoch, odprowadzając syna do Warszawy. Pałac w Głuszy po kilku dniach świetnych, które go uczyniły historycznym i na zawsze pamiętnym w dziejach okolicy, opustoszczyć miał znowu na długo i pozostać zamieszkanym tylko przez starościny, która modląc się i dumając, czekała nieprzybywającej śmierci. Dla niej to oddalenie się wnuka, ostatniego węzła co ją z życiem łączył, było jakby pierwszem śmierci dotknięciem; wiedziała, że o niej zapomnieć musi wychowaniec; w zgiełku do którego pędził z takim upragnieniem, czuła, że nikt się już nie odezwie do niej, że w grobowej ciszy przyjdzie jej liczyć długie dni jednostajne, dzielące jeszcze od wiekuistego spoczynku. Ale choć łaza czasem spłynęła po zmarszczonej twarzy, pacierz ją osuszała powoli. Dnie jej schodziły w tym monotonnym spokoju, który nie daje obliczyć czasu, ani upłynionych godzin rozróżnić; zdawały się niekiedy długie, bez końca a leciały tak żywo! było-to jakby przygotowanie do grobowego milczenia i spokoju.

Co tam dum i wspomnień długiego życia, którego dzieciństwo dotknęło bohaterkiej epoki Jana III., a zgrzybiałe dni toczyły się już pod Stanisławem Augustem! Bywało rozgada się staruszka, zapomni, uśmiechnie, a gdy najmniejsze słowo przypomni jej terażniejszość, usta zamykają się nagle, oczy zamgla, jakby na świat nowy patrzeć nie chciała.

Łatwo się domyśleć, że z podczaszyną i teraz sympatyzować nie mogły; odjazd też synowej nie trapił zbytecznie staruszki; choć mieszkaly w jednym domu, rzadko się widywały. Ale z podczaszyną trochę ruchu i ożywienia przybywało do Głuszy, która teraz zamrzeć miała zupełnie. Jedna Anusia ochotnie się zgodziła zostać ze starościny i ojcem — reszta dworu albo wyjeżdżała za panią, albo powracała do rodziców, do domów, do krewnych.

Starościna, która dotąd z praw swych nieustąpiwszy, rządziła majątkami Ordyńskich i dochody z nich pobierała, acz niemi hojnie bardzo szafowała dla wnuka i synowej, miała jednak zapas zawsze, i to może dawało jej pewną konsyderację u ludzi, a trochę poszanowania u podczaszynie.

Nigdy pomimo usilnych żądań i nalegań, nie chciała się zrzec praw do mężowskich dóbr i sum zhipotekowanych na nich, nie żeby chciwą być miała, ale że w tem upatrywała środek odroczenia przynajmniej ruiny majątku, którym szastano nad miarę, mając go za coś niewyczerpanego.

Wszystkie teraz projekta podróży wymagające znacznej gotowizny, wyekwipowanie Alfiera, urządzenie jego dworu, oparły się o staruszkę. Alfier wysłany został w poselstwie do babki, a ledwie wszedł na próg, starościna oczekująca ambasadora, wiedziała już o co chodzi... spojrzała mu w oczy gdy ją w rękę całował, i pokręciła głową.

— Coś mi wasze bardzo pokorny, odezwała się, założmy się Michasiu, że cię wysłano w poselstwie do mojego kantorka? A cóż nie zgadłam? dodała widząc zdumienie i pomięszanie na jego twarzy.

— Otóż jeszcze waści powiem, ciągnęła dalej, co ci podczaszyna dysponowała, gdyś tu szedł; — widzisz, nie przez ducha świętego o tem wiem, ale czytam w twarzy twojej, jak z drukowanego. No, no, mów już co ci kazano, bez żadnych przygotowań, prosto z mostu — ileż tobie i twojej matce potrzeba?

— Babuniu kochana, jeśli już o tem mowa, naturalnie, że — co łaska jej.

— A ha! ale przecież! Tysiąc dukatów dla waści, a tysiąc dla podczaszynie? zdaje mi się, że powinno-by wystarczyć, przytem co możecie mieć ze swego? No, jakże?

— Kochana babuniu, mama jedzie do Włoch, to drogi kraj, a ja muszę się sztyftować do stolicy.

— To znaczy, że potrzebujecie więcej, no, powiedz-że mi z czem ciebie przysłano? tylko szczerze Michasiu, jak mnie kochasz szczerze.

— Mama prosi tylko o pożyczanie.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Dwóch tysięcy dukatów, a ja.

— No? a ty?

— Ja, co łaska!

— A waszeć mnie już nudzisz z tą łaską! wiesz, że łaska na pstrym jeździ koniku! No! nie frasuj mi się! dam i matce i waści panie Michale, wołę już to niż żebyście mieli, po tych festynach co wszystek grosz wyciągnęły z domu, u żydów pożyczać lub wioski zastawiać. Zamknij-że waść drzwi i podaj mi rękę.

To mówiąc staruszka podniosła się z ciężkością, wzięła kluczyk który jej nigdy nie odstępował, bo we dnie wisiał u pasa, a w nocy leżał pod poduszką, i zbliżyła się opierając na Michale, do starego gdańskiego biórka.

— Gdyby tak na mnie, mówiła idąc — jabym waści nie wyprawiała bardzo szumnie, ale po staropolsku, z trochę grosza tylko, żebyś się waść zaraz przyuczył oszczędności. Pamiętać powinienes Michasiu, że dziad twój nieboszczyk, niech mu tam Bóg przebaczy, całkiem był fortunę Ordyńskich przeświślał, a gdyby nie poczciwy ksiądz Adam infulat, i nie moja praca, nie mielibyście chleba kawałka. Grosz, moje kochanie przychodzi bardzo ciężko, ludzie na niego w pocie czoła pracują i żebyś o tem pamiętał moje serce, to ci też inaczej nie dam, aż mi musisz te dwa tysiące dukatów, co je dla siebie bierzesz po jednym przeliczyć. Rąk sobie nie powalasz, bo to złoto czyste, a jak się znudzisz, to za to kiedyś sobie przypomnisz, co to kosztować musiało pracy, zebrać ten tysiąc i drugi po jednym obrączkowym.

Michaś trochę się skrzywił, ale z babunią gdy co powiedziała, nie było sposobu.

— Wszakże to pewnie liczone! rzekł po cichu próbując się trochę wykręcać.

— I liczone i pieczętowane, odpowiedziała starościna, a dla tego kochanie, po jednemu musisz mi je wszystkie na stole przerachować.

To mówiąc wskazała staruszka cztery zielone woreczki pękate leżące w szufladzie, jakby wcześniej nagotowane, z których każdy po tysiąc czerwonych złotych zawierał.

— Dwa tysiące dukatów, łatwiutko to powiedzieć, szeptała zasuważąc i zamykając starannie kantorek — a dawniej bywało nie jeden szlachcic od stu fortunę poczynął i dorabiał się; nie jeden senator córce więcej pięćset nie dał posagu choć i za księcia i za wojewodę ją wyprawiał; ale teraz pieniądze u was jak plewy, a nie daj Boże przepowiedzieć gdy je tak wyrzucać będziecie, prędko się potem źle ich dorabiać przyjdzie!

Westchnęła staruszka.

— Widziana to rzecz! dodała jakby sama do siebie mówiąc, żeby młody chłopiec, potrzebował takiej sumy do stolicy, nie będąc ani urzędnikiem, ani posłem, ani tam mając interesu? Kiedym nieboszczyka ojca twojego pierwszy raz na sejm wyprawiała, czy myślisz że więcej wziął nad sto dukatów, a jeszcze mi przy obrachunku z panem Puchałą coś około dwudziestu talarów odwieźli nazad i kupił mi grodeturu na jubkę. Ale to teraz inne czasy, licze waść, a uważajże, bo jak się omylisz to będzie *da capo*.

Jakkolwiek pilno było Alfierowi do matki, która niecierpliwie wyglądać musiała jego powrotu. wszakże zadość babce czyniąc, kilka godzin z tym złotem się parał, póki go w porządne kupki nie ułożył.

— Od matki waszeć, dodała staruszka w końcu, weźmiesz dla mnie skrypcik — niech to sobie leży, a swego mi grosza szanuj i nie puszczaj z wiatrem, bo do dziurawej kieszeni djabeł dziurą włazi.

Alfier na wspomnienie djabła, drgnął mimowolnie, spojrzął na obraz Ś. Michała, z którego właśnie ostatnim blaskiem dnia uchodzącego oblany, zdawał się nań wytrzeszczać oczy ów szatan, co go i we snach ścigał. Dziwnem jakimś przywidzeniem zapewne, zdało się Michałowi jakby mina djabła wcale była inna niż dni powszednich — wyraźnie się jakoś uśmiechał do niego, wykrzywionemi usty, z piekielną radością.

— Co za śmieszność — rzekł sam do siebie wychodząc — zawsze mi się jakieś głupstwo przywidzi, przyśni! Napróżno mi Labe Poinot dowiódł argumentalnie, że djabeł jest szczątkiem politeizmu, manicheizmu, utworem wieków ciemnoty i przesądów — zawsze po dziecinnemu dreszcze mnie przechodzą, gdy na ten obraz spojrzę. Ależ bo malarz ohydnie go wystawił! Głupi malarz! fe! fe! nie myślmy o tem.

— Cóż to się tak zamyślił? zapytała wymykającego się babka, która na twarzy opanowanie jakieś postrzegła.

— E! to ten djabeł — rzekł śmiejąc się Michał, ile razy na niego spojrzę, choć przypadkiem, nie wiedzieć co się ze mną dzieje. Dzieciństwo. — Ktoby w djabła dziś wierzył, a ja czegoś go nie lubię jednak!

— Kochanie moje — pogoniła babka słowem za uciekającym, nic to nie szkodzi, że się jeszcze djabła boisz, bylebyś o Panu Bogu pamiętał!

— Nie tak straszny djabeł jak go malują — mruknął Alfier, drzwi zamykając i wymknął się spiesząc do oczekującej matki.

Djabeł

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM II

I

W kilka tygodni potem, wiosna już była zielona, wonna, rozwita, a dziedziniec pałacowy w Głuszy zajmowały karety wypakowane, bryki, wozy, ludzie i konie. Podczaszyna wraz z synem opuszczali Głuszę, — ona smutna i obojętna szukając tylko roztargnienia, on wesół, szczęśliwy i pełen nadziei.

Od dawna nie wychodząca ze swego mieszkania w oficynie, starościna dnia tego każała się sprowadzić ze wschodów, i z pomocą Anusi przywlekła się do niebieskiej sali, pożegnać tych, co ją tak w osamotnieniu na dni ostatek rzucali. Siedziała biedna w krzesle, milcząca, zamyślona, niekiedy okiem modlitwy pełnem spoglądając na zwijającego się podczaszycza. Obok niej nieodstępna Anna, z minką, w której trochę dumy niedobrze pokrywało smutek, patrzyła także na młodego chłopaka, już daleko od nich sercem wylatującego.

W pałacu ruch był jak na wyjeźdźnym, wszystkie wspaniałe sprzęty pochowano i poprzykrywano, paki i paczki zalegały się i pokoje, gmach już zawczasu czuć było pustką — kładł po mieszkańcach żalobę. Zewsząd słyhać tylko było przelatujące rozkazy, niecierpliwienia się podczaszyczej, urywane śmiechy jej syna i łoskot biegających żywo ludzi. Labe Poinset z miną pełną przybranej powagi, jak przystało na przyszłego sekretarza królewskiego, kierować jeszcze raczył wyborem, nie wiele się odzywając, i zdając dumać o nowem przeznaczeniu.

Wszyscy spiesząc na pozór, nie radzi jednak byli porzucić Głuszę, i ociągali wyjazd; — najbardziej go nagliła podczaszyna, którą i przytomność natrętna niemiłej starościncej i cały ten wybór szczególnie drażnił i niecierpliwil.

Z kątów słudzy pozostający, stary Sieniński i kilku kapotowych, z założonemi rękoma, z brwią nawisłą, spojerali tu i ówdzie nieprzytomnem okiem, to na swego panicza, to na odlatujących Francuzów, za którymi nie bardzo jakoś tęsknić myśleli.

W bocznym gabinecie, przebiegający podczaszyc, spotkał się z posłaną po coś Anusią, i mimowolnie oboje się zatrzymali.

— Panna Anna mnie nawet nie żegna? — spytał trochę smutnie Michał — nie będę miał na drogę ani krzyżyka, ani pamiątki?

— Do czego to panu odemnie, — odpowiedziało dziewczę cichym głosem — pamięta się i bez pamiątki, często i z nią zapomina, a pożegnać czyż mi wolno?

— Anusiu, Anusiu, ty sobie ze mnie żartujesz — z nagłem uczuciem biorąc jej drżącą rękę, rzekł podczaszyc i ciszej dodał — ty o mnie zapomnisz?

— Ja? nie! — odpowiedziała podnosząc oczy, pewno nie, ale pan?

— O! i ja! nie myśl żem tak płochy, jakim ci się może wydaję.

— Na nieszczęście!

— Anusiu, daj mi choć ten srebrny pierścioneczek, powieszę go na piersi razem z krzyżykiem babki — przypomni mi młodsze lata!

Zawahała się trochę dziewczyna, lży już mając w oczach, ale jakby jej myśl jakaś przyszła, nagle żywo ściągnęła z palca żadaną obrączkę i podała ją podczaszycowi nie śmiejąc go o nic prosić na wzajem. On zsunął turkusowego węża z ręki, włożył go na palec Anusi, pocałował różowe paluszki — i zniknął.

To było ostatecznie pożegnanie dwojga istot, które los dziwnie zbliżał i rozdzielał. Czy Michał kochał ją w tej chwili, czy myślał o jakiej przyszłości? nie wiem — są w sercu tajemnice niezbadane. — Leciął marząc z wyciągnionemi rękoma ku nieznanemu, a już tęsknota nazad go ciągnęła od progu.

— Wszystko gotowe! gotowe! rozległy się wołania po sali pałacowej. — Gdzie pan podczaszyc? — spytała matka wstając z krzesła i zbliżając się ku starościnnie dla ceremonialnego pożegnania.

Kilka sług rozesłano szukać pana podczaszycza i znaleźli tylko płaczącą w kątku Anusię, która im na zapytanie wskazała bibliotekę. — Starościna, w tej uroczystej chwili, która dla niej rzeczywiście być mogła ostatecznym pożegnaniem tego, którego najwięcej ukochała

— nie dopuściła wylać się łzom wezbranym, by nie naruszyły jej powagi — uśmiech przymuszony, lecz dobroci pełen, błędnął po zbladłych jej ustach.

We drzwiach ukazał się nareszcie Michał, z różową jakąś książeczką pod pachą, trochę zmieszany, z czołem powleczoneм zadumą. Podczaszyna wskazała mu niecierpliwym ruchem babkę, a sama przystąpiwszy do niej zaraz, udała że ustami dotyka zmarszczonej jej dłoni, gdy staruszka z uczuciem przyciskała ją do piersi. Kolej przyszła na wnuka — tu lży już dłużej utrzymać się nie mogąc, potoczyły z powiek nabrzęklých — rozpląkała się starościna, tuląc głowę klęczącego przed nią i równie rozpląkanego Michała.

— Michasiu mój kochany! Michasiu — odezwała się cicho — my się pewnie żegnamy z sobą na zawsze, pamiętaj, pamiętaj nauki moje, nie zapominaj o Bogu, a Bóg cię nie opuści. — Nie opuszczaj modlitwy, a pomódl się też za duszę tej która cię równo z życiem kochała. — Nie splam imienia Ordyńskich, a niech cię Bóg, Matka Jego Najświętsza i wszyscy Święci Pańscy wiodą i błogosławią, niech cię Anioł stróż *w drogę pokoju i szczęśliwości prowadzi*¹. Dziecko moje... nie zapominaj tam o starej babce... bądź zdrów, bądź szczęśliwy... w imie Pańskie błogosławię!

Podczaszynę już niecierpliwiło to długie i łkaniem przerywane pożegnanie i błogosławieństwo, a więcej jeszcze lży syna, których zdawała się zazdrościć — trąciła go tupiąc nóżką i szepcząc.

— Alfierze skończ-że to, jedziemy.

Alfier powstał, raz jeszcze całując rękę babki, która poczęła zaraz odmawiać modlitwę na jego intencję, a niechcąc sama pozostać w pustce, kazała się wyprowadzić w ganek za wychodzącymi. Długi szereg powozów i bryk z wesoło prychającymi końmi stał już przed gankiem, podczaszyna ani spojrzawszy na zgromadzonych dworaków, co ją pożegnać przyszli, rzuciła się co najprędzej w karetę, i rozkazała ruszyć natychmiast.

Podczaszyc pobiegł do zasmuconych i serdecznem uściskiem lub kilką słowy każdego z nich pozdrowił. Ledwie mu dał dokończyć Labe Poinsoł, zzymający się równo z podczaszyną na te czułości których nie pojmował. Przeżywszy tu lat kilka jak ptak na gałęzi, zimno i obojętnie odlatywał, nie zostawując po sobie, tylko odrazę i nieprzyjaciół.

Powóz czekał na nich, Francuz się niecierpliwił, a Alfier biegał jeszcze od jednego do drugiego, spoglądając po twarzach, a trochę i po oknach. — Nareszcie, obok starościnej żegnającej go poświęconym krzyżykiem, zjawiła się Anusia, spotkały raz jeszcze wejrzenia, powtórzyło po cichu słowo pożegnania, a Poinsoł skoczył nie czekając do karety.

Podczaszyc pokłękł raz jeszcze przed babką, pocałował ją w dłoń, nie miał już siły odwrócić się do Anusi i wskoczył także do powozu, który szparko ruszył z miejsca.

Za nim długim sznurem pociągnęły się dwór, kuchnie i cała czereda nienawistnych Francuzów, których pan Sieniński ściagał dość obojętnem okiem, pokręcając wąsa. W długiej alei lipowej, zielonej teraz i cienistej, potoczył się tuman kurzawy, pociągnął za odjeżdżającymi i zakrył ich oczom patrzących.

Sieniński z córką wzięwszy pod ręce staruszkę, poszli z nią powoli do jej mieszkania, nie śmiejąc słowem się odezwać, tak pojmowali potrzebę milczenia opuszczonej starościnej.

Powolnym krokiem ze spuszczoną głową posuwała się modląc, a niekiedy zatrzymywała, napróżno szukając oczyma choć cienia ostatniego swego dziecięcia, które od niej jak ptak z gniazda odleciało.

Anusi srebrne łezki migały w czarnych oczkach, a pierś podnosiła się westchnieniem, Sieniński pod wąsem też podobno nie weselsze skrywał oblicze, ale to był mruk i nie łatwo wywnętrzający się człowiek.

— E! kaduka to wszystko warte, wybuchnął na ostatku ocierając się rękawem. — Dawniej tego nie bywało, żeby tak za odjeżdżającymi plakano. I panicz — dobre dziecko, ale miękkiego serca, źle mu z tem będzie na świecie, ludzie się na tem zaraz poznają a poprowadzą za nos gdzie zechcą. Inne czasy, JW. pani! inne czasy, licha warte!

Staruszka milczała, a Sieniński zebrałszy się raz otworzyć usta, gderał ciągle.

¹niech cię Anioł stróż w drogę pokoju i szczęśliwości prowadzi — słowa modlitwy za podróżnych. [przypis autorski]

— Ot i chwała Bogu, mamy się czem pocieszyć, że nas Francuzi raczyli nareszcie pożegnać! szczęśliwej drogi! byleby nie powrócili! Ten Pąso (tak go nazywał stary) żeby też komu choć głową kiwnął! a ruszajże z Bogiem paniczyku!

Wchodzili na górę, starościna nic jeszcze nie mówiła, w ostatku odwróciła się do Sienińskiego z wesołą dosyć twarzą.

— Mój kochany, poszlij no mi wasze po księdza kanonika.

Stary aż się cofnął.

— A on tu na co? — zapytał.

— Zachciałeś, chcę się z nim rozmówić, staremu nie zaszkodzi z Bogiem się pojednać, bo nie wiadomo kto z brzegu. — Wymówiła to jakoś słabszym i drżącym głosem, oparła się silniej na rękę wiodących i kazała wprost nie na krzesło się prowadzić, ale do łóżka.

Nie potrzeba mówić jak się Sieniński przestraszył, i drapnął zaraz, żeby co najprędzej po kanonika posłać. Anusia została przy starościnnie cała we łzach i strachu niewymownym. Chora jednak powoli trochę sił, a nawet wesołości swej zdawała się odzyskiwać i poczęła od wyburczenia Anusi.

— E wstydziłabyś się asanna — rzekła — nie wiedzieć czego smutku mi dodawać, ja tego, wiesz, nie lubię. Choć się czuję źle, to mi koło mnie powinno być wesoło, a co to pomoże? Podaj mi książkę, mów litanią o szczęśliwą śmierć, a nie szlochaj, bo to się na nic nie zdało, mnie tylko rozkwasa.

Na podłożonych poduszkach usiadła starościna, podniosła w rękę krzyżyk przed którym się była modlić przywykła, ustawiła do koła swoje obrazki poświęcane, złożyła dłonie i poczęły się modlitwy.

Słowik tymczasem w bzach i kapryfoljach ukryty pod oknami, wesoło i głośno wyśpiewywał, słońce świeciło i światek się uśmiechał młodziuchny, rozkwitły, znowu pełen życia.

Nad wieczorem dopiero, przerażony wieścią o słabości starościnej, zjawił się ksiądz kanonik, dawny przyjaciel domu Ordyńskich, zgrzybiały, pochylony wiekiem i o kiju ledwie suwający się staruszek.

Starościna odwróciła się ku niemu z uśmiechem, którym go chciała od razu rozchmurzyć, bo nie lubiła przy sobie smutnych twarzy.

— A co kanoniku? — odezwała się uśmiechając — nie mówiłam ci że mnie chować będziesz? Ot coś się na to zbiera, że zakład wygram, a pamiętasz, miałeś sto pacierzy zmówić za duszę moją.

— Niechże Bóg uchowa! — drżącym głosem odpowiedział starowina przybliżając się do łóżka — czyż JW. pani starościna chora? to by naprzód posłać po fizyka.

— O! racja fizyka! — wesoło odpowiedziała starościna — co tam fizyk pomoże na starość! Żart na bok, jegomość dobrodziej wypowiadasz mnie naprzód.

W godzinę potem, cała w bieli, jaśniejąca spokojem lat święcie przeżytych, pani Ordyńska klęcząc, bo chciała mimo osłabienia koniecznie w tej postawie pokornej powitać Pana nad Pany, który przychodził do niej — przyjmowała Sakramenta, w obec całego dworu strwożonego i rozplakanego. Nic jednak w niej nie przepowiadało rychłego zgonu do którego się tak spieszenie przygotować pragnęła.

Wieczorem piła kawę swoją z księdzem kanonikiem razem i rozmawiała z nim wesoło, prosząc ażeby do jutra nie odjeżdżał.

Z przestrachem wszyscy zbliżającą się noc ujrzeli, ale na śnie upłynęła spokojnym; starościna wstała, zdawało się, rzeźwiejszą, całą jednak zaprzętą zawsze myślą rozporządzeń pogrzebowych; podobywano pudła i skrzyneczki, w których były: bielizna, ubranie, świece i inne potrzeby na ów wielki dzień przygotowane. Z wielką przytomnością gospodarowała staruszka; podyktowała testament kanonikowi, kilka listów napisała własną ręką i znów napiwszy się kawy, rozpoczęła modlitwy z Anusią.

Słońce już zachodziło i słowik znowu poczynął śpiewać zawzięcie, gdy staruszce zachciało się kazać otworzyć okno od ogrodu; przystawiono jej krzesło, usiadła na nim, wychyliła się żeby wciągnąć wiosennego powietrza, spojrzała po zielonych drzewach, ła cicha stoczyła się po twarzy bladej — i była ostatnią.

Po chwilce zamknęła oczy, usta jeszcze jakiś czas poruszały się modlitwą, rozpozodziła czoło, błogi uśmiech zakwitł na licu zgrzybiałym, pochyliła głowę na piersi, z rąk wypadł różaniec — starościna Bogu ducha oddała!

Na w pół drogi do Warszawy umyślny dogonił podczaszynę i Michała z wieścią o śmierci babki, Michał chciał powrócić nazad i sam do grobu martwe odprowadzić zwłoki, ale surowe skinienie matki która ruszyła ramionami na to, suchem okiem przyjąwszy obojętną wiadomość — wstrzymało syna.

Powozy pociągnęły dalej ku stolicy, a w Głuszy Sieniński tylko i Anna z kanonikiem poszli za trumną staruszki.

II

Był to wieczór zimowy — stolica z przymrozkiem, który ulice jej osuszył, nowego nabrała życia. Dniem wrzały w niej pierwiastki ludowe — wyrobnicy, przekupnie, rzemieślnicy, mieszczenie, wszystkie te klasy, których byt jeszcze się mierzy dzienną światłością wedle starego postanowienia Bożego; — nocą występować poczynały do boju inne klasy społeczeństwa, które potrzeba, kaprys, moda, zbytek, nuda, nauczyły szukać ciemności i światła sztucznego. Warszawa w epoce o której tu mowa, nie była ani tak czystem, ani tak uporządkowanym jak dzisiaj miastem. Odznaczała się ona wszakże zawsze pewnym sobie właściwym wdziękiem i tą ruchawością, która ją i teraz jeszcze ożywia. Fizjognomji jej nie brakło charakteru wybitnego i strony malowniczej.

Była to jeszcze mieszanina starych gmachów i nowych pałaców, kamienic z XV wieku, wysokich a wąskich i domków świeżo jak z pudełka wyjętych, brudnych zażydzonych kątów i wspaniałych budowli i ogrodów; — śmiecia i okazałość dziwnie się tu z sobą jednocyły, mieszały, stanowiąc najoryginalniejszą sprzeczność. W innej sferze też samo prawie piętnowało charakterystykę ówczesnej ludności, wśród której żywiły stare graniczyły z nowymi całkiem im przeciwnymi; żydzi ocierali się o mnichów, żebracy o magnatów, masonerja o bractwo Serca Jezusowego: w tem wszystkim wrzało jakieś życie konwulsyjne, szybkie, chorobliwe może, ale gorące. Dzień zarówno jak noc był ciekawym obrazem; a wśród ciemności olbrzymiało jeszcze wszystko, przybierając fantastyczne kształty i rozmiary.

Rzadkie pasy światel od latarni, które słabo gdzie niegdzie rozjaśniały ulice, i blaski mdławe rzucały na piętrzące się gmachy — powiększały urok tej fantastycznej panoramy. Kiedy niekiedy przesuwaly się wśród cieni owe karety wązkie w dole, rozszerzone u góry, zaprzężone tarantami, poprzedzane laufkami lub hajdukami, które widzimy jeszcze na obrazach Canaletto — pudło ich zawieszane na długich drągach trzęsło się dygocząc po nierównym bruku — to znów przelecieli jezdźcy zbrojni, czereda jakiego pana, orszak posła, połyskujący bronią — przesunął się z pochodniami poprzedzającemi go paż królewski lub szambelan z biletem czy poselstwem tajemnym; przewlókł żebrak szepczący modlitwę po cichu, lub zahuczała kupka szlachty wychodząca z pod Złotego Grona, z pod Murzyna, z pod Kogutka. — W oknach większych gmachów nie dobrze osłoniętych firankami, szeregi światel oznajmywały huczne zabawy — buchała z nich muzyka, okrzyki, śmiechy i wrzawa. W głębi ozwał się gdzieś daleko powolny dzwonek klasztoru, zwołujący na pacierze i zdający żałośliwie jakieś jęczeć nad grodem: *memento!*

Niektóre sklepy jaśniały jeszcze lampami, rachując na wieczorne potrzeby kupujących — garkuchnie zapraszały do siebie, winiarnie mrugały na przechodzących, a chłopczyki z latarniami latali poglądając z kądem by też kogo odprowadzić można i groszyk jaki utargować. We mroku i ćmie przemykały się bokami ulic jakieś postacie zakryte, osłonięte, tajemnicze, po których niepewnym chodzie poznać było można, że się lękały światła i oka.

Chwilami milczenie głucho, to znów zaburczy kareta, zagrzmią głosy żwawsze, odezwie się krzyk daleki, śpiew podejrzany, rozłamana rozmowa, stukanie do bramy — i cicho znowu — gasną światła w rzemieślniczych okienkach, na dołach i strychach, przerzadza się ludność piesza, ale karety stoją po dziedzińcach i ulicach, przelatują jeszcze wśród pochodni i grzmią po bruku przebudzając zawczasie uspiętych.

Późnym dopiero wieczorem dzień się robi pańskiemu światu, który do sztucznego życia, sztucznego potrzebuje światła — giną w niem marszczki twarzy, wejrzenia nabierają połysku i siły, rumieniec barwy, uśmiechy zapału — słowa tajemniczego znaczenia — noc wyrabia jakiś stan gorączkowy, nienaturalny, pobudza, ośmiela, rozdrażnia.

We dnie człek się wstydzi wielu rzeczy, które po nocy zrobić gotów, by je nazajutrz oplakiwał.

Nie bez przyczyny też, życie gorączkowe obrało sobie noc, jako stosowne pole występu — dzień nadto jasno mu świeci, a niema w nim tych gwałtownych sprzeczności blasku i cieni, których na tło obrazów jego potrzeba.

Oto właśnie wśród takiej fantastycznej nocy — na zakręcie z Senatorskiej ulicy na Miodową, ukazuje się coś dziwnego, w szarym pomroku nocy okrytej płaszczem chmur ciemnych.

Dziesięciu pacholków z pochodniami przodkują jak przed pogrzebem — do koła nich uwija się z na wpół otwartych bram wywabiona dziatwa uliczna, nie mogąca pojąć coby ten widok znaczył, i tem goręcej ciekawa.

Za szeregiem świateł, po śniegu zaledwie przymarzłym i niestrzymującym jeszcze głębokiem błocie, brnie kilkudziesięciu panów, pieszo, w ponarzucanych na ramionach szubach i różnego rodzaju futerkach. Są tu i polskie stroje na spasyłach jakichś postaciach, ale daleko więcej francuzkich wytwornych fraków, pończoszek i trzewiczków, peruk upudrowanych, cienkich szpadek i stosowanych kapelusików.

Starzy i młodzi wykrzykują głośno, śpiewają, wszyscy się zdając w bardzo wesołym humorze. Ale każdy śpiewa co innego, innym tonem i miarą, i najdziwniejszy chaos klei się z tych wrzasków pomieszanych z muzyką. Złapano widać gdzieś w szynku przypóźnionego cymbalistę i bębenek, i dawszy w kark kazano iść przodem przed panami. Żydek pokorny czapkę wzięwszy pod pachę, zawinawszy sino podszyte poły długiego żupana, rznie na cymbałach polskiego, którego jednak ani słycać. Niekiedy tylko zahuczy bębenek bachura który żydowi towarzyszy, zadzwonią dzwoneczki, i znów zagłuszy je hałas pijanej czeredy.

Orszak to zaprawdę ciekawy, wesołych ludzi którym dobrze dziać się musi na świecie, że tak sobie swobodnie hulają. Co za twarze rozjaśnione, jakie miny butne, oczy iskrzące a usta rumiane! Malownicza to scena, na tle nocy ten długi szereg wystrojonych panów, brnący samym środkiem ulicy, mimo brylantowych spinek u trzewików i białych jedwabnych pończoch na nogach. Czasami podrzuci ktoś weselszy czapkę do góry wołając:

— Wiwat księżę podskarbi.

I za nim wrzeszczą wszyscy wiwat! wiwat! kilkunastu już ledwie trzymających się na nogach, ujęli się pod ręce i *junctis viribus, lawą* jak to mawiali starzy, prą się naprzód.

W pośrodku niesiony na rękach jakiś wybladły, wypłowiwały, fałszywego wejrzenia i szatańskiego uśmiechu człowieczek, w górę podniesiony, nieco szydersko spoglądając, panuje otaczającym. Jego rysów, z których krew uciekła, szła nawet i chłód zarumienić nie mogły — uderzają trupią białością i szkaradnym wyrazem wyniszczenia, w pośród rumianych głów reszty towarzystwa odróżniającym tę maskę, z paradnego ubrania, koronek, wstąg i gwiazd wystającą.

Koło niego, choć wśród ulicy, słuchać szcęk butelek i kieliszków, a niekiedy rozbijanie ich o ziemię.

— Do pałacu księcia podskarbiego! odzywają się na przodzie wiodący.

I wszyscy toczą się dalej po śniegu i błocie. Rozpustną piosenkę zanucił ktoś z idących w pośrodku, chórem odpowiadają mu wszyscy, a radośne hu ha! rozlega się wśród ulic aż po przysionkach kościołów, które mijają nie schyliwszy głowy!

— A no dalej! kto kocha księcia podskarbiego! zawołano znów, widząc że w pochodzie, nie jeden zamoczywszy nogi, ku idącym z tyłu za panami oglądał się karetom.

— Piechotę! wszyscy piechotę!

I dalej ciągnie się ów szereg, a za nim gdyby za konduktem, cały pas karet i ludzi i koni postępuje powoli w milczeniu. Wybuchy wrzasku nie jedno po drodze okno otworzyć zmusiły, nie jeden wyrzał, posłuchał, plunął na głowy pijanym i wzdychając do łóżka powrócił. W tem gdy tak idą, wprost na przeciw pędzi szparko kareta z latarniami, a przed nią sunie na koniu strojny w pasy kozak i woła:

— Z drogi!

— Co? z drogi! ty sam trutniu z drogi! krzyknęli wszyscy *unanimiter*, i kilka szabel nawet błysnęły z pochew na prędcę, szcęknęły uderzając się w powietrzu.

— Z drogi! powtórzył kozak raz drugi co raz donośniejszym głosem, nie zmieszany wcale przeważającą liczbą przeciwników.

— Na bok hultaju!

Ktoś gorący przyskoczył do kozaka, i łap konia za uzdę.

— Stój! na bok! i milczeć chceszli mieć grzbiet cały!

Z karety która tuż nadbiegła, wysunęła się w tej chwili prześlicznie upudrowana i wryzowana, wdzięczna główka młodzieńca, który ze zdziwieniem i przestachem poglądał, nie mogąc pojąć co się stało, i dla czego wstrzymywano go wśród ulicy.

— Na bok z kareta! wołali pijani. — Ale ulica była tak ciasna, z obu jej stron leżały jeszcze stosy drzewa i kupy nagromadzonego śmiecia, że rozminąć się było niepodobna.

— Co to jest? zapytał głos z karety.

— Wiwat książę podskarbi! huknął ktoś z tłumu za całą odpowiedź, i w tem ludzie z pochodniami, cymbalista, bębenek, panowie i powozy idące za niemi, wszystko wstrzymane, zważyło się na kupę prac i naciskając.

Krzyki gniewu i niecierpliwości pomieszane z pieśnią dogorywającą i odgłosem bębenka, klótnie, przekleństwa, wszystko to razem zlało się w niewypowiedziany gwar karczemny.

— Wiwat książę podskarbi! krzyż W. pan wiwat! lub wywlecemy cię z karety i zmusim pić na klęczkach zdrowie księcia podskarbiego.

— Podskarbiego, odezwał się ktoś przystępując do powozu z nalanym i do wpół wylanym kielichem. Młody człowiek siedzący w karecie nie wiedział co począć z sobą, — zmięszął się, powstał, chciał w początku uciekać, ale nie było sposobu, bo go już zastąpiono do koła od drzwiczek i okien. W tem jakiś otyły z gęstą miną jegomość w mundurze, na którego jednym ramieniu suta szlifa jeneralska się kołysała, wpatrzywszy się w obłązonego zawołał:

— *Al ma foi!* to pan podczaszyc Ordyński. — O! z nami! z nami, nic nie pomoże! do księcia podskarbiego na wieczrę młody paniczu — ani się nam wykręcisz! to darmo! Wiem, bo byłem w Głuszy z królem jegomością, żeś tęgi do hulanki, stworzony do naszego towarzystwa — więc nie puścim cię na sucho! musisz iść z nami, ale jak my *piechotare debes!* Odprawiamy jak widzisz pobożną pielgrzymkę do pałacu księcia podskarbiego, na którąśmy sobie uczynili *votum* u synowca jego.

— Ale panie jenerale, ja nie mam honoru znać księcia.

— To najmniejsza rzecz, wylaż no jegomość ja cię tu zaprezentuję, ale z kielichem w rękę, inaczej nie.

Zamiast przybiecanego kielicha, który się już stłukł o okno karety, podano Ordyńskiemu butelkę z odbitą szyjką, i tuż pod pachy go porwawszy, zaniesiono prawie w powietrzu przed owego bladego jegomości, którego na rękę dźwigali kilku szlachty silniejszych i nie tak jak reszta zalanych.

Książę z wysokości improwizowanego swego niewygodnego siedliska, uśmiechnął się grzecznie bardzo, podając rękę młodemu człowiekowi, a Michał zdrowie jego wychylił.

Dojmujący chłód i wilgoć, która padając i marznąc okrywała wszystko szklaną powłoką, poparły żwawszym krokiem zatrzymanych panów ku pałacowi Potkańskich, oświeconemu już i gotowemu na przyjęcie gości.

Karete podczaszyca, która przejść nie dozwalała, wywrócono na bok i orszak popędził spieszniej wspanując:

A kto nie wypije...

Tak niespodzianie wcale, podczaszyc powracający z wieczora u starościny Małogalskiej, gdzie z rozkazu matki dłużej od niej zabawił, znalazł się w całkiem nowem dla siebie towarzystwie, wplątany w rospasaną hulankę, niespokojny na czem się skończy, ale w głębi rad może ujrzeć jeden z tych sławnych balików, o których słyszał i marzył z ciekawością i strachem.

Hurmem wtoczył się tłum cały do wielkiej sali rześisto wyiskrzzonej, — zwłaszcza dla oczów już do ciemności ulicznej przywykłych. Na górnem jej balkoniku huczna kapella zagrała w tej chwili poloneza, który po cymbałach, anielską się też wydał muzyką.

Sala ta dosyć wspaniała, obszerna, w chwili zabryzgana została błotem, którego dość z sobą przynieśli biesiadnicy. Niektórzy z nich zaraz obalili się na kanapach i krzesłach, inni poczęli tańcować, a tuż i lokaje w paradnej liberji z herbami Sreniawą i Łodzią weszli

z koszami wina i tacami pełnymi kielichów i puharów. Wielkie drzwi pan jenerał zamknął na klucz, rozbił szybę łokciem i klucz na ulicę wyrzucił.

— Mam tego za kpa, kto nam placu nie dotrzyma! zawołał.

W tem spojrzął na obok stojącego podczaszyca, nieco zmięszanego i tonem towarzysztwa i tem na co się tu widocznie zbierało.

— Ha! ha! młodziku — rzekł, wpadłeś w łapkę, musim ci chrzest sprawić, nie wyjdiesz nam tu na sucho. Dawajcie kielicha nie żałując miary *Iterum iterumque* zdrowie księcia podskarbiego.!

Ordyński ani się mógł, ani myślał wymawiać, spełnił duszkiem podany kielich, ale że i z owej butelki na ulicy coś do gardła poszło i na wieczyry u starościny kilka kieliszków węgryzna wychylić musiał — jedno z drugim zaszumiło mu w głowie.

O! jakież to świat śliczny, kiedy młodemu wino w głowie zaszumi, zakipi a serce bić zacznie całą siłą swoją i wina.

To co w początku dziwnem jakoś i przykrem, straszmem nawet pokazało się Alfierowi, teraz powoli przekształcając się wesołem i miłem poczynąło mu przedstawiać. Twarze któremi był otoczony, przybierały wyraz szlachetniejszy, słowa dolatujące miały znaczenie przywoitsze, dostrzegał przez mgłę jakąś i dobrego tonu i dowcipu i filozoficznego pojęcia celu ziemskiej pielgrzymki!! niestety! widział tak wiele, że nawet to czego tam było najmniej, dopatrzył. Pan jenerał który się przyprzął do podczaszyca, nie odstępował go pilnując z troskliwością nauczyciela — ujął go pod rękę i gdy drzwi otworzono, poprowadził z sobą do wieczyry. Zdziwił się wielce Ordyński wchodząc z innemi po kolana prawie zabłocony do jadalnej sali, wśród której ogromny stół był zastawiony — ujrzawszy w niej kilka strojnych kobiet, oczekujących na towarzystwo. Ale żywy rumieniec pokrył mu twarz, gdy uspokajając go jenerał, szepnął do ucha:

— To są włoszki z baletu, aktorki i inne *ejusdem farinae* panienki bez ceremonji, które książe dla ożywienia towarzystwa zaprosił.

I popchnięto go, jako mniej znajomego naprzód, a miejsce mu dając jenerał, posadził go przy uśmiechniętej dziwnie smutnawo lalczce, której sukni dotknięcie, jakby ukropem oblało podczaszyca.

Nie śmiał na nią spojrzeć Michał, spuścił oczy, ale zawstydzony się swego wstydu po chwili, i bojąc by się z niego nie śmiano, podniósł wzrok, udając nagle bardzo wielkiego śmiałka.

Właśnie w tej chwili panienka chciała także rozpatrzeć się w swoich sąsiadach, i oczy jej, jasno-niebieskie, zielonawe oczy padły na Ordyńskiego; uśmiech odkrył białe jej ząbki, a lekki wykrzyk dał się słyszeć z ust włoszki.

— A! zawołała poczynając się śmiać — cóż to za nieznaną śliczną *cavalière*? zkądżeście go wzięli panie jenerale?

— Zdobyliśmy go biorąc szturmem butelek pociskami karekę jego, odpowiedział stary mrugając oczyma i ustami; — jest to jak WPanna widzisz niewinny baraneczek, prosto ze wsi, którego wychowanie dziś dopiero rozpoczynamy. Oddaję go w ręce twoje piękna Frascatello! dodał z uśmiechem, choć nie taję, że wolałbym kogo innego, nie ciebie coś cnotliwa do śmieszności i sztylcik nosisz za pasem.

Ordyński cały się zaplonił przeklinając i jenerała co go demaskował przed temi paniami i rumieniec niepotrzebny, który zdradzał jego nieoswojenie z podobnemi scenami. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, a sam książe podskarbi wziął go za cel grzecznych przekąsów.

Wieczyra rozpoczęła się od kieliszków, a składała powiększej części z zimnych potraw, z pasztetów i najwykwintniejszych łakoci, których znużone podniebienie starych smakoszków potrzebuje. — Podczaszyca paliło i upajało co wziął w usta; zmięszany tem, popijał, coraz bardziej tracąc przytomność. Wprawdzie miał on młodą i dobrą głowę, ale nie łatwo dając się upoić do ostatka, czuł się przecie w tym stanie podniecenia, szału, w którym już człowiek za swe uczynki odpowiadać nie może. Wino czyniło go coraz śmielszym, uśmiech stawał się weselszy i głośniejszy, dowcip rozpowyjał się z pieluch, usta rozwiązywały, a nauki Labe Poinso o użytkowaniu z życia, przychodziły na pamięć w samą porę.

Obejrzał się nawet parę razy na Frascatellę obok siebie siedzącą, która nieustannie w niego wzrok wlepiony miała, i zaczynał coraz uważniej jej przypatrywać.

Śliczne to było dziewczę, ale jej piękność więcej uderzała oryginalnością swoją niż prawdziwie idealnym typem. Przy kruczej czarności włosów, których niezmiernie sploty okrywały głowę, podpięte po włosku wielkimi złocistymi szpilkami, miała twarzyczkę białą, matowej bladości, przezroczystość i delikatność cery nadzwyczajną, małe kształtny nosek, usta bardzo drobne i pełne wyrazu, a oczy niebiesko-zielone, koloru morza. Nie wiem czy ta ich barwa przypominająca głębie, które czarodziejsko pociągają ku sobie człowieka, czy wyraz szczególny smutnawy, myślący, czyniły jej wejrzenie niepojęcie ujmującym. Tworzyło to razem całość osobliwszą, dziwaczną, której wielkiego wdzięku odmówić nie było można. A na twarzyczce tyle się razem zmieszało ognia, życia, dowcipu, tęsknoty, zamyslenia, smutku! Niewielkiego wzrostu, bardzo kształtna, zwinna być musiała jak ptaszek, zręczną jak sarneczka; oczy jej latały, kręciły się, usta uśmiechały, wśród tego thumu ona jednak zdawała się nie należeć do niego, i czemś być wyższem i lepszem.

Strój jej nie był bogaty, ale tak smakownie i umiejętnie ułożony, że wdzięk jej jeszcze podnosił. — Miała suknię koloru purpurowego z białymi koronkami, wielką różę we włosach, w rękę prześliczny wachlarzyk z słoniowej kości i miniatur, cały strojny w strusie pióra, tym wachlarzykiem wywijala jak bronią. U pasa, na łańcuszku zatknięty był mały sztylecik w brązowej oprawie, który jej nigdy nie opuszczał.

Alfier wpatrywał się i wydziwić jej nie mógł, ale i ona jemu. Pierwszy to raz może zbliżyła się do niej istota tak młoda, świeża, piękna, z niestartym jeszcze żadnymi zbyt ki rumieńcem, z naiwnym prawie uśmiechem, z tem drzeniem w głosie i niewinnością patrzącą z oczów, która jest najczarowniejszym z talizmanów.

Tymczasem panowie pili, wykrzykiwali, a towarzystwo tych dam istotnie bardzo się ich zdawało ożywiać, chociaż pojąc je i żartując z niemi, nie wiele z tych istot dobyli dowcipu; — śmiały się piękne usta, ale z nich nic widać nie było prócz prześlicznych ząbków.

III

Wkrótce zdjęto nakrycia, powynoszono oczyszczone półmiski, zostawując tylko butelki i kielichy; — odezvano się o kości i karty. Niektórzy powstawali, inni zsunęli się w kupki przy dwóch założonych bankach, które czarodziejsko błysnęły natychmiast w dwóch końcach długiego stołu.

Jeden z nich założył suchy, wysokiego wzrostu, żółtej cery, czarnego oka i cudzoziemskiej fizjonomji mężczyzna, z którego stroju pełnego brylantów, błyskotek, łańcuszków, kameów i pierścieni poznać było można gracza z profesji, usiłującego dać wielkie wyobrażenie o swem bogactwie i wspaniałości. Rzucił on okiem — zawczasu zwyciężkiem po zgromadzeniu, mrugnął do kogoś w ciżbie, i przyniesiono mu kutą szkatułkę, z której na początek wysypało się okrągło pięć tysięcy czerwonych złotych. Włoch ze zręcznością kuglarza zgarnął to złoto, pobrzękując niem i układając je, żeby się pięknie błyszczało, strzepnął kartami i zawołał:

— *La banque est ouverte! Le jeu est fait!*

I znowu powiódł okiem, licząc zawczasu swe ofiary, które z pokorą przeznaczonych na rzeź bydła, tłumem się cisnęły pod nóż wytrząsając kieszenie i sakiewki. Księżę podskarbi pierwszy dał przykład stawiając sto czerwonych złotych (kredą) na kartę zakrytą — inni pospieszyli za nim.

Na drogim końcu czupurna jakaś figurka, tłusciuchna, krągła, uśmiechająca się, miła aż do nudności, strojna także ale skromniej i z pretensją do wielkiego smaku, rzucała już kości na stół, zakładając grę także. Był to jakiś Niemiec znany ze swej zręczności w grze tego rodzaju, który wszystkich ogrywał, ale słychać z tego, że z nim można było zrobić kto co chciał, tak niesłychanie akomodujący się był i grzeczny. Trafiło mu się znosić najprzykrzejsze grubijaństwa, bez wzdygnięcia, zarumienienia, cieniu niecierpliwości, i jeszcze na nie odpowiadać ukłonem.

Tu także nie mało się biesiadników skupiło, a brzęk złota, stukot kostek w kubku, strzepywanie kartami, zmieszały się z brzękiem nieustającym kieliszków i wrzawą pijaną. Jeden tylko Alfier jak przykuty do krzesła, siedział obok Frascatelli, która nie wstawała,

rozparła się tylko, zarzuciła główkę na wysoki poręcz i dumając wachała wachlarzem, machinalnie się nim bawiąc.

Położenie Ordyńskiego było nadzwyczaj przykre — nie miał najmniejszej znajomości gry i świata, wśród którego wpadł tak dziwnym przypadkiem; — obawiał pokazać się nowicjuszem, lękał znów zbyt puścić cugli, a wino grające w nim popędzało ku wszystkiemu, od czego jeszcze młodzieńczy jakiś wstyd bezsilnie wstrzymywał.

Goście przytomni, stare wygi, poczęli po troszę śmiać się z zakłopotanego młodzika, czytając na twarzy co się z nim działo.

— A cóż bo u licha! zawołał generał podnosząc głowę i odzywając się doń z drugiego końca stołu — widzę, żeście do niczego panie podczaszycu Ordyński, ani do kieliszka, bo pełny stoi przed waszmością, czekając zmiłowania, ani do ładnej kobietki, która napróżno wlepiając oczy, oczekuje żebyś do niej choć zagadał, ani do gry — a cóż to z waści będzie? widzę, widzę, nie jesteście w stanie zdać u nas egzaminu!

Michał skrzywił się, uśmiechnął, nie wiedząc jak sobie poradzić.

— Ho! ho! dodał tłusty Niemiec od kostek łamaną polszczyzną, francuzczyzną i rodomitą swoją mową razem, gdyż z tego trojgu składał się język przez niego w Polsce używany. Dajcie pokój *monsieur general*, to młoda *Unschuld*, której się *scandaliser* nie godzi. *Cosa rara! cosa rara!*

— Będzie z waścią, panie podczaszycu dużo do roboty, zawołał znów generał — jeszcze jak uważam, gotówes się turbować, żeś na noc pacierza nie zmówił.

Śmiechy słyszeć się dały, krew do głowy uderzyła Ordyńskiemu.

— Panie generale, zawołał zdecydowany pokazać się daleko gorszym niż był w istocie, — proszę sobie nie wystawiać mnie tak młodym i tak niewinnym. Miałem przecie honor być uczniem Labego Poinot, do którego Voltaire pisywał listy, który kilka artykułów przysłał do sławnej encyklopedji i w najlepszych stosunkach zostaje z Diderot'em i d'Alembertem.

— A! kiedy tak, wieszuję i przepraszam! Jesteś więc jak uważam bez przesądów, witamy w tobie jedną z podpór przyszłości Polski! witamy — i zdrowie podczaszycu Ordyńskiego, który nie mówi pacierza!

— Wiwat! podczaszyc który nie mówi pacierza!!! odezwały się kilka głosów. Frascatella z politowaniem jakimś spojrziała na niego ukradkiem.

— Wiwat podczaszyc! dodał generał, który nie wierzy zapewne jak ksiądz Bohomolec, ani w czarownice, ani w upiory, ani w zamówienia, ani w post, ani w włosiennice.

— W nic, czego rozumem nie pojmuję! tryumfująco dorzucił podczaszyc.

— Nu, a w Pana Boga? zapytał Niemiec z uśmiechem filuternym.

— To wielkie pytanie! chytrze odparł Michał, duszkiem dla zagrania się wychylając kieliszek.

— A to i w djabła WMOść także nie wierzysz? wyrwał się inny głos z tyłu.

— Za kogoż panowie mnie macie, żeby w djabła wierzył? — ze śmiechem rzekł Ordyński.

— A! i w djabła nie wierzy! powtórzył ktoś znowu.

— Naturalnie że nie wierzę! krzyknął Ordyński; odwrócił się, spojrzął, dreszcz go przebiegł po całym ciele, kieliszek niedopity z rąk mu wyleciał; poblądł i krzyknął.

Ażebyśmy sobie wytłumaczyli co go tak niespodzianie przeraziło, przypomnieć sobie musimy wrażenie, jakie obraz Św. Michała i przy nim odmalowany szatan czynił zawsze na podczaszycu; twarz ta wyrazistemi rysy wypiętnowała się była w pamięci jego, a ilekroć mu nawet przez myśl przeszła, jakiś strach go ogarniał, dreszcz przejmował, najeżały się włosy.

W chwili, gdy po raz drugi wiary w djabła się zapierał, odwracając się po za siebie, dla wyszukania ktoby go tak uporczywie pytał, ujrzał w zwierciadle odbite, straszny wykrzywione śmiechem oblicze szatana, zupełnie podobne do pokonanego na obrazie przez Archanioła ducha ciemności. Była to też sama twarz ohydna, z uśmiechem szyderstwa, pragnieniem zemsty i niezwykłą dumą na czole — ale żywa, poruszająca się i osadzona na plecach istoty, która się w sali znajdować musiała.

W pierwszej chwili nie będąc panem przestachu, który go ogarnął, podczaszyc krzyknął — wstyd mu jednak było dziecinnej swej bojaźni i wytłumaczył się z tego nagłym

bólem w nodze, którą jak mówił, zwichnąć musiał, idąc po nocy, lub wysiadując z karety. Odwrócił się wszakże zaraz szukając do koła postaci, co tak niemiłe a silne uczyniła na nim wrażenie; ale napróżno przebiegł oczyma wszystkich zgromadzonych, zapuszczał wzrok w kupki najdalsze, nikogo podobnego znaleźć nie mógł. Upokorzony wreszcie, zniechęcony, usiadł na krześle obok Frascattelli, która z uśmiechem dwuznacznym poczęła się wypytywać o jego skaleczoną nogę.

— Nic to, odpowiedział obojętnie ale posępnie, przejdzie ten ból, nie warto nań uważać, wstyd mi tylko mego krzyku.

— Zapić tę sprawę! podał pan generał przykładem wskazując jak się duszkiem spełnia kielich.

— Zapijmy, weselej odpowiedział Michał.

— Zdrowie pięknej choć okrutnej Frascattelli!

Ordyński podniósł kielich w górę, ukłonił się tancerce z uśmiechem i patrząc w jej oczy wychylił duszkiem ogromną szklanicę.

— A teraz, nie chciałbyś spróbować szczęścia, szepnął podchodząc stary urwis; mówią że ono zawsze nowicjuszom służy — zagraj! ja z tobą do spółki — chcesz?

— Nie mam prawie grosza przy sobie, odpowiedział Michał po cichu — kilkanaście dukatów ledwie, wstyd mi to postawić — i grać doprawdy nie umiem.

— Wszystko to nie przeszkody — odpowiedział nowy przyjaciel — wiele chcesz pieniędzy?

Michał zmieszał się, przywykł był grosz szanować; przychodziły mu na myśl nauki babki, ale próżność wołała żeby się nie dać zaćmić i nie pokazywać bojaźliwym młokosem.

— Parę-set dukatów, rzekł od niechcienia.

— Na, masz, wsuwając mu zręcznie w rękę parę ruloników, odpowiedział pan generał — a te drugie dwa to moja spółka, graj a graj śmiało — Frascattella przy tobie, musisz wygrać.

Drżącą trochę ręką ale z pańską miną, podczaszyc podsunął od razu cały rulon na kartę nie patrząc którą, a gdy bankier ciągnąc począł, on się odwrócił instynktownie ku pięknej włoszce, żeby nie dać poznać, że go wygrana obchodzi. Ruch to był wybornie pomysłany, ale trochę zdradzał zbytnią pamięć na siebie, bo w tak młodym człowieku nie był naturalnym.

Pociągniono go za rękaw.

— Wygrałeś pan, rzekł żółty bankier — co dalej? trzyma pan dalej?

— Trzymam dalej! obojętnie rzucił słowo Ordyński, nie dobrze nawet rozumiejąc co znaczyło.

Frascattella z wyraźną litością i niepokojem spoglądała to na karty, to na niego, a uśmiech ust jej nie opuszczał, ale nie był to uśmiech wesela, była to powłoka smutku, tęsknoty, politowania.

— Pan wygrywa? czy idzie dalej? ocucił go znów głos bankiera.

— I owszem idzie dalej!

Generał z kieliszkiem w ręku, z krwią najzimniejszą na pozór, pilnie przypatrywał się grze, ale gdy szósty raz wygrał podczaszyc, zmieniwszy dwa razy kartę, szepnął mu odciągając go:

— Dostyc tego, postawisz pan znowu później mniejszą sumę, teraz się obrachuj.

W istocie czas było się obrachować, gdyż banku nie stawało, a szczęśliwy gracz ujrzał przed sobą niespodzianie kupę złota, z którą nie wiedział co robić.

Ogromne brawo! ze wszystkich kątów sali zagrzmiąło rozgłosnie, sam książę podskarbi zawołał o wino i przyszedł z uśmiechem wypić znowu zdrowie tryumfującego podczaszycy. Bankier tymczasem dobywał ze szkatułki podanej pieniądze i bez najmniejszego wzruszenia zaczynał robić karty na nowo.

— Spisałeś mi się pan gracko! obrachowując i ściągając swoje, odezwał się stary wyga — ja bastuję i dalej nie myślę gonić za fortuną, żeby się do nas nie obróciła smutną twarzą; tych dwóch tysięcy kilkuset dusiów na ten raz będzie mi dosyć. WMość tak *gloriose* poczawszy, możesz sobie jeśli chcesz kontynuować. Jedną tylko przyjm radę, dodał na ucho — gdy zaczniesz przegrywać, co w końcu nastąpić musi, nie zapalaj się i usuń od gry zawczasu.

Podczasyc po świeżym zwycięztwie ufny w swoje szczęście z uśmiechem posunął dwa rulony, a sam odwrócił się znów do Frascatelli. Ale rulony potoczyły się do dawnego właściciela, za nimi poszły dwa inne i trzy jeszcze...

— Dość tego będzie ciągnąc go z lekka za połę odezwał się pierwszy nauczyciel; świtać poczyna, dzień się robi, jedźmy do domu, wyprowadzę cię z sobą tylnymi schodami.

Posłuszny Michał, który się też czuł ogromnie znużonym, dał się jakoś od gry, do której się jeszcze nie zapalił odciągając, zgarnął zręcznie w chustkę pozostałe złoto, skinieniem pożegnał piękną włoszkę i miał wysunąć się po cichu, gdy ujrzał ją idącą za sobą, zawiniętą w futerko, proszącą żeby ją ze wschodów do czekającego fiakra sprowadził.

Jenerał który szedł przodem, obejrzał się na tę śliczną parę, dość powoli za nim ze wschodów się spuszczał i westchnął.

— Niema to jak młodość! zawołał w duchu — wszystko do niej lgnie — kobiety, pieniądze; wino jej nie robi podagry, ani przejedzenie niestrawności! Co też to za szkoda że to tak krótko trwa, a nie chce się potem wracać. Niema porządku na świecie, daremna rzecz, źle! źle! W porę się ludzie opatrywać zaczynają, że trzeba by świat z gruntu przerobić. Byle się im ta antrepyza udała za moich czasów — wielce bym sobie powinszował... Ale nie mojem szczęściem! Odkryją nieśmiertelność i wodę odmładzającą nazajutrz po moim pogrzebie.

IV

Dobrze już jasny był ranek, gdy podczasyc do najętego fiakra wsadziwszy towarzyszkę swoją, jeszcze za nim tęsknemi goniącą oczyma, sam z jenerałem wskoczył do swojego powozu.

Po nocnych wypadkach, doznanych wrażeniach i całej tej hucznej biesiadzie, która mu się teraz dziwnym snem przy dniu jasnym wydawała, czuł się czegoś niespokojny i zawstydzony. Blask dzienny rozpędzał resztę szału, wytrzeźwiał go i upokarzał. Przypominał sobie teraz, gdy wino cokolwiek przesumiało, owe widzenie w zwierciadle w chwili zaparcia się djabła, i poczynął śmiać z niego w duchu, przypisując je rozognionej węgrzynem wyobraźni.

— Jużciż o tem przynajmniej — rzekł w duchu — wątpić nie mogę, że djabła na świecie nie ma. Ależ to ładny szatanek ta Frascatella, tylko poco sztylecik u boku nosi?

Potrzeba było odwieść jenerała, który mieszkał tuż przy zamku i powóz potoczył się na krakowskie przedmieście, ku bramie krakowskiej, w pośród licznej już na ulicach ludności, gwarnie dzień pracy, dzień Boży rozpoczynającej. Zewsząd słychać było dzwony, weselej jakoś niż w wieczór wzywające na nabożeństwo do otwartych kościołów, skrzypiały wozy na targ ciągnące, przekupki rozstawiały stołki i otwierały stragany, odryglowano sklepy, zamiatano z przed kamienic szczątki wczorajszego życia co się już śmieciem stały; kilku poważnych starców na laskach opartych, z książeczkami pod pachą, z różańcem w rękę dążyło ku Bernardynom, przekupnie poczynali wywoływać świeży swój towar — wszędzie wesoło jakoś i raźnie dzień się otwierał, któremu też przy lekkim przymrozku, piękne, zimowe blade świeciło słończko.

Podczasyc jeszcze do miasta nie bardzo przywykły, ciekawemi oczyma przypatrywał się wszystkiemu, a nieznanne jakieś uczucie tęsknoty budziło w nim wspomnienie tej ohydnie przepędzonej nocy, z której jakby zadatek od szatana, wziął kupkę nie wiedzieć jak zdobytego złota.

Jenerał, który znać dobrze pojmował, co się w młodzieńczej duszy dzieć musiało, dawszy trochę podumać towarzyszowi swemu, przerwał wkrótce, klepiąc go po ramieniu z uśmiechem.

— A co, niezła panie Warszawka? — rzekł śmiejąc się i pomrugując do niego — spodziewam się że ci panie podczasycu nie żal wsi, gdzie ludzie prędziuteńko mchem porastają i starzeją po dwudziestu pięciu latach, tu dopiero życie! przyznam się asindziowowi, że ja nie pojmuję, jak to gdzieindziej, nie w mieście mieszkać można. Prawda, że służyłem jeszcze za nieboszczyka Sasa, ale gdyby mnie kto teraz wypędził na wieś, trzeciego dnia bym z nudy poszedł *ad Patres*. Tu to się jakoś żyje... a co za przyjemność na wsi? — dodał ożywiając się — skąpicie, żyjecie kaszą i szperką, a w święto chudą kurką, modlicie się co niedziela, kochacie dopiero u ołtarza i to raz tylko, reszta wszystko w tym

rodzaju. Może to być bardzo patryarchalne, ale ja tego nie nazwę życiem. Ot patrz waść, wolałbym już los Orlandiniego niż najbogatszego szlachcica na wsi — dodał wskazując pod krakowską bramą przez którą właśnie przejeżdżali, dziwnego człowieka, ustawującego sobie wygodne krzesło na słomiance dla ochrony nóg podrzuczonej u samych prawie wrót od strony zamku. *Orlandini* ów, acz nieznacząca figura i dziś zapomniana, gdyby jej ryłec dowcipny Norblina nie unieśmiertelnił, był przecie charakterystycznym typem epoki, wśród której w Warszawie się zjawiał. Rodzice jego jak próbuje nazwisko, z Włoch pochodzić musieli, on sam urodził się w Polsce ze wszystkimi wadami wieku i narodu do którego należał. Ojciec jego trzymał garkuchnię, syn także spróbował, był naprzód tego rzemiosła, pomagając sobie pochlebstwy i wszelkiego rodzaju posługami, jakie tylko przyjaciół możliwych jednać mogą. Godziwe i niegodziwe w słowniku jego nie miało miejsca, a to co inni tak zowią, on zwał tylko taniem lub drogiem. Z garkuchni przeniósł się do winiarni, ale i tu podupadać zaczął; bo jak w pierwszej sam jadł najwięcej, tak w drugiej spijał co najlepszego. Najął potem dom zajezdny, utrzymywał jeszcze konie i karety, ale wszystko się jakoś nie szczęściło, gdyż pomimo zarobków, *Orlandini* żył nie żałując sobie, szafując dla siebie i przez to nie tylko nie zbierał, ale coraz to kapitaliku nadkasywał.

Tak mu wiek spłynął na różnych próbkach i coraz dotkliwszych stratach, ale szastając się po świecie i stykając z panami i szlachtą, Włoch grzecznością, usłużnością i dobrym humorem wielu sobie zrobił przyjaciół. Wkrótce nadeszła pedogra i odjęła mu pobrzękłe nogi, tak że się z trudnością z miejsca na miejsce mógł przenosić. Nie było już co począć z sobą, potrzeba było żebrać, pod pozorem uzbierania nowego kapitaliku na garkuchnię czy winiarnią.

Orlandini wszakże nie puścił się na pospolitego odartego żebraka, wyciągał rękę i kapelusz jak prawdziwy włoski *lazzarone*, z pewną godnością i dumą, niekiedy częstując tabaką a zawsze jakim wesołym żarcikiem tych co go częstowali pieniędzmi.

Zasiadał zwykle od strony zamku pod krakowską bramą, latem i zimą, w godzinach zwłaszcza gdy jechali lub wracali z zamku znajomi jego — ale na wygodnym wybitem krześle i poduszkach skórzanych. Ujrawszy zdala karete, powstawał bardzo zręcznie na dwóch kulach bez których się podnieść nie mógł, zdejmował trójgrianiasty kapelusz ze starej żółtkiej peruki i z uśmiechem dobrej znajomości witał przybywających. Rzadki był dzień żeby jednego lub więcej dukatów nawet nie złapał, król regularnie ile razy jechał do miasta, kazał koniuszemu rzucać pół talarza, ale to było niechybne jak pensja. Inni panowie hojniejsi niekiedy aż do kilku dukatów pod dobry humor i za dobry koncept się posuwali. Oprócz tego, strój *Orlandiniego* dowodził, że nań spadały resztki z garderoby *Jaśnie Wielmożnych*; wychodzone ich suknie i kamizole wszystko na nim aż do futerka pokrytego niebieskim sukniem, które był darował Brunet kamerdyner królewski, do haftowanej vesty hetmana *Branickiego*, fraka sutego z guzami stalowymi od kasztelana *Łukowskiego*, i mankietów żółtych wyciągnionych z garderoby marszałka koronnego — pochodziło nie z tandety ale z darów.

I teraz lepiej mu się ze wszech miar działo pod krakowską bramą, niżeli dawniej na handlu; — stary nie żałował sobie, bo miał z czego. Znać też było po twarzy pełnej rumianej, rozweselonej, i po spasyłym brzuchu, który się ledwie mieścił w trochę przyciasnej kamizelce hetmańskiej, że *Orlandini* głodem nie marł.

Nie wyglądał on wcale na żebraka, tak dumnie w tej dnia godzinie spoglądał z wysokości swojego krzeselka na pracujący i krzątający się motloch, nie spodziewając się karety o tej porze, gdyż dla karet inną miał minę.

Właśnie był sobie wystawił krzesło na grubej słomiance, obwinął nogi, i posławszy po zwykłą porcję kawy do blizkiego kafenhauzu, zjadał ją ze świeżą buleczką. Jadł i popijał tak żarłocznie, chciwie, z takim zwierzęcym łakomstwem, jak gdyby z wieczora opuścił kolację, chociaż obiady i wieczerze najregularniej i to w dobrej garkuchni miał zamówione, nie oglądając się na to, choćby go talar i więcej kosztować miały.

Zresztą na inne życia potrzeby nie wiele tracił — stancijkę miał w tyle kamienicy pod krakowską bramą, mizerną i małą, ale w niej tylko nocował — ubrania nie kupił, bez obowiązu z łaski podagry się obchodził, nogi mając tylko grubą flanelę poobwiązywane, a jedne trzewiki na cały rok starczyły.

Na widok karety w której postrzegł jenerała, Orlandini schwycił się na kule, stawiając niedopitą kawę na słomiance i z wielką zręcznością, z uprzejmą a wesołą twarzą, przybliżył się do powozu wolno go mijającego.

— Stój — zawołał pan jenerał — wygraliśmy dzisiaj, należy się staremu niedoładze jałmużna. — Jak się masz Orlandini?

— Do nóg upadam pana jenerała — głosem dosyć schrypłym ale intonacją miłą przybrać usiłującym, rzekł podsuwając się pod same drzwiczki żebrak — a zkaąd-że to tak późno, czy tak rano? jak tam szczęścieczko posłużyło?

Mrugnął okiem zapuchłym i zaspanym, a dopatrzwszy się kogoś drugiego w karecie, z ciekawością usiłował przyjrzeć się nowej, nieznamomej jeszcze twarzy podczaszyca.

— Kto to taki? — spytał po cichu nie mogąc ciekawości pohamować — kto to, proszę pana jenerała?

— Podczaszyc Ordyński!

— Mam honor prezentować się JW. podczaszycowi, głośno z ukłonem rzekł wesołym tonem Orlandini; — jestem Mikołaj Orlandini, znany w całej Warszawie i samemu Najjaśniejszemu i najlaskawszemu Panu naszemu. Miałem szczęście znać i nieraz przyjmować *w domu moim* jaśnie wielmożnego podczaszego, godnego ojca pańskiego, gdy jeszcze starał się o piękną księżniczkę W... miło mi submittować się dziś przeczacnemu jego potomkowi!!

Podczaszyc z bardzo grzecznym ukłonem zaczerpnął w leżącej na kolanach chustce ze złotem, i rzucił nie licząc sztuk kilka Orlandiniemu; jenerał wsunął mu także dukata. Włoch nakrył głowę dziękując z wielką godnością, jakby za wypłatę zaległej należności.

— Dziękuję! ślicznie dziękuję! i życzę JW. panom wszelkiego szczęścia! a podczaszycowi polecam się i submittuję! nie raz pewnie przyjdzie mu przejeżdżać do zamku, niech nie raczy Orlandinięgo sługi swego zapominać.

To mówiąc, trykorn już nalożywszy, pospieszył skacząc na kulach do zostawionej kawy, którą uboższy od niego pies wywróciwszy kubek wypijał, bułką zajadając. Śmieli się przechodzący i kramarze, a Orlandini za uciekłym już psem wywijał groźnie kulami, klnąc na czem świat stał.

U wrót domu jenerała pożegnał go podczaszyc spiesząc do siebie, pewien że matka czeka nań niespokojna, zwłaszcza że w tym dniu właśnie, wczoraj zamek i znajomych pożegnawszy, wybierała się opuścić Warszawę, a Michał miał ją odprowadzać do Łowicza.

Nie mylił się, gdyż cała służba podczaszynej zgubionego jej syna jak szpilki po Warszawie szukała, a że nikomu na myśl nie przyszło zajrzeć na dziedziniec domu Potkańskich, gdzie stała kareta pana Michała, wszyscy powracali bez wieści, a matka domyślała się już daleko szaleńszego wybryku niżeli był w istocie.

V

Wszystko jednak dobrze rozważywszy, pani podczaszyna nie doczekawszy syna, położyła się spać, przykazawszy tylko ludziom, aby go pilno szukali. Michał zastał ją spoczywającą, wszystkich sług na nogach i dom cały w trwodze. Znużony, rzucił się co najprędzej w łóżko, sen mu jednak powiek nie kleił, a najosobliwsza mozaika myśli i obrazów wirem pędziła z piersi do głowy, z głowy do piersi.

Spokojna Głusza, pacierz u kolan babki, czarne oczy Anusi, jej uśmiech niewinny, wykrzywiona twarz djabełska, pociągający melancholją wzrok Frascatelli, szatańskie żarty i śmiechy biesiadników, scena nocna na ulicy, namiętne pierwszy raz skosztowane gry uczucie, jakaś tęsknota nieopisana, niepokój i zgryzota, męczyły na przemiany Michała, który przypomniał sobie dane babce słowa, że się codziennie choć krótko modlić będzie.

Niestety! od wyjazdu z Głuszy ani pomyślał o pacierzu, a teraz tłumacząc się sam przed sobą, szydził z uczynionej staruszce obietnicy. Jednakże na dniu serca wpojona za młodu odywała się pobożność, tęskniła do niej dusza, i szatan ów z obrazu przychodził na myśl mimowolnie, a dreszcz przelatywał po skórze.

— To było czyste tylko przywidzenie — rzekł wreszcie do siebie Michał — gra jakaś wzburzonej winem imaginacji — hallucynacja, jak mówi Poinot, nic więcej, wszakże nie jestem dzieckiem bym w głupstwa takie miał wierzyć.

Ale na przekór rozumowaniu, przed oczyma podczaszycy wciąż się zwiłaj z uśmiechem swoim szatańskim ten potwór, którego z głowy, z oczu, z pamięci pozbyć się nie mógł.

W takich męczących marzeniach, dusząc się i niespokojnie drzemiąc, usnął w ostatku Michał gorączkowym snem znużenia.

Zbudził się na skrzypienie drzwi i ujrzał przed sobą matkę, w stroju podróżnym, jakby była na wsiadaniu.

— Co to jest? czy już tak późno? — zawołał schwytyjąc się — wszakżem się ledwie trochę zdrzemnął.

Podczaszyna podniosła do góry swój zegareczek wskazujący pierwszą z południa i spokojnie usiadła przy nim na krześle.

— Trochem się była zaturbowała o ciebie, odezwała się po chwili — ale chwała Bogu nic ci się przecie nie stało.

— Nic, tak! nic a nic, kochana mamó — przecierając oczy odpowiedział podczaszyc — ale proszę mnie posłuchać, jakim niespodzianie tę noc spędził na hulance.

I z żywością młodzieńczą począł jej opowiadać swoje spotkanie uliczne, zaprosiny gwałtowne do podskarbiego, cało-nocną u niego biesiadę — opuszczając jednak wiele, bo ani o djable, ani o Frascatelli nie wspomniał. Podczaszyna słuchała go dosyć obojętnie, ale z uwagą, zdawała się jednak zgadywać z góry co jej powie i gdy dokończył, podniosła na niego oczy, w których było widać łez ślady.

— Chciałam — odezwała się — żebyś mnie odprowadził — ale to już niepodobna, bylibyśmy sam na sam pomówili z sobą. Zdaje mi się obowiązkiem moim dać ci niektóre przestrogi, chociaż zostawując cię pod opieką króla i Labe Poinso, odjeżdżam zupełnie o ciebie spokojna. Wchodzisz w świat Alfierze i widzę, że ku niemu masz dosyć skłonności, radabym, żebyś na nim jak przystoi synowi memu drogę sobie utorował.

Dzisiejszy przypadek niech ci będzie przestrogą i nauką, jak się masz znajdować na świecie. Pochwalam bardzo żeś się od kompanji nie odstrychnął, ale nie radzę też z lada kim się bratać. Nie wymagam od ciebie zbytnej surowości obyczajów, która w tym wieku byłaby niewłaściwą, ale cię proszę żebyś swe pasje hamował i zawsze w nich zachował choć powierzchowne *decorum*. Świat sędzi surowo nie z czynności i myśli, ale z pozoru, o pozór też chodzi najwięcej.

Bóg wiele przebacza, ludzie nigdy.

— Kochana mamó — odparł całując ją w rękę podczaszyc — proszę być o mnie spokojną, nic nie uczynię co by poniżyć mnie mogło.

— Ani się też o to lękam, ale cię proszę nadewszystko w obiorze przyjaciół i partji być ostrożnym. Miejsce twoje naturalne na zamku w gronie tych co otaczają Najj. Pana; chociaż, może się bardzo mylę, zdaje mi się, że wkrótce przeciwne stronnictwo w kraju weźmie górę. Nie staw się więc tak przeciwko niemu, żebyś z nim zupełnie i stanowczo zrywał, zapatruj się na ludzi co umieją sercem sprzyjać jednej stronie, ze wszystkimi być dobrze, lub przynajmniej nie źle.

Nic cię nie zmusza raz wraz popisywać się z sentymentami swemi, strzeż się zbyt je głośno objawiać. Żyjąc na dworze, z konieczności trzeba być ostrożnym i dwuznacznym, dla wszystkich grzecznym, bo nikt nie wie jutra i tych co jutro panami być mogą. Zapatruj się tylko uważnie na Najj. Pana, on ci najlepiej wskaże z której strony wiatr powieje. O jego łasce dla ciebie nie wątpię.

— Będę posłusznym kochana mamó — rzekł Michał — ale czyś mnie raczyła polecić opiece króla JMci?

— Wczoraj jeszcze przypomniałam mu ciebie — odpowiedziała podczaszyna — ale słuchaj mnie i nie przerywaj proszę. Z familją bądź jak najserdeczniej, a nadewszystko z zamkiem, nie zaniedbuj wszakże i przeciwnych, bywaj wszędzie, tylko się nie mieszaj do klubistów, z którymi o ile możności zdaleka i ostrożnie. U Luchesinich i u posła trzeba się pokazywać zarówno, dobrze miarkując jak rzeczy stoją, nie obrażając nikogo. Jeśliby uchowaj Boże nadeszły jakie niespodziane wypadki, pamiętaj proszę, że na chwilę może jakiegokolwiek przeważać stronnictwo, ale prędzej później silniejsi, liczniejsi wezmą górę. Nie narażaj się i trzymaj na stronie. Służby wojskowej nie życzę dla ciebie, boś słabego zdrowia; jeśliby zaś jaki wakans się trafił przy osobie króla JMci, i owszem...

Rady te cichym i ostyglým powoli rzucane głosem, dziwnie brzmiały w uszach i sercu Alfiera, który w istocie więcej myślał o pięknych twarzyczkach i zabawach, niż o partjach i stanowisku jakie miał sobie obrać między niemi.

— Co się tycze sposobu życia, dodała podczaszyna, spodziewam się że mi wstydu nie zrobisz, ani zbytkiem swawoli, ani śmiesznem dziczeniem się i nieśmiałością. Młody człowiek powinien być swobodny, pewien siebie, trochę mu trzpiotem być wolno, ale cugli sobie nie popuszczając, a nadewszystko... serca nie dawać nikomu! O ożenieniu proszę nie myśl zawczasie, bo bym na nie nie zezwoliła, sama ci chcę wybrać i wyswatać żonę. Zresztą z kobietami bądź ostrożnym. — Warszawa jest stekiem zalotnic, a najgorsze nie są podobno na dole! Wiem że młody, bogaty, pięknego imienia, wystawiony będziesz na rozmaite sidła, ale mam nadzieję, że w nich nie ulgniesz. Słuchaj we wszystkim i radź się Labe Poinot, on ci niech będzie mistrzem. — Nadewszystko żadnych tajemnic przedemną. Pisz mi ze szczegółami co ci się tylko trafi i donoś co się w Warszawie, w świecie waszym dziać będzie. A teraz kochany Alfierze, żegnaj cię sercem matki, bądź zdrów!!

To mówiąc powstała równie zimno, obojętna jak gdyby rozpoczynała rozmowę, znać myśli jej i serce były gdzieindziej. Westchnęła zlekka i całując w czoło Alfiera, pożegnała go francuzkiem do widzenia.

Niktby przy tem rozstaniu, matki i syna w nich nie poznał, tak oboje rozchodzili się jakoś bez uczucia, bez łez, bez żalu za sobą. Alfier wyskoczył się ubierać, chcąc koniecznie choć za miasto przeprowadzić podczaszynę, ale nim na siebie suknię narzucił, nim się ogarnał, powozy jej już z dziedzińca ruszyły, a że się czuł zmęczony niezmiernie nocnem czuwaniem i pieszczoszek potrzebował jeszcze wypoczynku, ażeby świeżym pójść na wieczór do zamku, usiadł ziewając w krzesło posławszy po czekoladę, zostawując przeprowadzenie matki Labe Poinot.

Służący, który śniadanie przyniósł, oddał mu razem listę osób i kilka biletów rzucanych w bramie, świadczące że wielka część wczoraj z nim poznanym, już mu ranną grzeczną wizytę oddali, lub przynajmniej zapisali się u szwajcara. Nawet książę podskarbi i syn jego przysłali karty swoje; Alfier więc nieuchronnie przed wieczorem w zamku, powinien był tych panów wzajemnie objechać.

Przerzucając od niechcienia spis tych imion w części mu całkiem nieznanym, znalazł podczaszyc jedno, które go mocno zastanowiło. Był to złocistymi głoskami wycisk na pomarańczowej karteczce w następujących wyrazach:

Cavaliere Fotofero.

Nie wiedzieć dla czego, Michał powiedział sobie od razu, że ta karteczka i nazwisko musiały mieć związek z wczorajszem jego widzeniem. Długo przewracał ją, odczytywał, marszczył brwi, sam siebie zbijał i wyśmiewał — nareszcie postanowił zapytać jenerała o tego kawalera Fotofero, rzucając bilet zniecierpliwiony.

Właśnie w tej chwili jakby umyślnie przybył i pan jenerał sam, niespokojny widać o Michała, którego wziął pod opiekę swoją i jak wychowawca uważał.

Słówko o panu jenerale... (przypuśćmy że się nazywał Baucher). Widzieliśmy go już u księcia podskarbiego, słyszeliśmy popisującego się rozmaitemi zdaniem, lecz nie zawadzi poznać się z nim bliżej.

Jak Orlandini był typem żebraka stołecznego Stanisławowskich czasów, tak jenerał Baucher próbka wielce charakterystyczną dworaka w mundur ubranego.

Jemu podobnych miał ów dwór dosyć i najchętniej się niemi posługiwał; z kąd by pochodził i jakiego był rodu pan jenerał, nikt dokładnie wiedzieć nie mógł, nazwisko nosił niemieckie, a mienił się szlachcicem z Inflant czy z Kurlandji, z kąd do stolicy nie jedno podejrzanę przypłynęło szlachectwo. Za Augusta III jeszcze przybył on do Warszawy, wysługiwał się naprzód w regimencie Potockich, potem doszedł stopniami do pułkownikostwa i jeneraństwa, zawsze więcej wisząc przy dworze i zbijając bruki, niżeli wachając prochu i włócząc się za regimenterem. Mundur dla niego był tylko pozorem, tytułem, środkiem do życia w ostatku, ale za główne zajęcie nie uważał broni i wojennego rzemiosła. Potoccy używali go do swoich spraw sejmikowych i trybunalskich, wiedli do poselstw, na deputację i dysponowali nim jak chcieli. Jenerał nie przypatrywał się temu z bliska co robił, nie rozbiarał czy było sprawiedliwe czy nie, jakie za sobą wiodło następstwa, a posłuszny klient domu, przysięgły przyjaciel jego, czynił ślepo co kazano. Nie miał

on nadzwyczajnej odwagi, ale że naczelnicy partji rzadko własnego łba nadstawili, najczęściej się zastawiając plecami podwładnych, jenerał zaś intrygować i hałasować wybornie umiał — powodziło mu się niezgorzej. — Dobywał on szabli nieraz, ale po pijanu i gdy nieprzyjaciela na placu nie było, lub gdy dobrze wiedział, że znający jego impetyczność adherenci, zaraz go za ręce pochwycą.

Tak jakoś szło panu jenerałowi, że z promocji w promocją dostał kaduka którego sprzedał, sołtysostwo jakieś także prędko przefrymarczone na gotowy grosz, na ostatku stopień jeneralski, pensją, a co najlepiej, że zaraz w początku panowania Stanisława Augusta potrafił stać się potrzebnym królowi, później zaskarbić sobie u niego zasługi, nareszcie w codziennem jego życiu być już niezbędnym i niepozbytym sprzętem.

Winien to był niepospolitemu talentowi do intrygi, łagodności, dowcipowi swemu, usłużności i gotowości z jaką nie wzdygał się wszelkich podejmować poselstw i poleceń. W gruncie był to nie bardzo zły człowiek, który jeśli zdradzał przyjaciela, to z boleścią serca najwyższą, dobrowolnie nikomu źle nie czynił, i owszem usłużyć lubił, ale przedewszystkiem i wszystkiemi kochał siebie.

Celem jego życia było samo życie — nie życie byle się wlekło, ale co się zowie wygodne, rozkoszne, zbytkowe, błyskotliwe i hulackie. Temu by był poświęcił więcej niż się godziło. Gorliwy w spełnianiu rozkazów, nigdy przecie nie posuwał poświęcenia do głodu, pragnienia i anachoretyzmu chociażby krótkiego; a gdy mu wypadło wybierać między prywatją a nieposłuszeństwem, póty szukał środka, dopóki go wreszcie między niemi nie namacał i wykręcił się sianem.

W nauce życia jak w reszcie wychowania sam był swoim mistrzem — mówił kilką językami doskonale! mięszal czasami trochę łaciny, którą z uczęszczania trybunałów wyniósł; po francuzku paplał gładko, po niemiecku szwargotał *expedite*, po włosku wcale niezgorzej się wysławiał. Głębiej biorąc, żal było dobrego serca, które miał niewątpliwie, utopionego w takim braku charakteru. Ani wiary, ani wyższego pojęcia godności i obowiązków człowieka, nie można tam było szukać; brzuch panował całemu żywotowi, odrobinką rozkoszy byłby go zaprowadził do wrót samego piekła.

W towarzystwie był to najprzyjemniejszy w świecie człowiek; acz już dobrze nie młody, czciciel jeszcze wielki płci pięknej, a nawet i nie bardzo pięknej byle młodej; do kart namiętność nieprzewyciężona, ale umiarkowana strachem; pieczeniarski w swoim rodzaju najdoskonalszy, bo dla potrawy nowym smakiem przyrządzonej, gotów był się maleńkiej podłości dopuścić.

Lubił przytem pieniądze, choć go się nie trzymały, bo ich nie szanował — długów miał zawsze po uszy i śmiał się z nich, tylko honorowe to jest kartowe płacąc, a o innych ani myśląc. Przy dość znacznych dochodach, potrzebował ciągle, nieustannie pożyczał i tracił zawsze dwa razy tyle co miał.

Król bardzo lubił jenerała Bauchera, choć może nie miał dla niego wysokiego szacunku; czasem pożartował z niego, na co ten zezwalał ochotnie, bo wiedział, że im żart był boleśniejszy, tem się później sowiciej wypłacał; i jak Ryx nadstawiał się na łajanie lub, wedle famy pospolitej, szturchanie nawet, tak Baucher wywoływał niekiedy królewskie przycinki. Król używał go też często do sekretnych poleceń, wysyłał w różnych poselstwach, a za to ratował w potrzebie. Ze wszystkiemi usiłując być jak najlepiej, jenerał bywał wszędzie, nie zważając i nie przypatrując się bardzo jak go przyjmują. Jednakże książę podskarbi, pan hetman Branicki, pan kasztelan... i kilku ludzi tego rodzaju co lubili żyć, a nie zbyt surowej trzymali się moralności, składali najmiłsze jego towarzystwo. Sejmikowiczów obywateli, co to ostro byli zwykli stać przy swoim zdaniu, surowo się z życia swojego rachowali i do podobnej rachuby zwykli byli drugich pociągać, nienawdził i unikał. Wszelki zapał zwał on *bzikiem*, i dla niego dość było mieć wiarę w przyszłość, lub nieprzeparte zasady postępowania, żeby o *bzika* być posądzonym. W tem też podobno jenerał Baucher nie wiele się sposobem widzenia rzeczy różnił od pana Poniatowskiego, któremu zarówno brakło zapału i wiary, a przeto się one w drugich jakąś chorobą i aberracją wydawały.

Wszelki młody człowiek, przybywający do Warszawy, przechodzić musiał przez ręce jenerała i prędzej później opłacić mu należny podatek pożyczką pieniężną. Stary frant trzymał się tu niechybnie jednej zawsze i szczęśliwie obranej drogi: — naprzód stawał się użytecznym, nadskakującym, ułatwiał znajomości, wskazywał miejsca dogodne, oso-

by potrzebne, wprowadzał na dwór i do posłów, kupował karety i konie, forytował po mieście, prezentował, zalecał i obwoził — potem suto częstował przybyłego, poił, a jeśli się zgrać uczciwie nie udało, bez szachrajstwa ale po pijanemu, wprost przychodził o pożyczanie na dni kilka nie mniej jak kilkaset dukatów. Odmówić było niepodobna przyjeżdżającemu karetą i wprost z zamku, ale z pieniędzmi już się więcej nie zobaczył wierzyciel. Czasem tylko udało się potem przegrawszy do jenerała w karty w ten sposób pokwitować, ale w takim razie podatek uważał się za niepłacony i pożyczka rekapitulowała tylko innym pozorem i formą.

Ze sposobu życia Bauchera widzimy już że nie mógł się żenić, ożenienie nawet przeciwnie było jego zasadom, bo wiodło za sobą obowiązki i pewien rodzaj pęt uczciwych, a on spętany już swem położeniem, cenil tę resztkę swobody jaką miał. Wprawdzie jeszcze za Sasa ożenili go byli prawie z wdówką jakąś w Lublinie, ale zachwyciwszy od niej tysiąc dukatów, od kobierca stchórzył, posławszy tylko skrypt na miejsce swoje, którego naturalnie nie zapłacił potem. Kobiety lubił bardzo, kobieciarz był wielki, ale wyłysiawszy (czego pod peruką widać nie było) i nieco utywszy, w salonach powodzeń się wszelkich wyrzekł w porę i zwrócił ku tancerkom, śpiewaczkom i tym podobnym, łatwiejszych obyczajów a mniej wybrednego smaku, kobietom.

Miłość uważał jak obiad — doskonałą póki świeża i gorąca, niestrawną gdy ostygła, co dzień też szukał sobie nowej, jeśli nie miłości to miłostek, dla siebie i dla drugich, bo i w tym względzie usłużnym był na podziw. Utrzymywano powszechnie, że on pierwszy, nie starosta Piaseczyński, miał honor zapoznać Stanisława z piękną panią Lhuillier, która chwilę jakąś zdawała się iść o lepszą z panią N. N., dopóki Stanisław August nie uległ zupełnie nałogowi, który go coraz więcej do niej przywiązał i na wieki przykuł wreszcie... a jak niektórzy utrzymują ślubem się nawet tajemnym z nią połączył.

VI

Widzę że trafiam na czekoladę, trochę to późno — rzekł jenerał siadając zasapany — ale jeśli dobra, prawdziwa włoska, możebym się jej i napił. Od niejakiego czasu naśladować począłem króla, *exemplum ab alto* i filiżanką buljonu posilał się z rana, ale że mi go Tremo i Szytz nie sporządzają, tylko Kopcidy z garkuchni pod Łososiem — coś mi to nie służy, nie posila.

Podczaszyc kazał podać czekoladę, a jenerał surowo zalecił, żeby mu do niej wody zimnej i biskoktów podano, poczem podśpiewując zasiadł wygodnie na kanapie.

— No kawalerze — rzekł — jak-że się spało po wczorajszej eskapadzie? domyślam się że dobrze, bo długo.

— Aż nadto — odparł podczaszyc — miałem matkę przeprowadzić do Łowicza, aż mi teraz wstyd, że bezemnie pojechać musiała.

— Pojechała! szkoda! dokąd-że przecie?

— Do Włoch...

— Szkoda! wielka szkoda! że nas pani podczaszyna opuściła (w duchu dodał: dobrze zrobiła że sobie pojechała) — była to jedna z ozdób Warszawy i dworu naszego, dziwnie zakonserwowana piękność!! Nie znam przytem kobiety z większym taktem, z lepszym gustem i wyborniejszym tonem, tak jak ona swemu czasowi odpowiadającej. Król JMć w największej ją zawsze miał estymacji — wielka szkoda! — dodał wzdychając — ale podczaszyc nam zostajesz na dłużej? nie prawdaż?

— Tak jest — rzekł Michał — pragnę się nieco przybliżyć do dworu i potrzebuję na przyszłość poformować stosunki w stolicy.

— Rzecz arcy potrzebna! nic nad stosunki w życiu, kawalerze! to daje konsyderację, powagę, a złym razie, czego Boże uchowaj, nie raz poratuje. O stosunki proszę się nie troszczyć, porobiemy je łatwo. Przypadłeś mi do serca kochany podczaszycu, od czasu jakem miał przyjemność widzieć cię gospodarującym w Głuszy; radbym ci być użytecznym, proszę mną dysponować. Podczaszyc skłonił się w milczeniu, a jenerał podał mu rękę do uścisku.

— Ale proszę cię panie jenerale — przerwał Alfier, przypominając sobie tajemniczą karteczkę Włocha, której na stole szukać począł — gdzieś mi się tu bilet pewien zawie-

ruszył, że go znaleźć nie umiem, racz mi z łaski swej powiedzieć, pan co znasz wszystkich bywających u podskarbiego — kto to jest *Cavaliere Fotofero*?

— Cavaliere Fotofero? Fotofero! czy się pan nie mylisz? Cóż to jest? o nikim podobnym nie slyszalem, chyba wczoraj przybył do Warszawy — pokaż mi pan jego kartę, to jakaś omyłka...

Podczaszyc przewrócił co tylko było w pokoju, szukać kazał na ziemi, posłał po ludzi, żeby przetrzęśli i znaleźli zgubioną kartkę, ale tak się gdzieś zawieruszyła, że szukać jej nie było podobna. Jenerał tymczasem utrzymywał że żadnego Fotofera nie było w Warszawie i być nie mogło, bo by o nim wiedzieć musiał.

— Zresztą — dodał — spytam dziś księcia podskarbiego, lub lepiej często od niego znającego gości kapitana Kukumusa, powiedzą mi co to za intruz — ale wątpię, żeby i mnie się kto tak przemknął niespostrzeżony.

— Uderzyło mnie dziwaczne nazwisko — przerwał Michał, nie nalegając — chciałem wiedzieć co to za figura.

— Dowiemy się o tem, ale cóż pan robisz dzisiaj? — zapytał mentor — potrzeba oddać wizyty, a wieczorem koniecznie być w zamku.

— Tak właśnie i ja sobie zamierzam.

— Gdzież obiad?

— Zapewne u siebie zjemy?

— A pfe! któż to widział — mamy kilka domów otwartych do wyboru — i najlepsze towarzystwa — jeść samemu z sobą w kącie nie godzi się. Ja pana zabieram i nie ruszam się ztąd, póki się nie ubierzesz — bez ceremonji — odpocznę tu sobie trochę.

Kończył te słowa, gdy Labe Poinso, który podczaszynę odprowadziwszy do rogattek tylko, powrócił — wsunął się do pokoju, odwiedzić swego wychowańca, i rozpytać nieco o dalszych jego obrotach. Nie pilnował bardzo natrętnie podczaszyc, któremu zostawił aż do zbytku swobody, ale miał sobie za obowiązek, raz w dzień przynajmniej się z nim zobaczyć. Resztę dnia Labe spędzał w towarzystwie swoich współziomków, u Piatolego, przez którego chciał się wkręcić na jakąś posadę, na odwiedzinach i intrygach, wiodących do tego upragnionego celu dostania się na dwór królewski. Najwięcej jednak pokładał nadziei na podczaszycu, który mu serdecznie sprzyjał, na Piatolim sekretarzu króla i Ryxie zdawna i poufale znajomym, obiecującym mu jedną z sekretarji lub lektorjaj przy Stanisławie Augustie, byleby przez jaką nominacją miejsce zawakowało.

Jenerał i Labe spojrzeli na siebie z ukosa i od razu się pojęli, tak, że gdy ich zapoznawał sobie wzajemnie podczaszyc, z niewypowiedzianą uprzejmością przysiedli się do ożywionej rozmowy. Labe upatrywał już sobie nowego protektora w panu jenerale, a stary dworak przeważając, że to mentor podczaszyc co by mu mógł przeszkadzać, usiłował wkraść się w jego przyjaźń i zaufanie.

Scena była dość komiczna, gdy oba obsypywali się grzecznościami, które leciały gradem jak karnawałowe rzymskie cukierki; — opamiętali się dopiero, gdy postrzegli że wspólnie sobie potrzebni być mogą i pochowali do kieszeni komplementa, pomiarkowawszy, że nie koniecznie warto je było ekspensować.

Labe zasiadł poufalej rozpytując podczaszyc.

Jenerał wglębił się w kanapę rozpowiadając coś o swej u króla wziętości.

Oba się już doskonale na sobie poznali.

— Słyszałem — rzekł Poinso po chwili — o nocnej pańskiej hulance, kochany podczaszycu, ale ostrożnie z tem, panie Alfierze! ostrożnie — zaklinam cię. Twoja młodość wystawia cię na ustawne szwanki, dobrze jest jej używać, ale nie szafując...

— Bądź pan spokojny — śmiejąc się odpowiedział Alfier — będę jej używał oszczędnie, skąpo, z jutrem!

— To i moja rada — pochwycił Baucher — chociaż prawdę powiedziawszy — dorzucił zaraz dowcipując — młodość jest to kałamarz, co się z niego nie wypisze to wyschnie.

Labe się uśmiechnął.

— Ale go wylewać nie potrzeba! — dorzucił.

— Wartoby nawet zatykać jak najszczelniej, gdyby to co pomogło — rozśmiał się pan jenerał.

— A co panowie dziś myślą? — zapytał Poinso, łącząc ich obu nie bez intencji.

— Kilka niezbędnych wizyt oddamy zaraz, a wieczorem jesteśmy w zamku.

— Doskonale — przyklasnął nauczyciel — zamku nigdy opuszczać nie potrzeba, *voilà l'essentiel — le roi avant tout.*

— Będziemy pilnowali podczaszycy, żeby o tem nie zapominał — rzekł jenerał.

Po chwili przerywanej tak rozmowy, którą podczaszyc wiódł z drugiego pokoju odpowiadając przy ubieraniu, — wyszedł nareszcie wystrojony, wyświeżony i istotnie tak piękny mimo dosyć śmiesznego stroju owych czasów, że jenerał aż westchnął z zazdrości spojrzawszy na niego.

— Ha! — rzekł — aż złość porywa spojrzawszy na tę młodość, co to za skarb nieopłacony, cobym to ja dał, żeby mi się choć na roczek wróciła.

— Ja myślę — przerwał wstając Labe — że nie wiele jej panu jenerałowi wyszło, dużo się także wypisać musiało.

Baucher westchnął z głębi serca i żołądka.

— Siak, czy tak — dodał — a szkoda mi jej, oj! szkoda! Mam odesłać moją karetę, czy prosić do niej pana podczaszycy?

— Moje konie gotowe, siadajmy jenerale — do zobaczenia Labe.

— Polecam się jego pamięci! grzecznie kłaniając się rzekł Baucher.

— To do mnie właściwiej należy, schylając się do pół, szybko przerwał Poinot — mam honor polecić się i pamięci protekcji waszej ekscelencji.

Kilka razy jeszcze posunęli nogami, skłonili głowy upudrowane, uśmiechnęli się wdzięcznie, i jenerał spuścił się po wschodach, rad że nareszcie Francuza się pozbył.

VII

Wyjechali tedy rozrzucić bilety i zapisywać się u drzwi domów, które im odwiedzić wypadało. Jenerał towarzyszył chętnie, a podczaszyc nienasycony jeszcze Warszawą, ciekawymi oczyma spoglądał na ożywiony obraz ulic pełnych pospółstwa, wojska, panów, szlachty, żydowstwa i największej ludu mieszaniny. Karetą ich mijała mnóstwo powozów z których wyglądały pięknie strojne panie lub upudrowani kawalerowie z kapelusami pod pachą; rzadki polonus ukazywał się z za szkieł, gdyż to co karetami jeździło, już strój dawny porzuciło — *Regis ad exemplum*. Pieszko tylko bokami szły delje i kontusze, a ostatek demeszek stukał po bruku.

Przyznać potrzeba, że Warszawa przedstawiała się w tej chwili z fizioznomją wielce ożywioną i ruchawą; znać było w niej jakby przygotowanie się wewnętrzne do ważnego wypadku, do wielkiego dzieła. Napływ osób z prowincji był ogromny, główne domy magnatów nieustannym gościom stały otworem; rozprawiano głośno o zaradzeniu nieporządkowi domowemu, i mówiono o ofiarach koniecznych jakich byt przyszły wymagał. Stronnictwo, które się trzymało, nie bez pewnego pozoru słuszności — wszystkiego co dawne, jakby obawiając by za wyjęciem jednej cegiełki sklepienia cały gmach nie runął — powiększyli ludzie bez przekonania, ujęci lub słabi.

Z jednej strony były najlepsze chęci, ale na idealnych oparte pomysłach, z drugiej, upór przy starym, więcej dowodzący bojaźni niż rozumu. Chwila to była, gdy nie w Polsce tylko, ale po całym świecie zawracać poczęły głowy utopje, a ludzie szukali to w źle pojętym stanie natury, to w źle zrozumianej historii starożytnej nowych form dla chorego społeczeństwa. Toż samo działo się u nas: wrzały poczciwe serca i głowy, drżeli bojaźliwsi, a garstka samolubów przerzucając się na stronę, w której upatrywała siłę i nadzieję zysku, zwijała się dołem. Już przebąkiwać zaczynało przed czteroletnim sejmem, który się niebawem miał rozpocząć, o tem co miało być jego zadaniem! Odważnie mówiono co powinien był spełnić, i król nie widział sposobu oparcia się żądaniom powszechnym, choć on w żaden ratunek i przyszłość nie wierzył. Omamieni wielkimi obietnicami stronnicy aljansu z królem pruskim, całą pokładali nadzieję na przyrzeczeniach berlińskiego dworu, które Lucchesini rozsiewał. Ten stan umysłów przedsejmowy, to dążenie do reform jakich tylko dokonać jeszcze było można, wszędzie już jawnie się objawiało, nawet w wyborze posłów. Śmieli się tak zwani *pieczeniarze*, ale żółto i nie bez strachu, przewidując może, iż o nie jedną przeszłość sejm się ten upomni, o czem już coraz gęściej przebąkiwano. Tymczasem, drudzy wiarą i męstwem zbrojni, brali się już do dzieła, które piękną przynajmniej kartę w dziejach zostawić miało.

Warszawa, jako serce kraju, była w tej chwili najsilniej wszystkimi myślami, rządami i nadziejami ogółu; z tego ogniska rozchodziły się elektryczne prądy po całym kraju, rozgrzewając umysły, krzepiąc upadłych na duchu. Pragnienie reformy wszakże, jak wszystko co silnie wzrasta, posuwało się w początku aż do przesady; chciano zburzyć co tylko było, z wielkiego żalu, że samo się obronić i ostać nie mogło; wygładano wielkich rzeczy od filozoficznych pomysłów, i przez przywiązanie do kraju zapominano o wszystkim co jego odwieczną narodowość stanowiło. Jedni zwracali się z reformą do obyczajów, drudzy do sukni, inni do praw, wojskowości, duchowieństwa, do mieszczan i ludu. Powtarzam, było to rozpaczliwe wynajdowanie środków, ale za winę mu pocztytywać nie można, że się na wszystko rzuciło, bo uczucie więcej nim kierowało niżeli zimna rozważa. Rozumowano potem na tle uczucia tego, ale nie samoistnie — niestety! i zwyczajem naszym zwracano się po wzory wszędzie, omijając dawne własne, niechcąc reformy umiarkowanej, a w radykalnej upatrując jedyne lekarstwo.

Jenerał patrzył na to oczyma dworu, to jest bez wiary w środki, z obojętnością człowieka, który używa dni swoich ostatka; nie rachując nic na przyszłość, dowcipnie drwił sobie z tych usiłowań, a sam przyznawał się chętnie do nazwiska pieczeniara. Podczaszyca mało to wszystko obchodziło, gdyż nie miał jeszcze pojęcia ani stanu kraju, ani obowiązków swoich, ani gotującego się jutra — gniewało go tylko co groziło zamieszaniem spokoju i przerwaniem pasma dni jasných, które sobie obiecywał.

Nie uszło jego oka gorączkowe całej ludności Warszawy zaprzątnienie, ruch umysłów, przygotowania ku czemuś, czego się bardziej obawiał niż pożądał, przedewszystkiem myśląc o sobie.

Jenerał wyjechawszy na ulicę zasępił się spotkawszy kilka twarzy, które do stronnictwa Lucchesiniego należąc, zawsze na nim przykre czyniły wrażenie; minął Małachowskiego, Zamojskiego, Ignacego Potockiego, Kołłątaja i kilku innych grzecznym pozdrawiając ukłonem, ale z widocznym niesmakiem.

— Poszaleli ci ludzie odezwał się, gryźć tak pocziwego króla! Jużci on lepiej wie co dla kraju zbawienniejsze, ale szał ich opanował, zbrzydła im spokojność, nawarzą nam piwa! Książę podskarbi w biały dzień już się niemal na ulicę pokazać nie może, takie na niego *larum*. Podczaszycc potakując ruszył tylko ramionami.

— Przyjdą narady, będziemy mieli niebrzydką robotę, dodał Baucher, to jawna i oczywista że się na coś ważnego kroci, ale lepiej o tem nie myśleć. Gdy tak rozmawiają i rzucają oczyma, podczaszycc który był szybą wyrztał, dostrzegł w tej chwili wczorajszą twarz szatańską przelatującą w karecie która ich mijała tak prędko, że ledwie mógł pochwycić tę ohydną postać. Ów nieznamy z uśmiechem, jakby przypominając się, oddał mu grzeczny ukłon.

— Kto to jest? spytał żywo jenerała — ale jenerał właśnie był obrócony w drugą stronę, nic nie widział, i wychyliwszy się za wskazanym powozem, nikogo już zobaczyć nie mógł.

To spotkanie znowu popsulo humor panu Michałowi, podrażnionemu widocznie. W tym stanie zaciekawienia i niecierpliwości, poczęli przelatywać od domu do domu krótkie oddając wizyty, niepotrzebując najczęściej wysiadać nawet, gdyż ich nie przyjmowano. Rad temu był podczaszycc, bo się lękał wydać z wrażeniem którego doznał i pozbyć się nie mógł. Chociaż księcia podskarbiego także w domu nie było, jenerał wysiadł na chwilę do kapitana Kukumusa, dowiedzieć się ktoby był ów Cavaliere Fotofero, ale nic tam nie zyskał, gdyż o żadnym tego imienia gościu wczorajszym kapitan nie wiedział, a w tłumie ciężko też było każdego spamiętać, zwłaszcza że na hulanki niespodzianie cisnęła się nieraz najrozmaitsza ludzi mięszanina i ścisłego w niej wyboru nie robiono.

Nadeszła pora obiadowa, a jenerał obiecał był swego protegowanego koniecznie gdzieś zawieźć, żeby sami nie jedli; zabrał go z sobą do księżnej wojewodzicowej mściławskiej, matki Kazimierza Nestora młodego jenerała artylerji, przed kilką laty z podróży do Włoch, Francji, Anglii i Niemiec przybyłego, — powszechnie naówczas zwanej imieniem uszczypliwem *matki ojczyzny*.

Księżna wojewodzicowa, która chwilowo teraz przebywała w Warszawie, bo zwyczajnie od czasu jak ją z łask królewskich wypchnęły okoliczności, mieszkała w Kodniu, miała

przecie dom na stopie wcale pańskiej chociaż w utrzymaniu jego przebijała się przymuszona oszczędność i przykre interesa.

Pani ta już nie pierwszej młodości, wielce czynnego umysłu, władająca i gospodarująca sama w wielkich swych dobrach na Podlasiu i w Wielkiej-Polsce, prawująca się po wszystkich trybunałach, w długach po uszy — przyjeżdżała do Warszawy ilekroć ją do tego własne lub protegowanych interesa zmuszały. Miała ona jeszcze wstęp do króla, który się jej nawet dosyć obawiał, bo mu nie dawała pokoju nieustannymi prośbami, a jeśli im zadość nie czynił, gromiła dawnego kochanka czasem nawet dość niegrzecznie. Mało podobno było kobiet w owych czasach, któreby obszerniejszą wiodąc korespondencją z dziesięcią najmniej adwokatami, z mnóstwem adherentów w Warszawie i na prowincjach, z hetmanem i całą niemal komisją wojskową, z przewodzcami sejmików w Wielkiej-Polsce, na Ukrainie, w Litwie — na więcej zatrudnień czas znalazły. Księżna wojewodzicowa była niesłychanie czynna. Wiodła procesa, pożyczala pieniądze, wdzierzała i zastawiała dobra, forytowała posłów, trzęsła trybunałami, rządziła synem i artylerją, których oficerów nominowała, wodziła za nos całą komisją wojskową, a po części brata hetmana, trochę króla, a prócz tego bawiła się w Kodniu wesoło, nie zapomniała o sobie, i mówiono (czego to ludzie nie powiedzą!) że strażnik koronny w wielkich był u niej łaskach, w niemniejszych przynajmniej od jenerała Kurdwanowskiego. Nie można powiedzieć, żeby ją bardzo lubiono w Warszawie (świadkiem on wiersz poczynający się — *przedwieczne n...*) ale obawiano się jej jako przeciwniczki, gdyż tysiące miała sposobów prześladowania swoich nieprzyjaciół, a raz kogo znienawidziwszy, nie przebaczała mu nigdy. Księżna wojewodzicowa, dobrze już podstarzała teraz i trądem okryta, starała się jeszcze być piękną! i na twarzy jej zostały ślady dawnego wdzięku starannie pielęgnowanego; nabrała była tuszy nieco, codzien przybywały jej po jednym daremnie wyciągane zmarszczki; troski, praca, rodzaj życia który wiodła, nauczyły ją też wcześniej zasępić czoło. Pomimo to wszystko, wieczorem przy świecach, jeszcze z daleka wyglądała nieszpętnie, i choć syn podrośł, nie wyrzekła się udawania młodości.

Niezmordowana nawet w zawodzie politycznym, co może było powodem danego jej przydomku, skoro do Warszawy przybywała, otwierała dom dla dawnych znajomych, chciwie pragnąc i nowin i udziału w intrygach. Cisnęli się tam wszyscy, co jeszcze lepsze czasy wojewodzicowej pamiętali, i sądzili, że z dawnych łask coś przy niej zostać musiało, lub wierzyli w partję hetmańską i jej przyszłość.

Jenerał z podczasycem weszli do dość pięknie umeblowanych pokojów pałacu Sapieżyńskiego, w których wszakże znać było, że w nim nie mieszkało ciągle. Meble bogate ale stare i nieco spłowiałe, franki trochę zblakłe, brak zresztą tych drobnostek, które kobietę otaczając gdzie dłużej zamieszka, dawały czuć opuszczenie gmachu, który z kolei, to pożyczano krewnym, to wynajmowano obcym, albo na swój zatrzymywano użytek, stale w nim nie przebywając. Wojewodzicowa przyjęła ich z grzecznym uśmiechem, poglądając ciekawemi oczyma na młodego chłopaka i nadzwyczajnemi obsypując go komplementami.

Alfier począł od wymówek, że go jenerał wciągnął na obiad nieprezentowanego, na swego towarzysza całą winę zrzucając, ale się mu nawet uniewinniać nie dano i księżna zrobiła mu miejsce obok siebie przy kanapie, udając czy szczerze radując się z jego przybycia. Podczaszyc rzucił okiem ciekawem na księżnę i pomimo że strój jej w miarę innych dam był trochę zaniedbany, twarz zwiędła i znużona, postrzegł na niej ślady wielkiej piękności, po tonie widząc w niej kobietę prawdziwie wielkiego świata. Gospodyni z nieporównaną zręcznością naprowadziła natychmiast rozmowę, badając młodego człowieka, pochlebając mu umiejętnie, nieznacznie, i zabawiając go ploteczkami, a wśród tego dysponując coś sekretarzom wchodzącym co chwila, posyłając ludzi z biletami na wszystkie strony, odzywając się w materjach coraz nowych do jenerała. Za tym żywym, bystrym i przytomnym umysłem ledwo zdążyć było można, tak się przerzucał łatwo z jednego przedmiotu na drugi.

Towarzystwo księżnej składali dnia tego sami domowi. Jenerał Kurdwanowski ostatni jej wielbiciel, wielki myśliwiec i koniarz; strażnik koronny Mierzejewski trochę dawniejszy faworyt; pułkownik W... Niemiec, syna niegdyś towarzysza i nauczyciela, dwie panny rezydentki i coś nieznajomych figur. Księcia Nestora nie było u matki.

Dwaj panowie, strażnik i generał, zdawali się na stopie wielkiej poufałości w domu. Kurdwanowski zwłaszcza, słuszny, barczysty, piękny mężczyzna, ale milczący, ponury i zamyślony. Strażnik koronny mniejszy od niego, starszy znacznie, trochę już otyły, ale jeszcze przystojny człowiek, szybko mówił, szeplenił, a grał lub grać sobie życzył rolę wielkiego pana! Ci dwaj panowie z generałem brygady Wielkopolskiej L...m składali trzy ręce księżnej; Kurdwanowski był ręką Kodeńską i domową, strażnik zajmował się ogółem spraw i interesów, generał brygady dobrami, sprawami i długami w Wielkiej-Polsce.

Oznajmiono do stołu, i wszyscy przeszli do sali jadalnej, w której zastawiony stół maleńkim się wydawał. Nakryty był pięknymi i ciężkimi srebrami z herbami Sapiehów, wspaniale przybrany, a liczba gości pomnożyła się kilku domownikami, którzy tu oczekiwali na księżnę wojewodnicową.

Nie wiem — zkąd myśl przyszła wymyślnemu co do jadła generałowi zaprowadzić tu podczaszyca, a bardziej jeszcze samemu na objad się wprosić, gdyż kuchnia wcale była nieosobliwsza, a potrawy choć na pozór wykwiłtne, nie celowały przyprawą i smakiem. Winko podano węgierskie, cieniutkie, kwaskowate, — księżna wcale się o to troszczyć nie zdawała, nie wiedząc czy jadła, i co jadła, bo jej to było zupełnie obojętne. Więcej daleko zajmowała ją rozmowa z podczaszycem, do którego się wdzięczyła i uśmiechała, to poprawując zaniedbanego stroju, to okiem rzucając niespokojnem w naprzeciw wiszące zwierciadło. Generał spoglądał na te manewra starej zalotnicy nie bez wewnętrznego szyderskiego śmiechu, Mierzejewski z ukosa, Kurdwanowski z widocznym jakimś nieukontentowaniem, bo co chwila ruszał ramionami i spluwał.

Alfier był tylko grzecznym, ale młody polityk, często więcej niż chciał powiedział i puścił się za daleko. Panny rezydentki zerkały nań pół z uśmiechami wielce znaczącymi, udając że nic nie widzą.

Już byli tak do pieczystego doszli rozmawiając o królu, o dworze i o paniach Warszawskich, na których niezmiernie je chwając, pocziwej nitki nie zostawiła wojewodnicowa, gdy hałas się zrobił w sieni, drzwi się otwarły i bardzo przystojny młody mężczyzna, w wytwornym stroju francuzkim, wbiegł, wiodąc za sobą drugiego podobnie przystrojonego po wojskowemu młodego chłopaka oryginalnej fizjonomji.

— To książę Kazimierz-Nestor, generał artylerji, szepnął Baucher, kolega mój ze szlify, potrzeba się mu prezentować, co się zowie tęgi chłopiec...

Jakby niezważając na całe towarzystwo matki, książę przybiegł prosto do niej, wiodąc za sobą oficera.

— Złapałem tu niespodzianie mego kochanego znajomego z zagranicy, pana Zajączka, rzekł zimno — i przyprowadzam waszej książęcej Mości matce dobrodziejce, bo się pragnął jej submittować i podziękować za szlifę; upewniłem go, że choć w objad wpadniemy, za złe nam tego w. ks. Mość dobrodziejka nie weźmiesz...

Księżna nie wstając nawet kiwnęła głową panu Zajączkowi.

— Jak się masz kapitanie? rzekła od niechcenia, i szepnęła synowi coś o Ordyńskim, gdyż książę podszedł ku niemu zaraz i zaprezentowany przez matkę, uprzejmie z nim zrobił znajomość. To go jednak zmięszało trochę, pokwaśniał spojrzawszy na Ordyńskiego: podano krzesła, rozmowa się na chwilę przerwała. Pan Zajączek w milczeniu swobodnie spoglądał na otaczających, usadowiwszy się za księciem na rogu prostego stołka, który mu lokaj podsunął.

— Pan podczaszyc będzie dziś zapewne w zamku? spytał książę generał obojętnie.

— Właśnie się tam wybieram.

— Będzie zebranie wielkie, król przyjmuje jakiegoś przejeżdżającego Anglika, sekretarza podobno ambasady w Petersburgu i chce świetnie przed nim wystąpić; zaproszono wiele osób, ale się nie zabawim na tej paradzie.

— Już to pozwól powiedzieć mój Kaziu, przerwała księżna z minką pogardliwą prawie, że teraz wasz zamek ani w dnie galowe ani dnia powszedniego nie zabawny — wielka to różnica od lat trochę dawniejszych, kiedyś jeszcze w Warszawie mieszkała; wówczas to było całkiem co innego.

Książę się uśmiechnął i całując matkę w rękę rzekł cicho:

— Trochę i my sami temu winni mościa księżno.

— A to jak?

— Bo się teraz bawić nie mamy ochoty, to też i nie bawimy wcale... Księżna pani zbyt się obciążasz pracą, my zaś młodzi znajdujemy, nieprawdaż podczaszycu? że Warszawa dość wesoła i żywa?

Nim się podczaszyc zebrał na odpowiedź, księżna mu przerwała:

— A któż temu winien mój drogi Kaziu, jeśli nie ty? wszakże muszę dla ciebie gospodarzyć i troskać się, bo sam się zająć interesami nie chcesz i nie umiesz. Mnie to i panu strażnikowi, co tak łaskaw że nam pomaga, winien będziesz, jeśli ci kiedyś zdam majątek i interesa uregulowane, ale to mi życie zabiera.

— A! na cóż te ofiary! odezwał się generał wesoło — i bez tego wybornie by nam wystarczyło, a wołałbym widzieć żebyś się wasza księżęca mość bawiła wesoło, choćbym tam kiedyś miał trochę mniej mieć!

— Utrzymujcie sobie kiedy chcecie, zwracając się do pierwszego przedmiotu dodała księżna, utrzymujcie że teraz lepiej i weselej, ja tego nie powiem, wszyscy jesteście jak na przyczepku.

— Księżna pani ma słuszność — rzekł pan Zajączek.

— A ja się na to nie godzę, dodał księżę generał — wszystko doskonale, gdyby jeszcze było lepsze trochę polowanie pod Warszawą, to by tylko i żyć, nie prawda Kurdwanowski?

— Toż samo pisałeś mi Kaziu z Turynu, potem z Paryża, w ostatku ze Strassburga... wrzuciła matka.

— A! Paryż, wzdychając — rzekł księżę — Paryż to raj ziemski, z tem się nic nie porównywa.

— Czemu będzie Warszawa mości księżę, spytał szepleniąc pieszczotliwie strażnik Mierzejewski.

— Jest to tylko sen o raj! i księżę westchnął znowu głęboko.

— Doprawdy nie wiem, przerwał generał Baucher, co tam ma lepszego wasz Paryż, mości księżę... Już ciż pięknych dam i nam nie braknie, polerowanego towarzystwa także, wielkich domów, dworu wspaniałego, zabaw a nawet teraz i teatr mamy...

Księżę generał rozśmiał się na całe gardło.

— Chce mi się z szambelanem Węgierskim powtórzyć o naszym teatrze — *aż ku śnieżnym Tatrom* — ale cóż to za teatr przy paryzkim! parodja tylko! Damom naszym nie uwłaczam, chociaż...

— Mości księżę ostrożnie, za damy gotowiliśmy się wszyscy pojedyńkować, nie życzę się narażać...

— No, to lepiej o tem nie mówmy...

— Drażliwa materja zwłaszcza przy księżnej pani, która jest świetną gwiazdą naszego towarzystwa, pospieszył dodać Baucher z francuzką grzecznością.

— Oj! gwiazda to zaćmiona, śmiejąc się zawołała wojewodzicowa z poglądem w zwierciadło, niestety! potwierdzające ten wykrzyknik, — nie żartuj generale — ot lepiej, wstańmy od stołu, kawę ponieśli...

To mówiąc szepnęła coś na przódce w ucho strażnikowi i dwóm sekretarzom przywołanym skinieniem.

Wszyscy zatem przeszli do sali bawialnej, gdzie rozmawiając, cały stos listów przygotowanych podpisywała wojewodzicowa, a Kazimierz-Nestor zbliżył się tymczasem do podczaszycy, którego fizjonomia pełna młodzieńczego wdzięku, pociągnęła go nareszcie ku sobie. Poczęli rozmowę o przedmiotach obojętnych — księżę jakby próbując nowopoznanego, z różnych go stron zaczepiał, uczeń Labe Poinot wszakże zdał ten rodzaj egzaminu na przódce, nie straciwszy śmiałości, w sposób wcale zadowolniający. Na końcu spytał go generał czy był za granicą, a otrzymawszy odpowiedź, że się dopiero w podróż wybierać myśli, polecił mu Paryż jako najdoskonalszą szkołę młodzieży. Westchnął jeszcze razy parę i odszedł do Kurdwanowskiego.

Księżna tymczasem trzy na raz wiodąc rozmowy, podpisała instrukcją plenipotentowi, dwa inwentarze dzierżawcom, trzy listy do adwokatów, kilka instancjonalnych, i wśród tego zajęcia, nie spuściła z oka nikogo z towarzystwa.

— Bogdajby był król przy niej pozostał — rzekł wychodząc generał do podczaszycy, to kobieta z głową! tamta stęka tylko i wszystkiego się obawia.

— Zapominasz panie generale, że w głowie gdyby była najlepsza kochać się trudno, śmiejąc się odparł podczaszyc.

— Ba! i to racja! mruknął stary — jenerałowa nie ma tęgiej głowy to prawda — ale — ...

VIII

Przebrani na nowo, jenerał i pilnujący się go podczaszyc, któremu na rękę był mentor tak dogodny, udali się wieczorem do zamku, gdzie już zastali wielki natłok karet, wszędzie jakieś przygotowania nadzwyczajne, których wystawność uderzała tylko oczy przywykłe, a dla cudzoziemca ująć mogła za chleb powszedni. Król dnia tego przyjmował na wielkich pokojach, a świeżo za panowania jego przyozdobiony zamek i odnowiony, jaśniał wielkim przepychem i wytwornym smakiem. Sale zawieszono były utworami pędzla malarzy dawnych, wybornymi kopjami uczniów Bacciarellego i kompozycjami tego artysty, który tak dobitnie dziełami swemi epokę Stanisławowską przedstawić potrafił.

We wszystkim co malował ulubieniec Poniatowskiego i nadworny królewski intendent wydziału sztuk pięknych, przeglądał czas ów, jego charakter, a przez pojęcie piękna przebijają się wszystkie wieki pojęcia, cała niemal filozofja jego. O! sztuka często sama o tem niewiedząc, jest wielkim historycznym pamiętnikiem ducha wieków — jak w malarzach dworu Ludwika XIV. cały się wiek jego przedstawia, tak w historii Salomona, w portretach nawet Bacciarellego, epokę jego czytamy.

W obiorze przedmiotów, w ustawieniu postaci, w nadanych im rysach, w wydaniu ich charakteru, nawet w nienaśladowanej miękkości i mglistości pędzla Bacciarellego, pisze się historia ostatku lat XVIII. w., lepiej niż w wielu pamiętnikach.

Jego obrazy mają ten urok, ten wdzięk przesadny, i trochę manjerowany, tę wytworność, tę harmonjną bez śmiałości w kolorycie, i myśl sentymentalizmem osłaniającą lubieżność, która panowała w ówczesnym społeczeństwie i była jego cechą.

Brak im siły, brak barwy żywej, brak namiętniejszego ruchu, ognistego że tak rzekę wcielenia. Znac, że to malowali ludzie, którym ręka stargana rozpustą drżała. Zdaje się, że dmuchnąwszy silniej znikną ci z przed oczów te śliczne widma, uśmiechnione, wystrojone, ale w których krwi mało, a odwagi nic. Nie weźmiesz pewnie za bohaterów tych lalek i paniątek ukoronowanych. Nawet gdy Bolesławów, gdy Batorych chce pojąć i wskrzesić pędzel artysty, daje im więcej elegancji niż siły, wdzięku niż ognia, a że z niemi nie sympatyzuje, bo dlań heroizm barbarzyństwem trąci, woli Estherę i Ahaswerusa, woli Salomona i Sabę, sceny mitologiczne w którychby się pan i jego ulubieniec umieścić mogli, niżeli boje i walki, ofiary i męczeństwa. Salomon najbardziej przypada mu do smaku, i pędzel nawet staje się pochlebcą w jego rękach, lub uwiecznieniem miłostek, które wstyd utaić był powinien.

W wielkich salach zamku natłok był i ścisk panów, ale król jeszcze się nie ukazał. — Mundury wojsk, stroje dawne polskie, połyskiwały obok barw cudzoziemskich, fraków, dokoracji i peruczek. Fryzury i francuzkie mody przeważały nawet w tym tłumie różnobarwnym, pełnym szat migocących jak gołębie szyje, papuzich, mienionych i mdłych jak ludzie co je na siebie wdziewali. Pierścienie, łańcuchy, sprzączki, brylanty, błyskały na męzkich ubraniach jakby w kobiecym stroju, brakło tylko piór i gazy, dla dopełnienia maskarady. Podczaszyc, który dopiero raz drugi czy trzeci był na królewskim dworze, a nigdy jeszcze tak świetnego przyjęcia nie był świadkiem, zdumiony i zmieszany trochę, nie wiedział co począć z sobą, bał się posunąć naprzód, a nie znając tylko kilka osób i mało wiedząc obyczaju dworskiego, stał w miejscu jak wryty. Szczęściem troskliwy jenerał Baucher, który dnia tego nie był na służbie, nie spuszczał z oka swego pupila.

Czekając na Najjaśniejszego, przytomni rozdzielili się na kilka grup i rozmawiali po cichu — główne grono otoczyło kołem wielkiego posła, który siedząc przyjmował chcących mu się przedstawić, i miał minę całkiem królewską.

Jenerałowie Komarzewski, Kicki, Garczyński, byli już nieco znajomi podczaszycowi, równie jak ci co w Głuszy z królem gościli — ale większa daleko liczba została mu obcą, tak z dworaków jak z przybyłych do Warszawy senatorów i znakomitszej szlachty. Jenerał z wielką uprzejmością sam się tu ofiarował za tłumacza i przewodnika, wymieniając mu z kolei wielkie imiona i imiona sławne, i te które podówczas wielkość sobie roily, a dziś leżą w zapomnieniu. Najciekawszym może był poczet literatów królewskich, który się tu i ówdzie zmieszał z pospolitym tłumem, wyróżniając od niego głośniejszą wymową

i budzącymi uśmiechy dowcipkami. Jedni z nich mieli na sobie suknie duchowne, drudzy francuzkie fraki, żaden podobno w stroju starym polskim nie chodził — to jedno bardzo wiele mówiło!

— To jegomość ksiądz biskup kujawski, mówił pocichu wskazując osoby jenerał, widzisz go rozmawiającego w kątku z panem kasztelanem Ł... O kasztelanie wiele by mówić można, ma biedak nieprzyjaciół, duchowni go nie lubią, zagorzalcy nań plują, ale to dobre czelczyisko... Ludzie go pomawiają, że sobie wykroił nieszpętną fortunę z rewerendy nieboszczyka prymasa Podoskiego, że wyfrymarczył jakimś procesem drugie tyle od pewnej jejmości, że spekulował na założeniu łazienek w Warszawie... ale czego to ludzie fałszywie sobie rzeczy tłumacząc, nie splotą!

To pewna że je paradnie, bawić się lubi, wesół i głowa nie dla proporcji: da Bóg doczekać sejmu, zobaczymy jak będzie gardłować, bo za katy wymowny!! Ten pan co rozmawia więcej oczami niż usty z wojskowym, to pan szambelan Łojko, pierwszy u nas statysta, człek ogromnie uczony, który pewnie więcej umie i wie od wielu innych co za sawantów tu uchodzą i do pióra się porywają, ale taki leń, że nigdy nic nie robi, choć się zawsze zbiera. Czasem słówko bąknie, porwą i użyją je drudzy... Czyta, myśli, notuje, gawędzi a zresztą szambelanuje.

— Ależ i to ciekawy człowiek, ten wojskowy któremu w tej chwili szambelan Łojko coś od niechcienia mówi, bo to pan Józef Bielawski, adjutant buławy Litewskiej, co pierwszy pono u nas począł dla teatru pisać. Węgierski bestja zajeździł go, że musiał schować pióro do kieszeni od dawna, wydawszy *Dziwaka*. Ja tam się na tem nie znam, ale mówią że szkoda.

— A gdzież Węgierski? spytał podczaszyc, który już zasłyszał o dowcipnym satyryku epigramatyście tak ostro chłostającym współczesnych, że się go wszyscy jak ognia obawiali.

— Ten słuszny ot tam stojący mężczyzna, pięknej pociągłej twarzy, bystrego oka, na pozór taki poważny i serjo, to właśnie pan starościc korytnicki; nikt by patrząc na niego nie powiedział że to taka kuta sztuka... Mówiąc z nim zdaje się choć do rany przyłóż, łagodny jak baranek, słodki i miluchny, ale drasnąc go, lub popaść mu na język! Drżą przed nim wszyscy, bo nikogo nie poszanuje, ale *vir integerrimus* — tylko to bieda, że sam też hulaka niepomiarkowany i karciarz jakich mało. Król mu za dowcip wiele przebacza. Że hula nic dziwnego, czemu nie użyć młodości, ale zbyt zdrowia nadszastał, a pieniędzmi sypie... kieszeń dziurawa... teraz się już nim nie pocieszym długo, wygrał słyszę 20,000 dukatów i nie żartem plunąwszy nam w oczy, wybiera się do Paryża przestąpić ten skar-bik... Szczęśliwej drogi! nie pohula długo, kieszeń dziurawa, kieszeń dziurawa!

Jenerał nie lubił bardzo dziurawych kieszeni, raz że sam doświadczał jak to rzecz przykra, powtóre, że z nich do swojej nic przesunąć nie mógł.

— Ten ponuro stojący z boku, dodał — to kasztelanic wiski, szambelan J. K. Mości, głucho-niemy; król co tak litościwie ma serce, opiekuje się tym biedakiem jak swoim dzieckiem, inaczej nie wiem co by Wilczewski na świecie począł! Dalej ten słusznej postawy, wyprostowany, wysokiego czoła, dumnego spojrzenia, to poeta nasz Trembecki; znać w nim zaraz dworaka co miał zaszczyt bywać na pokojach Ludwika XV. harda dusza, serce ogniste, wymowa rzadka, kortezan a fantastyk, co się z sobą nie godzi, lepszych od siebie ma za baj-bardzo. Śpiewa ody godne Pindara jak utrzymują znawcy, do króla bardzo przywiązany, kobietki lubi i byle co, za piękne oczki do szpady się porwie... to w nim chwale, że jak Węgierski nie mięsza się do klubistów i nowatorów. — Księżda biskupa Naruszewicza pan znasz, a dalej...

Dalej już mówić nie mógł, choć miał kogo jeszcze wyliczać, gdyż król Jegomość wszedł na pokoje zrobił się zamęt i wszyscy razem poczęli się podsuwać ku niemu. Różnica tylko była w sposobie jakim się przybliżali goście zamkowi do króla: jedni prąc się niecierpliwie, drudzy przysuwając ciekawie, inni natrętnie chcąc wpaść w oko, lub nieśmiało, zdaleka pragnąc słówko jakie z ust Najjaśniejszego zachwycić.

Stanisław August chociaż przybrał postawę dni jasnych i wdział na siebie świeży mundur kawalerji narodowej, nie miał oblicza pogody, którego pożyczyć trudno; — uśmiechał się z jakimś przymusem, obłok zasuwiał mu oczy znużone, usta się zaciskały wśród

słów rozpoczętych. Pomimo widocznego wszakże wewnętrznego cierpienia, postawę miał pełną godności, powagi, wspaniałości i dostojeństwa.

Powitał swych gości po królewsku, a dostrzegłszy z rezydentem angielskim panem Haynes i Lucchesinim posłem pruskim, idącego ku sobie baroneta Anglika, który mu miał być przedstawionym, okiem uprzedził jego prezentacją i przywitaniem. Znać wiele mu o to chodziło jak się okaże temu podróżnemu z daleka, co zimne badawcze oko nań rzuciwszy, miał z wrażeniem jakie na nim uczyni odjechać do ojczyzny, a może kiedyś spowiadać się z niego przed Europą. Zdaje się że król go posądził o intencję opisu podróży i obawiał się by w niej pośredniego nie zajął miejsca — to pewna, że przyjął go z zalotnością i cały zwrócił się ku niemu, zaniedbując innych.

Towarzystwo po urzędowym przywitaniu znów rozdzieliło się na grupy: niektórzy usiedli do kart z posłem, który ich zaraz zażądał, inni pousuwali się we wgłębienia okien, a król do przyległego gabinetu rozmawiając uprowadził baronetta i cały niemal wieczór z nim tylko spędził w towarzystwie kilku poufałych osób.

Generał tymczasem korzystając z tego zaprzątnięcia pańskiego, które mu dawało więcej swobody, a na oku mając podczaszycę, robił mu nowe znajomości, zapoznawał go, prezentował, opiekował się nim gorliwie.

Robił wszakże wybór oględny w znajomościach, prowadząc go najprzód do potrzebnych lub miłych, a unikając literatów, o których z góry podczaszycowi powiedział, że to są przyjaźnie dla kieszeni niebezpieczne, a czasami i dla spokoju niedobre.

Wreszcie odbywszy tę jak ją w duchu zwał pańszczyznę, którą z wprawą, bo dziesiąty może raz w życiu spełnił, opuścił na chwilę Michała, zostawując go samemu sobie.

Ale zaledwie się oddalił, Ordyński zmartwił niemal, postrzegłszy w oknie stojącą tę samą tajemniczą postać, która go już dwa razy tak silnie swoją uderzyła fizjognomią, przypominającą mu dziwnie szatana w obrazie św. Michała. Fotofero przyparty do marmuru, zwrócony do podczaszycę, stał z uśmiechem na ustach, w strojnym bardzo ubiorze czarnym, szytym bogato złotem, peruczkę miał maleńką, rękę na szpadzie, czarne pończochy i trzewiki z pięknymi klamrami, pod pachą stosowany kapelusik. Ledwie go ujrawszy zafotał się nieco podczaszyc nie wiedząc czy mu na poufały ukłon głowy ma odpowiedzieć lub uniknąć powitania, gdyż niewytlómaczony strach go ogarniał — tajemnicza ta figurka podbiegła ku niemu szybko i tuż się przy nim znalazła.

Zdawało się podczaszycowi z wielkiego strachu że poczuł zapach siarki i gorące zbliżenie się płomienia; zbliżona był to czysty djabeł, tylko ubrany przyzwoicie i przystrojony jak na królewskie pokoje. Wystawcie sobie oczy okrągłe, czarne, na wierzchu we łbie osadzone, szeroko szydersko rozkrojoną gębę, spiczastą brodę, uszy z kółczykami odstające od głowy i wyniosłe, a na dobitkę na wierzchu peruki dwa loczki zwinięte misternie, istne różki szatana. Zresztą był to zręczny, zwinny, niewielkiego wzrostu mężczyzna, który aż drgał cały, tak nim widać krew miotała wrząca.

Nim podczaszyc pospieszył mu ukłon oddać, począł do niego po włosku.

Zmieszany Ordyński, który próżno usiłował opamiętać się i ze strachu otrząsnąć, za-belkotał coś po polsku, a nieznamy dokończył komplementu po francuzku.

— Przepraszam — rzekł — że nie mówię po polsku, język to — dodał z uśmiechem — który polerowniejszych myśli terażniejszego wieku wyrazić jeszcze nie jest w stanie; rozumiem go, ale używać nie lubię, czekając aż go ci panowie (wskazał na literatów dworskich) ostatecznie wykształcą; mówmy po francuzku podczaszycu. Pan jak widzę nie przypomina mnie sobie?

— Prawdziwie — odparł zaambarasowany Ordyński — przepraszam bardzo, nie mogę.

— A przecież myśmy od dawna, od dawna znajomi.

— Nie przypominam sobie — powtórzył młody człowiek.

— W istocie mógłbym się urazić — rzekł z uśmiechem nieznamy, zwłaszcza na wczorajsze tak głośne zaparcie się znajomości mojej, ale wolę tego nie brać na serjo. Możeż być, żebyś pan podczaszyc istotnie mnie nie pamiętał?

— Proszę mi darować — zawołał Michał trochę urażony i zniecierpliwiony — ale za kogo pan chcesz uchodzić? Gdzieżeśmy się widzieli, kiedy? Wczoraj u księcia podskarbiego, dzisiaj na ulicy...

— Ale dawniej, daleko dawniej — śmiejąc się dodał tajemniczy cudzoziemiec — wszakże bywałem w Głuszy, bardzo często, bardzo często... niepodobna byś podczaszyc mnie tam nie widywał... przypominam nawet sobie, że w dzieciństwie czuleś pan jakiś wstręt do mnie... mówiąc, żeś podobny do jakiegoś djabła!

Podczaszycowi w głowie się męciło.

— W Głuszy? zapytał drżącym głosem, nie mogąc się pozbyć strachu i wstydząc się razem, a lękając, żeby go kto nie spostrzegł.

— Za młodych dni pańskich, jam tam nieraz przebywał, mam szczęście dobrze jeszcze z Włoch być znajomym pani podczaszynie.

— Wolno mi spytać o nazwisko pańskie?

— Cavaliere Fotofero, do usług.

Nie wiedzieć co było począć z tą osobliwym sposobem przyplątana znajomością; chwilami zdawało się podczaszycowi, że oszaleje, tak żywo ten człowiek przypominał obraz pamiętny w jego młodym życiu i tak dziwna była mowa jego.

— Mogę panu w czym usłużyć? spytał znowu cavaliere, coraz bardziej mięszającego się Ordyńskiego.

— Mnie! bardzo dziękuję panu.

— Chciałbym podczaszycowi być użytecznym jeśli pozwolisz, dodał Włoch, mam tu dość piękne stosunki w stolicy i wiele mogę, choć na pozór nic nie znaczę. Jeśli byś pan w jakimkolwiek razie, pozbywszy się śmiesznego wstrętu i obawy, które widzę w oczach jego, chciał się odezwać do mnie, zawsze mi miło będzie mu służyć. Nieprawdaż, dodał wesoło, że dwór świetny, że Warszawa miłe miasteczko. Widziałeś pan wczoraj Frascatellę — ładne dziewczę, ale nie w moim smaku; a jak wesoło bawim się u księcia podskarbiego! Są i inne domy w których czasami bywam, i gdzie nie mniej ochoczo się bawimy. Z czasem pozwolisz mi podczaszycu porobić z sobą niektóre ciekawe i użyteczne znajomości. Potrzeba używać! życie uchodzi! szkoda je marnować beczynninie!!

Mówił to szybko patrząc mu w oczy, bawiąc się rękojeścią szpadki, to jedną, to drugą nogę wystawując naprzód, jakby sam przed sobą zgrabną chciał się pochwalić postacią.

Podczaszyc milczał zbladły.

— Nadewszystko kochany podczaszycu, dodał podnosząc głowę z uśmiechem — trzeba się pozbyć przesądów, wiek po temu! Dobrze to, że pan nawet w djabła nie wierzysz, bardzom się uśmieł wczoraj z tego konceptu; ale pocóż się by z tem tak publicznie przechwalać? cha! cha! djabli mają uszy długie, zadać im nieegzystencją, jest to całe piekło oburzyć na siebie... Djabł wreszcie, to wasze przysłowie, nie tak czarny jak go malują...

To mówiąc zakręcił się i zniknął w tłumie, prawie w chwili gdy generał brał pod rękę podczaszyc, który stał jak zdrętwiały z podziwu trąc czoło, żeby się przekonać że nie śpi.

— A! a! z kimżeście to tak żywo rozmawiali? spytał Baucher.

— Generał więc nie znasz cavaliere Fotofero?

— Mówisz mi pan o nim od rana, ale gdzieżeś go złapał? w Warszawie o żadnym nie słyhać...

— Tylko co odszedł odemnie!

— Był tu? ale-żeś pan nie z nim rozmawiał? podchwycił generał, zdawało mi się, że ci coś śmiesznego prawili Turkuł... i Reverdil... Pokaż-że mi tego Fotofero, ja zaraz ci wysłedzę kto to taki.

— Przyznam się, że bardzo byłbym rad temu, odpowiedział podczaszyc, bo zdaje mi się, że sobie pozwala jakichś ze mnie żarcików.

Szukali go po salach oczyma, ale napróżno, przeszli za nim pokoje, wybiegli do przedsienu, rozpytywali za nim służby, nikt podobnej figury nie widział; co więcej, na liście zaproszonych tego wieczora, żadnego Włocha krom znajomych nie było.

Podczaszyc zagryzł usta, zamyslił się, zasępił, a że wieczór zamkowy już się kończył, wyszedł podrażniony i niespokojny chcąc do domu odjechać.

Generał napędził go w sieni, chwytając pod rękę.

— Widzę, żeś czegoś chmurny podczaszycu kochany, to nie do twego wieku humor, nie puszczam cię, chodź, trzeba się rozmarszczyć; żebyś spać nie szedł stękając, pojedziesz ze mną do Frascatelli.

Nie można się było oprzeć naleganiom starego, który chwycił protegowanego za rękę, wsadził go prawie gwałtem do karety i woźnicą pokierował jak chciał, nim się Ordyński opamiętał.

IX

W końcu Miodowej ulicy, w jednym z większych jej domostw, w kwadrat zabudowanych, na piętrze od dziedzińca, było mieszkanie pięknej Włoszki, dość ładne i świeże, ale skromne zajmującej pokoiki.

We wszystkich oknach jej mieszkania widać było światła i podjechawszy pod ganecek, karet kilka zastali w dziedzińcu. Na wschodach wiodących na piętro, paliły się dwie chińskie latarnie. Podczaszyc szedł dość obojętny i milczący, jeszcze pod brzemieniem niemilego zjawiska. Jenerał wciąż z niego sobie żartował, usiłując go i rozbudzić i zaciekawić.

W przedpokoju usłyszeli przybywający głośnie śmiechy i dźwięk klawicymbała, dowodzący że pani była w domu i że się u niej wesoło zabawiano; służący w czarnej bardzo prostej liberji i zręczna subretka krzatali się tu około wieczery, którą podawać miano. Jenerał wszedł naprzód z tą pewnością chodu właściwą dobrze obeznanym, którzy nie pytają o nic, wiedząc że zawsze sobie radę dać potrafią.

W trzecim pokoju za małą salką, przy świetle kilku alabastrowych urn, w których gorzały pęki świec przytłumionem światłem, ujrzeli nareszcie gospodynię okoloną mężczyznami, z jedną tylko płci swej towarzyszką, podziły już śpiewaczką Banini, sławną więcej z otyłości niż z głosu.

Podczaszyc w gronie gości rozpoznał księcia podskarbiego wyciągniętego na kanapie w rodzaju odurzenia poobiedniego czy pobutelkowego, dalej księcia Kazimierza szczebioczącego coś na ucho pięknej Włoszce, starego kasztelana Ł... który młodego udawać lubił, podkomorzego Brańskiego i kilka jeszcze osób całkiem mu nieznanym. U drzwi pierwszych poznała go zaraz gospodyni i pobiegła wesoło ku nowej swej zdobyczy, z wyrazem nietajonym zwycięstwa, w którym coś było i smutku. Zastanowił ją na wstępie podczaszyc pomięszaniem i niepokojem, który się w oczach jego malował.

— Witam miłych panów! — krzyknął jenerał — ha! otóż i my przybywamy! *adsum*.

— Gdybyś miał lepsze wąsy, powiedziałbym i ja — *at! sum* — przerwał książe Kazimierz.

Baucher zdawał się rozśmieszającego nie uważać żarciku i ciągnął dalej.

— Jedziemy wprost z pańszczyzny zamkowej, gdzieśmy Najjaśniejszemu do zmystyfikowania jakiegoś Anglika służyli... Na Boga! kto łaskaw panowie, oszczędźcie mi wstydu, pierwszy raz mi się trafia, że kogoś nie znam w Warszawie... Mości książe podskarbi, kto to jest cavaliere... jakże? Fotofero?

— Fotofero? Fotofero? — powtórzyli echem niektórzy — co u licha! chyba żartujesz? gdzieżeś go wykopał?

— Gdzie? niech poświadczy podczaszyc, że tego nazwiska figura była u podskarbiego, i w zamku pod takim mi się nazwiskiem przedstawiał. Podskarbi mruknął niechętnie ruszając ramionami, że nikogo takiego nie zna.

— Ani ja! ani ja! — powtórzyli inni — to ktoś nowo przybyły.

— Dajmy temu pokój — przerwał podczaszyc zachmurzony, bojąc się by go pytania nie naraziły na jaką śmieszność, może mi się wreszcie to dziwaczne nazwisko przysłyszało czy przywidziało.

— No! a cóż mówicie o baronecie Angliku? — ziewając wrzucił książe Kazimierz-Nestor — dla was to nowalia! Warto, bym za ucho pociągnął tych jeszcze co nie kosztowali tej potrawy — jakże się wam zda John Bull? twardy? ha?

— To jest, jak potrawa wszelka — odpowiedział jenerał — o której trudno sądzić z pierwszego kąska, trzeba się w niej rozsmakować. Zgadzam się wreszcie na zdanie pana Bukatego, że Anglik w domu, dla tych co go *intime* znają, ma być kąskiem smacznym i posilnym, a za granicą jak ostryga rychło się psuje dumą i ubieganiem za oryginalnością... Trzeba go też jeść dobrze wygotowawszy, a nie surowo...

Wszyscy prawie rozśmieli się z tego, serjo bardzo uczynionego porównania, a książe Nestor dodał:

— Wiedziałem z góry, że się wam mój baronet nie podoba. Ja byłem umyślnie z Paryża raz na ich kursach w New-Market i kilka dystyngowanych rodzin angielskich poznałem — kraj niesłychanie wygodny i bogaty, ale wiele rzeczy dziwnych. Jedzą surowe mięso, kowale im śluby dają, a żony jak bydło na targ wyprowadzają, tak, że wcale nie zgorszą jejmość za kilkanaście złotych kupić sobie można.

— Wygodnieby to było — rzekł generał — gdyby ją kto chciał potem wziąć choć z dodatkiem nazajutrz.

— A ha! — odparł książę — kupiwszy trzymaj się towaru! Ale to wszystko żarty — Anglja kraj statystów i polityków, i jak starzy Grecy i Rzymianie, resztę świata niejedzącą surowego mięsa za barbarją mają.

— Tem się to właśnie różnią od nas — dorzucił ktoś nieznajomy z uśmiechem szyderskim, bo my wszystkich mamy za lepszych od siebie, i najchętniej aplaudujem gdy nas barbarzyńcami drudzy zowią.

— Siadajcie panowie — przerwała gospodyni melodyjnym głosikiem, zbliżając się do podczaszyca i wskazując mu miejsce najbliższe siebie.

Pomimo świeżego przykrego wrażenia i niepokoju, którego jeszcze doznawał Ordyński, nie potrafił się oprzeć pokusie modrych oczu Frascatelli, wciąż starającej się jak wąż wejrzeniem tem, gwałtem go pociągnąć ku sobie. Oczy te poruszały go do głębi, budziły w nim strach jakiś i niewysłowioną żądę zbliżenia się do niej; nie była to miłość, ale jakieś uczucie dziwne, na które bojaźń, żądza, ciekawość i litość się składały.

— Pan podczaszyc, *le dernier venu*, najświeższy, najmłodszy — rzekł książę Nestor — widzę, że nas prawem ostatniego odbije tu wszystkich. — To mówiąc zasiadł szybko z drugiej strony tancerki.

— Ale ostrożnie, młody paniczu — dodał ciszej — my tu już starzy, poopalailiśmy skrzydła nadaremnie; ledwie się doświadczeniem i fortelami ratujemy od jej szatańskich sideł, inaczej potracilibyśmy głowy.

— Mości książę — zawołała Frascatella — zanadto podobno mną straszycie, jest to także rodzaj pochlebstwa, a wiecie, że ja go pod żadną formą nie przyjmuję.

— Czemuże ci kadzić bóstwo nasze, kiedy tej pospolitej woni nie lubisz?

— A gdyby prawdą?

— Prawda tak jak spalone pióro trzeźwi i rozbudza ale nie pachnie, a tak o nią ciężko!!

— Właśnie dla tego lubię ją, że rozbudza i niełatwo się dostaje — rzeczy rzadkie najsmaczniejsze mości książę.

— Co za smak zepsuty — rozśmiał się generał artylerji — powiedz-że mi gdzieś do tej prawdy smaku nabrać mogła?

— W nędzy i w dzieciństwie miałam ją ciągle za chleb powszedni — odpowiedziała z westchnieniem tancerka — dziś już nie kosztuję jej oddawna.

— To lepiej, na starość moja piękna, znowu ci jej podadzą, tymczasem bierz czem karmią kobiety i koronowane głowy.

— Mości książę — żwawo odcięła się tancerka — na starość chciałabym zasłużyć na pochlebstwa i dla tego teraz żądam prawdy.

— Nieźle! ślicznie! Ani naiwna Duthé lepiej by się nie odcięła — zawołał książę skłaniając głowę — ale cóż ci na to odpowiedzieć? mogę przysiąc, że poczęstuję cię świeżą prawdą, ręczę, że piękniejszej, dowcipniejszej nad ciebie nawet w Paryżu nie widział.

— A w Warszawie mości książę? — spytała szydersko Włoszka.

Książę się zaturbował, zmieształ trochę.

— Ręczę, że wasza książęca Mość dzisiejszego dnia przynajmniej pięciu pięknościom toż samo powiedzieć musiałeś!

Podczaszyc rozśmiał się, ale ustami tylko, z tego językowego szermierstwa, chmura jeszcze wisiała nad jego czołem, przed oczyma wciąż się djabeł uwijał.

— Widzę żeś pan czy nudę, czy smutek, czy niepokój, czy gniew wyniósł z zamku — odwracając się do niego spytała Frascatella.

— Nie wiem jakby się to stało — odpowiedział podczaszyc, ale są czasem jakieś niewzyciężone natrętne myśli, które człowieka wszędzie napastują, ani się im opędzić.

— Trzeba się opędać — rzekła Włoszka — i chcieć tylko a ustąpić muszą; my tu pana rozweselim koniecznie, ja nie lubię twarzy chmurnych, kiedy jeszcze smutek na tak młodem rozpościera się czole, to jak czarna plama na białej sukni... jak robak na kwiatku.

— Jakżeś dziś poetyczna! — syknął książę trochę zazdrośny o sąsiada.

— A to księcia dziwi?

— Nic mnie od ciebie piękna pani nie zadziwia, wszystkiego się spodziewam.

— Prócz jednego wszakże, z marsem na czole — żywo odezwała się Frascatella — żebym wśród waszego szatu sama oszalała.

— I to przyjdzie! — rzekł książę.

— Dalipan nie wiem — wmięszal się Baucher — znam tego trzpiota Frascatellę, lat już dwa jeśli się nie mylę, a do tej pory jej nie rozumiem. Robi co tylko możliwe, żeby ją miano za zgubioną, za przepadłą, za straconego aniołka, mówi, chodzi, lata, mięsza się do towarzystw, których dotknięcie truje i gubi, a jak salamandra cała z płomienia wychodzi, i nikt w Warszawie pochwalić się nie może, żeby choć ust jej dotknął, tak jej sztylecik straszy.

Frascatella spojrzała w oczy jenerałowi i parsknęła zimnym śmiechem.

— O! wiem — rzekła — że myślicie, żebym się dawno powinna dla przyjemności waszej zaprzedać i zgubić! Radziłyście temu byli, ale nie znacie jeszcze stworzenia tego, które zowiecie Frascatellą! Jest coś co mnie w tym waszym błocie trzyma niezwalaną na dnie serca do którego żaden z was się nie dostanie.

W tem oko jej w którym igrały zielone i złotawe blaski fali morskiej, padło na podczaszycę zdając się mówić do niego:

— Ty jeden zajrzałbyś może w to serce... gdybyś chciał, gdybyś umiał!

Podczaszyc zmięszal się, a jenerał rozśmiał:

— Możesz ty tylko wielki filut — rzekł grożąc — ale jeżeli z ciebie tak doskonała aktorka, tośmy ci wszyscy winni ogromne brawo! I poklasnął w szerokie dłonie.

— Nie zasłużyłam na tę obelgę — spuszczać głowę chmurno, odpowiedziała Frascatella, bawiąc się ze swoim sztylecikiem — znacie moje życie całe. Komedją w niem jest tylko wesołość.

— Coś bo przechodzisz w dramat Diderot'a — niechętnie mruknął książę — porzućmy to.

— Porzućmy — przerwał Baucher — nie po westchnieniach tu przyszli, każ dawać lepiej wieszczę i kieliszki, bośmy głodni, a czarne myśli idą z pustego żołądka.

Frascatella wybiegła na chwilę, jenerał szepnął podczaszycowi.

— Chyba ty ją potrafisz zbałamucić. Szatan nie dziewczyna. Podskarbi przed rokiem chciał ją po prostu kupić i dawał dobrą sumę, ale mu się w oczy rozśmiała, pytając go, na co mu się staremu zdać mogła? Książę Nestor także podobno tentował gorąco i nadarmo; innym pokazuje sztyleciki jak psy zębki białe kiedy kto je napastuje, a nikt się nie pochwali żeby był u niej w większych od drugich łaskach — przyjmuje u siebie, uśmiecha się, jeździ, kompromituje się po uszy, ale dalej — nic. Są, co mówią, że myśli tym sposobem wydać się za mąż, gotowa tego dokazać! trzeba jej także oddać tę sprawiedliwość, że dobroczynna dla ubogich, serce złote... a trzpiot jak widzisz — djabeł-że ją zrozumie!

Rozmowy, szum otaczającego towarzystwa, wejrzenia, objęły się o podczaszycę, jak czasem we śnie mary dziwaczne okolają człowieka, który się pyta jest-li na jawie czy marzy, nie umiejąc zdać sprawy z tego co doznaje, tak i on teraz pod ciężkiem duszącym wrażeniem swej zmyry, do życia i wesela obudzić się nie umiał. Stał mu ciągle w oczach uśmiech cavaliere Fotofero i jego osobliwsza rozmowa.

Podano wieszczę, przy niej i przy kieliszkach na których szcęk obudził się książę podskarbi znużony, posypały się gradem koncepta, piosenki, historyjki, plotki, poczęto opowiadać kronikę tajemną dworu i Warszawy, liczyć zmiany kochanków wielkich pań, opowiadać awantury zaszły w ciągu tygodnia, klótnie małżeńskie, zgody dawnych kochanków, i tysiączne podobne nowinki. Podczaszyc wciąż siedział chmurny i oczy nawet a usta pięknej Włoszki wciąż ku niemu zwrócone, ożywić go nie mogły.

— Do licha — szepnął w duchu przyglądając mu się jenerał — czy nie goły on tylko! czy się gdzie dziś nie zgrał? ale to być nie może! Ślicznie bym się wybrał, żeby on u mnie pieniędzy zażądał. Ale nie, to coś innego, niepodobna! wiem że ma kredyt u Teppera

i u Schultza na 10.000 dukatów, tegom pewny, już cię go w dzień jeden nie pożar! albo to coś żołądkowego, albo serdecznego!

I spytał w końcu po cichu podczaszyc:

— Przyznaj bo mi się do licha co ci jest? jeśliś chory, niema się czem martwić, zawiozę cię zaraz do Beklera, może to na razie ubije...

— Dziękuję ci panie jenerale — odparł podczaszyc — alem zupełnie zdrów, to są zwykle moje humory, które mnie niekiedy napadają...

— Nic innego, tylko źle trawić musisz — rzekł serjo sentencjonalnie jenerał — trzeba ci się kogoś poradzić, na to są doskonałe pastylki, a tymczasem spróbój się napić wina.

Ale i wino nic nie pomogło, gdyż rozmarzyło tylko podczaszyc, spotęgowując w nim wszystkie przywidzenia, powiększając obrazy, które głowę zalegały, rozmnażając strachy co chwilami opanowywały jego duszę.

Frascatella daremnie sadziła się na dowcip, zaczepiała, drażniła, słowa z niego dobyć nie mogąc. Nareszcie Baucher widząc że na to nic poradzić nie umie, i że go sobie samemu zostawić potrzeba, pożegnał gospodynię, i że jedną jechali karetą, zabrał go z sobą do domu.

Przy rozstaniu, Frascatella schwyciła go za rękę z wyrazem litości i serdecznego zajęcia.

— Niech też pan gdy będzie weselszym, lub wesołości zapotrzebuje, czy podziału smutku, nie zapomina o mnie. Rada zawsze będę widzieć go u siebie.

Ordyński spojrział w piękne oczy, uśmiechem i skinieniem głowy odpowiadając jej tylko.

X

Ruszyli w ciemne ulice, oba zamyśleni i milczący — ale zaledwie ujechali kilka kroków od mieszkania Frascatelli, nagle karetą zupełnie się przechyliła i upadła na stronę jenerała, który przeraźliwie krzyknął, niezmiernie się bowiem obawiał kalectwa. Zaczęli wołać na furmana, a ten i tak już konie był jakoś powstrzymał, postrzegłszy że się karetą przechyliła, koło spadło i złamana oś rznie po bruku.

Radzi nie radzi wydobyli się oba z powozu, jenerał klnąc Dangła, kareciarzy, i starannie się opatrując czy sobie czego nie stłukł, podczaszyc śmiejąc się trochę z Bauchera niecierpliwości i strachu. Dla jenerała, piesza po nocy przechadzka, wyjąwszy chyba taki przypadek jakim był zwycięzki pochód księcia podskarbiego, niesłychaną wydawała się rzeczą, grożąc chorobą, katarem, kaszlem, a co gorzej djeta, tyzanną i siedzeniem w domu...

Wielce niespokojnie oglądał się Baucher szukając oczyma powozu, fiakra, bodajby jakiego-kolwiek wózka czy kar co by go do domu odwiozły, ale w ulicy pusto było zupełnie i cisza do koła. Księżyc świecił prześlicznie, jedną połowę kamienic pełnym oblewając blaskiem. Jasno było, mróz niewielki a śnieżek świeży iskrzył się jeszcze niedotknięty stopą; niebo całe zasiane było brylantowymi gwiazdami — a po niem przelatywały tylko białe lekkie obłoczki.

Podczaszycowi przechadzka ta nocna podobiała się bardzo, ale Baucher wciąż mruczał i przeklinał.

Wtem po za niemi, zgraja ludzi wielka wysunęła się przybliżając z krzykiem i wesołemi śmiechami, które jakąś zdawały się oznajmywać zabawę uliczną. Był to gmin różnobarwny z rzemieślników, czeladzi, sług i drobnego mieszczaństwa złożony, który zwabiało coś niezwyčajnego. W rozochoconym tym tłumie, widać było raczej podnieconą ciekawość, niżeli inne jakie uczucie, któreby jenerała miastu niedowierzającego, zniespokoić mogło. Przodem szło dwóch okrytych płaszczami ludzi dźwigających na drągach coś w rodzaju małej lektyki; poprzedał ją trzeci niosący gwiazdę osadzoną na wysokim kijku, z jaką po kolędzie chodzą około świąt Bożego Narodzenia; za niemi wlokła się zwykła koza, dziad i baba, i jak się domyślać było można jasełka. Ale to wszystko jeszcze nie usprawiedliwiała tłumy, bo ten się na to widowisko nigdy taką cizbą nie zgromadzał. Jenerał obejrzał się pomrukując.

— A to ciemiegi! próżniaki, furfanty, patrz tylko podczaszycu ile się ich to wlecze za lada jasełkami...

— Ba! ba! ale bo to nie lada jasełka, odparł głos jakiś tuż za jenerałem.

— No! no! i cóż takiego osobliwego? odwracając się dumnie spyta Baucher.

— A dalipan ciekawości... którejby się i paniskom popatrzeć nie zawadziło! rzekł idący chłopak.

— Co? król, Herod, śmierć, baba i tym podobne — dorzucił wzgardliwie jenerał.

— A może i coś więcej oprócz nich się znajdzie, i biskupów kilka par, i hetmanów kilku, i kasztelanów z pół tuzina, i książąt dobra garstka, kilku posłów i czego tam niema!

— W jasełkach? zapytał podczaszyc.

— Ale bo to panie nie lada szopka! mówił z wielkim zapalem wyrostek idący z tyłu za nimi, to ze śmiechu pękać potrzeba... Oni tu zaraz w szyneczku Różanej Magdy zastanowią i pokazywać będą...

— Podczaszycu, szepnął Baucher, zatrzymując towarzysza, jak myślisz, trzeba by to może zobaczyć? to może być *anyuis sub herbis*, warto się przekonać, co oni mówić mogą o tych niezwykłych w jasełkach figurach? Może to znowu jakiś paszkwil zamaskowany nowego rodzaju! Chodźmy-no, popatrzmy!

Podczaszyc obojętny ruszył ramionami i rzekł:

— A kiedy pan chcesz, służę mu, i owszem.

Zatrzymali się nieco w ulicy i tłum nadchodzący wkrótce ich oblał; wzięwszy się pod rękę, usiłując ciągle utrzymać na przedzie, choć popychani poszli z ciżbą, i z nią razem dobili się do tego szyneczku w który cała czereda z gwiazdą, z szopką, kozą, babą i dziadem wparła się okrzykami, zajmując ławę najbliższą widowiska.

Szczęściem izba szynkowa była obszerna i co raz pomnażająca się publiczność, miejsce w niej choć niebardzo wygodne znaleźć mogła. Rysia szuba jenerała, jego mundur choć starannie pod nią pokrywany, wytworny ubiór podczaszycy i fryzury obu, trochę im wolniejszego placu zjednały; resztę zajęła młodzież, starzy, dzieciuki z podełba spoglądający na intruzów, i nie bez szyderstw cichych pokazujący ich sobie palcami.

Była to scena malownicza, okryta zakopconem sklepieniem starego domostwa, oświetlona kilką cienkimi, świeczkami, umieszczonymi w lichtarzu żelaznym, wieloramiennym, wiszącym od stropu i poprzybijanych do ścian świecznikach. Głęb zajmowały półki z butlami i wielki stół szynkowy, za którym królowała Magda zwana od dawna nie wiem dla czego Magdą Różaną, może od zaprawnej tym sposobem wódki, którą sprzedawała, może od różowych teraz aż do zbytku policzków. Była to sobie tłusta baba w czepku na bakier, dość niedbale odziana, której ani śmiałości, ani siły, ani donośnego głosu, potrzebnych do utrzymania porządku w szynku nie brakowało.

Surowa dla swych gości, sumienna, ale w razie potrzeby i do gwałtownych środków umiejąca się uciekać, czego dowodziła miotła na grubym kijku osadzona i w kącie przy niej stojąca; często nią karciała, sama sobie prędko wymierzając sprawiedliwość, upartych opojów i zwadliwych włóczęgów.

Ledwie to wszystko wcisnęło się do izby, a już jej głos tłumiący szmery i śmiechy, wyżej zabrzmiał nad wszystkie inne:

— A co to tu was tak nalazło? tyatr toście to sobie obrali cy co? zawołała — na co mi te goście? Hola? idźcież mi zkądeście przyszli, a nie, to was nauczę jak innych! tu nie hece — chcesz drugi piwa albo wódki to se pij, ale kto niepotsebny rusajcie se z Panem Bogiem, zebym was nie pocęstowała cem inem...

— Ej Różana Magdo! Magduniu! Jejmościuniu kochana! odezwał się szewc, którego i po twarzy i po fartuchu poznać było można, że kopytem władał — a coście to tak posrożeli? A co to wam szkodzi że my tu se jasełek popatrzym, a taki utargujecie od niejednego.

— Co mi tam was targ, patsaj go! gęba by cholewa, rozumuje! patsaj go! Jesce mi tu będzie targiem dowodził! Abo to ja o ten gros stoję, a co mi za sobą błociska i świędu naniesiecie, to się ich do tygodnia nie pozbędę! tego mi nie licys! Zebym po was myła i sorowała podłogi, nie chcę ja tego — niedoceanie was.

— Niechże pani pozwoli, rzekł grzecznie czapkę zdejmując ten co jasełka pokazywał, przecie i sami popatrzycie się i zabawicie, a nam jaki grosz dacie zarobić — bardzo was ślicznie prosim i ja i koledzy.

— No! no! trochę udobruchana nalewając już wódkę kilku, mruknęła ciszej Magda, tylko mi się zwijajcie, a żywo i prec, bo ja synk zamykam! Tłumu mi nawiedli, a mnie to na co! Jesce się tu marsalkowsy pacholcy dowąchają... to i bieda!

Burczała by może i dłużej, ale starzy znajomi powoli ją jakoś odobruchali, fiaska też pobrzękiwała nieustannie i pieniądze się sunęły... Zamilkła.

Ustawiono szopkę w środku izby na przysuniętej do ściany ławce, o co znowu Magda się klucić zaczęła; gwiazda jęła się kręcić, koza skakać, korytna jasełek sporządzonych wcale misternie, podniosła się do góry. W nich widać było narodzenie Pańskie w górze, z dziecięciem we żłobie, Marją, Józefem, wołkiem, osiołkiem, pasterzami.

Dołem był próżny jeszcze teatrzyk. Odśpiewano naprzód pobożną pieśń starą o Btlejem, z której jenerał i podczaszyc po cichu, ostrożnie spojrzawszy na siebie, zaśmiali się, tuż i król Herod i trzej królowie i śmierć wystąpiła, potem żydówka i djabeł... tęgi djabeł czarny; z rogami, na kozich nogach, z widłami, z pazurami i z czem pospolicie djabli chodzą.

Podczaszycowi tylko się nie podobał, gdyż znowu mu się zdało, że do jego obrazu był podobny; zniespokoił się trochę, usta zacisnął, ale szatan rychło pociągnawszy żydówkę zniknął, a tuż poczęły się ukazywać postaci jakieś niezwykle w jasełkach. Jenerał trącił w bok łokciem towarzysza, zwrócili uwagę całą na tę część przedstawienia.

I było na co: występowały bowiem figury całkiem nowe i przewybornie, kunsztowniej nad pospolite wystrugane, pomalowane, poubierane. A naprzód w duchownej sukni biskupiej, ktoś twarzy chmurnej, zaszępionej, poważnej, dumnej; po minie zręcznie skarykaturowanej poznać go było łatwo. Figurka ta zakręciła się, stanęła w środku, a głos z za szopki szybko wydeklamował cztery wiersze w sposobie zagadki do niej zastosowane²:

Twarz biała, strój czerwony,
Partyzant... dalekiej strony.
Bale daje, sam nie skacze,
Tylko na poddaszu płacze.

— Prymas! prymas! cicho poczęli szeptać przytomni, a tu i Magda z ciekawością, zatknawszy butel przechylała się z za stołu ku szopce i przyglądać zaczęła.

Wtem figurka pierwsza przesunawszy się przez teatr znikła nagle.

Jenerał pobladł, zatrząsł się, ale milczał.

Po pierwszym, znowu ktoś wysunął się w fiolecie powoli, okręcił głowę, skłonił, buziaka od ust posłał w stronę Magdy, i z za szopki tenże głos wywołał równie szparko:

Nadto skąpy dla kraju, dla duszek wspaniały,
Na oko patryjota, sercem Prusak cały.
Ma niektóre przymioty, lecz te ćmi niestety,
Niewdzięczność ku tej, co nań wdziwała fiolety.

Śmiechy głośne, bravo! bravo! ksiądz biskup kujawski! poczęto wołać z różnych kąców. Jenerał z drugimi nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale niepokój go opanował. — Co te jasełka znaczyć miały. Kto je tak dobrze urządził na pośmiewisko najwyższych dygnitarzy, co dalej wyjść z nich mogło?

Wtem, maleńka figureczka fertyczna wylazła i skłoniła się dość niezgrabnie, włokąc za sobą długo rozpostartą chustkę od nosa, a głosik za nią wydzwonił:

Więcej fałszu niż wzrostu,
Gada niby po prostu.
Patryjota czuły,
Dla wakującej infuły.

— Biskup płocki! biskup płocki! zawołał sam jenerał, chichocząc mimowolnie — ale to mości panie, szepnął na ucho podczaszycowi, to nie są proste żarty tych ludzi, oni nie wiedzą co im za paszkwil podyktowano — to *materia status*, to zamach ogromny! Dobrze się stało żeśmy powóz obłamali, muszę o tem donieść królowi, to nielada głowa tworzyła.

²cztery wiersze w sposobie zagadki do niej zastosowane — wszystkie te zagadki są historyczne, przypisują je Kajet. Węgierskiemu. [przypis autorski]

Raz jeszcze i drugi pokazali się duchowni, których Baucher za ciżbą i hałasem a śmiechami rozpoznać nie mógł ledwie ich najrzawszy; wreszcie trzecie fiolety wystąpiły poważnie, figura co się zowie wielkiego świata, biskup w wytwornych błyszczących trzewikach, pończochach, rękawiczkach i koronakch, głowa upudrowana jakby z młyna, na palcach sygnetów pełno, z za jasełek deklamują:

Biskup przystojny, mowca zabawny,
Kursor wyborny, gracz w wista sławny.
Intrygant zręczny, podszyty cnotą,
Króla i wszystkich przeda za złoto.

— ...ski! ...ski! huknął tłum jednym głosem.

— Niechże go kaci porwą, to soli! ruszając ramionami wyburknął jenerał, po którym już ciarki chodząc poczynały, żeby gdzie w jakim kątku szopki i siebie nie znalazł. Po duchownych nastąpili w istocie świeccy senatorowie i dygnitarze, a między nimi łatwo można było poznać świeżo widzianego u Frascatelli kasztelana L...

Nie czekając epigramatu, którego treści łatwo się było domyślić, jenerał nosa spuścił i brwi namarszczył, wierszyk był taki:

Kiedy Wenus była w modzie,
Stawił jej domki przy wodzie.
Dziś gdy ją odarł ze cnoty,
Nosi imię patryjoty.

Figura i okoliczność wzmiankowana zbyt były znane, żeby się kto mógł na nich omylić, a jenerał tak się rozsiardził, że go już tylko pobudzona ciekawość trzymała w miejscu; gdyby mógł, byłby dobywszy szabli ciął i jasełka i deklamatora.

Pokazał się ktoś zamaszysto i raźnie poskoczył, stanął na nogach jak kolos Rodyjski i wąsa pokręcił:

Brzuch tłusty, z masłem jada,
Łeb pusty — baje gada.
Wymowa nie lada jaka,
Rzadki talent na kozaka.

Mowa była o mało zresztą znanym pośle Inflantskim (Kub...), którego w tej karykaturze nikt prócz zamkowych gości nie poznał.

Aż zimno im się zrobiło, gdy za nim wystąpił książę Nestor w mundurze artylerji, czupurno, galancko, ale czterech wierszy, które mu wydeklamowano hałas nie dał usłyszeć. Po nim ukazała się popularniejsza postać hetmana polnego: wyszła na scenę z maluteńką buławeczką, wiodąc pod rękę dość wyczupurzoną panienkę.

— Dalibóg! krzyknął jenerał, wykapany! a! zgroza! nic już nie ma świętego!

Osoba wspaniała,
Acz buława mała.
Amant nieustanny,
A zawsze do panny.

Śmiech powstał w tłumie, który i Magda na wiarę innych podzielać zaczęła.

— Niechże go słota porwie, zawołał szewc biorąc się w boku, ależ konceptu nie kupował! a goli bez mydła.

— To też zacina miejscami! dodał drugi.

Zanosilo się widocznie na jeneralny przegląd wszystkich ówczesnych znakomitości, bo dalej ukazano marszałka wielkiego koronnego, który wyniosła niosąc laskę, obszedł w koło szopkę, kilka razy nią stuknął i stanął.

Laskę po izbie nosi,
Arbitrów na ustęp prosi.
Piersi do głosu ma słabe,
Wszyscy go mają za babę...

— To *crimen status!* to *materia status!* przerywanym od gniewu głosem wołał generał oburzony, ledwie się mogąc umitygować — ale — cierpliwości, jutro na to poszukamy rady.

Jedną z najzabawniejszych postaci była pana Ogińskiego, którego wyprowadzono z flecikiem pod pachą, z nutami, w niemieckim stroju, bardzo kuso odzianego, z bukietem u guzika, a deklamator ukryty, wyrecytował jak z procya:

Talenta nie pana,
Mina nie hetmana.
Samochwalca bez wiary,
I ma k..ogoś choć stary.

Śmiechu trudno już było utłumić, tak się rozległ głośny, szczery, hałaśny po tych kilku wierszykach, które do reszty rozjątrzyły trzęsącego się generała. — Podczaszyc uśmiechając się poglądał na to widowisko nie zdając się niem wiele zajmować, tak mu jeszcze djabli po głowie chodzili.

Nie brakło nikogo, wyszedł i kanclerz Sapieha.

Obojętny na los kraju,
Siedzi sobie w swym seraju.
Przestał sądzić mieszczanów,
Jak też osądzi panów??

Za nim kanclerz Chreptowicz, jeden może, któremu złośliwej nie przypięto łatki, wyszedł w szarym stroju, ręce w kieszeni, książka pod pachą, zamyślony, głowa na dół, oczy w ziemię:

Wiele czytał, dobrze myśli,
Chłopom swoim prawa kreśli.
Wiele umie, cicho gada,
Nie ma koni, choć ma stada.

Jenerał tylko głową pokiwał.

— Zdradza się autor — rzekł — trzymamy go tedy, pochwałą się nam zdemaskował! słuchajmy dalej! słuchajmy!

Po Chreptowiczu wyszedł P... marszałek W. Ks. Litewskiego, któremu się tylko do stało w końcu:

Mają go wszyscy za Włocha.

Rzewuski hetman polny, Ostrowski kasztelan, Czerski, którego wierszyk skąpstwem prześladował, nazywając liczy-krupą, Żarnowski, poprzedzili żywą znajomą bardzo postać hetmana wielkiego koronnego, butną i junacką, w jeneralskim mundurze cudzoziemskiej barwy.

Jenerał aż się ugryzł za palec, gdy usłyszał śmiało wywołany czterowiersz — ...

Mina z polska junacka,
Splamiła go krew bracka.
Kufel w ręku, w uściech cnota,
Z... patryjota!

— *Vehementer!* — a przysięgnę, że to Węgierskiego koncept, zawołał Baucher, starając się o ile mógł wytrwać do końca — albo się bardzo myślę, albo by nikt inny tyle sprytu i odwagi nie miał!

— Palnął nam sztukę na odjezdne!

Wystąpił jeszcze i ksiądz biskup Krasicki, strojno, wytwornie, z księżeczką ślicznie oprawną w rękę, w rokiecie, z bukietem u niej, a deklamator mu przyciął:

Ten modny galant, nigdy mszy nie miewa,
Tylko z damami *sursum corda* śpiewa.

— Nic nie poszanowano! nic! zgroza! mruczał stary dworak zgrzytając zębami, tak że aż na siebie oczy patrzących obracał — cierpliwości! cierpliwości do końca!

Ale widowisko się przedłużało, gdyż satyryczny poeta chciał widać wyczerpać wszystkie znakomitsze postacie swojego czasu i nikomu płazem nie puścił.

Podczaszyc uśmiechnął się na widok księżnej wojewodzicowej mściławskiej, której figurka dość dobrze ruchawą panią prezentowała.

Z za szopki dosłyszeli słowa:

Ojczyzny matka jedyna,
Kazia ma syna.
Króla zawsze łaje,
Gdy jej nic nie daje.

Na biskupów zwłaszcza ów nieznaną poetę ząb szczególniejszy mieć musiał, bo żadnego z nich prawie bez przyczynki nie minął; kolej przyszła na ...lskiego i temu darować nie myślał:

W uściech cnota, w sercu zdrada,
O ojczyźnie zawsze gada.
Siada blisko przy tronie,
W fioletowym robronie.

Nie zląkł się ten paszkwiliści, ani księcia Stanisława Poniatowskiego, ani księcia jenerała ziem Podolskich, o którym tylko delikatnie powiedział:

Nie chce dać czuć swojej siły.

Zaraz za mężem wystąpiła żona, ale co jej wydeklamowano, pochwycić się nie dało przy szmerze; była i hetmanowa Ogińska, o której co śpiewano nie dosłyszał jenerał z teje samej przyczyny. Nie darowano i Małachowskiemu kanclerzowi, ni innym dostojniejszym. Wyszedł wreszcie poseł podlaski A... wybornie wydany z całą charakterystyką swej postaci, którego poznał każdy kto go choć raz widział, nim jeszcze zagadnął u niego deklamator, w następujący nieoszczędzając go sposób:

Coś na łbie nosi,
Króla na obiady prosi.
Wąsy goli choć ma siwe,
Sam zawsze — *affirmative!*

Jeszcze chwila, a już się i scena skończyć miała, bo Magda niecierpliwiła się nie pomалу wolając co chwila na gwiazdździarzy, by się uwijali a kończyli. Jenerał drżał z gniewu, gdy w tem — kubek w kubek ujrzał drugiego siebie, poznawszy się po brzuchu, po stroju, po minie; ścierpl, gdy nieposzanowawszy i jego zaczęto szamerować. Tego już wytrzymać było trudno.

— Podczaszycu, zawołał, pomagaj!

I skoczył do tego co po za szopką stojąc deklamował, by go za kołnierza pochwycić, ale w teje chwili tak go ścisnęli jakoś przytomni, że mimo szamotania ruszyć się nie mógł

z miejsca i pozostał z wyciągniętą ręką, patrząc jak się owi pokazujący jasełka wynosili, uciekając na łeb, na szyję...

— Trzymaj kto pocziwy! trzymajcie tych trutniów, albo mi wszyscy jutro będziecie za nich odpowiadać przed sądem marszałkowskim! Rwał się i wołał, ale nadaremnie; śmiejąc się jasełkarze, potem widzowie i słuchacze tłocząc wypływali z szyneczku i rozpierzchali z ulicy, każdy w swoją stronę. Gdy generał uczuł się wolnym, już nie czas było gnać, a śmiesznym wołać o pomoc, której by nikt dać nie myślał. Baucher więc obwinął się w futerko i równie chmurny jak podczaszyc, pociągnął za nim, odgrażając na występnych.

— Jutra — chybabym nie doczekał! Zdam królowi JMci sprawę z tego cośmy tu przypadkiem złapali, mrucał gniewnie, dojdziemy tych co pod bokiem N. Pana, jego najpoufalszych, najulubieńszych śmieją podawać w pośmiewisko i ohydnie czernić! Ja sam, ja delatorem i instygatorem będę do przykładowego ukarania, bo to nie szewcy, nie mieszczanie w tem, nie prosta hałastra, ale znajoma partja, i nie lada jaki partola składał te kolące wierszyki! Wszystko wyjść musi na jaw, bodajbym głową nałożył, a swego nie daruję!!

Tak miotając się w gniewie bezsilnym, generał doszedł przecie do Krakowskiego przedmieścia, gdzie fiakra znalazłszy, kazał się odwieźć do domu; a podczaszyc pożegnawszy go znużony, pieszo, że wieczór był piękny, poszedł zamyślony ku swemu mieszkaniu.

XI

Uczucia które w tej chwili miotały młodym Ordyńskim, nie łatwo wytłumaczyć się dają; sam on z nich nie umiał sobie zdać sprawy. Była to jakaś tęsknota niewysłowiona, coś jakby uczucie wielkiego zawodu i znużenia. Przypomnienia chwytaly go na swe skrzydła i przenosiły w dziecinne lata ku Głuszy, którą widział jak nigdy nie miał ujrzeć więcej, z siedzącą nad księgą i różańcem staruszką modlącą się z błogim uśmiechem spokoju, z Anusią czarnem okiem wyrzucającą mu jego płochość, z tysiącem tych drobnostek które przychodzą na myśl często w chwili boleści, niewiedzieć zkąd i dla czego. Jasno, wyraźnie przypominał sobie najmniejsze okoliczności swego dawnego życia na wsi, które mu z dzisiejszego stanowiska nie wiem czemu tak nęcącym się zdawało, odurzał się niemi by zapomnieć o zjawisku które go prześladowało, po za wspomnieniami podnosząc groźnie głowę i zagładając mu w oczy.

Tak rozmyślając zbliżył się podczaszyc do swojego mieszkania i wpadł na wschody dowołując się uspionej już służby.

Paki jakieś i wozy zastał na dziedzińcu, a w pokoju sypialnym do którego wszedł, pierwszym przedmiotem uderzającym oczy, był na kanapie stojący rozpakowany obraz Ś. Michała, Archaniola ze zwyciężonym szatanem.

Włosy znów najeżyły mu się na głowie.

— Co to jest? kto go tu przyniósł? zapytał służącego.

— Poprzywożono niektóre rzeczy z Głuszy, odpowiedział rozespany lokaj, Labe Poinot był ciekawy obrazu i sam go dobył.

— Wynieść mi go ztąd! z gniewem prawie zawołał Michał, nieośmieliwszy się nawet drugi raz rzucić okiem na malowidło, z którego czuł na siebie zwrócone szyderskie wejrzenie zwyciężonego ducha. — Gdzie jest Labe Poinot?

— Oto właśnie jestem! odpowiedział z uśmiechem nadbiegający Francuz. Przesłano tu z Głuszy z rozkazu nieboszczki pani starościny i jej rozporządzenia, niektóre graty, które wedle jej testamentu mają do pana podczaszyca należeć i między innemi był ten obraz, do którego jak widać wielką przywiązywała cenę, z uśmiechem i ruszeniem ramion dodał Labe, ale ja w nim, przyznam się, nic prócz ciekawej pracowitości malarza nie widzę. Jednak to stary zabytek, sądzę że z końca XV. wieku pochodzić musi, świadczy o tem naiwność stylu. Starościna chciała żebyś go pan miał ciągle przed oczyma, bo wyraźnie to umieściła w swoim testamencie, że ma wisieć w jego pokoju, jako pamiątka po niej... przysłano także trochę innych sprzętów, widać pocziwa staruszka, chciała jak najdłużej pozostać w pamięci wnuka.

Podczaszyc westchnął odwracając się i niedając poznać po sobie, jak go silnie obeszło zjawienie się tego obrazu. Poinot wziął go za czułość.

— A ba! rzekł w sposobie pociechy — umarłym wieczny odpoczynek, zawsze po nich płakać nie można — zmieńmy przedmiot — cóżeś pan porabiał?

Po części rad dystrakcji, wypowiedział się swemu dawnemu nauczycielowi podczaszyc, ale jednakże o djable i Frascatelli nie wspomniał; — opisał tylko obiad u księżnej wojewodzicowej, wieczór w zamku i przypadkowe widowisko na które trafili w szynkowni.

— To ma wielkie znaczenie polityczne, rzekł zamyślając się Francuz. Odwaga szczególna! pod bokiem króla! Jutro o tem przez jenerała, zamek i wszyscy wiedzieć będą; nie rad jestem żeś pan był tego świadkiem, bo go Baucher pociągnie do tej sprawy niepotrzebnie. Ale co się stało — stało się! Byleby król jak to często bywa, jeśli się nic nie odkryje, żalu nie miał w sercu do tych co mu o tem donieśli.

— Zdaje mi się, rzekł podczaszyc, żeby to było wielką niesprawiedliwością, cóżeśmy temu winni?

— Winni czy nie, a skrupić się na was może, boście nadto widzieli. Jestem pewny, że się te marjonetki nie pokażą więcej, ani ich potrafią dośledzić... król będzie markotny.

— Niechże sobie zły humor królewski spłynie na jenerała, czemu on ich nie chwycił.

Po odejściu Poinsoł który zaraz poziewać zaczął, ażeby miał powód podczaszycy pożegnać, Ordyński usiadł znużony przed stołem na którym zastał pożegnanie babki i list matki. Z bijącym sercem wziął oba, a łza wytrysnęła mu z oka czytając wyrazy nakreślone ręką drżącą starościnej. Duch zmarłej pobożny, rzewny a pełen rezygnacji i pokoju, wiał z tego pisma które już na łożu śmierci dyktowała. Czuł Ordyński że rady jej były święte i wiedział że nie pójdzie, nie potrafi iść za niemi, że dla niego już za późno. Babka przypominała mu Boga, obowiązki, życie dziadów jego proste i wielkości pełne, święte ich obyczaje i panującego im ducha ofiary.

— Dziecię moje, mówiła jeszcze z za grobu, niech ci nic nie zdaje się małym na świecie, nic próżnym. W każdym słówku jest nasienie przyszłości, w każdym serca uderzeniu nieprzeliczone następstwa. Módl się i oczyszczaj modlitwą, pilnuj byś się nie skalał towarzystwem ludzi złych, a nawet próżnych, bo jeden krok często całe zwikła życie. Nie dopuszczaj nawet myśli do siebie, którejbyś głośno wyznać się wstydział. Żyć będziesz w tłumie zepsutych; wybrnij z niego jak wyszli młodzieńcy święci z rozpalonego ogniska — męczennikiem a niepokalanym.

Myśl swoją podnoś do Boga, wymódl u Niego opiekę i zwiąż się z Nim, nieustannie ku Niemu westchnieniami, a pamiętaj że niema upadku z którego by nie podniosła skrucha, żal, pokuta, łzy i modlitwa.

Znać staruszce żal było rozstać się ze swym wychowawcą, bo list był długi, czuły, troskliwy, macierzyński, a podczaszyc czytając go przeniósł się znowu w dziecinne swe lata, serce mu biło, zaciemniało w oczach, rzucił pismo nie dokończywszy go.

— A! po czasie, rzekł — te rady, te życzenia twoje! czemuż ani wierzyć nie mogę, ani się modlić, ani z żalem po wierze i modlitwie jak inni rozbratać? Jestem jak ptak któremu by obcięto skrzydła, szamoczący się próżno by podlecieć — i upadający na ziemię.

Łza długo zbierająca się stoczyła się na list babki.

— Dziwne, dziwne zaprawdę zrobili ze mnie stworzenie, rozszarpane na dwoje, rozdarte wpływem dwoistym i nieumiejące obracać sobie drogi — idące jedną, płaczące za drugą!!

Wtem oko podczaszycy spostrzegło nierozpieczętowany list matki, który z pożegnaniem także wysłała, widać z pierwszego w drodze noclegu. List ten całkiem był odmienny, znać było że go pisała kobieta całkiem zaprzętą sobą, świat widząca zimno, poziomo, po ludzku. Zalecała w nim ostrożność, dworszczyznę, pomiarkowanie a nie cnotę, pozory nie pocziwość szczerą; obawiała się rozrzutności syna i strat na które był narażony, więcej niż skalania jego duszy, nieprzyzwoitości więcej jak występku. Każde jej słowo napiętnowane było rozwagą doświadczenia, ale się nie podniosło do Boga i do nieba, zapominając o obojgu.

Zimno też przebiegł okiem to pożegnanie matki Ordyński, bo do serca jego przemówić nie mogło, odsunął je nawet z pewnym wstrętem, bo stokroć powtarzane rady te niecierpliwiły go tylko, nie trafiając do uczucia, nie mogąc przekonać umysłu... Wielkimi krokami począł rozmyślając chodzić po pokoju.

— Dlaczegoż bym, rzekł dodając sobie ducha i odwagi, miał zważać na płaczące mi się przed oczyma mary? pocom tu przybył? używać, rozpocząć życie! Poinsoł ma słuszność

— są losy nieuniknione, jest jakaś fatalność, musimy iść z przeznaczeniem naszym, jak żółw z pokrywającą go skorupą. Spróbuję, użyję świata, napiję się ze wszystkich naczyń rozkoszy, skąpię się w tłumie, zaszaleję... Życie bez tych wrażeń byłoby ciągłym pochodem pogrzebowym przeszłości. Nie! nie! dość tych bałamuctw! Szatan! to przywidzenie głupie, przypadek, hallucynacja jakaś chorej głowy — precz z nią! otrząśnijmy się, nie będę o tem myślał i zniknie fantazma.

Stanąwszy u stolika zobaczył na nim różaniec z opalów i granatów, które mu babka ostatnią na nim zmówiwszy modlitwę, przysłała, przypomniał sobie polecane przez nią pacierze i już chciał do nich po staremu uklęknąć, gdy mu przeszkodził wchodzący sługa.

Pobożność jego nie była tak silną, by się nie obawiała śmieszności; ta mała na pozór okoliczność, przerwała dobrą intencję, nie ukląkł, rozebrał się i usnął miotany marzeniami nieporządnie odtwarzającymi gorączkowe dnia widzenia i myśli.

Frascatella na przedzie wiodąc szereg mar dziwnych skakała przed oczyma jego, wabiąc go przez tłumy ku sobie, jenerał go ciągnął, Fotofero mu się kłaniał groziła matka a babka płakała, — Poinsoł stojąc na boku ruszał ramionami...

XII

Nazajutrz rano przebudził się podczaszyc znużony walką z widziadłami sennemi, ciężki i smutny. Ale biały dzień jasno wpadający przed odsłonięte okna, orzeźwiał go nieco swym blaskiem; pierwsze jego wejrzenie padło na pamiątki po świętej staruszce, które schwycił i pochował, jakby się i tych oznamionowanych pobożną myślą drobnostek wstydził przed ludźmi. Obraz tylko na który spojrzeć nawet się teraz wahał, pozostawił na wierzchu, bo go usuniono, ale nie wyniesiono. Ale od niego podczaszyc uciekł zaraz z mieszkania, a czując potrzebę ruchu i powietrza, do których przywykł na wsi, naprędcie się ubrawszy do piechoty, incognito zszedł na ulicę.

Tłumy, bo to była niedziela, przepływały w różne strony, wesole, wrzawliwe, zajęte; dzwony głośno, wesolo kołyszając się, napełniały powietrze srebrzystym swym dźwiękiem śpiewając o Bogu; wieśniacy z okolic zapełniali nowym żywiołem place targowe i ulice, gwar z sobą wiejski i swobodę wnosząc do miasta. Ordyński sam o tem prawie nie wiedząc, skierował się ku krakowskiemu przedmieściu, zszedł na boczny chodnik zamyślony i zdziwił się gdy go tłoczący się lud wniósł nieopierającego się, obojętnego do Świętokrzyskiego kościoła. Ranna to była jeszcze godzina, w której mieszczanie członkowie bractwa odśpiewują godzinki. U bocznego ołtarza św. Karola, ksiądz staruszek mszę odprawiał, podczaszyc oparł się o słup i chwilę pozostał nieruchomy. Naprzeciw niego tyłem zwrócona ku niemu, klęczała jakaś kobieta, której tylko mimo ciepłego ubrania zręczną kibić widać było. Zdawała się gorąco zajęta modlitwą, a nabożeństwo jej pełne ruchów, egzaltacji, westchnień, coś miało tak uderzającego, że nawet Ordyńskiego zwróciło oko. — Szczęśliwa — rzekł do siebie, modli się, wierzy, spodziewa! Ja idę przez świat omackiem! — W tem gdy się właśnie msza kończyła, powstała kobieta, i z podziwieniem niezmiernym podczaszyc poznał w nieznamomej — Frascatelę. Tancerka zaraz go też postrzegła, uśmiechnęła się jakoś smutnie, biorąc może jego przytomność w kościele za umyślną chęć spotkania, i wychodząc, podawszy mu na paluszkach święconą wodę, w kruchcie zaraz poczęła z nim rozmowę.

— Widzę żeś pan pobożny — odezwała się — nie uwierzysz jak mnie to cieszy i zardziwia razem, dziś tutaj wszyscy tak dziwnie obojętni, gorzej niż obojętni...

— Przyznam się pani, że i ja bardzom się zdziwił zastawszy ją tutaj — przerwał Ordyński.

Tancerka uśmiechnęła się z wyrazem niedowierzania którego jednak wypowiedzieć nie chciała. Jej się zdawało, że podczaszyc przychodząc dobrze wiedzieć musiał, że ją tam znajdzie.

— Ja — ja jestem *Italiana* — odpowiedziała mu wesole, topiąc w nim oczy melancholiczne i zalotne — my w naszym pięknym kraju tak śliczne przejrzyste mamy niebo, że przez nie Pana Boga widać...

— Dla czegoż uciekacie z pod tego pięknego nieba?

— Jednych pędzi nędza, drugich ciekawość, dwie biedy kochany panie — naiwnie rzekła tancerka — innych młodość, trzecia bieda także, a niektórych przypadek.

— Któraż z tych bied was tu do nas szczęśliwie zagnała, piękna Frascatello?

— Mnie — odpowiedziała tancerka — pierwsza i najpospolitsza — ubóstwo, dla którego trzeba się było wygnąć z miłego kątku swojego, by ze łzami w oku skakać i śmiać się, walać i błocić, i wziąć za to rzucony jak małepeczce grosik *Carita!*

Nie wiem, udane czy prawdziwe maleńkie łzy błysnęły w modrych jej oczach, gdy to mówiła; westchnęła ciężko, boleśnie.

— Wy nie macie pojęcia co to życie nasze, bez tego nieba, bez tego powietrza, do których jak do mleka matki dziecięce usta, przywykły oczy i piersi nasze. Życie z bolem i tęsknotą w duszy a weselem na czole rozpiętym, pośród ludzi co myślą, że ten który się tak poniżył, zaprzędając uczucie, nic już nie ma czegoby u niego kupić nie można.

— Powiększacie smutek swój tą rozmową Signora Frascatello — przerwał pod czaszyc wiodąc ją dalej ulicą — roztkliwiasz się i rozżalasz...

— Nic to! nie! pozwólcie mi z sobą być trochę szczerą i pożalić się przed wami; czuję, że musicie mieć dobre serce, tak mi przynajmniej mówią oczy wasze, a ja mam zwyczaj wybranym moim mówić co myślę. Resztę dnia już nie wiem czy się szczerze do kogo odezwę, widzieliście mnie w gościnie i gości moich u mnie — taka to życia reszta — o! nie do zazdrości!

— Wśród tylu wielbicieli i hołdów?

— Zartujesz pan — z urazą prawie zawołała Włoszka, co to za hołdy? Kilku starych rozpustników pobrzękujących mi nad uszami głupiem jak oni złotem, kilku młodych, pobrzękujących tak samo odrobiną pożyczanego dowcipu, kilku pobłyskujących pięknymi oczkami, przez które świeci pustka w ich sercu.

— A! jakżeś surowa!

— Nie, nie, tylko sprawiedliwa! Wolałabym ludzi szorstkich, dziwacznych a prawdziwych, to wszystko lalki ręką ludzką wystrugane, w których Bóg duszy nie tchnął, w których nic nie ma Bożego!

— Co w nich męzkiego? — spytała unosząc się tancerka — co szczerzego? — Uczucia komedjantów tak jak ja, obyczaje i ruchy wyuczone, każdy ruch naznaczony prawem, nie natchniony uczuciem, to prawo kieruje nimi, ono im panuje, rozkazuje, rządzi, kochają się nawet dla mody i przyzwoitości.

— Dziękuję ci piękna Frascatello, że mnie przynajmniej nie mięszasz do nich — rzekł pod czaszyc zdziwiony całą tą mową.

— Bo sądzę, żeś pan od nich trochę lepszy — rzekła tancerka — ale kto wie co będzie jutro? schwyć cię, uniosą z sobą i życie wyssą jak upiory, będziesz im potem podobnym, urużowanym i chodzącym trupem tylko.

Ordyński tyle życia i prawdy schwytał w tych kilku słowach, tak go one jakoś przesyły do głębi, że nie mógł się rozstać z piękną tancerką; a choć ta piesza z nią wśród białego dnia przechadzka trochę go kompromitowała, szedł dalej nie wiele myśląc, pochwycony jej wdziękiem, ciągniony wymowniejszemi jeszcze od ust oczyma. Ona zdawała się upajać własnymi wyrazy i egzaltować coraz bardziej.

— A! — dodała po chwili, śmiejąc się głośno, ale smutnie — chociaż pan jesteś *incognito*, a ja pieszo, nie może być, żeby kto rannej naszej przechadzki nie dostrzegł... całe miasto wieczorem będzie panu winszować.

— Chcesz pani bym odszedł? — zapytał żywo pod czaszyc.

— Nie, wcale nie, alboż jednym więcej kochankiem zaszkodzić mi co może? codzień mi kogoś dają! śmieję się — a wiedząc że mi nie wierzą, bym została panią siebie sprzedając skoki swoje, ani myślę o mojej biednej sławie... Chodźmy dalej — dodała — będziesz pan u mnie na śniadaniu.

Niepodobna było odmówić, przeszli tak razem przez najludniejsze ulice, spotykając coraz kogoś ciekawie wychylającego się, by poznać damę z którą szedł pod czaszyc. Włoszka śmiała się szczerze.

— Ale panu — spytała go — nic-że to szkodzić nie będzie? nie masz pan tam już kogo, coby się z nim pokłócił za to, że cię widziano ze mną?

— Ja? nikogo! — z westchnieniem odpowiedział Ordyński.

— Widać żeś pan chyba krótko w Warszawie?

— Od kilku miesięcy.

— A! i dotąd niezajęty! — rozśmiała się Włoszka łamiąc ręce — to prawdziwie osobliwszy wypadek. Jakże to być może, chyba pan nigdzie nie bywasz?

Podczaszyc się uśmiechnął.

— Dziwnie się to wydaje?

— Niepojęcie! Wasze panie wielkiego świata tak są łakome na młodych ludzi! Wineszuję panu tej spartańskiej cnoty, czy tego szczęścia!

W środku Miodowej ulicy idąc, tak powoli rozmawiając, zastanawiając się, ujrzeni karetę jenerała Bauchera, która stała przed szyneczkiem Różanej Magdy, widać już sprawę o jasełka wczorajsze rozpoczynano.

Sam jenerał z kilką osobami jeszcze, rozprawiał żywo o wypadku który go tak gniewał i oburzał, ale ujrzawszy Frascattelę i podczaszycza, wyrzucił ostatek rozkazów naprędce i pospieszył za niemi.

— Dzień dobry wam! a! wieszuję! Dalipan, nadspodziewanie, podczaszyc nie traci czasu, już nie wiem zkąd z tą boginią powraca?

Tancerka odwróciła się ze śmiechem.

— Wiesz panie jenerale zkąd? z kościoła!

— A! ba! starego wróbla chcecie wziąć na plewę! Ze świątyni raczej Cyprydy i Amora, którym palić musieliście ofiarę...

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Panie jenerale — rzekł — na honor, że tylko cośmy się spotkali, przypadkiem w kościele.

— Mów sobie zdrów co chcesz, ale filut z waści! — zawołał Baucher — wczoraj w nocyśmy się rozstali poszedłeś niby do domu, dziś rano spotykam!! (pokiwał głową) — na co to darmo bałamucić.

Frascatella śmiała się do rozpuku z tej domyślności starego rozpustnika, który westchnął i Włoszkę ujął pod rękę.

— Dokądże państwo teraz, jeśli wiedzieć wolno?

— Ja, do domu, a ten pan był tak łaskaw, że mnie chciał odprowadzić.

— Siadajcież do mojej karety, pomieścimy się wszyscy, bo po złamaniu wczorajszej, pożyczyłem sobie u Dangła poczwórną tymczasem, póki mojej nie naprawią. Pojadę z wami na śniadańko, jużby też i przekąsić czas, bom się nalatał i nagniewał, co apetytu dodaje.

— Gniew? Jenerale.

— W ogólności wszystko co silnie porusza, gniew, agitacja, zmartwienie, miłość, a nawet sen — ja przynajmniej tego doświadczam. Ale mi nie żal znużenia dzisiejszego, muszę popracować, a po nici dojdę kłębka! Jużem to zlekka odraportował Najj. Panu, byłem u Marszałka, poruszyłem co żyje. Jak to, żeby nikt o tej zgrozie nie wiedział...!! Musimy przecie dojść sprawcy, żeby swą potwarz odszczekał; cała Warszawa dziś o tem mówić będzie; już słyszę nawet latają po rękach te wierszyki, nie wiem zkąd i jak puszczzone, bo ja tego paskudztwa nie pamiętam.

— Ale siadajmy i jedźmy, a jeśli waćpanna nie dasz mi śniadania to mów szczerze, żeby zawodu nie było, pojedziemy pod *Żartoka*.

Włoszka zakłęła się, że nietylko śniadanie ale i ostrygi nawet będą i uprzejmie zaprosiła ich z sobą, siedli więc razem do karety i pojechali do jej mieszkania.

— Ostrygi, moje dziecko, siadając powoli zamruczał jenerał, ostrygi dobra to jest rzecz, ale Frascatello kochana, czy nie będą za drogie na twoją kieszeń, kiedy o mnie mowa? bo masz waćpanna wiedzieć — dodał — że ja się nieukontentuję tuzinem, jem kopami kiedy się do tego wezmę, porachuj się... proszę... chybaś raptem pobogaciła!

Włoszka się uśmiechnęła na te naiwne przestrogi.

— Wiesz co panie jenerale — rzekła — na ten raz dam ci ich ile zechcesz, jeszcze mnie na to wystarczyć powinno, drugi raz już ci ich nie zaofiaruję, bobyś mnie zrujnował.

Jenerał spojrział z podelba na podczaszycza mrugając okiem, uśmiechnął się i szepnął.

— *Honeste! Honeste!* poczyna sobie panienka, w dobrym widzę humorze, że waszności sobie zlowiła.

Jakby te słowa, wymówione umyślnie po polsku, zrozumiała Frascatella, spojrziała na Ordyńskiego smutnie i cicho westchnęła — w tem powóz stanął u bramy jej domu.

XIII

Ku wieczorowi tegoż dnia, gdy podczaszyc rozmyślał jeszcze o pięknej a dziwnej Włoszce, wahając się czy ją miał uznać za szczerze pocziwą, czy tylko wyborną aktorką, w obu razach nie mogąc pojąć wdzięku jaki ją otaczał — wpadł do niego zdyszany pan generał, wołając jeszcze na progu:

— Szczęście żem też pana zastał w domu, a tu król Jegomość chce się z nim widzieć dziś jeszcze, zabieram go zaraz z sobą do zamku.

— Cóż to się stało? jaki powód? zapytał podczaszyc, trochę zdziwiony tym pospiechem.

— Najjaśniejszy pan chce się go lepiej rozpytać o te przekłete jaselka, za któremi marszałkowscy słudzy latają napróżno po całej Warszawie; — jak w wodę wpadły! Rozpowiadałem ja o nich królowi, ale chce widać posłyszeć z ust pańskich jak to się działo, a zatem ubieraj się co najspieszniej podczaszycu i jedziemy. — Wracając z zamku znajdziemy się może gdzieś zabawić. Podskarbi już mi zaczyna trupem pachnąc, a maltański mundur jego o miłą stęchlizną słyhać, obrócimy się gdzie indziej i wieczorek spędzimy mile — spuść się na mnie.

— Tylko się żywo odziewaj, bo Kicki umyślnie z tem przyjeżdżał do mnie żebym cię przyprowadził na zamek i to *eo instante*.

Podczaszycowi choć niemiło było wcale, w pewien sposób instygatorem zostać i wciągnionym być do śledzeń, musiał przecie zastosować się do woli królewskiej i chwyciwszy strój dworski na siebie, włożywszy wstęgę, zawołał o karetę. Nim się jednak przybrał, generał miał czas wypić parę szklanek wina, które nie tracąc czasu podać sobie kazał dla konkokcji po obiedzie, ciężko widać jakoś przechodzącym, gdyż Kicki strawność spokojną w krzesła, przerwał tem poselstwem królewskim.

W chwilę wszystko było gotowo, konie zaprzężone, ruszono do zamku. W bramie krakowskiej skłonił się im darmo Orlandini, siedzący jak zawsze w swoim futerku na krzesła i właśnie zabawiający się przerzucaniem kalendarzyka kieszonkowego, w którym notował *pro memoria* imieniny magnatów, by do nich nie zapomnieć pójść z powinszowaniem i marcepanem. Zawsze bowiem miał zwyczaj, przedni marcepan toruński przynosić solenizantom, a że specjał ten nie był tani, Orlandini w trójnasób brał zań i za swe życzenia.

Koło zamku pełno było jeszcze mimo zbliżającego się wieczora czeladzi mularskiej, ludu, cieślów, robotników; kilku ułanów, kilku kawalerzystów w różnobarwnych mundurach, zwijali się tu i owdzie, karety wjeżdżały i wyjeżdżały z dziedzińców.

Wszedłszy jednak na pokoje, zastali tylko w kątku szambelana Wilczewskiego grającego w szachy z jednym ze służbowych paziów, a w drugiej sali śpiącego wygodnie na kanapie generała Garczyńskiego; — król był w swoich pokojach, ale że podczaszyc przychodził wezwany, dano o tem znać przez szambelana Wojnę, który się znalazł w innym pokoju. — Wojna nie rychło z wyprawy swej powrócił i dał znak generałowi że mogą wniknąć do gabinetu.

Przeszedłszy kilka jeszcze sal i pokoi których prawdziwie królewskie urządzenie podziwiał Ordyński, otwarły się przecie drzwi do wielkiego gabinetu Jego królewskiej Mości, oknami wychodzącego na taras zamkowy. Był to obszerny piękny pokój z kilką szafami bibliotecznymi, ozdobnemi w brązowe rzeźby i zielone firanki. W pośrodku dwa wielkie jednakowe bióra, kilka krzeseł wybitych zielonym aksamitem, kanapka i Wolterowski fotel u okna składały całe umeblowanie. Przed oknem także stał mahoniowy piękny trójnog malarski i stoliczek z całym przyrządem artystycznym, nieco dalej pulpit i pudełko do akwarelli, a na najbliższym biurze, teki, papiery, pędzle, pióra, dyplomata, księgi, rysunki, sztychy, w dość malowniczym rozrzucone były nieładzie. Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów — portret ojca królewskiego, jego matki, księcia Andrzeja, jego żony, księcia Stanisława i kilka pięknych nieznanomych twarzyczek. Pomiedzy niemi uderzały zwłaszcza dziewczynka sparta na krawędzi krzesła, odwrócona ku patrzącym, w pięknym wieśniaczym stroju, i dwie wschodniego typu głowy żydówek Czajki i Elji. Poniżej były pastelle Marteau, wystawujące do półnagie torsy prześlicznych kobiet w różnych postawach, które wymyślone się zdawały, ażeby wydać całą poezję ciała, w najroskoszniejszych

jego zgięciach i najświeższych barwach. Niżej jeszcze rzędem wisiały miniatury Lessuera, po większej części także twarzyczki kobiece uśmiechnione, miluchne, wdzięku pełne.

W jednym kątku widać było niewielki szkic Bacciarellego, tajemniczą jakąś wyobrażający historję Stanisława klęczącego przed zjawiskiem, marą białą, Moiną Poniatowskich, o której głuche krążyło podanie, że członkom rodziny przyszłe ich przepowiadała losy.

Król Jegomość, w bogatym szlafroku, a jak na ówczas zwano *robdeszanie*, z pod którego oszytą korunami koszulę widać było, stał u bióra w pośrodku pokoju, oglądając rysunki które mu podawał mężczyzna po francuzku ubrany, wesołej i ożywionej twarzy, ale niezbyt już młody. Z drugiej strony stołu w dość zaniedbanem ubraniu, z zawiniętymi rękawami, oparł się pierwszy króla malarz i faworyt Marceli Bacciarelli, spoglądając z ukosa to na artystę, to na króla, to na rysunki z trochę szyderską miną. — Stanisław August widać tylko co był porzucił robotę, bo w rękę jeszcze miał pędzel, którego nie złożył i nim na papier wskazywał.

— Mości Norblinie, mówił do stojącego i z uśmiechem coś z teki dobywającego rysownika, ta Zuzanna prześliczna, ale pozwól sobie powiedzieć że rywal Rembranta w sztychu, zbyt znowu w rysunku ciała Rubensa mi czasem przypominasz. — Twoja Zuzanna zbyt może jest pulchna i chyba starców znęcić mogła, nie jest to świeże dziewczę jakiegobym tu sobie życzył...

Bacciarelli rozśmiał się schwytawszy króla na dwuznacności.

— Uwaga Waszej królewskiej Mości jest niezmiernie słuszną, odpowiedział po francuzku Norblin — może być że się omylił, ale w moim wieku już się rysunku nie uczy. Jak mistrz mój Rembrandt ubiegam się zwłaszcza za grą światła i cieni.

— I w tej sam jesteś niezrównanym mistrzem, rzekł Stanisław August, — w tem właśnie spostrzegł jenerała i podczaszyca, którym lekko oddał ukłon skinieniem głowy, ale dalej oglądał rysunki Norblina.

— Trudno bo się od tych arcydzieł oderwać! mówił znowu — to głowa Polaka! Cudzoziemiec schwycił cudnie charakter narodowy, równie jak Bacciarelli i Canaletti — prześlicznie! wybornie! Strój nasz, dawny, choć niewygodny i śmieszny, bo nas od reszty Europy na jakieś tatarskie plemię wystrycha — na obrazie, w sztychu, jak się malowniczo wydaje!

— A! wykrzyknął nagle król biorąc coś z teki — to Orlandini! żywiuteńki! wykapany! a co za charakter! Winszuję ci panie Norblin! Co za talent! Patrz tylko Bacciarelli, jakie dotknięcia!

Gdy Bacciarelli z uśmiechem ale w milczeniu rysunek oglądał, jenerał któremu się nie bardzo chciało czekać, ośmielił się przerwać królowi.

— Wasza królewska Mość rozkazałaś się nam stawić!

— Zaraz panie jenerale, przepraszam cię podczaszycu — chwilę tylko! I szepnął coś Norblinowi na ucho, odsuwając papiery i pokazując mu rysunek jakiś na stole.

Artysta z uszanowaniem ujął ten plód królewskiej ręki, dzieło utworzone w wigilją narad sejmowych a wystawujące — nową liberję dworu, którą król chciał przemienić. Naturalnie, Norblin odchwalić się nie mógł rysunku, kompozycji, doboru barw, cieszył się, radował, oglądał, dziwił, uwielbiał pomysł i wykonanie, Bacciarelli szedł z nim zawody, coraz nowe ukazując piękności w tym rzucie.

Skończyli wreszcie, zgodnie na jeden zdobywszy się koncept, że żaden artysta z powołania nic by piękniejszego nie potrafił wymyślić.

Król wierzył czy nie grubemu kadzidłu, ale je z rozkoszą wciągał w siebie i rozweselony zwinął swój rysunek, żegnając Norblina, przypuszczeniem do pocałowania ręki królewskiej.

— Co się tycze Indygenatu, rzekł do odchodzącego, bądź pan spokojny, wiem, że familja wasza panie de la Gourdain jest istotnie szlachecką, i we Francji używała przywileju tego stanu, a że pragnąłbym tak wielkiego artystę dla kraju naszego zyskać, każę ci wydać dyplom, który musi być potwierdzony bez trudności w sejmie.

Bacciarelli pozostał, ale w głąb' gabinetu się usunął.

Naówczas król trochę zasepiony myślą poważniejszej sprawy i indagacji, którą musiał rozpocząć, zbliżył się powolnie do podczaszyca. Nim jednak usta otworzył, oznajmiono mu architekta Zugh'a, Fontanę, Merliniego, potem nadejście Le Brun'a rzeźbiarza, potem

przyniesiono obraz, który król polecił był kopjować Tokarskiemu, co widocznie więcej daleko króla obchodziło, niż jakieś satyryczne jasełka. Żywo więc przystąpił do przybyłych, z intencją rychłego pozbycia się ich obu.

Podał podczasycowi rękę do ucałowania, uśmiechnął się łaskawiej i zapytał go dość obojętnie:

— Cóżecie to tam wczoraj z jenerałem za osobliwsze mieli widowisko? Prawda to, że w niem nikogo nie oszczędzano?

Ordyński, który wstręt miał do delacji wszelkiej, dość lakonicznie odpowiedział:

— Przypadek chciał Najjsn. Panie, żeśmy trafili na jasełka jakieś z panem jenerałem, z powodu zepsucia się powozu. O ile mi szum, krzyk gawiedzi i nie dość dobra pamięć dozwoliły schwycić to przedstawienie, przypominam sobie, że występowały tam głównie figury biskupów, dygnitarzy, posłów, kilku kobiet...

— Któż z kobiet? spytał ciekawie król, w oczy pilnie patrząc podczasycowi.

— Pani hetmanowa Ogińska, księżna wojewodzicowa Mścińska, księżna jenerałowa Podolska.

— A z familji mojej kto więcej? marszcząc się frasobliwie rzekł Stanisław August.

— Księżę prymas tylko i księżę Stanisław.

— Hm! hm! przerwał król — jak się też WMości zdaje, kto może być autorem tego niecnego paszkwilu?

— Zbyt krótko jestem w Warszawie, zbyt mało ją jeszcze znam, żebym o tem śmiał nawet jakkolwiek sądzić, szybko odpowiedział podcaszyc — a jenerał podchwycił:

— Za to tylko ręczyć mogę, że człek nie z gminu, dowcipny bardzo i w ostre zbrojny słówka, głowa nie lada, wiersz gładki.

— Nie pamiętacież nic? spytał Poniatowski.

— Ja, nic a nic Najjaśn. Panie, pospieszył Ordyński.

— Ja ledwie kawalki, bo to mi się jak groch z kapustą w głowie pomieszało, dodał Baucher — a wstydzilibym się powtórzyć, takie to wszystko grubjańskie i niepoczciwe.

— Przecież mówiliś mi, że i ty tam byłeś na scenie, musisz pamiętać co o tobie śpiewano? zagadnął król jenerała.

— Skromność mi nie pozwala powtórzyć — trochę żartobliwie skłaniając się... i tłumiac gniew, rzekł stary dworak.

— Nikomu nie powiem, daję ci na to słowo królewskie, zawołał zbliżając się Stanisław August, alem ciekaw maniery poety, może bym go po niej poznał?

Zawahał się trochę jenerał, ale wiedząc że rozśmieszy, a znając że u króla łaskę miał choć chwilową kto go rozmarszczyć potrafił — rzekł po cichu z miną dziwnie skrzywioną:

— Ot tak Najjaśn. Panie, ni mniej ni więcej ucięto mnie w ten sposób:

Prochu nie wachał, kąty wycierał,
Brzuch zawsze pełen a głowa pusta.
Wszystkich dworaków jenerał,
A ulubieniec Augusta.

Król się szczerze rozśmiał, ruszył ramionami i zawołał:

— O! niepoczciwy! niepoczciwy! Ale czyż nic a nic nie pamiętasz jenerale nad tę li jedną zagadkę?

— Klnę się W. K. Mości, że z złości wszystkiego zapomniał — a potem, było tam czego słuchać, jedne lepsze nad drugie, rejestr aptekarski!

Król się zamyślił.

— A nie wiesz, nie ma tam śladu tych gwiazdziarzy?

— Ani słychu Najjaśn. Panie, całe miasto przetrzęsione, jednych w niem jasełek prócz u księży Bernardynów i Kapucynów w korytarzach, nie znaleźć — jak w wodę wpadli. Rzecz widocznie przez klubistów była ułożona, dla podania na pośmiewisko pospólstwa najwierniejszych sług W. K. Mości.

— Mości Ordyński, odwrócił się król, nie wiele ja się widzę od W Pana dowiem, alem też chciał cię prosić, żebyś o tem nie rozpowiadał, ponieważ, jak sądzę, rzecz ubito zaraz z początku, niech ją milczenie i zapomnienie pokryje.

— Darmo bo to już milczeć — odezwał się stary dworak z miną zafrasowaną — buchnęło to słysząc po całym mieście jak z armaty, a wierszyki nawet chodzą już po rękach. Ci co je stworzyli sami roznieśli.

Król się bardzo jakoś zasępił, a że mu jednak mimo frasunku pilno być musiało do Zugh'a, Le Brun'a i Bacciarellego, właśnie w chwili gdy mu oznajmowano kilku panów senatorów, których do innego dnia odesłał, spieszenie się zwrócił żegnając swych gości, do ulubionego zajęcia.

Gdybyśmy poważnych historyków świadectw nie mieli o tych zajęciach królewskich, co by ledwie zwyciężkiemu Ludwikowi XIV. przystały, a z których tak dziwnie nasz Poniatowski przypomina owego króla René, malującego rękopisma w chwili gdy mu całe zagarniają prowincje, trudnoby uwierzyć, że w pośród ruchu jaki wówczas panował w Warszawie, mógł król myśleć o czym innym jak o nim. Zagrożona Rada nieustająca, projektowane uchwały względem wojska, pogłoski które się już szerzyły o zażądaniu sądu na dawnych winowajców, a zwłaszcza na Ponińskiego co za wszystkich płacił; uparcie i gorąco popierany alians pruski tak dla króla niesmaczny, odebranie mu w ostatku resztek władzy, powinny były skłonić go, jeśli nie do żywego losem kraju zajęcia, to do obstawania za sobą. Tymczasem wobec takich okoliczności, król się bawił jeszcze, nie mając wiary w żadne środki których mógł użyć, idąc na ostatek ku przyszłości, w którą nie ufał, jak się idzie na oślep w ciemnościach, nie wiedząc czy nad przepaść nie wiedzie obrona droga.

Od dnia do dnia, to sztych przysłany przez księdza biskupa Albertrandego, to obraz kupiony gdzieś za granicą przez jakiegoś agenta, to marmur przywieziony z Rzymu, to nowa Bacciarellego robótka, to model rylca Holzhaussera, to jaki plan Zugh'a, to młoda świeża twarzyczka, wynaleziona przez jaką dostarczycielkę wdzięków — bawiły go, zajmowały chwilę, rozrywką mu były i odurzeniem. Na czwartkowych obiadach poił się dowcipem, wierszykami, kadzidłem, w swym gabinecie pędem bawił lub rozmową, szczęśliwy jeśli znudzenie i zużycie dozwoliło mu w tem co dawniej przynosiło przyjemność, znaleźć teraz choć roztargnienie. Częściej coraz widywano go chmurnym, czasem samotnego ze łzą w oku, a któż policzy tajemne westchnienia słabej duszy, co się ani na męztwo ani na królowanie zdobyć nie mogła! Słabość, zużycie, brak wszelkiej wiary, to były cechy jego charakteru, to były grzechy główne, a wychowanie i losy rozwinęły je do prawdziwie królewskich rozmiarów.

Zaledwie wyszli na pokoje, generał z podczaszycem, otoczył ich ciekawy dwór, mając nadzieję coś o krążących już w mieście epigrammatach się dowiedzieć i całą scenę z ust tych co jej świadkami usłyszeć.

Łojko, Wojna, koniuszy Kicki, podkomorzy Brański, Reverdil, Garczyński, Trembecki, Węgierski i Molski, objęli ich kołem, nie dając się wysunąć.

— Jenerale — zawołał Wojna — nie pójdziesz ztąd póki nam nie powiesz jak to było?

— Jenerał nie może być nie czułym na nasze usilne prośby — chytrze z boku dodał z uśmiechem Węgierski — zwłaszcza że nas tu tylko kilkanaście osób i sekret się wydać nie może.

— Piękny mi sekret! — odparł jenerał — kiedy go już przekupki po Warszawie noszą.

— Ale powiedz-że mi waszmość jak to było? — spytał stając wprost Bauchera Trembecki; w jakiej formie? co? jak? Radbym chociaż kilka wierszy posłyszeć, a daję słowo powiem autora.

— O ho! — pokiwał głową Węgierski z uśmiechem swoim szyderskim — alboż to trudno choćby i pański styl i manierę skopiować?

Trembecki nic nie odpowiedział, usta w górę podniósł, nosem pokręcił i czmychnął zażywając tabaki.

— Panie jenerale — dodał podkomorzy Brański — pochorujemy się, widzisz jakieśmy już rozgorączkowani ciekawością. Jeśli ci miłe życie nasze choć cztery wiersze, zlituj się!! prosimy, błagamy. Jak to było?

— Jak to było? — odparł Baucher filuternie — ot zaraz posłyszycie. Jedziemy z panem podczaszycem, którego oto panowie widzą, wieczorkiem, zkąd? czy mam wyznać panie Ordyński? ha! z rekolekcji od Kapucynów, w tem na Miodowej, blisko szyneczku Różanej Magdy, spotykamy tłum niosący przodem gwiazdę — orderu św. Stanisława...

— Jenerale co mówisz? jaką gwiazdę?

— Cóż ja temu winien, że na niej było S. A. R. dalej idą jasełka, śmiechy, tumult, my naturalnie ludzie ciekawi za ciżbą, zwłaszcza, że nam ktoś szepnął iż to nie prosta szopka. Wchodzimy do izby, poczyna się reprezentacja, występuje Herod przebrany za króla Jmci pruskiego, śmierć reprezentująca rewolucją paryżką, djabeł podobniuteńki do Luccheziniego, żyd...

— No ale te figurki i zagadki?

— Jakie? żadnych nie było prócz króla pruskiego i Luccheziniego...

— Ale dygnitarze, posłowie, biskupi, jenerale...

— Nie przypominam sobie nikogo, chybaży żyd reprezentował ich wszystkich! dajcież mi Waszmość pokój! Była szopka, wół i osioł — może osioł!

— Jenerale żartujesz z nas sobie!

— Panie podczaszycu — odezwał się Wojna — do młodszego się zwracając, może ty będziesz na nas łaskawszy, daj nam choćby cztery wiersze żebyśmy o reszcie sądzić mogli.

— Jakto! — odezwał się zamyślając jenerał — czyżby doprawdy ze czterech wierszy poznać można sprawcę *ex ungue leonem*...

— Albo *canem*, podchwycił złośliwie Trembecki, bo to nie leonińska sprawa, ale *canis latrans per plateas*.

Węgierski usta blade zaciął, zzymnął się niewidocznie, ale pokrył gniew śmiechem.

— I pan szambelan potrafiłbyś doprawdy? — spytał jenerał.

— Poznam, daj mi choć cztery wiersze...

Walcząc z sobą widocznie, Baucher się namyślał, ale na nieszczęście pomimo wysiłków nie przychodziły mu na pamięć całkowicie żadne inne, prócz tych, które się jego samego tyczyły; — wahał się więc z ich powtórzeniem. Mógł był opisać najdokładniej wszystkie przeszłoroczne nawet obiady i śniadania zjedzone po domach, ale nie umiał czterech zapamiętać wierszy.

Tymczasem wszyscy stali z zaostrzoną ciekawością, oczekując skutku jego głębokich rozmysłów. Trembecki czekał także, wiedząc że się czegoś doczeka, jakoż jenerał wziął go na bok i w oknie szepnął mu na ucho jak go odmalowano, prosząc o największy sekret.

Rozjaśniło się nieco, zwykle dumne i surowe oblicze śpiewaka, pokiwał głową i odparł cicho jenerałowi zaciekawionemu znajomym wierszykiem:

Byłbym cię nieznał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przybrało...

Stary osłupiał.

— Jakto? — rzekł — on by śmiał? a to by mu kości pogruchotano.

— Jestem swego pewny, ale jakże mu dowiedziesz? Jutro może do Francji uciecze.

— Na co dowody, kiedy mamy pewność, zwycięzko rzekł jenerał, będą kije w robocie.

Wśród tej ciechej rozmowy, Węgierski niby obojętnie uszedł trochę na stronę, ale z oczu ich nie stracił i znać było, że się doskonale domyślał wyroku, jaki nań wydał szambelan kolega.

Te szepty na stronie zaciekawiły przytomnych, lecz się już nic widać nie spodziewali dowiedzieć tutaj, zasłyszawszy od podczaszycy, że król im usta zamknął, powoli więc poczęli się rozchodzić, jenerał także ukośnem rzuciwszy wejrzeniem na Węgierskiego, jakby brał rozmiar pleców jego, wyniósł się z zamku, bardzo coś na wąż motając.

Djabeł

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM III

I

Wieczorem u pani starościny mołogolskiej, u pani Opeckiej, u hetmanowej Ogińskiej, u wojewodzicowej mścislawskiej, gdzie się zbierało dużo osób z przybyłych do Warszawy i ze dworu, o niczem nie mówiono, tylko o przygodzie owej jenerała i podczaszyca, a trafem dziwnym, wszyscy już powtarzali wierszyki o osobach z którymi byli źle, w zupełnej będąc niewiedomości innych co się do nich samych lub ich stronnictwa stosowały. Powszechnie unoszono się nad dowcipem paszkwilisty, a że z niego zarówno, ze śmiałości wielkiej i z sentymentów jakimi wiersze były na wskrós przejęte, słynął na ówczas szambelan Węgierski, jemu też powszechnie tę sztuczkę przypisywano. Sąd Trembeckiego, który bez ogródki starościca korytnickiego uznał autorem zagadek, wielkiej tu także był wagi. Nie wiadano tylko, kto w tak zuchwały sposób wierszyki te po Warszawie za pomocą jasełek chciał rozpowszechnić, zapewne w celu politycznym. Opowiadanie o szynkowem widowisku w tysiączne ubierane dodatki, a między innemi, że lud oburzonego Bauchera dobrze wyszturgał, wywoływało śmiechy ogólne.

Śmieli się nawet najsrożej pokaleczeni, bo o sobie nie wiedząc jeszcze, cudzej biedzie radzi byli. Z tego powodu i podczaszyc Ordyński grający tu jakąś rolę zwrócił uwagę powszechną. Damy, zwłaszcza te które w tej chwili były niezajęte, przy których sigisbejstwo wakowało przypadkiem, lub aspirantami tylko tymczasowymi zapelnione było, powtarzały sobie na ucho różne wiadomostki o podczaszycu Ordyńskim. Zjawienie się młodego ładnego chłopca ze wsi, w owe czasy powszechnego zepsucia, nie mogło przejść niespostrzeżone. Z początku póki go widywano u boku matki, wydawał się trochę za młodym, i podczaszyna imponowała, ale gdy usłudni przyjaciele rozgłosili, że bywa u Frascatelli, że go z nią widziano na ulicy nawet, wielkie wrażenie zrobiło to po salonach. Wojewodzicowa mścislawska, która od syna pierwsza się podobno dowiedziała o tem, że podczaszyc do tancerki uczęszcza, odezwała się wieczorem u starościny mołogolskiej:

— Wiecie państwo, że ledwie matka odjechała, już się ten młodzieniaszek w świat puścił, żal mi go bardzo że tak lichy uczynił wybór i myśli śmiecie z ulic wymiatać, szkoda jego młodości!

— Zwłaszcza — dodała gospodyni z ostrym uśmiechem — gdy mu o coś lepszego, przy jego minie i świeżości, niezmiernie byłoby łatwo.

— Zapewne — odpowiedziała księżna — ale jak to raz rzuci się w te niższe klasy towarzystwa, któżby potem chciał po tancerkach zbierać niedogryzki?

— Pozwólcie panie, bym się też za nim ujął trochę, odezwał się przytomny na wieczorze książę Nestor; wiem z pewnością od jenerała Bauchera, że to jeszcze bardzo niewinny i skromny dzieciak. A co się tycze tej tancerki, wszystkim nam wiadomo, że ona do tych dziwnych zaklętych istot należy, na które patrzy się z podziwieniem nie mogąc ich zrozumieć. Naraża się na języki, ale nikt jej nie dowiedzie jednego prawdziwego kochanka.

— Ależ — zawołała gospodyni, wasza księżęca mość dziwnie też jesteście naiwny, że wierzysz cnocie tancerki, która jeździ na wieczorki do księcia podskarbiego!

— Ona jeździ i chodzi wszędzie, gdzie się jej zamarzy — rzekł książę — a z tego co na nią powiadają śmieje się niemniej.

— Porzućto ten przedmiot — przerwała matka — utrzymujesz dziwaczne założenie! Sensu w tem niema!

— Powracam więc *à mes moutons* — dodał książę Nestor — to jest do podczaszyca. Jenerał mi mówił, że dziwny z niego nowicjusz, choć ogromna w nim ochota puszczenia się w świat. Nie brak mu nawet wcale dobrego wychowania, ale nieśmiały. Dobrzebyście panie zrobiły, biorąc na siebie wykrzesanie go i wyrobienie żeń człowieka. Zadanie przykrem by nie było.

Rozmowa toczyła się ciągle po francuzku, a przytomna jej żona posła pruskiego pani Luccesini, piękna Włoszka z czarnemi ognistemi oczyma, słynąca z zalotności, której obojętność męża swobodnie i rozległe dawała pole, słuchała z innemi z podbudzoną ciekawością. Gdy książę Nestor skończył, śmiało odezwała się prosząc go, żeby jej tę osobliwość przyprowadził i zaprezentował.

Nikt się nie dziwił temu, nikt się nie uśmiechnął, kilka innych pań goniących resztkami piękności lub pięknych jeszcze, mimo że wcześniej z wdziękami swemi na świat wybiegły, chórem powtórzyły tę prośbę do księcia za posłową.

— Ale prawdziwie — śmiejąc się odparł piękny generał — mógłbym mu pozazdrościć tytułu ciekawości i takiego szczęścia.

— Rzeczywiście — dodała Lucchesini — przypominam sobie, że go gdzieś już widziałam, bardzo to ładny dzieciak.

— Czy piękniejszym go pani znajduje — szepnął na ucho posłowej księżce — nawet od młodego Ursyna (Oursino).

(Wieść już wtenczas dawała pani Lucchesini znajomego pod tym przydomkiem w świecie, autora *Powrotu posła*).

Włoszka podniosła oczy niezadowolone, jasne, śmiała na pytającego, i dodała jakby nierozumiejąc:

— Któż to jest Ursyno?

— Posel inflantski.

— Kub...? — śmiejąc się podrzuciła.

— Niech pani przypomni sobie, że jest drugi przecie!

— A! wiem o kim pan mówisz — z równą odwagą, ale ciszej odpowiedziała Lucchesini. — A! a! jakże ich porównywać można: Ursyno choć młody, tyle już przeżył miłostek ile ma lat!!

— Jest nadzieja, że dzisiejsza miłość jego będzie ostatnią — dodał po cichu książę.

— Nie rozumiem mości księżce — zimno odpowiedziała posłowa — jak gdybyś mówił po polsku: (*C'est du polonais pour moi*).

Lucchesini, która nic nie umiała po polsku i gniewała się, gdy przy niej mówiono tym językiem, zwykle się w ten sposób wyrażała.

Na tem ogólniejsza przerwała się rozmowa, gdy jak na toż, generał z podчасzycem weszli na pokoje pani starościny.

Dom jej był naówczas jednym z tych salonów prawie codziennie otwartych, gdzie się ludzie wszystkich niemal stronnictw spotykali. Służył on za *rendez-vous* nie jednej zakochanej parze, nie mogącej zejść się gdzie indziej, za plac spotkania nie bijący w oczy potrzebującym widzieć się tajemnie, dokąd każdy dążył pewien, że tam najświeższe plotki i połowę Warszawy znajdzie. Uprzejmość, dowcip gospodyni (Anny ze Scypionów Szaniawskiej), czyniły wieczory jej jednymi z najprzyjemniejszych i najwięcej uczęszczanych. Ton w nich panujący był naturalnie francuzki ówczesny, ale prawdziwie wielkiego świata.

To też najznakomitsze osoby owej epoki wołały tu spędzać godziny wieczorne niż gdzieindziej, a gdy inne paradniejsze salony stały pustką często, tu natłok był zawsze. Każdy przybyły do Warszawy musiał się prezentować starościny, i indygenat otrzymawszy w jej domu, pewnym był przyjęcia u innych. Nie dziw więc że generał przywiódł tu swego protegowanego, by nigdzie nie spodziewał się sam spotkać więcej osób i lepiej rozsluchać czem Warszawa tętniała, a podчасzycowi z tego stanowiska najskuteczniej mógł całe towarzystwo ukazać. Kolacyjki też pani starościny dosyć mu smakowały; nie były to wymyślne przysmaki Lukulla, ale miały staropolską zawiesistość i obfitość, czem się inne pochlubić nie mogły. Generał umiał te przymioty ocenić, gdyż po innych stołach choć wytworne, skąpe bywały półmiski i niedostępne dla wielu, bo o nie prawie bój staczać przychodziło.

Starościna obu przybyłych powitała swoim zwyczajem z godnością a uprzejmie; oczy wszystkich kobiet zwróciły się zaraz na wilka o którym tylko co była mowa, a co tak w porę przyszedł. Wilk nasz wydał się im czem był w istocie, wielce powabnym, pięknym młodym chłopakiem, którego resztką nieśmiałości dziecinnej jeszcze wdzięczniejszym uczyniła. Zewsząd się piękne oczki trochę bezwstydnie zwróciły ku niemu, a generał który tego zaraz jakoś dostrzegł, westchnął pomrukując: *O aurea juvenus!*

Ten który był celem tak ognistych napaści, najmniej się ich domyślał: zatrzymała go zaraz przy sobie księżna wojewodzicowa, na którą aż strasznie ramionami ruszać zaczęto w młodym kątku, że tak świeżuchnego kawalera na szczątki swych trędowatych wdzięków zwabić chciała. Jej żywa i ośmielająca rozmowa, dowcip szyderski, gwałtowna chęć podobania się, której już małowczko czasu do popisu zostawało — uwięziła na chwilę podчасzycę. Pragnął może przejść gdzieindziej, spotykając i czarne ogniste oczy Lucchesini

ku sobie zwrócone znacząco i kilka par różnych odcieni wejrzeń szukających oka jego, promieniejących zalotnością, melancholją, wesołością, obietnicami — ale grzeczność go nie puszczała. Nareszcie gospodyni zrzuciła z niego te kajdany, powołując ku sobie i niecierpliwiej przedstawując Włoszce.

Szczęściem, tego wieczora posła inflantskiego nie było, zatrzymali go Mostowscy; Lucchesini więc zagarnęła podczaszyca i schwyciła jak swego — nic jej nie przeszkadzało.

— Teraz już — szepnął generał — choćby go starościna spróbowała przywołać, z tych pięknych łapek nie tak się łatwo da odebrać jak od ks. wojewodzicowej!!

Mienia się czasy i obyczaje: dziś, pomimo licznych może wyjątków, trudnoby pojąć jak gwałtowny szturm przypuściła Włoszka do młodzieńca, którego od razu jednego wieczora wziąć chciała. Co dziwniejsza! nikomu się to nadzwyczajnie nie wydawało, choć biło w oczy szkaradnie; jedna tylko wojewodzicowa szemrała na bezwstydną. Co na ten napad poszło słów, zapytań, odpowiedzi i wejrzeń strzelistych, wejrzeń co aż do dna duszy zagłądały — wyliczyć niepodobna. Niktby się nim nie oparł, cóż dopiero młody, niedoświadczony i wcześniej przygotowany do upadku Ordyński?

Osobliwszy to był charakter kobiecy; w niej miłość i miłostki, raczej z namiętnego usposobienia niżeli z serca i potrzeby uczucia płynęły. Fantastyczna, niestała, porywcza, poświęcająca się dziś, by jutro wyrzucić ofiarę którą uczyniła, łatwo gniewliwa, gwałtowna do szaleństwa, mogłaby być znużyć najwytrwalsze przywiązanie, gdyby go nie rozdrażniała co chwila tysiącem nowych wdzięków, w które ją każdy nowy wybuch przystrajał. Ze wszystkimi wadami wieku, z zalotnością obyczajów ówczesnych, łączyła dumę jakąś, ambicją i ogień sobie tylko właściwy.

Był to więc szatan przebrany w suknię kobiecą, rzucający ludźmi jak dziecię zabawką, stworzony na męczarnie dla siebie i drugich. Olbrzymi egoizm podnosił wszystkie jej wady do tego stopnia, na którym się one już człowiekowi nigdy błędami pokazać nie mogą. W przekonaniu swem zawsze niewinna, wiecznie była ofiarą.

W pierwszej chwili przedstawiła się Ordyńskiemu w postaci kobiety czulej i łagodnej — była to zwykła jej fizjognomia zapoznania, zdawała się nią ośmielać, by przybliżyć i pociągnąć ku sobie. Oczy jej patrzyły miłuchno, usta mówiły słodko, czoło oblewało się mgłą tęsknoty i pragnienia nienasyconego, ale to była tylko pierwsza maska, którą rychło zrzuciła piękna Włoszka, ze zręcznością szatańską przechodząc stopniami powoli do coraz wybitniejszych rysów, w których gwałtowna namiętność, chęć władania, a często i gniew panował.

Tego wieczora, wszystkich jej dobrych znajomych uderzyła ta słodycz nadzwyczajna i powolność, któremi się dla Ordyńskiego osłoniła. Nie gniewała się że w koło niej ten i ów po polsku przemówił jak zwykle, nie wylażała nikogo, nie wstrząsała się na każde skrzyknięcie paryskich trzewików księcia Nestora, które było dla niej nieznośne. Rozmowa poczęła się od matki podczaszyca i Włoch o których z tęsknotą mówiła piękna ich córka, przeszli potem do Warszawy, do dworu, do tych ogólników pod które podłożyć można wszelką myśl jaką kto chce; których obcy słuchają nierozumiejąc, a jeden tylko pojmuje prawdziwe znaczenie. Są to słowa skelety, na których rozwieszono wzrok, uśmiech, niepostrzeżony ruch i drgnienie, właściwe dają im życie.

— Pan musisz być bardzo ztęskniony za matką i ogłuszony tą wrzawą tak nową dla siebie? — spytała Lucchesini podczaszyca.

— Patrzę, słucham, dziwuję się — odpowiedział Ordyński — jestem wszystkiemu nowy.

— Zazdroszczę panu tych uczuć — rzekła Lucchesini, bo dla mnie wasza Warszawa tak już w krótkim czasie stała się znajomą i nieciekawą! Tak mi tu między wami za moją tęskno ojczyzną!

— Wątpię, by pani braknąć mogło towarzystwa i wielbicieli — dodał podczaszyca, ośmielony jej wzrokiem.

— O! niczego mi nie braknie, nawet tego sprzętu, który pan zowiesz wielbicielami, ale to wszystko tak nudne i pospolite. Ja lubię młodość, a tu i młodzi są starymi.

Podczaszyca przypomniał sobie rozmowę z Frascatellą i coś w niej do tych słów podobnego; schodziły się dwie Włoszki na jedno prawie wyrażenie, ale czy z jedną w istocie myślą?

— Najnudniejsze w świecie wiodę życie w Warszawie — dodała pani Lucchesini — mąż mój, jako dyplomata, nieustannie zajęty ledwo go raz w miesiąc w cudzym domu spotkać mi się uda, towarzystwo poufalsze mam nie wielkie, a w waszym świecie polskim, tak wszystko nieznośne po polsku!

Ta impertynencja naówczas była tak w tonie zwykłych rozmów, że uszłaby nawet w ustach każdej Polki; podczaszyc więc nie biorąc jej za złe, tylko się uśmiechnął.

— Przyznaj jednak pani — dodał — że robimy co tylko możemy, by się z naszego barbarzyństwa otrząsnąć.

— Może być, ale że waszego *wczoraj* nie znam, a *dzisiaj* nie mam z czem porównywać, ten postępek wydaje mi się jeszcze bardzo chyba niedostrzeżonym...

— Więc Warszawa nie miała szczęścia podobać się pani? — zapytał podczaszyc coraz bardziej pociągany płomienistym jej wzrokiem. — Szkoda! zawsześmy uchodzili za gościnnych, przykro nam będzie jeśli wrażenie jakie ztąd wywieziesz pani, naszym chęciom nie odpowie.

— Zresztą — poprawując się przemówiła Lucchesini — alboż wiem jeszcze jakie ztąd wrażenie wywozę, czekam i patrzę, patrzę i czekam dotąd.

To czekam — pełnem było obietnic; zrozumiał je dobrze choć niedoświadczony Ordyński i już miał odpowiedzieć zbierając się na odwagę, gdy druga z tych pań co na niego czatowały przysunęła się do rozmawiających jeszcze śmieiej, jeszcze dziwniej porywając się na podczaszyc.

Była to piękna blondynka, od lat trzech dopiero zamężna, której puder modny bardzo był do twarzy — bieluchna, świeża, rumiana, rzekłbyś, łagodna jak baranek. Jedna to była z tych mnóstwa pięknych starośnin, w które Warszawa obfitowała za Stanisława Augusta, które wszyscy kochali poczynając od króla, które malował każdy artysta, wielbił każdy młody; jedna z tych, co umiały doskonale wszystkim być mile, nikogo nie zrażać, każdemu jakąś cząstkę nadziei wydzielając za dobre chęci.

— Podczaszycu — zawołała wpadając między niego a panią posłowę ze szczególniejszą odwagą (była mu już trochę znajomą z widzenia) — czy to prawda, jak mówią, żeś się już zakochał?

— Ja? — płoniąc się zmieszany rzekł podczaszyc — ja pani?

— Nie byłoby nic nadzwyczajnego! — przechodząc w dumny tonik przerwała Lucchesini.

— Tak jest pan, pan, przyznaj się przynajmniej szczerze, będziemy wiedziały czego się trzymać — dodała roztrzępana blondynka, rzucając okiem na posłowę z minką wiele znaczącą.

— Alem ja jeszcze nie miał czasu rozpatrzeć się w Warszawie i pomyśleć o wyborze!

— A! a! — zaśmiała się perłowemi ząbkami starościna — alboż to miłość myślisz pan sobie wybierać jak aksamit na suknię?

— Przyznam się pani, że o tem zakochaniu mojem nie wiem jeszcze.

— Bądź pan z nami szczerzy! — nalegała blondynka.

— Prawdziwie, gdybym wiedział do czego mi się pani przyznać każe!

— Ale my już wszystko a wszystko wiemy — mówiła żywo nie dając się wmięszać Włoszce starościna, a jakże nie mamy wiedzieć, kiedy się kto tak mało strzeże i po ulicach swoje tryumfy oprowadza!

— Rozumiem nareszcie — odezwał się podczaszyc, widząc, że się potrzeba stanowczo wywikłać z tych zapytań, którym, ze wszech stron badające spojrzenia towarzyszyły. Dziś rano spotkałem na ulicy tancerkę Frascatellę, musiano mnie z nią zobaczyć, i ztąd cała plotka?

— Ale czyż tylko plotka? — zapytała natarczywie blondynka. Lucchesini także wlepiła w niego czarne swe oczy z zapytaniem niemem.

— Dotąd jest to plotka nic więcej, uśmiechając się odpowiedział Ordyński, ale za dalej nie ręcę...

— Prawdziwie — przerwała starościna zaczynając się bawić wachlarzykiem — gdyby to plotką być przestało, wstydby nam było wszystkim wiele nas tu jest, żebyś też pan z tylu pięknych kobiet wyższego towarzystwa w całej Warszawie, nie umiał sobie wybrać i zszedł od razu na tancerkę! to dobre na koniec, dla Bauchera, dla podskarbiego, pan wart jesteś coś lepszego!

— A bezwstydnica! — ścinając zęby mruknęła z gniewem tłumionym Lucchesini.

Blondynka zdawała się na poruszenia posłowej nie zważać, i chwyciła podczaszyca za rękę.

— Doprawdy — rzekła — nie gniewaj się pan, ale nie chcemy byś wpadł w ręce tanecznicy i śpiewaczki, nie jedna z nas gotowaby się poświęcić, by go wydrzeć z niebezpiecznych szponów drapieżnego tego zwierzątka.

— Oszałała! *mais elle est devenue folle* — w duchu mówiła Lucchesini.

Podczaszyc pomiędzy temi dwiema pięknosciami stał odurzony nie wiedząc co począć, wahając się ku której miało pójść serce jego, gdy właśnie w tej chwili stanowczej nadeszła trzecia.

Sławna to była piękność i nie mniej głośna zalotnica, którą już był pierwszy jej mąż podujnowawszy się oddał za trzykroć sto tysięcy drugiemu, wielkiemu a obojętnemu panu. Rozwód, znowu miał ją jak było słyhać, uwolnić od tego związku, a w miejsce jednego, kilku już miała ubiegających się o jej rękę, wdzięki i dobra wytargowane na dwóch małżonkach.

Istotnie, piękna była jak anioł, gdyby tu tego porównania użyć się godziło, i miała ten rodzaj fizjognomji zwodniczej, pod którą rzekłbyś mieszkać powinny wszystkie cnoty i wszystek rozum tego świata. W spokojnym jej obliczu Rafaelowskiej Madonny czytałeś coś chcial, a w oczach jej ulgnąwszy można było przemarzyć lata, prześnić wieki. Cóż kiedy ta twarz tak okrutnie kłamała!

Najpospolitsza z kobiet, ledwie miała trochę poloru, który nadaje wprawę w towarzyskim życiu, nie wiele dowcipu, nic serca, ale za to odwagę jaką ją obdarzała piękność cudna i tę pewność siebie, której nabyła widząc u swych kolan co żyło, palące ofiary. Ćmiła ona w istocie twarzą nieco wschodniego typu co się tylko najpiękniejszego ukazywało, i panowała jak królowa w tym wieńcu, którym skroń swoją zdobiła Stanisławowska Warszawa. Nie było poety, któryby jej nie śpiewał, młodzieńca i starca coby do niej nie wzdychał, a w zgromadzeniach ile było oczu, wszystkie się ku niej zwracały. Piękna ta laleczka, w takiej tylko epoce jak ówczesna tak powszechnie ubóstwianą być mogła, gdyż każde słowo z ust jej wychodzące, powoli rozczarowywało.

Ta trzecia zbliżyła się także, zdala już wzrokiem krępując przyszłego niewolnika, chciała tryumfu i była go pewną.

— Podczaszycu — odezwała się z góry — matka mi waćpana poleciła w opiekę; pięknie jej jesteś posłuszny, wszak od jej wyjazdu ani razu nie byłeś u mnie.

— A! pani! czuję żem winien — grzecznie odpowiedział zagadnięty — ale generał Baucher wszystkimi krokami memi kierował, nie dał mi się ruszyć samemu, niech zaświadczy.

— I on to zapewne — dodała piękność — zrobił panu tę znajomość z tanecznicą — fe! zostaw to pan starym naszym weteranom!

Podczaszyc się zarumienił.

— Prawdziwie — rzekł — nie tylem winien, ile się zdaje.

— Waćpan — przerwała nie słuchając nawet usprawiedliwienia piękna pani — odprowadzisz mnie dziś do domu... mam mu coś od matki powiedzieć... miałam list od niej...

To rzekłszy odwróciła się majestatycznie i wiedząc że zwyciężyła, że się na nią wściekać będą, rzuciła podczaszyca na resztę wieczora pastwą swoim rywalkom, które z trudnością w uśmiechach gniew tłumili. Lucchesini przysunęła się do starościny szepcząc do niej żywo.

— Widziałaś pani co podobnego! kazała mu się odprowadzić! *C'est joli!*

— Bezwstydnia! — podchwyciła z kolei blondynka, zżymając białemi ramionami — tak jest pewną siebie, że byle skinęła, weźmie kogo zechce! Głupi ci mężczyźni!

— Prawdziwie — z przymuszonym uśmiechem kończyła posłowa — byłby to dobry, miłosierny uczynek, gdyby jej kto podczaszyca schwytał! i figiel nieoceniony.

Spojrzały sobie w oczy — jedna myśl w nich błyskała — zamilkły bo się doskonale rozumiały. Blondynka zwróciła się żywo ku młodemu człowiekowi, znów poczynając ścigać go prześladowaniem i pół słówkami, z drugiej strony nie rzucała go Lucchesini, podczaszyc stracił głowę i oszałał. W sercu jego były się podniecone uczucia, myśli wrzące

prześladowały głowę, oczy błąkały się z jednej twarzyczki na drugą, nie wiedząc na której spocząć miały, szalał aż cierpiał.

W tem jenerał podszedł ku niemu cicho.

— Winszuję ci — rzekł zniżając głos — trzy najpiękniejsze kobiety ubiegają się o ciebie, szczęśliwy! Wszystko to potroszę winienieś Frascatelli. Chcesz mnie posłuchać, wybierz sobie na początek starościny; ładna i dobra kobiecina choć trochę kapryśna, ale która z nich niema much w nosie? Lucchesini djabeł, popędliwa, nieznośna, a ma już posła inflantskiego, z którym byś się rozprawić musiał. A że to poeta ciąłby cię podwójnie szpadą i piórem. Od szabli kresa zarośnie, a atrament plama niezmyta! Męża nie liczę bo to minister, myśli o traktatach nie o żonie. Wielka ta pani ma tylko kaprys do asindzieja, proszę się nie urażać, potem cię porzuci, a jegomości darmo i pycha i serce boleć będzie. Strzeż się jej, to stworzenie *sine corde!* prawda że lalczka cudna, ale co z tego? starościna także ślicznotka i jak ulał dla ciebie.

Takie to były nauki jakimi karmiono podczaszyca, takie początki jego na tym świecie do którego wzdychał. Na ów wiek, w tem wszystkim nie było nic dziwnego, nic bezwstydnego, bo obyczaje doszły do tego stopnia rozwiązłości, że się już wstydzic nie umiano.

II

Oddawszy karetę swojej jenerałowi, podczaszyc pod koniec wieczora podał rękę pięknej pani, która biorąc ją powiodła okiem po posłowej, starościnie i reszcie dam, ukłonem lekkim pożegnała wszystkich i powolnie w tryumfie wyszła z wybranym swoim. Jenerał się uśmiechnął rozstając się ze swoim pupilem, wykrzyknawszy tylko:

— Ba! ba! żeby mi kto choć raz jeszcze wrócił młodość moją, ofiarowałbym się trzy całe dni pościć o chlebie i wodzie.

Że późno już dość było, powoli wszyscy się rozjeżdżać zaczęli, i starościna, która miała to w swoim charakterze, że się łatwo zrazić nie dawała, karcie swojej w ślad za pierwszą uważając Ordyńskiego jechać kazała, ażeby się dowodnie przekonać jak też długo podczaszyc zatrzymany zostanie u pięknej pani, która mu list od matki tłómaczyć miała. Stangreci ówczesni dobrze się na podobnych znali poleceniach, i sługa starościny spełnił roztropnie i zręcznie jej rozkaz, a dojechawszy do pałacu w którego dziedziniec wtoczyła się karetą, przyzastanowił się z boku za pociągnięciem sznura.

Starościna nie lękając się dość ostrego powietrza, piękną swą twarzyczkę przyłożyła do wpół podniesionego okna powozu i z natężonym wzrokiem postanowiła czekać podczaszyca, który nad spodziewanie prędko ukazał się w futrze pieszo we wrotach, przyglądając się czy gdzie fiakra nie zobaczy.

— Rozpoznawszy go instynktem, starościna kazała podjechać i drzwiczki otworzyć.

— Siadaj pan — odezwała śmiejąc się.

Ordyński osłupiał.

— Pani tu, jakim przypadkiem? — zapytał.

— Żadnym przypadkiem, najumyślniej w świecie, chciałam się przekonać, jak długo państwo czytać będziecie ów list podczaszycej. Ale widzę że pana zwiedli, próżnąś tylko warte odbył, bo i bez niego bezpiecznie by była do domu zjechać mogła, niktby karetę nie napadł; nie zięb-że się pan na próżno, siadaj, ja cię odwiozę.

— Ale to być nie może! ja mieszkam tak daleko!

— To być może i to być musi — odparła blondynka, ja tak chcę i każę.

Podczaszyc dał się przekonać jak dziecko, karetą zamknęła się za nim i zostali sam na sam we dwoje. Młody człowiek powoli co raz mniej dziwować się poczynął temu natarczywemu zalotnictwu pięknych pań, i śmiał się po trochę ze swego położenia.

Tymczasem dowcipna, żywa i kapryśna starościna korzystając z chwili swobodnej, usiłowała go spętać i rzucić pod piękne swe nóżki. Co tylko może dowcip, zalotność, młodość, wdzięk i szal zazdrości, wszystkiego użyła, by jutro do niej powrócić zapragnął i zapisał się jawnie w poczet jej wielbicieli; nie tyle jej może szło o zdobyc samą, co o rozgłos który mieć mogła, o tryumf nad ową pięknoscią i czarnymi oczyma Lucchesiniowej, których pochwały srodze ją niecierpliwiły — miała bowiem śliczne niebieskie!

Anusia, Frascatella, Lucchesini i ostatnia nawet majestatyczna piękność, wszystko się zatarło wśród tej przejażdżki, która trwając krótko znaczyła tak wiele, że podczaszyc wysiadając i całując rączkę ściskającej dłoń jego blondynki, uczuł się związanym nieodwołanie.

— Jutro na obiad do mnie — szepnęła mu po cichu — wieczorem razem pojedziemy do pani Opeckiej, będziesz mi pan służył za *cavaliere servente*. Słyszysz pan? proszę go o to i nie chcę być zawiedziona! Jutro cały dzień panu zabieram, caluteńki!

— Pilno mi świtu i jutro doczekać! — odpowiedział Ordyński rozmiłowany i pałający. Nie chybię, chyba bym umarł z nadziei!

— A! na Boga nie umierajże mi pan — odpowiedziała starościna. — Z nadziei niema zwyczaju umierać, a ja chcę byś żył dla mnie! — dodała po cichu ściskając go raz jeszcze ręką drżącą — do jutra, do jutra!

Kareta szybko się od wrót zawróciła, a Ordyński pozostał jeszcze jak przybity do miejsca, nie wiedząc co się z nim działo, gdy uczuł lekkie ręki ścisnienie i po księżycu ujrzał djabelskie oblicze cavaliere Fotofero, kłaniającego mu się z uśmiechem powinszowania i wymuszonej grzeczności.

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale się już podczaszyc z temi rysami co go tak przerażały w początku, oswoił, i nie doznał teraz, może w skutek unoszącego uczucia, bolesnego, przykrego wrażenia jakie na nim ta twarz czyniła gdy ją pierwszych razy kilka zobaczył. Zdziwił się trochę, wzdrygnął, bo po ślicznych kobiecych twarzyczkach trzech piękności, ujrzeć takich rysów nie można było bez wstępu, ale zniósł to jakoś wesoło. Świat mu się uśmiechał i djabeł — nie wydał tak czarnym. Cavaliere Fotofero patrzył mu w oczy i kiwał głową.

— A widzisz pan — mówił — że i z moją szpetną twarzą oswoić się przecie można, już w panu nie widzę dziś tego wstępu co wprzód i winszuję, że się powoli otrząsasz z dziecinnych przywidzeń! Łupina może być czarna, a orzech smaczny — dodał axioma-tycznie.

Podczaszyc uśmiechnął się sam nie wiedząc dla czego, ale serce mu się śmiało.

— Ślicznie, wesoło, po młodemu, poczynasz pan życie — rzekł Fotofero — ot tak to lubię! Frascatella, Lucchesini... ta pani starościna... jest w czem wybierać! Zresztą, po co wybierać kiedy wszystko zagarnąć można.

I rozśmiał się znowu osobliwym jakimś śmiechem, który jakkolwiek cichy, zdawał się po pustych daleko rozlegać ulicach i rozlatywać w powietrzu powtarzany ech tysiadcem.

Ordyński nie uchodził, sam sobie wyrzucał swój strach dawniejszy i dawał mówić Włochowi, słuchając go z zajęciem. Zdziwiło go tylko, że tak doskonale o najświeższych wiedział wypadkach.

— Cóż to? pan chyba każdy krok mój śledzić musisz? wiesz tak dobrze wszystko.

— Wszyściuteńko — odparł Fotofero mrugając wypukłymi oczyma — a później jeszcze przekonasz się pan że i na wiele przydać się mogę, osobliwie jak pan młodemu... Panu brak doświadczenia: Poinot nie znał obyczajów naszych, jenerał myśli tylko gdzie co zjeść, zostawiony jesteś własnym siłom, serdecznie mi cię żał podczaszycu i gdybyś chciał doprawdy... ale widzę że się już marszczyć zaczynasz.

— Ja i owszem, słucham z wdzięcznością!

— Słuchasz a nie ufasz.

— Czemuż bym miał od nieufności zaczynać?

— Powtarzam, mógłbym się przydać bardzo.

— Wszak i pan tu jesteś obcym.

— Ja? ja nigdzie obcym nie jestem, obywatel świata, wszędzie jestem jak u siebie. Warszawę znam od pewnego czasu, i wyznaję że mi się teraz wcale podobać zaczyna. Jest to stolica po mojej myśli. Grają grubo, szaleją, piją, hulają, kochają się — ja to lubię, potrzeba życia używać.

Podczaszyc spojrzął z ukosa na dziwnego towarzysza z jakąś niedowierzającą miną, obawiał się czy nie żartuje.

— Panu nic nie brak, byś tu wielkie miał powodzenie — kończył cavaliere — jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany, bogaty i dobrego imienia; lubił bym być w pań-

skiej skórze. Tylko mi się pan nie złap na jaką długą sentymentalną miłość, to wycieńcza i ogłupia... O Anusi spodziewam się żeś pan zapomniał — podszeptał w końcu.

— Co? o jakiej? — zdziwiony coraz bardziej, zapytał, cofając się prawie z przerażeniem podczaszyc.

— Zapomniałeś pan, że ja doskonale i oddawna znam Głuszę, łatwo bardzo domyśleć się mogłem co się tam święciło między Anusią a panem.

— Ale nie! nie! to przywidzenie! smutnie jakoś przerwał Ordyński z westchnieniem mimowolnym ku Głuszy, które go zachmurzyło.

— Niech nie będzie, to lepiej — odparł cavaliere; Frascatella także dziwaczna, nie dla pana wcale, mówią nawet że poczciwa, to jest głupia, nie ma tam po co chodzić... Z tych pań będziesz sobie brał po kolei jaką zamyślisz, to rzecz nie trudna — jak grzyby z koszyka... Dobra noc, dobra noc.

Rozśmiał się znów po swojemu, aż podczaszyc się wzdrygnął, ukłonił nisko i zniknął tak szybko, że Ordyński nie mógł nawet dostrzedz, w którą uszedł stronę.

III

My się na chwilę teraz przenieśmy do pustej Głuszy, w której od śmierci staruszki ciężki osiadł smutek i pustka grobowa. Odjazd Michała, nagły prawie zgon starościny, osierociły piękny pałac i zawczasu dozwoliły pająkom snuć nici zapowiadające długie ich panowanie. Ten niedawno jeszcze tak świetny dwór, milczał teraz z pozamykanymi okienicami i drzwiami, stojąc jak zaklęte zamczysko. Kilku pozostałych sług rzadko przesunęli się od oficyn, w pałacu nikt nie mieszkał, a stary Sieniński nie miał serca zajrzeć do pokojów od czasu pogrzebu starościny.

— Podczaszyna nie powróci, kto wie co będzie z naszym paniczem — pustką to zostanie jak tyle innych gmachów u nas — aż się serce kraje, nie chciałby człek na to i patrzeć. Pan Bóg mnie pokarał za Francuzów, widać że ich tyle naklął, lichy ich wzięło, ale i nam przeto nie lepiej! — mówił stary.

Obchodził on raz w dzień z obowiązku powierzone mu drzwi, dawał klucze do środka zaufanym, ale sam ni razu we wnętrzu nogą nie postąpił, tak mu serce bolało patrząc na tę śmierć powolną miejsc do których się tak przywiązał. Powoli i on też coraz martwiał, milknął, posępniał i zamierał. I nie było nikogo co by go odżywił. Anusia w żałobnej sukni chodziła po staroście, w żałobnych myślach po podczaszycu — tęsknota z niepokojem dręczyła ją razem. Siadali z ojcem i wdychali oboje, rzadko słowem odezwało się które by poskarżyć.

Ojcu żal było więdnącej córki, córce ojca i kogoś jeszcze. Dnie szły na ślimaku nudne i posępne: budzili się bez ochoty do życia, zasypiali w trwogach i nudzie. Stary ksiądz kanonik rzadko zawitał do Głuszy, bo mu wiek wycieczek dalszych nie pozwalał; zresztą Sieniński mało miał przyjaciół, nie żył z nikim prawie, a że był skąpy, nie bardzo kto się do niego pokwapił. Wabiły by młodzież piękne oczy Anusi, ale coś przebąkiwano o niej różnie, ludzie dopatryli się byli szeptów z paniczem i roznieśli je na językach; inni mieli ją za wielką panią, że się przy staroście i podczaszynie wychowała, ostatnich wreszcie smutek i obojętność odstręczały.

Dość, że po opuszczeniu Głuszy zostało ich dwoje na tych ruinach, tak samotnych jak dwa na starym dębie puszczyki.

Raz na dzień w południe, a i to nie bez wewnętrznego drżenia, szła Anusia do pokojów zmarłej starościny z Agatką, bo tam jeszcze po niej sprzęt, oprócz tego co komu oddać przeznaczyla, nienaruszony pozostał. Tu klękała przed ołtarzykiem i mówiła Anioł Pański za jej duszę, a ile razy przeszła pokoje osierocone, gorzko zapłakała po umarłej. Smutne to były te izdebki w których jeszcze tyle śladów ubiegłego pozostawało życia, a nic go już obudzić nie mogło. W pośrodku krzesło staruszki, jej stół okrągły okryty makatą, wielka księga pełna obrazków, na których ręką nieboszczki pozapisywane były prośby o modlitwy za jej duszę; jej wazoniki na oknie powiędłe, na posadzce ścieżka wydeptana krokami zawsze w jednym kierunku wiodącemi ją do starych sprzętów, od łóżka do krzesła, od krzesła do kantorka i ołtarzyka. Tu i ówdzie drobne ale przejmujące wyrazem pamiąteczki. Palma zatknięta za zwierciadło, kartka za obrazem przypięta dla odżegnania chmury, talia

kart polskich jej ręką związana, stare jej okulary, wytarta poduszka i zegar gdański, co w godzinę jej śmierci stanął znużony, niechcąc iść więcej dla obcych.

Anusia karmiła się chwilę tą żalobą wymowną, popłakała i odchodziła ze spuszczoną głową, ze smutkiem w rozżalanej duszy, powtarzając biedna:

— Nigdy! nigdy to już nie wróci!

I we dwoje potem zasiadali z ojcem w pokoiku drugiej przeciwległej oficyny, na całe dni westchnień i milczenia.

— Jak się to przeraźliwie długie wyda życie, mój Boże — mówiła w duszy Anusia — jak tęskne, w jedno okno patrzeć zawsze i nic w niem nie widzieć, słuchać szumu wiatru i bicia własnego serca, liczyć żółwie godziny i drzemać pół snem nim się zaśnie na wieki.

Staremu choć się równie serce ściskało, inny jednak skutek wywarła na nim samotność: dziewczę dręczyło się, niecierpliwiło, egzaltowało, on drętwiał, posępniał, zamierał. Raz w dzień przeszedł do koła, podzwonił kluczami, powrócił, usiadł, wziął książkę nabożną i drzemał — popatrzał na Anusię, powzdychał i usypiał. Anna widząc to, oblewała łzami i swój los i ojca; w niej młodość z głębi serca dobywała życie, on już o swej sile żyć nie mógł, potrzebował a brakło mu podsylenia. Czasem próbowała go ocucić wspomnieniem, piosenką, pytaniem, powieścią, ale napróżno — starzec podnosił głowę, popatrzał, odezwał się krótko, i jeśli się rozgadał, to jakby z rozdrażnioną gorzej odchodził tęsknotą, a po niej szybciej obumierał jeszcze. Anusia dobierała sposobów i nie znalazła żadnego na wlanie mu życia, które uciekało jak płyn z rozbitego naczynia.

Niekiedy myśl śmierci błyskawicą przerznięła ponure jej dumy i drżała. Na całym, całym Bożym świecie nikogo — ona sama, jedna, bez opieki, bez podpory, a w sercu jeszcze taka miłość dziwna, co życie struć musi i spalić!

Myśli, modlitwa, podnowiły ją na duchu, lub czyniły coraz nieszczęśliwszą; jak chory oddawała się na przemian śmiesznej nadziei lub najostateczniejszej rozpacz. Ale łyzy co raz stawały się częstsze, choć starzec ich nie widział.

Długie wieczory jesienne i zimowe słuchając podedrzwiami, nicbyś tam nie usłyszał, prócz wolnego oddechu drzemającego Sienińskiego i westchnień dziewczyny, która modliła się lub tęskniła. A myśl jej to biegła za straconą opiekunką, to za podcażycem, który ją porzucił uśmiechnięty, lecąc w tę otchłań, o jakiej Anusia z opowiadań najstraszliwsze miała pojęcie. Powieści sług, plotki krążące po dworze, domyślać się jej dozwalały w jaki wrzątek wpadł Michał, i co mu tam groziło; — ale jak go było ratować?

Poinsot, któremu powierzony był w opiekę, dobrze był wszystkim znany. Anusia wiedziała że opieka jego obronić nie może, raczej popchnie ku zgubie, byleby z niej Francuz mógł co skorzystać.

I znowu łyzy płynęły bezsilne.

Tak w myślach, łzach i żalobnej modlitwie za starość, Anusia dnie spędzała, a na jej twarzy znać już było jak wiele przeżyła od czasu śmierci i wyjazdu. Zbladła, wychudła, a dawny uśmiech rzadko zawitał na usta i to ze łyż splątany; wzrok tylko jeszcze płonął tą siłą serca, której nic dotąd odebrać jej nie mogło.

Jednego wieczora jakoś potrafiła dłużej ojca od snu wstrzymać rozmową i poczęła go rozpytywać, czyby gdzie krewnych nie miał, sądząc, że go jakim wspomnieniem orzeźwi.

— Kto to ubogiemu krewny? — rzekł biedząc się jak miał zwyczaj stary Sieniński — at! niechnoby po sukcesję, znalazłoby się powinowatych na fury.

— Wszakże to siostra mojej matki mieszka o mil kilkanaście, i tej nigdy nie widziała.

— Ba! bo się to lepiej od nas ma, a poco by miała charłaków odwiedzać; poszła za dzierzawcę, teraz już słyszę drugą wioskę kupują.

— Ale twoi krewni, mój ojciec — spytała Anusia — wszakżeś miał podobno brata, wspominałeś mi dawniej o nim.

— Brat ci to jest jeśli nie umarł — rzekł obojętnie dość, stary.

— Gdzież on mieszka? — spytała dziewczyna.

— Mieszkał to on w Warszawie i miał tam swój dworek na Bednarskiej ulicy, ale nie wiem co się z nim teraz dzieje od lat trzech, bo mi znaku życia nie dał.

— Żonaty?

— Nie był żonaty, chyba by to głupstwo zrobił na starość — odparł mruczając niechętnie dość, Sieniński — żył sobie kawalersko, służył po panach, uciułał grosza dobrego i teraz osiadł na dewocji w stolicy, bo taki przywykł był do ludzi i hałas.

— Musi być stary? — pytała ciągle Anusia.

— O! pewnie, blisko dziesiątkiem lat odemnie starszy, a i ja nie młody. — Westchnął.

— A czemużbyśmy się nie dowiedzieli o niego — podszeptała dziewczę — ot, on by tam mógł kiedy nam co oznajmić o podczaszycu, a tak nigdy nic o nim wiedzieć nie będziemy. On by może popilnował z daleka i w złym razie poratował.

Stary się uśmiechnął.

— Nie nam to, rzekł, takich panów pilnować i ratować, a co my im pomódz możemy? czy to tam jeszcze źle? musi hulać po Warszawie całą gębą. Labuś mu pewnie myśli nie przykróci, bo i to cymes. Żeby tylko jak dziad nieboszczyk fortuny z wiatrem nie puścić, bo coś go się grosz nie trzyma.

— A! to miasto — dodała Anna — w którym i miliony stracić łatwo.

— Oj! oj! — rzekł stary — albo ich nie tracą byle ochota, karty kartami, hulka hulka, a też piękne panie mało grosza wyprowadzą?

Anusią zimno przejęło.

— Przyznam ci się ojczy, że się o niego śmiertelnie obawiam.

— Ja się już bać przestałem — rzekł stary — bom pewny jak że żyję, że go już nie zobaczym, tak jak kamień w studnię, szukajże go na dnie.

Stary westchnął, pomilczał, głowę spuścił na piersi i powoli usypiać zaczął, Anusi gorące łzy puściły się z oczów, wstała i rzuciła się szlochając na kolana przed obrazem.

— O mój Boże — zawołała składając ręce z zapalem — nie daj mu ginąć w skalaniu i grzechu, uratuj go dopóki nie zgubi duszy, ocal go, jeśli nie dla zasług jego, to przez cnoty tej świętej staruszki, która się tam modli za niego!

Ledwie po północy niepokój dał jej usnąć. A we śnie zdało się jej, że klęczała u nóg starościnej, w jej pokoju — na dworze była znów wiosna zielona i słońce złocistymi migało promieniami, kanarek śpiewał w klatce w zawody ze słowikiem na bżowym krzaku — starościna modliła się z twarzą pogodną, odwróciła się uśmiechnięta weselem nie ziemskim ku biednej Anusi.

— Nie płacz — rzekła cichym, bardzo cichym głosem — nie płacz dziecię moje, i nie bój się niczego, ty jedna wyratować go możesz, i ty go uratujesz.

— Ja? droga pani, a jakże bym to mogła uczynić? spytało dziewczę — dałabym chętnie życie, lecz na cóż się ono przyda?

— Nie trzeba życia twojego, dość będzie trochę serca, pracy i odwagi. Ty musisz ztąd wygnać się do Warszawy, by go z odmetu wyciągnąć. Ja za was oboje modlić się będę i obojgu pomagać.

Ledwie tych słów, których z uwagą rozczulona słuchała Anusia, dokończyła staruszka, jasne jej oblicze rozplynęło się w promieniu słonecznym, zdawała się mienić w przejrzystą mgłę jasną, ulatywać, oddalać i niknąć; pokój pociemniał, osmutniał, Anna ujrzała go nie jakim był wprzód, ale jakim go co dzień widywała — pustką grobową. Zima przysunęła się pod okno i śpiewy ucichły. Dziewczę zbudziło się, myśl mając pełną snu tego, który jej utkwił w pamięci, jak rozkaz z niebios zesłany. Nie zmrużyła już oczów i wstała raniej niż zwykle. Ale jak ojcu powiedzieć co tylko snem było, jak u niego wyjednać pozwolenie wyjazdu i pociągnąć go za sobą?

Anusia wahała się, dzień za dniem uchodził, co chwila wrażenie snu się zacierało, niepodobieństwo stawało w oczach wyraźniej — zamilkła wreszcie, myśląc że to było marzenie chorego serca, nie głos z nieba, co ją za nim w pogoń wysłał.

— Cóżbym ja tam poczęła — mówiła w duchu łamiąc się z pragnieniem i strachem — ja biedna, słaba, sama jedna! jak go wyrwać z tych niebezpieczeństw, jak od nich zasłonić? Gdzie siły i męztwo po temu?

I sen ów rozniosły dumy na skrzydłach szarych, a Anusia znowu płakała niespokojna.

I jednej nocy gdy po łzach usnęła, ujrzała się powtórnie w pokoju starościnej rozwidnionym wiosną, staruszka siedziała przed nią w swem krześle z twarzą pogodną ale surowszą.

— Ty płaczesz jeszcze dziecko moje, odezwała się do niej, a nie chcesz posłuchać głosu mego... ty jedna przecie uratować go możesz. Przeżegnaj się krzyżem Pańskim, pójdzie za tobą Anioł stróż i modlitwy moje — a śmiało w imię Boże!

I cień znikł znowu rozplywając się w obłoku, ujrzała go jak ulatywał pod niebiosą, jak w nie jasnemi wchodził wrotami. Ale jeszcze wahała się Anusia, w kilka tygodni sen się powtórzył raz trzeci. Uzbrojona więc odwagą nową, Anna wstała postanawiając wszystko uczynić co można, by do Warszawy się dostać.

— Będę — mówiła w duchu — ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia, może potrafię go ratować, przychodząc z umarłej przestrogą, z pomocą drobną ale serdeczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szponów tych ludzi co go już otoczyć musieli!! Nie! on nie zginie, ja nie dam mu rzucić się w przepaść. A potem, wstąpię do klasztoru i spokojna o niego, modlić się będę i płakać po nim do śmierci — bo nikt, nikt go tak kochać nie będzie!

Ale jak było ojca nakłonić, jak pociągnąć za sobą starego, co z krzesła ledwie się chciał dźwignąć, resztę życia uprzykrzonego snem zbywając?

Anusia nie mało sobie nałamała głowy od czego tu zacząć, ale westchnąwszy do Boga i rozdobruchawszy wprzód ojca, jednego wieczora, zagadła go z nienacka.

— Mój kochany ojcze, jakby to dobrze było i wesoło, żebyśmy pojechali odwiedzić stryja w Warszawie. Przyznam ci się że mi tu trochę nudno, a i ty się nie bawisz. Wszak by to nieźle było, nieprawdaż?

Sieniński popatrzał wielkimi oczyma i przeżegnał się w milczeniu.

— A co tobie w głowie? — zapytał — toś ty widzę oszalała, zachciewa ci się podróży. Czy to ty podczasyna czy podczasanka? Dobrze nam tu cudzy chleb jeść, warzone i pieczone nie rozwiązując worka, to siedźmy i nie dziwaczmy. Jeszczeby czego nie stało, żebym i ja z tobą oszalał i zakasawszy poły ruszył do Warszawy.

Anusia zamilkła, spodziewała się tego, ale myśl była rzucona, reszta zależała od Boga, ... okoliczności... powolnego przekonania. Nie zrażała ją wcale oburzenie starego, który syczał, gderał i drwił z córki dopóki nie usnął.

Nazajutrz Anusia swoje.

— Śmiałeś się tatku ze mnie — zawołała — i może miałeś powody, ale doprawdy nie tak to ja głupio mówiłam. Ot, wy się tu postarzejecie przed czasem, tam byście się rozruszali, ożyli, przypomnieli lepsze czasy. A co się tycze kosztu — juściżby nam tam brat kawałka chleba nie pożalował, a tutejsza pensyjka i ordynarja gracjalisty, zaoszczędziłyby się, byłby to czysty zysk.

Sieniński pokręcił głową.

— A jaki z niej filut — rzekł — no! no! już mi się wyrachowała z czystym zyskiem. A któż ci powiedział, że brat nie pożaluje, to skąpiec jakiego świat nie widział.

— Stary kawaler, bezdzietny, choć oszczędny, dla swoich nie poskąpi pewnie.

— Jak to nie? czemu nie? poskąpi, bo mu miło skąpic — racji nie pytaj. Darmoby może jaki tydzień pokarmił, a dalej skwaśniałaby nam strawa od humoru gospodarza.

— Ja nie sądzę — odpowiedziała Anusia — albo to taka jak ja gosposia, na nicby mu się nie przydała? toćby za nasz chleb odpracowała; wprowadziłabym mu ład, oszczędność, gospodarstwo.

— Ot, jakto znać że asanna mego brata nie znasz; a jemu to na co? czy to myślisz że on gospodaruje? — Wiemci ja sam i od ludzi jak żyje. Kupi zrana bułeczkę za trzy grosze i mleka za dwa, to ma śniadanie, na obiad pójdzie, za osiem groszy flaków spakuje i syt — w spiżarni mu szczury gospodarują...

Anusia pokiwała główką, źle się jej wiodło, ale nie zrozpaczyła.

— Choćby i tak — rzekła — albo to mu nie rozweselim samotności, wszakże to coś warto?

— Albo to w mieście może kto być samotny, jemu spokój potrzebniejszy moje dziecko — mało mu tam nahuczą pod oknami, a zechce ludzi, to tylko na ulicę wyjść.

— Toć kogoś kochać potrzebuje, a niema.

— A! a! — zaśmiał się stary — a siebież on nie kocha za wszystkich?? i szkatułkę drugą?

Anusia dała pokój, czekała trzeciego wieczora, a gdy zmierzchało, póki stary się nie zdrzemnął, znów rozpoczęła o Warszawie.

Sieniński już splunął.

— I co to znowu, czy już temu końca nie będzie? — zapytał — a toć się widzę uwzięła bzdurstwem mi głowę męcić?

— Daruj tatku, ale wiesz, że kobiecie jak się czego zechce...

— To aż kańczugiem wypędzać trzeba ochotę.

— Tego się ja nie boję — uśmiechnęła się Anusia — wyszliśmy z tych czasów, kiedy bić było potrzeba, ja już nie dziecko.

— A ja sił w ręku nie mam! — westchnął starzec.

— Ale doprawdy — dokończyła córka — ja się nie wyrzekam tej myśli, żeby jechać do Warszawy.

— Boję się żebyś na tem nie sfiksowała — mruknął Sieniński — co ci to jest?

— Zważ tylko ojcze, jakbyś ty się tam przydał podczaszycowi: tam go obsiedli oszusty, próżniacy, darmozjady, karcjarze — sam w nim przeczuwasz żyłkę do utraciouszostwa, strzeż Boże, przyplącze się co gorszego? Czybyśmy naówczas przydać mu się nie mogli?

— My? albo to nas posłucha?

— Ciebie ojcze? czemuż nie, pewna jestem bo cię zawsze kochał.

— A i ja go kocham, tożem go na ręku wypiautował! — mruknął z westchnieniem stary.

— Widzisz ojcze, westchnąłeś, żal ci go, a poratować nie chcesz?

— Nie chcę!! ja nie chcę? Radbym z duszy, ale co może taki jak ja człowiek, zestarzały i bezsilny?

— Przy pomocy Bożej, wiele — żywo odparła Anusia, widząc, że nareszcie trafiła na czulą stronę — jestem pewna, że tybyś mu wiele pomógł? że tybyś go ocalił!

Stary się głęboko zamyślił.

— Dajmy temu pokój — rzekł — to nad siły nasze, porwiemy się, nie podołamy, śmiechu tylko narobim a sami zginiemy — nie krwaw mi serca.

I zamilkł. — Teraz już pewną była Anusia, że potrafi dopiąć swego; odkryła w nim bowiem prawie niespodzianie, przywiązanie do podczaszyca, i wiedziała już w co bić może. Nie dała więc staremu pokoju ani na chwilę, wymógłszy naprzód obietnicę zastanowienia się nad tym, później pół-przyrzeczenia, potem słowo że pojedą, nareszcie naznaczenie nawet dnia wyjazdu.

Cudem to było prawie, takiej tam cierpliwości potrzebowała, takiego wytrwania, uporu, by starca przywykłego już do spoczynku i rozmiłowanego w próżnowaniu, wyciągnąć z kątki, który polubił, z którego się przez lat kilkadziesiąt nie ruszył. Naprzód tedy zebrał się stary napisać do brata do Warszawy, rad bardzo w duchu, że trzeba będzie na odpowiedź czekać; ale rychło jakoś uwinęły się poczty i list odebrał, któryby może zataił, gdyby nie szedł na ręce Anny. Brat nie zapraszał go bardzo, ale też nie odpychał, owszem ofiarował dwie izby w dworku komornym, to jest za zapłatę, ciesząc się że będzie miał z kim wieczorem pograć w warcaby i posiedzieć przy świecy nie płacąc za nią. Wcześniej też zamówił sobie stół u Sienińskiego, i widać było z pisma że w rachunku musiał się bardzo pilnować. Serca tam było niewiele, ale trudnoż go się było spodziewać od nieznanego. Anusia czytając list, bo okulary ojca jakoś się były zawieruszyły tak że ich wyszukać nie mógł, umiała w nim wyczytać co chciała, a ominąć co się jej zdawało niebardzo potrzebne. Sienińskiemu zaczęła się coś podróz uśmiechać, i nazajutrz poszedł opatrzyć stary swój wózek, najmować konie u żydka arendarza, myśleć o zapasach na drogę.

Przygotowania te trwały ze dwa tygodnie, gdyż im bliższy był dzień wyjazdu, tem stary więcej wynajdywał trudności, a na ostatku co tylko miał chciał zabierać z sobą. Ledwie go Anusia nakłonić potrafiła, by zostawił rupiecie, a co pilniejsze tylko wziął z sobą. Potem znów żyd nie był gotów, wózek rozeschły wymagał naprawy, i nie rychło się wybrali.

W dzień wyjazdu, Anusia poszła raz jeszcze do pokoju staruszki, aby ją modlitwą za jej duszę pożegnać, klękła we łzach u krzesła, złożyła ręce i gorąco poczęła wzywać Boga na pomoc, bo jej odwagi znów brakło.

Ale już nie czas cofać się było: podniosła oczy, wstała i przechadzając się po pokojach starościny kilka razy chciała każdy kątek pożegnać, niespodziewając się powrócić.

Wszystko dla niej pełnem było wspomnień z tych nieocenionych lat dzieciństwa, które są tak drogie gdy miną!

Zaglądała wszędzie, całowała sprzęty, na nie jeden łza upadła, nie było kryjówek, kącika do którychby nie zajrzała, a w każdym, bodaj garstka pyłu, bodaj odrobina ziarna dla ptaszek, zeschnięte kwiecie, papier zmięty, ręką staruszki zapisany, do łez ją rozrzewniały.

W ścienie była szafeczka w której starościna zwykle trzymała łakocie dla dzieci, to jest dla Michasia i Anny; ztamtąd to przychodziły gruszki, śliwki suszone, latem owoce lub cukierki. Annie chciało się raz jeszcze zajrzeć do tej pamiętnej szafeczki, do której nikt może nie zaglądał od śmierci starościny. Jak-że się zdziwiła ujrawszy na półce wśród pudełek nietkniętych, w których myszki gospodarowały w resztkach słodyczy — papier jakiś zapisany.

Chwyliła go z trwogą — i krzyknęła, widząc swe imię na wierzchu ręką staruszki napisane. — *Dla Anusi Sienińskiej mojej poczytywanej wychowanki. Niech ją Bóg błogosławi.*

Z początku ze łzami, z bijącym sercem nie mogła nic prócz słów tych wyczytać, w ostatku otworzyła pismo i znalazła w nim maleńki krzyżyk i błogosławieństwo.

Idziesz w świat moja Anno — pisała starościna — idźże z krzyżem świętym i mojem błogosławieństwem. Niech go ci Bóg udzieli i Matka Jego na każdym kroku ciężkiej drogi życia. Śmiało z niem dziecko moje, a wyjdiesz cała i zwyciężko; ja się za ciebie modlić będę i z góry strzedz ciebie. Niech cię Bóg prowadzi w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Tych kilka słów zdawały się skreślone jakby z przecuciem chwili, w których Anna znalazła i przeczytała je miała — pokrzepiły ją i dodały odwagi. Ucałowawszy, schowała drogą tę pamiętkę i weselsza ochoczo zbiegła do ojca.

Pożegnanie z Głuszą było smutne i długie, popłakali się ludzie, stary rozszlochał na dobre. Anusia nieprzytomna prawie siadła na wózek, i żydek popisując się końmi najętymi, w galop ruszył z brukowanego dziedzińca.

Popędziły konięta lecąc z kopyta jak ludzkie uczucia, które z miejsca czwalem się ruszą, a po chwili z kłusa w stęp, ze stępa w spoczynek przechodzą. Stary Sieniński z łez przeszedł do gderania, jak się to zwykle dzieje. Anusia znowu płakała, a Abramko wiokał, cmokał, popędzał, i wkrótce pałac i dworskie budowle znikły im z oczów, a szeroki świat straszny, wielki, rozwinął się przed niemi milczący, posępny obszar otaczając podróżnych.

IV

Rok z okładem minął od czasu jakżeśmy rzucili podczaszyca rozpoczynającego życie nowe w Warszawie, a rok ten mignął mu szybko niepostrzeżony, lecz jakże wielkie spowodował zmiany. Często z człowiekiem dzieje się jak z owym bajecznym kameleonem — włóż go w chustkę białą, pobieleje, posadź wśród zielonych liści, zielonym się stanie, czarna go ziemia poczerni. Tak i tu było właśnie: podczaszyca wziął na siebie barwę wieku i miejsca, z największą łatwością zastosowując się do rozwiązek a miłego towarzystwa które go otoczyło.

Szybkiem krokiem szedł po drodze powodzeń światowych, coraz głębiej w zepsucie, wziętość i sławę jakiej się chciał dorobić. Chwylił się był i porzucił kilka kobiet wyższego towarzystwa od starościny począwszy która go odżałować niemogąc, a ustąpić zmuszona, próżno starała się jeszcze odzyskać. Wszystkie namiętności śpiące dotąd, bujnie rozwinęły się w Ordyńskim, bo nikt ich nie hamował — bawił się, kochał jak kochano w XVIII wieku, grał szalenie i szalenie tracił.

Labe Poinot przez Ryxa, któremu skuteczne dał lekarstwo na różę w nogach, na którą nieustannie cierpiał starosta Piaseczyński, potrafiwszy sobie wyrobić miejsce przy dworze królewskim, w pół roku opuścił Ordyńskiego, mając go za dostatecznie przygotowanego do wyjścia na świat o własnych siłach. Michał korzystając z większej jeszcze swobody, ze stosunków które porobił, przykładem innych jał się naprzód postawienia domu swego na stopie odpowiedniej. Nie zważał wcale na kosztę jakie to za sobą pociągnąć miało, sądząc jak wszyscy bogaci młodzi ludzie, że pieniądza wyczerpać się nie może.

Naprzód więc nabył kamienicę na Krakowskim przedmieściu chcąc być w pośrodku miasta, a Zugh i Merlini przerobili mu ją na gustowny pałacyk z ogrodem, w którym nie brak było ani mostków na suchym rowie, ani grot z przywiezionych zdala kamie-

ni, ani nawet wodotrysku zasilanego kilką wiadrami wody wiślanej. Cuda te ogromnie kosztowały; zachciało się jeszcze podczaszycowi w kątku mieć ogródek z drzew karlich i zabawkę podobną ulubionej księciu ex-podkomorzemu, który maleństwami się otaczał, i to także urządził na podziw szczęśliwie.

Z pośpiechem przysposobiono mu dom, stajnię, oficyny, wszystko co do wygody posłużyć mogło. Poprowadziła za sobą ta zmiana nowy skład dworu, pomnożenie sług i wydatków, ale Ordyński brnął śmiało: przyjął kucharza Francuza, uzapisał piwnicę, ściągnął konie wierzchowe, sprawił cug tarantów przepyszny, kupił karykl modny, przyjął murzyna, ustroił janczara i zaczął żyć co się zowie po pańsku.

Wszyscy smakowi jego, wykwintności i inwencji poklaskiwali, nikt wstrzymać nie myślał, sądząc że go na to staje. Dom podczaszyca stał się wprędce jednym z tych, do których zbierała się młodzież najświetniejsza, nawet książe Józef kilka razy zaszczylił go odwiedzinami wieczornymi.

Rzadki był dzień żeby nie oświecono pałacyku i nie spodziewano się gości; stoły gry nie próżnowały nigdy, hulanki nieraz przeciągały się do dnia białego. Ordyński uprzejmy, miły, uśmiechnięty, dowcipny, używał dotąd młodości nie spotkawszy na swej drodze ani zawodu, ani przykrości, ani chmurki... każde jego życzenie spełniało się czarodziejsko i zdało mu się, że to co ludzie zwykli pleść o nieszczęściach, przeciwnościach, boleściach, i t. p. pochodzić musiało ze złego humoru i dziwactwa; słowem nie pojmował, by komu gorzej od niego być mogło.

Aż lubo było spojrzeć na tę fizjognomią rozjaśnioną, promienistą i zupełnie szczęśliwą. Wprawdzie rok ten znacznie ostudził młodzieńca, zubożył go, odmienił, ale nie było w nim ani jednej burzy któraby jasne dni słoneczne zciemniła, choć nie było i pragnień namiętnych — spokojnie używał z zaufaniem w swoim losie.

Z dziecka nagle prawie stał się dojrzałym człowiekiem, tak szybko przeskoczył w gorączkowym życiu kres co przedziela dzieciństwo od męskiego wieku, pożerając całą młodość w kilkunastu miesiącach. Młodość nie jest-li to wszystkiego nadzieja i pragnienie? nie jest-li to jasno-widzenie świata w idealnej szacie, miotanie się ku niemu z otwartymi rękami i gotowość do boleści, do ofiary, do wszystkiego co czuć daje życie? Starość nie jest-li utratą nadziei i pragnień? Michał nie przestał jeszcze pragnąć i używać, ale nadto się zbliżył do świata, by go mógł inaczej widzieć jak czarno i zimno-rzeczywistym. Był to już człowiek chłodny głową i sercem, temperamentem namiętny, a świat pojmujący tak pospolitym, czczym i brudnym, że strach było go posłuchać, żal na niego spojrzeć. Dziwną sprzeczność stanowiła jego młodość rzeczywista, z tem sztucznym zestarzeniem i zużyciem serca i głowy.

Dwóch nieodstępnych przyjaciół szli z nim krok w krok. Jenerał który przywiązał się do niego, bo nigdzie łatwiej jeść, pić i pożyczać nie mógł, i cavaliere Fotofero, który zawsze potajemnie widywał się z podczaszycem coraz większą otrzymując nad umysłem jego przewagę. Pierwszy poradził mu postawienie domu na stopie poważniejszej, i sam urządził niektóre jego części stręcząc mu kucharza, sławnego Rondeau, który służył u Ogińskich, wybierając wina, prawie zawsze dysponując obiady i podwieczorki, które też najregularniej co dzień zjadał, jeżeli go gdzieindziej przysmak jaki nie zwabił. Prawda, że też za to służył podczaszycowi w sprawach potocznych, posłował, chodził, często bardzo zręcznie pomagał w umizgach odciągając niepotrzebnych świadków; w czerpiąc z kieszeni pupila, czynił to z pewnem umiarkowaniem, zawsze *in extremis* tylko, wyrachowawszy że mu ta pomoc na długo służyć będzie mogła.

Cavaliere, który tajemniczą grał rolę przy podczaszycu i nigdy nawet na próg domu jego przy ludziach wejść nie chciał, widywał się z nim codziennie prawie na ulicy, w ogrodzie, wśród przejażdżki, ale sam na sam. I on też radził, pomagał, rozweselał, żartował, podochacał, a podczaszyc teraz znajdował go jednym z najprzyjemniejszych i najrozumniejszych ludzi jakich poznał w Warszawie. Pomimo usilnych nalegań Ordyńskiego cavaliere Fotofero nigdy do niego nie przychodził przy gościach, rozmaite dając powody ukrywania się swego. Donosił on podczaszycowi z nowinek miejskich co go obchodzić mogło, a czego inaczej dowiedzieć się było niepodobna, ułatwiał mu pożyczki pieniężne, zachęcał do gry, do hulanki i śmiał się zręcznie z tych co inaczej życie wiedli. Podczaszyc zawsze upatrywał w jego twarzy osobliwsze, uderzające podobieństwo do szatana w obrazie Ś.

Michała, ale się już na nią nie wzdrygał, pierwsze doznane uczucie zowiąc dzieciństwem i śmiejąc się z niego; teraz owszem w rysach Włocha znajdował coś wielce dowcipnego, jakąś cechę rozumu, wyraz potęgi i charakteru.

Przy wyjeździe matki podczaszyc był jeszcze na stopie młodzieńca, który nieśmiało w świat zagląda, teraz już przeszedł do ludzi mających w nim prawo obywatelstwa. Należał do wszystkich zgromadzeń, wiedział co się działo na każdym, nie było bez niego zabawy, liczono go do najświetniejszych gwiazd młodzieży. Nie było bowiem, w całym znaczeniu ówczesnym wyrazu, człowieka lepiej wychowanego do świata jak on — celował we wszystkim co mogło odznaczyć tego rodzaju pracowitego próżniaka. W grze nie było nadeń spokojniej przegrywającego ogromne summy, ani wygrywającego grzeczniej i mniej chciwie; tańczył jak bóg tańca, śpiewał bardzo przyjemnie francuzkie piosenki, grał na flecie który był ulubionym mężczyzn instrumentem, może przez małpiarstwo Fryderyka, na klawicymbale także z pewną wprawą i biegłością, jeździł konno niezbyt mocno ale prześlicznie, powoził się w whisky po mistrzowsku, umiał z pajęczyny wysnuwać rozmowę niby ożywioną i utrzymywać ją pół dnia, jak akrobata szpadę na palcu, niedając jej upaść nigdy; z kobietami był ujmującej słodyczy i grzeczności, z mężczyznami nadzwyczaj zręczny, a w potrzebie stawał na szpady i pistolety ile razy było potrzeba, niezmrużając oka. Miał przy tem znajomości tyle, że mógł uchodzić za znawcę i diletanta w rzeczach literatury i sztuki, udało mu się niekiedy nawet sklecić wierszyk francuzki... czegoż więcej było potrzeba by sobie wziętość pozyskać? Kobiety przepadały za podczaszycem, mężczyźni go powszechnie lubili, wiodło mu się, dziwnoż — że głowa nareszcie od tego wszystkiego zawrócić się musiała? Nie mając żadnej roli politycznej w czasie, w którym ciężko jej było nie mieć, Ordyński trzymał z dworem i z nim się przechylał w tę i ową stronę za okolicznościami. Wzdychał nad nieszczęściami kraju, utrzymywał, że nic już poratować go nie mogło, przepowiadał nawet nowe klęski, a bawił się wesoło jakby nic więcej do czynienia nie pozostawało, marzycielami i zapaleńcami zowiąc tych co poczynali inaczej. Sejmowe narady, które się ciągnęły jeszcze, zastały go pieczeniarem w początku i dotąd tem imieniem chrzczono go jeszcze z powodu uczęszczania do dworu i przyjaźni z jenerałem. Ze wszystkimi jednak stronnictwami był mniej więcej dobrze, przyjmował u siebie każdego, nie zadzierał się z nikim; u Lucchesiniego bywał, uczęszczał do pana Hayles, do Małachowskiego, do Sapięhy, Ogińskich i Potockich, do posłów różnych partyj. A że wszyscy wówczas, nawet ludzie poważni i surowi, lubili się bawić i po troszę hulali, a dom podczaszycy należał do najwygodniejszych mężkich, schodzono się do niego jak na neutralne stanowisko, opinią zrzucając z płaszczem w sieni.

Gospodarz też nigdy nie napomknął nic co by się stać mogło powodem do waśni — mówiono o kobietach, o miejskich wypadkach, o obojętnych drobnostkach, zabawach, grze i t. p.

Po staroście, która cały miesiąc używała najzupełniejszego tryumfu i włóczyła ze sobą podczaszycy jak zwycięzca niewolnika — Ordyński zaprzął się do wozu owej pięknej pani, chciał potem przejść pod sztandary Lucchesiniowej, ale go nie dopuścił już poseł Inflantski który zupełnie ją opanował, i choć nie raz zagryzała go kaprysami i napawała zazdrością, stale trzymał się przy niej. Ludzie złośliwi mówili, że u żony posła szukał materiałów do gazety którą wydawał. Z kolei podawały sobie Ordyńskiego lekkie piękności ówczesne, a on w tym wrzątku nieznużony, przechodził od jednej do drugiej z obojętnością młodzieńczą, dowodzącą, że albo nie miał serca, lub go nic jeszcze obudzić nie mogło.

Frascatella z razu była trochę zaniedbaną, potem znowu począł do niej pokryjomu uczęszczać, ale przekonawszy się, że tu ciężiej daleko idą miłostki niż na wielkim świecie, powtórnie do niej zobojętniał. Ona zawsze równie dlań okazywała się sympatyczną, smutnie poglądając na życie, w które się rzucił przykładem drugich.

Wśród otaczających ją w zepsutym czasie najzepsutszych istot, naśladowujących na małą skalę bezwstydy głośnych du Thé, Guimard, Clairon i tylu innych — Frascatella była istotnie czemś fenomenalnym, i nikt jej pojąć nie mógł. Posądzano ją o wyrachowanie, o szalbierstwo, o skrytość, a nikt posądzić nie chciał nawet o poczciwość i cnotę. Gdy jej w końcu nic dowieść nie było można, rzucono ją jak nierozwiązaną zagadkę, omijając ruszeniem ramion obojętnem. Podczaszyc swoją młodością i naiwnością początkową, może wdziękiem i świeżością dzieciństwa z którym przyjechał, zajął był widocznie tancerkę,

która jak z niczem tak i z tem nie tała się wcale; prześladowano ją Ordyńskim, śmiała się tylko, ale gdy poczęto napastować go by się pochwalił na jakiej był stopie z tancerką, podczaszyc jakkolwiek chciał, nie mógł przyznać się by poufalszy nad drugich zyskał u niej przystęp. Frascatella do ostatka nie skrywała przed nim, że się jej podobał, że ją zajmował, ale ile kroć chciał się przybliżyć, pokazywała mu sztylecik u pasa, a co gorzej robiła się tak surową i poważną odsyłając go do pań większego świata nic niemających już do stracenia, że Ordyński gniewny cofać się musiał.

— Więc mnie chyba nie kochasz? pytał podczaszyc.

— I owszem, dla tego może właśnie że kocham, odpycham.

— Wyznaj, że to szczególna miłość.

— Ja kocham po swojemu!

Podczaszyc nie był dotąd przywykły do tej teorji, bo żył w świecie któremu się o niej nie śniło, zżymał się trochę, ale zapomniał prędko o dziwaczcze Frascatelli.

Wszakże drażnił go ten opór, i ile razy na pamięć mu przyszła, powracał do niej znowu, by znów pójść z niczem i wstydem.

W chwili gdy go chwytały tak zmienionym i wykształconym, podczaszyc zajmował się bardzo gorliwie nowem na horyzoncie zjawiskiem. Była to świeżo przybyła ze wsi żona wojewody K..., od lat trzech zamężna, która cały ten czas spędziła w Paryżu i po raz pierwszy w Warszawie zjawiała się w całym blasku świeżych wdzięków, z urokiem jaki u nas każdemu nadaje otarcie się o obczyznę. Choć wychowana w kraju i ubogich rodziców córka, nabrała pani wojewodzina i tonu i powagi pańskiej, a że była prezentowaną na dworze Ludwika XVI, że miała szczęście być zapraszana przez Polignac'ów i Marją Antoanettę na wiejskie zabawki do Trianon, że z jej męża śmiano się tam trochę bo się po polsku nosił, a do króla Ludwika prawił po łacinie z dodatkiem *Mościerdzieju* i t. d. i t. d., słowem, że się otarła o to co dawało ton Europie, przyjęto ją w Warszawie jak zstępujące z obłoków bóstwo.

Para to była wielce niedobrana, pocieszna bardzo, ale szczęśliwa. Wojewoda z antenatów pan, był może śmieszniejszym w Paryżu, ale w kraju z wielu względów zasługiwał na szacunek, bo w nim jeszcze tłała reszotka uczuć które dawniej kraj ożywiały. Niemłody już człowiek, owdowiawszy po pierwszej żonie która mu nie zostawiła potomstwa, ożenił się po raz drugi z ubogą panią wychowaną trochę w kęcie, a trochę na dworze księżnej jenerałowej ziem Podolskich, i w tem wielki błąd popełnił. Panna Karolina miała wszystkie wady, których tylko nabyć można przez złe, niedokończone i sentymentalne wychowanie, a że wojewoda był do niej jak młokos a raczej jak starzec przywiązany ślepo i szalenie, widząc może błędy, nie miał serca ani ich skarcić, ni próbować poprawić; wojewodzina robiła co chciała, ciągnąc go za sobą jak posłuszną ofiarę.

Jednego tylko wymódz na nim nie mogła, żeby sobie wygoliwszy łeb nałożył perukę, a kontusz zmienił na pludry i fraczek. Zaraz po ślubie zaciągnęła go do Paryża i do Włoch, gdzie już powoli cugle sobie puszczać zaczęła, a trzy lata wysiedziawszy za granicą, gdy we Francji gorąco być poczynano, powróciła do Polski, wprost udając się do stolicy — bo wsi nie cierpiała.

Można sobie wystawić, jakim rojem otoczyła ją młodzież, dla której zjawienie się nowej gwiazdy było wielkim wypadkiem w życiu próżniaczem. Poznano od razu, że chętnie hołdy czcicieli przyjmować będzie: głośny jej pobyt w Paryżu, o którym wiele mówił książę Nestor, ręczył za to. Sapieha rozpowiadał na ucho każdemu o tem, kto chciał słuchać, bo mu w listach donosili przyjaciele o każdym jej kroku. Stanęli tedy do walki zapaśnicy, a podczaszyc w ich szeregach. Wkrótce widocznie faworyzowanych zostało dwóch tylko, Rybiński poseł, bliski krewny, czy synowiec biskupa kujawskiego, młody człowiek, który nie tyle rozumem i innemi przymioty, co nadzwyczajną celował pięknnością, i nasz Ordyński.

Wojewodzina była, jak wiele pań świeżo wzniesionych na stanowisko w świecie o jakim ledwie marzyły, trochę dumna z losu, który swym przymiotom przypisywała, a tem większą pragnąc okazać się panią, im mniej ku temu miała prawa, trzymała się wszystkiego co jej równe czyniły, gotowa iść za ich przykładem, dalej niż sumienie pozwalało. Cieniuchna, celująca figurą, zgrabna, zwinna, żywa, wojewodzina w wyrazie twarzy i czarnych ogromnych oczu, miała aż do zbytku wiele dumy i surowości, nadając tem sobie powagę, której brak czuła może w duszy.

Dbiała bardzo o zachowanie najdrobniejszych prawideł etykiety aż do przesady, przywiązana do wykwintnego stroju, do mody nawet w najmniej znaczących fraszkach, chciała być wyrocznią wszystkich w tym przedmiocie. Zresztą, była to przy łatwej mowie, przy wielkim wdzięku snycerskim, główka pusta, zajęta gałgankami — serce nie miało się czasu odezwać. Męża wiodła nieznacznie, i dawał robić z sobą co chciała, ale zawsze miała minę posłusznej małżonki, rozkazując pokryjomu. Poczciwy ten człowiek, z wielką dumą rodową, nie zbyt wzniosłym umysłem, ale z charakterem szlachetnym i mającym stronę piękną — nie wiele się trwożył o żonę. Wiedząc że wiek wymagał pozorów płochości, nie przypuszczał by żona jego, którą miał za istotę wyższą, zniżyła się do jakiejś występnej intrygi; miłostki prawie publiczne były tak pospolite, że na nie nikt nie zważał.

Otwarcie domu ich w Warszawie, na chwilę zachwiało wieczorami starościny małogolskiej i Opeckiej, rzucili się tam wszyscy, ale na wstępie znaleźli tyle ceremonji, stopniowań praktyk dworskich i wymagań etykiety, że większa część zupełnie się cofnęła, a inni zrzadka się tylko pokazywali.

Rybiński i podczaszyc dotrzymywali placu przy świetnej gwieździe nowej, a ostatni nawet nie zląkł się wojewody, który go solennie nudził powagą swą, polszczyzną, łąciną i starym sposobem pojmowania rzeczy. Ordyński zdawał się więcej zajęty wojewodziną, niż kiedykolwiek którą z tych pań co go sobie wyrzywały. Czy mu zabiło serce? czy szlachetniejsze obudziło się przywiązanie, czy po prostu była to tylko fantazja i próżność? nie wiem. Rybiński równie uparcie stał w miejscu nie ustępując mu kroku, bo kochał istotnie, a niewielkiej będąc głowy, uczucia miał gwałtowne, pasja zaczynała już w nim dochodzić do szału niemal. Dwaj współzawodnicy mierzyli się oczyma, ścigali myślą, ale pozostali z sobą w stosunkach grzeczności zimnej jak wprzód. Wojewodzina nie zdawała się żadnego wyróżniać szczególnie, trzymała obu na uwięzi, co naturalnie każdy z nich przypisując wpływowi antagonisty, jątrzył się i burzył wewnątrz.

Tak stały rzeczy, w chwili gdy znowu chwytny podczaszyc z nową twarzą, z nową duszą, ścigającego szczęście, gdzie go nigdy nie było.

V

W domu podczaszycy zebrało się jak zwykle wieczorem liczne towarzystwo, grą szczególnie ściągnięte. Czy to skutkiem jakiejś obojętności gospodarza, czy niedomyślności jego, dozwalał on w domu swoim zakładać co wieczór banki ludziom wielce podejrzanym, przybłędom z końca świata, tym właśnie i podobnym jakich widzieliśmy już u księcia podskarbiego, okrzesanym filutom, w których obfitowały wszystkie stolice XVIII wieku, a do Polski szczególnie zbawiły pieniądze i sława rozrzutności naszej.

Jednym z najpoufalszych teraz był tu ów Włoch, u podskarbiego zaprezentowany przez cavaliere Fotofero, który był u podczaszycy jak we własnym domu. Szczególniejszym jakimś urządzeniem, Ordyński grając z nim sam prawie wygrywał, czasem okroiło się coś generałowi, reszta gości nieszczęśliwie wychodziła, i wielkie sumy często zgarniał bankier.

Był to człowiek bardzo starannego wychowania, i znać bywalec na wielkim świecie, kawaler dwóch jakichś mitologicznych orderów, których wstążki różnobarwne nosił w pętlicy, mówiący niemal wszystkimi językami, słodki jak lukrecja, uprzejmy, zresztą osłonięty tajemnicą, bo nikt o przeszłości jego nie wiedział słowa. Zwał się Cerulli, mieszkał zrazu w pałacu Potkańskich u księcia podskarbiego, ale gdy na niego spadło obwinienie i gdy go przytrzymano, wyniósł się ztamtąd ostrożnie, najął sobie lokal obszerny i dawał świetne wieczory. Że zaś do niego jako do cudzoziemca i nieznanego mało kto przychodził, wołał grywać u podczaszycy.

Na pozór niemający żadnej pasji, zimny, niezbadany, z wejrzeniem, które spotykał każdy wycelowane ku sobie niespodzianie, nie mogąc zmusić by się otwarcie ze wzrokiem jego zmierzyło; Cerulli dla Ordyńskiego był czuły, przyjacielski, ale zbyt może narzucający się ze swoją poufalością, traktował bowiem podczaszycy na stopie równości. Znosił to gospodarz bo grać lubił, zrobiwszy sobie z gry nałóg, a z Cerullim grał jak chciał i zawsze dosyć szczęśliwie. Generał protegował go także, nie tak może dla gry jak dla bolońskich salcesonów i mortadelli, które u niego zjadał, popijając wybornem winem hiszpańskim. Tajemnicza ta postać we dnie mało widoczna, zjawiała się nocą z niedoperzami i o brzasku znikła — co we dnie robił, nikt nie wiedział. Z mowy sądzić było można, że się alchemią

zabawiał, bo mienił się uczniem Cagliostro, przebąkując niekiedy o tajemnicy robienia złota.

Tego wieczora goście napływać już zaczynali i salonik się napełniał, gdy Cerulli wszedł powoli, ukłonem wszystkich zimnym powitał, poufale podał rękę podczaszycowi i rozsiadł się w krzesle obok kasztelana Ł..., głębokim milczeniem, zamyśleniem lub półsłowem dwuznacznym zbywając zapytania, które mu zadawano.

Podczaszyc najmodniej strojny we frak papuziego koloru, w weście ze srebrnej lamy na tle blado-różowem, prześlicznie upudrowany i wyfryzowany misternie, w koronkach, które parę tysięcy talarów kosztować mogły, rozparty na kanapie, nogę założywszy na nogę, może dla pokazania przepysznych klamer u trzewików, bawił się dewizkami od zegarka, składającymi się z gruszek koralowych, ametystów i granatów, i z modnego n-ówczas bardzo sznurka z włosów, zakończonego kutasem brylantowym. Obok, marszałek sejmu, książę Nestor, przybyły tylko na chwilę, siedział smętny i zmęczony, za nim poseł inflantski, uderzający fizjognomią pełną dowcipu, życia i łagodności, dalej Wejssenhoff, Mostowski, Bielawski, Witten, generał Garczyński, koniuszy Kicki, a nawet Komarzewski, kupkami się pozbierali szepcząc między sobą.

Rozmowa zaczynała się ożywiać, bo któż się wówczas nie zajmował gorąco wszystkim co w koło wyrastało jak grzyby na wiosnę, z nieporównaną szybkością zjawiając najniespodziewaniej.

Nigdy może umysły do większej czynności podbudzone nie były, nigdy wszyscy aż do najmniejszych, nie zajmowali się tak bardzo wypadkami bieżącymi. Mnóstwo mów, wierszy, epigramatów, rozpraw, paszkwilów, roztrząsań, krążyły drukowane i pisane po Warszawie, wiele z nich z prawdziwym dowcipem, z wielką siłą i uczuciem na papier rzucone były, i potężne też czyniły wrażenie. Kommentował je każdy, powtarzano, odpisywano; nigdy tylu satyryków i pamfletarzy nie miała Polska co w ówczas. Celował tu sarkazmem ostrym i dobitnością Węgierski, ale obok niego ileż nieznanych lub zabytych tuliło się poetów, którzy z czasem przeszli, bo dla swego tylko czasu pisali. Pisma ich głównie przeznaczone do działania politycznego, w tej sferze żyły i obumierały. Mowy nawet, jak owa sławna szambelana Turskiego, miane w sądzie sejmowym, przechodziły mimo woli w krytykę obyczajów. To wszystko dowodziło, że się poczuwano do zepsucia i pragniono poprawy, choć nikt nie chciał dać z siebie przykładu. Dziwna rzecz, Turski w tej oracji sejmowej, zbyt wyprężonej i wypracowanej ale pod względem myśli bardzo znaczącej, która miała tak znakomity rozgłos w kraju i wywołała piękną odpowiedź wierszem — mówił nawet o kobietach!

Jak ta mowa, jedna z tysięcy, tak wszystkie wypadki, każde słowo, żarcik, plotka, rozchodziły się, powtarzały z ust do ust i dawały powód do poezji, satyry, epigramatów. Poeci śpiewali nawet fiaków warszawskich prosząc, by im po nocy kartek po rogach rozlepiać nie przeszkadzali.

Całej tej literatury wywołanej ówczesnymi wypadkami, skutek na umysły był ogromny. Trembeckiemu teraz przypominano jego *Ma pan rozum*, z listu hetmana do księcia podskarbiego wyjęty, i z okazji ostatniego powtarzano, że nie miał ten *Pan rozumu* ale kto inny go dowiódł, zamiast być sądzonym, dowodząc, że zasiada w sądzie.

Nic też nad ten agitujący się sąd na podskarbiego nie wzbudziło więcej poezji satyrycznych (począwszy od supliki księdza Spirydjona plenipotencjarjusza delikwentów warszawskich do marszałka nadwornego litewskiego Potockiego) i nic nie zaszkodziło mocniej partji hetmana i księżnej jego siostry. Wołano głośno o sąd na hetmana, a prośba do księżnej w czasie sejmu, zjadliwością nie da się z niczem porównać. W tym rzędzie politycznych pamfletów, policzyć można ciekawe także rozmowy umarłych: Sołtyka, Garnysza, Dekerta...

Smutny był los uwięzionego podskarbiego, przy którym z tych co wpród jedli z nim i pili, żyjąc jego szczodrocią lub namiętnościami, żywa teraz nie pozostała dusza — rodzina tylko i to wahając się, niechętnie, bo imię jej w błoto wciągnął i jeden *anima damnata*, wierny sługa księcia Adama, kapitan Kukumus. Reszta, począwszy od tego co pisał mu, *ma pan rozum*, cofnęła się i odstąpiła, przechodząc do sądu lub uchylając się na bok, a pałac Potkańskich pozostał pustką, którą ledwie niekiedy wieczorem ktoś nawiedził, okupując milczenie grzecznnością... Jest podobieństwem, że to milczenie podskarbiego tak było potrzebnem, a zdawało się niepodobnem, iż mu ucieczkę dwukrotną nie sama rodzina

dla czci swojej ułatwiała, ale i ci co się sądu dla skandalu obawiali. Truchłał nie jeden wysoko siedzący, gdy przyszło traktować z więźniem, żeby nie przypozywał tych co z nim razem trzymali i błędzili. Można sobie wystawić jak skóra drżała na sędziach, co chwila obawiających się, by im nie przyszło ze swych krzesel przejść na ławę obwinionego. Ale tu ten hulaka, rozpustnik, człowiek co się zwał zarówno w życiu prywatnym i publicznym, więcej miał litości i charakteru, niż drudzy wstydu i odwagi.

Kasztelan N..., księżna wojewodzicowa Sapieżyna, cierpieli może najwięcej od paskwilistów którzy im straszliwie i nieustannie dopiekali; pierwszemu wyrzucano z bogacenie się z prymasa Podolskiego, wydarcie wdowiej majątności, potem zejście z Walewskim dość jakoby nieszczęśliwie zakończone, bo zbity miał za to wzięść 12,000 złotych okupu... Pomimo tych rzucanych na siebie nieustannie paskwilów, kasztelan na sejmie bardzo głośno rozprawiał — ale ledwie się z czem odezwał, zatykano mu usta paskwilem. Najdrobniejsza okoliczność dawała powód ku temu, i gdy naprzykład Grabowski dał sto batów Stokowskiemu burgrabiemu warszawskiego grodu, spadły i one wierszem na grzbiet kasztelana; śpiewano piosnki na cześć kowala Marjańskiego, zarazem nielitościwie chłoscząc partję hetmańską, w której jenerał Kurdwanowski, strażnik koronny Mierzejewski, wojewodzicowa i książę Nestor główne grali role. Tym się codzien a nieustannie zarówno z kasztelanem dostawało, a prawdziwą męczarnią dla nich był czas sądu na podskarbiego, tak że książę podskarbi, zwany Verresem, wyglądał prawie na niewiniątka i upadkiem wzbudzał litość, stawiony obok Sylli, który go miał sędzić i praktykował sobie swobodnie jak wprzódy. Do rzędu najdowcipniejszych w tym rodzaju wierszyków, należy nagrobek podskarbiemu, niezmiernie wówczas powtarzany. Ale któż zliczy te stopy świstków, zagadek, spiewek, rozmów, satyr, często ohydnie cynicznych, ale z niezmiernym uczuciem i dowcipem pisanych?

Towarzystwo warszawskie z czasu sejmu czteroletniego tem się tylko zajmowało i żyło, a każdy dzień coś mu przynosił na posilek — potępienie jednych, drugim owacją. Podnoszono pocziwego kowala, spisywano gorszące biografie senatorów, których krzesło uznać nie mogło, uwydatniając tylko dawniejsze plamy wyższem stanowiskiem; karty paskwilów przylepiane, rozrzucone w miejscach publicznych, na domach obwinionych; a co ich widziały wówczas dom Potkańskich, pałac hetmana i wojewodzicowej, dom w którym się zbierali członkowie Rady Nieustającej i t. p. zliczyć niepodobna. Poszukiwał dotknięty, poszukiwali adherenci jego autorów tych pism pokątnych, piętnujących jak żelazo gorące, ostrzono zęby, zasadzano się, grożono kijami, ale napróżno. Wszyscy wiedzieli kto pisał, a każdy milczał.

Intrygi wojewodzicowej, która z hetmanem na wspólnie pracowała, usiłując w nie pociągnąć syna, pozostającego w pośrodku i jednym podejrzanego, drugim nie oddającego się całkiem, musiały być wielkiego znaczenia, gdy je tak srogimi ścigano obelgi. Trafiło się, że ową sławną prośbę do księżnej, poczynającą się od wyrazu *przedwieczna...* na jej własnej karety drzwiczkach ktoś przylepić potrafił.

Odczytawszy ją, mało nie umarła; Kurdwanowski wraz z Lipskim jenerałem latali klnąc że autora zbiją na kwaśne jabłko, ale gdzie się mogli domacać? Palcami wskazywano szambelanów królewskich na których ciążyły podejrzenia, ale Węgierski, Molski i inni chodzili bezpiecznie po świecie. Nie jeden co milczał wobec partji hetmańskiej lub zimno potakiwał jej projektom, wynosił z domów w których się zbierała, nowy przedmiot do najjadowitszej satyry.

Nigdy też może Warszawa nie przedstawiała obrazu więcej ożywionego a wybitniejszej nie miała fizjognomji. Co krok spotkałeś postacie, wydatne typy jakie tylko wydaje społeczeństwo w sile zdrowia, lub gdy ostatecznym walczy o nie bojem. Obok Węgierskich — Bauchery, obok Zajączka — Kurdwanowscy, obok posła Inflantskiego, Niemcewicz, Trembeckiego — Molski naprzykład, typ w swoim rodzaju, lub kasztelan Ł...; obok Turskiego — Komarzewski, dalej dowcipny Turkuł, zepsuty Poniński, ognisty Kollątaj i tylu innych. Tuż szlachetniejsze postacie posłów, a z nimi Małachowscy i Zamojscy, naprzeciw hetman, wojewodzicowa, starty i mdły typ księcia Nestora, a w ostatku całe stado dworaków i dworek.

Wszystko to działało, ruszało się, zajmowało najmniejszymi dnia zjawiskami aż do sług, dworu, czeladzi, aż do woźnic co stojąc przed salą sejmową wołali do siebie — precz z *pieczeniarczami*, przodem patryjoci; każdy głośno mówił przekonanie swoje lub

je puszczał na niepodpisanej ćwiartce w świat na aprobatę, i nie mignęło jedno słówko niepochwycone, bo każde do żywota należało. Widziałeś tam na twarzach wszystkich to upojenie egzaltacją, rozmarzenie, które się spotyka tylko w chwilach stanowczych, wielkich przedsięwzięć, lub nieszczęść wielkich — słowom odpowiadały czyny, czynom szły w pomoc słowa i serca. Nie było chwili wypoczynku, nie było godziny wytchnienia; wychowani w potrzebie rozkoszy, pół dnia bawić się, pół dnia pracować musieli, a oboje wyczerpywało życie.

W tej chwili, jakeśmy rzekli, uchwały sejmowe, sprawa księcia podskarbiego, wiersze rozrzucone z tej okoliczności, były właśnie na stole wraz z nowinami francuzkiemi; a że u podcaszyca zbierali się ludzie różnych stronnictw, krom naczelników, mówiąc dosyć swobodnie, starano się być ostrożnym i nie drasnąć nikogo. Rozprawiano zawsze mniej więcej w duchu dworu, i z pewną sympatją dla partji Branickiego. Sam Ordyński bez głębokich przekonań szedł za kierownikami, nie wiele jeszcze myśląc o tem co się działo w koło niego.

Poczęła się więc rozmowa o przedmiotach bieżących, ujął ster kasztelan i zręcznie począł o podskarbie, o jego rodzinie, o dawnem życiu nawet, bo dziś wszystko wyciągano na jaw dla potępienia. Wystąpił z dobrze znajomemi sobie dziejami całego domu księcia, jego żony, syna, brata Kaliksta, śmiejąc się dowcipnie z brudów które zgrozą napelnić były powinny serce każdego człowieka. W istocie dana przez brata poręka, przyczyny dla których cofnięta być miała, tak się wydawały ohydnie, że lepiej było to pokryć wszystko litościwem milczeniem.

Ale któż wówczas miał litość?

Już przecież drugą porękę za więźnia dał był Leszczyński, a księżę z niej korzystał i wszyscy przepowiadali że lada dzień uciec powinien. Rozprawiano o nim, o naradach prawodawczych, a kasztelan przywykły drwić z duchowieństwa, choć fortunę zrobił przy prymasie, na sejmie ostro przeciw niemu powstając i tu koncepta swe niesmaczne powtarzał. Właśnie ofiara, którą stan ten uczynił na potrzeby kraju, dostarczała mu przedmiotów do zabawnych ucinków. Powtarzał każde słowo senatorów, duchownych, i komentował je nielitościwemi dodatkami.

Wypadki także paryzkie budziły we wszystkich najrozmaitsze uczucia. Z uniesieniem rozprawiano o szczegółach wzięcia Bastylli, o upadku feudalizmu, o objawieniu praw człowieka, a nikt jeszcze nie umiał osądzić surowiej następstwa jakie szereg tych wypadków ciągnął za sobą. Pałano naśladowaniem, gdy obok, w przeszłości własnej praktyczniejsze prawdy leżały niepojęte, lub powierzchownym potępione sądem.

Na wypróżdki każdy najsurowiej sądził kraj swój i stary w nim porządek rzeczy; najrozsądniejsi nawet chcieli burzyć, goniąc za utopią. W czasie całej tej rozmowy, którą jakeśmy powiedzieli podsycił sejm i wypadki we Francji, Cerulli i kilka innych osób siedzieli w ostrożnem milczeniu. Kasztelan jaśniał wymową i krzyczał tak głośno jak na obradach, nie umiejąc powściągnąć do większej sali przywykłej deklamacji. Nikt nie miał nadzwyczajnego poszanowania dla miernych wcale talentów człowieka, którego przeszłość cień rzucała na nowszą i do miary czasu zastosowaną rolę, ale wyręczał wielu, gadając za wszystkich, słuchano go chętnie.

— Mości panie — rzekł powstając wojewoda K... mąż pięknej Karoliny — wszystko to śliczne może, doskonałe, ale ja nasze stare czasy wolę, a terażniejszego wyznaję że nie rozumiem.

— To nie dziw — odpowiedział, nie dając się nikomu uprzedzić kasztelan z intencją szyderstwa — są to czasy, któremi brzemienne chodziły wieki.

— Daj Boże, aby się przy porodzeniu nie okazało jak z ową górą w bajce, odezwał się wojewoda — i żebyśmy nie doczekali się *ridiculus mus* na końcu.

— Jest wielu partyzantów staroświecczyny — rzekł mowca — ale póty u nas nie będzie dobrze, póki się nie pozbędziemy właśnie starych przesądów.

Pokłamięto *przesądom*, był to wyraz przesładowany, Bóg wie co się wówczas zwało tem imieniem, wszystko co przeszkadzało i wadziło — małżeństwo między innemi liczyło się do przesądów.

— Zacni panowie — przerwał z kąta Baucher — co się tycze przesądów, jednym z najgubniejszych jest późna wieczerza, prosimy gospodarza by ją kazał przyspieszyć.

Wszyscy się z tego zwrotu rozśmiali.

— A potem do gry — zawołał ktoś z tłumu — aby czasu nie tracić.

Wojewoda ciężko stęknął.

— Wszystko u nas nic potem — rzekł — mieszczan przerabiają na szlachtę, szlachtę mieszczańią.

— I wino piją — przerwał znów Baucher — niepocziwe stare węgierskie, ale ten francuzki kwaszek co ledwie chorego mógłby zaspokoić.

— Mówisz pan o szampanie?

— Szampan! śliczny mi szampan, mruknął wojewoda.

— Doskonała anegdotka — zawołał generał, który usilnie widać politykę chciał przerwać, autor jej *praesens* potwierdzi, jeśli mu skromność przyznać się dozwoli. Niedawno jeszcze przywieziono kosz tego szampana za osobliwość przez Teppera, księciu Lubomirskiemu. Nadszedł właśnie Komarzewski z ranną wizytą, książę siedział w kąpieli. — Kochańciu, rzekł do generała, przysłano mi nowe francuzkie wino, ma to być coś osobliwego, ale też i kaducznie drogie. Trzeba by spróbować. — A! odpowiedział Komarzewski filuternie, słyszałem o tem winie... — Jaki? nie próbowałeś go nigdy? — A nie. — No, tyś przecie znawca, zrób mi tę grzeczność pójdz go spróbuj, powiesz swoje zdanie. — Zadzwoniono, wyszedł z kamerdynerem generał dla spróbowania wina, książę po kąpieli położył się w łóżko. Komarzewskiego niema i niema; w dobre dopiero pół godziny powraca. — A cóż? zabawiłeś się. — Dobywali, odkorkowali, marudzili. — Próbowałeś? — Próbowałem mości książę. Jakże ci się zdaje? — Tak! tak, limonadka! nie zły sobie kwaszek! ściskając ramionami, rzekł obojętnie generał, nie radzę księciu z tem się popisywać, bo to tego beczkę u nas każdy wypije.

Na tem się skończyło, książę ciekawy, wieczorem każe podać wina — niema go. — Gdzie się podziało? — Do ludzi, a tu okazuje się, że pan generał próbując, cały kosz tej limonadki wypróbował.

— Ale ba! — przerwał Komarzewski bardzo serjo — byłem prawie naczczu i świeżom się pogniewałem, potrzebowałem ochłodzenia.

— Tegoby z węgrzynem nie dokazał! — rzekł wojewoda.

— Kto to wie — odparł adjutant królewski — bywało różnie, teraz mi już nogi jakoś nie służą, choć głowa jeszcze strzyma.

Jakby na zawołanie wniesiono wino, i kielichy poszły kołem. Cerulli wziął jeden, ale z nim jakoś manewrował, że zawsze miał go pełnym i nic nie pił. Wkrótce zaszumiało w czuprynach, rozmowa stała się żwawsza, swawolniejsza, otwarto drzwi do jadalni, tu do reszty podochocili się niemal wszyscy, a dopiero do kart. Wojewoda, który oprócz w marjasza nie grywał w nic, z kieliszkiem sobie na boku pozostał, inni rejem stół obsiedli, między nimi młody Rybiński, którego twarz od początku wieczora pałała jakąś gorączką, a oczy nieustannie zwracały się na gospodarza. Cerulli dawszy się trochę prosić dla ceremonji, posłał do swojej karety po szkatułkę i bank otworzył. Podczaszyc siadł do gry także; towarzystwo było liczne, umysły rozegrzane winem i rozmową, ale jak skoro pieniądz błysnął na zielonym stole, zaszleściły czarodziejskie karty, serca uderzyły strachem i nadzieją, zwróciły się wszystkie twarze, upadła ożywiona pogadanka i liczenie przerywane tylko sykaniem lub wyrównywaniem stawek, rozciągnęło swe skrzydła nad niemi.

Rybiński grał z chmurnem czołem i gorączkowym niepokojem. Kilka dni temu przegrał był kilkaset dukatów, a że kieszeń jego nie była zbyt przeciążona, zdziwiono się zobaczywszy że znów ze trzysta przed sobą położył; krótko jednak przed nim poleżały i zwyczajem codziennym poczęły wędrować do banku jedne za drugimi, tak że w godzinę pozostał bez grosza. Na pięknej jego twarzy namiętność gry wyrzyła najnieszlachetniejszy wyraz gniewu — cisnął kartami o stół i powstał z krzesła, wołając głośno:

— Prawdziwie u pana podczaszycu tylko podczaszycowi grać można, on jeden wygrywa!!

— Jak to pan rozumie? — podnosząc głowę zbladły ale spokojny, zapytał Ordyński.

— Jak ja to rozumiem to mnie wiedzieć, a pan sobie bierz jak chcesz, to mi wszystko jedno.

W ręku Cerullego karty drżały, Ordyński szepnął słowo generałowi i grał dalej, ale konwulsywnie drżący. Rybiński powoli odszedł od stołu zgrzytając zębami.

Baucher wziął go do okna.

— Starościcu kochany — rzekł — przykrą mam misją, ale cóżes powiedział, to obelga!

— Tergo nie odwołuję!

— A zatem pojedziesz z nami do Jezernej, dasz nam satysfakcję.

— Wszelką jaką chcecie, oprócz tej żebym wam więcej przegrywał, bo tu noga moja nie postanie. Ogrywajcie sobie na wspólnkę z Włochem całe miasto, życzę wam szczęścia. Słowa te wymówione w pół głosem, doszły uszu podczaszycy, który zagryzł wargi i grać przestał. Dogonił u drzwi Rybińskiego.

— W moim domu — rzekł — nie chcę się unosić i prawom gościnności ubliżyć, ale niech pan wie, że w każdym innym miejscu byłbym mu dał natychmiast naukę jak się język trzyma za zębami.

— Możemy się znaleźć i gdzie indziej — obojętnie dość odpowiedział Rybiński — kto od kogo i jaką weźmie naukę, to jeszcze pytanie.

To mówiąc trzasnął drzwiami i wyszedł. Wrzawa za nim powstała wielka, ale zapamiętali gracze słysząc ją nie ustąpili od stołu, aż Cerulli dociągnawszy talji zabastował.

Jedno śmiałe słowo rzucone w pasji przez Rybińskiego, sprawiło ten skutek na nieszczęśliwych graczach, że choć żaden ustami myśli tej nie powtórzył, wszyscy jednak spojrzeli po sobie, i nie biorąc strony podczaszycy, wkrótce opuścili go wynosząc się po cichu i zostawując z poufałami.

W godzinę może po wypadku, jenerał tylko, Poinot, który zdala był sceny świadkiem i niejakiś pan Parnawski przyjaciel domu, co się kręcił trochę przy dworze, a trochę gdzie z komina kurzyło, w pustych zostali pokojach.

Było to jakby uderzenie piorunu, wśród którego Cerulli, niby nic nie rozumiejąc, zagarnawszy grosze wymknął się cichaczem. A że zwykle bawiono się tu do dnia, a goście wcale nie wzięli strony podczaszycy, miało to wielkie znaczenie. Wiedział Ordyński, że słowo starościca obudziło podejrzenie wszystkich, zmieniając je w przekonanie prawie, że mu niepowetowaną na czci wyrządziło krzywdę. Pierwszy raz zachmurzył się jego czoło, a jenerał i Parnawski napróżno usiłowali go rozweselić i wytłómaczyć mu jako tako zniknięcie gości. Podczaszyc rozumiał dobrze co to wszystko znaczyło, a przypominając sobie okoliczności gry, swoje wygrane, stałe niemal nieszczęścia drugich, dziwił się teraz sam że wprzód nie zwrócił oczów na Cerullego.

Tymczasem trzeba się było przygotować do pojedynku, co, jakkolwiek śmiałemu, trochę zakolatało sercem. Jenerał z p. Parnawskim ofiarowali się nazajutrz do starościca pójsć po warunki. Cała ta awantura natychmiast przez gości miała ogromny rozgłos w mieście, a że często słowa jednego dosyć by cień rzucić na najpocziwszego człowieka, cóż dopiero gdy są pozory słuszności? Podczaszyc w jednej godzinie odsądzony został od czci i wiary. Wszyscy szeptali że dom trzyma nad skalę, że przyjmuje po królewsku, wydatki ma ogromne a dobra obciążone, i każdy odchodził jeśli nie z przekonaniem szalbierstwa, to z wątpliwością obelżywą o pocziwość Ordyńskiego.

VI

Jedno nieszczęście nigdy samo nie idzie, trzymają się one pod ręce, i wloką gęsiego. By jedno na próg, tylko co i drugich nie widać. Nazajutrz podczaszyc siedział rano u siebie zadumany i ponury czekając powrotu posłów, nie wiele o pojedynku, więcej o różnych jego tłumaczeniach rozmyślając, gdy mu znać dano że marszałek dworu, miał już bowiem i intendenta, niejaki pan Frajer, nastroczony z ręki jenerała, chciał się pilno z nim widzieć. Nie lubił Ordyński tych posłuchań i narad, wiedział bowiem że koniec końcem zamkną się ogromnym rejestrem i żądaniem pieniędzy, a kasa się wyczerpywać zaczynała, ale cóż było robić.

Głuszę i dobra Ordyńskich dobrze już była od śmierci starościnej zahartowała podczaszyna, która powypuszczała w zastawy, i dzierżawy co mogła, zabrała pieniądze, chcąc sobie kupić willę jakąś w pobliżu Florencji. Reszty co z tamtąd przyszło, podczaszyc tracił, i jeszcze pozaciągał był znaczne długi, tak że niewiadomość tylko stanu interesów spokojnym go o nie czynić mogła; w istocie były w najstrasliwszym nieładzie.

Pożyczał w Warszawie na wszystkie strony wielkimi sumami, u bankierów, u żydów, winien był po handlach za towary bardzo wiele, a choć dotąd kredyt się włókl, bo coraz

wierzycielom dawano coś na rachunek, długi na czas w którym zaciągnięte zostały, były przerażające.

Karty trochę, dom, życie wystawne, wzięły co z kąd się urwać dawało, kieszeń była pu-
stą. Czerpali z niej przyjaciele, zbytek, rozrzutność, namiętność i złodzieje. Widzenie się
więc z panem Frejer, wcześniej przykrem poczuł podczaszyc, a gdy zobaczył tego jegomo-
ści, w czarnym fraku szczelnie pozapinanym, nisko kłaniającego się w progu, ogromną
dźwigającego księgę, dobrze mu już znaną, skrzywił się i porwał zniecierpliwiony. Miał
on ten chwalebny pański zwyczaj, że nigdy w rachunki nie wżerał — dawał pieniądze,
brał, sypał, ale się nie rozpatrywał ani jak przyszły, ani którędy poszły — wszelka praca
i natężenie umysłu choć chwilowe, były mu nieznośne.

— A cóż tam pan powiesz panie Frejer — rzekł do intendenta, który zawsze nasro-
żony, poważny, nigdy nie dopuszczający się uśmiechu, wyglądał gdyby Kato, choć z tą
miną stoicką kradł gorzej wszystkich co kradli — (a było ich dosyć!!).

— JW. panie jest okoliczność ważna.

— Co tam przecie?

— Ot dziś rano jak gradem sypnęli mi rachunkami dostarczający kupcy, zwąchawszy
o jakimś pojedynku.

Podczaszyc wstrząsnął się od gniewu.

— To nie pora na wypłaty! — zawołał.

— Jabym tych ichmościów przykładnie ukarał — rzekł z miną rezolutną Frejer —
płacąc im zaraz i za grosz u nich nie biorąc nigdy więcej — ale w kasie nie ma pieniędzy.

— Waćpan nigdy nie masz pieniędzy!

— Jam temu nie winien, JW. pan zechcesz przejrzeć rachunki, feniga nie brakuje,
a na każdy ekspens są aneksa i dowody.

— A dajcież mi pokój!

— Ale cóż pocznę z temi natrętami?

— Odprawić ich, zbyć, wypędzić, co waćpan chcesz! pierwsze pieniądze które wpłyną,
służyc będą na opłacenie ich, zmienię kupców...

— Jednakże JW. panie, trzeba by coś radzić, mogą być natrętni.

— A ludzie od czego! — krzyknął podczaszyc w gniewie — odpędzić! — Pomiar-
kował się po chwili. — Zresztą — rzekł — zawołać Aarona, wezmę u niego i zaspokoję
tych ichmościów.

— A jeźliby Aaron chybił? — spytał drobnostkowy i regularny Frejer.

— Natenczas weźmiemy gdzieindziej, a waćpan mi dzieciństwem tem głowy nie kło-
pocz — ile to wynosi?

— Ogółem może przejść trzy tysiące dukatów, nie licząc tych, co się jeszcze nie upo-
minają.

— Tak wiele?

— JW. panie, to jeszcze nie wszystko.

Podczaszyc pochodził żywo.

— Dość tego — rzekł — nie pora to rachunków, innym czasem, innym czasem...

Frejer skłonił się, ale uparcie pozostał i księgę nawet począł rozkładać.

— Czegóż chcesz jeszcze? — niecierpliwie spytał Ordyński.

— Co mam zrobić, jeźliby gwałtownie się naprzykrzali?

— Mówiłem ci, do jutra! Lub... co chcesz... rób, radź, płac, wypędzaj, a mnie się nie
pytaj co począc, co innego mam na głowie.

— Kiedy JW. pan przyjsć każe?

— Gdy cię zawołam, panie Frejer.

Niemiec potarł czoło frasośliwie.

— Bądź pan zdrów.

— Ale mi grożą sądem i zajęciem...

— Śmieliby? ta hałastra?

— Nie wiem czego się tak zlekli, jest to okropne zuchwalstwo — ale potrzeba radzić,
potrzeba radzić.

— Posłać więc po Aarona, do jutra...

Jeszcze by był może stał dłużej we drzwiach Niemiec, który nie łatwo z placu schodził, ale jenerał i pan Parnawski weszli właśnie, pierwszy blady i sztywny, drugi nadto czerwony i zmieszany widocznie.

Podczaszyc spojrzawszy na nich poznał że nie musiało im pójść gładko. — Jenerał milczał nie spiesząc mówić, kapitan Parnawski, (był bowiem jakimś kapitanem *in partibus infidelium*) chodził rozgorączkowany. Frejer skłonił się, odszedł powoli. Ordyński przyskoczył do nich niecierpliwym.

— No jenerale, mów! kiedy? gdzie? jak? coście postanowili!

Baucher połknął ślinkę, odchrząknął, spojrział na towarzysza i jak to bywa gdy przemówić trudno, widocznie na niego chciał zrzucić ciężar spowiedzi. Ten sapał, ale nie okazywał wcale ochoty mówienia, ruszył ramionami i odskoczył z pantominą zdającą się oznaczać — a mnie to do czego?

— Cóż to jest? no! mówcież przez litość — z kolei do obu się zwracając, wykrzyknął podczaszyc — mówcie!

— Ale czekajże niech się wysapie — odpowiedział jenerał — wreszcie — niech się namyśle od czego mam począć.

— Cóż tu się namyślać? kiedy? gdzie? jaka broń?

Znów Baucher wejrzał na kapitana jakby go o litość prosił, a kapitan się zrywał tylko, uciekając od niego w drugi koniec pokoju.

— Jenerale, tylko bez tych powijaczek, mów, proszę, coście zrobili! Chcecie bym zwarzował, przecież się nie złąknę!

— Ale bo! ale bo! — przerwał stary dworak. — Podczaszycu, każ mi dać kieliszek wina... w gardle mi zaschło z gadania i gniewu... Rybiński warjat!

— Wiem o tem!

— Głupi człowiek!

— Być może, ale strzelać się z nim muszę.

— Ale ba. Rybiński — wykrztusił wypiwszy wino Baucher — Rybiński bo nie chce się bić.

— A toż znowu co? — krzyknął Ordyński — chce żebym go zbeszcześcił publicznie? Jakąż może mieć racją? Wczoraj sam prawie mnie wyzywał.

— Tak, ale tu nastąpić musiały jakieś podle rady i ukartowano inaczej.

— Co mogli ułożyć? wrąc i tupiąc nogami jak dziecko, zapytał podczaszyc.

— To głupiec sam nie wie co gada!

— Ale cóż mówi na miłość Boga, co mówi? nie drażnij mnie, oszaleję.

— Co? chcesz wiedzieć co? — przerwał Baucher, porywając się z kanapy cały zburzony, bo czuł że mu te sceny żółć poruszą i zrobią chorobę, która zwykła się była kończyć czasem żółtaczką — co? ot co plecie, truteń — że ponieważ — ale mów bo Parnawski!

— Albo to pan jenerał gęby nie ma! — zuchwale odparł kapitan.

Podczaszyc stał blady jak ściana, niemy, a myśl jego trafiać już musiała na obelgę, którą miał odebrać.

— Mówi Rybiński — wykrztusił Baucher — nie będę się z nim bił, bo kto szulerów w domu trzyma i gra z nimi na wspólną ściągając do siebie na karty, ten z uczciwym człowiekiem mierzyć się nie wart. — Wypowiedziawszy wreszcie te ciężkie słowa, jenerał padł wysilony na krzesło.

Ordyński czerwieniał, bladł, zmieniała mu się twarz kilka razy, zdawało się że zemdleje i padnie, słowa zastrzęgły mu w gardle, pot wystąpił kroplami na blade jego czoło, w ostatku poczał przychodzić do siebie i rzekł ścinając usta:

— Dziś mu jak psu w łeb strzelę.

— Nie — odpowiedział jenerał — to już zły interes, wiesz zapewne czem to pachnie pod bokiem króla, w czasie sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską taka awantura. Przypomnij sobie jak sądzono Taylora że się tylko na Ryxa porwał! Jabym po prostu nasłał na niego ludzi i kazał mu, jak Grabowski Stokowskiemu, wyciąć odlewanych sto nahajów, to by go rozumu nauczyło.

— To mało! — wybuchnął podczaszyc — to nic! plama, którą rzucił na mnie, krwią się tylko zmyć może i powinna.

Zadzwonił ręką drżącą.

— Charles — rzekł do kamerdynera — podaj mi krucice, proch i kule.

Jenerał który wszystkich podobnych tragicznych historii nie lubił, a wiedział że się tu na coś nie żartem zabiera, miał się już ku rejteradzie. Parnawski patrzył i milczał.

— A gdyby — odezwał się — wprzódki kijami, jabym panu podczaszycowi nastreczył do tego bardzo tęgich ludzi, co by go w biały dzień wyciągnąwszy z karety gotowi osmagać.

Podczaszyc słowa nie odpowiedział, tylko usta dumnie podniósł, brwi ścisnął i począł w milczeniu nabijać krucice.

— Ale bo nie wiesz jeszcze katastrofy — dodał jenerał schylając się już ku czapce — ten szelma Cerulli, kat go wie co za jeden...

— Cóż znowu Cerulli? — spytał podczaszyc drżąc a usiłując udać flegmatyka.

— A, uciekł gałgan z miasta wczoraj jeszcze, *nec locus ubi Troja fuit*, zabrał się z matkami i drapnął w nocy, Bóg wie dokąd.

Podczaszyc znów błady się zrobił jak ściana, i zęby straszliwie mu się zacięły.

— Ha! — rzekł — i temu nie radzę się spotykać ze mną!!

— Ale bo w istocie — z wymówką cichą wystąpił Baucher — dość byłś nieostrożny podczaszycu, kto to ludzi tego kalibru wpuszcza tak na poufałej stopie do domu?

— Alboż go nie przyjmował hetman, ksiązę marszałek, kasztelan i inni...

— Tak, gdy go tu wprzód poznali! Kto wie co to za ptaszek. Rybiński słysząc zgrał się do koszuli i długu zrobił z tysiąc dukatów, nie dziw że go to za serce wzięło. Inni prawdę powiedziawszy także nie małe tu sumy posadzili, choć ja narzekać nie mogę, ale ja gram ostrożnie i rano wstać potrzeba żeby mnie ociąć!

Podczaszyc milczał.

— Jadę natychmiast — rzekł do jenerała — będę się do nocy włóczył póki Rybińskiego nie przydybię i w łeb mu nie wypalę.

— Zdaje mi się — chłodno odparł Baucher — że go dziś nie spotkasz. — A pomyślawszy, że wypadaloby niebezpiecznej awanturze zapobiedz, wziął za kapelusz i sposobił się do wyjścia, mrugnawszy tylko na Parnawskiego, żeby pozostał i podczaszyc pilnował. Kapitan chętnie to uczynił, ale z Ordyńskim ciężka teraz była sprawa, ani się słowa od niego dopytać, nie wiedział co się koło niego działo, chodził obłąkany. Nie pożegnawszy jenerała, nie spostrzegłszy Parnawskiego, położył pistolety nabite i począł się machinalnie ubierać, spiesząc i targając co mu podawano.

VII

W godzinę potem zaszła kareta, i Ordyński w kieszenie fraka powrzucawszy krucice, wyjechał z wizytami, ale jenerał domyślając się gdzie być może, wszędzie go uprzedził.

Czuł on, że taka obraza płazem Rybińskiemu ująć nie może, obawiając się wszakże, by w pierwszej chwili gniewu nie skończyła się bardzo tragicznie, przeleciał ważniejsze domy, do innych rozesłał oznajmując co się święci. Część też wczorajszego wypadku w mieście wiadoma była, i prawdę mówiąc, nienajlepsze uczyniła wrażenie, gdyż każda potwarz przyjmuje się łatwo, a przyjęta wyrasta szybko. Przypominano sobie zbyt pańskie podczaszycu życie, przebąkiwano o zrujnowaniu, tu znów ucieczka Cerullego, zarzut do reszty czyniła podobnym. Kareta podczaszycu wszędzie zastała drzwi zamknięte. Był to dla niego cios ostatni, którego mężnem sercem znieść nie umiał. Im mocniej przekonywał się, że go nie przyjmowano umyślnie, tem boleśniej cierpiał i wpadł prawie w paroksyzm szału, gdy mu na ostatku i drzwi wojewodziny odmówiono.

To go w samo serce uderzyło najboleśniej.

— Do domu! — zawołał — do domu!

Powóz potoczył się po bruku, a podczaszyc w głąb jego się rzuciwszy, patrzył tak oślepieniami oczyma na migające ulice, że nic nie widział przed sobą, i kilka osób z którymi się spotkał nie poznał.

Z drogi zmieniwszy myśl, kazał zawrócić do jenerała. U bramy Krakowskiej, żebrak nawet Orlandini z pychą się jakąś od niego odwrócił, niby go nie spostrzegł, uczuwszy zapewne zdaleka wypróżnione kieszenie. Jenerała równie jak innych w domu nie było.

Podczaszyc pomyślał i kazał się wieźć do Frascatelli.

Nie wiem dla czego mu teraz na myśl przyszła, gdyż bardzo dawno jej nie widział. Może u niej kogokolwiek ze znajomych spotkać się spodziewał, potrzebując gwałtownie rady, bo szalał zostawiony sam sobie i chwilami przebiegało mu przez głowę wpaść do

mieszkania Rybińskiego, i we własnym domu w łeb mu wypalić. Że jednak krewny biskupa kujawskiego stał obok niego i prawie z nim razem, a dom senatora i posła dwojako był nietykalny, zawahał się Ordyński.

Frascatellę zastał samą jedną, smutną, zatopioną w fotelu i chorą. I ona od czasu jak jej nie widział wiele się odmieniła — i ją odstąpili przyjaciele znalazłszy nazbyt surową, zbyt dziwną, a tymczasem biedne dziewczę warzyła i wysuszała tęsknota za krajem, o którym marzyła we snach, opłakiwała na jawie. Choroba niszczyła ją gwałtownie, za nią przyszedł i niedostatek zajrzeć do obsypanego wprzód darami możnych mieszkania. Pusto było do koła, ona sama jedna, łzy w oku, twarz blada, wejrzenie tylko błyszczące jeszcze a usta uśmiechnięte smutnie jakoś, grobowo.

— A! dawno! dawno! jakieśmy się nie widzieli podczaszycu — zawołała Frascatella, podając mu rączkę wyschlą i bladą — cóż to się stało żeś tak był o mnie zapomniał? Tak dawno żadnej już wesołej nie widziałam twarzy, nie słyszałam uśmiechu! Wszyscyście mnie porzucili, dzięki ci, żeś choć późno sobie przypomniał że ja jeszcze żyję!

Podczaszyc stał przed nią, ale tak zmieniony, drżący, blady, że za drugim wejrzeniem Włoszka domyśliła się wielkiej jakiejś w życiu jego zmiany, i pomimo osłabienia porwała się, załamała ręce, pytając ścichłym nagle od uczucia głosem.

— Co ci to? podczaszycu!

— Mnie? nic! — odpowiedział Ordyński nieprzytomnie, siadając drżący, bo czuł że mu się nogi chwiały, nic... nic.

— Jakto, nic? — wpatrując się w niego zapytała tancerka — nie możesz mnie zbyć taką odpowiedzią, na twarzy twojej napisane jakieś nieszczęście. Co cię spotkało? mów? kto cię zdradził? kobieta?

Pierwsza jej myśl była o kobiecej zdradzie, podczaszyc z pogardą ruszył ramionami.

— To się nie liczy! — rzekł z gorzkim uśmiechem.

— Ale mów pan, na Boga!

— Ja i ty, widzę — rzekł Ordyński oglądając się — jesteśmy zarówno zdradzeni przez cały świat i opuszczeni od wszystkich. Wczoraj jeszcze wieczorem byłem ich ulubieńcem, dziś się mnie zaparli i odepchnęli. Ale się pomszczę! pomszczę się krwawo!

Frascatella nic zrozumieć nie mogła, oczy jej żywo biegały po twarzy przybyłego, by tajemnicę wy badać, a nic odkryć w niej nie umiały.

— Powiesz-że mi pan — co to się stało?

— Na co mówić? ktoś ci tu inny zapewne pospieszy przynieść wieść o mojej hańbie, o wstydzie. Ja idę, ja iść muszę...

Zerwał się. Biedna dziewczyna przestraszona, krótką chwilę sądząc, że go do niej serce i litość przywiodły, opadła na krzesło smutnie spuściwszy głowę na piersi.

— Myślałem że tu kogo znajdę — rzekł. — Sapię, jenerała, kogokolwiek, chciałem wiedzieć co się dzieje ze mną! poradzić! idę... lecę dalej!

— Biedny! — ze łzą w oku szepnęła Włoszka, tak był szczęśliwy niedawno! tak mu się świat uśmiechał. Jak on teraz potrafi znieść nieszczęście, kiedy ci co się z nim zżyli, usychać muszą na ręku jego i umierać! — Podczaszycu! — dodała głośno — słowo poproszę cię tylko. Ja od kilku tygodni z krzesła się już nie ruszam! ja nic nie wiem. Pocziwy Bekler, który mnie przez litość odwiedza, zakazał mi tańca pod karą śmierci... ale to nic! ja i tak umrzeć muszę... Może byś mnie chciał dokąd posłać? Może ci na co przydać się mogę? mów, proszę...

I zerwała się gorączkowo z fotelu chwytając za poręczę i stół, twarz jej zarumieniała się, usta drgały; podczaszyc spojrział i serce się mu otwarło — nieszczęście je poruszyło dopiero, łza zakręciła mu się w oku.

— Dziękuję ci — rzekł — dziękuję serdecznie, ale cóż mi tu pomódz możesz gdzie idzie o życie, o krew, o zemstę...

Frascatella zadrzała i upadła zemdlona. Podczaszyc zostawił ją na ręku służki, a sam jak szalony poleciał znowu pukać od drzwi do drzwi... ale wszędzie z zimną twarzą odpowiedziano mu... nie przyjmują! Wściekły zawrócił do siebie.

Mrok szary poczynał zalegać ulice, a chmura nad miastem zwieszona, milcząca, jasnymi błyski wiosennej burzy rozświecała niekiedy fantastycznie ulice, na których przechodzący i przejeżdżający migali jak cienie.

Nagle zatrzymała się karetka i twarz djabelska Fotofera ukazała się w jej oknie. Podczaszyc schwycił się i machinalnie porwał za pistolet, djabeł się rozśmiał tylko.

— Tobiem winien — zakrzyknął Ordyński z pasją — całe moje nieszczęście... tyś jego sprawcą...

— Ja? ja? co? — spytał obojętnie cavaliere.

— Tyś do mnie sprowadził tego psa Cerulli, za którego pokutuję.

— Cerulli to mój kompatrjota — no? — i cóż?

— Nic nie wiesz?

— Ja zawsze wiem wszystko.

— To oszust!

— Nie, podczaszycu, zacny człowiek!

— Po cóż uciekł?

— Uciekł? on? wysłany został w ważnej, bardzo ważnej sprawie łóż Melchizedecha...

— Zgubił mnie!

— Jakto zgubił? — spytał szatańsko się śmiejąc Fotofero — samiście dobrowolnie głowę stracili...

— A mógłbym nie stracić jej? ty wiesz wszystko... drzwi mi dziś zamykają, każdy odwraca się odemnie.

Błyskawica oświeciła w tej chwili twarz cavalierra zimną i przejętą nielitościwym szuderstwem.

— To naprzód źle — rzekł chłodno — że nie masz pan taktu i powściągnięcia. Świat sobie, my sobie — niech gadają, odwracają się...

— Cóż to za rada?

— Gdybyś pan przed jenerałem papłą nie narobił wrzawy i hałasu — jużbyś do tej pory miał w rękach Rybińskiego i byłbyś czysty.

— To może prawda — odparł podczaszyc — ale cóż począć?

— Masz pan pistolety?

— W kieszeni.

— Każ zawracać — rzekł cavaliere wsiadając do karety — jedziemy razem, dam ci ofiarę w ręce. Zemsta jest zbyt szlachetnym uczuciem, uczuciem dzieci natury, dodał śmiejąc się, bym ją miał tamować jak drudzy... Krew, tak, tylko krew zaspokoić ją może.

— Hej! na Nowolipie! — krzyknął do woźnicy. Podczaszyc ostygł jakby czarodziejską dotknięty laską, widząc się tak blisko zabójstwa, które przez cały dzień marzył i układał. Słowa cavalierra otrzeźwiły go dziwnie, ale cofać się nie chciał, myśl tylko podawała mu wszystkie zbrodni następstwa i przerażała niemi.

— Trafimy na Rybińskiego — rzekł Fotofero — pieszo idącego od swoich przyjaciół, poznasz go pan łatwo po jasno-piaskowym płaszczu, celuj tylko dobrze, a potem uciekaj.

— Uciekać! — zawołał podczaszyc, któremu się w głowie pomieścić nie mogło jak teraz Warszawę porzucić, tak wszystkie węzły, które wprzód lekceważył, silnie go do niej krępowały, a ze wszystkich najmocniej miłość ku wojewodzinie. — Uciekać! ja nie mogę!

— No! no, o tem potem, zrobisz co zechcesz — rzekł cavaliere — teraz idzie nam o rybkę naszą, bacność, celuj pan dobrze, życzę szczęścia!

To mówiąc, kazał się w rogu ulicy przyzastanowić karecie, sam pod rękę ujął podczaszyc i mimo kropiącego deszczu, wyprowadził go z powozu na miejsce jakiegoś pod domami.

— Stój pan tu i uważaj — rzekł — za chwilę Rybiński iść musi...

Uchylił kapelusika i zniknął.

Najrozmaitsze uczucia poczęły miotać Ordyńskim, w którym na nowo zawrzała chęć zemsty i odezwała się zadana obelga. Dobył krucice, odwiódł kurki i z okiem obłąkanem upatrywał piaskowego płaszcza.

VIII

Sienińskiemu i jego córce droga się jakoś nie wiodła, i stary wkrótce zmęczony, chciał już po kilkakroć zawracać do domu. Możeby to był uczynił, gdyby nie córka dodająca mu ducha i odwagi. Nareszcie przekołatawszy z biedą pół drogi, bliżej już będąc Warszawy niż domu, musiał nieborak kończyć co rozpoczął. Żydek Abramko wcale nie był na

furmana stworzony, koni do zbytku żałował i obroku także, jechał nadzwyczaj powolnie, często się zdrzemował, nie bardzo na trakt uważał, a że co do najlichszych gospód dla tańszego furazłu zajeżdżał, Sienińscy nie wiele mieli wygody. Nie było przytem dnia, żeby os nie pękła, koło nie zleciało, uprzęż się nie psuła, a przynajmniej kilka razy nie porwały postronki, co wszystko wiele opóźniało jadących i bardzo ich niecierpliwiło.

Abramko zaś nie dawał sobie nawet mówić, żeby w czem sam lub konie jego winne być miały, a ze starym ujadał się zęb za zęb, dowodząc na całym świecie lepszych koni i furmana nie dostanie.

Anusia, spokojny świadek tych niepowodzeń, robiła co mogła by ulżyć ojcu, w drodze nie myśląc o sobie wcale, a okiem śledząc rychło się pokazuje ta upragniona Warszawa.

Ale wiele wieź się pokazało i znikło, wiele minęli miasteczek i białych murów i dworków, które biednę zwodziły, a stolicy nie było i nie było widać jeszcze.

Jednego wreszcie poranka, mgłą i dymami uwieńczona, rozsiadła szeroko nad brzegiem pięknej Wisły, czarodziejską swą masą dziwnie skupionych domostw, pałaców, kościołów, zaświeciła stara Mazowska królowa. Annie serce zabiło.

— On tam! on tam! zawołała, i z wielkim strachem poczęła się modlić.

Ogrom miasta które w miarę jak się zbliżali coraz potężniej się rozrastało i zdawało rozciągać bez końca, przeraził ją i zasmucił.

— Jak go teraz znaleźć w tym świecie, w tym wirze!

Stary także Sieniński przypatrywał się grodowi w posępnym milczeniu, z niejakim wyrzutem spoglądając na córkę która go aż tu zawiodła. I jego zatrwożyła ta mnogość murów, to mrowisko ludzi. Już zbliżając się do miasta, zamrużywszy oczy poznać je mogłeś po otaczającym powietrzu, w którym unosiło się tysiące różnych wyziewów dziwnych; po wrzawie ludu co płynął i odpływał z tego morza. Wozy z drzewem, włościanie z wszelkiego rodzaju na targ idącymi zapasami, wojsko, słudzy pańscy, karety, cugi, poczty, żydzi, szlachta, żebractwo, coraz tłumniej w miarę zbliżania się otaczali wózek. Anna tuliła się do ojca, który zdawna na wsi żyjąc, ani takiego gwaru, ani ścisku i ruchu wyobrażenia nie miał. Kłaniał się co chwila próżnym powozom i po bratersku salutował panów szlachtę na podjezdźkach z obrokiem w trokach kłusujących do miasteczka. Malownicza rozmaitość strojów czyniła ten tłum mieszaniną oryginalności pełną; każdy poczet wojskowych szedł w innej barwie, każdy prawie żołnierz inaczej umundurowany, ten zielony, drugi czerwony, ów z piórem, inny z kitą, — w baranich i lisich kapuzach szlachta, w sobolich kołpakach żydzi, mieszczanie w holenderskich kapeluszach, kontusze różnych województw, żydówki w muszkach, perłach, załóżkach i pantoflach, chłopci w swoich szarych sukmanach, Węgry olejkarze w sinych płaszczkach, pobożni pielgrzymi ciągnący do Częstochowy w sukniach czarnych, księża wszelkiej barwy — kogoż tam nie było! Wśród tego chaosu i tłumy, ciągnęły karoce pańskie o czerwonych kołach, długie, wyłancane z wysokim koziołkiem, z lokajami na tylnych stopniach, pozaprzęgane dereszami, izabellami, tartanami, lub malowanemi końmi (był jeszcze i ten zwyczaj); tu i owdzie przemykał się posłaniec z listami, kursor pieszy, lub kozak z Ukrainy na dziarskim koniu w burce, z osełdecem z pod czapki wymykającym się za ucho.

Wjechawszy na Pragę, Abramko, stary Sieniński i Anna tak się zdurzyli, że żyd rady sobie dać nieumiejąc, w początku pośród powozów i koni ścisku, stanął chcąc przecześcić natłok, myśląc że był chwilowy. Ale się wkrótce pomiarkował że się tego nie rychło przebierze, i udając że koniom tylko dał wytchnąć, pociągnął powoli dalej, kierując się jak mógł na most.

— Więc to nie była jeszcze Warszawa! zawołał stary Sieniński w duchu, cóż to dopiero tam będzie.

Po setnych dopytywaniach o dworka brata, stary odszukał go nareszcie na Bednarskiej ulicy i co prędzej wjechał na dziedzińczyk chcąc trochę odetchnąć. Tu żywego ducha w początku, nareszcie z pod mizernej kletki zbitej z tarcic i desek, do starego muru przypartej, wysunęło się coś bardzo niepoczesnego, tak dziwne jakieś stworzenie, że w początku rozeznąć było trudno mężczyzna czy kobieta, a nawet czy człowiek. Figurka ta miała może półtora łokcia wysokości, ogromny garb na plecach, głowę skrzywioną nim ku ziemi, nadzwyczaj wielką i straszną, ręce niepomiernie długie, a nogi koszlawe zakończone stopami kolosalnych rozmiarów. Stworzenie to okryte łachmanami, było poczwarnie brzydkie i odrażające. Podniosło nieco przyrosłej głowy, otworzyło usta i krwawemi

oczyma błysnęło na przybyłych, ale gdy mówić szybko poczęło, nie było go sposobu zrozumieć. Poczęto pytać o Sienińskiego, ale ani chciał odpowiedzieć, ani myślał odpowiadać, podniosłszy kij zaczął wypędzać, krztusić się, łajać, i choć wyrazu żadnego dopytać nie mogli, domyślili się łatwo że ich precz odganiał. Zajadły ten obrońca podwórza, był jedynym stróżem i sługą pana Kaspra Sienińskiego.

Skąpiec wybrał go sobie przez oszczędność z pod kościoła Bernardynów i umówił za jedno nocne w budce schronienie, co ledwie dobremu psu służyć mogło, do pilnowania domu. Żebrak powinien był zawsze na noc powracać, i gdy Sieniński wychodził rano, dworku przez ten czas pilnować. Resztę czasu kaleka siedział pod kościołem blizkim za jałmużną. Dziś pierwszy raz od niepamiętnych czasów zobaczywszy zajeżdżający w dziedziniec wózek, sądził że szturmem chcą wziąć domostwo i bronił go jak mógł. Już żyd dobrze po plecach oberwawszy chciał się cofać, gdy stary pan Kasper powrócił z wotywy przed N. Panną, której co dzień u Ś. Jana słuchał, i walkę tę przerwał nareszcie.

Dwaj bracia spojrzeli na siebie, nie poznali się ale domyślili i z mokremi oczyma rzucili w objęcia. Warszawiak starszy był znacznie od wieśniaka, ale o wiele wydawał się młodszym. Był to wysokiego wzrostu, znać piękny niegdyś mężczyzna, ubrany czysto, zwinny, gadatwus, dosyć wesół, z ogromnym siwym wąsem podkręconym do góry, z wysoką laską w ręku, ze srebrnym w uchu kółczykiem, który do polskiego stroju nie wiedzieć jak się przyplątał. Kółczyk ten, pamiątka po pewnej pannie Domicelli, dla miłości której dał sobie niegdyś pan Kasper ucho przekłóć, pozostał mu na starość jedynym po niej wspomnieniem.

Bracia którzy się wieki nie widzieli, dziwili się swej starości, gospodarz potem zwrócił się do Anny, którą galancko w rączkę pocałował, gdy ona właśnie to samo przez uszanowanie dla stryja uczynić chciała.

— No Hołodrygo, rzekł przybyły do żebraka stojącego jeszcze z podniesionym kijem, ruszaj sobie wasze pod kościół, a ty żydku zamykaj wrota i pilnuj się bo tu złodziejów a sprawnych więcej niż wody w Wiśle. Ty zaś kochany bracie i kochana moja synowiczko, do środka proszę, proszę, odpocznijcie.

Kamieniczka a raczej dworek Sienińskich, wielka to była lichota; ściśnięty dwoma wielkimi kamienicami piętrowymi, wyglądał jak grzybek między dębami, nisko, i ubogo, zdawna niereperowany, ściany miał czarne, dach dziurawy, okna niezbyt całe, a stary skąpiec niemogąc nająć nikomu, sam cały zajmował.

Wnijście było jedno tylko od podwórza, u dwóch okien z ulicy kraty grube jak w więzieniu, a że obok na przeciw stały wyższe domostwa, a uliczka była wązka, ledwie trochę bladego światła dochodziło do ponurego wnętrza. Izby były stare, niskie, sklepione, wilgotne, sień czarna, dwa długie pokoje po bokach, większy jeden po środku, od dziedzińca ciupek parę całą zajmowały budowę.

Pan Kasper wprowadził gości swoich do głównej największej izby, w której że był czarny stół, trzy podobne stolki, ława, piec z zielonych kafel i wielki Pan Jezus na ścianie — zwała się ona gościnną.

Al! jak straszne się to wydało więzieniem po przestronnych i wesołych mieszkaniach w Głuszy, po jej drzewach i ptaszętach otaczających każdy budynek. Tu tylko skrzyp wozów, wołanie woźnic i kłatwy ludzi słyhać było, a trochę błota rozlane na pogarbionym bruku stanowiło widok cały.

— Siadajcież proszę, odezwał się stary — odpoczywajcie. Bieda moja że gospodarstwa w domu nie mam żadnego, a to bym was rad czem poczęstować. Ale ja tu nie jadam, rzekł krztusząc się — jest tu kuchenka, można by coś zwarzyć, nawet reszotka drewek z zimy się plącze... może macie też co z drogi.

To mówiąc spojrzął po przybyłych i niebardzo rad znalazł ich smutnemi, zaraz z tego wróząc sobie o goliźnie, której się obawiał gorzej moru.

— Rozgośćcie się tu sobie, Anusia każe znosić tłómczki, a my z bratem dodał, może pójdziemy pogawędzić do mnie.

To rzekłszy i ciekawie spojrzawszy na manatki które żydek ściągał, wziął Sienińskiego pod rękę i szedł z nim do swojej izby.

Ta smutniejszą jeszcze może była od pierwszej, ubóstwo czy skąpstwo biło z niej przykro w oczy. Żadnego prawie sprzętu, nic do wygody, łóżko a raczej wyleżany barłóg, stół

rzeźbiony bez nogi kijem podparty, fotel bez siedzenia deską pokryty, kufer stary otworem, a z niego widać liche rupiecie, w kominie kupka popiołów, w kącie miotła, u drzwi szczerbaty dzbanek, kilka świętych obrazków, Częstochowskiej fabryki, na ścianie rzędem poprzyklepanych, oto wszystko. Była to cela Anachorety, zimna, ponura, ogołocona ze wszystkiego co oko zatrzymać i rozweselić mogło. Przybyły pan Jan, przywykły do wygodek, uczył dreszcz przechodzący po plecach i smutnie oglądając się westchnął.

— Ale ty widzisz coś braciszku — rzekł — w nienajlepszym jesteś stanie — tak u ciebie ubogo!

— A! a! westchnął Kasper — jak widzisz — istotnie, ledwie się żyje — czasy drogie, tylko że z głodu nie umrę. Dworek kosztuje co rok, a grosza z niego nie mam złamanego szeląga — jeszcze stróża płacę, a co do ratusza nabiorą, strach! Jeszcze to taka szatańska ulica że i w komorne nikt się nie stręczy — a ciężko! ciężko!

Spojrzał z ukosa na pana Jana.

— Dobrze żeście do mnie się zwlekli, weselej jakoś razem będzie, dwie izby wam odstąpię — za to będziecie mnie wiktować... i opalać a zresztą i oprac możebyście też powinni, i do opłat miejskich się przyłożyć — a ja już sam nic od was za to nie wezmę.

Znów spojrzał badając.

Stary pan Jan nic nie mówiąc oglądał się, tak mu ta nędza zdawała się dziwną i niepojętą.

Anna tymczasem w pierwszej izbie płakała trochę schwytna chłodem, pleśnią i ciemnotą tego mieszkania za serce.

— Gdzie on? mówiła sobie, jakby go tu znaleźć? jak się o niego dowiedzieć? — jak tu jakoś smutne życie! zdaje mi się żem w więzieniu.

Nazajutrz już weselej wyglądały izby, bo w nich gość Anusia ustroiła trochę puste kąty, oczyściła co się dało. Gospodarz poglądał na jej robotę z rezygnacją, ale jednak bardzo chwalił w bijaniu ćwieków w ścianę.

Odszedł z rana wedle zwyczaju na mszę do Fary, resztę dnia ciągle siedział z przybyłymi. Gaduła to był dość miły, człek bywały, z którym gdyby nie jego śmieszne skąpstwo, wybornieby żyć można. Stękał tylko gdy mu o sobie mówić przyszło, o drugich różne dykteryjki rozpowiadał, śmiejąc się, żartując.

Ale co tylko kieszeni jego dotykać mogło, wyprowadzało go natychmiast z tej błogiej wesołości i rzucało w gniew i niecierpliwość, nie wiem bowiem czy kiedy w kim namiętność gorsza pod słońcem, do wyższego posunęła się stopnia jak u niego. Co dziwniejsza nie rozpowiadał o niczem częściej jak o swojej rozrzutności i wydatkach, wymawiając sobie nieustannie nieopatrzność, zbytni szafunek groszem i prorokując utratę ostatka niewielkiego mienia. Pochwalił się przed bratem że przez miłosierdzie dał przytułek żebrakowi, choć wprzód powiedział mu był że mu płaci za dozór domu, stękał że go kosztuje ogromnie życie wystawne, które prowadzi jadając po garkuchniach, ubierając się zawsze czysto i starannie i t. p.

W ostatku prosił, żeby mu się nie dziwowano że zawsze w domu, dla nagniotków obuwia znieść nie mogąc, boso chodzić musi. Anusia za dobre to biorąc, słuchała, dziwiła się i nie szukając w nim wad których dojrzeć nie mogła, przyjęła go jakim był; ujmował ją grzecznością i ochoczą rozmową.

Od niego zaraz nazajutrz dowiedzieli się, że podczaszyc dom kupił i urządził na nowo, że żył bardzo po pańsku i że zapewne nie długo tak szumiąc pociągnąć potrafi.

Przeraziło Anusię to co o nim posłyszała i nie dziwił ją sen który miała, bo w istocie niebezpieczeństwo było widoczne.

Stary który wszystkie plotki po bruku zbierał, nie mając nic do czynienia, często na gawędę do Orlandiniego chadzał, i wałęsając się po mieście widział część życia każdego, nie szczędził Ordyńskiemu imion rozrzutnika, hulaki i karciarza.

Sieniński wzdychał słuchając, ruszał ramionami i powtarzał po cichu:

— Pójdzie mosanie Głusza! pójdzie Głusza! na damuzelki i asy! a! gdyby nasza stara pani z grobu wstała, drugi by raz umarła z boleści, a wszystko to przez tych urwipolców francuzów!

— Ale by go może jak ratować można! przemówiła Anusia.

— A to jak? rzekł Jan, albo to do niego przystęp teraz łatwy, gdyby i przystąpić, czy się to da zreflektować?

Anna zamilkła myśląc że Bóg da sposób i nastarczy ratunku zręczność, zapamiętała jego mieszkanie, a w przyszłości obiecywała sobie poznać miasto ze stryjem i choć z daleka spoglądać na przyjaciela młodości.

Wszystkie jednak marzenia Anny rozbiły się o mnóstwo trudności, których się zrazu ani domyślała. Przekonała się, że po Warszawie z ładną twarzą samą jedną chodzić nie można, że do poddaszyca przystęp niepodobny, że go nawet zobaczyć trudno, bo przez ulicę przelatuje karetą, a w kościele nie bywa. Zbierała więc tylko wiadomości o nim przez stryja i ojca, a w kilka dni po przyjeździe posłała starego ażeby mu się zdajmył z przybyciem, nic o niej jednak nie wspominając. Sieniński przebrawszy się w wielkanocny kontusz, poszedł do swego panicza z rana; długo musiał czekać nim wstał, napokutował się w antykamerze, i ledwie o dziesiątej puszczonej został wraz z czekoladą. Podczaszyc żywo się do niego zerwał, bo mu przypomniał Głuszę, a może — może Anusię.

— Jak się masz stary? krzyknął — co ty tu robisz?

— A cóż JW. panie, znalazło się brata który ma posesyjkę przy Bednarskiej ulicy, to się do niego ściągnęło — bo w Głuszy po odjeździe państwa bardzo pusto.

— A córka?

— Córka? — przelknął stary nie chcąc kłamać i nie mogąc powiedzieć prawdy — zdrowa JW. panie, zdrowa... bardzo dziękuję.

Spojrzał mu w oczy Ordyński i nie śmiał pytać więcej.

— Cóż tu myślisz robić?

— A co? popatrzeć jeszcze na świat Boży póki oczy we łbie — pomodlić się, zresztą odpoczywać.

— Przychodź-że do mnie często mój Sieniński, przykażę żeby cię w każdej godzinie puszczano.

Stary *more antiquo* do stóp się skłonił, przyniesiono mu kielich gdańskiej wódki, piernika, łakoci, choć dla niego godzina już była zrazowa raczej i krupnikowa, bo wstał rano i czuł że *hora canonica* dawno wybiła w żołądku.

Podczaszyc wypytywał go się o wszystkich i wszystko, o dom, ludzi, a ubocznie i o Annę. Staremu nieprzywyktemu kłamać było to nie łatwo, plątał się język bardzo, tak, że podczaszyc nie mogąc dojść co się stało z Anusią, domyślił się że mu całej prawdy dla czegoś powiedzieć nie chce. Różne myśli przesuwały mu się po głowie, wąż zazdrości ścisnął serce — kilka dni chodził smętny — dumał, wzdychał, ale piękne oczy wojewodziny spędziły te chmury z czoła.

Potem Sieniński z rzadka go widywał tylko, a choć pierścionek Anusin jeszcze mu ją przypominał, choć chwilami niepokoił się o nią, nie miał czasu wśród roztargnień tyłu, stalej, dłużej o niej pomyśleć.

Anna od przybycia wiodła życie prawie zakonne, z ojcem, stryjem i nie wielu jego znajomymi. Szczęściem w ich liczbie był znakomity swego czasu człowiek, ksiądz Spirydjon kapucyn, który z młodości będąc znajomy z Sienińskimi, czasem ich odwiedzał i chwilę spędzał z nimi.

Człowiek to był ze wszech miar poszanowania i czci godzien, jako kapłan i jako obywatel. Otaczała go wielka powaga, jaśniała do koła niego świętość i najbezbożniejsi nawet plamy na nim upatrzeć nie mogli. Schorzały, kaszlający, sił nie wielkich na pozór, duszą umiał to mizerne i umartwieniami zniszczone ciało podnieść, tak że więcej znosił osłabiony i wątły, niżeli najwytrwalsi jego towarzysze. Oprócz praktyk religijnych spełnianych najściślej, znoszonego głodu, chłodu, dyscyplin, włosienic, pracy spowiednika i kapelana więzień — jako poradnik dusz wielu bolejących, od rana do nocy wzywany, rozszarpywany, nie miał godziny spokoju. Często spoczywającego przed krucyfiksem w celi, doganiali i tu najznakomitsi ludzie owego czasu — w których jeszcze iskra wiary nie dogasła — by się go poradzić, by siły zaczerpnąć. Serce i rozum jego, rozplamiona i czynna wiara podniosła była do tak wysokiego stopnia, do jakiego ani geniusz, ani wychowanie nie są w stanie dźwignąć innych. Prostaczkę wedle słów mędrca, więcej i jaśniej widział od pogańskich filozofów ówczesnego świata. Wejrzenie jego głębokie, obejmowało, rzecz można, samą treść żywota odrzucając jego lupinę i zdumionym często oczom pospolitych ludzi okazywało istotę samą, gdzie oni wśród zagmatwania, pozorów od rzeczy rozróżnić nie mogli.

Spokojnego umysłu, pogodnej twarzy bladej, zawsze uśmiechniony jakby w Boga patrzył, bo w dziełach Jego widział rękę wszędzie, ojciec Spirydjon nie był jednakże bez związku z wiekiem wśród którego żył i urosł. Nie pobrażał on mu, ale czuł że potrzeba zbliżyć się do chorego by go leczyć, nie unikał więc ludzi, łagodnie przystępował do zranionych, nie gromił i nie groził, ale pociągał dobrocią i światłem którego mu udzielało natchnienie.

Świętobliwego owego człowieka znała naówczas cała Warszawa jako opiekuna więźniów, jako dysponującego skazanymi, protektora ubogich, a massoni, illuminaci i filozofowie ówczesni poklaskiwali mu nawet, widząc go bez różnicy wspierającego i cieszącego katolików, żydów, protestantów, i wszelkich ludzi bez różnicy wiary i stanu.

Był to prawdziwie duchem Chrystusowym ożywiony kapłan, bo serce jego dawno rzuciło na progu celi wszelkie uczucie nienawistne, wszelki wstręt i gniew — zdawał się kochać świat wielką miłością w Bogu, a kochać go tak, że gromić nie umiał, że nic sercem jego inaczej jak litościwie wstrząsnąć nie mogło.

— Mój ojcie — mówił mu jeden dygnitarz koronny i dygnitarz łoży św. Jana, warszawskiego wschodu, żartując trochę — co się to wy szkarad, zbrodni i plugastwa nasłuchacie spowiadając tylu lotrów!?

— Zapewne — odparł z pokorą kapucyn — ale ja nie samych spowiadam delikwentów, i przyznam się panu dobrodziejowi, że mnie nigdy nie wstrząśnie tyle spowiedź zbrodniarza stojącego pod szubienicą, ile wyznanie szkarad od tych co chodzą wolno! więcej grzechu na ulicy niż za kratą!

Lud kochał księdza Spirydjona, lubili go i poważali panowie, choć jednym i drugim prawdę mówił. Nie mógł przejść kilka kroków, żeby go w ręce nie całowano i nie błogosławiono głośno, a byli tacy co zawczasu świętym go mieniąc, o cudach jego przebąkiwali. Podniosło jeszcze popularność jego jedno słowo litości, wyrzeczone w sprawie podskarbiego, z którego później ktoś piękny wziął assumpt do gorącego wiersza. Kościoły puste podówczas, na rzadkich jego kazaniach napchane bywały, bo mówił je po staropolsku, wprost od serca, nie bez dowcipu, a tak żywo, tak gorąco, że najobojętniejszymi wstrząsał.

Ksiądz Spirydjon wiek swój pojmował jasno, widział wszystkie jego wady, bolał nad niemi, ale miał nadzieję w miłosierdziu Bożem; gdy inni nad upadkiem wiary jęczeli, grożąc że po Wolterze nie powstanie chrześcijaństwo — on sobie z uśmiechem mówił:

— Nie bójcie się, zginie to plugastwo, wszystko przejdzie, a prawda świecić musi. Nie bójcie się o wiarę, lękajcie raczej o siebie.

Zresztą, co wiek ów dla ludzkości przynosił prawd nowych, mimo wiedzy jego, z łona wiary na którą bluźnił, dobytych, to nasz kapucyn przyjmował jako dar Boży, umiając rozróżnić w steku myśli niesforne splecionych, złote pasma idące z góry.

Że nietylko zbrodniarzy nawracał, ale i najzatwardziały grzeszników usiłował opamiętywać — często w tym celu odwiedzał takich którym słowo Boże z ust jego potrzebnem mu się zdawało. Za takiego właśnie w grzechu zakutego miał ks. Spirydjon pana Kaspra, a związany z nim będąc od młodu, próbował do ostatka uleczyć go z namiętności brzydkiej, w której z wiekiem brnął co raz głębiej. Często zaglądał do jego mizernej izdebki, często z nim posiedział, a po bytności jego stary ponuro się i smutnie zamyślał.

Zaraz po przyjeździe Anny w dni kilka, zjawił się kapucyn po południu w progu izdebki pana Kaspra, z wesołem:

— Niechże będzie pochwalony...

Obejrzawszy się potem:

— A co tu? u waści najazd jakiś? goście? czyś kogo przyjął w komorne?

— To brat mój Jan — rzekł Kasper całując księdza w rękę i usiłując zakryć boscie nogi, za które ksiądz Spirydjon nie raz lajał — kochanych, dobrodzieju, mam gości.

— I przyjmujesz ich po swojemu, bosaka! — zaśmiał się kapucyn — oj! niepoprawiona natura!

— To z powodu nagniotków, ojcie dobrodzieju.

— Ba! ba! znamy te nagniotki! każdy ma takie nagniotki panie Kasprze, przeszlą razą mi mówileś żeś uczynił votum, a teraz...

Kasper spuścił głowę.

— Wstydz bo się waść — dodał cicho staruszek śmiejąc się ciągle — czyż taki do końca nie wydobędziesz się ze szpon tej brzydkiej pasji?

— Cicho jegomościuniu! cicho! — zawołał Kasper przerażony — a nuż moi goście posłyszają, pomyśleć gotowi żem skąpiec a zatem bogaty...

Kapucyn się rozśmiał i usiadł spocząc na zydelku.

— No! to się waści chwali, żeś jak widzę brata przyjął!

— A cóż, musiałem ojcze, i nie mało mnie to kosztować będzie... zrujnują mnie trochę.

— Cicho, nie mów o koszcie i wydatku. A liczysz waść jak ci serce za to płaci! ha? Wstydz się panie Kasprze! a teraz prowadź mnie do Jana, trochę go znam.

Podniósł się staruszek i wyszedł z Kasprem, który szybko wdział buty, do wielkiej izby zajętej przez Jana i Anusię.

— Niech będzie pochwalony — powtórzył na progu — witam was dzieci moje! Stary przyjaciel Sienińskich; mości marszałku coś widzę poznać mię nie chcesz? A ojciec Spirydjon! widzisz. To musi być córka waszecina! Niechże ją Bóg błogosławi!

Anusia przyszła go pocałować w rękę.

— Dobrzeście zrobili żeście tu przyjechali, ot stary pan Kasper trochę odżyje. A cóż w Warszawie myślicie, bo się tu pewnie próżnowaniem bawić nie będziecie?

Stary wytłómaczył się księdzu, że jemu sił do pracy niestarczyło, a Anusi zajęcie się domem, kuchnią i gospodarstwem — wszystek czas zabierze.

— Każdy niech pracuje jak może, aby z Bogiem, wszystko dobrze, wszystko Bóg przyjmie. Bez krzywdy bliźniego, bez uszczerbku na duszy, w imie Pańskie aby dalej, aby bliżej do uroczystej godziny.

Anusia z rozkoszą słuchała starego kapucyna, którego pobożne słowa przypominały jej żywo starość, by były w tymże duchu, i płynęły z jednego źródła, z serca. Ucieszyła się ujrzawszy starca, bo przeczuwała że los opatrzny go zsyłał w pomoc bezsilnej. On też z zajęciem spojrział na dziewczkę, w której oczach i na jasnym czole czytał myśli chrześcijańskie i pobożnego ducha.

To spotkanie było dla Anny jakby pierwszym stopniem do dopięcia celu; marzyła już że przez rady ks. Spirydjona, przez tych których on znać musi, trafi jakoś do podczaszka i tę duszę już nad przepaścią stojącą, na inną zawróci drogę.

W kilka tygodni potem przyszedł znów ks. Spirydjon, a zastawszy spiącego pana Kaspra, przyszedł do Anusi, na ten raz samej. Skorzystało z tej chwili dziewczce i rzuciło się do nóg starcowi, przeląkł się nieco zrazu kapucyn, myśląc, że straszliwe jakie usłyszy wyznanie, bo i lży towarzyszyły niewinnej spowiedzi, ale ochłonął powoli, gdy Anna potrzebująca się zwierzyć komuś, wylała przed nim całą swoją duszę, opowiedziała mu życie, dzieciństwo, młodość, wychowanie, opiekę starościny, przywiązanie swe do Michała...

Wyznanie było jak spowiedź szczere i całkowite; nie utaiła nic, powiedziała nawet o snach w Głuszy, o myśli co ją tu przywiodła.

Starzec słuchał ją z rozczuleniem rzewnym.

— Dziecko moje — rzekł — obrachuj się czy cię tu krom nadziei ratunku, nie przywiodła, acz niewinna miłość ku niemu?

Anna spuściła oczy.

— Wiem że nie mogę i nie powinnam go kochać, odpowiedziała, ale nie mogąc być niczem dla niego, chcę przynajmniej ratować go w jednej chwili życia. Potem gotowam wstąpić do klasztoru.

Staruszek głową pokiwał.

— Zawsze pocziwe to myśli twoje — rzekł — ale jakąż ja ci dam radę? Słyszałem nieco o Ordyńskim, wpadł w wielki świat i należy do tych do których kapłan nie ma przystępu, bo od niego uciekają.

Proś Boga, modlitwa wiele może, a jeśli się zdarzy sposobność ratować go w jakim złym razie, jam ci gotów w pomoc. Sama nie rzucaj się na niebezpieczeństwo, byś nie upadła... Słabą jesteś. Upaść łatwo, dziecię moje, cóż dopiero w walce, w której ufna i pocziwa niewinność z jednej, a rozwiążłość obojętna z drugiej strony.

Pociechą jakąś i ufnością napełniło się serce Anny po zwierzeniu kapucynowi, który ją z uczuciem odchodząc pobłogosławił.

Nazajutrz zaraz trafem zobaczyła podczaszyca w kościele, dokąd przybył w ślad za piękną wojewodziną; skryta za konfesjonał przypatrywała mu się, a srogi ból cisnął serce. W oczach jej tak się odmienił! powiew miasta uniósł z sobą świeży rumieniec, pogodę oka młodego, ust wesele, czoła jasność — piękny był jeszcze, ale w nim czuła Anna jakby rozhukane zwierzę, jakby oszalałego i pijanego... Zmartwiła się widząc go w kościele obojętnym na Boga — śmiał się, chodził, stawał, przypatrywał, siadał, szeptał, był jak na widowisku i ani na chwilę, ni razu, nie podniosła się myśl jego i serce ku temu co świątynię napęlniał, niewidzialny dla niego.

Zapłakała ścigając go oczyma, podającego z uśmiechem rękę pięknej damie, z którą od pół kościoła szeptać poczęli do siebie nadto poufale.

IX

Jakie tam myśli snuły się po chorej głowie podczaszyca, w chwili gdy okryty ciemnością wieczora i chmur, obłany deszczem i migoczącymi niekiedy na niebie błyskawicami, stał i czekał z krwią zimną na wydarcie życia człowiekowi? — nie wiem... Są to godziny, w których jak przed śmiercią całe życie zarysowuje się szybko na tle wyobraźni, w których się przeżywa na nowo całą swą minioną przeszłość, uczuwa co kiedyś czuło, przypomina, żałuje... serce bije, myśl się płacze, żal na przemian, bojaźń i znowu szal ogarnia.

Czas znika — wiek i minuta równemi się zdają, bo człowiek żyje w sobie, a świata zewnętrznego, tej skazówki godzin, nie widzi... Jedno uderzenie serca wydaje się wiecznością, drugie błysnięciem tylko, choć oba przeszły równo — ból tylko i uczucie je mierzą.

Nagle — przed oczyma podczaszyca, który stał dysząc nieprzytomny, ukazała się wysoka postać w piaskowym płaszczu... ręka zadrzała.

Błysnęło, poznał Rybińskiego o trzy kroki od siebie, starościc widać postrzegł go także, bo się chciał cofnąć, ale nim miał czas zawrócić, przyskoczył Ordyński, i przyłożywszy mu krucicę do piersi, wystrzelił. Starościc krzyknął, chwycić się chciał za mur rękami, posłonił i upadł.

W tej chwili jakby zasłona jakaś spadła z oczów podczaszyca — ostygł, ujrzał przed sobą trupa, ciekącą krew, załamał ręce i stanął skostniały. A tuż i lud gromadzić się począł i wrzawa powstawała do koła. Ordyński nie miał siły nawet uciekać. Uczuł tylko że go ktoś chwycił za rękę i zwawo cisnąc przez lud z nim uchodził, ale dokąd? kto? nie postrzegł.

W duszy wilo się, powtarzało, tętniło jedno tylko słowo:

— Zabiłem! zabiłem!

Śmiech nareszcie straszny, przez tę wrzawę myśli dobił się do jego uszu.

— Podczaszyco — rzekł przewodnik — dokąd się teraz udać myślisz? — Zabiłeś Rybińskiego, potrzeba uciekać — mów co mam z tobą zrobić?

Ordyński stał jak słup.

— A! co to za dziecko — zawołał cavaliere — poprowadzę cię do Frascatelli, może tam odzyskasz przytomność i pomyślisz co zrobić z sobą.

Przejeżdżający fiaker zabrał ich obu, a ruch powozu dopiero i ulewny deszcz ćwiczący w twarze, bijące pioruny, burza gwałtowna, trochę oprzytomniły podczaszyca. Zakrył oczy, począł płakać, Fotofero ramionami ruszał.

Zajechali na Miodową, w dziedziniec, usłużny przyjaciel wysadził Ordyńskiego, wwiódł na wschody, otworzył drzwi, wepchnął do mieszkania a sam zniknął.

Służąca postrzegłszy podczaszyca zbroczonego krwią, która na suknie jego wytrysła, krzyknęła, sądząc z niej i z bledzi twarży że był raniony. Na głos ten z drugiego pokoju wybiegła przerażona tancerka, spojrzała, domyśliła się wszystkiego i przybliżyła niespokojna. On ją z lekka odepchnął.

— Nie tykaj mnie, krew — krew, jestem zbójcą...

Nieprzytomnego prawie kobiety posadziły na krześle, spojrzał po sobie, zobaczył plamy czerwone — i omdlał.

Włoszka pocziwa zapominając o sobie i swej słabości, poczęła go ratować, uklękła cucić, a służę posłała po doktora Beklera. Napisała także karteczkę do generała, wzywając go pilno do siebie i z nią na zamek chłopakowi iść kazała. Na klęczkach tak przed nim patrzyła nań, drżąc z boleści, nie mogąc doczekać się otrzeźwienia, bo choć oczy otworzył,

zdawał się nieprzytomny — odpychał od siebie, miotał się, a słowa z ust wyrwały się bezładne.

Po godzinie blisko takiej męczarni, zaturkotało w dziedzińcu, generał wpadł do pokoju i rzuciwszy okiem na podczaszycę, za głowę się schwyił.

— Gdzieś go złapał? — zawołał.

Widok Bauchera zdawał się zabójcę ochładzać, spojrzal mu w oczy.

— Na ulicy — odpowiedział z cicha.

— Strzeliłeś?

— Zabiłem go.

Stary pieczeniarski zmarszczył się gniewnie, niecierpliwie i ramionami ruszył.

— Ratuj-że się teraz sam, kiedyś dobrej rady nie słuchał — rzekł zimno — wiesz czym to pachnie, zabicie posła pod boki króla i sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską?

— Na Boga — przerwała Włoszka gwałtownie — tu nie czas grozić i wymówki robić, potrzeba go ratować.

— A co ja mu poradzę? — zawołał generał przechadzając się zakłopotany — umyвам ręce! umyвам ręce! jutro by mnie jeszcze do indagacji pociągęli. Upadam do nóg... Jedna jest rada a krótka, wziąć pieniędzy jak najwięcej i nie powracać do domu, póki sprawa się nie rozgłosi, uciekać jak najdalej. Rybiński krewny blizki biskupa kujawskiego, człowieka możnego, który poruszy wszystkich, a krwi swej nie daruje... Niema co myśleć, potrzeba uciekać.

— Ale ja nie mam ani passu, ani pieniędzy.

— Ja ci też ani jednego ani drugiego dać się nie ofiaruję — odpowiedział generał biorąc się do drzwi, sam będąc na oku, a grosza, słowo honoru — grosza przy duszy nie mam. Rób co chcesz a uciekaj.

Frascatella gniewnie ruszyła ramionami.

— Otóż to przyjaciel — zawołała — to przyjaciel. — Jeśli innych nad tego nie miałeś podczaszycu, toś biedny, bardzo biedny!

Ordyński siedział w krześle zadumany głęboko, gdy mu jak błyskawicą mignęła myśl, że Sienińscy mają dworek na Bednarskiej ulicy, i że oni by go może poratowali, gdyby się do nich dostać można. Nie chciało mu się uciekać z Warszawy, żelazny łańcuch nałogu przykuwał go do miasta, czuł że gdzieindziej żyć by nie potrafił.

Ochłonawszy nieco poczynął roić, że sprawa ta da się zatrzeć, byle zwlec stawienie się przed sądem i nie dać pochwyć. Zdawało mu się, że go nawet w Warszawie szukać nie powinni, bo pomyślą iż musiał uciec już dalej.

Pożałował nawet, że starego swego sługi Sienińskiego nie odwiedził kiedy, teraz by mu się wiadomość o mieszkaniu ich przydać mogła. A że posyłać i dowiadywać się niebezpiecznym było, musiał nie spuszczać się na nikogo, sam iść i szukać dworku.

Wstał więc po chwili z krzesła, narzucił płaszcz i chciał odchodzić, gdy Frascatella przybiegła z drugiego pokoiku niosąc w chustce co mogła znaleźć, ostatki ubogiego mienia, klejnociki i trochę grosza, (w myśli przeznaczone już na pogrzeb) — które chętnie oddawała podczaszycowi!

— Weź pan to — rzekła czepiając się go uparcie, na pamięć matki klnę ci się panie, że więcej nie mam, a to mi zupełnie niepotrzebne.

— Dziękuję ci, dziękuję — odpowiedział Ordyński z trochę dumy — bądź spokojna, mam pieniądze.

— Dokąd myślisz?

— Szukać przyjaciela! — smutnie odpowiedział podczaszyc.

Zadrzała Włoszka i przeżegnała go — chciała zatrzymać i ukryć, ale podczaszyc sam przypomniał jej że tu go szukać mogli najłatwiej, wiedzą że bywał u niej. Wybiegł żywo ledwie skinąwszy głową rozplakanej dziewczynie.

Pierwszy to raz od przybycia swego do miasta puszczał się tak sam jeden nocą w ulice, bez ludzi, bez powozu, zmuszony kierować się i radzić sobie, postrzegł się że prawie nie znał miasta, że niemal chodzić nie umiał, że i suknią jego i nogi do salonu tylko stworzone były. Ale konieczność popędzała — i szedł nie wiedząc dobrze dokąd idzie.

Deszcz lał jak z wiadra, potoki toczyły się rynsztokami, z rynien spadały kaskady, a pioruny warczały jeszcze w oddaleniu.

Podczaszyc po wielu obłądach, przesuając się pod ścianami, co chwila podejrzewając że go ścigają, na każdy krzyk drząc i przytulając się do muru, dostał się wreszcie na ulicę Bednarską, ale jak tu wynaleźć dworek Sienińskich? Zdawało mu się że lada słowo wydać go może, że poznają go po głosie i mowie, z postawy i sukni, nie śmiał nikogo spytać, najciemniejszymi przebierając się zakątkami. Wreszcie ulewa ciąga, ciemniejsza coraz noc, jakiś strach pozostania pod gołym niebem wśród snującego się ludu, zmuszając go szukać schronienia, wyrobiły w nim trochę odwagi — musiał się pytać kilku przechodniów, zbyli go niczem nie wiedząc o żadnym Sienińskich dworku; udał się do miejscowych i chodząc od wrót do wrót, doczekał nareszcie że mu wskazano niski domek, w którego jednym okienku gorzało blade światło. Tu do wrót trudno się znów było dostać, tak zawczasu zatarasował je pan Kasper z pomocnikiem swoim Hołodrygą, a że po nocy nie było praktyki by kto przyszedł, nie rychło usłyszał głosy dopytujące się czego chce.

Sam przeciw niemu wyleciał stary, niespokojny kogo tam licho niosło... i zdziwił się dowiedziawszy, że potrzebuje ktoś widzieć się pilno z panem Janem.

— Ale po co i czegoż po nocy, to i jutro przyjść można?

— Sprawa pilna, proszę otwierać, — proszę otwierać.

Jeszcze się wahał gospodarz obawiając złodziejów, aż podczaszyc zawołał mu przez drzwi, że tu o życie ludzkie idzie i żartować nie można.

Kasper zatrwożył się mocno, a że o życie szło nie o pieniądze, odważył się odryglować i wpuścił przybyłego, który zataczając się ze znużenia i niewprawy do piechoty, wpadł do dworku jak szalony. Za nim w ślad leciał pan Kasper.

W większej izbie na krzeselku drzemał pan Jan, a Anusia spokojnie modliła się na książce którą miała po starościnej, gdy drzwi się otworzyły i blady, krwią zbryzgany, w wykwinnym stroju, ukazał się na progu jak zjawisko podczaszyc.

Nie wiedząc o jej bytności w Warszawie, ujrawszy ją nagle, cofnął się, ona krzyknęła, tak niespodzianie go ujrawszy w tej porze. Sieniński przebudziwszy się oczy przecierał, nie mogąc zrazu zrozumieć gdzie jest i co się dzieje.

Anna jednak najprędzej odzyskała przytomność, i ze świecą podskoczyła przeciw niemu.

— Panie Michale! co to panu? zawołała.

— Co mi? rzekł opierając się o ścianę podczaszyc — który nóg nie czuł pod sobą i był jak w gorączce — co mi? Zabilem człowieka! muszę się kryć! ratujcie mnie!

Sieniński ręce załamał, Kasper pobladł, Anna ujrawszy krew, cofnęła się przerażona.

— Zabójca, zabójca — on zabójca! może to być o Boże!

— Ale kogoż zabiłeś pan? co się stało? zapytał ciągnąc go za suknie gospodarz.

— Posła Rybińskiego.

— Gdzie? w Jeziornej, w pojedynku?

— Nie — tu na ulicy.

Bracia spojrzeli na siebie z przestrachem, a pan Kasper odstąpił krok od przybyłego.

— Jak się to stało? jak się to stać mogło? spytał łamiąc ręce stary Sieniński.

— Obraził mnie śmiertelnie, strzelać się nie chciał, musiałem krwią zmyć obelgę — nie mam się gdzie skryć, jeśli wy mnie nie przytulicie, schwyćą mnie na gorącym razie, sąd będzie ciężki — na Boga skryjcie mnie.

— To gospodarz domu — rzekł pan Jan, aleśmy wszyscy słudzy waszej rodziny i dla niej poświęcić się gotowi, niema co myśleć, znajdziesz pan przytułek u nas, ale czy będzie bezpieczny?

— Ubodzyśmy ludzie, dodał Kasper, dachu nie poskąpim, a zresztą spuszcza się na wspaniałomyślność pańską! I schylił się do kolan podczaszyc.

— Dziękuję wam — a! dajcie mnie odetchnąć! biegłem pieszo! czuję się słabym!

Anna przyniosła mu krzesło, znużony padł na nie płaszcz spuszczając z ramion, głowa schyliła się mu na piersi, i pozostał tak, bez ruchu, bez słowa, głazem.

Dopiero w kilka godzin odzyskał krew zimniejszą, opamiętał się, rozmyślił i przywołał starego Jana Sienińskiego żeby go wysłać na zwiady, a razem po pieniądze i klejnoty które w domu zostawił.

— Bądź jednak baczny, dodał — żadnemu z ludzi nie mów gdzieś mnie widział, o zdrajców nie trudno. W karteczce którą daję do Frejera, piszę, że jestem na gościńcu

i pojedą dalej jak tylko powrócisz. Być może że w ślad za tobą pójda, nie wracaj więc wprost do dworku, ale złóż co odbierzesz na Miodowej ulicy.

Dał mu adres do Frascatelli.

Pan Jan mimo spóźnionej pory, wywoławszy Hołodrygę, który kłął drzwi otwierając znowu, poszedł zaraz. — Kasper zasunął się do swej izdebki, rozmyślając czy mu ta awantura nie mogłaby przynieść jakiej korzyści, Anna została z nim sam na sam.

Ale on tak był w początku zajęty sobą i swem położeniem, że na nią i razu oczu nie zwrócił. Ona tymczasem w milczeniu smutnem przypatrywała się towarzyszowi lat dziecinnych, dziś tak dziwnie zmienionemu w krwią oblanego zabójcę. Strój wytworny który go okrywał, splamiony śladami morderstwa, był symbolem stanu jego duszy. Twarz nosiła ślady burzących namiętności, które nim wstrzęsły i przeistoczyły młodzieńca w zużytego prawie starca — ani śladu nie było już wesołości, uśmiechu, pogody dawnej, a dziś snuła się jeszcze zgryzota i strach po ścieżkach wydeptanych szalem i rozpustą.

— A! nie tak! nie tak! spodziewałam się go ujrzeć znowu, mówiła w duchu Anusia — o mój Boże! jeśli tam z góry pada nań wejrzenie starościny, jak-że ona cierpieć musi. Zapomniał wszystkiego, ledwie spojrzał na mnie, ledwie się zdziwił gdy mnie zobaczył! Biedny Michał!

Podczasyc podniósł po chwili oczy ku niej, spojrzał zadumany i twarz jej przypomniła mu chwile, po których żal odzywał się stokroć, a teraz silniej niż kiedy zabiło serce i tęsknem rozkołysało się uczuciem.

Pierwszy raz może silniej pożałował tego co utracił — niewinności duszy, czystej, pierwszej swej miłości i chwil w zaciszu wiejskiem spędzonych, gdy jeszcze umiał modlić się, wierzyć, spodziewać. Dziś używając tylko zużył się, czuł próżnię w sobie, a z tego żywota gwarne, rokosznego, nic mu nie pozostawało nad kilka gorzkich, zatrutych wspomnień. Ani jednego przyjaciela, ni jednego serca! Wszystkie dłonie cofnęły się, wszystkie drzwi zamknęły. Żywiej przypomniawszy sobie życie w Głuszy, głos starej babki zdawał go się napominać i wyrzucać mu, że o Bogu zapomniał, że zapomniał o jej duszy... Uczuł w tej chwili że na piersiach jego wisiał razem z krzyżykiem babki, skromny ubogi pierścionek Anusi, który trafem jakimś tak długo z nim pozostał; zdawało mu się, że się przebudza z długiego snu przykrego.

— A! rzekł wreszcie — jakże wam dziękuję żeście mnie nie odepchnęli.

— Mógłżeś pan to pomyśleć i wątpić o nas? z trochę wymówki spytała Anna.

— Ja? wątpię teraz o wszystkim i o wszystkich...

— O kim pan chcesz, ale nie o nas, ale nie o mnie! dodała ciszej.

— Ale zkądże ty tu się wzięła Anno? — zapytał namyślając się — zdaje mi się, że ojciec dawał mi do zrozumienia że cię na wsi zostawił.

— Nie było potrzeby mówić panu o mnie! — odpowiedziała Anusia z westchnieniem — co ja mogłam pana obchodzić? Miałaś pan tu tyle nowych i miłszych ci znajomych!

Michał gorzko się uśmiechnął.

— Gardzę niemi wszystkimi — rzekł — miłsze mi dziś spojrzenie na pogodne czoło twoje Anusiu, niż wszystkich tych zalotnic uśmiechy!

O! ty nie znasz tego świata złożonego z atlasów i podłości! I dobrze ci z tem... I wojewodzina! — dodał bijąc się w czoło — i ona!!

— Kto ona? — spytała Anna niespokojnie.

— Nikt! nikt! nie pytaj! nie chcę uszu twoich walać opowiadaniem — muszę zapomnieć ich wszystkich, powrócę do Głuszy, żyć będę sam, nie cierpię tego świata!

— Taka zmiana od ranka? — cicho szepnęła dziewczyna — ja jej nie wierzę panie Michale, gniew mściwy mówi przez ciebie; byle by ci się uśmiechnęli, powrócisz do nich.

— Nigdy!

Wtem zapukano do bramy.

— To musi być mój ojciec — zawołała Anna — potrzeba mu biedz otworzyć.

Hołodryga też śpiący tylko jednym okiem, wypadł z budy, klnąc niezrozumiale, nie mogąc pojąć co się dziś w spokojnym domku stało, i pytając — kto tam? kto tam?

— Wywołajcie mi do wrót tego pana, który tu nie dawno przyszedł! — odezwał się głos jakiś.

Ale Hołodryga lajał i kłął nie myśląc słuchać, gdy Anna przypadła do furki.

— Niema tu żadnego pana — odpowiedziała poznając po głosie obcego — dajcie nam pokój!

— Czyj to dworek, Sienińskich, a więc musi być u was Ordyński.

— Nie wiemy o żadnym, obcych tu nie ma, idźcie z Bogiem, snu nam nie przerywając.

— Proszę mi podczaszyca wywołać — powtórzył głos — to nie są żarty, ja się z nim widzieć muszę, powiedźcie mu, że przyszedł do niego ten, który go prowadził na Nowolipie...

Chociaż głos nieznanego bardzo przykro brzmiał w uszach Anny, poszła jednak z poselstwem do podczaszyca, który domyśliwszy się cavaliera, pobiegł do wrót.

W istocie był to Fotofero, który otworzoną wcisnąwszy się furtką, stanął przed nim z dość pochmurzoną twarzą.

— Jakżeś się dowiedział że tu jestem? — zapytał Ordyński.

— Jak? ja wiem wszystko — odpowiedział zimno przyjaciel — i źle że pan tu jesteś! — rzekł prawie z gniewem.

— Dla czego?

— To nic nie warte schronienie, ulica zbyt bliska miasta, ktokolwiek w oknie cię zobaczyć może, dowiedzą się, wyspiegują. Nie chcę żebyś tu pozostał.

— Dla czegoż? — odparł podczaszyc trochę urażony tonem rozkazującym — to ostatni mój przytułek, innego nie mam i mieć nie mogę.

— Ja jutro, nie dalej, wynajdę panu ustronne, pewne i wygodniejsze mieszkanie. — Tu źle, źle, różni bywają! tu pan pozostać nie możesz!

Mówiąc to, stuknął nogą i laseczką cavaliere z widocznym nieukontentowaniem, podczaszyc się wahał i rozmyślał.

— O tem potem — rzekł — co się dzieje w mieście?

— Nic nie wiem! nie byłem nigdzie, idę szukać mieszkania, bo nie pozwolę być pan tu miał zostać.

— Ale dla czegoż? — zniecierpliwiony odezwał się Ordyński — ja się tu czuję bezpiecznym.

— Mam moje przyczyny, z których tłómaczyć się nie mogę.

— A ja przyczyny dla których chcę pozostać.

— Może Anusię! — rzekł szydersko Fotofero.

— Bez żartów! — z gniewem odpowiedział podczaszyc — bez żartów, proszę tem imieniem, które nie wiem jak się do pańskich ust dostało, nie szastać.

Cavaliere zdjął kapelusz z udaniem uszanowaniem, i odpowiedział:

— *Honneur aux dames!* a zatem spytał po przestanku — mam szukać mu mieszkania, wynosisz się pan czy nie?

— Nie widzę potrzeby, tymczasem wszystko co zwraca oczy na ten dworek i pańska tu bytność, naraża mnie. Dobra noc, rozejdźmy się.

— Do jutra — rzekł kwaśno Fotofero — ale potrzeba się wynieść! Musisz pan wynosić się ztąd! — To mówiąc, wybiegł zatrząskując furtkę za sobą, z ogromnym łoskotem zapadającą za nim, jakby nią olbrzymia cisnęła ręka.

Hołodryga na ten stukot wyleciał z gniewem, krzykiem i kijem, ale już nikogo nie znalazł i palnął ze złości we drzwi zamknięte.

Podczaszyc wielkimi krokami przechodził się po izbie poglądając na Anusię.

— Bywa u was kto? — zapytał.

— U nas tak jak nikt.

— Ale przecież macie znajomych?

— Kilku mieszczan i kupców do pana Kaspra przychodzą.

— A z kobiet?

— Nikogo.

— Będę tu bezpiecznym?

— Nie wiem gdzie lepiej ukryć by się można — żywo zawołała Anusia — jest pokoik na boku, a o zamieszkującym go żywa dusza prócz nas wiedzieć nie będzie. Wprawdzie nie tak tu wygodnie jak w Gluszy — i smutno! trochę czuć więzienie, a wzrok kraty rozcinają, ale cicho i bezpiecznie.

Znowu zastukano do drzwi, a w chwilę potem wszedł smutny i zamyślony stary Sieniński. Z twarzy już jego widać było że złe przynosił wiadomości, otarł pot z czoła zmarszczonego.

— Co mi przynosisz? — zapytał podczaszyc — nadewszystko proszę nic nie ukrywać przedemną. Co mówią? czy Rybiński żyje?

— Żył jeszcze przed chwilą, ale doktorowie mu żadnej ocalenia nie robili nadziei.

— Czy szukają mnie już w mieście?

— Dom był ostawiony ludźmi marszałkowskimi, trzęsiono go już. Straż była także w kilku innych domach i na Miodowej u tej... — dodał starzec krztusząc się — u tej... jejmościanki.

Anusia spojrzała na ojca i zbladła.

— A w mieście? co mówią w mieście?

— Mówią powszechnie żeś pan ujechał, ale kazano ścigać, Rybińscy naznaczyli podobno za schwytanie jakąś nagrodę — król już o wszystkim wie, biskup z płaczem zaraz do niego poleciał, domagając się surowego ukarania. Obiecano mu że morderca oddany będzie w ręce sprawiedliwości...

— Nikt cię o mnie nie pytał? a w domu? co się dzieje w domu?

— W domu! — ruszając ramionami rzekł stary — sądny dzień, Frejer klnie i głowę traci, wierzyciele oblegają, słudzy się porozbiegali, każdy coś pochwycawszy, ledwie resztki ocaliłem z komody do której mi pan klucz dałeś, i tego mało mi z rąk nie wydarto.

— Jenerał Baucher tam nie był?

— Nikogo prócz kupców.

— Byłeś na Miodowej?

— A! na Miodowej — byłem, tam zostawiłem wedle rozkazu co się uratować dało... ale to trzeba będzie rychło zabrać ztamtąd, bo ta panienka tylko co nie widać jak umrze. Doktorowie tam koło niej tańczą, i księdza już wołano.

Podczaszyc westchnął, Anna zabolala nad tą nieznaną umierającą.

— Albo jej nigdy nie kochał — rzekła w duchu — lub nigdy serca nie miał, ona teraz kona, a on tu się kryje. O! to by było niegodnie! Wolę myśleć, że jej nie kochał, bo bym się nim brzydzić musiała, ale jakież to były ich stosunki?

Na tym skończyła się rozmowa ze starym Sienińskim, a że późno już było w noc, a wszyscy czuli potrzebę spoczynku, Anna wzięła się rozporządzać, sama z ojcem przenosząc się do alkierzyka, a podczaszycowi po rozmyśle zostawując równie bezpieczną i wygodniejszą wielką izbę.

Podczaszyc ujrzał się w kilka minut sam jeden w posepnym mieszkaniu, za kratą, u mizernego łoża, przy nagiej ścianie; zamiast obrazów rozkoszy i sprzętów zbytkowych, czarny tylko krucyfiks mając przed sobą... Na stoliku dogorywało światło, w izbie dusiło go powietrze ciężkie, a po głowie cięższe jeszcze snuły się myśli... na sukni, w oczach, miał ciągle przyschlą krew, krew człowieka!

Oka też nie zmrużywszy Ordyński rzucił się na krzesło, i tak w dumach i żalach całą noc przepokutował, to chodząc, to bezsilny spoczywając.

Blady brzask dnia wschodzącego, który powitały dzwony, przekradł się nareszcie przez kraty, dźwięk ten zdawał mu się już pogrzebowym biciem na zgon Rybińskiego.

X

Następnego dnia, Jan Sieniński wyszedł zawczasu na zwiady, bo niespokojny podczaszyc prosił go na wszystko by mu pewniejszą dał wiadomość o Rybińskim.

Starzec znalazł już na rogach ulic poprzylepiane paszkwile nocne, w których zbryzgane krwią i błotem, wałało się pocziwe imię Ordyńskich. Ze zgrozą, ze smutkiem zdarł z nich parę i westchnął płacząco nad losem co podawał w pośmiewisko ostatniego potomka rodu zasłużonego i czystego dotąd... Ale z wierszy tych dowiedział się także Sieniński że Rybiński żyć jeszcze musiał, śmiertelnie tylko będąc postrzelony. Między mieszczany i przekupniami chodziły dziwne i jak zwykle przesadzone wieści, z których nic złożyć nie było podobna. Stary wedle zlecenia podczaszycy poszedł pod Krakowską bramę do Orlandiniego z pełną tabakierą umyślnie kupionej na to rapy, aby się od niego coś pewniejszego dopytać.

Żebrak już był na swoim stanowisku, wypił świeżo kawę, ręce na żołądku skrzyżował i w błogosławnym spoczynku z góry poglądał na mijające go mrowie ludu. Wygodnie ułożywszy nogi na słomiance, parasol przygotował z boku na wypadek deszczu, siedział sobie Orlandini jak pan ulicy, wygrzewając się na wiosennym słoneczku.

Pan Jan wiedział już z kim miał do czynienia, znał że cudzoziemiec choć próżniak i żebraczysko a dumny, schylił przed nim czapki i wszedł w rozmowę rapą.

Orlandini pogardliwie rękę wyciągnął i raczył zażyć.

— Dobra tabaka! — rzekł — a dajcie no jeszcze raz!

— Proszę, proszę — odpowiedział Sieniński.

— Piękny dzionek!

— Ślicznie po wczorajszej burzy.

— Spodziewam się, że król powinienby wyjechać do miasta, nieźle by było, rzadko teraz się ruszy, z powodu sejmu... a jeszcze no tej rapy.

Sieniński stał z tabakierką otwartą.

— Słyszał pan co o zabójstwie posła Rybińskiego? — spytał nieznacznie.

— Nie zabity! nie zabity! — rzekł Orlandini z pewnością — widziałem się wczoraj z dworzaninem księcia biskupa kujawskiego, ranny ciężko w piersi z lewej strony, ale mówią że wyżyć może. Zabójcy słyszę surowo poszukiwać nakazano, ale myślę, że do tej pory uciec musiał... Ale ba! nie chciałbym mieć jego głowy na karku!

— To paniątko! znajdzie się kto co się za nim ujmie i nic mu się nie stanie.

— Wszelako, wszelako — rzekł Orlandini, zażywając ciągle — choć mówią, że i król go protegował, bo się podobno w matce jego kochał, zbyt ni szal młodzieży chce poskromić i dać przykład. Pod bokiem sejmu — a to poseł!

— Nie znaliście podczaszyca? — spytał Sieniński.

— I owszem! chłopiec się był utresował u nas, niczego! Słyszę, kobiety za nim szalały, ale pod koniec źle o nim mówiono, szulerował, brzydka rzecz...

Pan Jan aż zbladł, tabakierka zatrzęsała mu się w ręku. Orlandini popatrzał mu w oczy.

— A co waści? — spytał.

— To tak, drzączka.

— Szkoda by rozsypać tabaki... dajcie no mi jej trochę do mojej tabakierki, wcale dobra!

— Chętnie, chętnie, ale byka za indyka, gdybyście też mi zrobili jedną łaskę, która was nic kosztować nie będzie?

— O ho! a co to waści potrzeba — dumnie zagadł Orlandini — widzę, że nie bez interesu przyszła ta rapa do mnie.

— To bagatel.

— Chcesz mnie widzę przekupić! no! no! gadaj.

— Będziecie dziś pewnie widzieli jenerała Bauchera, gdybyście oddali mu ten bilecik.

Orlandini pocmokał, popatrzał...

— Jaki waszec mądry! — rzekł — za rapę! A ba! oddają się to bileciki, ale nie za niuch tabaki. Ja muszę żyć, i dobrze zjeść i dobrze się napić, mnie życie kosztuje, a kto się mną posługuje, niechże karmi!

— Cóż by to kosztowało? — spytał się pan Jan biorąc się do sakwy.

— Co? to jak od kogo, — rzekł żebrak. — A od kogo list? mów waści!

— Od jednego z przyjaciół jenerała.

— Ba! ba! z przyjaciół! ma on i przyjaciółki! Daj waćpan tę rapę do tabakierki, to od podczaszyca pewnie! Dodasz jeszcze talara; wiem, że dukat by się należał, ale teraz musi być goły.

Sieniński westchnął, wyszukał najgładszego talarka i wcisnął go z biletem w rękę żebraka. Orlandini obojętnie wziął pieniądz, w szeroką kieszeń zielonej zbrukanej kamizoli wrzucił, bilecik w drugę, wysypał rapę do dna, założył znów ręce na brzuchu i kiwnął głową Sienińskiemu, jakby mu mówił:

— Bywajże asan zdrów, więcej już rozmawiać nie myślę.

Sieniński pociągnął potem na Miodową do Frascatelli, u której wczoraj zostawił pieniądze i klejnoty podczaszyca. Zastał tu od wczora siedzącego doktora Beklera, a chorą ledwie z życia ostatkiem.

Przededrwi słyhać było wśród ciszy ciężki oddech jej piersi i głos słaby, którym zegnała przytomnych.

Nie wiele ich tam było teraz: pocziwy lekarz, dwie kobiety, służąca, nikogo z dawnych czicieli. Ujrawszy starego, Włoszka podniosła się jeszcze, oddała mu klucz wskazując szufladę kantorka, i szepnęła rozczulona.

— Pożegnaj pan go odemnie, wątpię żebyśmy się już zobaczyli na tym świecie. — Łzy potoczyły się jej z oczu a doktor milczenie nakazał.

— Do czego to? — spytała nieposłuszna — czyż i tak umrzeć nie trzeba... ja to czuję, że nie wyżyję. Naprózno doktorze trzęsiesz głową... Matka tam na mnie czeka, a was i świata nie żałuję! tak mi tu było ciężko w wieńcach róż na skroni i w czczych oklaskach jak w kajdanach, jak w przeklęstwie. Może choć z góry zobaczę jasne niebo Italji i sine morze nasze i rozkwitłe pomarańcze i laury, a dojdzie mnie śpiew rybacy z nad wybrzeży...

Zamknęła oczy, zdawała się marzyć, tak, że stary Sieniński, który długo mimowoli wpatrywał się w śliczną jej, jak marmur bladą twarzyczkę, niepostrzeżony na palcach się wymknął ze zwilżoną powieką.

— A! mój Boże! mój Boże! — rzekł do siebie wyrrywając się na miasto — jakie to ich tutejsze życie! Człowiek głowę traci! wrzawa, pisk, jęk, ten umiera, ten się kocha, ów szaleje i zabija. Ani chwili spoczynku, żebyś jak chciał się zdrzemnąć! Sfikсовать tu trzeba! nie lepiej żeby na wsi siedzieć i po prostu Pana Boga chwalić?

Powolnym krokiem posuwał się dalej pan Jan dla sprawdzenia wieści o Rybińskim, ku ulicy na której było jego mieszkanie; zdala już łatwo dom rozpoznał, bo przed nim stało karet kilka i ludzi dosyć. Powoli idąc zaczepił to tego to owego, udając prostego ciekawca, choć dosyć niezręcznie, bo co chwila wzdychał. Nareszcie dwie żywo ugadujące się kumoszki we wrotach kamienicy, wprost na przeciw domu Rybińskich, uczyniły mu nadzieję, że się czegoś dowie.

Zdala już słyhać je było mielące szybko językami, zastanowił się przy nich z ukłonem — dzień dobry.

Spójrzały nań z ukosa.

— A cóż słyhać? — spytał — czy taki umarł?

— Ale nie! — odpowiedziała jedna.

— Nie, nie — dodała druga, prześcigając się w opowiadaniu — doktory tylko słyseż rozcięli mu het piersi, kulę wyjęli, a że była w samym sercu, potrzeba było i serce zaszywać czerwonym jedwabiem.

— I cóż, będzie żył? — spytał pan Jan.

— Słyseż będzie, ale serca to nie wiele mu się zostanie, ono kawaleczek.

— Osobliwość — dodała druga — a to dawniej powszechnie gadali, że byle człowieka choćby szpilką zakłuć w serce, musi skończyć, a tu teraz tacy doktorowie że i do serca się dobiorą, i zaszyją, i nic.

— To przez to — zaczęła pierwsza po cichu — że choć synowiec czy coś biskupa, ale taki był słyseż farmazon, a farmazon choć siecz, choć pal, nic mu nie będzie... Był taki farmazon, i widzieli nawet że chodził do ich tego Łoża... Gdyby tak pocziwemu katolikowi, nie daliby rady, ale oni mają swoje sposoby!

Druga tylko ruszyła ramionami.

— A wszystko to poszło przez miłość — dodała — oba się w jednej pokochali; z tym co do niego strzelił, w jakiejś farmazonce, a ta słyseż obu durzyła, aż z wielkiej zazdrości tamten mu śmierć chciał zrobić. Co to słyseż była za kula!

— Mówią — przerwała pierwsza znowu — że się to pokłóciło przy kartach.

— Tak, ale to bez miłość poszło — kończyła druga — najpewniejsza rzecz... nawet słyseż ta farmazonka z desperacji po Rybińskim mało nie szaleje, choć ma męża, ale to u tych pań mąż to jak trzynózek, na to jest, żeby na nim postawić kochanka.

Dłużej już nie mając się tu czego zabawiać i będąc pewien, że Rybiński żyje, pan Jan ruszył na powrót ku dworkowi.

XI

Późną nocą generał Baucher, któremu się mimo bileciku naglącego podczaszyca, bardzo nie chciało widzieć z tak podejrzanym, a do tego gołym w tej chwili jegomością, uznał jednak koniecznym odbyć tę pańszczyznę i znalazłszy Kaspra Sienińskiego u Krakowskiej bramy, czekającego, by mu wskazać dworek, poszedł z nim pieszo.

Wielki to był ze strony jego dowód przyjaźni, i stary pieczeniarsz głęboko rozmyślał nad tem w jak dziwnych okolicznościach stał go los pierwszy raz w życiu, zmuszając do odwiedzania dwóch ludzi zgubionych, księcia podskarbiego i podczaszyca.

Do tamtego dawne obowiązki przyjaźni, a czasem i król tajemnie posyłał, tu trzeba się było choć raz pokazać, żeby nie mieć sobie do wyrzucenia zbytku obojętności.

— Każda rzecz jednak — mówił do siebie idąc — ma swoją złą stronę! kto by się domyślał że ten podczaszyca, co tak się zdawał łagodny jak baranek, za te wieczorki i obiady w takie mnie teraz wpędzi tarapaty. — Głupie życie! głupie życie! Ale bo i nadto doprawdy się poświęcam! Taki byłem całe życie wylany dla drugich! — I westchnął Baucher litując się nad sobą.

Jakkolwiek spodziewany, generał zszedł podczaszyca z Anusią, i zobaczył ją nim potrafiła umknąć.

— Patrzajcie — rzekł w duchu — ślicznie pokutuje, szczer w serze! zazdrośnik, nigdy mi ani wspomniał o tym buziaczku, a to być musi dawna jego sekretna faworytka! jaki filut!

Z miną politowania pełną, ale dosyć kwaśną, generał przystąpił do dawnego swego pupila.

— Na Boga, co słyhać? co król mówi? — zapytał na wstępie podczaszyca.

— Król? — rzekł generał wolno — musisz już wiedzieć, że ksiądz biskup chciałby waszmości ćwiertować gdyby mógł, i gotów dowodzić że to gorzej niż zabójstwo, świętokradztwo tknąć księżego synowca. Chodził do króla z lamentem, król się gniewał, ale któż nie zna złotego serca? Mówił mi wieczorem wyraźnie, żebyś się skrył, a co lepiej uciekł, bo z sądami marszałkowskimi nie żarty.

— A w mieście?

— Szczerze ci powiem, interpretacje są różne i nieciekawe. Ten Cerulli ucieczką swoją całkiem sprawę popsuł, ludzie androny plotą.

— Domy mi pozamykali!

— Ale wiem — spuszczać głowę rzekł generał — to ze strachu, żebyś gdzie spotkawszy Rybińskiego awantury nie zrobił.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny.

— Nie byłeś u wojewodziny?

— Owszem, w rozpaczy biedaczka.

— Jakto! czego?

— A, po Rybińskim!

Podczaszyca ręce załamał.

— Po nim? jak to? z kąd-że się to wzięło?

— Z waści widzę wielkie jeszcze niewiniątko! — śmiejąc się odpowiedział Baucher. — Nie domyślałeś się nawet co się pokazało, oto, że pozornie cię na sznureczku trzyma, aby tem pokryć ściślejsze stosunki z Rybińskim; od czasu jakęś go postrzelił, zachorowała, w rozpaczy, ręce łamie, zachodzi się, płacze. Mąż nie wie o co idzie, złożyli to na spazmy, siedzi przy niej, wzdycha, a lży mu grochem płyną, trzech doktorów nieodstępnie.

— To być nie może!

— Ale tak jest, darmoby nie wierzyć.

— Wojewodzina! ona nim gardziła, ona się śmiała ze mną z jego głupstwa!

— Głupi być mógł, ale to inny interes! przystojny chłopiec! Tak jest! podczaszyca — tak jest!

— A inne panie nasze?

— Teraz kto żyw za Rybińskim bo ranny.

Podczaszyca z gniewem zaciął usta.

— Nikt nawet nie spytał o mnie?

— Jedna starościna i to po cichu — ale tej teraz nowy amant pilnuje djabelnie, a o Frascatelli wiesz przecie?

— Chora?

— Umarła dzisiaj — rzekł Baucher spokojnie — i lepiej zrobiła — dobre to było stworzenie, ale nie na swoim miejscu, jej trzeba było pójść do klasztoru, nie do teatru.

— Biedne dziecko — odezwał się podczaszyc ze smutnem uczuciem — zapewne lepiej że skończyła życie, które dla niej było nieznośną męczarnią.

— A zatem — począł gość któremu już pilno się było wymknąć, chwytając za kapelusz — a zatem potrzeba cię pożegnać podczaszycu; siedź cicho, nigdzie się nie pokazuj, my puścimy fusa żeś do Niemiec uciekł — potem się to utrże.

I jenerał nakładał co najprędzej rękawiczki, pragnąc się wyrwać, bo mu i lokal i suche przyjęcie nie smakowały wcale.

— Chwilę jeszcze, panie jenerale, czegoż się tak spieszysz?

— Do zamku, muszę do zamku! jeśli mi masz co do polecenia...

Podczaszyc szukał w głowie, ale nic nie znalazł.

— Nie zapominaj o mnie przed królem — odezwał się — a radź co mam począć jeśli Rybiński wyzdrowieje.

— Trzeba się będzie z nim strzelać.

— A gdyby znów nie wyszedł! Jak się oczyścić.

— Najgorzej się oczyszczać — obojętnie rzekł jenerał — nim się on wylize ludzie zapomną, wrócisz, pojedziemy sobie dalej po staremu i kwita. Byle ten przeklęty sejm, który myśli z gruntu wszystko przerabiać, pokoju nam nie zamącił.

— Co się dzieje z podskarbm?

— A cóż! sądzą go i odsądzą od wszystkiego.

— A hetman?

— Hetman go sądzi, robi co może mimo wrzasku... pokoju nie mając na chwilę. Król między młotem a kowadłem. Mijają złote czasy, którycheśmy używali, głowa pęka od zajęcia i strachu. Dziś wielki wieczór u posła, chybić nie można, śpieszyć muszę.

Zerwał się znowu.

— Wcześniej jeszcze jenerale, chwilę, chwilę, pociesz mnie trochę.

— Przyznam ci się podczaszycu, że dalipan zamiast cię pocieszyć, jeszczebym sam tu gotów się rozstękać, tak u ciebie na więzienie zakrawa. Ja jestem sybaryta, gdy mnie nie otacza zbytek i dostatek, tracę siłę... na nic się nie zdałem. Bądź zdrów, a na ucho dodał: Widzę że i tuś sobie obmyślił lekarstwo od nudów, najrzałem ładną twarzyczkę. Dobrze pomyślano; zawsze to dystrakcja.

Podczaszyc się zarumienił i prawie rozgniewał.

— To tak jak siostra moja — zawołał porywczo — wychowana ze mną i święte dla mnie dziecię.

— Och! och! zazdrośnik — rozśmiał się stary — zazdrośny! wstydz się! dalipan za- wczasnie, jeszczes przecie nie łysy — dobra noc.

I wyniósł się co prędzej, obiecując sobie że nie rychło drugi raz odwiedzi podczaszycą.

Pozostawszy sam z sobą Ordyński, zatopił się w myślach smutnych, przebiegając całe życie swoje i rozpatrując się nad tem, do czego ono go doprowadziło. — Szczęściem jeszcze choroba Rybińskiego czyniła niejaką nadzieję wyjścia z tego fałszywego położenia, jeżeliby ocalał.

Byłby tak dumał długo, gdyby nie poczuł, że ktoś cichaczem się wsunawszy tuż przy nim stanął. Był to cavaliere, którego Anna przez wpół otwarte drzwi najrzawszy krzyknęła, gdyż twarz ta przypominała jej także straszne widziadło na obrazie św. Michała.

— Kto tam jest obok? — spytał Fotofero.

— To moja przybrana siostra, współwychowanka, córka naszego sługi... Ale jakżeś to wszedł i co mi przynosisz?

— Że Rybiński żyje — źleś pan mierzył. — Ale może dobrze się stało. Kwatera kawalerska wcale porządna najęta w ustronnym kątku, wesola, czysta, wygodna, czeka na pana, co najprędzej wynosić się potrzeba.

Rzekł to tak żywo i nagląco jakby miał w tem jakiś interes, żeby podczaszyc wyniósł się ztąd co najrychlej — uderzyło to młodego człowieka.

— Ale powiedz pan proszę — spytał — dla czego chcesz mnie zmusić opuścić ten kąt spokojny, w którym mnie dobrze i bezpiecznie?

— Ani dobrze, ani bezpiecznie — odpowiedział szybko cavaliere. — Nie rozumiem, żeby człowiek dobrowolnie się zamykał w stęchliźnie, ciemności, wilgoci, gdy może mieć co lepszego. Bezpiecznie tu też nie jest, wiem że cię tu już generał odwiedził, zbyt blisko zamku, zwróci to oczy, może ktoś wydać. A zatem ubieraj się i chodź.

Podczaszyc, jakkolwiek mu to nie było wygodnie, wolał jednak pozostać, i nie rad był że go tu wyszpiegował naprzykrzony przyjaciel. Zbliżenie się do Anny niespodziewane, było dla niego wielką pociechą, odświeżało go, rzeźwiło, przenosiło w czasy które zaczynał nazywać lepszymi. Wprawdzie nałóg zbytku, wygody, zabawy, z której także pasją sobie zrobić łatwo, bo są ludzie co bez szumu i hałasu wyżyć nie mogą — ciągnęły go za Fotoferem, ale jakieś silniejsze niewytłumaczone uczucie wiązało do lichego domku.

— Ja nie mogę się ztąd oddalić! — rzekł po rozmyśle stanowczo.

— Dla czego?

— Nie chcę się tłumaczyć.

— Chybabyś pan chciał zerwać całkiem stosunki z przyjacielem i obrazić go śmiertelnie? — rzekł cavaliere z przekąsem.

Podczaszyc spojrział nań z góry, twarz ta znowu wydała mu się straszliwie poczwarną.

— Wybacz pan — rzekł dumnie trochę z pańskim ukłonem — ale ja woli mojej za żadną przyjaźń nie sprzedam.

— A zatem zostań pan tu — zawołał gość — zostań, ale jeśli cię tu odkryją i złapią, ja umywam ręce.

Ordyński zastanowił się i zadrzał — co tu było począć?

— Do jutra — rzekł.

— Jutro być może za późno.

— Kilka godzin mi daj do rozmyśłu.

— Ja i za godzinę nie ręczę.

Podczaszyc potarł czoło, obejrzał się, jakby rady szukał w otaczającym — gdy właśnie zapukano do bramy, chód w sieni dał się słyszeć, a nim drzwi otworzono, cavaliere niepożegnawszy się nawet, wyleciał piorunem i zniknął.

Tuż prawie wszedł z jednej strony ksiądz Spirydjon, z drugiej Anna. Stare, poważne i piękne oblicze księdza, dziwnie świętem i pogodnym wydało się podczaszycowi po tej poczwarze, która jakby z przestachu przed chwilą pierzchnęła.

Powitawszy po bożemu; ksiądz wpatrzył się z litością w młodego człowieka i przywitał go powtórnie ściśnięciem ręki; podczaszyc uczuł się jakoś przejęty, upokorzony pod spojrzeniem jego, jakby stał przed najwyższym sędzią.

— Nie obawiaj się pan przybycia nieznajomego — rzekł kapucyn — jestem stary tego domu przyjaciel, o panu wiem wszystko, a nawet taić nie będę, żem tu dla niego przybył. Cóż to za utrapienie przedemną wyleciał?

— To... dawny mój znajomy — wyjąknął podczaszyc — Włoch pewien.

— Jakiś *diabolus incarnatus* — rzekł staruszek — szusnął koło mnie jakby co złego... gdybym z natury nie był odważny, mógł był mi napędzić strachu.

— Darujesz mi pan, przerwała Anna z uśmiechem przystępując do Michała, żem ja tu ojca Spirydjona poprosiła. Był tak łaskaw że przybył na nasze wezwanie, choć jednej chwili niema wolnej. Zdawało mi się, że pobożny kapłan najpotrzebniejszym panu być może.

— Najpotrzebniejsze — odezwał się podczaszyc z trochę niepokoju, — byłoby mi teraz pewne i bezpieczne schronienie; wszak mnie już i tu podobno chcą szukać, tylko co o tem odebrałem wiadomość.

Anna załamała ręce.

— A ojcze, ratuj, ratuj go na Boga!

Kapucyn namyślił się trochę, przeszedł po izbie, wziął płaszczyk złożony u drzwi, dobył czapeczki z rękawa i rzekł.

— Bierz pan płaszcz, i chodź ze mną, znajdę ci miejsce bezpieczne.

Gdy Anna z wdzięcznością całowała ręce staruszka, podczaszyc posłuszny chwycił płaszczyk i kapelusz, i prawie nie żegnając się wyszedł z księdzem razem.

We wrotach ojciec Spirydjon się zatrzymał szepcząc mu:

— Słuchaj pan, idź jak najdalszą drogą do farty kapucyńskiej na Miodową, tam pytaj o ojca Spirydjona, w klasztorze Wpana ukryję do czasu, ale wprzód muszę na to wyjednać pozwolenie, a razem iść nie możemy.

To mówiąc ścisnął go za rękę, i o kiju ale żwawo posunął się wskazując podcieszcowi drogę przeciwną. Ten skoczył w bok natychmiast, i w ciemności nie pytając dokąd i którędy idzie zniknął z oczu.

Nie upłynęło pół godziny gdy straż marszałkowska napadła dworek Sienińskich, osaczyła go do koła i rozkazawszy roztworzyć bramę, co Hołodryga spełnił ze strachem, splondrowała od strychu po piwnic, w najtajemniejszych nawet zakątach. Pan Kasper nie zapierając się wcale, że podcieszyc u niego się ukrywał, bardzo jakoś naturalnie zaręczał, że rano jeszcze wyjechał niewiadomo dokąd.

Tymczasem zbieg nasz błądził po ulicach przełękły i napadłszy w końcu stojącego przy szyneczku fiakra, kazał mu się wieźć do kapucynów. Rzucił się w powóz zmęczony, zamysłony, zbity, oczy puszczając na oświecone miasto, po którym przed kilką dniami latał z innemi za zabawą i uciechą, wśród którego teraz się jak zbieg błakał. Zajrzał w okna domów, w których się bawiono i zazdrościł szczęśliwym, potem żółć zalała mu serce, i oczy od tego obrazu odwrócił. Nigdzie śladu nie znalazł żaloby po sobie. Nagle fiakr rozpedzony się zatrzymał, światła jakieś i śpiewy ocuciły zdrętwiałego, spojrzął — przechodził pogrzeb.

Długim szeregiem szli księża, zakonnicy, kilku ludzi z pochodniami, a prosty wóz okryty czarnem sukniem powolnie wiózł trumnę czarną drewnianą, odkrytą, z której tylko długi ogon sukni białej i wianek kwiatów widać było. Podcieszyc podniósł się machinalnie na nogi, spojrzął i zobaczył białą, spokojnym snem ujętą twarz pięknej Frascatelli, która go spotkała na drodze do grobu, jakby raz jeszcze chciała pożegnać.

Na piersiach, w złożonych rączkach trzymała swój sztylecik zakończony rękojeścią w kształcie krzyża, bo tak biedna umierając mieć chciała.

Od owego wieczora u księcia podskarbiego, kiedy ją poznał żywą, wesołą, szyderską, do dzisiejszego, ile zmian! pomyślał gorzko Ordyński — tak-że się kończy wszelka nadzieja, wszelka radość ziemską?

Pogrzeb był ubogi i nieludny, żadnego z jej przyjaciół za trumną, wielbicieli, mniemanych kochanków ani slychu; dwie śpiewaczki Włoszki, służąca, kilka bab, bractwo ze świecami i kupka próżniaków. Trumna kołysała się na wozie wstrzęsana co raz nierównym brukiem, a piękna jeszcze główka Włoszki zdawała się poruszać na białej poduszce, ręce nawet ściskające ów krzyżyk, co z nią szedł do grobu, kołysały się na piersiach.

Łza zakręciła się w oczach podcieszycy i zimny obwiał go smutek, uczuł przelotnie całą nicość ludzkiego żywota.

Wtem jak widzenie powietrzne przeciągnął pogrzeb, zniknął, oblały go ciemności, fiakr ruszył i stanęli u klasztornej farty.

Ordyński zadzwonił, spytał o ojca Spirydjona, i spotkał go już z książką w ręku oczekującego w celi fartyjana.

— Chodź pan — rzekł mu starzec, — nie wiem czy ci tu będzie wygodnie, ale pewnie bezpiecznie.

To mówiąc powiódł go na oddalony korytarz i otworzył maleńką celę, czystą, ubogą, zakonną. Tu postawiwszy stoczek na stoliku u wąskiego łóżeczka, prosił podcieszycy siedzieć, a sam na zydelku pod ścianą się rozgościł.

Obejrzał się Ordyński — czyściej tu, bielej, weselej może było niż u Sienińskich, ale jakoś straszno. Izdebka wydała mu się szeroką tylko trumienką. Okno za kratą, drzwi ciemne dębowe w głębokiej framudze, szafeczka w ścianie, tapczan, stolik a na nim kilka umyślnie położonych książek, zydelek, dzban z wodą, siennik wypchany słomą, a nad głową posłania wielki krucyfiks drewniany — oto co znalazł w nowem swem mieszkaniu.

— Nie oglądaj się moje dziecię — przerwał mu kapucyn uśmiechając się, — nie ma tu co widzieć, ciasno i ubogo, nagie ściany, tyle ile potrzeba dla zakonnika; dla was pewnie to mało, ale to wam dam co mamy.

Podcieszyc zarumienił się złapany tak na odgadnionej myśli i szybko odpowiedział:

— Mnie tu aż nadto będzie dobrze, aż nadto, bylebym był bezpiecznym.

— Zdaje mi się, że za to ręczyć mogę, bo choćbyście nawet zesli kiedy do kościoła i tam was nikt nie pochwyli, w klasztorze nie ma jeszcze zwyczaju szukać i prześladować

nikogo... Dawne prawo schronienia jeśli nie jako prawo, to jako zwyczaj istnieje. Smutno wam tu być może, ale kto wie, nie zawadziłoby w samotności pomyśleć nad sobą i przyszłością. — Świeżo rozrzucony pogrzebem, przygnębiony swoim położeniem, Ordyński odezwał się z wylaniem:

— A! ojczec, gorzkie bo myśli na pokarm przychodzą,.. o świecie myśleć nie warto, ludzie tęsknoty nie warci.

— Balamuctwo moje dziecko, — odpowiedział kapłan. Świat stary zwodził cię do prawdy, ale ludzie są różni, a jakich sobie z między nich wybrałeś, takichś miał, jak kto sobie pościeli, tak się wyspi.

Podczaszyc westchnął ciężko.

— Przyszło do tego — rzekł — kapucyn, żeś Wpan musiał godzić na pierś brata, bliźniego, dla czego? dla częzej obrazy honoru! Rozlałeś krew, a! czy nie czas żeby teraz gdy Bóg łaską swoją uratował od zbrodni, wniść w siebie i zwrócić się z tej drogi, która jak widzisz do takich dziur i trapezów prowadzi?

Podczaszyc tak już był odwykl od słów pobożnych, że ich prawie nie pojmował.

— To pewna — rzekł — że żałuję tego co się stało, ale cóż miałem począć?

— Pierwsza rzecz, odparł kapucyn, to plunąwszy porzucić te próżniacze życie. Alborn to ja was takich paniczów i fircyków nie napatrzył się? co robicie? oto od rana do wieczora bawicie się, używacie — śliczni obywatele kraju! śliczni chrześcijanie!

— Ale mój ojczec, przerwał podczaszyc trochę zawstydzony — czasy włosienicy i dyscyplin minęły.

— Nie kochanku, ludzie tylko przeszli co ich używali i widzisz, że bez nich coś nie lepiej... albo to piękny widok szaleństw naszych gdy toniemy? To jakby wedle słów błogosławionego Skargi, w rozbijającym się okręcie rozpasani na rozpustę majtkowie, lub jak żołnierstwo rzymskie rozegrywające szaty Chrystusowe u stóp świętego krzyża jego. Myślicie że to sprowadzi błogosławieństwo Boże na nasz naród? A jak Pan Bóg ma kochać tych co o nim wiedzieć nie chcą i wolą się perfumować niż modlić?

— Zapewne — rzekł — skłopotany podczaszyc — nie przeczę żeśmy może trochę winni, ale trudno czegoś i młodości nie wybaczyć!

— Wiele, wiele się wybacza, odpowiedział Spirydjon, ale przecie nie wszystko. Gdy się styra, zbłoci, zgnusnieje i zbabieje, to się jej nie wybacza, gdy szaleje zamiast pracować, darować jej tego nie można.

Pierwszy raz oddawna usłyszał Ordyński tak surowe słowa, ale je poszanował, bo mu znów świętą przypomniały babkę.

— Nie chcę Wmości nudzić perorą — rzekł, wstając z ławy, weselszym tonem kapucyn — samotność i dobra książka, uleczą spodziewam się niezadawnioną jeszcze chorobę... masz pan tu *Drogę do życia pobożnego* i Tomasza à Kempis... dobranoc — dobranoc. Obejrzał się jeszcze czy czego nie brakło gościowi i wyszedł powolnie.

Milczenie klasztorne otoczyło przybyłego — myśli jego zburzone wiły się kłębamii po głowie, rzucił się na łożo i znużony usnął.

Ale i we śnie dziwie miał jeszcze widzenia, miotał nim szatan wyskakujący z obrazu Ś. Michała, uśmiechał mu się zapraszając go z sobą do trumny Frascatelli, wieszono go potem w trumnie razem z Rybińskim, którego krew buchała w usta zabójcy... potem ogarniały go ciemności, powoli zatętniał dzwonek i szmer jakby długiej cichej modlitwy, zaszumiał w łonie nocy. Napróżno silił się obudzić.

Leżał znów w trumnie, wieszono go przez całą Warszawę, wszyscy znajomi go mijali szydersko, ledwie który głowę odwrócił, by nią pokiwać obojętnie, zobaczył i Annę idącą za swoim pogrzebem, i kata w czerwieni z mieczem — i babkę nad sobą w obłokach i tysiące postaci znanych i nieznanych, a śmiech szatana chwilami aż tłumiał dźwięki dzwonu, tak się rozlegał szeroko. Znużony snem i marami, otworzył oczy otoczony białym dnem i znalazł się na podłodze, gdyż miotając się widać spadł z łoża. Zobaczywszy różowe blaski wschodu, otworzył okno na ogródek wychodzące, spiekle czoło wystawując na chłodzący powiew poranku.

XII

Następnych dni, ojciec Spirydjon w chwilach wolnych nie omieszkiał odwiedzić Ordyńskiego, a każda jego rozmowa coraz głębiej sięgała w serce młodego człowieka, który w tej ciszy ciągłej myśleć musiał i myśl zwracać na siebie.

Staruszek też nie gromił go ani przestraszał — zawstydział, żartował, wskazywał cele życia, łamiąc niebezpieczne zasady i przekonania, które Poincot wpoił w młodą i wrażliwą duszę. Nie natarczywy, cierpliwie i powoli dokonywał to dzieło nawrócenia, które podjął z ufnością w Bogu, niezrażony tem wcale że rolę znalazł chwastami zarosłą. Podczaszyc w początku słuchał go z roztargnieniem, jakby z konieczności tylko, potem uważniej nieco, ale mało korzystał jeszcze. Z nudy pochwycił książki umyślnie mu zostawione i odrzucił je, bo ich rozumieć nie mógł, i wrócił znowu do nich, a słowo czasem jedne, ciągnęło zeń długie pasmo dziwacznie pomieszanych myśli.

Zostawmy go w tem bezpiecznem ustroniu, a przejdźmy na ten świat, który opuścił. Tu zniknięcie jednego zapaśnika ani się postrzedz dawało, szal szedł bez niego swoją starą drogą, a ludzie i o podczaszycu i o Rybińskim, który leżał walcząc ze śmiercią jeszcze, zupełnie zapomnieli.

Starościc Rybiński co dzień jednak miał się lepiej.

W początku cała Warszawa brała udział w jego cierpieniu, a pani wojewodzina aż się była rozchorowała, posyłano, dowiadywano się, lecz po upływie jakiegoś czasu poczęło to ustawać, a piękna Karolina widząc że się nie rychło doczeka jego powrotu do zdrowia, wybrała mu zastępcę, choć jeszcze po nim czasem wzdychała wieczorami. W parę tygodni doktorowie zaręczali już za życie, ale podczaszycowi pokazywać się jeszcze nie było można, bo zawsze by za zadane rany i napad z bronią w rękę, przed marszałkowskim sądem odpowiadać musiał.

Tymczasem po zniknięciu Ordyńskiego, dom jego, konie, sprzęty, przez wierzycieli przyaresztowane zostały, rozciągniono nawet sekwestra na majątki, a po obliczeniu strat, które w ciągu pobytu w Warszawie poniósł, okazało się że połowę większą majątności sprzedać by potrzeba, ażeby długi uspokoić. Reszta majątności znacznie też zahartowana była przez podczaszynę do Włoch jadącą, tak, że w najszcześniejszych okolicznościach, Głusza mu i coś jeszcze przy niej pozostać mogło. Nie było też komu chodzić około interesów, a że wierzyciele i zastawnicy ostro się pilnowali, wszystko przez nich zostało pozajmowane w administrację.

Stan majątku był niemal zrozpaczony, a podczaszyna której o tem doniesiono, odpisała do Labe Poincot, że bardzo ubolewa nad położeniem syna, ale go poratować nie jest w stanie, i do kraju wrócić nie myśli, radząc, by spieniężywszy w Polsce resztki jakie ocalić potrafi, do niej do Florencji się przeniósł.

Podczaszyc odebrawszy ten list, przeczytał go i obojętnie odłożył na stronę. Nie ciągnęły go wcale Włochy — co by tam robił ubogi? tu jeszcze miał nadzieję dźwignienia się, tam żadnych. Może też uczucie jakie wzrosło w samotności przywiązywało go do kraju, choć się przed sobą do niego nie przyznawał.

Anna zjawiała się niekiedy w kościele do którego umyślnie często teraz modlić się przychodziła, a i on mszy słuchiwał w łoży od niejakiego czasu. Młoda miłość ku niej obudzała się coraz żywiej, pierścionek, nawet z piersi poszedł na palec — bo się go już teraz nie wstydził.

Sam sobie dziwił się jakim szczęściem samo widzenie jej napawało go zdaleka, jak go wzruszał jeden rzut oka, który ku niemu posłała, dziwił się że więcej nie pragnął, że z tęsknem i spokojnem przywiązaniem miło mu było dumać o niej dnie całe.

Od owej nocy, w której się przeniósł ze dworku Sienińskich do klasztoru, cavaliere już mu się nie ukazał więcej — miał jednak jego wizerunek przed sobą, bo mu Anusia odzyskawszy z domu obraz Ś. Michała przysłała. Ale szatana zakrył, by go nie widzieć.

Rozważał teraz jak dziwnie ta postać wplątała się w jego życie i jaki na nie wpływy wywarła. Znajdował ją na każdym kroku, wszędzie z pomocą pozorną, a zawsze wiodącą do zguby... dziwaczne myśli wiły mu się po głowie.

Raz tedy gdy ks. Spirydjon przyszedł do niego rankiem po mszy, podczaszyc niby żartem począł coś o szatanie; zakrycie jego twarzy na obrazie, o które się kapucyn zapytał, było powodem rozmowy.

— Ojcie — rzekł mu spoufalony już z nim trochę — już cię szatan jest prostym wymysłem?

— Jak to? moje dziecko, spytał ks. Spirydjon.

— Już cię, i u nas nawet ks. Bohomolec z niego się śmieje.

— A! Bohomolec może! ale na co ci to pytanie? mów mi otwarcie, bo zdaje się, że krętą ścieszką dokądś dążysz.

— No, to powiem wszystko otwarcie, ale się ze mnie nie śmieję mój ojcie — odparł podczaszyc — zawstydzony prawie odkrywając postać szatana na obrazie — Widzicie tego anioła ciemności, tę poczwarę, straszliwą, dumną i wykrzywioną śmiechem przekleństwa głowę?

— Widzę i zdumiewam się malarzowi, co ją tak pomyślał i wyraził!

— Ten obraz należał niegdyś do babki mojej, świętobliwej niewiasty, modliłem się nie raz przed nim w dzieciństwie do mego patrona, a na dziecku jeszcze tak wielkie robiło wrażenie, że mi się we snach roila ta potwora. Później strach przeszedł, ale wstręt pozostał.

— No i cóż dalej! Dziwną mi historją prawisz — rzekł ks. Spirydjon.

— Najdziwniejsza dopiero się rozpocznie — cichszym głosem począł podczaszyc — oto tu w Warszawie, wkrótce po mojem przybyciu, wciągniono mnie na wieczerzę hulacką do księcia podskarbiego.

— Niema co mówić, dobre miejsce dla skończenia edukacji — szepnął kapucyn.

— Tam począł ze mnie sobie szydzić młodzik, i ktoś mi podrzucił pytanie, że pewnie choć w djabła wierzyć muszę. Ja w śmiech, ale oglądam się, a tuż w zwierciadle kubek w kubek mój djabeł z obrazu mi się kłania.

— No! no! — zawołał ks. Spirydjon — to coś bardzo zawiłego, czy ci się tylko nie przywidziało?

Podczaszyc jak najdokładniej opowiedział staruszkowi swoją znajomość z cavaliere Fotofero, jego usługi, rolę jaką w krótkim życiu odegrał i każdy krok tego dziwnego przyjaciela aż do ostatnich odwiedzin.

Kapucyn dobrze mu patrzył w oczy, jakby go trochę o sen na jawie lub bzika posądział, a naostatek dodał:

— Są rzeczy niepojęte moje dziecko, ale gdy człowieka opanuje niemoc, a wie na nią lekarstwo, jakby go nazwano gdyby użyć nie chciał?

Podczaszyc milczał.

— A na djabła — dołożył ksiądz — czy on *incarnatus* czy *invisibilis*, jeden mamy pewny środek od lat tysiąca siedmiuset kilkudziesięciu — krzyż święty i modlitwę — czyżeś ich waćpan użył kiedy?

Podczaszyc rozśmiał się, bo dotąd niestety modlić się wstydził, a rady babki nie umiał posłuchać. Kapucyn spojrział na niego i tabaki zażył.

— Tacy to z was teraz ludzie — rzekł — wierzycie we wszystko krom w Pana Boga, w oszustów illuminatów, w Mesmerów, Caglistrów, w Swedenborgów, w ducha Gabliona, w Massonów i całą klikę ich, we wróżby, czary i widzenia, a gdzie istotnie wierzyć potrzeba, to wstyd!! Oj ciężko nas Bóg z tego kurować będzie musiał mości panie, zapiszczym, zaskwirczym... Ale nie dowołamy się litości póki...

Starzec zamyślony zamilkł.

— Ale cóż ojcie sądzisz o tem? — spytał podczaszyc — to dla mnie coś niepojętego.

— A dla mnie jasno jak na dłoni, że gdybyś się modlił, to by cię ta słota opuściła. Reszty ja nie tłumaczę, bo nie wszystko się tłumaczy.

Ordyński siadł zadumany.

— Wać się djabła zaparłeś że w niego nie wierzysz, śmiejąc się dodał kapucyn — co za dziw, że dumna sztuka chce się zemścić, to tak jakbyś się waszeć nie uklonił wielkiemu panu i tyłem się do niego obrócił. Pan Bóg, choć go się co dzień słowy i czynem zapieramy — *patiens quia aeternus*, a temu graczowi niedaleka może meta, musi się o swój honor upomnieć!

— Ojcie żartujesz sobie ze mnie?

— Śmieję się, prawda, ale kto wie czy żartuję. Mądry nasz wiek w nic wierzyć nie chce w co ojcowie wierzyli, nowe sobie koncypując artykuły, i na czele stawiając jakiegoś Pana Boga (odpuść Panie) swojej roboty, a dalej cały rząd inwencji różnych.

— Jakże tu z wami o tem i mówić kochanku? od czego zacząć ludziom starej wiary, co wiele rzeczy i nie pojmujemy i rozbierać nie śmiemy; gdy wy macerujecie każdą rzecz, nie patrząc czy narzędzie, którym robicie swoje analizy bierze materiał czy nie! Słowem, heblujecie wodę i świdrujecie powietrze!

A widząc chmurną twarz gościa swego zakończył:

— Zrób to waćpan dla mnie, a pomódl się też kiedy, popróbuj! Świętą miałaś babkę co cię wychowała, na łożu śmierci woła do ciebie zdaleka prosząc byś nie zapomniał o Bogu — czemuż i dla niej uczynić nie chcesz, co ci przecież zaszkodzić nie może?

Nic nie odpowiedział Ordyński przez fałszywy wstyd jakiś, w którym go zakamieniły sarkazmy Labe Poinso, i pojęcia na których podraszał przy matce. Stary kapucyn westchnął boleśnie, zamilkł, i po cichu odchodząc, zostawił go samemu sobie.

XIII

W ozdobnych pokojach od czoła jednego z pałaców ulicy Senatorskiej, przechadzało się dwóch ludzi o szarej wieczornej godzinie. Służący zapalali świece w żyrandolach i przygotowywali się do przyjęcia widać spodziewanych gości. Apartament, w którym się to działo, świeżo był obity, przystrojony, i świecił przepychem, pragnącym więcej popisać się bogactwem niż smakiem.

Znać w nim było człowieka, co myślał jakby z ust wywołać wykrzykniki: musi być panem.

Wielka sala cała wybita była adamaszkim zielonym w kwiaty, w złożone oprawnym ramy, firanki podobne z frędzlą złocistą osłaniały okna, żyrandole świeciły od szkieł i bronzów, liberja strojna w pończochach i trzewikach zwijała się w wielkiej liczbie.

Gospodarzem w tym wspaniałym domu był Włoch ów, Cerulli, któregośmy już widzieli u podskarbiego i podczaszyca, co tak nagle z Warszawy, a teraz bezpiecznie powrócił i znów dom otwierał na większą jeszcze niż pierwszej stopę.

Towarzyszem z nim rozmawiającym był cavaliere Fotofero, czarno strojny, wyelegantowany, z dość zafrasowaną minką. Oba ująwszy się pod ręce chodzili po sali wielkimi krokami, wiodąc z sobą żywą rozmowę.

— Nie inaczej — rzekł Fotofero — potrzeba podczaszyca ratować, bo gdzieś ze strachu zaszył się w kąt, a tam go pewnie zaskoczą ludzie co nawracać lubią i zbałamuca głowę młodemu chłopcu. Zajmuje on mnie wielce, nie radbym żeby marnie zginął, potrzeba go uwolnić z tej kozy i na świat wyciągnąć.

— Stracił słyseż majątek?

— Być może i nie byłoby to dziwnem, ale czyż jeden żyje i hula nic nie mając? Od czegoż kredyt, przyjaciele, kobiety i karty?

— Zapewne, ale do dawnego trybu życia nie wiem czy powróci.

— Mylisz się, byleby się ukazał, łatwowierni, których pełen świat, kredyt mu powrócą, ciekawi będą się cisnąć do niego; trochę śmiałości a potrzyma się jeszcze na nogach. Potrzeba tylko naprzód, żebyś ty go rehabilitował w opinji. Już się okazuje z samego przyjęcia tutaj, że nowym charakterem odziany, nie jesteś, nie możesz być w podejrzeniu o szulerkę, za co właśnie z Rybińskim była robota; znajdziesz łatwo, przegrawszy im trochę, dwóch, trzech ludzi co pójdą z tobą upominać się o twoja krzywdę u postrzelonego starościca, dasz sobie aplomb i zbawisz Ordyńskiego.

— A ba! jenerał i szambelan by poszli!

— Dosyć ich będzie, obu dzisiaj mieć będziesz, poprosz ich o to. Jak skoro skończysz z Rybińskim, a podczaszyc się uniewinni, nic mu nie będzie przeszkadzać do pokazania się na świecie, awanturę zatrzeć łatwo i skargi eliminować. Zresztą jeżeliby się wahał wyjść ze swojej dziury mój protegowany, o co mi wielce chodzi, znajdę na niego sposób...

— Obfity jesteś w sposoby — jaki?

— Najlepszy! Najzałem w dworku do którego się był schronił, prześliczne dziewczce, widocznie jakąś jego sekretną dawną a ulubioną kochankę. Ludzkie oko dotąd jej nie zna w Warszawie, a to kąsek smaczny. Byle o niej rzucić słówko tym pocziwcom którym nic nad nowość nie smakuje, posuną się do niej, zaczną się kręcić, ścigać a jego zaraz zazdrość wypchnie z kąta na obronę faworytki. Wyciągnę go jak za wędkę, bo mi doprawdy żal — zmarnieje to...

— Widzę że ci o to bardzo chodzi, żeby podczaszycia świat odzyskał! — rzekł z uśmiechem szyderskim Cerulli.

— Bo mi go żal, bo szczerze żal, z praktycznego filozofa jakim już być poczynął, łatwo go tam przerobią na pospolitego bigota.

— Czy należał do Wschodu? — spytał Cerulli.

— Dotąd nie — odpowiedział cavaliere — ale lada dzień bylibyśmy go wciągnęli gdzie chcieli, bo mu się głowa paliła, bardzo by się przydał na prowincją.

— Cóż kiedy tak słabego charakteru?

— Ale jest uczucie honoru! Słaby człowiek zresztą, w rękę mocnego człowieka, to jedno z najlepszych narzędzi do działania, bodaj to z nimi tylko mieć do czynienia!

I rozśmiał się głośno, a w tem rozmowa przerwana została wnijsciem kilku osób znajomych nam już z tej powieści, które się spotykały prawie wszędzie gdzie się wesoło bawiono. Szukali naówczas i najumiarkowańsi gdzieby trochę poszaleć i odurzyć się mogli, tak ciężkie brzemień frasunku wkładała na ich ramiona owa epoka walki.

Szambelan Turski, sławny swoją mową w procesie Ponińskiego, jeden z naczelników massonerji warszawskiej, Trembecki, Łojko, Kicki, Węgierski, Komarzewski, Suchodolski i kasztelan orator, nadeszli jedni z pierwszych, za nimi poczęli się ściągać i mniej znajomi goście, wśród których ukazali się Zabiełło, Bielawski, Witten, Wejssenhof, Zajączek i poseł inflantski, sławny już naówczas autor śpiewów kilku, dum, bajek i komedji w rękopiśmie przygotowanej, która czytana naprzód u Mostowskich, potem na innych wieczorach, wielki rozgłos i wielkie zjednała mu oklaski. Mnóstwo przytem posłów i różnego stanu ludzi nacisnęło się na ten wieczór u Cerullego, który świetnie się zapowiadał.

U drzwi sali witał swoich gości pan Cerulli w paradnym stroju *a la française*, z kilku krzyżami, któremi się obwiesił z widoczną intencją pokazania ich wszystkim, z uśmiechem dumy, zadowolenia i łatwością człowieka dobrego tonu. Fotofero cofnął się zaraz i niepostrzeżony zmieszał z tłumem. Zawsze tak u nas bywało, gdzie gra i przyjęcie, stół otwarty i kielichy, nie wiele pytają o imię i pochodzenie gospodarza. Lada przybędą byle drzwi otworzył, stoliki rozstawił, gromadzi do siebie i sam łatwo wszędzie znajduje przyjęcie. Tak było i wówczas z większą jeszcze może niż dziś łatwowiernością; lada cudzoziemiec umiejący po francuzku, ubrany porządnie a mający czem przyjąć, stawał na stopie poważnej. A jeśli jeszcze świeciły na nim kilka cudzoziemskich orderów i opiekowali się możniejsi, ani spytano z jakiej to dziury wylazło na świat.

Wśród zabawy, przy której początku i mowy o kartach nie było, Włoch ciągle się uskarżał na Rybińskiego, ubolewając, że skład okoliczności, gwałtowna potrzeba, która go nagle do Wiednia powołała, nie dozwoliły na gorącym razie o krzywdę się swoją upomnieć. — Wszyscy słuchali go w milczeniu, i powoli przekonać potrafił, że czuł silnie wyrządzoną sobie obelgę.

Przed wieczrą zmuszono szambelana Węgierskiego że przeczytał wiersz swój do Zamojskiego, jedyny pochwalny jaki w życiu napisał, i okryto go oklaskami; potem poproszono posła inflantskiego o wyjątek z *Powrotu posła*, a że i Bogusławski się znalazł pod ręką, powierzono mu odczytanie scen kilku przyjętych z wielkim zapalem. Gospodarz choć po polsku ani be ani me nie rozumiał, cieszył się z humoru gości i wierzyć zdawał oklaskom, do których szczerze przysypywał nie żalując dłoni. Rozmowa potem ożywiając się coraz, dotknęła polityki, społeczeństwa, a w ostatku przeszła w plotki o kobietach, finał nieuchronny każdej polskiej gawędki. Wspomniał ktoś wojewodzinę, ztąd Rybińskiego i podczaszycza.

— Żal mi tego chłopca — rzekł generał liczący się dla formy zawsze dla przyjaciół jego, w nadziei, że może jeszcze na wierzch wypłynąć — żal mi go, bo jak się okazuje skrzywdzony był i za żywotę tylko pokutuje.

— Zdaje się — dodał ktoś — że gdy Rybiński wyzdrowieje, nic mu nie będzie na zawadzie do pokazania się znów na świecie.

— Ale słyszę — szepnął generał — strasznie wiele przez ten roczek prześwistał.

— A co tam! — zakrzyczano — jeszcze bogaty, matka jego żyje po księżecemu we Florencji, dobra ma ogromne choć zahartowane, ożeni się i interesa podkuruje.

— Myślisz pan? — spytał generał.

— Jestem tego pewny, byleby ubił do licha to zajście z Rybińskim, pogodził się z nim, wszystko się zreperuje. Zwłaszcza, że tu i kłócić się nie ma o co; winien starościc był, dostał

naukę, wychodził się z niej i sza. Co się tyczy wojewodziny, nie mają się już o co jeść, kiedy trzeci zajął miejsce przy jejmości.

— Cha! cha! — wmięszal się ze swym śmieszkiem suchym Cerulli — podczaszy jak się widzi serce miał szerokie, wszak ci to, panowie uwierzcie, przy tylu amorach na któreśmy patrzyli, jeszcze jedną jakąś chował potajemną faworytkę, slysze cudu piękności, utrzymywał ją gdzieś we dworku na Bednarskiej ulicy.

— Ja ją nawet najrzałem — przerwał jenerał — śliczna dziewczyna niema co mówić.

Wszyscy uszu nadstawili, bo nowa, nieznana i zalotna jak sądzono piękność, była dla nich niespodziewaną i miłą gratką.

— Cóż się z nią stało? gdzie ona? — spytano zewsząd.

— Zdaje mi się że pozostała w dworku na Bednarskiej ulicy, ma to być wiejski kwiatek — dodał Cerulli z włoskim akcentem szarlatana zachwalającego cudowny olejek leczący rany, zasiewający włosy i wywabiający plamy — ma to być wiejski kwiatek prześliczny, coś niewinnie pięknego...

Młodszy panowie spojrzeli po sobie.

— A gdzieżby to ją zobaczyć można? spytał kasztelan orator.

— W łazienkach nie bywa — szepnął ktoś z cicha po za nim — to pewna.

— Chyba w oknie dworku, bo nigdzie nie pokazuje się i nie wychodzi... dziecię to jeszcze, ledwie może szesnastoletnie.

— Ba! w to graj! — cmoknął kasztelan ręce zatarłszy — a do tego nie Warszawianka. Jakże się to dzieje, że jej dotąd nie wyszpiewowano i nie zbałamucono.

— Ale bo to ma być na serjo kochanka podczaszyca i dziewczyna pocziwa!

— Cha! cha! — zaśmiał się stary fundator kąpieli, ruszając ramionami i udając że na dłoni liczy pieniądze — a to od czego?

Podkomorzy brański, który oddawna ziewał, pociągnął za rękaw gospodarza.

— A co grać nie będziemy? spytał.

— Nie chciałbym — rzekł Cerulli wymawiając się.

— No! no! na bok niepotrzebna skromność! Każ podać kart i kości, niech poeci i literaci pod nos sobie każą, my czasu nie traćmy! Niech sobie pan Bielawski z Węgierskim jedzą się kiedy chcą od nóg czy głowy poczynając, Ursino niech bajki prawi, a inni choćby i prawdy mówili, nic nam to do gry przeszkadzać nie może.

Prosimy o karty, *unanimiter* prosimy o karty — podał jenerał i inni za nim.

Gospodarz wahał się jeszcze nieco, ale wreszcie uledek musiał słodkiej przemocy, i kupka złota błysnęła na zielonym suknie. Ci co grać nie mieli ochoty, pili, rozmawiali, porozchodzili się, a że salon taki wygodnym był miejscem do schadzki i rozmowy, korzystając z zajęcia karciarzy, sformowały się kupki politycznych rozprawiaczy i posłów o przyszłej naradzających sesji.

Ofiary które znoszono zewsząd na wojsko mające się podnieść do stu tysięcy żołnierza — z których wiele nosiło na sobie charakter prawdziwie obywatelskiego poświęcenia i zapału, zajmowały w tej chwili kilku najgorliwszych; począwszy od kutyh wozów Marjańskiego kowala, do pieniędzy, pułków, sprzętów, do osób które same siebie przychodziły poświęcać na usługę kraju, nie było daru któregooby w pierwszych dniach po uchwaleniu prawa nie złożono na ołtarzu. Srebra, kosztowności, ślubne nawet pierścienie, konie, broń, znaczne sumy pieniężne, całkowite starostwa dawano tłocząc się i usiłując innych uprzędzić, a uniesienie z jakim to czyniono podwajało znaczenie datków, niestety! niewystarczających jeszcze na to, co dźwignąć miały. Spodziewano się jednak, że gdy miasto i kilku możnych tak wiele zrobić mogli, kraj z ochotą roboty tej dokończy.

Rozmowa o różnych sprawach potocznych sejmku trwała godzin kilka pocichu między zgromadzonymi, gdy zgrany trochę gospodarz bank zamknął i drzwi otwarto do sali jadalnej rześisto oświeconej, w której stół w tajemniczy ustawiony był trjanguł.

Jenerał Baucher, dawno oczekujący tej chwili uroczystej, pierwszy rzuciwszy karty, wotować począł aby praw żołądka nie zapomniano a potrawom nie dać stygnąć, i wszyscy *affirmative* głosując, hurmem się sypnęli w drzwi otwarte.

Łakotnisie rzucili się zaraz na ogromne stopy olbrzymich raków, które jak koralowe piramidy z trzech rogów stołu się wznosiły na wielkich srebrnych blatach. Baucher założył serwetę pod brodę i już obcy rozmowie wszelkiej, oddał się cały przekonywaniu, dowodząc że dwom panom na raz służyć nie można.

Raki, ostrygi, ryby, mięsiwa, pasztety, oblano przedziwnym winem, którego był dostatek, a goście w uniesieniu admiracji gospodarza, przy końcu wieczerzy gotowi go byli żywcem kanonizować. Korzystając z tego szczęśliwego usposobienia i coraz żywiej objawiających się czułości, Cerulli stanął nagle z kielichem w ręku i prosił o głos — stało się milczenie wielkie.

— Panowie! rzekł Włoch, pozwólcie bym przy tej zręczności wziął za słowo miłe oświadczenia które tu odbieram — ratujmy człowieka, i droższy nad wszystko honor niewinnego. Honor nad wszystko! nieprawdaż? Wzywam tu przytomnych jenerała i pana szambelana P... aby mi byli łaskawi jutro towarzyszyć do Rybińskiego! Mogę liczyć na łaskawą pomoc?

Jenerał który poczynał już trawić, a odbywając tę funkcję sprzeczać się nie lubił, kiwnął tylko głową dając znak zezwolenia i gotowości. Szambelan którego wino czyniło czułym, poszedł aż ścisnąć Cerullo, którego wycalował przy tej zręczności na wszystkie strony, przyrzekając *unguibus et rostro* bronić go (póki będzie dawał podobne wieczory).

— Czekam tedy kochanych panów jutro o jedenastej ze śniadaniem — rzekł kłaniając się Cerulli; posileni ostrygami, które pocztą sprowadzić kazałem, ruszym rozmówić się z panem starościcem. Niech mi powróci co wydarł — imię zacne de Cerullich hrabiów państwa Rzymskiego, nie dozwala mi i chwili ścierpieć tej plamy! Rzekł — a szumny toast wzniósł się na cześć amfitriona, którego *de* przyjęte zostało oklaskami.

Jenerał jednak pozostał zamyślony, raz że w rakach przebrał trochę miarę, powtóre że niekoniecznie był rad zadrasnąć Rybińskich, i kłaść palce między drzwi; — myślał jakby się wykręcić — ale niestety! nie było sposobu!

Wieczór skończył się prawdziwą orgią pijacką, w której uczestniczyła znaczna część tych co jutro zasiadać mieli na prawodawczych ławach. Ranek powitał niedobitki śpiewające pieśń Hiramową i przy pienu o wschodzie, istotny wschód słońca zajaśniał w oknach sali. Drzemiących śpiewaków karety porozwoziły po domach.

XIV

Rybiński przechadzał się już po pokoju i przyjmował przyjaciół, którzy odwiedzać chcieli; miał się znacznie lepiej, błąd był tylko i wpływem krwi i djetą osłabiony, ale mu za parę miesięcy zupełne zdrowie i powrót dawnych sił prorokowano. Znudzony zamknięciem, nie lubiąc książek, bo wcale nie rachował na rozum i literaturę, bawił się sobie wystrzyganiem sylwetek, które robił bardzo zręcznie i grą w szachy ze starym panem Mieleckim szlachcicem kujawskim, który przybył jako stary przyjaciel domu pielęgnować go w chorobie, i żyjąc na koszcie księdza biskupa, bardzo był rad gratce która mu się upiekła *insperate*.

Kłócili się trochę przy szachach i marjaszu z panem posłem: połajał czasem Rybiński lub diabłami wyklął, nabondiuczył się pan Mielecki i postawił okóniem, ale te burze codzienne przechodziły szybko i po nich znowu w godzinę najlepsza wznawiała się komitywa. Resztę czasu, gdy Kujawiak na piwo lub miasta powąchać poszedł, spędzał pan Rybiński w oknie na miłym przypatrywaniu się ulicy, lub gawędzie z Maćkiem, dawniej pajukiem dziś pierwszym swym sługą. Taki był stan i zajęcie konwalescenta, a właśnie gapił się przez szyby nie mając co robić następnego ranka, gdy ujrzał trzy karety zatrzymujące się w bramie; a że go wielu odwiedzali i gościom był rad, a kujawiaka nie mając pod ręką nudził się — nie pytając kogo Bóg dał, Maćkowi puścić kazał. Zdziwił się nie pomału postrzegłszy po osobach gdy weszli, że to się włókl jeszcze ogon sprawy z podczaszycem.

Jenerał, szambelan i de Cerulli, uzbrojony we wszystkie swe ordery, weszli bardzo poważnie jak przystało na ludzi mających sprawę honorową na karku — skłonili się z daleka, a szambelan P. jako najwymowniejszy, z gracją i polityką dworską rzecz rozpoczął.

— Starościcu dobrodzieju — rzekł ówczesnym stylem wieku, co wymowę często w płataninie mieścił — cieszy to nas niepomału że mamy szczęście oglądać go w zdrowiu pomyślnem i powtórnym raz w progach życia, jakby na nowo na świat narodzonego — pora to zdaje się rozpoczynając *cursum vitae renovatum ab alto* — naprawić lekkie może ale pewnie bolesne uchybienia, jakie z prędkości, żalu, lub serdecznej jakiejś afekcji popełnić się mogło.

Starościc znużony, zmieszany, nic jeszcze nie zebrał się odpowiedzieć, szambelan zrobił przestanek, zażył tabaki i własną elokwencją uradowany, tak dalej rzecz swoją ciągnął.

— Tak jest, przybyliśmy tu jako pośrednicy i posłannicy zgody z gałęzią oliwną.

Rzecz nam pan ucha łaskawego nie poskąpić; przystępuję do krótkiego eksponowania interesu!...

— Ale ja żadnego interesu nie widzę i do żadnej się winy nie poczuwam — odburknął starościc, któremu impet zwyczajny powracał.

— Za pozwoleniem to się zaraz wyjaśni — o ucho łaskawe proszę. Przytomny tu hrabia de Cerulli, Neapolitańczyk, krzyża złotej ostrogi, św. Huberta i duńskiego słonika kawaler, naczelnik Melchizedechowych łoż na Wschodzie naszym — czuje urazę do pana starościca o lekkie słowo w żalu rzucone, gdyś się go zdał pomawiać o grę nieuczciwą. To dało powód do nieszczęsnej zemsty objętego wyrzutem podczaszyca Ordyńskiego. Tak lekko ludzi szacować nie godzi się, i to właśnie do poprawienia zostaje.

— Tak, należy do poprawienia — dodał generał — który się już nudzić począł — kochany starościcu, zapomnij niesłusznego żalu i wróć honor komu go ująłeś nierozważnie.

— Jakże ja to odwołać mogę com powiedział — zapytał Rybiński, zaczynając się mieszać trochę.

— Całe miasto i najlepsze towarzystwa, najdostojniejsze damy znają hrabiego de Cerulli jako najzacniejszego, najszlachetniejszego człowieka. Pozycja jego w naszym Wschodzie i wysokie posłannictwo, które piastuje, udowadnia charakter jego. — W tej chwili Rybiński należący do łoży spojrzął na Włocha, a ten dał mu znak po którym starszego poznał posła, skłonił głowę w pokorze i rękę podał na znak zgody.

— Skoro tak jest, winienem zapewne — rzekł ciszej — ale proszę przyznać, żem drogo opłacił prędkość, bo z drugiego świata powracam, nie wymagajcież odemnie jakiego upokorzenia.

— Uchowaj Boże — krzyknął szambelan, rad że się kleiło jakoś — o to tylko chodzi, abyś pan hrabiemu de Cerulli wrócił *activitatem*, a tamtego o strzał nie *prosekwował*, boś go sobie sam naprowadził krwią gorącą.

— Podczaszycowi wybaczam, sambym może był nie lepszy, dzięki Bogu żyję, winę uznaję, kiedy o to chodzi i rzecz skończona, ale wątpię by stryj mój równie powolny był do zgody.

— To rzecz nasza — rzekł generał — król Jegomość przyrzekł w tym względzie przeważną instancją swoją o on to na ks. Kujawskim wymoże.

Starościc skłonił się grzecznie i zamilkł. Rzeczy jakoś nadspodziewanie gładko się ukartowały, a braterstwo w łoży niezaprzeczenie największą ku temu było pomocą. De Cerulli zbliżył się do starościca.

— Muszę też panu — rzekł — jaśniej wytłómaczyć się dla czegoś naówczas znikł i zaraz się nie starał o wyklarowanie tego nieszczęśliwego nieporozumienia. Wiesz pan, że rozkazy starszych nie cierpią zwłoki, a z nieposłuszeństwa wytłómaczyć się niczem nie można — odebrałem był właśnie rozkaz odbycia poselstwa spiesznego do Wiednia dla narady o połączeniu łoż ścisłej obserwacji z eklektycznemi, i wynalezienia środków przeciw illuminatom, co nas i prześladują i z przed nosa nam ludzi biorą... musiałem dniem i nocą lecieć... nie było sposobu.

Rybiński milczeniem przyjął wymówkę, a widać już było ze wszystkiego, że dlań obojętną była reszta sprawy, gdyż główne punkta załatwione zostały.

Generał odzyskawszy swój dobry humor, gdy wszystko lekko tak i dobrze poszło, wstał, poczynając sypać jak z rękawa miejskie plotki.

— No starościcu — dodał — czas ci już wyjść na świat; będziesz błady, interesujący, sam czas starać się o pannę, bo do męzatek ci nie życzę, tam bladeść źle rekomenduje. Mamy panien hukiem i bogatych i ładnych, ożenisz się jak sam zechcesz, bo młodzieź hurmem się wynosi do wojska, a o męzów wkrótce będzie trudno.

— Śliczneż to wojsko — dodał śmiejąc się szambelan i wydekłamował przekręcony do okoliczności urywek jakiegoś paskwilu:

Szable kute w żelazo, naramniki belki,
Kurtki, spodnie szerokie, kordony, fręzelki,

Różne hafty, ostrogi, nadewszystko miny,
Witajcie Möllendorfy, Laudony, Szweryny.

— No, a teraz gdy już mamy słowo szlacheckie i rzecz skończona, do widzenia starościcu — dokończył generał podając rękę. — Oznajmiemy biednemu podczaszycowi że się na świat po swoich rekolekcjach wychylić może! — Starościc odpowiedział znowu milczącym ukłonem i słowy.

— Byleby ks. biskup na to się zgodził, jak gotów rękę podać, ale deprekacji żadnej publicznie czynić nie będę.

— To się rozumie! — zawołał szambelan — czyn starczy za słowo.

To mówiąc pożegnali się i odjechali poslowie, a de Cerulli tryumfujący, powracając z nimi zawiózł ich jeszcze do winiarni, którą generał wskazał, dla zalania zgody kilkoma butelkami starego węgryzyna.

Rozstali się pijani i w najlepszej w świecie przyjaźni.

Gdy się to dzieje, wczorajsi wieczorni goście Cerullego wzięli bardzo do serca i na język wieść o tajemnej kochance podczaszycy, i ponieśli ją po mieście.

Zrana już król Jegomość, od starosty Piaseczyńskiego, od Russa i od Brunet'a z kolei o tej Anusi się dowiedział, bo głód był jakoś na tego rodzaju nowinki, i każdy myślał że królowi nowalją przyniesie. Stanisław August aż się o Anusię Bauchera spytał, bo był ciekawy świeżych twarzątek i myślał już jakby mu ją gdzie pokazać. Tymczasem szpiegi pani... pobiegli do niej zaraz z doniesieniem o przygotowującej się jakiejś niewierności królewskiej, a N. pan najniewinniej odpokutowawszy za prostą ciekawość, nie śmiał więcej spytać o dziewczynę. Swobodniejsza młodzież tego dnia poszła na zwiady, i kilku się założyli, że nie tylko ją zobaczą, ale z nią mówić będą. Wszyscy cisnąc się do nieznanomej pewni byli że to jedna z tych piękności w jakie od Sasów obfitowała Warszawa, z tych pięknych dziewcząt znanych tylko z imienia i wdzięków, o które bywały pojedynki i zwady gorszące, bo za ich wozem szły całe pułki starych i młodych wielbicielei.

Rój kawalerów rzucił się na ulicę Bednarską, szukając dworku, pytając o sławną Anusię. Ona tam płacząc siedziała nad starą księgą, dumiała o dziwnym losie który ją związał z człowiekiem, co nigdy stalnym węzłem nie mógł się z nią połączyć — a do koła ciekawi i natrętni wszelkimi sposobami dobijali się jej okien i bramy. Śmielszy pan Węgierski, który ładne twarzątki lubił a konceptu mu nigdy i śmiałości nie brakło, wprost sobie do wrót zapukał.

Że naówczas ani pana Jana, ani Kaspra nawet w domu nie było, Hołodyga niecierpliwy sam wrót pilnował, czekając rychło go powrotem swym uwolnią pod kościół.

On więc otworzył szambelanowi, który obejrawszy tę postać ciekawą, i heroicznie ją brzydką znajdując z admiracją teratologa wyegzaminowawszy od stóp do głowy, zdjął kapelusz i grzecznie powitał żebraka.

Hołodyga wziął to za żart, począł się już krztusić z gniewu, a że w złości gorzej jeszcze mówił niż zwykle, wydał tylko jakiś krzyk dziki.

— Doskonale! jakie pierze taki śpiew! — rzekł Węgierski — zacny stróżu tych pól — a bardziej tych murów, racz mnie posłuchać, słowo tylko.

To mówiąc, dla lepszego wyjaśnienia podał Hołodrydze talara, a na widok jego żebrak otworzył usta i zamilkł, pieniądz go skonwikował.

— Czego chcecie? — wyjąkała poczwara.

— Przysłał mnie tu pan Sieniński gospodarz, wszakże go nie ma? po panienki.

— Nie ma go! do panienki! a dobrze!

Obracając wciąż na dłoni talara, żebrak puścił szambelana bez dalszego sporu do środka, a Węgierski dawszy susa wprost do dworku skoczył. Chodziło mu o to tylko, by zblizka zobaczyć Anusię, otworzył drzwi i znalazł się na przeciw niej oko w oko, ale zdziwił trochę, widząc zamiast zalotnego, strojnego dziewczęcia, piękną, skromną, ale smutną, modlącą się panienkę, której wzrok dumy i powagi dziewiczej pełen, od razu go zmięszał. Anusia sądząc że chodzi o podczaszycy, że to jakiś poseł od niego, przybliżyła się do dworaka.

Ten właśnie szukał na prędce pretekstu do wytłómaczenia się z przybycia, gdy Anna sama mu podała środek wywikłania, uprzedzając pytaniem.

— Pan przychodzisz od podczaszycy?

— Zgadłaś pani, w istocie od podczaszyca.

— A cóż mi pan przynosisz? może pan czego żąda? potrzeba mu czego? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Kazał pani powiedzieć, kazał powiedzieć — jękał się Węgierski. — Co u diabła mógł mi kazać powiedzieć? — rzekł w duchu.

— Nowe niebezpieczeństwo pewnie! — łamiąc ręce zawołała Anna.

— Nie! nie, uchowaj Boże, owszem... jednakże widzi pani... głównie... kazał mi się dowiedzieć o jej zdrowiu.

— O zdrowie moje? — rumieniąc się z jakimś niedowierzaniem spytała Anusia — o mnie?

— Tak jest, dla czegoż to ją zadziwia?

— Bo niepodobna by teraz myślał o kimś obojetnym, gdy tyle ma o sobie do myślenia... cierpiąc i dręcząc się swoim losem. Powiedz mu pan żem zdrowa, że się modłę za niego, że Boga proszę gorąco aby go oswobodził...

I łza pociekła z pięknego czarnego jej oka.

Szambelan był drwiarz wielki, niewiara, sceptyk, ale człek gorącego serca — dotknęło go prawdziwe uczucie, na którym omylić się nie mógł, znając serce ludzkie — pożałował swej igraszki nawet i zły na siebie wyszedł z tego domu.

— Głupie jeneralisko! — zawołał za bramą — mylił się grubo, wziął jakąś cnotliwą pupilę, piękną ale chudą i czarniawą, za amantkę! wierz-że tym starym wygom, którzy wszędzie widzą kochanki, gdy ich już sami mieć nie mogą!

Ledwie ustąpił Węgierski, już do wrót cisnął się Zabiello, ale ten nie użył przekonywającego talara i Hołodryga omal go kijem nie przepędził; nie lepiej powiodło się kilku innym. Mniej śmieli uwijali się przed oknami, a że przez kraty nie sposób było nic dojrzeć, kleli starą budowę.

Najprzebieglejszy i najzapaleńszy do tego rodzaju sztuczek pan podkomorzy Brański zrobił za pomocą Orlandiniego na przesmyku uroczystą znajomość z panem Kasprem i z nim razem ruszył do jego dworku pod pozorem, że jest budowniczym, że bardzo możny sąsiad chce kupić domostwo i obejrzenie mu polecił. Dowiedziawszy się zaś o słabostce starego do grosza, począł go tentować wielką sumą, którąby mu za dworek, bardzo do rozpoczęcia jakiejś kamienicy potrzebny, zapłacić mogli.

Kasper nic nie podejrzewając wiódł starostę wprost do siebie, z ukłonami bez końca, a ten mu duby smalone prawił o wartości jego dworku. Weszli nareszcie i trzeba widzieć było jak doskonale grał rolę architekta, jak po wszystkich kątach zaglądał, laską ściany wymierzał, mury sądował i rozważał sklepień strukturę.

Sieniński dał się zwieźć najzupełniej, zachwalając tylko rudera swoje.

— Dworek niepozorny — mówił żywo — ale niech pan zważy w jakim położeniu! przychód mi daje ogromny, procent jakiego w innych ulicach właściciele piętrowych kamienic nie mają... lekko szacując wart trzy... co ja mówię trzy?... cztery... a w rzeczy pięć tysięcy dukatów... może więcej.

— Stój kochany panie — przerwał podkomorzy Brański wchodząc do środka — jak tak pojedziesz trudno ci się będzie potem zatrzymać.

— Co to dla bogatego nabywcy — fraszka — rzekł oblizując się pan Kasper — a dla ubogiego, dla tak ubogiego jak ja człowieka.

— Jaktó ubogiego, kiedy dworek tak piękne panu robi procenta?

— Ale obciążonemu familją.

— A pan jesteś żonaty?

— Żonaty wyraźnie nie jestem — cofając się przed kłamstwem wyjąkał pan Kasper — ale gorzej, bo mnie blizcy obsiedli.

W tem weszli do pokoju w którym Anna modliła się jeszcze, rozmyślając o poselstwie podczaszyca — podkomorzy ujrzał ją, zdziwił się jak pierwszy, nie znajdując ani w postawie, ani w stroju czego się spodziewał — to jednak wcale go nie zraziło.

Anna wstała zapłoniona.

— Omyłka — rzekł w duchu podkomorzy — ale trafiłem lepiej niżem myślał, to brylant jeszcze nie tknięty!!

Piękność dziewczęcia uderzyła go silnie — jasne jej czoło dziewicze, oczy z taką przemawiającą siłą i szczerotą, zawróciły mu głowę do zbytku zawsze zapaloną.

Już dalej murów nie mierząc, izb nie rozpatrując, choć się Kasper napraszał, cofnął się podkomorzy rozmyślając głęboko, jak z najrzanego skarbu korzystać i jak go sobie przyswoić.

Inni mniej od niego zyskawszy, wieczorem gdy się przyszło obrachować z tego co dokazali, wszyscy niemal kłamać musieli, żeby się na śmiech nie wystawiać. Węgierski milczał tylko, podkomorzy zaś w najżywszych kolorach odmalował Anusię i na nowo zapalił tych co jeszcze jej widzieć nie mogli.

U pani starościny małogolskiej, u pani opeckiej nie mówiono tylko o sławnej już od wczora Anusi, która najniewinniej i nic o tem nie wiedząc, stała się celem rozmów i ciekawości. A że powtarzane wieści dziwnie w ustach rosnąć umieją i mienia się w dziwolągi, Bóg wie co prawiono o zamkniętej za kratą i pilnowanej przez garbatego Hołodrygę piękności.

Osnowały się różne intrygi, by ją zobaczyć, dostać się do niej, rozkochać ją, wykraść, a piękne panie ruszały ramionami, śmiejąc się z tych wysilen młodzieży, zajętej więcej Anusią niż najważniejszą sprawą sejmową. Ze wszystkich jednak rozplomienionych, podkomorzy brański najmocniej sobie głowę łamał i poprzysiągł, że podczaszycowi skarb jego wydrzeć musi.

XV

Są ludzie, dla których najmniej miłym towarzystwem są własne ich myśli — męczą się niemi i nudzą, bo im powtarzają rzeczy niemiłe, oklepane, naprzykrzone. Radziby od nich uciec i szukają sobie byle jakiej rozrywki, byle jakiego towarzystwa, aby się wyrwać z objęcia tych dotkliwych dumań. Człowiek tylko wytrawny, co dobrze pracował nad sobą, obcować dłużej sam na sam ze swoim *ja* potrafi. Pospolici ludzie w niedostatku hałasu wolą sen i śmierć chwilową, niż tę walkę z nastęrczającymi im się myślami, płynącymi wśród ciszy wrzawliwym potokiem. Cóż się to z niemi dziać musi, gdy ich zmiana położenia, nieuchronna konieczność, postawi w takiej kolei, że uniknąć nie mogą trawienia się w sobie, i własnego towarzystwa? Przywykli do ciągłych roztargnień, do gwaru co im głuszy głosy wewnętrzne, nagle w ciszy osamotnienia znajdują się jak w pustyni otoczeni widziadłami, które stwarza milczenie i stepy. Rzucają się naówczas przerażeni bijąc jak zwierz dziki którego w klatce zamknięto, dopóki zraniwszy się o szczeble żelazne, nie legną zwyciężeni bezsilnością. Czasem z położen takich wychodzą ludzie lepszymi, gdy przetrwawszy bój i boleść, staną na szczeblu zgody z samymi sobą i głosem Boga, mówiącym im przez ich sumienie; często też padają pod ciężarem kajdan, gdy dusza nieprzygotowana poprzednim życiem, o swych siłach ostać się nie potrafi. Samotność bywa wielką podniętą do dobrego, ale wielkiem niebezpieczeństwem.

Wszystkie tam widziadła przeszłości występują na niej szeregiem, wszystko co człowiek utracił, czego nie posiadał, co przeboleł, co mu z rąk dotknięte ledwie uciekło, — dręczy go, wabi, niepowrotnością zrozpacza. W szal czasem obraca się ta rozmowa z sobą, gdy jej dusza i serce nie podolają — rozpręgną się myśli rozkiełzane, poniosą, polecą — nie połapać ich już potem.

Samotność, powiedział ktoś z chrześcijańskich pisarzy, dobra jest tylko z Bogiem, bez niego szatani ją zaludniają.

Wyobrazić sobie można co się działo z podczaszycem, za którym nagle zamknęły się drzwi klasztorne, za nim, co nie znał zamknięcia i samotności, nie próbował myślenia, nie chciał zastanawiać się nad sobą, pragnął używać nie pytając końca, bo weń nie wierzył, lub spojrzeć mu w oczy nie czuł odwagi. Sam z sobą, z książką pobożną, z widokiem smętnym, z drażniącym zdala gwarem ulicy, którą słyszał widzieć nie mogąc, z bliższym szmerem modlitwy, niekiedy chwilową rozmową z ks. Spirydjonem — jak ten zwierz do któregośmy porównywali samotnika, bił się o mury ciasnej celi, nie mogąc w niej niepokoju swego pomieścić. Przywykli do gwaru, utonął tu w głuchym milczeniu — coraz to chwycił książkę, ale słowa w niej nie rozumiał, bo ona i on daleko byli od siebie.

Całym zapasem były dlań wspomnienia przeszłości, ale wypadkiem dziwnym, on, co wedle siebie począł dopiero żyć w mieście i to, jak mówił, świata skosztował, kiedy szedł czerpać z skarbnicy pamiątek, we wspomnieniach tych chwil szafu, znajdował tylko martwe, zeschłe szczęty, z których na pokarm dzisiejszy kropli nie umiał wycisnąć. Myśl

jego musiała się zwracać do epoki życia, na pozór dlań puste, czczej i bezbarwnej, na której grobie kwitły mu jeszcze pełne woni kwiaty.

Z życia wczorajszego, jak po spalonym fajerwerku, nic nie pozostało prócz trochy śwedu i dymu — z tych miłostek kilkudniowych, z tych zabaw odurzających, z tych szalonych nocy strawionych z kielichem, wrzących ochotą, proch został i śmiecie — a z chwil młodości, z dzieciństwa, przywalonych całym ciężarem drugiego życia, do których nie przywiązywał ceny, czerpał dziś jeszcze napój rzeźwiący. Do tej przeszłości dawno minionej, zabytej i sponiewieranej, zwracać się musiał co chwila. Serce czy myśl wiodły go do Głuszy, do pokoiku babki, pod straszny obraz patrona, na ów maluśki stołeczek na którym siadał u nóg starościny, słuchać jej nauk i powieści — do Anny i dziecięcych z nią zabawek, których dziś, zawczasu zgrzybiały się wstydział, a wstydząc się, żył jeszcze niemi pokryjomu! Taka to siła chwil życia pocziwych, że przeżyte, jeszcze w sobie mają soki pożywne, — gdy lata poświęcone nasyceniu, płoną na popiół i rozchodzą się z dymem.

Bolał Ordyński w tem zamknięciu, targając próżno więzy swoje — ale cóż począć było? nie mógł przespać dni całych, musiał je przedumać samotnie. Czasem wychodził na korytarze klasztorne, żeby zyskać więcej przestrzeni i szersze miejsce przebiegać niespokojnymi krokami, — ale i tu myśl jego biła się o obrazy, o pojęcia, czyny dziwne sprzeczne z tem do czego był nawykł w swem życiu.

Na tych długich osłonionych krużgankach, spotykał wizerunki świętych mężów, powagą śmierci otoczonych, z których lica były światłości, przeszłość ofiar i modlitwy. Napróżno chciał się uśmiechnąć wpatrując w te oblicza, myśląc w duchu: To byli ludzie jak my!

Oczy ich, czoła, usta, suknie nawet mówiły że to nie dzisiejsi i nie pospolici byli ludzie, — ugiął głowę mimowolnie i mijał ich niespokojny. Spotykał dalej obrazy męki Chrystusa, które do oziębłego serca nic jeszcze przemówić nie mogły — czytał napisy pełne pobożności, namaszczenia, lub groźby przerażającej — ale rzadko co doszło przez oczy omglone do duszy jego, częściej uśmiech szyderski błąkał się jeszcze po ustach. Obawiał się nawrócić, aby śmiesznym nie został!

W końcu korytarza po którym najczęściej, nie chcąc być widzianym, przechadzać się musiał podczaszyc, był wielkimi głoskami napis pełen rzewności i głębokiego uczucia, który nieustannie w oczy mu wpadając, utkwiał nareszcie w pamięci, tak, że pozbyć się go nie mógł, bo mu wciąż mimowolną modlitwą na ustach się błąkał.

Trafia się, samotnikom zwłaszcza, że wyraz jakiś, dźwięk, słowo, twarz tak uwięzną w nich, jak uparta kość co w gardle zastrzęgnie, i pozbyć się ich nie można. Czasem to igraszka wyobraźni, dzieło próżnowania, częściej odpychana i nie pojęta przestroga. Podczaszyc tak właśnie męczył się tym napisem jak zadławiony kością, choć go powinien był ukochać i zapamiętać. Pobożny ten wykrzyknik jakiś widać zakonnik wyrył tu dla przechodzących u stóp Chrystusowego krzyża, aby go powtarzali jako najstosowniejszą do czasów modlitwę. Były to słowa z głębi duszy wyrzeczone, natchnione razem uczuciem ascetycznym i miłością kraju pogrążonego w zepsuciu i chwiejącego się nad przepaścią.

*Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos!*³

Podczaszyc skłonny do pochwylenia co mu oko przyniosło, nie mógł się zbyć tej modlitewki, powtarzał ją, przekręcał, gniewał się na siebie, zasypiał z nią na ustach i budził szepcząc znowu... Niekiedy męczyła go do zniecierpliwienia, ale im mocniej chciał się jej pozbyć, tem uparciej mu ona wracała. Może Anioł-stróż włożył ją w usta biednego szaleńca jak zaschłe rzucając nasionko, z którego kiedyś spodziewał się owocu i kwiatu.

W samotności klasztornej, w ciągu dni długich które tu przeżywał, podczaszyc więcej się męczył niż ulepszal. Z rozmów nawet z ojcem Spirydjonem, korzyść nie mogła być zrazu wielka — aby orać wołem, trzeba mu wprzód jarzmo włożyć, a jarzma tego nie chciał wdziać biedny młodzieniec, tak jeszcze rozhukana dusza i umysł do szyderstwa nawykły, wzbraniał się przyjąć wszelką prawdę, którejby rozebrać nie potrafił. Najlepsze chęci głupi wstyd w nim zabijał. Jedną tylko drogą kierował się powoli ku ścieżce co go z błędu wywieść mogła, a tą było wspomnienie staruszki i lat młodszych. Coraz też

³*Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos!* — napis podobny znajduje się na pięknej figurze w lesie pod Zawieprzycami, w Lubelskiem. [przypis autorski]

częściej zwracał się ku nim — raz nawet, dobrze że nikt nie widział, bo by się zagryzł był wstydem, ła jakaś niedojrzała zaszła mu oczy. Otarł ją, żywo się oglądając i śmiechem jak kamieniem źródło jej przywalił, żeby nie trysła więcej...

Rzadko go kto odwiedzał, oprócz ojca Spirydjona, ale ten miał tyle zatrudnień około nieszczęśliwych po więzieniach, przy ubogich, że wiele czasu poświęcać mu nie mógł. Co mu zbyło tylko od obowiązków, dzieląc na modlitwę, rozmyślanie i rozmowę z Ordyńskim, rzadko mógł dłużej nad chwilę z nim pozostać.

Od godzin rozmyślania, modłów i pokuty nawet odrywał się czasem dla niego, ale w przędcie spostrzegł że tu natrętnym być nie można w nawracaniu.

Potrzeba było żeby chory sam zawołał nareszcie o lekarstwo, badał tylko stan jego duszy i cierpliwie oczekiwał. Wiedział starzec że niewiele warte nawrócenie gdy ku niemu wola się grzesznego nie skłoni sama; co tylko skutkiem szczególnej łaski, usilnej pracy nad sobą lub powolnego wpływu otaczających być może.

Gwałtu dusza nie cierpi, bo natura jej wszelką przemoc odtrąca — jest to istota swobodna, której oddane panowanie nad sobą, całych przyszłych zasług jest nasieniem.

W początkach niecierpliwił się podczasyc, warczał, zżymał, tęsknił, dopytywał o świat który przeciętko o nim zapomniał, zesmutniał potem, zamyślał się i wpadł na te ożywiające wspomnienia młodości, których zdroj po długim zapomnieniu znalazł płynący jeszcze. Z oczu jego wyczytał zmianę stanu duszy stary kapucyn, bo dostrzegł w nich rozrzewnienie pocziwsze, smutek, tęsknotę do rezygnacji już bliską.

— Łaska Boża działa — rzekł — dajmy mu czas by się zwyciężył.

I jak był przywykł zakonnik, wchodził co dzień do celi z uśmiechem na ustach, z tabaczką w ręku, wesół, rubaszny czasem, pełen słodyczy i dobroci, opromieniony pokojem niezmiernym. Czasem gdy się go jeszcze podczasyc o świat dopytywał, zbył go żarciem tylko.

— Kochany panie Michale — mówił — a cóż chcesz bym ci o świecie powiedział? Mój świat a jegomości to antypody! Co ja tam wiem jak się bawią, szaleją i lata czyśca lub wieczności piekiel zapracowują w pocie czoła! mnie dopiero wzywają, kiedy już naczynie potłuczone, a płyn drogi cieczy z niego, niestety!! często, na czarna brudną ziemię... coby miał od słońca miłości Bożej wyparować do góry i niebios! Mój świat, kochany podczasycu, to ci nieszczęśliwi, których nie ma dnia żeby na wieczność nie dysponował, a na których twarzach albo zatwardziałość zbrodni, albo rozpacz i zgryzota się malują. Ot wczoraj dwóch z mojego świata powiesili, dziś dysponowałem na stracenie kobietę co męża otruła... widzisz, wiele to świata mojego. I co ci po nim? A że karety pańskie i królewskie po bruku huczą, że się tam magnaci przejeżdżają, a pałacu do pałacu, po teatrach i skoczkach, myślisz że na to patrzę? Skończy się to jak wszystko — dzwonkiem, gromnicą i litaniami przy konających.

Podczasyc westchnął. Widział on już pomimo powabu, jakimi go życie porzuczone pociągało ku sobie, ile w nim było fałszów i szychu, wśród pozornych świecideł. Ale że poprawa stokroć jest zawsze trudniejsza od zepsucia, jak zniszczenie łatwiejsze od zbudowania, trudno mu było wybrnąć z drogi na której daleko się zabłąkał. Klasztor, zamknięcie, echo modlitwy, żywot mniszy, podzielać nań tak rychło nie mogły — postacie, które tu spotykał dziwiły go, niecierpliwiły, śmieszyły, wpływu nań nie miały, bo jeszcze większa od niego dzieliła je przestrzeń, niż łagodnego ojca Spirydjona. By się dwie dusze zrozumieć mogły, potrzeba między nimi jakiegoś punktu zetknięcia, choćby niedostrzeżonej nici pajęczej, coby je z sobą wiązała. Ten nici wysnuć nie chciał Ordyński.

Zbliżała się może chwila odrodzenia, ale jeszcze nie była przyszła, rozrzewnienie tylko, jak rosa, dzień i wschód jasny poprzedzająca, oblało duszę łąką srebrzystą — ale słońce nie rozjaśniło niebios jeszcze i szary zmrok okrywał smutnym całunem bezbarwne przeszczenie.

Djabel

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM IV

I

Pan podkomorzy brański, który zobaczywszy Anusię rozgorzał nie pomału (bo go płomień nie wiele kosztował, ale i ostygnięcie nie było trudne) — człowiekiem był lekko-myślnym nad wszelkie pojęcie, życie gotów zawsze postawić za to, co jutro by przez okno wyrzucił.

Z młodości nic nie stawiało tamy rozhukanym jego namiętnościom, los dziwnie mu sprzyjał i z najtrudniejszych okoliczności jakby cudem zawsze wywikłał. Ztąd wyrobiło się w nim zuchwalstwo niesłychane i rzucanie się bezmyślnie na wszystko co dogadzało chwilowej bodaj fantazji. Szał u niego nie rodził się z namiętności, ale z nałogu dogodzenia sobie. Serce dawno w nim spało zdrętwione zepsuciem, głowa tylko gorzała i ciało się miotalo. Był on jedną z tych postaci, jakie się zapewne trafiają we wszystkich krajach i czasach, ale miał na sobie cechy epoki i miejsca — epoki, co rozpasywała ludzi właśnie jak konanie, co niekiedy martwy język i myśli uszione rozwiąże.

Dla niego wszystko w nim tylko było. Świat miał za rzecz dodatkową, na służbę jemu skazaną — myśl nigdy nie poszła wyżej, serce nie zbudziło się z letargu. Dalej! bądź co bądź — było jedynym jego hasłem. Rodzina patrzyła z przestrachem na to wyuzdanie młodzieńca, który jak ów senny chodzący po dachu, co chwila mógł spaść i rozbić się w kawałki, ale osobliwsze jakieś strzegło go szczęście, jakaś niewidoma opiekowała się nim ręką... Miał podkomorzy silnego i nieznużonego opiekuna w królu, protektorkę naturalną w familji, która nim władała, ale oboje to nie starczyłoby jeszcze, gdyby nie osobiste jego szczęście.

Tracił ogromnie i zawsze miał co tracić, narażał się i wychodził cało, szalał a nie mógł nic splatać coby go zgubiło; nadużywał sił, zdrowia, ludzi, pieniędzy, a miał je zawsze na zawołanie.

Powszechnie też tego wesołego utracjusza i hulakę zwano dzieckiem fortuny, i on sam przywykł w swoją gwiazdę wierzyć, jak gdyby się nigdy zaćmić nie miała. Zresztą był to, jak wielu jego społecznych, więcej roztrzpiotany i zepsuty niżeli zły człowiek, uniewinniło go wychowanie, przykłady, nałóg!! Był czego zażądał, nie znał co to niepodobieństwo, ani mierzył wartością rzeczy starania się o nią, ale żądza swoją — a żądza wzrastała najłżejszym podrażnieniem, zaporą, trudnością. Trafiło się, że podkomorzy tracił tysiącami dukatów dla tych co byli do zbycia za talara — byle kamyczek na drodze leżał między nim a niemi.

Rozchodzące się opowiadania o piękności Anusi, o surowem jej zamknięciu, — powtarzane nietylko w mieście, gdzie po salonach za wachlarzami zmyśloną historję damy sobie podawały, ale nawet w zamku, dostateczne były do podżegnienia pana podkomorzego brańskiego. Wejrzenie jego na Anusię, którą znalazł wcale inaczej niż myślał, zaostrzyło tylko chęci, nie zmieniło zamiarów. Może też wdzięk niewinności, woń prostoty, nowa dla niego co obcował z zepsuciem miejskiem, urok jakiś miały pociągający. Słowem, podkomorzy rozgorzał, oszalał, głowę sobie nią nabił i pokoju nie mając, gryzł ustawicznie palce (jak był przywykł) myśląc jakby się do Anusi przybliżyć, jak ją pochwyć.

Posłał zaraz szpiegów swoich na zwiady, a nim parę dni minęły, miał już dokładniejszą nieco wiadomość kto była Anusia, jakie ją z podczasycem łączyły stosunki i widział jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. Wiadomość ta ukazując mu same przeszkody, zraziła go nieco, ale cofać się przecie nie myślał. Już się był kilku poufałym zwierzył swojego projektu, a że nic w sobie utrzymać nie mógł, zaraz też przed niemi żalić się począł, jak mu to ciężko szło, że Anusia była dziewczęciem prostem i poczciwym, wychowanem na wsi, że sposobu prawie nie ma do niej dostąpić; przyjaciele rozśmieli się na całe gardło.

— A! a! podkomorzy się cofa! — zawołano — za trudno! przecież trafiła kosa na kamień!

— Ja się cofam — wykrzyknął bijąc pięścią o stół zapaleniec — tego jeszcze nie bywało i nie będzie! Idę w zakład jeśli chcecie, że za tydzień Anusia gospodarować nam będzie w moim domku na Nalewkach.

Podkomorzy, wzorem owych sławnych domków zwierzyńca *parc aux cerfs*, miał domek urządzony na Nalewkach, gdzie ulubienice trzymał i dawał niekiedy poufałym swoim wieczorki i baliki bardzo głośne.

Słowo się tedy rzekło, pochwycono je, potrzeba było dotrzymać! Podkomorzy zagryzł palce do krwi, natarł głowę, ale zaklął się że na swoim postawi... Sam tu nie wiele mógł zrobić, musiał użyć zwykłych swoich pomocników, kamerdynera Syxtyńka (rodem ze Lwowa, który ze się gdzieś znalazł na ulicy Syxtówką zwanej i nazwisko też od niej otrzymał) i niejakej Szwędzkiej. Syxtynek na ten raz nie bardzo mógł usłużyć, na Szwędzkiej cała spoczywała nadzieja.

Były to wybitne swego czasu postacie, których lekko zbyć niepodobna. Syxtynek, łotr kamerdynier, bo jaki pan taki kram, ale łotr elegant co się zowie, z góry traktujący nie tylko kamerdynierów braci, ale szlachtę szaraczkową, równie jak pan ufał w szczęście i broił niesłychanie, rachując na podkomorzego, że go i z pod szubienicy wyciągnie. Zuchwała sztuka, miał się za równego wszystkim, a jeśli raczył przed królem uchylić kapelusza, to raczej przez bojaźń kija niżeli uszanowanie. Miał on tyle dowcipu i sprytu, że w potrzebie mógł z siebie na chwilę i dosyć potulnego zrobić człowieka, ale zawsze grał rolę panicza i udawał że panu podkomorzemu przez przyjaźń tylko służy. Że go pochodzenie i nazwisko piekło, zrobił sobie jakąś romantyczną historją swego rodu, którą często na plac najbezczelniej wyciągając, od jakiegoś hrabiego Syxta w prostej linii się prowadził.

Madame Szwędzka chodziła wszędzie z tym francuzkim tytułem bardzo słusznie, raz że podobno miała w początku sklep modniarski, powtóre, że zajęcie jej i rola wcale nie polskie, francuzką ją czyniły. O pochodzeniu tej awanturnicy nikt nie wiedział, ani z kąd się wzięła w Warszawie; jakiś akcent cudzoziemski w mowie się jej przebijał, a rysy też nie były tutejsze. Ciemnej płci, oczów czarnych żywych, twarz już około czterdziesto-letnia ale jeszcze resztki piękności starannie pielęgnująca, gadatliwa, ruchawa, żwawa, bezczelna, znała cały świat, tylnemi drzwiami bywała nawet w zamku u Bruneta, w każdym pałacu miała jakieś stosunki, jeździła koczykiem, ubierała się wytwornie, szczebiotała po francuzku, a krąg jej znajomości tak się rozciągał szeroko, że z jednej strony dotykając antykamery króla, z drugiej zajmował uliczną tłuszcę i najbrudniejsze szynkownie.

Mieszkała na ulicy Bednarskiej, w swoim podobno własnym domu, tajemniczej kryjówce, do której wchodziło się przez trzy bramy: od przodu, z tyłu i z boku. Wrota były zaryglowane, straż pilna, a kto wie co się działo wewnątrz! Niezmiernie zawsze zajęta, madame Szwędzka we dnie prawie się nie pokazywała, lub jeździła *incognito*, wieczorem dopiero puszczała się w świat za swemi interesami. Co robiła a czego nie robiła, określić niezmiernie trudno.

Wozila listy, bileciki, czasem jeździła aż na wieś i powracała często nie sama, ale z ładnemi towarzyszkami, sprzedawała brylanty, zegarki, koronki, podejmowała się tajemnych prezentów, intrygowała na wszelkie sposoby, wpływała nawet ubocznie do facjend majątkowych i politycznych. Nikt nigdy się nie przyznawał głośno do znajomości z nią, ale mało kto naówczas jej nie używał w jakimś krytycznym razie. Rozumie się, że madame Szwędzka jeździła, posłowała, pośredniczyła i krzątała się nie darmo, dobre umiając ciągnąć zyski ze swego generalnego faktorstwa. Cnotą, która ją wzniosła na wysoki popularności stopień, głównym przymiotem, była niesłychana zręczność i dyskrecja. Nigdy nie skompromitowała nikogo, ani dobrowolnie, ani przypadkiem, nie dała się złapać za język ani za pismo, milczała doskonale. W razie biedy wykręcała się sama przemożnemi wpływami, ale za sobą nie pociągała nikogo.

W owych czasach intryg, miłostek, facjend, przekupstwa, tajemnic, silny był pomocnik do wszystkiego z madame Szwędzkiej.

Kto ją mógł mieć, pewien był swego, ale tego sprzymierzeńca pozyskać nie było łatwo: co dzień stawiała się droższą, dumniejszą, kapryśniejszą, mniej przystępną. Czasu tego sejm, i napływ osób i namiętności, dawał jej ogrom zajęcia, i zbogacił był znacznie. Przebąkiwała już, że chce sobie wyszukać męża i usunąć się od interesów (*se retirer des affaires*), a resztę życia spokojnie gdzie na wsi przepędzić.

Nic ją bardziej nie gniewało nad niezręczność, bo doświadczenie i dowcip uposażyły ją samą w najosobliwszą trafność do wszelkiego rodzaju robót. Dla niej także nie było niepodobieństwa; trafiła do każdego, poczynając tylko od pytania: a co on lubi? nie znała co to drzwi niedostępne, co ludzie nieużyci.

Szwędzka na wielkim świecie miała ulubionych kilku klientów, do których liczyli się koryfeusze partji hetmańskiej, dawniej książę podskarbi i kasztelan, ale dwóch ostatnich rzuciła, jednego, gdy go pod sąd oddano, drugiego, gdy oratorem z profesji został. Ocierając się o ludzi, pomimo podszewki gburowskiej która się zawsze w niej przebijała, tak się była powierzchownie otarła, tak nabrała manieri świata, że przez godzinę jaką mogła by była w najlepszym mieścić się towarzystwie; a gdy chciała, tak grała rolę głupowatej, cnotliwej, skromnej, że oszukała by każdego. Niepospolita aktorka umiała ludzi na pamięć i korzystała potężnie z tej umiejętności. Chciwa, dumna, bezczelna, miała wszystkie wady swego stanu, ale w wysokim stopniu posiadała jego przymioty.

Podkomorzy jak skoro przysiągł mieć Anusię, poleciał zaraz sam do Szwędzkiej, nie chcąc czekać póki wezwana przyjechać raczy. Ledwie się dostawszy do bramy od tyłu, ledwie wymodliwszy posłuchanie, musiał jeszcze czekać, bo jejmość była na konferencji z jakąś tajemniczą figurą, która przybyła najętą karetą i weszła tak zakwefiona, żeby jej i djabeł nie poznał.

Po odprowadzeniu tej pani do powozu, madame wyszła nareszcie do podkomorzego zafrasowane trąc czoło. Przyjmowała go może umyślnie w małym trochę przyćmionym saloniku, z którego aż czworo drzwi, w cztery wiodły strony. Pokój to był mimo dość przyzwoitego i wykwintnego niby przybrania, tchnący bezceństwem jakimś... była w nim jakaś woń zbyt uczona, woń rozpusty, co się oblewa wyciskiem wszystkich kwiatów by straconą świeżość niemi nagrodzić... drzwi jego patrzyły złowrogo, posadzka zdawała się miejscami jakby krwią zaschlą po zbrodni poplamiona, każde krzesło spowiadać się zdawało z jakiegoś występku którego było świadkiem. Na dwóch fałsz-marmurowych słupach stały dwa piękne ale pęknięte wazon, których szczyby kto wie jak powstały?

Zasłony okien zdawały się potargane, pomięte, jakby je kiedyś konwulsyjna chwyciła ręka, zostawiając ślad gwałtu — powietrze było ciężkie i lochowe... Światło padało ukosnie, niechętnie i zmieniało się w fałszywy jakiś odblask, który kłamał na twarzach czego w nich nie było. Ale podkomorzy zajęty swoją sprawą, nie miał czasu zastanawiać się nad fizjognomią salonu, i szybko zbliżył się do madame. Ona w progu, starannie jednak drzwi za sobą zamknawszy, plasnęła w ręce, kiwając głową ze śmiechem.

— A! a! cóż to za niespodziany gość u mnie! musi ci być gorąco podkomorzuniu (zwała wszystkich bez ceremonji, spieszczając tylko tytuł lub imię) kiedyś się aż sam do mnie pofatygował.

— Szczęściu, kochanie, chodzi o mój honor... i o... serce. Oboje w niebezpieczeństwie...

— O! o! już się pali jak jasna świeca! — zawołała jejmość, kręcąc głową ze zbladłym uśmiechem — a jak nie w porę przychodzisz! nie wyobrażasz sobie co mam na głowie, półtóry kopy najtrudniejszych interesów...

— No, to jednym więcej nie zawadzi.

— A daj mi pokój! ty ze swoim musisz kolei czekać (wiedziała komu to mówiła).

Podkomorzy obrócił się na nodze i syknął.

— A idź do diabła z poczekaniem! oto mi słowo!

Madame śmiejąc się z trafności swojej rzuciła się na kanapę.

— No mów — nie mam czasu, krótko a węzłowato.

— Naprzód słowo że się podejmiesz.

— Zobaczę.

— Tu nie ma zobaczeń — potrzeba, musisz i kwita. Dam co zechcesz a zrobisz co powiem.

— Dam co zechcesz! — powtórzyła ruszając ramionami. — Jaki mi pan! no! gadaj!

W tem spojrziała jakby dla zobaczenia godziny na kameryzowany zegareczek wiszący u pasa, śliczne caceczko.

— Mów! nie mam czasu, *parole d'honneur!*

Poczęła się bawić zegareczkiem. Podkomorzy zobaczywszy go kwaśno się skrzywił, bo już rozumiał o co idzie.

— Ale naprzód — przerwała kładąc mu rękę z zegarkiem na kolanach — kupisz sobie u mnie to cacko... Śliczny pektoralik! same brylanty warte z 50 dukatów! a żebyś

jeszcze wiedział w jakiej była potrzebie ta co mi go kazała sprzedać... co to za śliczniutki buziaczek! Dobrze żeś przyszedł, to go kupisz.

— A kupię! kupię! — trochę kwaśno rzekł podkomorzy.

— Otóż jeden interes skończony... dasz mi tylko sto dukatów.

Podkomorzy syknął, zagryzł palce, ale się nie sprzeciwił.

— Wstydz się, już syknasz! co to znaczy sto dukatów — *une misère!* teraz mów.

Podkomorzy począł całą historją Anusi i swoją, ale mu dończyć nie dała madame, domyślając się połowy. — Podumała nieco.

— Sprawa trudna, dziewczyna ze wsi, nie uboga może! zakochana, uczciwa! a to śliczną mi swatasz robotę, niech cię kaduk porwie!

— Szczęściu, ale to zrobić się musi.

Kiwnęła głową.

— Potrzeba czasu.

— Trzy dni.

— Zwarjowałeś!

— No, to cztery...

— Najmniej tydzień.

— Nie sposób!

— Cóż myślisz na to sakryfikować? — zapytała wpatrując mu się w oczy.

— Ceny nie naznaczam.

— Szalony! — szepnęła ruszając ramionami — no! ale naprzód zapłać za zegarek.

Podkomorzy wyciągnął rękę po cacko, ale Szczęścia swoją cofnęła.

— Alboż myślisz go wziąć?

— A cóż kiedy kupuję!

— Kupujesz, ale mi go darować musisz, inaczej ani się podejmę interesu, tysiąc ich mam na głowie, idź do licha.

Zwróciła się ku drzwiom.

Podkomorzy dobył sakiewki, popatrzał na nią, ale coś wyglądało chudo.

— Pieniądze — rzekł — odeszł ci za godzinę, ale interes zrobisz.

— Dla ciebie podkomorzuniu jakże tego nie zrobić! szydersko uśmiechając się odparła Szczędzka i podała mu rękę — no! no! bądź spokojny a siedź cicho! Gdy będzie potrzeba to ci dam znać.

II

Nazajutrz rano szedł pan Kasper Sieniński z kościoła od św. Jana, a obok niego zakwefiona kobiecina, w której, najwprawniejszemu oku trudno było poznać wczorajszą madame Szczędkę; chociaż nie kto inny mu towarzyszył. Ale jakże się zmieniła! co za spokój na jej twarzy tchnącej skromnością i smutkiem, jak niewykwintny ubiór, jaka obojętność i powolność ruchów!

Pan Kasper toczył z nią rozmowę po drodze, prowadząc ją do swego dworku.

— Jakże to być może — mówiła madame — żeb waćpan dobrodziej nie przypominał mnie sobie? Byłam naówczas na respekcie u JO. księcia kasztelana...

— Przyznam się waćpani dobrodziejce — odparł pan Kasper — że ja naówczas pokojowcem będąc, od czego (*intra parenthesim*) i najlepsza szlachta poczyniała — nie śmiałem ani oczów podnieść na respektowe panienki, a waćpani dobrodziejka musiałaś być chyba bardzo młodziutką, prawie dzieckiem.

— Tak jest, prawie dzieckiem — szybko dodała pani Szczędzka i westchnęła. — A co to za święty, bogobojny był dom księstwa kasztelaństwa... a sama pani! anioł!

— Święta, istotnie święta osoba! — rzekł pan Kasper.

— A sam-że? co to za dobroć. Ani się kiedy ofuknąć umiał, choć mu figle nie małe płatano. Bywało w największej złości nogą tylko tupnie i już bardzo źle, kiedy sobie zamiast przekleństwa krzyknie — *mirabilia!*

— A! a! pamiętam to jego przysłowie! to też go przyjaciele i nieprzyjaciele zwali z tego powodu ksiązę *mirabilis*, a że JO. pani była trochę czerwona, to ją czasem jak śliwkę *mirabellą* nazywali...

Szczędzka się dobrodusznie rozśmiała.

— Ale jakże się to dzieje, że pani się dostałaś do Warszawy? — spytał Kasper.

— Długo by to było opowiadać — westchnęła madame — a nie ma co słuchać! ale chwala Bogu handelek mi tu poszedł, stosunki się porobiły niezgorsze, i gdyby tak jeszcze udało się znaleźć uczciwego człowieka, co by się zaopiekował moim wdowieństwem, a zarządził tym groszem co się to uciula! — bo to tak samej kobiecie, trudno!

Chrząknął i odprostował się pan Kasper — na wspomnienie grosza dziwna myśl zaświtała mu w głowie; spojrział uśmiechając się w oczy jejmości, czapki poprawił, pasa pociągnął, wąsa podkręcił, czoło pogładził — ona oczki w dół spuściła skromnie.

— Tak samej kobiecie bez opieki — dodała — w takim mieście! ludzie często uczepią się, odra, oszukają, a niema się komu i ująć. Gdyby mi się tak stateczny człowiek trafił...

— Masz waćpani dobrodziejka słuszność, ale nie chłystek, stateczny, wytrawny, co by to grosza nie przehulał... choćby nie tak młody aby pewny...

— E! mnie tam wcale o młodość nie chodzi, mówiła ciągle wzdychając Szwęsia — chcę opiekuna! zbliżali się ku dworkowi, a pan Kasper co raz stawał się rezolutniejszy.

— A do mojej ubogiej chatki nie raczysz to waćpani dobrodziejka nóżką wstąpić? — zapytał grzecznie.

— Jeśli pan pozwolisz? — skromnie odezwała się kobiecina.

— Najgoręcej proszę mi ten honor wyrządzić, chociaż to ubogo, ubogo — ale bom ja oszczędny i z jutrem żyję, dodał cicho stary.

— Oszczędność to największa cnota! — odpowiedziała jejmość.

— Złota maksyma, jak Boga kocham — rzekł pan Kasper całując białą rączkę. — Pani mnie coraz mocniej za serce chwytasz — i poprawił się stary.

W tem zapukali do bramy, a Hołodryga wyścibił głowę — na widok nieznanym kobiecie wielkie oczy wytrzeszczył, otworzył furtkę za którą się ukrył i wpuścił wchodzących, sam zaraz pod Bernardyny ruszając.

Pani Szwędzka udając że nie wie kto we dworku zamieszkuje, weszła doń doskonale odgrywając rolę dewotki, z wielką księgą pod pachą, z ogromnym kokosowym różańcem w ręku. Pan Kasper nie mogąc jej przyjąć w swojej izdebce, musiał wprowadzić do średniego pokoju, gdzie właśnie samą zastali Anusię. W pierwszym wejrzeniu na nią nieostrożnem, łakomem, badawczem, dla innych ludzi byłaby się wydała niepoczciwa kobieta, tak jej oczy błysły szatańsko, ale nikt tego nie uważał, a ona rachowała na to i zaraz zakrzyczała w progę:

— A cóż to za niespodzianka! a toż jakie śliczne dziecię w pańskim domku? czy córka?

— Nie pani, mam honor przedstawić pani skarbnikowiczowej dobrodziejce (tak się mu kazała tytułować) synowicę moję, Annę Sienińską, wychowankę podczaszynej Ordynskiej, która tu z ojcem swym, a bratem moim, pod tę chwilę nieprzytomnym, samotność moję podziela.

— Ależ to cudny fioleczek ukrywający się w cieniu! zawołała Szwęsia, po przywitaniu siadając koło Anusi, która czegoś skłopotana i jakby przecuciem odepchnięta, odsuwała się trochę od dewotki. — Dawnoż to moje dziecię w Warszawie?

— Ja? od kilku miesięcy.

— I ciągle tu tak w kąteczku? — spytała przymilając się mniemana wdowa.

— Bardzo mi tu wesoło z ojcem i stryjem.

— Ależ to samotność nie dla twego wieku, kochane dziecię — dodała madame — to klasztor prawie. Waćpan dobrodziej — obróciła się do pana Kaspra — nie powinienes tu tak dać więdnąć tej różyczce.

Pan Kasper nie wiedząc co odpowiedzieć ruszył tylko ramionami.

— A cóż — dodał po namyśle — myśmy ludzie prości, gdzie nam towarzystwa szukać, siedzim w kącie, Boga chwając po prostu.

— Cha! cha! panience by się i kawaler należał! — wpatrując się wciąż pilnie w Anusię, dodała Szwęsia, przesywając wzrokiem biedne zmieszane dziewczę — ale na to jeszcze czas.

— O! i bardzo! — mruknął Kasper.

— Jakże to szczęśliwie — przemówiła po chwili — że nas los do siebie zbliżył panie Sieniński, to u mnie przecie panienka — jakże imię?

— Anna! — szepnęło cicho dziewczę.

— U mnie panna Anna znaleźć może czasem rozrywkę, towarzystwo uczciwe, zabawę, mogę jej towarzyszyć do kościołów na nabożeństwo, przechadzkę, czasem i wieczorek u mnie spędzić weselej będzie. Ja bardzo lubię młode osoby, sama dzieci nie miałam, to się choć cudzemi chętnie otaczam.

— Bardzo dziękujemy pani — z galanterją rzekł stary przysiadując się nieco, a Anna przerwała:

— Ale ja się tu bynajmniej nie nudzę, ani towarzystwa pragnę, przywykłam do ciszy, spokoju i pracy.

— A to bardzo ślicznie — krygując się rzekła madame — bardzo ślicznie dla młodej panienki, bo to chroni od tysiąca niebezpieczeństw wśród tego zepsutego świata groźących, ale dla zdrowia i dla humoru nie wadzi niewinna rozrywka.

Anna zamilkła, Kasper czuł się w obowiązku potakiwać wdówce, która westchnęła.

— Oj bo to świat! świat ta nasza Warszawa! — odezwała się — co to za dwór! jakie to zepsucie, jacy mężczyźni, to imaginacją przechodzi!

— Rzeczywiście pani dobrodziejko — odparł Kasper — wzdrygam się patrząc — Sodoma i Gomora.

— A kościoły pustką, dodała Szwęsia.

— A hulanka bezustanna, i między panami i między sługami.

— Tak, że tu pocziwiej kobiecie byle twarzyczka ładna, ani się na ulicę pokazać, spokoju niema od tych łotrów, mówiła dalej madame, z tego względu to dobrze że panna Anna nie bardzo rada wychodzi.

Rozmowa w ten sposób dosyć zręcznie prowadzona, trwała jeszcze chwilę, ale napróžno usiłowała różnemi sposoby Szwęsia przybliżyć się do Anusi, która czuła wstręt jakiś od pierwszego wejrzenia na mniemaną dewotkę. Nareszcie wstała wdowa i uśmiechnąwszy się do pana Kaspra, rachując na to że zaproszenie go do domu i przyjęcie w nim, większe na umyśle Sienińskich zrobić może wrażenie, zaproponowała staremu żeby ją przeprowadził i nawzajem odwiedził. Kasper, który już dziwne na wdówkę miał projekta, pochwycił chętnie życzenie, wziął czapkę i laskę, podał jej rękę i powierzwszy Anusi straż domu, sam rzezko się zwijając wyszedł ze Szwęsią.

Wiedziała ona któremi go drzwiami wprowadzić do swego domu, zawróciła się do tylnej bramy na ten cel przeznaczonej, otwierającemu dała znak jakiś niepostrzeżony i nie powiodła Kaspra do owego saloniku, w którym widzieliśmy ją rozmawiającą z podkomorzym, ale do izdebek na dole, przyzwoicie, skromnie ubranych i jakąś pocziwą a dostojną minę mających. Całą drogę grała swą rolę z taką naturalnością, łatwością i precyzją, że staremu i przez głowę szalbierstwo przejść nie mogło.

I te dwa pokoiki! zdrajcy — jak grały pocziwe, spokojne życie! jak tu wszystko było w porządku, czysto, świeżo, wesoło i jasno. Kwiatki w okienku, łóżeczko wysłane wysoko a bielutkie gdyby śnieg! kluczyki na kolku, kanarek w klatce, dziewczyna prosta do usługi, mebliki stare i niewymyślne. Staremu się aż uśmiechało, gdy pomyślał że ta zacna wdówka może — może — może — starość jego uweseli. Nie widział w tem niepodobieństwa, a czuł się jeszcze na siłach zawrzeć dozgonne śluby. Tymczasem madame zaprosiła go na kawę, a nim ją podano (bardzo poprostu i po gospodarsku) zaczęła mu opowiadać o dawnym handlu, o dochodach jakie miała, o domu, o lokatorach i t. p.

Stary potakiwał, rozczułał się, a że co chwila niby przypadkiem dowiadywał się dokładniej o domniemanej ilości talarów w kuferku spoczywających, o które wdowa bardzo się jakoś turbowała — stawał się co raz czulszy, młodniał, a tak mu się podgolony łeb zawrócił, że wyszedłszy po ucałowaniu rączek rześistem, palnął głową o fórtkę, co mu się w życiu nigdy nie przytrafiło.

Ale co to może szal, kiedy w starem sercu obudzi się po niewczacie! Leciał do domu, żeby co prędzej w cztery oczy z bratem o tem pogadać i pochwalić się sperandą. Zastawszy go, nuż się rozpościerać szeroko! Pan Jan milczał, słuchał, ramionami ruszał, a że nie był świadkiem wszystkiego i Szwęsia nie wywarła nań wpływu, którym potrafiła obalamucić pana Kaspra — na zimno sądząc, domacał się w tem wszystkim coś podejrzanego. Dodać potrzeba, że ożenienie brata, z którego spadek na Anusię miał iść kiedyś, jakoś go niemile drasnęło.

Kasper widząc tę obojętność, a nawet znalazłszy niedowiarstwo, ofuknął się.

— Co bo to panie Janie! myślisz się oponować i nie podzielasz moich nadziei? — rzekł nieukontentowany.

— Ale to trochę waści panie Kasprze w głowie świta, coś tak nagle w godzinę już i znajomość i czułość i gotowość stanąć na kobiercu! licha wie co to takiego, a zapominasz żeś starszy odemnie i ze szpaka na łabędzia już kroisz.

— Co to za szpak! co to za szpak! krzyknął Kasper uniesiony, ale kawaler! ale krzepki, a nie jednego młodzika zakasuję. A to mosanie wdowa ciepła, pieczone i warzone, grosz, kamieniczka i porządeczek! a co to za ład, a jaka w domu oszczędność! a kufeczek żebyś wasan widział! Pocałować go, tak gada o talarkach.

— Ale nie jużby ona co młodszego sobie nie znalazła?

— Tereferę mosanie — to kobieta stateczna, pobożna, fiubǳiu w głowie nie ma, a nareszcie stara moja znajomość!

— Ale cóż o niej nie wspominałeś nigdy?

— Tak, terazem dopiero doskonale ją przypomniał, choć dobrze młodszą odemnie, bo taki niczego, wcale niczego, ale na żonę w sam raz! Powinno tak być mosanie — mąż wytrawny, jejmość hoża! I tak Bóg przykazał!

Zatarł ręce, przeszedł się.

— Oto by mnie los spotkał na starość! — rzekł — no!

Anna, która weszła na pół rozmowy, rozśmiała się aż ze stryja.

— Patrzcie no ją! i ten pusty dzieciak chichi ze mnie stroi! no? a czegoż się ty śmiejesz?

— Ale bo stryjasku, strasznie się po młodemu rwiesz do tego małżeństwa...

— Bom młody mościapanno! — huknął Kasper nie zważając na ruszanie ramion brata — wiodło się życie skromne, uczciwe, młodość siedzi w kieszeni caluteńka, anim z niej tyle nie uronił! Dość tych śmiechów, a co wiem to wiem! i co ma się zrobić, to się zrobi.

Ojciec i córka spojrzeli po sobie i umilkli. Nazajutrz rano, pan Kasper gdyby na fest wystrojony i odświeżony, drapnął *summo mane* jak sam mówił do kościoła, a tu w ławce na wczorejszem miejscu zastał już swoją znajomość modlącą się bardzo pobożnie i niezwracającą oczu na niego. Dopiero po nabożeństwie zeszli się u święconej wody, co p. Kasper wyrachował po młodemu i udało mu się zręcznie, bo ani czekał ani gonił, tak się z krokami wymierzył. Madame Szwęsia rozśmiała się w duchu z nowego kontusza i postawy odmłodzonej konkurenta. Wyszli tedy razem z kościoła, jedną mając do przebycia drogę.

Mijali bramę Krakowską, pod którą jak zwykle śniadał sobie Orlandini; Włoch przyjrzał się dobrze przechodzącej kobiecie i znanemu sobie panu Kasprowi, zdziwił widząc ich razem i pokiwał głową.

— O ho! — rzekł — Madame Szelmosia (nie lubił tej niegdyś swej współzawodnicy) coś już kluje — uczepiła się starego, nie bez kozery.

I rozśmiał się Orlandini na całe gardło gdy go mijali, chcąc Szwęsię zmusić żeby się obejrzała, ale łotrzyca czując się poznaną przez nieprzyjaciela, nie odwróciła głowy i pośpiesznie ciągnęła dalej ku dworkowi pana Kaspra.

Jan teraz czekał powrotu brata, domyślając się a nuż go znów wdówka odwiedzi, rad był w oczy jej zajrzeć. Szwęsia jak wczoraj chcąc się powoli przybliżyć do Anny i oswoić ją z sobą, dała się na spoczynek zaprosić. W pochmurnej minie i najeżonym wąsie Sienińskiego domyśliła się coś nieprzyjemnego, więc trochę odłożywszy na potem pana Kaspra, który się musiał odchrząkiwaniem głośnym i otworzeniem tabakierki przypominać, starając uwagę zwrócić na siebie, wzięła się jejmość do ojca Anny i do niej.

Rozpoczęła się rozmowa jakkolwiek chłodna, ale tak zręcznie prowadzona, że w pół godziny pan Jan został pokonany, a Anna nawet śmieiej coraz i weselej spoglądała na skarbnikowiczowę! O! jak bo na to pracowała udając i poczciwą, i bojaźliwą, słabą istotę, której jedynym celem spokój, nabożeństwo, kawalek chleba na starość.

Wyszła, a Jan z bratem zostawszy w sieni pokiwał głową.

— No! no! — rzekł — istotnie ekstraordinaryjnie miła kobiecina, coś nawet zdaje się tak potulnego, poczciwego! ale to nie dla waści, młoda jeszcze, co się zowie młoda!

— A waćpan mi ciągle tym szpakiem w oczy rzucasz!

— To włoż-że perukę kiedyć to wadzi — odparł Jan — co oko widzi to gęba mówi! Nie dziw że ci wiek przypomnę, dobrze wiedząc kiedyś się urodził, *anno* jeszcze...

— Po co te przypomnienia — przerwał Kasper — stary, no to stary, ale jary! i kwita! i kwita! Aleś się jak wmość co drzemiesz ciągle nie wyżył i nie zszarzał. A wdówka! prawda — *ut sic!*

Złożył cztery palce w kupkę i pocałował.

— Co prawda to prawda — miła! nieszpeta kobiecina, a mówisz że i grosz jest?

— Ba, cicho szepnęła Kasper polykając ślinkę.

Kamienica! porządki i — kufereczek! kufercio! a! Albow bardzo tępy, albo tak lekko ceniąc, kilkanaście tysięcy talarów oszacować je można — posażek piękny! a żem kawaler, dodał mrugając oczkiem siwak — ona wdowa, zapis mi się należy — *to rerum natura!*

Jan milczał, Anna się śmiała, bo byli weszli do izby i tu już rozprawiali...

— Nie zapominajże Anusiu, żeśmy do niej zaproszeni wszyscy na poobiednią kawę, dołożył Kasper — zobaczycie ją w domu! rządna niewiasta!

Słodkie uśmiechy i słówka mniemanej wdowy nie ułudziły dotąd Anny, nie wzięły ją wcale za serce, ale w tęsknem jej życiu, ta rozrywka którą obiecywała nowa znajomość, nie była do odrzucenia. Nie gniewała się że jej ktoś przybędzie, do kogo czasem słowo przemówić by można, u kogo trochę się rozerwać w smutku. Po obiedzie ubrała się skromnie ale starannie, a że pan Kasper wciąż na stary srebrny zegarek spoglądał, któremu że większego indexa brakło, pokazywał co chciał i co mu kazano, przed czwartą jeszcze ruszyli w odwiedzinę.

Szwęsia przyjęła ich znowu na dole, w tych dwóch dość ciasnych izdebkach, przystrojonych tak skromnie i pocziwie; przybranie ich do okoliczności było całkowicie komedią, utworem artysty. Ani Anna ani jej ojciec nie dojrżeli najmniejszego fałszu, bo całe życie ze wszystkimi szczegółami tak było odgadnione doskonale i schwyte żywo, jakby w istocie w tych izdebkach żył kto, tęsknił, nudził się i płakał. I książka pobożna i krzyżyk i palma sucha, wygodki, poduszka i podnózek wszystko było na miejscu, a przecie te izdebki były ubrane dla Sienińskich tylko, i do wdowiego stanu służyły za dekoracją. Szwęsia była niewyczerpaną w podobnych conceptach i stawiała się każdemu jak było potrzeba, nigdy nie zaniedbując scenicznych akcesoriów.

W progu już zastali jejmość w białym pudermantlu, wyświeżoną ale bez rózu i bielidla, które zwykle nosiła, pozornie bardzo uradowaną przybyciem gości, a jak zawsze skromną, cichą, łagodną.

Po smutnej izbie dworku, te pokoiki świeżutkie jeszcze, z trochę zieloności, ze spiewem kanarka, ze swym sprzętem wygodnym, uderzyły Annę i przypominając jej życie wiejskie, lży prawie wycisnęły z oczu. Rzuciła się do wazoników, zielonością ogród w Głuszy i kwiatki starościny przypominających, do kanarka... Szwęsia niby nic nie widząc, śledziła każdy jej ruch i lży nawet postrzegła.

— To doprawdy jakieś niewiniątko, powiedziała w duchu — z tem to kłopotu więcej niż warto — no! ale to nie moja rzecz!

Wkrótce podano kawę, na grzeczności dla Anny szczególnie siliła się wdówka, i tak dobrze udaną jakąś czułością potrafiła ją ku sobie pociągnąć, że chciwa przywiązania Anusia, nie potrafiła być całkiem niewdzięczną. Poczęła ją zwać przyjaciółką, spoufalać się, ośmielać. Pan Kasper rosnał, bo i jemu dostawały się choć okruchy oświadczeń i serdeczności; a wdowa dla niego umyślnie co raz to coś o talarach brząknęła, co go rozplómięło niesłychanie. Chodził poglądając nieznacznie na próżny ale dobrze zamknięty kuferek pokryty dywanikiem, stojący w drugiej izdebce przy samym łóżku, nie mógł się od tego nęcącego widoku oderwać. Oczy wdowy do reszty go durzyły, bo nań tak czule patrzała, jakby jutro iść mieli do ołtarza.

Kilka godzin zbiegły żywo na opowiadaniu o dworze księstwa kasztelaństwa, którego Szwęsia zdawała się znać na palcach, choć w życiu go nie widziała. Rozweselono nawet Anusie, i pan Jan który towarzyszył córce, po kawie się tylko na kufrze pod oknem trochę zdrzemnął wedle zwyczaju. Króciutko to trwało, przeszło nie postrzeżone i ujęło za serce pana Jana, powtarzał i o tem ciągle.

— Bardzo miła kobiecina! i taka gościnna! Ale sobie gacha wybrała! no! no!

Jeszcze w progu zapraszając serdecznie Anusie do siebie, pożegnała ich Szwęsia, a ledwie wyszli, przebrana inaczej, rzuciła się w czekający powóz i pojechała do podkomorzego.

Przez tych dni kilka nie miał on żadnej o losie swoim wiadomości, co go okrutnie jątrzyło, ale że mu kazano czekać, musiał, i w miarę jak nieprzywykły do cierpliwości

na zniesienie niepokoju się wysilał, rosły w nim żądze, pracowała głowa — byłby dał wszystko co chciano za Anusię, którą raz najrzał w życiu! Rozrywał się wprawdzie grając po nocach całych, ale że to było pod wieczór jakoś, jeszcze go w domu zastała madame, właśnie u toalety. Porzuciwszy więc fryzurę i puder, jak stał w białym pudermantlu, na wpół umączony, nie starłszy twarzy, poleciał do niej, drzwi kazawszy pozamykać.

Szwęsia siedziała już z nogami na kanapie, a ujrawszy podkomorzego w tym stroju, poczęła się śmiać, domyślając się jak go tam już niecierpliwość piekła.

— No, a cóż Szwęsiu kochanie! a co? — krzyknął wpadając podkomorzy i wcale nie obrażając się śmiechem jej.

— Podziękujże mi naprzód żem się do ciebie sama *en personne* fatygowała — a ślicznie mnie przyjmujesz! fe! co za paskudnik!

— Przepraszam cię, ale tak jestem ciekawy!

— A tu nic nie będzie! — chłodno powiedziała Szwędzka.

— Jakto! — wybuchnął gwałtownie podkomorzy łamiąc ręce — a tom zdyshonorowany.

Uśmiechnęła się tylko.

— Ale możeż być żebyś ty! ty! nic nie dokazała?

— Co myślisz! Dziewczyna po uszy rozkochana w Ordyńskim, prosta, głupia, ani do niej przystąpić. Otacza ją dwóch starych, wyschłych zakamieniałych dziadów, pilnując jak we łbie oka. I nic to interesów nie rozumie.

— Ani pieniędzy nawet?

— Albo to oni ich potrzebują?

— Ależ stryj skąpiec?

— Patrz! jak już wie! rozśmiała się Szwędzka i nagle ton zupełnie zmieniła — no — co mi dasz? to ci ją na Nalewki przywiozę, na dzień i godzinę naznaczoną.

— Co chcesz?

— Fe, myśli się targować!!

— Nie targuję się, ale pytam.

— Bądźże wspaniałym — zawołała Szwęsia po swojemu — sypnij! jest za co! nie ma co mówić! różyczka! I że przywiozę to pewna, ale dalej, dawaj sobie rady jak chcesz — ja się w to nie mieszam, i przepowiadam nawet że kłopot mieć będziesz.

Podkomorzy trochę się zamyślił.

— Co będzie to będzie — rzekł — ale pokażę ludziom że co zechcę to dostanę; w sobotę u mnie wieczór, gości hukiem, Anna musi mi pogospodarować.

— No, ale cóż mi dasz — rzucając nań okiem chciwem przerwała lotrzyca — mów-no co dasz?

— Mów co ci mam dać?

Wstała z kanapy jejmość i przeszła się po pokoju, niby namyślając.

— Siadaj i pisz weksel do Cabrego na...

Schyliła mu się do ucha.

Podkomorzy poszukał tylko kałamarza, chwilę podumał.

— To ci dam weksel w sobotę.

— A niewierny! — dumnie krzyknęła rozgniewana — no! to bywaj zdrów!

— Jakto? ale ja ci wierzę, tyłkom się chciał wprzód Cabremu opowiedzieć — podchwycił przestraszony podkomorzy — ale kiedy tak, na, bierz, byle tak było, jakem prosił.

— Słuchaj, na dzień i godzinę nie chybię, bo to moja rzecz, ale jak się z tego wywikłasz, co wyniknie, nie moja sprawa. Stworzenie całkiem dzikie, ażeby je ugłaskać, więcej potrzeba czasu, to już nie moja sprawa.

Podkomorzy pochmurny usiadł pisać, a madame chodząc po pokoju zobaczyła pierścionek leżący na stoliku, i włożyła go na palec bez ceremonji.

— A to na pamiątkę dla mnie — rzekła pokazując.

Podkomorzy tylko ramionami ruszył.

— Wartam i więcej bo prawdziwą robię dla podkomorzunia ofiarę.

— W sobotę na Nalewkach — przerwał gospodarz oddając weksel.

— Będę jak zacznie zmierzchać! Bądź zdrów podkomorzuniu. — Rozśmiała się szydersko mówiąc po cichu: — Tyle twego podobno, co się tymczasem naspodziewasz.

I kiwnąwszy mu głową na którą spuściła welon, znikła znajomemi sobie drzwiami.

III

Podczaszyc siedział jeszcze w klasztorze zamknięty, dumając i zżymając się na dziwne położenie swoje. Chwilowe myśli jego brały religijny kierunek, to znów niecierpliwił się i narzekał na losy. Od dni kilku dziwny jakiś smutek go trapił, któryby był nazwał przecuciem, gdyby filozofia Poinso'ta dozwoliła mu przypuścić ten fenomenalny stan ducha. Tłumaczono to podówczas zdrowiem, żołądkiem, mózgiem, chorobą, czem chcąc byle nie duszą, której upierano się nie widzieć w człowieku. Niespokojniejszy był niż kiedy, więzienie gorzej mu coraz ciężyło, nawet trochę umiejąca go ukolysać rozmowa O. Spirydiona, teraz drogi do serca, zawałonego jakimś ziemskim uczuciem, wynaleźć nie mogła. Starzec czekał ale wzdychał.

— Twarda natura do dobrego — mówił w sobie — rekluzja nawet pożyć jej nie może, przyjdzie może czas upamiętania, ale nie rychło... i kto wie czy przyjdzie?

Pomimo jednak zewnętrznych oznak zatwardziałości, podczaszyc zmieniony był znacznie swoim pobytom u kapucynów — nie otworzyło mu się serce ale zmiękło, nie poprawiły pojęcia, ale uznał że obok nich istnieją inne, mocą których ludzie w spokoju i zgodzie z sobą i światem żyją — rzucone było ziarno, choć nie schodziło jeszcze.

Sama ta tęsknota, która często poprzedza nawrócenie, dobrym już była znakiem, a zwrot częsty ku dzieciennym latom, symptomem pragnienia innych wrażeń i żywota. Żywił jak mógł ojciec Spirydjon dobre ziarenka chuchając na nie i pielęgnując, a czekając wschodu, nieraz też kto z gości poufałych klasztoru odwiedzał samotnika przychodząc w pomoc kapłanowi. Tu, do koła pocziwych księży, przy zacnym O. Spirydjonie, krążyły jeszcze ostatki lepszej społeczności, w szczątkach tylko pozostałej w stolicy — nie zepsutej niewiarą, bogatej w uczucia, które zapal religijny w duszy zasiewa.

Dziwnie zaprawdę wydawali się ci starcy podczaszycowi, który na nich spoglądał z ciekawością jak na istoty drugiego świata. Mało podobnych wówczas liczyła Warszawa, podzielona na kilka obozów stronnictwami politycznymi, a nie zamykająca w sobie jak drobną cząstkę tego, co starą Rzeczpospolitą reprezentować mogło. Najpocziwszym już wówczas paliły się głowy reformami dziwnymi, nowostkami, najlepszych doszła zaraza niewiary, obojętności religijnej i cudzoziemszczyzny.

Możemy sobie poniekąd wyobrazić jaki był, rzecz można, szal umysłów, gdy z najlepszymi chęciami, szukano dla kraju lekarstwa w ustawie, którą Russo siadał pisać na serjo. W tym sposobie działo się przecie wszystko — nie budowano na krajowym gruncie, z cudzej myśli przedzono przyszłość, chciano ją zasadzić latoroślą z pod innego nieba wziętą. Wyższa społeczność przy najpocziwszych życzeniach, błędziła wiedziona ideami wieku i z nich się wyplątać nie umiała, przywykła do lekceważenia co swoje. Na wsiaach tylko, po zagrodach panował jeszcze duch przeszłości dotąd nietknięty, i tam żyli ci co piastowali ostatek podań krajowych. Świat to był tak dalece różny od tego, który się wyrabiał w miejskich towarzystwa sferach, wyższych zwłaszcza, że każdy głos posła co pierwszy raz rzucił swą cichą chatę, by radzić na sejmie, brzmiał na nim jak z grobu wywołany, przed stu-letnią myślą. I głuchły te głosy nie wielu, niepojęte, niesłuchane, wyśmiewane najczęściej, zagłuszane krzykami kilku gardłaczy, gdy, jak współczesny jeden pamflet powiada — Branicki z Sapiehą knuli rzeczy po cichu, Suchorzewski i Suchodolski imponowali sejmowi, Zaleski i Mikorski coraz to nowe poddawali projekta, książę jenerał i Stanisław Potocki ustawnie perswadowali, Byszewski i Łączyński milczeli, a król jegomość cierpliwie znosił wszystko.

Ta więc społeczność nieznana podczaszycowi, której próbki miał zręczność poznać u kapucynów, była dlań zupełną nowością. Byli to ludzie, których ubóstwo i wieś uchroniły od nabrania poloru wieku, u których tradycja czczoną jeszcze była i szanowaną jak arka narodowa, ostatnie niedobitki Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, konającej teraz w objęciu reformatorów. Starzy konfederaci Barscy, z kresami chlubnymi na głowie, gotowi jeszcze byli pod starość sięść na koń i co dzień chodzili siodła swe i moderunki oglądać; zakonnicy wreszcie, których stan chronił od zepsucia. Maluczki ten świat, który wzdychał, modlił się, płakał i czekał, który miał serce i wiarę, patrzył już tylko na czynnych, ale sam nie był w czynie — miejsce jego zajmowało pokolenie, którego chęci walczyły z fałszywym pojęciem środków. Tu się przysłuchiwał młody człowiek podaniom mało znanej przeszłości, z której wprzód uczono go się naśmiewać, i poznał że szacunku była

godną; tu ujrzał, że barbarzyństwo, którym rzucali w oczy zepsuci by się sami od zarzutu wynarodowienia obronić — całe było w fałszywym pojęciu form, których znaczenie zgasło.

W poważnem tem kole sędziwych, pobożnych, zapłakanych starców i myśl jego spoważniała trochę, choć z zatwardziałością upartą wpływowi ich się bronił. Nie raz już O. Spirydjon miał na ustach słowo z którym wyczekiwał dogodniejszej pory, by nie zrazić niewczesną gorliwością, — a w tem wszystkie nadzieje starca rozsypały się w proch w jednej chwili.

Tegoż dnia, a było to w sobotę, gdy staraniem Fotofero i de Cerullego zgoda z Rybińskim zawartą została, gdy i ksiądz biskup kujawski przez króla ukołysany, zezwolił na nieposzukiwanie napastnika synowca swego, — podczaszyca wezwano wieczorem do fórtu. O. Spirydjon, który wypadkiem chodził, usłyszawszy że go wołano, a myśląc że to może sztuka nieprzyjaciół, co dowiedziawszy się o miejscu, chcąc go tylko wywabić, zwrócił się do przybyłego i spytał:

— A kogo to żądacie moje dziecko?

Tem dzieckiem był niegdyś marszałek dworu i totumfacki podczaszyca, imci pan Frejer, do którego z rana zabiegł cavaliere, dając polecenie, żeby się do swego pana dostał.

Frejer z początku niechętnie się brał do tego, bo usunąwszy się przy rozbiciu z rachunkami, bardzo ślicznie spisanemi, nie miał potrzeby ratować Ordyńskiego, nie posądzając żeby jeszcze co w kieszeni jego do wyłowienia i obrachunku znajdować się mogło. Słyszając o stanie interesów podczaszyca, będąc świadkiem jak dom i sprzęty zabierano, myślał, że podczaszycowi *caput* będzie, jak mówił; jako bardzo porządny człowiek nie chciał się do nieporządných chudopacholskich spraw mieszać. Cavaliere go dopiero przywiódł do pomiarkowania.

— Co ty sobie myślisz? — zawołał do niego po niemiecku — czy ty nie wiesz, że panowie są jak koty, które choćbyś zrzucił z największej wieży, zawsze padną na nogi i nic im się nie stanie? Pójdiesz do niego i oddasz mu kartkę moją, dodając ustnie, że sprawa z Rybińskim skończona, że nie ma się czego obawiać wyjść na świat; — powtóre, dasz mu list z Florencji donoszący o śmierci jego matki, a potrzecie dodasz, że jest pilniejszy nad wszystko interes... dla którego powinien spieszyć...

Frejer dobrze się namyśliwszy, wziął kartkę i list i wybrał się do kapucynów, a gdy O. Spirydjon zagadnął, chciał zaraz kartelusz podać, ale pismo z kieszeni znikło jak kamfora.

— Kogo to żądacie?

— Podczaszyca Ordyńskiego — rzekł Niemiec z poważnym jak suknia jego ukłonem.

— Ale — rzekł O. Spirydjon po łacinie, przypatrując się ciekawie Niemcowi — ja tu o żadnym w tej chwili nie wiem.

— Podczaszyc Ordyński Michał! — począł nalegać wciąż kłaniając się Frejer.

— Czego od niego chcesz?

— Mam poselstwo, ważne, wielkie, smutne! — łamanym językiem począł łatając się Frejer, któremu łaciny nie starczyło.

— Cóż takiego?

Niemiec potrząsał głową.

— Jakże się waćpan nazywasz — spytał ojciec — to się pójdę dowiem.

Niemiec po raz trzeci się uklonił, a że Polska szlachecka, uczyła szlachectwa wszystkim, a kto w niej parę lat pobyl, już herbownych nabierał pretensji, Frejer, syn tkacza gdzieś w Saksonji, odparł:

— Nazywam się Justus Bartholomäus von Frejer!

Z tem poszedł zakonnik do celi i otworzywszy drzwi, zastał podczaszyca spartego na stole, a tak zadumanego że wnijscia jego nie słyszał.

— *Laudetur...*

— A! dobry wieczór jegomości!

— Powiedz mi kto to jest Justus Bartholomäus von Frejer?

Podczaszyc, który pod tem nazwaniem z trudnością poznał swego dawnego pomocnika, nie rychło wykrzyknął:

— A! Frejer! to mój niegdyś totumfacki! ale zkądże go znacie mój ojczec?

— Jak myślicie, czy to uczciwy człowiek? — spytał O. Spirydjon — nie zdradziłby was?

— Ale nie! to człek dobry, flegmatyk, Niemiec, i okrutnie regularny w registrach, o pieniądze trudno z nim było zawsze, ale co w rachunkach nikomu się nie da przepisać!

Rozśmiał się kapucyn.

— No, to może chcesz się z nim widzieć, czeka u fôrty!

Podczaszyc ruszył chcąc wybiedz, tak mu zapachniało stare życie, którego Frejer był przypomnieniem, ale go ksiądz powstrzymał.

— Czekaj, bezpieczniej ci go tu wprowadzić!

I rzuciwszy na podczaszycą pełnem litości wejrzeniem wyszedł, a po chwili wsunął się Frejer, kłaniając się bezustannie. Ordyński o mało go w pierwszym zajpale nie uściskał — tak był głodny wrażeń, plotek świata...

— Jakżeś mnie tu wyszukał?

— Posłał mnie cavaliere Fotofero — miałem nawet listek, — ale Niemiec zaczął szukać po kieszeniach. — Co to jest? Dziwna rzecz! ja nigdy nic nie gubię! Dziwna rzecz!

I brwi podnosił i ramionami ruszał i rewizją sukni rozpoczynał jak najsumienniejszą, ale listu znaleźć nie mógł.

— Nie pojmuję jakem potrafił zgubić.

— No ale wiesz przecie — znicierpliwiony tą zgubą i flegmą z jaką Niemiec ledwie skończywszy poszukiwanie, znów je na nowo przedsiębrał — ależ wiesz z czym cię posłano?

— Cavaliere Fotofero mówił mi... ale jakże ja mogłem zgubić kartkę! — powtarzał Frejer, który poczynał wywracać kieszenie aby je poznać że były rewidowane.

— Zgubiłeś, toś zgubił, mniejsza — tupnął nogą Michał — ale mi mów z czym cię posłano.

— To nic, ale jak mogłem zgubić list! — zawołał niepokonany Niemiec — to niepojęta.

Nareszcie gdy wszystkie kieszenie, kieszonki, chustki, kapelusz, najsumienniej przejrzone zostały, Niemiec westchnął.

— To niepojęta! rzekł.

— To niepojęta jak ty jesteś nudny — zawołał podczaszyc przeskakując z nogi na nogę — mów naprzód z czym cię posłano?

— Kazano mi powiedzieć, *primo* — tu Frejer zobaczywszy kieszenie powywracane i suknie rozpięte, znów je do porządku zaprowadzać się zabierał — *mo* że JW. pan śmiało i bezpiecznie wyjść już możesz, gdy sprawa z panem Rybińskim skończona, a król Jego-mość księdza biskupa wziął na siebie; *zdo* że z Florencji przyszła smutna wiadomość pod datą...

— Co? od mojej matki?

— JW. podczaszycyna nie żyje! — flegmatycznie z ukłonem rzekł Frejer.

Ordyński rzucił się na krzesło łamiąc ręce.

Szczerze on przywiązany był do matki, choć między nim a nią nie widać było tej czułości, która rodziców z dziećmi wiązać powinna, ale u obojga zatajone tłało uczucie, któremu tylko zimny wiek obyczaj na wierzch wyjść nie dozwalał.

Chwilę podczaszyc pozostał tak w smutnem zadumaniu, które Niemiec tem łatwiej pozsanował, że użył tej chwili spoczynku na nowe poszukiwanie w kamizelce i pludrach, równie bezskuteczne jak pierwsze.

Michał zapłakał nad sobą i nad nią... na obcej ziemi w sieroctwie zmarłej. On także uczuł się sierotą i zadrżał, myśląc, że na jednego Boga tylko śmiało rachować może.

O. Spirydjon, który się ukazał w tej chwili, zastał Niemca jeszcze się systematycznie przetrząsającego, a podczaszycą we łzach. Łzy te niemal go uradowały, bo płacz, to owoc serca, a nie każdy zapłakać może!

— A! co ci to dziecko moje! — zawołał z uczuciem — co ci to jest?

— Odebrałem wiadomość o śmierci mojej matki.

— Módlmyż się za jej duszę — rzekł po cichu kapucyn kłękając... i począł głośno — Anioł Pański.

Niemiec stał i patrzył, podczaszyc zawahał się by za starym modlitwę powtórzyć — choć myśl już była gdzieindziej.

— Cóż teraz myślisz z sobą — spytał powstając O. Spirydjon.

— Właśnie mi przyniesiono wiadomość — odpowiedział podczaszyc — że sprawa moja o zadanie rany Rybińskiemu skończona, dzięki przyjaciółom. Śmierć matki wkłada na mnie nowe obowiązki i zajęcia — muszę wyjść natychmiast, ojciec pozwól bym ci złożył serdeczne dzięki za gościnność!

Starzec patrzył na niego prawie rozczulony.

— Ha — wyjąkał powoli — idź w imię Boże — ale wołałbym był żebyś tu jeszcze pozostał. Świat, stary bałamut, znów ci obejmie i omami, i to coś w siebie wzięł ze spokojniej, świętej tych murów ciszy, zwietrzeje rychło! Bogdaj byś kiedy przypomniał sobie te dni rozmyślania i pokoju, jakieś tu spędził!

A jeśli cię serce zaboli, powróć tu do nas, panie Michale — powróć do nas, do Boga... tam... może ci na chwilę weselej się zda, ale przeszumiawszy godziny policzone... żal ci ich będzie, bo każda owoc dać powinna, a te ci i kwiatu nawet nie zostawią po sobie!

— Dziękuję ci, dziękuję ojciec — powtarzał podczaszyc.

— Dziękujesz, płaczesz, ale dla czegoż tak ci się wyrzywać pilno? Idź więc... idź! i niech cię Bóg ręką starca błogosławi!

Frejer jeszcze szukał nic nie znajdując dotąd, podczaszyc trochę rozczulony, ale odzyskaną swobodą rozgrzany, pochwycił za płaszcz i kapelusz — wyszli. — O. Spirydjon milcząco przeprowadził ich do fórtcy, otworzył drzwi i krzyżem za podczaszycem ściskającym dłoń jego, drogę przeżegnał.

Wieczór już był dość późny — Ordyński spojrzawszy w gwarną ulicę, na ruch i zgiełk miejski — zastanowił się odurzony, serce mu bić zaczęło.

— Frejer — rzekł — przyprowadź mi fiakra, iść nie mogę.

Powolnie rozmyślając Niemiec, odstąpił kilka kroków zbierając się iść i obrachowując gdzie mu najbliższej będzie wynaleźć żądany powóz, gdy zdyszany, przerażony, z wyrazem bólesci i rozpaczcy na twarzy, stary Sieniński wpadł na wschodki wiodące do fórtcy i nie postrzegłszy potracił podczaszycą.

— A to ty stary!

— A to pan!

— Co ci jest Sieniński?

— A nieszczęście! okropne nieszczęście! wykradziono, porwano gwałtem, zdradą, podejściem moję Anusię, moje dziecko... nie ma jej! panie ratuj!

To mówiąc starzec ów tak zwykle powolny, co od pół życia drzemał więcej niż żył, tknięty w serce, powalił się u nóg podczaszycy i zaszedł z gorzkiego płaczu.

— Co? gdzie? jak? co się z nią stało? mów! mów!

Chwycił się Ordyński zapłoniony, bo wspomnienie Anusi wzruszyło go do szaleństwa.

Ale stary Sieniński prawie bezprzytomny ciągnął go, chwycił za nogi, nic prawie mówić nie mogąc, i przerywanym tylko powtarzając głosem:

— Córka moja! moja córka — mój skarb! Anusia moja!

W tejże chwili jak na zawołanie, z głębi ciemności nocnych zjawił się o parę kroków od nich płaszczem obwinięty Fotofero. Stał on patrząc na obu i uśmiechał się złośliwie. Podczaszyc pierwszy go postrzegł.

— Cavaliere ty tu...

— Na usługi wasze jak widzicie... już pan wiesz o porwaniu Anusi?

— A ty?

— A ja od dawna.

— Kiedyż to się stało! kiedy! kto? jak?

— Dziś dopiero! przed chwilą ledwie!

— Wiesz gdzie jest?

— I kto ją uwiózł, i jak i dokąd i dlaczego, wszystko wiem — rzekł zimno cavaliere.

— Może to się połąta — uśmiechnął się — ty stary powracaj do domu, a my ci trochę poczekawszy przywieziemy córkę. — To mówiąc klasnął w ręce, i fiakr z ciemności się wynurzył, a podczaszyc cały zburzony, nie oglądając się już na płaczącego starca, skoczył z Fotoferem do powozu. Na dany znak, skry posypały się z pod kopyt koni, polecieli...

IV

— Dokąd mnie wieszysz? — spytał oprzytomniając się Ordyński — gdzie ona? co to za porwanie? mów, proszę cię... zaklinam.

— Cała ta historia funta klaków nie warta — rzekł poważnie Włoch — źleś waćpan zrobił, żeś się w tym klasztorze zamknął, gdzieś z nudy mógł suchot dostać, a świat cały zgubiłeś z oczu. Mówiono wiele o Anusi tymczasem, bo mówiono o tobie, podkomorzemu brańskiemu głowa się zapaliła, zaklął się i założył że Anusie mieć będzie — i...

— Co, ten łysy rozpustnik! ten karciarz przebrzydły, śmiały dotknąć Anusi?

— A! a! — rzekł cavaliere — a cóż to znowu za drogocenna perła — dziewczyna jak inne, tylko podkomorzy zrobił po swojemu, nie chciało mu się popracować samemu, zapłacił Szwędzkiej, Szwędzka ją wykradła i zawiozła mu do jego domku na Nalewki!

— Prędziej! prędziej! — zakrzyczał podczaszyc. — Na Nalewki — na Nalewki, nie mogę zrozumieć dokąd się fiakr kieruje.

— O! jakże ci pilno! — szydersko rzekł cavaliere. — Kochasz ją! przyznaj się?

— Nie czas mówić o tem, podkomorzemu łeb roztrzaskam, serce wydrę — to zwierz nie człowiek! dla dogodzenia fantazji gotów by krzyż zdjąć z kościoła! prędziej na Nalewki.

Cavaliere patrzył mu pilno w twarz.

— Nic nie mam — rzekł — przeciw zabiciu podkomorzego i kogo ci się podoba, ale pamiętaj kochany podczaszycu, żeby to nie był drugi tom sprawy z Rybińskim.

Podczaszyc nie słuchał powtarzając swoje:

— Na Nalewki, żywiej! zapłacę konie! niech popadają!

Konie też leciały jak ptaki, a jemu krew kipiała, twarz płonęła, dłoń drżała, bo poczuł że kocha Anusie i byłby się rzucił za nią na całe piekło.

Cavaliere śmiał się tylko z pod zakrzywionego nosa. Stanęli nareszcie u bramy zamkniętej.

— Tylko nie krzycz — rzekł do niego towarzysz — cierpliwości! wpuszczają tylko proszonych, ja znak wiem, otworzą nam.

To mówiąc, wysiedli, Fotofero zapukał do wrót zamkniętych, trzy razy po trzy, fórtka otwarła się natychmiast, podczaszyc odepchnął Włocha, który znikł, stróża, co się go chciał spytać o hasło i wpadł na dziedziniec instynktem się kierując, na oświecone wschody, które po cztery na raz przeleciał! uderzył o drzwi oświeconej salki i cały jeszcze rozplomieniony, oszarpany, rozpięty, wskoczył w tłum mężczyzn, wśród których szukając oczyma nie znalazł kobiety.

Towarzystwo wesoło się zabawiało choć bez gospodarza, śmiano się, szeptano, rozmawiano w kupki pozbijawszy. Oczy wszystkich zwróciły się na podczaszycą, a że wcale był niespodziewany i gniewny, skupiono się do koła. Ordyński rozepchnął ich i popędził słowa nie mówiąc do drzwi wiodących w głąb domu. Trafił na salę jadalną i stół zastawiony wspaniale, przebiegł ją! oparł się o drzwi zamknięte które wyłamał i przez ciemny jakiś pokoik dostał się do sypialni podkomorzego, z której dochodzący go głos płaczący do reszty gniew jego rozniecił. Na środku pokoiku, sam na sam z podkomorzym, który stał jak do modlitwy ze złożonymi rękami w pokornej i błagającej postawie, Anna trzęsąca się z gniewu, we łzach, ale z oczyma ognistemi oburzeniem, sparta o stół, wołała.

— Proszę mnie ztąd wypuścić! Co to jest? kto pan jesteś! jak pan śmiesz.

— Jam twój wieczny sługa — mówił podkomorzy.

Na te słowa wpadł jak burza Ordyński z dobytą szpadą i równocześnie krzyknął:

— Kto on jest! nie godzien pocziwego imienia które nosi! szubienicznik i zbójca!

Podkomorzy porwał się na hałas jakby go kto ranił, cofnął, spojrzął, osłupiał z zadziwienia zobaczywszy podczaszycą. Anusia skoczyła ku niemu, rzuciła się i wykrzyknęła:

— A pan Michał, mój zbawca!

I w tej chwili u nóg się jego osunęła zemdlona.

Podkomorzy nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, tak go napaść ta zmieszła, gdy Ordyński rzuciwszy nań wzrokiem wściekłym, na ręce chwycił zemdloną i szpadę wzięwszy w zęby, wyszedł na przód przez jadalną do sali. Tu gwar i zamieszanie znalazł wielkie — wszyscy znając już gwałtowność Ordyńskiego, obawiając się krwi przelewu, lecieli

rozbrajać. Ordyński na chwilę złożył ciężar swój na kanapie, szpadę wsunął do pochwy, stanął i drżący przerywanym zawołał głosem:

— Mielicie panowie być świadkami jak sobie ten lotr igraszkę chciał zrobić z niewinnej i poczciwej kobiety — zaprawdę piękna zabawka! Biorę was za świadków, że go lżę i zbezciescam do ostatniego, że go mam za najpodlejszego z ludzi, i że tę rękawiczkę rzucam jakbym mu rzucił policzek w twarz, gdyby wart był żeby go się pocziwa ręka dotknęła.

— Podczaszycu oszalałeś! — szepnęło kilku. Ale on nie słuchając, wziął znowu na ręce omdlałą i z pośrodku rozstępujących mu się wyszedł niosąc ją na wschody. Dwie lży wrzące lały mu się po twarzy, to bladej jak mur, to czerwonej jak ogień.

Po za nim szmer, gwar i hałasy powstały. Podkomorzy niewidzialny stał na progu sali, gdy go lżył podczaszyc, ale się nie ukazał, wszedł po zniknięciu jego, cały pomieszany i wylękły. Goście milczeli spoglądając po sobie, nie wiedząc jaką tu robić minę, najprzezorniejsi wynosili się po cichu, nie mając już na widoku wesołej wieczerzy i hulanki.

— Słyszeliście! — poprawując stroju i fryzury, rzekł podkomorzy, blade jeszcze i niemogący przyjść do siebie. — Nikt nie odpowiedział.

— Ba! apelacja do Jeziornej! — brząknął ktoś poczekawszy.

— Jeszcze Panu Bogu podziękuj że cię jak Rybińskiego nie przekłuł, bo jak widać na żartach się nie zna.

Podkomorzy zaciął usta.

— Ha! — rzekł usiłując się nadstawić i minę nadržabiając — mniejsza o Jeziornę, na dwoje babka wróżyła, ale mi żal tego ślicznego dziewczęcia. Ledwie ją Szwęsia przywiozła, ledwie perswazjami pierwszy strach i płacz utulać począł, spodziewając że to się skończy ślicznie, pięknie i spokojnie, a tu go lichy przyniosło! z kąd-że się wziął? wszakże był za granicą?

Gospodarz próżno się silił zatrzeć wrażenie tej sceny na gościach. Towarzystwo było zważone, najserdeczniejsi ledwie coś pod nosem pykali niezrozumiale, obojętniejsi milczeli przypatrując się zdaleka, a przyjaciele z pokoju pouciekali.

Nie brakło i tych co już szydzili po cichu — wesołości ani sposób wyprosić!! — wieczór zupełnie się nie udał!

Tymczasem podczaszyc niosąc na ręku Anusię omdlałą, a niekiedy konwulsyjnie go jakby przez sen odpychającą, zbiegł ze wschodów w dziedziniec, dopadł bramy, którą mu coś otworzyło i stanął w ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

O kilka kroków czekał nań cavaliere z powozem! Anusia jeszcze była całkiem nie odzyskała przytomności.

— A! — plaskając w dłonie, zawołał Fotofero żywo podbiegłszy — w poręśmy przybyli, siadaj i jedźmy!

— Trzeba ją wprzód ocucić z omdlenia.

— Powietrze świeże i ruch najlepszym będą lekarstwem — zacierając dłonie i śmiejąc się cicho odparł cavaliere, podsuwając fiakra.

Powoli, ostrożnie Ordyński złożył Anusię w powozie i usiadł przy niej by ją podtrzymać, Włoch usłużny stanął z tyłu na niewygodnej desce, ale tak, że wprost do ucha podczaszycy miał przystęp.

— Na Bednarską, do dworku Sienińskich! — zawołał Ordyński.

— Gdziem ci mówił! — zagłuszył prawie razem odzywając się towarzysz.

— Do dworku!

— Jedź gdziem mówił! Słówek podczaszycu, zastanów no się... po co ty ją zaraz ojcu odwieziesz! wszak kochasz ją i masz w ręku, wież do siebie!

— Milcz! milcz! przebudza się!

— Nie usłyszysz! ojciec już ją oplakał! czemuż byś nie miał korzystać z okoliczności? masz najęte nowe mieszkanie, mogła by u ciebie odpocząć... Ona cię kocha, ona zostanie z tobą! Miałbym cię panie Ordyński za głupiego, za głupiuteńkiego, gdybyś inaczej postąpił. Korzystaj-że choć raz z okoliczności jedynej, z jej przywiązania i wdzięczności! wszak się z nią nie ożenisz, a kochasz ją! Czyż ci łopatą w głowę kłaść potrzeba?

Podczaszyc na którego piersi rozkołysanej tyłą uczuciami, różnemi spoczywała piękna główka Anny, zatykał uszy na te rady zdradzieckie, ale czuł jak weń płynęły, jak go rozmarzały. Cały raj cichego szczęścia otwierał się przed nim! pragnął, walczył, ostatek

pocziwości wiódł go na drogę lepszą, ale namiętność brała górę i już spostrzegłszy, że nie jadą do dworku, nic nie mówił, spuścił głowę... Anusia się ocknęła, westchnęła boleśnie, krzyknęła, otworzyła oczy, poznała przy blasku latarni Michała i płacząc pochwyciła go za szyję. Ten ruch namiętny, nierozumny zbliżył ich serca, Ordyński stracił głowę; cavaliere tymczasem schyliwszy się wpół przysiadł na desce za powozem, żeby nie przeszkadzać i ręce zacierał cicho się uśmiechając...

Powóz leciał ulicami jak zaczarowanym światem ciemności, wśród którego migaly to rzędy okien jasnych, to nawieszane gdzie niegdzie lampy, to rozsypane drobne światełka. Ordyński ani wiedział, ani pytał dokąd jadą, słodkimi słowy uspokajał Annę, której lzy czuł na swojej twarzy jeszcze, a dziewczę płakało z przypomnień strachu, wdzięczności, wzruszenia.

Nagle powóz się zastanowił w dziedzińcu jakiegoś domu.

— Gdzie jesteśmy? — spytał podczaszyc.

— Jesteś pan u siebie — odparł cavaliere — apartament na *szym* piętrze... *Buona sera!* I zniknął.

— Jutro odwiozę ją do ojca — rzekł w duchu podczaszyc, wysadzając powoli z powozu — teraz niech się uspokoi i spocznie. Anusia jeszcze nie wiedziała co się z nią dzieje, nie rozeznawała miejsca — na przeciw nich kilku sług i Frejer na czele, stali ze świecami.

— Co to jest, dokąd mnie pan prowadzisz — zapytała nagle się zastanawiając — wież mnie pan do ojca! gdzie jestem?

— Odpocznij u mnie chwilę Anusiu — rzekł podczaszyc — pojedziem zaraz do ojca!

— Pojedziem! odpoczywać! kiedy on tam siwy włos rwie sobie z głowy — zawołała dziewczyna — co ci się stało panie Michale? — cofnęła się — natychmiast! natychmiast!!

Podczaszyc umilkł zawstydzony, chciał konie zawrócić, ale ich już nie było, odjechał niemi Włoch.

— Poszlemy po inny powóz — rzekł smutnie — ten odszedł... tymczasem zajdź do mnie.

— Nigdzie! ani na chwilę, tylko do ojca — stanowczo odpowiedziała Anusia, której charakter powracał z przytomnością.

— Chodźmy pieszo!

Frejer i służba stali w milczeniu.

— Po powóz i konie! hej prędej! — rzekł dosyć niechętnie Ordyński.

Anusia sparła się o mur i milcząca pozostała z głową zwieszoną, załzawionemi oczyma... Stali tak długą chwilę słowa nie mówiąc do siebie, Anna tylko niecierpliwila się coraz bardziej nieprzybywającymi końmi, nareszcie sługa powrócił oznajmując, że dla spóźnionej pory fiakra nigdzie znaleźć nie mógł.

— Więc idziemy piechoto! — powtórzyła żywo Anna, podnosząc głowę — idziemy!

Ordyński prosić już nie śmiał, bo nań spojrziała tym wzrokiem, który usta zamyka, musiał ją prowadzić.

Noc ciemniejszą się coraz stawiała — po domach i kościołach poznał podczaszyc że byli na drugim końcu miasta, ale wiedząc że Anusia co raz powie, to dotrzyma, nie sprzeciwiał się jej więcej. Szli więc z jednym tylko sługą, który niósł latarnię, mając nadzieję spotkać gdzie przypóźnionego fiakra, a Anna odzyskawszy siły śpieszyła tak że za nią zdążyć było trudno. Podczaszyc milczał chmurny, jakby na przekór jeszcze nadeszła burza, puścił się deszcz ulewny, a dziewczę nic nie czując prócz powinności wrócenia do ojca, pędziła po ślizkim bruku.

Ta podróż w milczeniu, ciemności, wśród burzy odbyta, trwała niezmiernie długo — błądzili po uliczkach nieznamomych, szli, wracali i na większe wydobyc się nie mogli. — Po mozolnej włóczędze znaleźli się jakoś na Krakowskim przedmieściu i choć już nie bardzo było daleko, podczaszyc dostawszy przecie fiakra, namówił Annę by siadła; zajechali przed dworek, w którego oknie paliła się jeszcze świeczka, ale bramę znaleźli już zatarasowaną, dowód że Kasper nie zapomniał bać się o swe pieniądze. — Uderzono do wrót gwałtownie, Hołodryga śpiący nie rychło się zbudził i odryglował. Wchodząc do izby zastali braci w żywej z sobą kłótni, której tylko słów kilka do ich uszu doleciały.

— Waszmościne głupstwo i chciwość wszystkiego tego nieszczęścia przyczyną — wołał Jan — myślałeś o pieniądzach, a zgubiłeś mi córkę? kto cię wie czyś mego dziecka sam nie sprzedał!

Wyrazy te straszne podyktowała rozpacz.

— Panie Janie, opamiętaj-że się — odpowiedział Kasper żegnając — co ci jest? Wszakżem cię tu do siebie nie zapraszał, a com ja winien, żeś ty sam tej awanturnicy dziecko swoje polecił?

— Albożeś mnie na to nie namawiał?

Na te słowa weszła Anusia rzucając się w objęcia ojca. Stary pochwycił ją nie wierząc oczom swoim, padł na kolana, i zobaczywszy dopiero podczaszyca, ku niemu podbiegł objął za nogi, zabelkotał niezrozumiale, mowę z radości tracąc.

Kasper stał także jak wryty kiwając głową, ale nie wiele okazywał uczucia; po chwili radość powróciła im przytomność. Ojciec jednak wymawiał ciężko, zająkiwał się i z wielką trudnością zdobywał na słowa. Chwycił rękę Anny, patrzył na nią i na chwilę od siebie puścić nie chciał.

— Jakżeż to było? — odezwał się wreszcie gospodarz zbliżając ku Anusi — powiedz bo nam aspanna.

— A pozwólcie mi wprzód myśli zebrać — odpowiedziała Anusia — drzę jeszcze cała, w głowie mi się przewraca... Wiecie jak mnie ta jejmość namówiła na dzisiejszą przejażdżkę i zabawę wieczorną i jakem się ja jej dziecinnie pociągnąć dała.

— A jam głupi pozwolił — przerwał ojciec zachodząc się z płaczu.

— Dalibóg jam nie namawiał wcale — po cichu dodał pan Kasper.

— Jakto nie? a któż?

— Ty prędzej! A co mnie do Anusi! chcieliście toście i zrobili co chcieli! nie moja to wina!

— Dosyć żem się dała namówić i pojechała z nią — przerwała spór Anna — naprzód zawiozła mnie do swojego domu, tu, żem była jak zazwyczaj bardzo skromnie ubrana, naprzód mnie wymuskała pomimo mojego oporu, i dopierośmy siadły z nią do powozu. Pojechaliśmy naprzód do jakiegoś ogrodu, gdzie prawie do zmierzchu przechadzałam się z nią po bocznych uliczkach. Szła ze mną zakwefiona, mało mówiąca, czegoś niespokojna.

Jakiś jegomość który tu raz był we dworku, przyplątał się potem do nas, zaczepiał mnie, a choć odpowiadać nie chciałam, sam mówił długo, śmiał się, żartował; zbywałam go jak tylko mogłam, nareszcie pożegnał nas i odszedł, a my chwilę jeszcze zabawiwszy, siadłyśmy do powozu.

W drodze jejmość ta powiedziała mi że musi odwiedzić jakąś tam przyjaciółkę, do której na chwilę wstąpimy — nie bardzo mi się to podobało, ale z nią jadąc sprzeciwić się nie mogłam. Zajechaliśmy w ustronną ulicę, a już się i zciemniać zaczynało, następnie do dworku jakiegoś, którego bramę zaraz za nami zamknięto, a ja z nią weszłam po wschodach na górę. Minąwszy parę pokoiów, które mnie zdziwiły żem nic kobiecego nie widziała, w jednym w którym się tylko paliła lampa od sufitu wisząca, kazała mi pozostać, mówiąc — posiedź tu chwilę, ja zaraz powrócę!

Chciałam się wymawiać i do powozu zejść, ale ledwie tych słów domówiwszy, znikła drugimi drzwiami, a mnie zaraz dziwny jakiś strach ogarnął, obejrzałam się i zdziwiona poznałam, że to być musi mieszkanie mężczyzny.

Cicho było do koła, poskoczyłam do drzwi, jedne były zamknięte na klucz, próbuję drugich, także! przerażona chciałam krzyknąć, gdy drzwi których próbowałam otworzyć, wszedł ten pan co z nami mówił w ogrodzie i ukląkł przedemną.

Nie pojmowałam co to wszystko znaczyć mogło, i słów którymi się odzywał nie rozumiałam nawet, wiem tylko, że przysięgał, obiecywał, zaklinał i porwał mnie za rękę, którą gwałtownie mu wyszarpnąwszy, oparłam się o stół właśnie gdy podczaszyca drzwi wyłamawszy pierwszy wpadł do nas... Więcej nic nie wiem, bom zaraz zemdląca.

Anna rozplakała się.

— Dzięki Bogu co cię ratował i tobie panie żeś nad nami miał litość — odezwał się Sieniński. — O! ja bym był nie przeżył tego! truchleję jeszcze wspominając!

W pierwszej chwili, gdy zmierzchno, a nie powracała Anusia, zaraz mnie tknęło, pobiegłem do mieszkania tej gałgany... Już tam nie było jej ani śladu — mieszkanie stało pustką, powiedzieli stróże, że na wieś się gdzieś wyniosła.

— To była namówiona zdrada! — krzyknął Kasper — ale któż by się jej mógł spodziewać, tak to stworzenie udawało układną i pobożną kobiecinę!

— Waćpan pierwszy nas pociągnął swoją łatwowiernością!

— A nie byłeś ze mną u niej na kawie? a nie mówiłeś sam, że bardzo przyjemna kobiecina?

— Któż pociągnął i znajomość zrobił! — począł znów Jan.

I bracia kłótnię na nowo mieli zagaić, gdy Anna całując ojca w rękę, usta mu zamknęła; postrzegli oba podczaszycy i zamilkli.

Ordyński w którego duszy nie wiem co się działo, chmurny, złamany, gniewny, wstał z krzesła po chwili, spojrzął na Annę z wymówką gorzką i pożegnał kłaniającego się starca, rzucając mu smutek na pożegnanie.

— Módl się za duszę mojej matki!

— Podczaszyna nie żyje! — zawołali ojciec i córka z wyrazem serdecznego bólu! — nieszczęście! nieszczęście!!

Podczaszyc odwrócił się i uszedł.

V

Z wielkiem podziwieniem swoim, podczaszyc w bramie zaraz spotkał się z cavaliere Fotofero, który w płaszczu obwinięty, zdawał się nań oczekiwać; w milczeniu ujął pod rękę Ordyńskiego, wsadził do powozu i dał znak woźnicy, by jechał do nowego mieszkania.

— Zkądżeś tu znowu? — spytał zdumiony podczaszyc.

— O to mniejsza — odparł Fotofero — ale cóżes to najlepszego zrobił pan, dając tak z rąk sobie ujęć ulubionej dziewczynie; na to potrzeba być...

— Cóż chciałeś, żebym ją gwałtem zatrzymał! Ty jej nie znasz!

— Nie znam jej, ale znam kobiety — odrzekł machając ręką Fotofero — czasami czekają trochę gwałtu by się poddać. Ale mniejsza o to, kto wie? lepiej się tak może stało, choć myślałem że będzie inaczej. Cóż ci mówiła o podkomorzym brańskim, jak ją porwano? kto? wszak pewnie rozpowiadać musiała?

Podczaszyc niechętnie i krótko powtórzył powieść Anny, a cavaliere śmiał się wciąż oczy mając węń wlepione.

— I pan temu wszystkiemu wierzysz? — rzekł po cichu gdy podczaszyc dokończył! — cha! cha! miałaby podkomorzy być takim jak pan ceremoniantem?

Ordyński zerwał się z siedzenia, wielkim głosem zawołałszy:

— Milcz! milcz! — Oczy mu się zaiskrzyły, pierś wzdęła, oburzył się, ale podejrzenie było wrzucone w duszę, i rosnąć w niej już mogło. Cavaliere nie żądał widać więcej, gdyż zaraz zręcznie bardzo zwrócił rozmowę, a podczaszyc przypomniawszy śmierć matki, zwróciwszy myśli w inną stronę, smutny, do domu słowa nie rzekłszy przyjechał.

Na progu chciał go Fotofero pożegnać, ale Ordyński poczuwszy się do wdzięczności dla niego, pociągnął go za sobą.

— Na ten raz służyć nie mogę — rzekł cavaliere wyrывая się — pilna sprawa woła mnie gdzieindziej, alem rad że się pozbywasz dawnego ku mnie wstępu i przekonywasz że ci sprzyjam szczerze. Ja to sprowadziłem de Cerullego dla oczyszczenia ciebie, ja jeden pamiętałem o tobie gdyś się skrywał, ja natchnąłem twoich dawnych przyjaciół, ja postarałem się o zgodę z Rybińskimi — ja wreszcie wcześniej zawiadomiłem o tobie jenerała, który już czeka na górze.

To mówiąc potoczył się po schodach i znikł w ciemnościach.

Podczaszyc wszedł wolnym krokiem do swego mieszkania, ociągając się, bo mu teraz oznajmione odwiedziny Bauchera wcale nie były na rękę, potrzebował sam na sam smutek swój i znużenie wydychać.

— Ha! — rzekł w duchu — jenerała się pozbędę łatwo; gdy zobaczy że go czem przyjąć nie mam, prędko się wyniesie.

Ale się bardzo mylił w rachubie podczaszyc, bo zastał starego zjadacza nad wielkim półmiskiem ulubionych raków i kilką butelkami wina, z serwetą szczelnie pod brodę zatknietą, siedzącego wygodnie i zajadającego bardzo smaczno.

— Podczaszyc! kochany mój podczaszyc! a witajże! odezwał się Baucher rozstawując ręce do uścisku — przecież nam cię fata szczęśliwie wracają! Czekam cię od godziny i dziękuję ci żeś nie zapomniał o mnie, a kazał mi wygotować przekąskę. Raki dobre, tłuste, duże, wino wcale niczego, ser szczypiący... No, teraz opowiadaj mi swoją Odyseję i radźmy co począć.

To mówiąc Baucher już znów zajadał, popijał, *haec faciendo et haec non omittendo*, rozpoczął razem butelkę i rozmowę; podczaszyc upadł przy nim na kanapę.

— A fe! — odezwał się generał spojrzawszy mu w oczy, czy to się już godzi tak tracić ducha dla mizerji! Umarła matka, wszyscyśmy śmiertelni! zdradziła cię kochanka, któraż z nich nie zdradza? Nadszastałeś majątku, to rzecz do zreperowania; znudziłeś się klauzurą, tem ci lepiej świeatek będzie smakować. Jutro będziemy z tobą u króla.

— Po co?

— Takeśmy ułożyli, król cię z Rybińskimi *semotis arbitris* pojedna, a potem pokażesz się na dworze, publicznie, i rzecz skończona. Sam słyszałem jak N. Pan dowiedziawszy się o śmierci pani podczaszynej, powiedział: Jam teraz jego opiekunem.

— Ale ja mam gotowe drugie zajście z podkomorzym, które mnie znów N. Pana narazi.

— Co? on cię wyzwał?

— Nie, alem ja go publicznie złał!

— A ba! nikt tego nie słyszał prócz przyjaciół zapewne, byłeś w pasji, chodziło o kochankę, to już ja wiem wszystko, rzecz do załatwienia, obejdzie się bez kawalkaty do Jeziornej. Myśl lepiej jak czas stracony nagrodzić, a nie o tem! Młodość krótka! przejdzie jak z bicza trzaśł, a! a! — westchnął — siły codzien opuszczają, żołądek się psuje, trzeba kochać i jeść nie spuszczać się na jutro.

Widząc że te perswazje mało robią skutku, otarł Baucher usta po rakach, nalał szklanicę, rozsiadł się wygodnie na kanapie, i podśpiewując z cicha, poglądał na podczaszyca, który jak mruk milczał posepnie.

Złamany wypadkami Ordyński, ust jakoś otworzyć nie mógł, bo i myśli skupić nie umiał. Odreptwały spoczywał w tem osłupieniu którego doznajemy, gdy wielki cios niespodziewanie w nas uderzy. Noc już była uszła do połowy, gdy widząc się zawadnym, a rozrachowawszy że ruch powozu dalszemu ciągowi strawności szkodzić już nie może, Baucher ścisnął za rękę Ordyńskiego i kazał sobie podać karetę.

Dopiero po jego odjeździe zwłókł się podczaszyc obejrzeć swoje mieszkanie, i znalazł je urządzone na bardzo pańską stopę, obszerne, a co dziwniejsza, połowę w nim swoich dawnych sprzętów, jakimś cudem ocalonych. Na miejscu które zawsze zajmował Archaniół-Michał, pozostały u kapucynów, wisiał teźże wielkości prześliczny obrazek, wystawujący scenę wszeteczną, starego i mistrzowskiego pędzla.

Podczaszyc rzuciwszy okiem po pokojach, uczuwszy się niesłychanie zmęczonym, padł prawie na łóżko i zasnął.

Gdy się przebudził, już nad nim stał generał ubrany paradnie, i rozkazawszy podać czekoladę, nalegał na podczaszyca, aby się co prędzej ubierał.

— Musimy spieszyc do zamku! rzekł — bo król wyjechać może — a zatem duchem mi się ubieraj.

Przetarłszy ledwie oczy, posłuszny rozkazowi podczaszyc chwycił się z łóżka, przeszedł do garderoby, a generał pozostał przy czekoladzie, której wyziew polykał studząc powoli. Tak się też dobrze obrachował z nią, że gdy ostatniego biskokta dojadał i wodą go popijał, wyszedł Ordyński gotów, i zaraz ruszyli do zamku.

Była to godzina, w której król przyjmował tylko poufale *á son petit lever*, w czasie gdy Brunet i Russo pracowali z fryzjerem około stroju i głowy Jego królewskiej mości. Sekretarz zwykle czytywał wówczas, jeśli nie było nikogo, listy prywatne, lub *Reverdil* przychodził z jakąś świeżą broszurą, najczęściej zasępiającą czoło królewskie. Czasem gdy listów nie było, a król słuchać czytania nie miał ochoty, wpuszczano Byszewskiego, Komarzewskiego, Kickiego, Garczyńskiego, Bacciarellego i innych, a ci przynosili z sobą nie zawsze wesołe nowiny miejskie i zakulisowe, wiadomości sejmowe. Niekiedy król tę godzinę wyznaczał tym, których chciał przyjąć sekretniej, rozmówić się w cztery oczy. Pomimo jednak że generał z podczaszycem byli na liście zajęć tego poranku, nie zaraz ich przypuszczono; musieli czekać w gabinecie przyległym, bo król zajęty był właśnie rozmową o sprawach publicznych, nużącą go, niepokojącą, drażliwą, z ks. Łuskiną, biskupem kujawskim i kilką najpoufalszymi już u niego się znajdującymi.

Ta urywkami dochodząca oczekujących rozmowa, malowała dobrze charakter króla, i stosunek jego do stronnictw, które ważniejszą na sejmie grały rolę. Partja własna królewska i prymasowska nie liczyła ani wielu, ani znakomitych ludzi, i sama przez się była

bezsilną; prymas jeszcze odepchnął od siebie jednym niezręcznie wyrzeczonym i wielki rozgłos mającym wyrazem, *zgraja* napiętnowawszy przeciwników wszelkiego rodzaju, czego mu darować nie chciano. Partja Potockich i Czartoryjskich trzęsła tymczasem sejmem, a hetmańska i sapieżyńska podkopywała go intrygami pokątnymi, niewidocznymi, dopiero dającymi się czuć w skutku. Król bez zasady własnej, zubożętniały, przechylał się to do jednego, to do drugiego stronnictwa. Stosunki dawne, poufale i pewne węzły, co się nigdy całkiem rozprządz nie dają, łączyły go z hetmanem, Sapiehami, ostatek serca i szlachetności pociągał ku reformatorom. Nie mógł obojętnie patrzeć na usiłowania, którym poklaskiwała opinia, które nosiły cechę bezinteresownej miłości kraju. Ale te popędy szlachetniejsze trwały chwilę, niewiara, zwątpienie, rozcinała nić ich pajęczą i król do hetmana powracał.

— Księżę biskupie, słychać było cicho mówiącego króla — szczerze powiadam, ja nic dobrego nie przewiduję. Ludzie niektórzy chcą dobrze, ale z nich nikt nie wie jak począć; inni sami nie wiedząc czego chcą krzyczą, ostatek daje się ciągnąć interesem, przyjaźnią, stosunkami. Ba, są i tacy co o niczem nie myśląc, byle mowę rozgłosną wydeklamowali, syci. Wszystko to daj Boże by z dymem a nie ze krwią poszło.

Nikt zdawało się nie odpowiedział na to królowi, lecz po chwili odezwał się ks. Łuski:

— N. Panie, ci co pragną reform dla kraju, nie darmo ich żądają, a wiedzą czego chcą i czemu; drudzy też co by się przy starem radzi osiedzieć, mają swoją racją — boją się z domu wyszedłszy, zabłądzić w lesie... Usiłowania wszystkich wydadzą wreszcie owoc wspólny, da Bóg piękny i smaczny. Powiększenie wojska, przyłączenie się wszystkich a z niemi i duchownych do ciężarów publicznych, skasowanie zgubnych, elekcyj, przypuszczenie nie-szlachty do praw wyjątkowych dotąd *nobilitati exclusive* służących, reformy te godne statystów co je przedsięwzięli.

— Ja też ich wcale nie ganię — rzekł król — ale mi nikt wlać nie potrafi przekonania, żeby się to na co zdać miało: kiedy człowiek umiera, próżno myśleć żeby mu bolący ząb wyrwać... A przytem, mój dobrodzieju, kraj nie przerabia się od fundamentów jednego dnia, na zawołanie — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie z ochotą sakryfikował.

— Byle król był z nami, dodał ks. Łuski, wszystko dobrze będzie...

Suchy śmiech był pierwszą odpowiedzią.

— *Utinam sis vates*, dodał Stanisław August, ale ten król nie wiele wam pomoże. W Pan mości księżę Łuski, lepiej wiesz jak na obrady patrzy opinia, co też tam słuchać o ostatnich ustawach? Co one wywołały!

— Co? *Rozmowy umarłych!* przerwał biskup kujawski szybko.

— Słyszałem o nich, odparł król — kto to pisał? nie wiecie?

— Ani się domyśleć — rzekł Łuski, ale chodzą dosyć po rękach i nie bez wrażenia.

— Trzeba żeby mi Reverdil kiedy drugą przeczytał, dodał król, do której słyszę wprowadzono Dekerta, znam ją tylko z treści. A w mieście co tam słychać? odwrócił rozmowę, jakby umyślnie unikając polityki.

— Nasz podkomorzy brański, przysunął się Byszewski który tylko co wszedł, znowu sztukę spletał, wykradł słyszę wczoraj owę Anusię podczaszycowi Ordyńskiemu.

— Owę to sławną Anusię, o której przed niejakim czasem tyle mówiono?

— Ale się nią długo nie cieszył, dokończył generał szybko, nie dając się z plotką uprzedzić — prawy jej właściciel wpał jak burza i zbezpieściwszy go, odebrał mu ją.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Niepoprawiony! kiedy się to ten fajerwerk wypali, przebąknął król nareszcie, zwracając zaraz rozmowę. — Kazałem — rzekł, żeby się tu dziś stawił podczaszycowi i natrę mu uszy za waszego synowca mości księżę biskupie. — Cóż ten biedny podskarbi? spytał po chwili Byszewskiego, — nie słychać o nim?

— Barabas, dodał ks. Łuski po cichu.

— Alboż go to już tak nazywają? rzekł Stanisław August wzdychając.

— Zdaje się żem już o tem mówił W. K. Mości?

— Może, ale mi to z głowy wyszło. — Uciekł chwala Bogu, co wiele sejmowi trudności oszczędzi.

— Wątpię, przerwał biskup, bo gorąco go szukają. Pomimo wszystkiego co uczyniono, by nienawiść ku niemu ogólną osłabić, zawsze ona trwa, a nawet wzmacnia się zdaje. Na hetmana Ogińskiego wrzask okrutny, że go dał puścić, a tysiąc czerwonych złotych nagrody i ogólna niechęć, pewno go prędko pod kłódkę zapędzą.

— Niech sobie ucieka — rzekł król żywo — jak najdalej! Ciężki to dla mnie cios widzieć go przed sądem, a w nim zszczęscony urząd wysoki i dostojęństwo. Sąd ten wywołuje tyle już zapomnianego dzięki Bogu, i błotem rzuca na tyle ludzi blizkich mego serca.

— Już dziś odezwał się ks. Łuski powoli, rozchodzi się wieść, że go powtóre na łądzie schwytał oficer jakiś...

— Co? znowu! krzyknął król.

— Poznano go przypadkiem na poczcie.

— To może być jeszcze bajka, czekajmy — rzekł biskup.

— Daj Boże by to bajka była.

— Cała historia podskarbiego, dorzucił ks. Łuski — chodzi teraz po mieście i kraju, znają ją chłopcy uliczne, wiedzą na palcach wszyscy, a ktoś z przemyślniejszych nieprzyjaciół sprowadził tu nawet do Warszawy Kozłowski, który chodzi po ulicach, pytając kogo spotka o swoją żonę.

— Cóż to za historia znowu? spytał król — ja sobie jej nie przypominam... to już nie *ex publicis*, ale z życia prywatnego! Nabroił bo podskarbi, może nie więcej od drugich, ale mu nic się nie upiekło darmo!

— Na nieszczęście, ta historia z Kozłowskim dosyć brzydka, podchwycił Arnold Byszewski — ale nic by to nie było, żeby jej do drugich nie przyszywano! bo to chodzi po ludziach! Kozłowski szlachcic ubogi, służył podobno u księcia podskarbiego, a miał co się zowie piękną żonę; widywałem ją potem u księcia, piękność znakomita!

— No i porwał mu ją, okupił, zapłacił czy odmówił! rzekł król trochę niecierpliwie, cóż to osobliwego!

— Trochę to nie tak było N. Panie, dodał generał. Kozłowski na nieszczęście głupi, kochał się tak szalenie w swojej żonie jak się drobnej szlachcie trafia tylko; gdy mu ją podskarbi odmówił, z żalu oszalał.

— Oszalał! ale czyż to być może! spytał Stanisław August, może udaje chyba warjata!!

— Nie N. Panie, trudno to tak udawać! Samem go widział! Ktoby się to tak wygórowanych sentymentów spodziewał w prostym szlachciurze! Mojem zdaniem, nie winien książę podskarbi nic, bo mógł-że przewidzieć co wyniknie? Kozłowski przebywszy ciężką chorobę z której ołyśiał zupełnie, zwarjował całkowicie.

— Czemuż go już nie oddadzą do Bonifratrów? spytał chmurno biskup.

— Łagodny to warjat, a pewnie nieuleczony, chodzi sobie po mieście, i na tem jego mania że każdego zatrzymuje i pyta czy nie wie gdzie się Julka jego podziała. Ulicznicy drwią z niego, ale to widok przykry, jeszcze teraz rozżarza nienawiść ku podskarbiemu, i myślę że go tam nie darmo puścili na ulicę, czyjaś to sprawka.

— A z Kozłowską co się też stało?

— Historia to nie dawna jeszcze, kobieta młodziuteńka podobno w trzecich rękach, nie myślała mu wcale dotrzymać wiary przeciw fortunie. Teraz ją jakiś Włoch zagarnął.

Na tem stanęła rozmowa poczęta sejmem, skończona plotką pokątną, a generał posłyszawszy że się król o podczaszycu upominać zaczął, wprowadził go do gabinetu.

Na pierwszy rzut oka, król wydał się podczaszycowi jeszcze starszym, a choć wyraźnie były ślady piękności i chęć utrzymania się przy niej — czas, czy wypadki, głęboko się wryły na jego twarzy. Usłyszawszy wchodzących, Stanisław August już ubrany odwrócił się ku drzwiom i oblicze jego przybrało wyraz niezwyklej, udanej surowości. Podczaszyc skłonił się raz pierwszy z daleka.

— Mości Ordyński — odezwał się król wyciągając ku niemu rękę — byłbym go surowo przyjął, ale mi boleść jego usta zamyka i serce łagodzi. I ja też cierpię nad stratą tak pełnej wysokich przymiotów matki waćpana. Niech więc przebaczenie i zapomnienie pokryje co się stało z żywoci młodzieńczej i krwi zburzonej.

Oto Jegomość ksiądz biskup kujawski, uproszony przezemnie, przychyłając się do żądania mego, winę waszmości darowuje, a ja z nim; ale niech to będzie nauką dla przyszłości.

Podczaszyc zbliżył się do biskupa, który w milczeniu posępnem oddał mu ukłon, potem ucałował rękę królewską i natychmiast się wysunął; toż uczynili ks. Łuskina i generał Byszewski, pozostali tylko: król, generał Baucher i Ordyński.

Stanisław August powstał z krzesła i przybliżył się do podczaszyca marszcząc brwi nie bez wysiłku, gdyż surowym być nie umiał, gniewu nie znał, nie tak z dobroci (choć jej miał wiele) jak raczej z obojętności niedopuszczającej burzy do serca.

— Wymagam po waszmości — rzekł — byś mi sprawy nowej z podkomorzym nie rozmazywał, pogodzą was przyjaciele. Dość już tych pojedynków i krwi rozlanej za kobiety, szklanki wody nie warte! w takiej chwili wstyd się o to potykać.

Podczaszyc nie mógł nic odpowiedzieć, ale generał podchwycił.

— Stanie się wola W. kr. Mości, my to zaraz połatamy, nie pojedą do Jeziornej.

— Szczęściem i tak dla Waćpana — dodał król — że sprawa o ranę Rybińskiego w nic poszła, bo pachła nie lada czem pod sądem marszałkowskim.

— Jam był srodze obrażony — rzekł podczaszyc — a odmówiono mi zadość uczynienia.

— Nie mówmy o tem — przerwał Stanisław August. Czas już wielki dla Waćpana pójść śladem ojców, poprzestać życie tak trawić, potrzeba zacząć żyć dla kraju, pomysleć by go użyć.

Podczaszyc skłonił się całując rękę królewską, a w tem koniuszy Kicki wszedł dając znać że karety królewskie stały gotowe do naznaczonej przejażdżki; za nim Ryx wprowadził za sobą kamerdynerów niosących kapelusz, laskę, szpadę, płaszcz... Paziowie w paradnych strojach na koniach, pułkownik Königsfeld ich naczelnik... kilku ułanów, stali już w dziedzińcu oczekując by towarzyszyć królowi. Ordyński z generałem ustąpił, a orszak świetny posunął się zaraz ku Krakowskiej bramie i w niej znikł im z oczów.

VI

Dzięką zabiegom przyjaciół, któremi zdawała się niewidzialna jakaś kierować ręka, Ordyński w chwili odzyskał straconą na świecie, co o nim był tak rychło zapomniał, wziętość i przychyłność. — Cały więc, zwrócił się znowu ku niemu, odganiając wspomnienie Anusi, do której czuł żal jakiś, usiłując sobie wmówić, że mu się okazała niewdzięczną.

Z pocziwych myśli zasianych ręką O. Spirydjona i wschodząc już poczynających, wkrótce nic nie pozostało, zagłuszyły je inne, stare chwasty dobywające się z pod nich, nie wytrzebione jeszcze, ścięte tylko. Otaczający też znowu podczaszyca, przyczynili się przykładem swoim do utrzymania go na tej drodze, a codziennie wszechwładniej kierujący umysłem jego cavaliere, rzucał nim jak piłką, pilnując by zawsze popychać w stronę własnych jego namiętności.

Kilka też ledwie wylawszy po matce, ale grubą po niej wdziawszy na początku żalobę, podczaszyc znowu się zdał w ręce Frejera, któremu dom swój i życie powierzył, a kierunek interesów ogólny przyjął plenipotent, jakich na ów czas nie brakło.

Za tego to panowania najwięcej podobno fortun szlacheckich, co zaraz w pańskie nawet się przeistaczały, urosło z tego łupieżstwa prawników i dziwnej nieopatrzności panów. Nigdy może dziecinniej, obojętniej nie dawali się drzeć magnaci, a bezwstydniej nie łupili ich pełnomocnicy. Zdawało się, że jakaś mściwa ręka ciężyla już nad plemieniem dawniej wybranem, zakrywając mu oczy, wiodąc do zguby za karę grzechów starych, zguby wszelkiego rodzaju, dusznej i cielesnej. Na ruinach pańskich majątności rozsypujących się w proch, wyrastali co chwila nowi pankowie, których już krzyczących widział w krzesłach sejm czteroletni i ubierających się w patryjotyzm, źle pokrywający bezwstyd jeszcze nie starty z ich czoła.

Przykład ruiny jednych, żywy, uderzający, jak gdyby drugich nic nie obchodził, nie sprawiał opamiętania, i po zrujnowanych na pół lub ze wszystkim, drudzy tak samo zupełnie niszczyć się i odzierać dawali, własnym grzechom i ludziom bez sumienia. Nie brakło też chciwych a przewrotnych, co korzystać umieli z tego jakiegoś rozstroju niepojętego i rozpaczliwego zapomnienia przyszłości. Dostarczały ich palestry popsute przepokupstwem i intrygami tych samych panów, których Bóg karał tem, czem zgrzeszyli. Narzędzie przestępstw, stawało się narzędziem kary. Nauczyci się prawnicy po trybuna-

lach od panów jak najgorszą sprawę wygrać, a swoją wymalować zawsze na dobrą; użyli teraz gdy chwila przyszła, nauki swej na dawnych pryncypałów.

Podczaszyc zewezwał do porady tylko w początku, przedstawionego mu przez jenerała Bauchera niejakiego Liebiedzińskiego, dawniej podstarościę piotrkowskiego, a ten tak umiał nim ovladnąć i podobać mu się z układności swojej, że wkrótce wszystkie jego interesa powierzone mu zostały z najobszerniejszem do ułożenia ich pełnomocnictwem.

Pan ekspodstarości człkiem był nie lada i do wszystkiego, a losy jego przypominały cokolwiek historją samego jenerała, który go teraz protegował.

Był on w początku i w seminarjum, gdzie kazania nawet mawiał, i sukces ich podobno naprowadził go na myśl, że z głową i wymową inaczej szczęścia szukać może. Zawczasu się więc wywłókl, potem jakby na próbę zaciągnął się był do wojska, doszedłszy do tego że namiestnikowstwo sprawował w jakiejś chorągwi; tu gdy kłopotu napytał z rejestrami przy wypłacie lenungów, a skargi nań poszły aż do hetmana, musiał podać o abszyt i dopiero przy trybunale zostawszy palestrantem, trafiwszy nareszcie na właściwą sobie drogę, wykierował się szybko na mecenasa. Głowa była nie lada, układ wyborny, człowiek z wierzchu choć go do rany przyłożyć, coś z niego chciał, to miałeś. Otarli się po świecie, poznawszy ludzi, praktycznie jakoś nauczył się Liebiedziński życia, i wziął za prawidło sobie, naprzód chwytać za serca, by potem bezpieczniej dobrać się do kieszeni. Nie było nadeń łatwiejszego w towarzystwie, ani weselszego człowieka, ani co by się lepiej umiał zastosować do humoru otaczających. Toż w sprawie tak tok jej i powodzenie zastosowywał do humoru swego klienta, że choć ją i przegrał, estymy u niego nie tracił. Liebiedziński nie był to już starej szkoły trybunalskiej prawnik, wierzący w literę prawa, grzebiący się sejmowych ustawach, by mieć co postawić przeciw argumentom przeciwnika; wierzył w grosz, w zepsucie, w środku pokątne, a o prawo dbał mało, wywracając je jak mu się podobało.

U dawnych naczelników trybunalskiej palestry choć było złe, ubierało się w jakiś pozor legalny, tem przebraniem dowodząc poszanowania prawa; u niego bez subjeckji, co do głowy przyszło stawało bezwstydnie, nie zważając jak się komu wyda. Zręczny pisarz, wielki orator, erudyta, w słowa bogaty nadewszystko, obrachowujący żeby raczej obalamucić niż przekonać słuchaczy, Liebiedziński żartował z ludzi, któremi rzucał obojętnie. Znał on już ze słuchu stan interesów podczaszycy i postanowił korzystać z niewiadomości i obojętności młodego człowieka na jego zgubę, a wzniesienie się własne. Obiecał z razu złote góry, a że śmierć podczaszycy dawała całemu nowemu obrót, że spadek po niej we Florencji na chwilę kredyt podsyłał, że można było ściśle biorąc wybrnąć ze złej toni i okazać sposoby ku temu, sprawnik zawrócił łatwo głowę Ordyńskiemu, a całkowite zdanie się na niego, dogadzające próżniactwu, poszło jak po maśle.

Tak tedy usłużny i pokorny, wesoły i dobry kompanista Liebiedziński, w kilka dni po wprowadzeniu go przez jenerała, dostał najnieograniczeńszą plenipotencją i zakręciwszy się tylko, wyjechał zaraz do Głuszy dla zajęcia się uspokojeniem wierzycieli, układem z zastawnikami i t. p.

Podczaszyc urządziwszy dom, pozostał w Warszawie, a że nowy lokal który mu cavaliere wyswatał bardzo zdawał się wygodny, tu się rozgościwszy, dawne poczał sobie życie. — Dom zajmowany przez niego, choć nieco od środka miasta oddalony, należał do piękniejszych budowli nowych; lecz pod bokiem mieszkał de Cerulli, który się był wyniósł z Senatorskiej ulicy, co także swoją miało cenę. W dodatku, w parę dni po zamieszkaniu, cavaliere poprowadził podczaszycy do okna, pokazał mu tuż na przeciw obok Cerullego, bardzo piękną twarzyczkę... Ordyński się zapalił, Fotofero śmiać poczał i nic nie chcąc powiedzieć kto by to był, uciekł zostawując go pod wrażeniem wywołanem umyślnie.

Wysłani na zwiady natychmiast, bo podczaszyc gorąco brał rzeczy, donieśli mu że to była ulubienica de Cerullego, Warszawianka wszakże, znana pod imieniem pięknej Julji. Łatwo się w niej było po tem podczaszycowi domyśleć Kozłowskiej owej, kochanki ekspodskarbięgo, a choć marzył o większej niż podobna zdobyć, nie mógł się pomimo wstrętu wywołanego historją awanturnicy, oprzeć uczuciu które go ku niej ciągnęło.

Przyszło to tak jakoś nagle, zaskoczyło go tak gwałtownie, że się nie opatrzył jak zabrął daleko, jeszcze do niej i słowa nie przemówiwszy.

Sprawa o porwanie Anusi i zajście z podkomorzym, zaraz nazajutrz staraniem wspólnych przyjaciół ułatwioną być miała; ale podkomorzy, który widać że za wolą królewską

musiał ukończyć spokojnie, drożył się przecie z początku i śmiało stawał. Pośrednicy więc latali, chodzili, szeptali, i robić się jeszcze zdawali co już było dokończzone, a jenerał jadł z obu stron i pił z obiema, co mu wybornie dogadzało.

Podczaszyc ruszył tymczasem w świat, głodny będąc wszystkiego: kart, kobiet, śmiechu i zabawy. Sama wdzięczność wymagała widzenia się z de Cerullim, który oswobodzonego otwartemi powitał rękami, ale tonem daleko więcej protekcyjnym niż dawniej. Zdziwił się podczaszyc widząc w nim taką zmianę, zdobyte nowe stanowisko na świecie, i wpływy jakie ten człowiek wywierał na wszystkich, ale mu je wytłumaczył charakter posłannika Wschodu. Pokoje się u niego nie wypróżniały nigdy, gra ciągle wrzała, lało wino, rzucano pieniądze garściami, rujnowali się gracze, a wśród tego szumu, dostrzedz było łatwo pilnemu oku jakichś zmów potajemnych, narad pokątnych, których gra i zabawa były pokrywką tylko. W salonach Włocha spotykały się osoby najwyżej stojące, których gospodarz jak równych traktował poufale, niekiedy dawał im rady i znajdował zawsze posłusznymi swemu sterowi. Widać było że Cerulli piastował jakąś tajemną władzę i miał znaczenie wielkie w gronie które go otaczało.

Tuż obok jego mieszkania, ale nigdy nie pokazując się na pokojach pełnych gości, zajmowała obszerny lokal piękna Julja. Okna jego na wprost były zwrócone ku oknom domu Ordyńskiego; przez nie to pierwsza zawiązała się znajomość, i z daleka ją widząc tak się był już podczaszyc zapalił, że przysięgnął jenerałowi, jako nic w życiu nie spotkał nad nią cudowniej pięknego.

Jenerał, który w chwili wyznania spokojnie popijał, spojrział na podczaszycę z pod brwi, potracił głową i rzekł z flegmą:

— Zły masz gust.

— Jak to? dosyć mieć oczy jenerale, żeby mi się nie dziwić!

— Ale ba! przy oczach i uszy nie zawadzą.

— Cóż uszy w tej sprawie mają za udział?

— Bardzo wielki... Naprzód tego djabła Włocha, który w niej słyseż zakochany po uszy, a zelant szkaradny, nie dobrze zaczepiać; powtóre odgrzewana to potrawa, którą się nie jeden przejadł do syta.

— Ale ty jej nie znasz jenerale.

— Jakto nie? — obojętnie rzekł Baucher — kto z nas nie zna i nie widział Julji. Znałem ją u podskarbiego, u księcia Nestora, u podkomorzego, a teraz u Cerullego.

— Możeż to być? wygląda na lat nie spełna dwadzieścia!

— Młodemu wszystko młode — westchnął jenerał — ale posłuchaj mojej rady, porzuć to, Włoch niebezpieczny, a kobieta istny szatan.

— A! nacóż tak śliczne ma oczy! — zawołał podczaszyc z długim westchnieniem.

— Te śliczne oczy to waścine nie jej! — odparł stary. — Było to i zemną niegdyś — teraz mi się wszystkie jednakowo wydają, bo na mnie nie patrzą. Oj! młodość! młodość!

— Mówiliśmy o Cerullim — rzekł podczaszyc zwracając rozmowę — wytłómaczcie mi jeśli łaska, jak się teraz tego znaczenia które teraz ma, dochrapał?

Baucher ruszył ramionami.

— Dla mnie to człowiek niepojęty — rzekł — je mało, pije nie wiele, człowieka na wylot prześwidruje byle na niego spojrział, zimny jak lód, zazdrosny jak Turek, a w gruncie usłużne stworzenie.

— Ale to znaczenie? — spytał Ordyński.

— Ba! to rzecz najmniej zadziwiająca! trzęsie teraz całą massonerją naszą, bo ma tu posłannictwo i władzę wielką od mistrza...

— Nie ma się co dziwować, że z tym charakterem inaczej teraz został przyjęty i uważany. Musimy go słuchać radzi nie radzi!

Rozmowę przerwali nadchodzący goście, a podczaszyc głęboko rozmyślać począł, nie wiem nad znaczeniem Cerullego, czy nad czarnemi oczyma pięknej Julji...

VII

Biedna Anusia zdawała się skazana na ciężką walkę bezsilnego pragnienia z losem, z biegiem wypadków niepowstrzymanym, przeciw którym otwarcie nawet stanąć nie mogła.

Całym orężem jej była modlitwa. Ale czemże modlitwa co niebo porusza? kiedy do Boga dochodzi gorącemi oblana łzami, często dla nas samych Bóg jej wysłuchać nie może. Nasze łyż dziecinne i nierozumne pragnienia mogą tam być porachowane w dalekiej przyszłości, lecz w chwili gdy je posyłamy, rzadko sprowadzą czego pragniemy gorąco, bo pragnienia nasze dla nas lub drugich trucizną. Więc próżno szły w niebo modlitwy, a serce cierpiało.

Porwanie niespodziewane, przestrach, uratowanie, i ta chwila, którą przeżyła z głową spartą na ramieniu podczaszycy, wstrzęsły całą jej istotą; nieznanne światy marzeń otwały się przed nią, a z niemi powracała w ten kątek ciemny, smutny, odosobniony, w którym żyć musiała sama z myślami tylko swojemi. Owe sny dawne, posłannictwo które spełnić miała w Warszawie, ciągle snuły się przed tęsknemi oczyma, ale jak mogła je spełnić? Biedziła się nie pojmując, że może sama o tem nie wiedząc, będzie narzędziem ratunku. Wiedziała że podczaszyc brnął znowu z przyjaciół w życiu jakie był przed śmiercią matki rozpoczął, z większą jeszcze swobodą, z większem poniżeniem, bo pod pozorem, że między równymi sobie serca nie znalazł, zaprzeczał istnieniu serca i szukał tylko roztargnień, płacąc za zabawę. Jak go ztąd było wyrwać i ocalić, gdy zbliżyć się nawet wstyd było ku niemu, po za wał brudów który go otaczał.

Łzy jednak często płodniejsze są niż sądzimy: one jak rosa niebieska padają nieopatrzone, podziewają się gdzieś nieobrachowane, a zwilżają i żywią przestrzenie dalekie.

W kilka dni po uwolnieniu podczaszycy, O. Spirydjon niespokojny także o Ordyńskiego, bo go jak duszę, dla której była nadzieja ratunku, polubił i przywiązał się do niego, przyszedł dowiadywać się u Sienińskich co się z nim działo. Zastał Anusię tak rozpaczającą prawie, że się aż zdumiał i zafrasował.

— Moje dziecię — rzekł — rozpacz do niczego nie doprowadza, i owszem spacza człowieka tylko, czyniąc go do wszelkiego czynu niezdolnym. Można co robić, róbmy, a nie, to się módlmy, by Bóg w łasce swej za nas czynił. Ufajmy mu jako Ojcu, drogi opatrności niezbadane! Miałem czas poznać Ordyńskiego lepiej; szlachetna to dusza, poczciwy chłopiec, ale zgangrenowało go lada jakie wychowanie. Któż to wie? czasem najnieporządniejsza młodość bywa przedsiönkiem poczciwego życia.

— Ale mój ojcz — odpowiedziała Anusia — kto go tam sprostować może, kto do niego dostąpi ze słowem prawdy? nie ma już księdza Beaudouin'a co się nie wahał wcisnąć w tłum graczów, choć z niego wyniósł policzek!

— Święty to był czyn — odpowiedział kapucyn — i każdy poczciwy kapłan naśladować by go potrafił, choć doprawdy szlachcicowi polskiemu najwięcej by ten akt pokory kosztował, bo za skórą księżą jest taki stara szerść szlachecka!... Ale z drugiej strony strach podawać na niepotrzebne pośmiewisko suknię kapłana, a ja mam taki nadzieję, mam przecucie, że go nam Bóg powróci...

— To chyba cudem i twoją modlitwą mój ojcz — odpowiedziała Anna całując jego rękę.

— Wszystko Bogu łatwe, choć nam to się wydaje cudem. Złe czasem, doszedłszy pewnej granicy ostatecznej, samo się zabija i niszczy... bądźmy cierpliwi.

Na te słowa wszedł pan Kasper od niejakiego czasu zmieniony wielce, z głową spuszczoną, twarzą zwiędłą, oczyma wpadłemi — kapucyn spojrzawszy nań, powtóre się zakłopotał.

— A co ci to panie Kasprze — spytał — wyglądasz mi jak z krzyża zdjęty?

— Nic, ot tak nie mam się dobrze, po kościach chodzi czy chorobsko czy starość.

— Trzeba by w złem zdrowiu lepiej o sobie pamiętać — rzekł kapucyn — waćpan nadto już skąpisz na wszystko.

Panu Kasprowi aż oczy błysły gdy tę wymówkę usłyszał.

— Skąpie! skąpie! — rzekł prawie gniewny — no! bo nie mam!

— Ale jeśli ci stryju potrzeba czego — przerwała Anna — mów, mybyśmy się postarali.

— A co ma mi być potrzeba? nic — ot, jak przyszło tak i przejdzie.

Kapucyn chwilę tylko zabawiwszy, spiesząc do swoich owieczek, ruszył zaraz w dalszą drogę, rozsypawszy krzyże błogosławieństwa na dworek Sienińskich, a po odejściu jego pan Kasper zamyślony, pozostał na krześle w pokoju Anusi.

Od porwania synowicy widocznie gryzły go więcej niż potrzeba omylone nadzieje, które młodość umie przeboleć łatwo, a wiek późniejszy nie zawsze przeżyć potrafi. Nie dziw, ostatnie to życia kwiaty. Od chwili jak się przekonał, że cała historia owej bogatej wdówki była niepocziwem podejściem, Kasper tak sobie wyrzucał postępowanie swe, łatwo wierność i tak cierpiał że się dał oszukać, że aż wymizerniał i do reszty spadł z ciała.

W dni kilka potem coraz czując się gorzej, położył się przed zwykłą godziną — naza-jutrz chciał pójść na mszę i od bramy powrócił, wreszcie całkiem obległ bezsilny. W domu z powodu tej słabości, niepokój stał się wielki, posłano do kapucynów po O. Spirydjona i po doktora w drugą stronę. Nadbiegł o kiju kapucyn, nadjechał stary Niemiec okularowy, i oba uznali, że źle było koło pana Kaspra.

Stary milczał, oczy trzymał wlepione w jedno miejsce, a rękoma wciąż koło siebie niespokojny skubał. Powolnie wywiązywać się poczęła jakaś złośliwa gorączka, która pomimo wszystkich środków lekarskich jakich zaraz użyto, niczem się przerwać nie dała. Życie więcej niż oszczędne, bo niemal niedostateczne do utrzymania sił wiekiem nadwątłych, przyczyniło się też wielce do postępów choroby, na którą złożyły się starość, zmartwienie i wycieńczenie.

Ledwie trochę mu przytomności przyszło by się wypowiedzieć przed O. Spirydjonem, potem, gdy wpadł w malinę, już z niej wyjść nie mógł. Brat i synowica siedzieli nieprzerwanie u łóżka jego, ale miasto żeby go to pocieszać miało, drażnić się zdawało jeszcze. Szarpał się na ich widok, jakby napastników czyhających na jego mienie widział, zaklinał ciągle że nic nie ma, przysięgał że ubogi i miotał w strachu o jakąś szkatułkę, którą ciągle wspominał.

Był to jedyny przedmiot, o którym w czasie choroby mówił, a im silniej wzmagala się gorączka, tem i strach o skarby się powiększał. Na przesileniu wreszcie, nie mając dość siły by je przetrwać, stary począł się mieć znacznie gorzej, a doktor odszedł nic wprawdzie nie powiedziawszy, ale z bardzo znaczącem kiwaniem głową.

W nocy zdrzemnęła się na chwilę Anna, usnął brat, a gdy się przebudzili nad rankiem, z przestachem nie ujrzeli już starego w łóżku. Biedny obwinęty kołdrą, nie wiedzieć z jakiego powodu, pobiegł w nocy do komina, usiadł skurczywszy się w popiele i tak mizernie życie swe skończył.

Wypadek ten nowe kłopoty, zajęcie i smutek sprowadził na dworek Sienińskich — potrzeba było myśleć o pogrzebie, zająć się sprawami brata, a Jan też ciężki dość, ledwie rady mógł dać sobie. Anna szczerze płakała po stryju, który był dla niej nie raz towarzystwem pożądanem i zabawiał ją gawędką wesołą, lub modlił z nią razem.

Spadek po nim, chociaż ci co go dawno znali jednogłośnie się zgadzali, że musiał mieć znaczne pieniądze, bo miał zrećność je nabyć a skąpił niesłuchanie, nie przyniósł nic oprócz dworku. Przeszukano po wszystkich kątach tych mniemanych skarbów, ale nigdzie ani grosza nie znaleziono. Kuferek zawierał trochę gratów nic niewartych, po kątach izby wałało się mnóstwo butów wszystko starych, gdyż innych pan Kasper nie kupował i nie nosił, nad głowami łóżka wisiał zegarek z jednym indeksem a dwoma kopertami — i nic więcej.

Gdy starca wyniesiono drugiego dnia na Powązki, tak smutną pustką z wonią kadzideł i świec woskowych stał się im dworek, że Anna rada była uciec z niego ale nie było dokąd, musiała zostać i cierpieć. Ona i ojciec przez cały wieczór przesiadzieli modląc się w milczeniu, przygniecenii smutkiem.

Jan przecież prędko ochłonawszy ze smutku tego, wypocząwszy, rozmówiwszy się z ludźmi o nieboszczyku, znalazł sobie zatrudnienie, gdyż nabito mu głowę, że gdzieś koniecznie muszą być schowane pieniądze.

Nic smaczniejszego niż grosz co tak darmo bez potu przychodzi, to też Jan począł gorliwie poszukiwać go wszędzie, ale na próżno przetrzęsiono górę, piwnice, skrytki, schowanki, szukano, stukając w ściany czy gdzie nie było co zasklepionego, nigdzie nie znaleziono ni śladu.

Nie zraził się niepowodzeniem Sieniński, czas dzieląc między dżurkę i odpoczywanie. A że roił o spadku na jawie i śnił o nim nocami, często wstawał mówiąc do Anusi:

— Śniło mi się że nieboszczyk tam a tam skarb swój schował.

Anna ruszała ramionami inny skarb mając w sercu! Ale gdy tak po tygodniowych poszukiwaniach daremnych, marzy raz głośno stary, odpowiedziała wreszcie z roztargnieniem:

— Darmo to szukać podobno, kiedy nic niema, gdyby co było, to chyba w kominie w którym pan Kasper umarł, bo nie próżno tam z łóżka poszedł.

Powiedziała te słowa nawiasem, nie spodziewając okropnych skutków jakie miały spowodować.

Jan aż się pochwycił na tę myśl uderzającą go prawdo-podobieństwem, i w tejże chwili zabrawszy świecę, pobiegł do izdebki pana Kaspra. Komin był zamurowany od dawna niewiedzieć dla czego, może aby chłodu nie prowadził do izby, której ciepła przez skąpstwo lokatora udzielać nie mógł; leżały w nim resztki zbite odwiecznego popiołu i śmieci. Rzucił się na to pan Jan chciwie i nic w nich nie znalazł; uderzyła go jednak wielka szara płyta kamienna przed ogniskiem leżąca, której róg jeden zdawał się trochę wyszczerbiony, jakby ją niedawno czem żelaznem podważono. W kącie stał właśnie gruby żelazny kruczek, który dziwnie się założył pod kamień jakby tam już nie jeden raz był. Sienińskiemu aż serce podskoczyło, dobył wszystkich sił, dźwignął i kamień się poruszył... krew oblała mu twarz z radości, choć z wytężenia uczuł razem jakby coś w nim pękło; syknął tylko i nie zważał na to.

Anna stojąc we drzwiach patrzyła dość obojętnie.

— Ojczy, ojczy, nie morduj się, zmiłuj się, to kamień ciężki, tyś nie silny i chory...

Ale nie było sposobu go odciągnąć, a wezwać do pomocy nie chciał nikogo, żeby się nie wydało co znalazł. Założył kruczek raz i drugi, oba razy poruszył płytę, ale podjąć jej nie mógł — usiadł na podłodze, niecierpliwie pochwycił oburącz kamień, a tak mu dłonie drżały! kogoż bo pieniądze nie oszala, komu do nich nie zabije serce, choć zgrzybiałem i na progu trumny.

Anna widząc że ojciec ostatka sił dobywa, na próżno go błagała w początku by to do jutra odłożył, przyszła wreszcie pomódz mu sama, i tak jakoś we dwoje odwalili płytę pod którą... znaleźli tylko dużo śmiecia i pyłu...

Stary począł go odgrzebywać, a gdy nareszcie ręka jego oparła się o antabkę szkatułki dębowej, krzyknął tak dziwnie że aż się córka przelęka.

— Są! są! pieniądze są! znaleźliśmy i dobrze przeczuła, zawołał prawie nieprzytomny.

Ale tu trudniej jeszcze było niż z kamieniem, bo szkatuła wbita mocno i dawno zapewne niewyciągana, siedziała uparcie w swej kryjówce.

— Do jutra ojczy kochany, prosiła Anna niemal rozplakana, całując ręce starego, do jutra!

Pan Jan nie dał sobie mówić, i zębami, rękoma, krukami, sznurkami pouwięzwanymi rwał do siebie tajemniczą szkatułkę, która się wreszcie ruszyła, przewróciła bokiem i z wielkim mozołem dała wyciągnąć na brzeg. Zaledwie tego dokonawszy Sieniński tak się uczył podźwignięty i schwycony boleścią nagłą, że nie mając czasu zajrzeć nawet co tam było w dobytej kryjówce, dowlókl się ledwie i legł na łóżku pana Kaspra.

Wszystko to razem, jak sen jakiś poczwarny a przerażający, przejęło Annę strachem niewysłowionym. Zaledwie Jan położył się na łóżku brata, którego skarb zakłęty poruszył, ognista myśl śmierci jego, sieroctwa przeleciała serce Anny.

Wybiegła go Hołodrygi chcąc go posłać po doktora do którego już razy kilka chodził, ale żebrak w pół pijany kłął, gniewał się, łajał, gdy go rozbudziła i wyprawić się nie dawał. Chciała iść sama, ale niepodobna było ojca tak zostawić, służąca też rady sobie by dać nie mogła, po nocy wysłana.

Cały więc czas do rana upłynął w niepokoju niewysłowionym i męczarniach chorego. Szkatuła, pierwsza przyczyna choroby, której odkrycie z łzami krwawymi wyrzucała sobie Anna, leżała na podłodze. Jan z oka jej nie spuszczał, ale tak cierpiał poderwawszy się w najniebezpieczniejszy sposób, że już nawet wstać dla obejrzenia nabytku nie mógł. Prosił jeszcze, mimo cierpienia, Anny by mu ją przysunęła, otwarła, ale biedne dziewczę dokazać tego nie mogło, a sługi i Hołodrygi obawiał się Sieniński.

Noc wiekiem się wydała, i gdy pierwsze dzwonki po klasztorach zabrzęczały, przykrywszy wedle rozkazu ojca szkatułę i komin gratami, Anna pobiegła znów budzić i wysłać Hołodrygę po doktora. Choć jeszcze kłął żebrak, ale wytrzeźwiony posłuchał przecie

i poszedł. Nim się dowlókl, dosztukał, wytłómaczył (co mu nie było łatwo, bo go tylko znajomi przywyklszy do jego mowy zrozumieć mogli) — choroba pana Jana, zwykle w takich razach gwałtownie się rozwijająca, już co raz groźniej objawiać się poczyniała. Chory nadedniem począł mieć silną gorączkę, a co najgorzej trwożył już o sobie. Jakaś idea przesądna, przekleństwa braterskiego za naruszenie jego skarbu, owładła jego umysłem i obawa śmierci ogarnęła gwałtownie serce. Doktor, który nadbiegł, przedsięwziął co tylko było można, ale odchodząc spojrzął z politowaniem na Annę, która w rozpacz i przerażeniu traciła całkiem przytomność. Nie było jej komu pocieszyć, pomódz, ratować i radzić, położenie stawało się każdą godzinę rozpaczliwsze. Jak Anioł opiekuńczy zjawił się przed końcem dnia O. Spirydjon, który tylko co powrócił z Jeziornej, gdzie niedobitego w pojedynku wojewodzica T... dysponował. Dowiedział się on o chorobie drugiego brata Sienińskiego, i niezważając na spóźnioną porę i znużenie, przybiegł zaraz do dworku.

Zastał Annę we łzach, leżącą krzyżem przed obrazem Zbawiciela, doktora przy starcu bez nadziei już chorym, zamęt i znowu jakieś przeczucie śmierci, która tak szybko raz po raz nawiedzała ubogą strzechę. Zaledwie go ujrzało dziewczę, rzuciło mu się do nóg płacząc.

— Ojcze! ojcze! ratuj nas! Ojciec mój umiera!

— Cóż to jest? zkąd to? co się stało? czy przypadek jaki? — spytał kapucyn — wszak go niedawno zupełnie zdrowym widziałem.

Anna opowiedziała wszystko i zaszła się znów z płaczu, przypisując sobie przyczynę wypadku, chociaż istotnie chciwość starca była powodem jego śmierci. Nie chciał oczom swym wierzyć O. Spirydjon, żeby słabość mogła się rozwinąć i stać groźną w tak krótkim czasie, poszedł do lekarza, ale ten otwarcie mu wyznał, że gorączka już się poczęła rozwijać a chory żyć nie może.

Trzeba było widzieć oblicze O. Spirydjona, gdy człowiek walczył w nim z kapłanem, obawa ziemską i żal, z poddaniem się woli Opatrzności. Dwie łzy srebrzyste potoczyły się po zwiędłych zmarszczonych policzkach, załamał ręce, milczał, znać było że się łamał z sobą, a przeżegnawszy potem szybko, wskazał lekarzowi ręką pokój bliźki, sam do obowiązku kapłana wracając póki czas było jeszcze.

Jęk biednej sieroty sam jeden przerywał tę uroczystą chwilę, w której dusza chrześcijanina powołana na sąd niespodzianie, przygotowywała się do niego sakramentem najwyższej pokory... Długo mówili z sobą, chory chwilami odzyskiwał przytomność, to znów stękał i bolał okropnie; w ostatku, gdy sprawy duszy załatwił, oddał w opiekę O. Spirydjona Annę i wszystko co miała. Słusznie obawiając się o zebrany mająteczek sierocy, i swoje mienie i to co po panu Kasprze tak nieszczęśliwie zdobył, zdał wszystko na ręce zakonnika dla deponowania w klasztorze. Chciał jeszcze obmyśleć dla Anny opiekę jakąś i wymówił z trudnością imię Ordyńskiego, gdy bole go porwały i dokończyć mu już nie dozwoliły.

Trudno odmalować to czego doznała Anna w tak krótkim przeciągu czasu, dotknięta wszystkimi ciosami boleści jakie tylko może przynieść życie — tracąc opiekunkę, stryjka, ojca, wiarę i szacunek dla tego, którego kochała i zostając sierotą tak osamotnioną na ziemi, jak żaden ptaszek, co tylko Boga ma nad sobą, samotniejszym nie jest.

Męczył się jeszcze stary Sieniński dni parę, bez żadnej życia nadziei, walcząc tylko z boleścią... nareszcie śmierć zamknęła mu powieki, a boleśny krzyk Anny rozległ się po pustym dworku razem z ostatniem tchnieniem konającego.

VIII

Dzięki nieodstępemu przyjacielowi i panu de Cerulli, z którym dla gry i dla zbliżenia się do pięknej Julji co dzień był lepiej podczaszyc, życie jego pędem szło w kierunku zguby, wiodąc go na niechybne przepaści. Ale wśród ówczesnego świata i prawie powszechnej rozpusty, upadku fortun, zwalania się imion, widok ten nawet oczów nie zwracał, nie dziwił, nie wzbudzał litości.

— Szumi młodość! — mówili jedni.

— Straci, ożeni się bogato, potem i ustakuje — dodawali drudzy.

— Tyle jego co pohula! — mówili starsi niedowiarkowie.

Życie to stratne, nieopatrne, pańskie, jak gdyby jutro świat się miał skończyć wygładające, pochłaniało niezmierne sumy. Znowu więc podczaszyc pożyczał bez rachunku, wydawał bez rozwagi, przy nim wciąż ów szatan kusiciel, szeptał mu rady namiętności jego podżegające. On to w oczach jego podejrzeniem szkaradnem śmiał zbrukać Annę, do której skłaniało się serce Ordyńskiego, on pierwszy wskazał mu z kału i bezwstydu wyciągnioną Julję, on go wzywał do gry i plątał siecią towarzystwa, które pomimo imion świetnych, składało się z najzepsutszego steku XVIII. wieku.

Wkrótce pojednano podczaszyc z podkomorzym brańskim, a ten w pierwszej rozmowie dla dogodzenia swej próżności, choć nic nie śmiał powiedzieć na Annę, jednym ją znaczącym spotwarzył uśmiechem.

Podczaszyc zapragnął ból jakiego doznał, krwią rozlaną ugasić, ale nie mógł żądać tłumaczenia się z uśmiechu, i musiał cierpienie skryć w sercu, w którym już trupami leżały, nie jedna dawna boleść i nie jedno wspomnienie.

Miłość dla pięknej Julji ogarniała go teraz całego, a do wzrostu tej namiętności może i położenie kobiety strzeżonej ściśle, przykładało się. De Cerulli zazdrośny czy nie, jako Włoch uchodził za szatana zazdrości, a sam cavaliere dopomagając do miłostek, nieustannie ostrzegał podczaszyc, żeby się na zemstę jego współziomka nie narażał...

W ten sposób podżegano go jeszcze i drażniono. Julja pokazywała mu się w oknie tylko, ale oczy jej miłośno spoglądały na podczaszyc, paluszki wkrótce poczęły słać pocałunki, usta zdawały się mówić — że radaby zbliżyć się do niego. Włoch, jakby nic o tem nie wiedząc, przyjmował w domu rywala, po przyjacielsku zawdzięczając mu co z jego przyczyny wycierpiał, obsypując grzecznościami, pożyczając pieniędzy i t. p.

Podczaszyc kilka razy próbował potajemnie dostać się do mieszkania Julji, choć na chwilę z nią widzieć, zawiązać stosunki jakieś, ale na każdym kroku znalazł nieprzełamaną zaporę — drzwi, ludzie, żelaza i oczy ją strzegły.

— Słuchaj — rzekł zniecierpliwiony tem do Fotofera, przybyłego w odwiedzinę jednego poranku, jak to może być żebym ja się dał temu Włochowi pokonać i odszedł z niczem.

— Wszakem przestrzegał, że czujny i zazdrośny.

— Alboż i takich nie oszukują?

— Wprawdzie trafia się to, ale z mężami nie z kochankami — śmiejąc się, rzekł cavaliere — małżeństwo to ma do siebie, że blachmałem oczy zasłania.

Podczaszyc kwaśno ale przez grzeczność uśmiechnął się z tego żarciku.

— Cóż począć? — spytał.

— A cóż! wyrzec się pięknej Julji! — odparł przyjaciel obojętnie.

— Wiesz, że to być nie może, ja ją kocham!

— Podczaszycu uważaj co mówisz!

— Powiadam że ją kocham! czyż na Cerullego nie ma już żadnego sposobu? Znasz go, jesteście dobrze z sobą?

Cavaliere namyślił się, zmarszczył, zadumał.

— Ha! ha! — rzekł — byłby może sposób, ale to trudno, bardzo trudno!

— Jaki! mów, użyję jakiegokolwiek!

— Przyznam ci się — szepnął po cichu cavaliere — że de Cerulli ma tylko jedną słabość przez którą do niego trafić można. Widzisz na jakiej stopie dom trzyma, co go kosztuje życie, a jednak to człowiek niezmiernie chciwy! kto wie?... może by się połakomił na pieniądze, bo poczyna stękać, że go Julja drogo kosztuje.

— Na pieniądze! w to mi graj! — klasnął w ręce podczaszyc — to najlepiej, zapłacę mu co zechce, niech mi ją odstąpi. Myślisz że ją sprzeda?

— Nie wiem, spróbuję, pogadam, namówię, nie wspominając od kogo wychodzi propozycja.

— *Quid tentare nocebit* — dodał Włoch zacierając ręce, (bo niekiedy łacinę cytując, udawał że był uczniem akademji padewskiej i teologował po troszę).

Podczaszyc uściśnął tak nieocenionego przyjaciela, powierzył mu całkowicie losy swoje i wyprawivszy go z pełnomocnem poselstwem, sam pozostał w domu, niecierpliwie czekając co mu przyniesie. Cały jednak dzień dał niepokojom wzbierać cavaliere, i nie pokazał się aż trzeciego. Ordyński wybiegł na przeciw niemu na wschody, a że miał u siebie kilka osób, porwawszy go pod rękę, zamknął się w gabinecie odległym.

— Co — spytał — jakże idzie interes?
 Cavaliere spuścił głowę — źle — rzekł — de Cerulli ani słuchać chce...
 Podczaszyc ręce załamał.
 — Jak to? za nic?
 — Nie spieszmy — przerwał poseł — kto wie, myśl rzucona, myśl może powoli wyrosnąć w nim, na to tylko potrzeba czasu. Wprzód gdym mu to powiedział, zakrzyczał ze zgrozą, potem w godzinę sam mnie o to zaczepiał... Kto wie co będzie jutro?
 — Więc, choć trochę mogę mieć nadziei.
 — Będziemy robić co tylko można; ty wiesz — dodał pośrednik — jak ci sprzyjam i do jakich ofiar na usługi twoje gotów jestem.
 Skłonił się; wyszli, podczaszyc rozogniony, on zimny i drwiący.
 Znow upłynęło dni parę, w ciągu których durzył się jak mógł podczaszyc, chodząc od okna w którego widział Juljã, do stolika gry i kieliszka.
 Cavaliere się nie pokazywał. Wieczorem trzeciego dnia, oderwał go nagle od stolika i uprowadził do gabinetu.
 — Spieszmy — rzekł żywo — rzecz się zrobić może — de Cerulli potrzebuje tysiąca dukatów, zgrał się trochę wczoraj, zaczepił mnie sam o targ, płac i bierz swoją ukochaną.
 Podczaszyc porwał się za włosy, grosza przy duszy nie miał.
 — Ale ja właśnie jestem bez pieniędzy!
 — To nic, pożyczymy choć na większy procent dla pośpiechu, bo tu z godziny korzystać potrzeba: napiszesz potem do Lebedzińskiego, przyszle z Głuszy. Daj skrypt do roku na tysiąc kilkaset, a dziś jeszcze swoją mieć będziesz.
 Ordyńskiemu zawróciła się głowa, siadł, napisał, i zataczając się prawie, rozmarzony do gry powrócił.
 — O północy! — szepnął mu w ucho cavaliere. — Zabiorę ją i przywiozę tutaj, przygotuj dla niej pokoje, bo kapryśnego będziesz miał ptaszka, a ciesz się swem szczęściem, którego ci pierwszy mam honor powinszować.
 To mówiąc Fotofero, schował papier do kieszeni, a uśmiech towarzyszący słowom jego tak był dziwnie chytry i szyderski, że podczaszyc pomimo namiętnego zaślepienia nieco się uląkł.
 Przeszło to jednak jak lekka chmurka. Posadziwszy kogoś na swoim miejscu do gry, poleciał sam urządzać dom, przygotowywać się uroczyście, chcąc obchodzić przybycie pięknej Julji, którą przyjaciołom jako *metressę en titre* miał prezentować.
 Cały tłum gości dowiedziawszy się że sławna z piękności i niecnoty swej pani Kozłowska przechodzi do podczaszyc, podniósł kielichy do góry i zawrzeszczał *wiwatem* przerażającym. Jenerał tylko ruszył ramionami spełniając swój kielich i bardzo zwiesił wąsy.
 — Do diabła! — rzekł do gospodarza — jeśli sobie z nią dasz radę, to powiem żeś gracz!
 — Alboż co? — spytał podczaszyc niespokojny.
 — Ba! posłuchaj księcia Nestora co ci o niej powie! że ładna, to prawda, buziaczek prześliczny, taka bestja że mnie nie raz starego zelektryzowała, ażem sobie pomyślał że dla niej by warto maleńkie głupstwo zrobić — ba! ale z węzem co się z dłoni wyślizga, łacniej byś sobie dał radę niż z nią!!
 — Ale jakąż ma wadę! jaki grzech?
 — Wszystkie ile jest powszechnych i głównych, pospolitych i nadzwyczajnych!
 Cofnął się podczaszyc.
 — Zazdrościsz mi — zawołał — i straszysz!
 — Na ten raz że nie zazdroszczę ci to pewna, przekonasz się rychło. To się nazywa złapał kozak Tatarzyna. Myślałeś żeś sobie skarb kupił, a tu cię tak wystroili, że tylko biedy napytasz. Wiesz o babie przysłowie co nie miała kłopotu.
 — Pleciesz jenerale.
 — Niech i plotę, nalej wina, wiwat piękna Julja, *sileat invidia!*
 Podczaszyc który łatwo ulegał wpływowi drugich pomimo rozkochania, trochę się jenerała pogroźkami poruszył, ale wnet zahuczano proroka kłopotów, zapito sprawę i oczekiwano gwarząc wesoło północy i instalacji Julji na nowem gospodarstwie.

Wieczera wspaniała w mgnieniu oka przygotowaną została. W zamku, gdzie generał miał wielkie stosunki z Tremo i Schützem, prawie zawsze dostać było można pasztetów, cukrów, ciast, galaret i t. p., posłano z karteczką karetę i wszystko w mgnieniu oka przybyło, choć suto opłacone, ale duchem gotowe. Wino, owoce, likwory, znalazły się w sklepach na rozkaz, a sala jadalna przed północą połyskiwała blaskiem lustr, świec jarzących, zwierciadeł, porcelany i brązów, wśród których zielone gałęzie kwiatów i owoce misternie rozrzucone, ślicznie stanowiły obrazek. Umiano naówczas tak ustawiać stoły, że i dla oczu pięknymi były i pociągającymi dla smakoszków; dziś to już zapomniana sztuka.

Północ wybiła na zegarach miejskich, gdy turkot karety zastanawiającej się w dziedzińcu, wszystkich ustawił w szeregi ciekawe. Podczaszyc wybiegł, drzwi się otworzyły szeroko, i piękna Julja wiedziona przez Fotofera, ukazała się na progu oglądając śmiało po zgromadzeniu. Ordyński podał jej rękę z uczuciem wpatrując się w tę twarzyczkę, która w tej chwili dość surowa i zimna, zdawała się przypatrywać i liczyć nowych poddanych.

I zblizka była piękną ta sławna Julja! uroczym piękną, ale dziwnym wdziękiem kameleona, który nie mając własnego wyrazu, z łatwością niepojętą zmienia się i przeistacza co chwila.

Łagodność dziecięcia, surowość sędziego, powaga królewska, zalotność dworki, wesołość dziewczyny wiejskiej, chmurne oblicze smutku wdziewała jak maskę i jak maskę zrzuciła, tak, że trudno było powiedzieć czem była w istocie. A w tej grze nie było zimnej wprawy kunsztownie nabytej, ale potworność wrodzona, bo Julja pomimo obcowania z wielkimi panami, dość pospolitą była kobietą; umiała tylko nadać sobie wiele wdzięku niemią postacią, choć usta zdradzały ekonomowę.

Gdy weszła, oczy wszystkich zwróciły się na nią, znowu podniosły się przygotowane kielichy, i szumny toast któremu towarzyszyła muzyka, podniósł się na sali. Julja uśmiechnęła się tylko, spojrzała w twarz podczaszycowi, jakby mu się bliżej chciała przypatrzeć, odwróciła z lekkim ukłonem do gości i siadając na pierwszym miejscu, gdy przechodzili przez salę jadalną zawołała:

— No, siadajmy jeść Michasiu! jestem okrutnie głodna, do trzysta djabłów!

Oklaskiem przyjęto ten wykrzyk grubijański, podczaszyc się trochę zmarszczył, ale humorem nadrobił i przysiadł się przy królowej uczty, która na początek kieliszka likworu zażądała.

Jenerał trącił w bok łokciem sąsiada.

— Takuteńka była u ks. Nestora, szatan baba, zobaczcie dalej!

Niektórzy z biesiadników co jeszcze pięknej Julji nie znali, na widok niespodziany przesłizcznej kobiety, której mowa i głos w takiej były sprzeczności z wrodzonym wdziękiem, ogromne zrobili oczy, inni poklaskiwali oryginalności. Ordyński widocznie nie bardzo był rad swej ekscentrycznej kochance, wołał by był pospolitszą, ale cóż było począć?

— Ja ją przeistoczę — rzekł pocieszając się w duchu!

Zaczęła się rozmowa do której w początku nie wiele się mieszała piękna gospodyni, ale zaspokoivszy głód pieczysem a pragnienie kilką kieliszkami cypryjskiego wina, które jej wcale główki nie zawróciło, rozochociła się jakoś.

— Widzę po tej kolacyjce — rzekła odwracając się do podczaszycy, którego bez ceremonji pocałowała głośno przy rzęsistych brawach — że z ciebie porządny chłopiec i dobry gospodarz, wypiję twoje zdrowie, podobasz mi się doprawdy.

— Zdrowie podczaszycy! — huknęła za Julją kompania.

— Będzie mu tu zdrowie! — szepnął jenerał!

Wszystko aż do ostatniego wybryku zwyczajko uszło pięknej Julji — wdzięk twarzy tak zaślepiła!

W tem, ktoś z młodszych przypomniawszy sobie stare obrzędy nasze weselne, które modą było naówczas wyśmiewać, zaproponował żeby nowożeńcom sprawić kompletne na śmiech wesele. Pokłasnieto tej szalonej myśli; Julja że się bawić lubiła, pochwyciła ją z zapalem i nuż wybierać drużbów, marszałków, oratorów, swatów, znosić marcepany i podarki.

Podczaszyc z początku i to dość chmurno przyjął, ale jak się oprzeć tłumowi, który wre, opanowuje, zakrzyczy? Właśnie naówczas grywaną i drukowaną była komedyjka dość licha: *Pan poznany*, w której na scenie wyśmiewano nasze stare poważne oracje,

a że dwóch obecnych, podkomorzy brański i ktoś drugi umieli te krotocwilne mowy, zmuszono ich by udawali organistę, oddającego wieniec na wiejskim weselu, i bakałarza mówiącego od panny. Charakterystyczna to była scena, w której cały ów wiek się malował, nieumiejący poszanować przeszłości, bo jej nie rozumiał. Organista zaimprovizowany, umówiwszy się z mającym mu odpowiadać, tak rzecz rozpoczął:

— „Antypatyczny bystrego lotu i wysokiego humoru orzeł, gdy się nad niebotycznym Karpatem unosi, wybijawszy nad złotolite perlorodnego Olimpu bisiory, twarz w twarz, oko w oko, niezmrużoną źrenicą zagląda Tytanowi, a potem skierowawszy ją do purpurowego zodiaku, ślicznych i licznych gwiazd nieporuszonemu przypatruje się obroto- wi. Skoro jednak myśliwskiej trąby rezon ciekawym zachwyci uchem, leci jak szalony do znajomej sobie myśliwskiej ręki. Tak właśnie bystrolotny zapęd rozbujanych afektów JMpana Michała Alfiera mego wielce miłościwego pana, gdy od jednej do drugiej prze- latywał piękności, ani w słońcu, ani w gwiazdach nie znalazł wypieszczonych wdzięków, ile ich upatruje w liliowej twarzy...

— A pfe! — syknął generał.

— Co pan masz przeciw twarzy liliowej? — spytał orator.

— Że gdyby była liliowa, nie byłby do niej pan podczaszyc tak przyłgnął — rzekł generał — ale proszę kontynuować.

Śmiech trochę przerwał mowę, ale orator począł dalej.

— W liliowej twarzy, w koralowych wargach, w srebrnolitych oczach...

Generał znowu zaprotestował.

— Patrz-że pan w oczy nie w sufit, to w nich srebra nie znajdziesz.

— Cóżem ja winien że tak w tekście stoi.

— Poprawuj pan tekst...

— A zatem, kiedy chcecie, w czarnoognistych oczach i piersiach alabastrowych...

— Daj to Boże! — rzekł generał cichuteńko.

— Alabastrowych — mówił dalej orator — JMpanny Julji. — Niech ustąpi przed nią Diana...

— Ba, to prawda — szepnął ktoś z tyłu. — Dianie się z nią nie mierzyć, ta Endymionów sobie nie żałuje.

— Niech Kalipso i z swoja Dydoną za piec się schowa, żadna ją bowiem piękność skomparować nie może. Wszakże i JMpanu Michałowi niczego! Owa rażność, owa kibić, owa talia wszystkich na siebie oczy porywa!

— Świadkiem trędowata wojewodzicowa, która by była dała folwark chętnie doży- wociem za pana podczaszyca — szepnął znowu generał.

— Miło patrzeć kiedy — (za pozwoleniem), przerwał sobie orator — tu sęk!

— A co tam takiego?

— Sęk powtarzam, oracja organisty mówi o Bartku *simpliciter*, a ja o podczaszym Michale, tamta wychwała jego czyny wieśniacze, cóż ja mam począć, czy zostać organistą Bartkowym, czy oratorem Ordyńskiego?

— Mów już lepiej jak organista — rzekł generał popatrzawszy na twarz gospodarza, bezpieczniej to będzie; gdybyś zaczął komponować może by ci się nie tak udało.

— Istotnie, bezpieczniej cudze powtarzać — odparł orator, *subintelligitur*, więc że podczaszyc jest prostym parobkiem, a panna Julja prostą wiejską dziewczką.

— Jak sobie chce — przerwała gosposia — ale mi WMpan nie praw jakich imper- tynencyj, bo jak mi honor miły! zamałuję bez ceremonji!

— O! nie głupim — rzekł orator — zostawiam mowę drugą bakałarzowi, z tamtym pani zrobisz co się jej podoba.

— Mów dalej, mów dalej! słuchamy! cicho!

— Cicho!

Organista więc ruszył dalej, i tak rzecz ciągnął gestykując pociesznie:

— Miło patrzeć, kiedy on bohaterskim krokiem stanąwszy na łące, tysiączne nieprzy- jaznych kwiatów nieuchronną kosą swoją lby ścina, miło patrzeć kiedy idąc za pługiem, pieniące się jego potem zagony z gruntu wyraca. Nie zapominam tu *magna nomina et numina* zacnych jego antecessorów. Wiadomo światu sarmackiemu jak wielkim był

w ojczyźnie mężem jego stryj rodzony, który będąc znanym hajdukiem u jegomości pana stolnika piltyńskiego WMpana i brata, w takich u niego był respektach, że często w jednym z nim pokoju miluchno acz na podłodze zasypiał. A cóż mówić o zacnym jego wuju niemniej? który będąc biegłym w żeglarskiej sztuce rotmanem, niestrwożonym sercem wypatrował się za Gdańskiem z suchego lądu szumnym oceanu falom, i wielkie w ojczyźnie zostawił zasługi, nawożąc do nas toruńskich pierników. Z tej tedy prozajpi pochodzący *in linea directa* dzielny JMpan Michał, bombardującami affektu swego taranami długo szturmowawszy do jej twardego serca, gdy całe już je sobie podbił, chce teraz tym zwyczajnym wieńcem który ofiaruje, ukoronować. Chciej-że go przyjąć WMpanna wdziękorodną rączką swoją, którąś go za serce ujęła. Niech faworyzująca fortuna wywija dla was złote szczęścia pasamany, niech Pallas do najwyższych honorów w ojczyźnie bramy wam otwiera, niech lata Nestorowe przędzie Libityna. *Dixi!*

Oklaski znowu i śmiechy powstały, choć niedość dowcipną oracją wywołane, podczaszyc tylko choć z innymi bił w dłonie, jakoś smutnie głowę zwieszał.

Bakalarz, który miał od panny prawić odpowiedź, zdaleka wlaższy na ławę tak zagaił perorę:

— Stanąwszy przed tak ślicznym, licznym i pompatycznym gronem, nie wiem zkąd mam począć, zacząć i rozwinąć osnowę mojej że tak się wyrażę perory. *Auditores ornatisissimi!* Zadrzał by od strachu, choć nie widząc zamachu Marcus Tulljusz, a Cicero nie śmiałyby i gęby otworzyć, gdyby mu przyszło przed wami oracją tworzyć, jako się sam z tem nie tai *in principio dicendi totis artibus contremisco* — wszakże, atoli, przecie, jednakże muszę perorować i admiirować *mibi jussa capessere fas est*. Gdy się waleczny choć niestateczny Virgiliusz Flaccus zalecał do Didony, temi go słowy przywitała: — *Non ignara mali miseris succurrere disco*.

Na te słowa hałaśnie poczęli się śmiać wszyscy, a niektórzy aż za boki biorąc, Julja się zmarszczyła, nachmurzył gorzej jeszcze podczaszyc, ale że jejmość łaciny nie rozumiała, przeszło to jakoś płazem.

— Podobnym affektem i wdzięcznym respektem przyjmuje dary i ofiary od JMpana Michała zacna dama JMpanna Julja, chociaż nie taję, że w myśli staje przestroga udzielona Lacedemończykom przez Annibala — *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Nie myślę ja tu wyprowadzać zacnych JMpanny Julji przodków i niewyrodków, wszakże, atoli, jednakże, nie godzi mi się zamilczeć wielkich talentów, ile że z fundamentów, przezacnej jej ciotki, która jeszcze w kwiecie młodości swej służąc w Warszawie przy pięknej sławie, całe dnie i noce w sklepiku trawiąc, szostakowego piwa hojnie i spokojnie wszystkim udzielała...

Jeszcze tych słów nie domówił bakalarz, gdy piękna Julja błyskawicą podbiegła ku niemu i rozgniewana, potężny, głośny, tytaniczny wycięła mu policzek. Zamieszanie ztąd powstało wielkie, śmieli się jedni, urągali drudzy, piszczal bakalarz chcąc koniecznie oddać swoje choć konceptem. Podczaszyc chodził jak chmura jesienna, a przerwany obrzęd na tem się przecie zakończył, bez marcepanów, ceremoniału oddawania w łożnicy, pokładzin i reszty. Goście zmęczeni powoli wysuwać się zaczęli, a piękna Julja jeszcze uspokoić się nie mogła, latając po pokoju i wołając krzykliwie:

— A to impertynent! a to gałgan jakiś! patrzaj go! nieprawda! Nigdy ciotki nie miałam w szynku, siedziała w Warszawie, no to siedziała, ale za swojemi interesami, co jemu do tego!

— Każda Teresa ma swe interesa! — mruknął wynosząc się także i z flegmą zegnając gospodarza jenerał. — Dobranoc ci panie Michale... a ot i ranek już w oknach!!

Jeszcze kilku niedołanych pijaków ziewało i krzychało przy kielichu w sali, gdy jasny dzień nowemu życiu biednego Ordyńskiego zaświecił.

IX

Anna nie miała ojca. — Zimne jego zwłoki czarny wóz i szereg księży wywiódł na cmentarz miejski, gdzie w tłumie mogił tysiąca, wkrótce tej jednej znaleźć nie będzie można. Za trumną, prócz Anny w żałobie i we łzach, nie było prawie nikogo; posłano do podczaszycy, bo go O. Spirydjon myślał śmiercią starego sługi obudzić, ale kogo zgon matki nie wyrwał z szarów rozpusty, mógłże zgon obojętnego poruszyć człowieka? Podcza-

szyc właśnie był po wczorajszej uczcie weselnej. Zamknięty z piękną swą Julją, gdy mu o śmierci Sienińskiego oznajmiono, przeczytał kartkę, ruszył się i upadł na kanapę. Anna mu przyszła na myśl, jej sieroctwo, opuszczenie, czekający ją może niedostatek. Żal mu się trochę zrobiło dziewczęcia, potem zagadała zemsta, przemówiło lenistwo, zawarczała namiętność, odłożył do jutra i na pogrzeb nawet nie poszedł.

Jedynym opiekunem Anny pozostał O. Spirydjon, który w niepokoju o los jej, choć nie doradzał zakonnego życia, namawiał na schronienie w klasztorze. Było to w kilka tygodni po pogrzebie, a dziewczę już ochłonawszy z pierwszych wrażeń co je w początku przybiły, odzyskiwało wolę, zapal i siły. Oplakując ojca, Anna nie straciła z oczu towarzysza swej młodości dla którego tu przybyła, chciała go ratować jeszcze, a uczuwszy się teraz swobodniejszą, myślała dziełu przez starościnę wskazanemu jej we śnie, poświęcić się teraz cała. Klasztor więc nie odpowiadał wcale jej zamiarowi, musiała pozostać wolna, a nie chcąc i nie mogąc mieszkać sama, odezwała się śmiało o radę do O. Spirydjona.

— Wszak może ufność twą zyskałam ojczel! — odpowiedziała mu — widziałeś mnie w różnych życia wypadkach, znasz mnie trochę! chcę pozostać sama i swobodna, nie tąję dla czego, bo muszę ratować podczaszycę. Jak? nie wiem, ale silnie chcę i starać się muszę!

O. Spirydjon ruszył brwiami i zażył tabaki.

— To mi się nie podoba — rzekł — bo to nie kobieca rzecz, rady sobie nie dasz, a zgubić się dla niego łatwo. Ja ci dziś wierzę moje dziecko, ale czy jutro pozostaniesz tak jak dziś, nie ręczyłbym. Ludzka natura jak garnek, o którym póki surowy nie mówić, aż się z nim ukrop zagotuje.

— Ale ty ojczel znasz najlepiej, że serce mam dotąd niezepsute, a gdyby w nie co złego wkraść się miało, wierz mi, poczuję i przyjdę po radę.

O. Spirydjon zamilczał.

— Ale cóż myślisz począć, szalona głowo? — zapytał ruszając ramionami.

— Sama nie wiem; robić będę co można, czem mnie natchną okoliczności. Środki zależą trochę od tego co mi ojciec i stryj zostawili; nigdy cię ojczel nie pytała o to, dziś proszę powiedz co mam?

— Właśnie ci o tem przyniósł wiadomość — odpowiedział kapucyn dobywając papierów z rękawa — wezwałem kilku świadków, zrobiliśmy rachunek i — tu spojrzął na dziewczę okiem badawczym śledząc każde jej drgnienie — i powiem ci, że jesteś bogatą, bardzo bogatą nawet.

Anna zarumieniła się jakby z radości.

Ksiądz zasmucił się.

— Cieszysz się? — spytał.

— Cieszę się — odpowiedziała — bo użyję tego grosza aby go wydzwignąć i uratuję! Bez dostatku trudniej by mi to może dokazać było. Ale zkadże te niespodziewane bogactwo?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć — rzekł staruszek — ojciec twój w pocie czoła zebrał ci kilka tysięcy czerwonych złotych, pan Kasper nie wiem jakim sposobem zostawił ich po sobie z czystym złocie kilkadziesiąt tysięcy, dość piękne klejnociki, oszacowane także na tysięcy kilka, skrypta pewne i zastawy.

— Jakże mu to przyszło?

— To tajemnica między nim a Bogiem; wiem, bo duszy jego byłem stróżem, że złemi środkami nie dorobił się tego mienia, ale kilkadziesiąt lat niesłychanego skąpstwa nie lada co może.

Anna zamyśliła się jak na modlitwie ze złożonemi rękoma i po chwili wstała.

— Więc mogę — zapytała — pokazać mu się dostatniej? może też choć tak ku sobie go pociągnę z tej otchłani.

— To straszna igraszka — rzekł surowo kapucyn — czynisz to w niewinności ducha, co zgubić może! Ale strzeż się na Boga, radź sumienia, nie ufaj siłom swoim, bo nie jedna tak zginęła.

Anna uklękła całując drżące dłonie O. Spirydjona, i prosząc go o błogosławieństwo.

— Święty mój ojczel — zawołała — czyste mam myśli i zamiary, biorę za świadka tę moją opiekunkę, która mi z nieba powierzyła dziecię swoje — nie chcę mojego szczęścia, chcę zbawienia jego! Niech ja zginę, byleby on ocalał. Kocham go, nie zaprę się tego, ale

go odstąpię byleby szczęśliwym był pocziwem szczęściem, błogosławionem przez Boga. Przeżegnaj mnie ojciec i nie lękaj się o mnie.

Wstała tak promienista zapałem, że starzec pokonany w milczeniu, nic już nie rzekłszy odszedł. Znać było jednak, że się nie mało frasował.

W kilka dni potem, Anna za poradą kapucyna, który miał styczność z ludźmi klas różnych, przyjęła do domku swego wdowę, niegdyś majątną, dziś zubożałą, niejaką panią Wąhorską, która jej nieodstępna odtąd towarzyszką być miała. — Wybór ten był dość szczęśliwy, bo jej wychowanie, charakter i hart z jakim przetrwała doznane nieszczęścia, rękojmię na przyszłość dawały. Mąż jej niegdyś zamożny obywatel z pod Płocka, mając szczególną familijną od dziadów jeszcze żyłkę do procesów, pomimo najusilniejszych perswazyj żony, do ostatniej koszuli się pieniał i umarł zakładając apelacją od jakiegoś dekretu. Skutkiem tej przeszłej w nałóg namiętności do procesów, Wąhorscy stracili co mieli do szeląga, a matka została z dwojgiem dzieci na bruku. Mając dawnych znajomych i stosunki w Warszawie, udała się do stolicy, gdzie jakąś resztką poczynszy utrzymywać studentów, z tego się żywiła. Tymczasem własne jej dzieci poumieraly, widok cudzych tak boleśnie pocziwie jej serce rozraniał, że musiała swój chleba kawałek na cięższy daleko odmienić. Założyła więc pralnię batystów i koronek, tak naówczas używanych, które nieraz aż do Paryża wykwiłtniejsi posyłałi, i z tego zapracowanego ciężko chleba, utrzymywała się ubogo. Pomimo że jej pomagano ceniąc cnotę, pobożność i szanując nieszczęście, jakoś i tu nie bardzo się jej wiodło, a że była charakteru łagodnego, nie mogła sług w przyzwoitej utrzymać karności.

Gdy więc O. Spirydjon zaproponował jej przez kogoś żeby zamieszkała z Anusią, pani Wąhorska chętnie się na to zgodziła, a dziewczę wyczytawszy na bladej twarzy wdowy ślady cierpienia i wyraz rezygnacji, przyjęło ją jak matkę. Dziwnie też przypadły do siebie te dwa charaktery; pani Wąhorska, jako kobieta co najdziwniejszych zmian losu doświadczyła, ufna była w przypadki dziwne, w zmiany niespodziane, w siłę woli własnej i pomoc Opatrzności. Anna na tem także opierała nadzieje któremi żyła. Pierwszego zaraz wieczora, całe już życie swej towarzyszki znała pocziwa Wąhorska, oblawszy je rżęsiestemi łzami, przerywając opowiadanie pocałunkami co chwila, bo jej ten uścisk dawne macierzyństwo przypominał. Choć dziwnem się jej zdało że Anna chciała, ufna w swe siły, ratować człowieka do którego nawet dostąpić nie mogła, wierzyła jednak w ratunek, opierając się jak Anna na snach, w których się starościna po trzykroć jej ukazywała.

Dwie kobiety znalazły w sobie źródło pociech niewyczerpane i gorąco się pokochały. Anna prócz tego zaludniła swój dworek kilką sługami, Hołodrydze tylko przez litość zostawując dawny kątek przy bramie. Wzięto się zaraz do odświeżenia domku, a że w mieście byle pieniądź wszystko łatwe, w kilka tygodni stanął jak lalczka ze zmienioną skromną ale wdzięczną powierzchownością, obmyty ze starej rdzy i brudów.

X

W kilka dni po owym wieczorze u podczaszyca, który zakończył tak dobrze wymierzony policzek, cała Warszawa mówiła o Julji i Ordyńskim. Uderzenie oratora szczególnie szeroko się głośnie stało, bo o niem nawet przy rannej tualecie królowi JMci opowiadał Bacciarelli, nie bez dodatkowych szczegółów o Julji, bo z niej raz malował Venus wychodzącą z morza, co mu ją ze wszech stron dobrze poznać dało.

Jenerał w tydzień coś potem, przyszedł swoim zwyczajem rano do dawnego pupila.

Zastał go przed zgasłym kominem w małym pokoiku, z głową spuszczoną, z oczyma zapadłemi, z miną nadzwyczaj kwaśną.

— Jak się masz Ordyński? — zawołał z progu — a co? jak się tam powodzi *in nexu quasi matrimoniali*?

— Ba — odpowiedział podczaszyca siląc się na blade uśmiech — jako tako! — Ale i uśmiech i słowa rozlały się w jakimś wyrazie znużenia.

— Cicho! cicho! jenerale.

— Co to jest? i dla czego?

— Julja tuż śpi w drugim pokoju, dała by mi dopiero, żebyśmy ją przebudzili!

— A no! to chodźmy ztąd gdzie indziej.

— A nuż zbudzi się i wstanie?

— To co?

— Potrzeba żebym był zaraz gdy oczy otworzy.
 Jenerał się rozśmiał w kułak.

— A to cię widzę spętała! Cóż u kata? boisz się jej, czy co?

Podczaszyc ruszył tylko ramionami, trudno mu się przyznać było, wyszli na palcach do gabinetu, jenerał posłał swoim obyczajem po zwykłe śniadanie, ale pokazało się, że klucze wszystkie były pod poduszką u pani.

— O! o! a to widzę okulbaczyła cię kompletnie — zawołał stary ruszając ramionami niecierpliwie — poszlijże do cukierni.

Posłano do cukierni, a podczaszyc zawstydzony, śmiechem nadrabiał.

— A no, kochany panie Michale, spowiadaj że mi się szczerze, to coś widzę zakrawa na niewolę Babilońską, jeśli tak potrwa, wypadnie zakasawszy poły uciekać.

— Ale to tylko pozory! pozory! — zawołał podczaszyc. — Julja rzeczywiście trochę dziwaczna, ale jej serce...

— Gadaj o sercu któreś za miły grosz kupił!

— Wszakżeśmy się kochali wprzód?

— Kpij zdrów z tego kochania, serca niema u takiej kobiety; że piękna jak Venus nie przeczę, ale to podobno pierwszy jej i ostatni przymiot, no, gadaj szczerze i radźmy!

— A jak posłyszysz? — rzekł oglądając się podczaszyc — albo nas kto posłucha i doniesie?

Baucher się rozśmiał głośno, tak, że Ordyński znów zląkł się, by śmiech jego nie obudził pani.

— Na miłość Boga cicho! — zawołał — niechże sobie śpi! nie budź licha!

— No, no, będę się wstrzymywał, gadaj mi otwarcie, to widzę Herod baba, trzeba na to lekarstwa.

— Ale ja ją kocham!

— No! no! przez punkt honoru! — odparł stary trzęsąc głową — jesteś widzę jak ten szlachcic ze wsi, co gdy w garkuchni za obiad zapłaci, musi go zjeść do pylinki, choćby mu bokiem wyłaził.

Ordyński się uśmiechnął.

— Masz jej dosyć, jestem pewny — kończył jenerał — djabeł ci ją nadał, gotowa nam do licha zamknąć dom wesoly i jeszcze cię na prawdę z sobą ożenić, tego ja sobie nie życzę.

— Słuchaj jenerale, ale ty jutro roztrąbisz po całym mieście co ci powiem?

— Michasiu! chyba się upiję — odpowiedział dobrodusznie Baucher — po trzeźwemu nie zdradzę.

— Ależ jenerale, ty się dziś jeszcze upijesz!

— Wszystko to być może, ale jak ci dam trzeźwe i pijane słowo honoru, rachuj na mnie, te ci daję!

— Cicho tylko.

— Cóż więc?

— To szatan z piekła rodem ta kobieta! — zawołał podczaszyc łamiąc ręce.

— A com ja ci mówił, nie trzeba było kota w worku kupować.

— Stało się!

— To i odstać się może, czem ci u licha tak dojadła?

— Wystaw sobie jędzę — złośnicę, zalotnicę nieposkromioną, chciwą jak żyd, podejrzliwą jak szatan, a wdzięczną i piękną jak posąg grecki kobietę.

— Tu sęk! — rzekł Baucher.

— Owładła mi domem, kuchnią, ludźmi, pieniędzmi, przyjaciołmi, wszystkim co moje było, co mnie otaczało — stałem się niewolnikiem, kryć się muszę i męczyć jak w piekle.

— No! ale ładna bestja! — rzekł śmiejąc się stary, i dodał namyślając się: — Potrzeba się z tego wycofać!

— Niepodobna.

— Jakto, niepodobna?

— Ale ja za nią szaleję!

— Toś warjat!

— Może, ale tak jest!

Jenerał popatrzył, ruszył ramionami i począł pić czekoladę.

— Pomyślimy — rzekł — ale cię to widzę nie mało kosztować będzie.

— Zna to że mnie opanowała — dokończył podczaszyc — rzuca mną teraz jak dzieckiem; jeszcze na dobitkę, wystaw sobie jenerale, co dzień pod oknem tego nieszczęśliwego Kozłowskiego z jego łysą jak kolano głową, który patrzy w okno moje, dobija mi się do drzwi, awantury wyrabia i tłumy tu sprowadza... gdy ta Nielitościwa najniegodziwiej szydzi z biednego warjata!

— Pfe! tu już coś zarywa na tragedję — rzekł jenerał — pomyślimy... a gdybyś uciekł?

— Powiedziała mi wbrew, że tyłu już miała kochanków, którzy się z nią nie ożenili chociaż obiecywali, iż musi teraz pójść za mnie com jej nic nie przyrzekł!

— Czuje żeś słabizna! a mąż?

— Mówi że ma rozwód w kieszeni.

— Kiedy tak — rzekł przyjaciel — to nie przelewki, poznała cię że z tobą zrobi co zechce, potrzeba się ratować, bierz paszport i uciekaj gdzie pieprz rośnie.

— Ale bo mi jej szkoda!

Jenerał dziwną zrobił minę i umilkł.

— Widzę — rzekł — że cię niechybnie ta djablica ożeni z sobą, a żal mi cię kochanie. Mógłbym ci wyrobić u króla jaką misję do Stockholmu lub gdzie daleko, aleś ty widzę ugrzązł, a baba cię poznała na wylot. Rób-że sobie sam co chcesz.

Podczaszyc pochodził po pokoju wielkimi krokami zadumany i odezwał się z goryczą.

— Ha! nażyję się, nażyję! a potem sobie w łeb strzelę!

— Tak!! — podchwycił jenerał patrząc mu w oczy — widzę żeś na drodze do czubków! Trzeba ostatniego warjata żeby to zrobić! Chybaby mu gęba zarosła żeby już pić i jeść nie mógł!! Wierz mi, życie takie warte swoje trzy grosze, a pistolet najgłupszym jest instrumentem.

— Tak! — rzekł podczaszyc z rozpaczą i dziwną jakąś łzą w oczach — świat nie wiele wart, wysmoktać go, wysmoktać, a z lupiną precz do stu djabłów!

— Ha! na desperacją ci się widzę kochanku zebrało. Ależ rozsądny człowiek póki ma grosz, zdrowie i dobry żołądek, nigdy desperować nie powinien, bo to wielkie, wielkie głupstwo!

— Ty tego nie rozumiesz nigdy jenerale!

— Istotnie, ani się na to silę — jak na wiersz Trębeckiego, którego słucham z przyjemnością, ale i nie myślę głębokich jego arkanów penetrować.

W tej chwili dzwonek, którym gniewna miotła ręka, rozległ się hałaśliwie w przedpokoju; dom przed chwilą cichy cały zatętniał żywymi krokami biegnących ludzi, a choć wszystko się spieszyło i leciało co tchu, już slychać było łajanie pięknej Julji, która zawsze burzą dzień rozpoczynała. Podczaszyc porwał się także i nie żegnając nawet jenerała, wybiegł ku sypialni, do której z jednej strony zdyszana służąca, z drugiej chłopak z kawą, z trzeciej lokaj z ciastem spieszył, bo pani ledwie otwarłszy oczy, w łóżku zwykła była jeść śniadanie.

Jenerał spojrział na to okiem doświadczonego postrzegacza, potrząsł głową upudrowaną, wargę dolną wychylił, czoło zmarszczył i biorąc kapelusz pod pachę, arcykomicznie szepnął sam do siebie:

— Ka-put!!!

Na szerokim łóżku osłoniętem firankami z ciężkiej pąsowej materji, ozdobnej złotą szmuklerszczyzną, w przejrzystych osłonach, na miękkim łabędziem posłaniu ubranem w przepyszne koronki, leżała piękna Julja, leniwie czarne otwierając oczy. Tuż przy niej siedział posłuszny podczaszyc, stała panna i stoliczek z kipiacą kawą.

Ziewnęła i powoli rozwarła powieki.

— Żle spałam! — zawołała — a! jak mnie głowa boli! dla czegoś tak rano wstał? — spytała — chodziłeś gdzie? — Spojrzała mu w oczy, aż się biedny zmieształ.

— Ja? nigdzie.

— Kłamiesz! nie byłeś w drugim pokoju, leciałeś aż z trzeciego gdym zadzwoniła.

— Tak jest!

— Poco-żeś tam poszedł?

— Miałem u siebie jenerała.
— A mówiłam ci żebyś tego starego wieprza nie przyjmował.
— Co mówisz! to najlepszy mój przyjaciel!
— Do kieliszka, do sakiewki — tyś łatwowierny jak dziecko, a oni cię odzierają.
Podczaszyc uśmiechnął się boleśnie.
— To go nie przyjmę więcej! — rzekł cicho.
— Pleciesz! póki ja go nie odprawię, ty sam sobie rady nie dasz, ale ja staremu trut-
niowi tak zaleję za skórę, że tu więcej noga jego nie postanie.
— Zlituj-że się, co on ci winien?
— Nie lubię go! Stary, paskudny! Hej! gałgany, kawa pani ostygła! — dodała z gniewem.
Podczaszyc pochwycił sam tacę i z nią wyprzedzając ludzi do kawiarni poleciał.

XI

Takie było położenie Ordyńskiego, a Anna która wiedziała o wszystkim, z bijącym sercem śledząc każdy ruch jego nad brzegiem przepaści, łamała ręce, szukała sposobów i nic nie umiała poradzić. W głowie i sercu swoim badała, środków jakimi by go wyrwała z rąk kobiety i ludzi co do ostatecznej ciągnęli go zguby, ale pomysły były szalone jak uczucia, a w biały dzień na zimno począc co one doradzały, nie miała odwagi.

Wąchorska, której mąż jakiś czas trzymał dzierżawą majątek z Lubomirszczyzny, co ją potem Ponińscy wzięli po żonach, a gdzie właśnie i Kozłowski służył, знаła tę kobietę z widzenia i przez drugich, słyszała potem wiele o niej w Warszawie i odmalowała Annie w tak przerażających kolorach, w jakich ją cały świat widział. Było to wadą biednej wdowy, że choć ją nieszczęście przybywające złamać nigdy nie mogło, zbytecznie może przewidywała je i przeczuwała, wszędzie najgorsze wróżąc skutki, bo do pomyślności nie była przywykła.

Mieszkanie Anny tak daleko leżało od domu, który zajmował podczaszyc, że widzieć go i wiedzieć nawet o nim dość było z tego powodu trudno. Mimo oddalenia jednak, Anna chodziła najkręszą wybierając drogę do kościoła Kapucynów, by idąc spojrzeć choć w okna Ordyńskiego, czasem go spotkać na ulicy, czasem z daleka życia jego widzieć urywek.

Jednego poranku kiedy wciąż prosi Boga, żeby jej dał siły i potrzebny do czynu kierunek, z Wąchorską razem wyszła na mszę do kościoła, swoją zwyczajną a najdalszą drogą. Mijając dom podczaszycą spojrzała ukradkiem w okna, firanki były pozapuszczane, wszystko w nim milczało i zasypiało po burzliwej może nocnej zabawie. Westchnęła Anusia, a w tem o kilka kroków, niepostrzeżony wprzód spotkał ją podczaszyc. Szedł on przeciwko dawnemu zwyczajowi swemu pieszo, — bo konie i powozy zostawały pod dyspozycją pani — blady, wyniszczony, zmieniony do niepoznania i straszliwie smutny. W twarzy jego nie rozpacz ale jakieś malowało się zubożenie, patrzył i nie widzieć się zdawał, żył bez uczucia życia, szedł jak bez celu... miał pozór pijanego... Na wąskiej ścieżce spotkali się nagle z Anną, oczy ich zetknęły się w wejrzeniu niespodzianem, żywy rumieniec okrył twarz dziewczęcia, podczaszyc zastanowił się i coś na kształt uśmiechu gorzkiego prześliznęło mu się przez usta.

— A! dzień dobry ci Anusiu!
— Dzień dobry!
— Dokądże to idziesz?
— Ja! do kościoła! Sierotom modlić się trzeba goręcej jeszcze, bo Bóg im tylko ojcem i doradcą. — To mówiąc wskazała na swoje suknie żałobne. Podczaszyc zadumał się jakoś posępnie. Łagodna Anny twarzyczka, którą krasiał wdzięk nie naśladowany nigdy prawdziwej skromności i dziewictwa w duszy, tak była dla niego teraz zjawiskiem miłym, anielskim, po wyzudanej Julji, jak woda kryniczna po palącym napoju!

Siła wspomnień, boleść za przeszłością, skryta miłość co gdzieś żyła przytulona w serca kątku, nie dozwoliły mu minąć jej obojętnie — zastanowił się, stali oboje, milczeli.

— Pan nie jesteś chory? — spytała Anna po cichu.
— Chory? ja? nie! — odparł znów z gorzkim swym uśmiechem pocierając czoło — alboż widzisz co na twarzy mojej?

— Zmizerniałeś pan, zbladłeś!

— Może być, jestem zmęczony — pozwolił bym cię kilka kroków przeprowadził, po dawnej znajomości.

— I owszem, na mszę wcześniej jeszcze, przejdziemy się trochę.

— Chodźmy więc — podając jej rękę, rzekł Ordyński nieco weselej — przypomnim sobie dawne nasze czasy dziecińne, kiedyśmy tak razem chodzili w Głuszy po ogrodzie.

— Nie! nie przypominajmy — odpowiedziała Anna — Głusza i wszystko cośmy tam przeżyli nie powróci już nigdy! życie dziś tak ciężkie dla mnie, gdy błysnie przy nim ta przeszłość, czarniejszem jeszcze się wyda.

Podczaszyc westchnął.

— A! prawda — rzekł — nie wróci się to nie wróci! nie wstaną z grobu ani babka, ani matka, ani nasze lata młode!!

— Chciałeś pan życia, świata, spróbowałeś go, odezwała się Anna, a jednak wzdychasz, nie zapłaciło cię widzę za to coś dla niego porzucił.

— Kto wie — rzekł opamiętywając się podczaszyc — może to się tak każdej przeszłości żałuje, zobaczymy później.

— Jeżeli zobaczymy! — dodała smutno Anna.

— Cóż ty z sobą począć myślisz, Anusiu? — zapytał nagle podczaszyc.

— Nic nie myślę, nie wiem co mi Bóg zgotuje.

— Naturalnie pójdiesz teraz za męża? — uśmiechnął się patrząc jej w oczy.

— Nie wiem, nie chcę.

— Słyszałem, ktoś mi tam mówił, że ci z nieba spadły krocie, jesteś teraz bogata!

— Bogata? nie! ale Bóg łaskaw nie chciał mnie razem doświadczyć sieroctwem i nędzą.

— Z twoją twarzą i krociami, łatwo ci będzie teraz znaleźć męża jakiego zechcesz.

— Ja nie jestem tak łatwa w wyborze — odpowiedziała z trochę dumy Anusia — cenię swobodę, a serce... serce zewsząd objęła żaloba i wspomnienia dawne i przywiązanie dawniejsze. — Słów tych domówiła po cichu, Ordyński spojrzął w jej oczy błyszczące i wyrazu pełne.

— Kobiece przywiązanie — rzekł — to pogoda jesienna.

— Jak jakiej kobiety, jak jakie przywiązanie! — urażona odezwała się Anna.

— O! każdej! o! wszystkim! — zawołał podczaszyc.

Anna zastanowiła się oburzona i gniewna.

— Boś pan jeszcze nie znał żadnej coby imienia kobiety wartą była! — odpowiedziała z uczuciem.

— Nie gniewaj się Anusiu, znałem ich wiele i dobrze!

— Im więcej tem gorzej!

Zamilkli na chwilę.

— Pozwól-że mi pan spytać się także — odezwała się Anna — co pan myślisz dalej?

— Ja! nic! nic a nic — odparł podczaszyc ruszając ramionami i spoglądając po fanfaronsku do góry — żyć póki się żyć da, a potem w łeb sobie strzelić, gdy życie się znudzi!!

Dreszcz przejął biedną Annę.

— Mój Boże — rzekł z oczyma załzawionemi — gdyby te słowa święta babka wasza usłyszała! ona co w niepokoju o pana umarła, gdyby wiedzieć mogła do czego dziś doszedł jej wychowaniec, ulubione jej dziecię! a! lepiej! lepiej! że tego nie dożyła!

Podczaszyc zdawał się mocno wzruszony.

— Czyż to się godzi spaść tak nisko — kończyła Anna — by z życia zrobić sobie igraszkę tylko... a Bóg? a przyszłość? a obowiązki?

— Stare oklepane powtarzasz mi rzeczy, kochana Anusiu, czy się tam w to pan Bóg wdaje.

— A! żal mi pana! — zawołała łamiąc ręce — spójrz pan, lzy mam w oczach. Nic-że już nie potrafi, nawet siła pocziwych wspomnień, wyrwać z tego odrętwienia, z tej dziwnej rozpacz?

— Anno! — rzekł poważnie Ordyński — gdyby to było podobne, gdyby było za co ująć się w pustem sercu mojem, tybys to może jedna potrafiła! Patrząc na ciebie, odżywa dla mnie wspomnienie młodości, które mnie rozczula i orzeźwia razem — ale nie wróci! — nie wrócić wygnanym do raj! Raz tylko w nim bywa człowiek!

To mówiąc ścisnął ją za rękę i zniknął, może się chował ze łzami. Anna zasmucona i pocieszona razem, weszła do kościoła, czując że może przypadkowe spotkanie, i tych słów kilka wywrą wpływ jaki na przyszłość — tonący brzytwy się chwyta.

Podczaszyc rozstawszy się z nią, szybko odszedł ku domowi pogrążony w myślach, chmurny, z okiem zwilżonem łzą dawno niewidzianą: przebiegł wschody machinalnie i wpadłszy do swego pokoju, rzucił się na krzesło nie zważając nawet, że w sypialni Julji hałas był ogromny, a niecierpliwa kobieta krzyżąc prawie zwoływała dwór swój cały. Nareszcie sądząc że podczaszyc umyślnie może udawał głuchego, Julja wbiegła osłonięta zaledwie, bosa, z rozpuszczonymi włosami, z twarzą zapaloną i oczyma gniewnymi.

— Co to jest? — zawołała — gdzie ty był?

Podczaszyc usłyszawszy piskliwy głos jej, dopiero przypomniał sobie niewolę swoją i z przestachem spojrzął na nią.

— Czego chcesz? — spytał zimno.

— Gdzie ty byłeś!

— Na przechadzce.

— Widzieli cię żegnającego się z jakąś kobietą, z którą chodziłeś po ulicy.

— Bo istotnie z kobietą chodziłem.

— I śmiesz mi to mówić w oczy! to dawna jakaś kochanka! ale poczekaj, kiedy tak, ja ci potrafię odpłacić w dziesięcioro z mojami dawnymi przyjaciółmi!

— Ale cóż ci to w głowie Juljo! — oburzył się podczaszyc — wszakże nie zaprzeczam i nie zapieram się żem spotkał się, żem rozmawiał z kobietą, to przecie nie zdrada żadna!

— O! o! ja was znam! — zawołała Julja tupiąc nóżkami — wszyscyście wy łajdaki, ale ci przysięgam, że drugi raz wylecę sama na ulicę i takiego ci wstydu narobię, a tę gałganicę tak po pyskach wytrzępię, że mi oboje popamiętacie.

Ordyński powstał nagle groźny, z brwią zmarszczoną, drżący cały.

— Słuchaj-no Juljo — rzekł zdobywając się na flegmę, jeśli mi się poważysz raz jeszcze co podobnego powiedzieć i taką mi w domu robić burzę...

— No to co? — krzyknęła przyskakując.

— Każę cię precz lokajom wypędzić! — rzekł Ordyński i usiadł.

— Mnie! ty mnie! lokajom wypędzić! cha! cha! A co to ty myślisz? że ja ci się dam wypędzić? Wiele byś wygrał na tem, a tobym ci życie zjadła! Nie kochanku (poczekaj, odpokutujesz ty mi za tę obietnicę) mnie się nie wypędza! Chciałeś mnie, wziąłeś, nie myślę już dłużej z rąk do rąk przechodzić, dobrze mi tu i zostanę. Słyszysz, a jak cię zobaczę z tą kobietą czy z inną, jak mamę kocham, awanturę zrobię!

To mówiąc i widząc że podczaszyc uparcie zasępiony milczy, Julja cała zasapana wyszła do swego pokoju, trzasnąwszy tak drzwiami, aż się cały dom zatrzęsł.

Po tej scenie szkaradnej, Ordyński jak przykuty na krześle pozostał, a w długim dumaniu jego, Bóg wie co przez skołataną przelatywało głowę.

Około drugiej godziny wszedł na palcach cavaliere Fotofero z tą minką z głupia-franta, którą często dla podczaszycy przybierał. Wprzód on był u Julji i wiedział już o wszystkim, szedł teraz z gałązką oliwną, jako pośrednik do zgody.

— A! a! cóż ci takiego, kochany podczaszycu?

— Ha! co? mnie! kto? — budząc się zawołał Ordyński — a! to ty? mnie? nic! tak to jestem jak widzisz szczęśliwy!

Cavaliere dziwnie się skrzywił.

— Wiem! wiem! małeńka kłótnia miłośna! burza po której wam jaśniej zablęśnie pojednania pogoda. Pan sobie pozwolił jakiejś rannej wycieczki, pani wyszpiegowała niewierność.

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Pewnie to było znów *rendez-vous* z piękną Anusią:

*Et l'on revient toujours
A ses premières amours!*

zaśpiewał fałszywie.

— Jakie *rendez-vous!* co ci w głowie! zesłiśmy się przypadkiem w ulicy, przemówiłem słów kilka.

— Ba! ba! znamy to! znamy! Anusi bardzo ładnie w żalobie — dodał cavaliere — podwójnie ładnie, bo i posażek się znalazł co jeszcze jej wdzięki podnosi! Dziś, jutro czerni ta zamieni się może na białą ślubną zasłonę; ma słyszeć z pół miliona po stryju i ojcu!

— Tem lepiej! wyswataj-że jej kogo!

— Ba! ba! radbym ale mi się tam nie uda, jest ktoś w serduszku co innych nie puszcza. — Uśmiechnął się. — Jak sobie przypomnę — rzekł — żeś pan ją miał w ręku i puścił dobrodusznie, śmiech mnie bierze!! Istotnie Julja się niesłusznie gniewa: pana i posądzić trudno!!

— Julja po prostu warjatka jak jej mąż!

— Ale śliczna! nieprawda?

— Na nieszczęście!

— *Venus Praxitela!* drugiej takiej nie ma w Warszawie... to cud doskonałości. Znajdź mi pan choć jedną wadę kształtów!

— Tak, gdyby serce, gdyby głowa!

— Wszystkiego razem mieć nie można — rzekł Fotofero — potrzeba wybierać!

Mówił dłużej jeszcze usiłując podczaszyca udobruchać i przywieść do zgody, na którą w drugim pokoju czekała piękna Julja, zakławszy się że ją będzie na klęczkach przeproszał. Ale układy szły oporem; Ordyński ani myślał o przeprosinach i zgodzie. Zmęczony, zrozpaczony, począł wstręt uczuwać do niej... Duma pańska, którą poruszyły miotane grubjańsko obelgi, biła mu krwią do czoła.

Poznał wkrótce Fotofero, że lepiej zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi, między drzwiami palców nie kładąc, sprowadził rozmowę na inny przedmiot i z sobą razem powiódł podczaszyca do Cerullego.

Julja natychmiast kazała sobie zaprzężyć karetkę i drugą stroną ruszyła do księcia Nestora w odwiedzinę, wiedząc że jej pewnie rad będzie dawny kochanek.

Wśród gry i zabawy Ordyński jakby coś przeczuwał, ciągle był niespokojny, na myśl przychodziła Julja i jej pogroźki, gniew poczynał nim miotać; nareszcie nie wytrzymał dłużej, wstawszy od stolika, wysłiznął się niepostrzeżony i pojechał do domu.

Julji nie było.

— Dokąd pani pojechała? — zapytał.

— Tak pojechała.

— Ale dokąd?

— Nie wiemy! — odpowiedzieli słudzy.

A był tam między nimi jeden stary co kawę gotował przedziwnie, i dla tego aż z Głuszy go sprowadzono, imieniem Maciej, niemogący cierpieć kozła (tak nazywał Julją); ten wzięwszy na fantazję i odwagę rzekł głośno:

— Co to gadać, nie wiem! ot, kazała się wieść do księcia Nestora.

Ordyński zaciął zęby, siadł w fiakra i poleciał za wskazaniem. Miotał nim gniew najokropniejszy, tak że gdy przed pałacem przybyli, nie doczekawszy się by fiakr stanął, wyskoczył z niego i wpadł na wschody piorunem, a znając rozporządzenie mieszkania wprost wleciał do gotowalnianego gabinetu księcia, i przezeń do sypialni, nim go ludzie postrzegli i wstrzymać potrafil.

Książę siedział w szlafroku bogatym oparty na kanapie, piękną Julję trzymał na kolanach, a twarze ich przychylone ku sobie, uśmiechały się lubieżnie. Na widok Ordyńskiego, Julja klasnęła tylko w ręce i poczęła się śmiać.

— A co? — zawołała — widzisz jak ja długi płacę!

— Widzę — rzekł zimno podczaszyca, a postrzegłszy że książę Nestor trochę się zmieształ, dodał:

— Proszę niech mi W. ks. Mość wierzy, że za złe bynajmniej nie mam tego powrotu ku dawnym uczuciom jego dla JMp. Kozłowskiej. Pozwolisz mi tylko książę prosić się.

— O co?

— Ażeby ta pani pozostała tu gdzie jej zapewne milej będzie i lepiej, a nie wracała już do mnie. Odeszł tu natychmiast wszystko co do niej należy.

Nim mu się zebrano odpowiedzieć, Ordyński skłonił się i wyszedł szybko, ale na wschodach dopędziła go Julja.

— Słuchajno! — krzyknęła — co ty sobie żartujesz? ja zaraz do ciebie jadę! to być nie może!

Podczaszyc się ani odezwał, biegł dalej, słysząc że książę Nestor dobrze drzwi od siebie rygluje.

Krzyzczała i groziła piękna Julja, ale wyprzedzając ją Ordyński siadł do swej karety którą była przyjechała i popędził do domu, surowe tu wydawszy rozkazy, ażeby nie śmiano wpuszczać Julji. Pozamykawszy potem pokoje, klucze oddał Maciejowi, a sam nie czekając przybycia jej, uciekł co najprędzej na powrót do Cerullego.

Cavaliere, który tam siedząc w kątku nie dopatrywał jakoś wyjazdu i powrót dopiero zobaczył, złapał go niespokojny, zaraz w progu poznał po twarzy że coś ważnego stać się musiało.

— Coś ty zrobił? gdzie byłeś?

— U siebie!

— A Julja?

— Julja jeździła na podwieczorek do księcia Nestora, zastałem ją tam w czulej pozycji z dawnym wielbicielem i zostawiłem ich oboje razem. Nie chcę rozrywać tej pary gołąbków, oddałem mu ją bez pretensji.

Włoch mocno się zasępił.

— Głupstwo pan zrobił! — rzekł.

— To być może, ale nie pierwsze! — odpowiedział podczaszyc.

— Ta kobieta w zemście niepohamowana

— Więcej mi jak teraz nie dokucz! — zawołał Ordyński, i zasiadł do gry.

Od niejakiego czasu gra dla niego była rozrywką której się oddawał coraz namiętniej. Za stolikiem zapominał widać bólu serca, żalów za straconem życiem, wszystkiego co mu dolegało. Gwałtowne wzruszenia przegranej i wygranej, odejmowały mu uczucie terazniejszości, pożerające go w chwilach spoczynku. I jak pijak nałogowy co z każdym dniem powiększa ilość napoju i jego siłę, Ordyński coraz zasiadywał dłużej u zielonego stołu, nareszcie ledwie już od niego wstawał. U pana de Cerulli gra była ustawiczna, przychodzili jedni, odsuwali się drudzy, czasem się który znużony kilkudniową bezsennością przedzierał na kanapie, okiennice były zawsze zamknięte, świece zapalone, noc ciągnęła. Mieniali się bankier, krupjerowie, poniterujący, stół nigdy nie próżnował.

De Cerulli sam rzadko tu zasiadał, najczęściej przechadzał się, rozmawiał, przybliżał tylko, radził i kierował zdaleka ogółem ruchów tej wojny. A bój to był nie lada o co, bo na stole rzadko mniej dziesięciu tysięcy czerwonych złotych leżało, niektórych wieczorów widywano po trzydzieści i czterdzieści. Podczaszyc grał z różnym szczęściem, zawsze najnierozważniej i jak wszyscy ludzie namiętni, gdy przegrywał, stawiał sumy ogromne, wygrywając brakło mu odwagi do szczęścia.

De Cerulli był już wierzycielem Ordyńskiego w znacznej bardzo sumie pochodzącej z gry i często powtarzanych pożyczek, ale dotąd ze szczególną grzecznością akomodując się przyjacielowi, dla którego wielką okazywał estymę, nigdy nie był natrętnym, kredytował bez granic, dobywał worka na zawołanie.

Dnia tego podczaszyc siadł do gry z gorączką którą go świeże nabawiły wypadki, oczy mu się iskrzyły, dygotały ręce, karty wylatywały z palców, złoto rozsypywał z sakiewki, tak że najobojętniejsze oko dostrzedz mogło jak był nieprzytomny.

W chwili, gdy do kart powtórnie zasiadł, cavaliere mrugnął na gospodarza i uprowadził go w kąt sali.

— Słuchaj no — rzekł, zdaje mi się że pora przyszła dobić podczaszyca, żeby się darmo nie męczył.

De Cerulli uśmiechnął się obojętnie.

— Wiele ci winien?

— Mnie, około dziesięciu tysięcy.

— Na Głuszy, szybko począł Fotofero — jak to wiem przez Lebedzińskiego, jest już długów starych i nowych przeszło trzydzieści, w mieście znajdzie się dziesięć, to uczyni, jeśli się nie mylę, około pięćdziesięciu.

Głusza warta z attynencjami znacznie więcej... on dziś gotów ci grać do koszuli, widzę to przez skórę. Puść się z nim tylko, podforsuj, podpał, a rękę że go zgrasz do nitki; zrobimy z nim potem co zechcemy, a przydać się nam może.

— Ba! niewiele! — rzekł Cerulli.

— Mylisz się, szybko dorzucił cavaliere, jest imię, jest jeszcze młodość, jest znajomość świata; nędzą i nałogiem próżniactwa wodzić go będziemy na pasku, i cudzemi rękami żar rozgrzebywać! Ale wprzód potrzeba żeby grosza przy duszy nie miał! Wiem, że zechce sobie w początku w łeb wypalić, ale ja będę miał oko i nie dam mu dopuścić się ostateczności. To słaby dzieciuch!

— A zatem myślisz że dziś pora? — spytał zadumany de Cerulli.

— Dziś lub nigdy; każ podać wina, sam podpal grę, sam ciągnij, ty to potrafisz lepiej. Patrz tylko, cały drży, byle sto dukatów przegrał, pójdzie dalej jak po nitce.

To rzekłszy Fotofero uskokzył w bok, zakaszłał, poszedł do zwierciadła, zakręcił się na sali i kołując zbliżył do krzesła podczaszyc, na którego poręczy poufale się oparł.

— Kochany panie, szepnął cicho, dałbyś dziś grze pokój, jesteś cały sfermentowany! karta ci nie pójdzie, na to potrzeba krwi zimnej.

Ordyński odwrócił się z przymuszonym uśmiechem.

— A cóż będę robił? spytał — to mnie jedno odurza, rozrywa, bawi!

— Przynajmniej graj ostrożnie!

Naprzeciw zjawił się de Cerulli z założonymi rękoma patrząc na bank.

— A! a! coś mi się dziś chce samemu dla rozmaitości pociągnąć! za pozwoleniem, ja bankieruję!

Wziął talię z rąk swego pomocnika, stanął zakasawszy rękawy i w milczeniu poczęło się ciągnięcie. Podczaszyc od razu postawił grubo, a pierwsze trzy jego stawki nielitościwie grabki do banku ściągnęły... Za czwartą podwoił stawkę i przegrał znowu.

— Ej ostrożnie podczaszycu, szepnął Fotofero — bo przeczuwam żeś się jeszcze zgrać gotów!

Na to nie było słowa odpowiedzi.

— Pożycz mi pieniędzy! odezwał się po chwili.

— Ja grosza nie mam — rzekł cavaliere, i nie dałbym gdybym miał, ale ten łotr de Cerulli gotów ci kredytować wiele zechcesz.

Podczaszyc przechylił się ku bankierowi.

— Możesz mi kredytować? spytał.

— Wiele ci się podoba, kłaniając się odpowiedział bankier, z obu stron pochwycili kredkę.

Ordyński pięćset czerwonych złotych postawił na kartę.

W sali poczynało wielkie rozciągać się milczenie, gracze mniejsi zajęci znaczną stawką lub wstrzymywali drobne, lub całą na Ordyńskiego zwracali uwagę. Cerulli jakby chciał umyślnie zniecierpliwic ciągnął powoli, ale tak powoli że zdawał się katować umyślnie, rozdrażniać do ostatka, przykrywał przegrywające, osłaniał naprzód wygrane, podwajał nadzieje i strachy. Na ten raz padło plije, podczaszyc się począł odrabiać i domazał do stawki.

— Zmiłuj się! zmiłuj! pomiarkuj, szepnął cavaliere, pomiarkuj twój zapęd, zgrasz się! zgrasz!

Ale Ordyński ani słuchał już przestrogi! Szał gry najstraszniejszy ze wszystkich szalów, jakiemu podobny tylko wyrabia owa gorączka złota kalifornijska, którą dopiero w naszym wieku przyszło poznać na wstyd ludzkości — szal najszałeńszy opętał go zupełnie. Podniecony do najwyższego stopnia, z gorejącymi policzki, z okiem prawie wyskakującym z głowy, z czołem potem oblanem, leżał na stole przechylony i dyszał straszliwie.

Widok to był okropny spodłonego człowieka, pijanego namiętnością brudną, nieprzytomnego zupełnie, nieczującego nic prócz gwałtownie do złota bijącego serca, którego ucho nie usłyszałoby może trąby Archanioła... Takim był w tej chwili Ordyński.

Trzeba mu było choć raz dać wygrać — wygrał, zaśmiały się oczy i stawkę powiększył jeszcze. Drudzy gracze poczęli go naśladować i palić się, ale to była jedna i jedyna dana mu karta. Od pięciuset idąc stopniowo do tysiąca i dalej powiększając za każdą razą stawki, podczaszyc ani się obejrzał jak przeszedł dziesięć tysięcy czerwonych złotych.

— Panie podczaszycu, szepnął cavaliere, zlituj się, bastuj, zrujnujesz się.

— A co komu do tego! odparł Ordyński głosem chrypliwym.

— Grasz pan dalej? zapytał bankier.

— Gram, jeśli mam kredyt.

Cerulli głowę tylko skłonił.

— Pan mi trzymasz?
 — Do ostatka, póki zechcesz!
 — A więc do ostatka, śmiejąc się głośno i chwytając szklankę pełną, którą duszkiem wypróżnił, zawołał podczaszyc — do ostatka!!
 — Trzymasz pan dziesięć tysięcy dukatów?
 — Na Boga! co robisz! zakrzyczał generał, oszalałeś!
 — Oszaleję dopiero gdy przegram — rzekł sucho podczaszyc — no — bankierze!
 — Nie trzymaj! zawołali inni, nie trzymaj!
 — Słowo się rzekło, szepnął de Cerulli, słowo święte, trzymać muszę.
 Podczaszyc wysunął kartę zakrytą, ale na ten raz nie długo się męczył, bo w pierwszym pociągu soniko ubitą została — zbladł, zadrżał, ale zaśmiał się Ordyński.
 — Ha! — rzekł, jeszcze raz odrabiam się!
 — Pan giniesz!
 — Ginę czy nie, oszalałem! mówcie co chcecie a dajcie mi pokój — konwulsyjnie złamał kartę i rzucił ją w pół stolika — *Mazo*, dodał, stawiam wszystkie *mobilieria* moje w pięciu tysiącach, przyjmujesz pan? I Julję jeszcze darmo, przyjmujesz?
 — *Mobilieria*, chętnie — za Julję dziękuję — rzekł bankier kłaniając się, *je sors d'en prendre!*
 — Ale czy ci wystarczy fortuny? spytał po cichu cavaliere.
 — Nie bój się, pierwszy może raz w życiu rachuję, odparł podczaszyc, nie straci ani grosza! wczoraj mi Lebedziński przysłał bilans, dokładnie wiem co mam.
 Gracze wstrzymali się wszyscy — tak ogromna stawka nie trafiła się już od wieczorów księcia podskarbiego. Cerulli trochę pobladł, usta zaciął, pomyślał chwilę z rąk niespuszczając kart.
 — Panowie — rzekł do towarzystwa, odwracając uwagę od talji, którą cisnął w palcach, jakby z niej tajemnicę przyszłości chciał wydusić — biorę ich za świadków że grać jestem zmuszony, że do gry nie pobudzałem, że ciągnę ze strachem i żalem... pragnę by pan podczaszyc odegrał i dla tego dotrzymuję mu placu.
 — Bez perory, bom nie małe dziecko, zawołał gniewnie Ordyński, ciągnij, utnij mi łeb i basta. To mówiąc wstał, sparł się dwoma rękami na krawędzi stołu, oczy wlepił w karty, a na twarzy zbladłej znać było jakby walkę życia ze śmiercią. Drgały w nim wszystkie nerwy, żyłki i ścięgna tak straszliwie, jak gdyby samo życie podpadło jakiemuś wstrząśnieniu co je zakończyć miało, mrugały nieposłuszne woli powieki i wargi, włos najeżył się na czole.
 De Cerulli zaprotestowawszy, pozostał całkiem spokojny, otarł trochę potu z czoła, wygodniej ujął karty, ręce wyciągnął z rękawów, i z wielką przesadą ruchów ciągnąć począł. Chwila to była ciszy uroczystej, a głosy nocy pierwszy raz może dały się słyszeć w sali, której ściany przywykły były do jednostajnych wykrzyków graczy.
 Włoch przesunął karty powolnie, uważnie, zimno. A że to było jeszcze u początku talji, i assy jakby umyślnie zbiły się wszystkie ku jej końcowi, długo bardzo czekać musiał zdrętwiał podczaszyc, na rozstrzygnięcie swego losu. Zdawało mu się, po chwili, jakby skołowaciał, zastygł, stał się posągiem, tak nieruchomy trzymał się w jednej postawie zwieszony na rękach.
 Karta mignęła — przegrana, wszyscy spojrzeli na niego, on jeszcze stał i niedojrzawszy jej oczekiwał... Oślepił był z wpatżenia się, nie widział nic, nikt też nie rzekł słowa, przegrał as drugi, podobnie — nareszcie jakby przebudzony ruszył się, obejrzał.
 — A co? — spytał, przegrałem.
 Nikt nie odpowiedział.
 — Wszakżem przegrał?
 — Tak jest — rzekł de Cerulli — i od dawna — to mówiąc wskazał w kartach asa.
 — Musiałem bo przegrać — odparł podczaszyc obojętnie — słówko panie de Cerulli — rzekł szukając kapelusza — chodźmy do gabinetu, poslij pan po reagenta, po świadków, uregulujmy ten interes.
 — Ale cóż pilnego?
 — Nadzwyczaj mi pilno, ja chwili czasu nie mam.
 — Do jutra kochany podczaszycu.

— Nie mam jutra, kochany de Cerulli! Posyłaj pan po rejenta, bo będziesz miał kłopot.

To mówiąc siadłszy w krześle począł świstać, ale tak przeraźliwym głosem rozległa się ta piosnka w uszach przytomnych, iż niektórym włosy powstały na głowie.

De Cerulli posłuszny, wyprawił służącego do najbliższego rejenta, którego zbudzić i przywieźć choćby w kołdrze przykazał podczaszyc; a że wypadek ostatniej gry mocno wszystkich poruszył, odeszli poniterujący od stołu. Jednemu pilno było z nowiną wylecieć na miasto, drudzy potrzebowali nagadać się o niej i ułożyć tekst, jaki w kurs urzędownic jako świadkowie puścić się czuli obowiązani. Podczaszyc wciąż świstał piosnkę swoją, tak wściekle, że ją słychać było po całym domu. Błady jak trup, sparty na łokciu, patrzył w zwierciadło, marzył o czemś i sam tylko może głosu swojego nie słyszał.

Wtem wybiła dwunasta; wyjął zegarek, spojrzął, pokiwał głową.

— Mój de Cerulli — rzekł — ale ja czasu nie mam, spiesz się, wyjeżdżam zaraz, jadę daleko, przed drogą interesa pokończyć potrzeba.

Wtem zahurkotało i zaspany rejent z papierami pod pachą, wyciągniony z łóżka tak szybko że ledwie miał czas narzucić kontusz niezapięty pod szyją żółtą i pomarszczoną, stanął z pokornym ukłonem oglądając się chytrze i niedowierzająco.

Podczaszyc zerwał się, pochwycił go pod rękę i poprowadził do gabinetu.

— Mości rejencie — rzekł — siadaj a pisz żywo.

— *Currente calamo* JW. panie... z tegom jest znany...

— Spiesz pan akt sprzedaży dóbr Głuszy z przyległościami na rzecz szlachcica Neapolitańskiego czy jakiego tam, nie wiem, JWp. de Cerulli. Odstępuję mu klucze Głusza, Ordy, Przemęty, w długu...

— Sytuowane? — spytał rejent już poprawując pióro i odkorkowując kałamarzyk.

— W województwie Wołyńskim — JMCci pan de Cerulli bierze na siebie uspokojenie wierzycieli...

Rejent obejrzał się.

— Ale — rzekł.

— Nie ma żadnego ale — pisz Wacpan a żywo.

To powiedziawszy podczaszyc ręce włożył w kieszenie vesty i poświstując znów począł chodzić po sali.

— Spiesz panie rejencie.

Tymczasem siwy i szczywany pan rejent temperował wciąż pióro, któremu coraz to więcej nosa uciął, chcąc się, nim siądzie pisać, dowiedzieć od kogo co to wszystko znaczy, czy niema przymusu, czy nie pijany przedający, lub moralnie znękanym czem do tej rezygnacji tak szalenie podyktowanej. Wstał potem, ciągle pod pozorem tego pióra, które na zapas zawsze w podobnych okolicznościach miewał do zepsucia i zyskania czasu przeznaczone — chcąc się do kogo zbliżyć, a gdy się to nie udało, poszedł po wodę do atramentu, po tabakę nareszcie i wszędzie szepcząc a rozwiadując się, gdy w ostatku wyklarowała się rzecz, usiadł do aktu.

De Cerulli zbliżył się do podczaszycy.

— Kochany Ordyński — rzekł poufale i słodziuchno, chybiasz mi tym pośpiechem.

— Kochany de Cerulli, mówię ci że mi pilno.

— Ale cóż nagli?

— Djableś bo ciekawy — odparł ruszając ramionami podczaszyc — daj mi pokój, ty tego nie zrozumiesz.

— A przecie... spróbujmy no!

— Daj mi pokój proszę, kończmy i bywaj zdrow; obejmuj dom, Julję, dobra, co chcesz i baw się póki stanie ochoty.

— Pan jesteś w jakiejś rozpaczy.

— Rozpaczy? oszalałeś! nigdy weselszy nie byłem, ale kończmy. — I znów zaświstał jakąś piosenkę.

Nie było sposobu — domyślano się że coś ułożył desperackiego, generał z kilku innymi postanowili go nie odstępować, bo wszystkim samobójstwo zdawało się nieuchronne. Ordyński z pod oka spostrzegł narady i uśmiechnął się do siebie, wziął akt do czytania, podpisał, wezwał świadków i raptem jakby sobie coś przypomniał:

— Ale! panie rejencie, chcę mieć kopią aktu!

— Jutro?

— Gdzież znowu, dziś, natychmiast, nie odejdę póki mi jej nie dasz! Pisz, a zlituj się żywo bo pierwsza dochodzi.

Uszyszawszy to, wszyscy się stropili, nie pojmując po co by ten akt podczaszycowi był tak potrzebny, on tymczasem korzystając z odwrócenia uwagi i szeptów, przechodząc się niby po sali, dopadł drzwi cichaczem i umknął im z przed nosa.

XII

Była to chwila między dniem a nocą, gdy już wschód blademi brzaski powolnie rozjaśniać się zaczyna, a gwiazdy błyszczą na niebie i cisza snu ogarnia ziemię czarną. W mieście wiatr tylko przelatując ulice, chłodnawy, orzeźwiający, dziwnymi głosy po zakrętach świszcząc i hucząc, samowładny pan, bo puste i jak wymarłe zdawało się miasto. Wahaly się skrzypiąc na żelaznych zawiasach zagasłe latarnie, okna kamienic stały czarne, mury zdawały się piętrzyć olbrzymie aż niebo zasłaniały; tylko na widnokręgu ku zachodowi księżyc w ostatniej zmianie, obcięty, nieforemny, skałeczony, pomarańczowej jakiejś barwy, zniżał się rzucając mdłym światłem, które nie dawało cieniów. W powietrzu wisiały już rodzące się mgły, które słońce ku górze pociągnąć miało. Cichło chwilami, to znów posłaniec jakiś na skrzydle wichru przesunął się szybko, zamiótł ulice, zadzwonił po dachach i chorągiewkach i poniósł się gdzieś daleko, nieścigniony.

W mieście jak na wielkim cmentarzu, nic jeszcze nie rozbudzało się do życia, aż smutno było patrzeć na te czarne domów zastępy, z których żaden głos się nie dobywał. Podczaszyc przeleciał szybko kilka ulic zawracając się umyślnie w różne strony dla obalamucenia goniących, których natręctwa się obawiał. Szedł bez kapelusza, bez płaszcza, ubrany lekko, a wybiegłszy na Krakowskie, wsunął się w ciemniejszą jeszcze, pustą Bednarską uliczkę, wiodącą wprost ku Wiśle.

Tu zdyszany zwolnił kroku, założył ręce na piersi, odetchnął, i zamyślony powoli ku mostowi posuwać się począł.

Wzrok jego niekiedy bezwładnie upadał pod nogi, to znów ciekawie przebiegał ciemności, jakby w nich widma jakiegoś szukał. Szedł tak czas jakiś, gdy pas jasny wskroś przerywający uliczkę światłem z małego padającego okienka, zatrzymał go jak mur nieprzebyty. Podczaszyc szedł z myślą odebrania sobie życia, a dziwnym fenomenem czepiał się teraz wszystkich jego zjawisk, silniej niż kiedykolwiek. On, co nigdy na świat otaczający bacznego nie zwrócił oka, zajmował się wszystkim, czuł że go wszystko obchodzić powinno. Śledził jak ludzie żyć i wyżyć mogli, gdy on znękany i obojętny, szedł dobrowolnie rzucić się w wodę i ginąć — byleby dłużej ciężaru nad siłę nie dźwigać.

Ten jasny pas światła oczy jego zwrócił ku oknu i domostwu, z którego wychodził. Oświecone okienko było na dole, skazany na śmierć mimowolnie zbliżył się ku niemu z uśmiechem jakiegoś politowania.

— Co tam goreje? — mówił do siebie — czy blask od kołyski nowonarodzonego co na świat oczy otwiera, czy świece katafalku? pierwsza czy ostatnia boleści godzina? Światło to pracy czy rozpusty? O, czasu dosyć jest do dnia, nie pilno mi, poczeka woda Wiślana, zobaczymy!

I z założonemi rękoma, jak złodziej skradający się, zbliżył powoli do zakraconego okienka. Było ono wysokie a dość wązkie, okrągło zasklepione u góry, jak zwykle po starych domach, i nie zaparte okiennicą. Strzegła go tylko krata gruba żelazna dziwacznie ozdobna zgięciami. Przez szyby świeże i powiększone ujrzał zdumiony podczaszyc znany pokoik Anusin. — Serce wstrzęsło mu się gwałtownie. Los jakby naumyślnie tą strugą światła przedzielił go od śmierci, wskazując na progę nowego życia wspomnienie pocziwszej młodości.

Przy piecu, u którego rozpalonych drzazg łuczywa grzało się kilka garnuszków, siedziała Anusia z ulubioną sobie kądzialką, której nigdy porzucić nie chciała, bo ją starościna pierwsza prząć nauczyła, sama niekiedy po staroświecku kołowrotkiem się zabawiając.

Anna z towarzyszką swoją śpiewały cichym głosem Godzinki.

Śpiew ten przez szyby przedzierał się zesłabły do uszu podczaszycy i poruszał go tak głęboko, tak silnie, jak nigdy żadna arja opery; przypominał mu dzieciństwo jego, babkę, jej ranne modlitwy, i Anusię i Gluszę! Ale z zaschłej źrenicy jeszcze łza nie pociekła; tylko

przykuty do ściany stał tak, milczał, patrzył, patrzył aż mu się zdało że się przeniósł w czasy młode, że klęczał u nóg staruszki, a ta go błogosławiła do ciężkiego życia.

— Szkoda! — rzekł w duchu — twego błogosławieństwa na tak skalaną głowę jak moja!

Jam wszystko zmarnował coście mi dali na drogę, wszystko, i błogosławieństwo twoje i cnoty w duszę wszczepione, co czasu nie miały wzrosnąć! Splugawili mnie ludzie dotknięciem, słowem, wejrzeniem, tchnieniem, kobiety uściskami, widok świata niewiarą... Nic nie żądam, nic nie mogę chyba umrzeć — i umrzeć!

Chciał odejść, ale oczów nie mógł oderwać od tego ostatniego w życiu obrazu, który go wstrzymał w przechodzie ku śmierci, i przez szyby przyglądał się bladej twarzyczce Anny, smutnej ale spokojnej. W tejsze chwili uczuł na piersi gorące dotknięcie jej pierścionka, wiszącego razem z krzyżykiem babki. Zdjął go był z palca znowu.

— Brudna to pierś na której leżycie — rzekł z boleścią — ale was nie zwala, boście czyste jak złoto — nie rzucę ostatnich pamiątek, niech toną razem ze mną.

— Anno! Anno! — zawołał po cichu odrywając się od okienka — ty nie wiesz i nigdy wiedzieć nie będziesz jakem cię kochał...

Ale to była miłość, której się wstydzilem jak wszystkiego świętego com wyniósł z młodości... żegnaj cię modlącą się, wzrokiem tylko... inaczej pożegnać nie mogę! bądź zdrowa Anno! bądź zdrowa!

Gwałtem się oderwał od okna które go ku sobie ciągnęło, a szybszym niż wprzódy krokiem idąc, spuścił się ku Wiśle. Niżej, już coraz zimniejsze wiało powietrze; roztoczyło się przed oczyma jego szerokie niebo, po którym różowe płynęły obłoki, i Wisła odbijająca w sobie barwy poranku, tocząca się jasno i spokojnie gdzieś ku morzom jak człowiek ku wieczności. Most jak długi zdawał się pusty, gdzieś tylko w mroku skrzypiały koła jadących zdaleka wozów.

Ordyński spojrział długo na ten obraz i pospieszył, ranek się zbliżał, a z nim ludzie, tłum, gwar, świadkowie — w ciszy i ciemności trzeba było odegrać ostatni akt dramatu. W początku myślał pójść brzegiem, ale obawiał się by woda nie była za płytką, a on w niej nie był zmuszony brodzić szukając głębiny. Że nikogo jeszcze nie widać było na moście, postanowił dójść do środka jego i ztamtąd się dopiero rzucić. Pospiesznie więc szedł na most i zbliżał się już do miejsca, które sobie w myśli oznaczył, gdy nagle usłyszał za sobą dzwonek, ale tak blisko, że ledwie miał czasu ustąpić nieco, właśnie gdy na poręczu sparty podnosił się by skoczyć w wodę.

A razem głos dobrze mu znany zawołał:

— Człowiecze szalony! co robisz!

O. Spirydjon zakapturzony, w płaszczu, niosący na piersi ostatni pokarm konającemu, ukazał się niespodzianie oczom jego.

Zawstydzony Ordyński, nie miał siły oczu podnieść, ale go poznał starzec i zastanowił się.

Długo przyglądał mu się w milczeniu bóleści, oburzenia i rozrzewnienia razem, aż nareszcie wybuchnął:

— Tak! tak! zawołał, jakie życie koniec taki! patrz do czegoś doszedł, do najszkodniejszej zguby. Sam siebie własnym sumieniem osądziłeś godnym śmierci, sam sobie chciałeś być katem! Ale Bóg ręką bezsilnego starca cię ratuje... czy nie widzisz w tem spotkaniu zrządzenie opatrności??

Ordyński złamany uczuciami których doznał, dotknięty widokiem kapłana, pierwszy raz od śmierci matki padł na kolana i lzy strumieniem polały mu się z oczów.

— Będziesz żył — rzekł starzec, ale nie dawnym swym życiem, co cię tu przywiodło, nowem, odrodzonym, lepszym — Bóg sam chce tego!

— Żyć, zawołał Ordyński — o! nie mogę już ojczy, nie powinienem; cięży na moich piersiach błoto przeszłości, grzechy i spodlenie — nie mam już tchu na życie, nie czuję sił w sobie, pozwól mi umrzeć!

— Nie, powtórzył kapłan silnie ujmując go za rękę, pójdziesz ze mną do łoża konającego, przypatrzysz się śmierci w całej jej okropności, a stanąwszy u progu, powrócisz do nowego żywota.

To mówiąc, ojciec Spirydjon pociągnął go za sobą, w milczeniu przeszli na Pragę, a tu po nad Wisłą uliczką wąską udali się do małego dworku drwała — w okienku świeciło im się z daleka.

Cicho było do koła, cicho w wąskiej sionce, gdzie księdza spotkał stary już szpakowaty mężczyzna, klękając przed Zbawicielem którego wnosił do domu.

— Mój ojczy — rzekł całując jego rękę, darujcie mi zem was z tak daleka i pod tę porę wezwał, ale to bieda mnie się uczepiła! Dni kilka temu włóczyło się tu jakieś biedaczysko, czy opętany czy z zawróconą głową, nie wiem; jakoś mię litość wzięła, zem mu dał przytulisko, a tu mu się jak na raz i na śmierć zebrało. Jeszcze by to nic, ale to jakiś nieszczęśliwy co tak ciężko kona, a takie wygaduje rzeczy że włosy na głowie powstają. Strach mnie wziął żeby pod moim dachem bez Pana Boga nie skończył, a tu inny ksiądz jak wy, rady mu nie da!

To mówiąc drwał otworzył drzwi alkierzyka i z izdebki przedstawił się im widok straszliwy i przejmujący.

Na garści słomy w kącie, przy świetle kaganka dogorywającego na półce, leżał człowiek nie stary, ale okropnie wyniszczony. Głowa jego była całkiem z włosów obnażona, twarz także z nich opadła, policzki miał strasznie wychudłe, usta sine i spienione, oczy obłąkane i dzikie. Podczaszyc poznał w nim szalonego męża pięknej Julji.

Na widok księdza porwał się ten kościotrup żółty, zdawał mozolnie zgromadzać myśli, wlepił w niego oczy szklanne, usta otworzył bezzębne, piersi uderzył pięścią ściśnioną i poczęte przekleństwo skończyło na wargach.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł poważnie kapłan — przestępując próg izby.

Kozłowski popatrzał i nic nie odpowiedział.

— Ksiądz! ksiądz! zaczął szeptać po cichu, to może pocziwy człowiek, zresztą wszyscy szelmy, a najgorsi panowie... ale ksiądz toby powinien być pocziwy?? he??

Podczaszyc na widok tego obłąkania, męczarni i przekleństwa na ustach konającego, uczył krew ścinającą się w żyłach, bo część ich spadała na niego, bo i on należał do liczby ludzi co temu nieszczęśliwemu skarb jego wydarli i zbezczeszcili.

O. Spirydjon popatrzał, zaczął się nad nim modlić, nareszcie przeżegnał obłąkanego, a siłą krzyża tego jakby cudem uspokoił się nieszczęśliwy, głowę pochylił na piersi, oczy przymknął, zdawało mu się że na chwilę usnął i przebudził zaraz oprzytomniony; oczy jego jaśniej teraz patrzyły, wzrok chodził rozważnie po przybyłych, ukląkł, złożył ręce, zaczął płakać rzewnie i modlić się.

Łzy jakby długo wstrzymywane puściły się teraz z otwartych źrenic strumieniem wezbranym.

Podczaszyc świadek tego cudu dokonanego modlitwą, uczył świętość człowieka co umiał go uprosić u Boga, i cofnął się z uszanowaniem, bo ujrzał oczyma swemi to, w co nie wierzył nigdy — dotknął się cudu, widocznie objawiła mu się siła Boża.

Kozłowski przestał być obłąkanym, był nieszczęśliwym tylko, który po długim śnie szaleństwa budzi się z całą pamięcią przeszłości.

Przyszedł do nóg kapłana o spowiedź i przebaczenie grzechów go prosząc.

Ustąpili więc wszyscy, a z nimi i przejęty podczaszyc, drzwi alkierza się przymknęły, a uratowany od śmierci zasiadł zaproszony przez drwała w ubogiej jego chacie. Uderzył go teraz i widok życia ubogich, bo on także na nowo miał rozpocząć żywot pracy i niedostatku, zaczął się rozglądać po czystej izdebce w której znać było ład, spokój i jednostajny bieg godzin w pocie czoła zarobionym podsycanych chlebem. Proste ławy, stół sosnowy, obrazy świętych po ścianach, kolebka dziecięcia, łoże starej matki, warsztat tkacki, narzędzia drwała, ustawione były z pewnem uczuciem porządku i wdzięku. A wśród nich tu i owdzie religijne wspomnienia, serdeczne pamiątki, wpięły palmę błogosławieństwa, wianuszek święcony i zwiędłą wiązanek ślubną. Na wydatnem miejscu wisiał krzyż czarny, na ścianach białą kredą wypisane niezgrabnie, świeciły się poważne daty urodzin i śmierci.

Wszystkiem razem była ta izba uboga: sypialnią, warsztatem, jadalnią i gościnną komnatą, a jednak wystarczała na wszystko. Przez wielkie ubóstwo nie mniejsze przeglądało szczęście.

— Żyj! myślał Ordyński, żyją, śpiewają, są szczęśliwi i jeszcze umieją drugim świadczyć i wspomagać!

Pierwszy to raz ta myśl że żyć można ubogim, przeszła mu przez głowę, zastanowił się, westchnął i choć długie próżnowanie wstrętem go nabawiało do pracy i umartwień, znużenie kazało mu szukać nowych uczuć chociażby połączonych z cierpieniem. Osłabłem, zemglonem okiem poglądał na ściany izby, rozświecone migotliwym lampy światelkiem i tak dumając spoczywał na ławie, póki ks. Spirydjon znów drzwi alkierza nie kazał otworzyć. Na dźwięk dzwonka zwiastujący że Chrystus jednemu z ludzi się udziela, pobiegli wszyscy pokłęknać w sieni, poszedł i Ordyński. Kozłowski klęczał na słomie, zupełnie uspokojony i przygotowany do podróży ze świata.

— Dziecię moje — rzekł do niego zbliżając się po zwykłej modlitwie kapłan, rozgrzeszenie ci dałem, ale pamiętaj że trzeba z serca głębi, szczerze i na zawsze wszystko i wszystkim przebaczyć, jak Chrystus tym co go męczyli.

— I jej? — odezwał się po cichu Kozłowski.

— I jemu! — dodał ksiądz — i wszystkim! Na Boga złóż karę... bo oto dziś właśnie, w chwili może gdyś ty konający przebaczył, osądził go świat i poniżył w proch i hańbę rzucając na wieki! Przebac mu!

— Niech mu tak Bóg przebaczy jak ja mu daruję — rzekł słabo Kozłowski — tak! wszystko, nędzę, poniewierkę! nieszczęście moje! i spodlenie jej nawet! — To mówiąc zapłakał.

Spełnił się obrzęd ostatni, tak uroczysty i przenikający, obrzęd pożegnania ze światem, wyboru w drogę wieczności. Kozłowski pochylił się znużony, zamknął oczy, przytulił się do ściany i zaraz usypiać począł.

— Wyjdźmy! — rzekł ks. Spirydjon.

U drwala pożyczył zakonnik opończy i czapki dla podczaszyca, który że już poczynało się rozwidniać, w stroju swym do miasta niezwracając oczu powracać nie mógł. Ruszyli oba przez most ku Warszawie.

Szarzeń już dobrze poczynało, wschód co raz jaśniejsze oblewały blaski, mgła jeszcze klębiła się nad rzeką, a poranek przenikającym wiał chłodem. Na drodze zaledwie wozy na targ idące i wieśniacy okoliczni ruszać się poczynali — część jej stała pustką jeszcze. W dali tylko dziwny jakiś szereg powozów jeden za drugim powolnie idących, otoczonych wojskiem, którego kupka poprzedzała i zamykała pochód — posuwał się od strony miasta. Podczaszyc pierwszy rozpoznał kilkadziesiąt karet posepnie jakby za pogrzebem postępujących, z których żadem głos, żaden objaw życia się nie dobywał. Było coś dziwnie uderzającego w tej rannej kalwakacie wojska i powozów, w głuchem, posepnem milczeniu wyslizgujących się z Warszawy; a ponure, gniewne, blade lub szaleem dzikim ożywione twarze, które z za szkieł karecianych migały oprawione w fryzury, i nie dając się poznać znikwały — nosiły na sobie piętna żaloby, gniewu, upokorzenia i złości.

— Patrz — odezwał się stając kapucyn — oto idzie sprawiedliwość Boża!... późna, ale niechybna, karząca jednych by ustraszyla drugich. Widzisz tę postać bladą, na której takie cierpienie, taka szatańska duma i zemsty pragnienie widzieć się dają zarazem... to sprawca nędzy i śmierci tego nieszczęśliwego, który wszystkim konając i jemu nawet przebaczyć potrafił. Wczoraj dekret sejmowy, dekret podpisany ręką przyjaciół, od czci i wiary go odsądził. To jeden z pierwszych państwa dygnitarzy, co dał przykład zepsucia i szkarady, zmuszony wśród nocy uciekać z miasta co go radośnie przed rokiem witało... to człowiek nie więcej winien od innych w życiu publicznem, bo był tylko narzędziem, ale winien wobec społeczeństwa jako przykład wszelkiego złego i bezwstydu... Uchył głowę z pokorą przez sądem Bożym i nie patrz nań byś mu nie dodał boleści, bo kto urąga upadłym, ten sam upadku blizki...

I w ciszy przeszli, mijając ten szereg pogrzebowy stępo przejeżdżający powolnie, jakby się lękał rozbudzić szelestem ludzi od których uciekał.

Smutny to był zaprawdę widok, tem smutniejszy, że i w tej chwili nie uczuwszy spodlenia swego, wygnaniec od czci odsądzony jechał balować z przyjaciółmi jeszcze, tak jak dni następnych balował przy pełnych kielichach w Chrzanowie i Powązkach.

Podczaszyc z O. Spirydjonem wszedł do klasztoru, do tej samej celi, w której już przebył tyle dni zmęczenia, niecierpliwości, niepokoju. Właśnie w chwili gdy się za nim zamykała fórtka, ujrzał w ulicy zdala stojącego cavaliere Fotofero, który niskim ukłonem szydersko go żegnał, od śmiechu za boki się trzymając. Mignął mu on tylko i znikł z oczów.

XIII

Różne nazajutrz wieści chodziły o losie podczaszycy. Rozpowiadano z wybornemi dodatkami, jak na zabawie u de Cerulli przegrał po szalonym miljon, jak potem świstał, śpiewał, pił, wydarł się pilnującym przyjaciółom i zniknął. Domyślali się niektórzy że w wodę gdzieś rzucić się musiał, drudzy utrzymywali że się na Bielanach powiesił, inni że zaszedłszy na cmentarz Powązkowski w łeb sobie strzelił. Chciwie oczekiwano wynalezienia nieboszczyka, gdyż nikt już o śmierci nie powątpiewał, sporem był tylko rodzaj jaki obrał sobie.

De Cerulli, z mocy aktu urzędowego, zajął zaraz nazajutrz dom i ruchomości po podczaszycu i zdziwił się niepomału, gdy upartą Julję zastał śpiącą w salonie na kanapie; przebudzona, spytała go zaraz o podczaszycę.

Cerulli machnął ręką w milczeniu.

— A ty tu co robisz? — spytała.

— Ja zabieram co moje... Ordyński mi wszystko przegrał.

— A! lotr! — krzyknęła Julja — patrzcie zgubił mnie... znowu trzeba szukać innego! Ale cóż się z nim stało?

— Utopił się, powiesił, czy zastrzelił! — rzekł zimno Włoch.

— Gałgan! ale ty mnie teraz weźmiesz! musisz mnie wziąć, choć cierpieć cię nie mogę.

— Brać waćpanią, oho! nie myślę!

— Albo ja się pytać będę?

— Ze mną to nie z Ordyńskim — zawołał Włoch ruszając ramionami — dajmy sobie pokój, znamy się dosyć.

To mówiąc poszedł do dalszych pokojów nie zważając na rzucanie się gniewne kobiety, która mu pięść pokazywała.

Najwymowniejszą pogrzebową oracją Ordyńskiego były przekleństwa Julji, która wyłajawszy jeszcze Włocha, zabrała się z czem mogła i pojechała do ks. Nestora. Tu także drzwi zastała zamknięte i musiała szukać dachu, pod którym by za miły grosz spoczęła.

Dano zaraz znać sztafetą Lebedzińskiemu o losie jego pryncypała. Plenipotent pospieszył pocztą do Warszawy, pewien ze wszystkimi, że Ordyński nie żyje i nie bardzo go podobno myśląc oplakiwać. Doskonale zaraz ułożył on sobie, jak to wówczas zwano, plantę nabycia całej majątności. Miał sam trochę grosza, zastawnicy i wierzyciele jeśli niemu to fortunie czekać mogli, chodziło tylko o ugłaskanie Włocha.

Stanęli przeciw sobie dwaj godni ze wszech miar zapaśnicy: awanturnik zimny, przewrotny i grosza chciwy, ze zręcznym jurystą, oba wiedząc że się oszukać pragną i oba ufni w siły swoje.

De Cerulli miał tę wyższość nad plenipotentem, że oprócz sumy na Głuszy i prawa do niej, mógł jeszcze sypanąć w potrzebie, ale Lebedziński znał lepiej miejscowe interesa i w pokątne ufał stosunki. Cudzoziemiec dla którego od czasu przybycia tyle łatwych płynęło w Polsce korzyści, protegowany, mnóstwo w wyższej sferze mający związków, myślał nabyć dobra, indygenat zapłacić i osiedlić się tu na zawsze.

Przyznanie szlachectwa byłoby poszło najłatwiej, gdyż właśnie wówczas szlachcono po pięćset czerwonych złotych od głowy mieszczan i kupców, i sypano indygenatami jak z rękawa.

Partja przeciwna przygotowanej uchwale, która miasta i mieszczan do praw obywatelstwa przywołać miała, sądząc fałszywie że uszlachcenie tych których za głowy mieszczkańskiego ruchu miano, odejmie temu stronnictwu siłę, szafowała przywilejami. Tak otrzymali na ówczas nobilitacje i indygenaty: Tepper, Schulz, Blank, Cabre, Arendt, Kapostas i mnóstwo innych.

Mógł obok nich stanąć ze swoim tytułem i pargaminami świeżemi i pan de Cerulli.

Lebedziński widział trudności zadania, ale jak każdy przywykły zwyciężać, podbudzał się jeszcze przeszkodami, które go jątrzyły. Przyjechał, dobrze się w drodze namyśliwszy, i wszedł do Cerullego udając doskonale człowieka tak zmęczonego, zbitego, utrapionego, a tak potulnego i małuczkiego, że Włoch popatrzawszy na sławnego jurystę, kazawszy mu naprzód wina dać na orzeźwienie, był już pewien że go od razu połknie.

Jurysta dziękował, kłaniał się i ogromnie wdychał.

— Mówmy-no o interesach — rzekł Włoch nie spuszczać go z oka i podsuwając mu akt — co pan na to?

Prawnik spojrział, przeczytał, węża podniósł, rozśmiał się jakby z radości, ręce zatarł i rzekł:

— Chwała Bogu że tak jest!

— Jakiż tam stan majątku?

— Może pan nie zechcesz wierzyć gdy mu powiem, ale spójrz pan na mnie com z Warszawy wyjechał zdrów, wesół i rzeźwy, a pomiarkujesz że to co mnie tak złamało, lada czem być nie może.

Cerulli zamilczał.

Wierzycieli chmury, bandy, ćmy, wojska! zastawnicy, procesa, chaos!! chaos! ani się z tego wypłatać! — Dzięki Bogu że się od tego uwolnię!

— A ba! — rzekł raptem wstając Włoch — grajmy w odkryte panie Lebiedziński, na co nam tu komedje. Jasna rzecz że pan mnie chcesz odstręczyć i obalamucić! Kto wie! może sam na Głuszę ostrzysz zęby? ot lepiej się nie kaleczmy, a waćpan na co innego się zachowaj i dajmy sobie ręce.

Lebiedziński który był pewien że gra komedją doskonale, osłupiał, stanął i po chwili pomiarkowawszy się, że darmo z tej beczki próbować, rozśmiał się przyznając prawie do odgadnionych intencji.

Siedli więc na kanapie w najlepszej przyjaźni, ujęli pod ręce, ale nie rzucając myśli podejścia i oszukania jeśli się uda. Lebiedziński łatwo za pewny datek odstąpił od swych planów na Głuszę, nazwawszy to porękawicznem, i z udaną obojętnością dodał:

— Teraz już najszczerzej pozwól się pan przestrzedz, (nie myślę karmić strachami) że Głusza wcale nie dla cudzoziemca nieznającego praw i form naszych! Pan jeszcze pojęcia nie masz czem u nas może być proces, w którym wmieścić się dają i patryjotyzm i nienawiść obcych przybyszów i polityka i wszystkie ingredjencje którymi go zaprawić można!

Najlepiej kupiwszy sprzedaj to pan komu, zarobić można, a sobie nabądź co spokojniejszego, tam się zagryźć najłatwiej.

Ale Włoch nie w ciemną bity, odpowiedział obojętnie:

— Na to są adwokaci, juryści, a wreszcie i pieniądze i stosunki w trybunałach i popularność łatwo się nabywająca u szlachty! No! no! nie tak straszny djabeł jak go malują! a naprzód pańską sobie łaskawą pomoc zapewnić muszę!

Skromnie skłonił się Lebiedziński, ale skrzywił się trochę widząc złapanym, rozrachował był bowiem, że ustępując Włochowi z drogi łatwo i tanio, przekona go iż się istotnie boi nabycia i nie dba o nie, że go potem tak nastraszy tem co go czeka, iż Cerulli napraszać mu się sam będzie z majątkiem, a on go tanio pochwyci... Ale ta budowa słabo na pierwszych fundamentach wystawiona, runęła zaraz własnym ciężarem; Włoch ustraszyć się nie dawał, rozeszli się kwaśno, nieufnie, a jurysta przysiągł cyganowi, jak go nazywał, sadła zalać za skórę.

Tak gdy jeden drugiemu przeszkadzał, oba do Głuszy się nie dopuszczali, a majątek pozostał między nimi bezpański. Jurysta rzuciwszy potajemną żagiew między zastawników i wierzycieli, zagroził drogę Cerullemu, któremu przez swoich, w kancelarji nawet indygenat utrudnił.

Rzuciwszy więc Głuszę, wróćmy do podczaszycy, do którego wieczorem wszedł, wypocząć mu dawszy, z wesołem obliczem pocziwy kapucyn.

— Teraz dziecię moje — rzekł zażywając tabaki — jesteśmy dzięki Bogu na dobrej drodze, naradzmyż się co masz czynić byś szacunek swój, świata, a co największa, łaskę Bożą odzyskał.

— Ty mi to poradź ojcz — odpowiedział podczaszyc. — Smutnie doświadczyłem że woli własnej nie umiem dać kierunku, przyznam się, że dziś nawet, chodź się tu przywieść dałem jak posłuszne dziecię, nie mam odwagi spojrzeć na przyszłość — głowa mi się zawraca. Co począć mogę? skalany, wyśmiany, może okrzyczany tchórzem, bom śmierci nawet zajrzeć w oczy nie umiał... bez majątku i sam... i sierota!...

— Słuchaj — rzekł kapłan powoli — wszystko to tak ci się dziś strasznie widzi, żeś miał majątek, imię, młodość, wziętość, szacunek, i — stracił. Ależ i inni zaczynają z niczego i dopracowują się pięknej przyszłości, dla czegoż i ty nie miałbyś pójść śmiało

zarabiać na nią w pocie czoła, obmyć się z brudów, krwią może i być twórcą własnego losu? Jesteś istotnie tak słabym, że cię nawet ubóstwo zastrasza?

— Ale ojczu, ubóstwo to jeszcze coś, a ja nie mam — nic! nic!

— Na początek coś ci znajdziemy, głowy o to nie łam.

— Więc pójdę... skryję się gdzieś daleko, na wsi, gdzie ludzkie nie znajdzie mnie oko i pracować będę na zagonie.

— Byłoby to bardzo dobrze — odparł kapucyn — gdyby twoja praca na zagonie przydać się na co mogła; aleś ty nie dla niej, ona nie dla ciebie. Masz w żyłach krew rycerską choć zgnuśniała, czemuż byś w takiej chwili gdy ojczyzna o ratunek woła nie poszedł do wojska? Zewsząd ciśnie się młodzież. Nie pomyślałeś o tem?

Podczaszyc mocno zawstydzony spuścił oczy.

— Łatwo by mi było — rzekł z cicha — otrzymać od króla regiment, a z czegoż go wysztyftować?

— Nie o regiment ani o rangę tu braciszku chodzi, przerwał ksiądz, niech tam paniczowie i fircyki stają na czele regimentów, to nie służba! Wejdz waćpan jak żołnierz, szlachcic wprost w szeregi, nie na żart, nie dla szlify, a popisz się gdy do czego przyjdzie! ot czego chcę i co radzę!

Ogień z jakim to wyrzekł staruszek, zagrzał przecie serce podczaszyca, który ściskając dłoń jego odezwał się:

— Uczynię tak — pojedę i będę służyć prostym żołnierzem, dopóki krwią nie obmyję brudów przeszłego życia.

— Może też Bóg — rzekł kapłan — tej ofiary krwi wymagać od ciebie nie będzie, choć! ty mnie nie pojmujesz!... nie — ale krew ma tajemniczą siłę zmywania plam z duszy. Może Bóg przyjmie twą ofiarę nie pociągając cię do niej, a tobie posłuży, o! posłuży hartowniejsze życie w obozie, pod namiotem, w niewygodach i pracy.

Jeszcze dni kilka — spoczywaj, myśl, żałuj, przygotuj się modlitwą do spowiedzi, a potem kochanku — weselej dokończył ksiądz — wyprawię cię z krzyżem świętym do generała Madalińskiego, mego starego przyjaciela! i hulaj dusza z szabelką, to dopiero zobaczysz życie!

Rozśmiał się ks. Spirydjon, wyprostował, ale tuż widać habit przypomniawszy, spuścił ogoloną głowę.

Po chwili obojętniejszej rozmowy, staruszek rozpromieniony, że duszę jedną ze szpon czarta Bóg mu wyrwać tak cudownie dozwolił, wyszedł wezwany na miasto, i późno już mimo dworku Anny przechodząc, wstąpił do niej na minutkę.

Zastał biedną we łzach, bezprzytomną prawie, klęczącą na ziemi, ktoś bowiem ze znajomych wpadł do niej z wieścią dziwnie przerobioną, o grze nieszczęśliwej i śmierci podczaszyca, o znalezieniu jego ciała i t. p.

— Co to jest? co to jest? — spytał na progu kapucyn.

— Ojczu, ty przychodzisz do mnie z pociechą, ale jej dla mnie już nie ma! on zginął!

— Kto? co? kiedy?

— Michał się utopił!

— To fałsz! — zawołał stary — nieprawda!

— Nic nie wiesz chyba ojczu! a ja ci powiedzieć nie mogę, przegrał ostatek! rozpacz go ogarnęła! a! czemuż nie przyszedł do mnie, byłabym mu choć na tę grę nieszczęsną wszystko do ostatniego oddała pierścionka! niechby żył, ja bym miała — choć nadzieję!

— Miejże nadzieję, bo on żyje! — rzekł O. Spirydjon.

Anna zdumiona spojrzała na niego niedowierzając.

— To być nie może!

— Jaktó! to już i mnie nie wierzysz? upamiętaj się! Michał Ordyński w klasztorze u nas od rana.

Porwała się Anna z ziemi i cała zdyszana, śmiejąc się, wołając do Wąchorskiej, krzycząc prawie podbiegła do staruszka.

— A jakże się to stało? mów mój zbawco, niech wiem, niech slysze!

Kapucyn opowiedział jej ranną swoją pielgrzymkę, spotkanie na moście i ocalenie podczaszyca. Chciwie słuchając opowiadania, chwytając każde jego słowo, Anna milczała i modliła się. Gdy powtórzył jej wreszcie co mu podczaszyc, powracając o swem u okna Anusi zastanowieniu się opowiadał, cała wzruszona porwała się z ławy.

— A może to być! — zawołała — prawdaż to? on tu był pod oknem i żegnał mnie przed śmiercią! a serce moje ani zabiło, ani przeczulo, ani mi o nim powiedziało!

Ksiądz mówił dalej, przytaczając treść ostatniej z nim rozmowy, a Anna z wyrzutem prawie spojrziała na niego.

— Ojczy — rzekła — oddam co tylko mam, by mu przywrócić choć część tego co utracił, zostanę ubogą jakem przywykła, wesoło pocznę pracować! On niech powraca z tego przekłętą miasta do Głuszy. Nie przywykł do niewygód, do ostrego życia! to niepodobna.

— Powoli, powoli, moje dziecko — odpowiedział stary przyjaciel — źle byś zrobiła oddając mu teraz majątek, byłoby to narzędziem zguby, potrzeba by przeszedł szkołę nieszczęścia, poświęceń i pracy.

— A jeśli zginie? łamiąc ręce krzyknęła Anna.

— Nie lękaj się, nie lękaj, dziecko moje; Bóg usłucha czystych modlitw twoich, on nie zginie, niech jedzie, służy, walczy, a gdy wart będzie szczęścia i spoczynku, naówczas znajdzie oboje...

To mówiąc uśmiechnął się staruszek i błogosławiąc Annę szepnął jej na ucho:

— Waćpanna mu dasz sto czerwonych złotych na drogę, ani grosza więcej, to powinno wystarczyć.

— Tysiąc, wszystko!

— Sto — i to wiele! ani jednym więcej.

— I ja go widzieć nie będę? — spytała Anna ledwie śmiejąc po cichutku to pragnienie wymówić.

— Kto wie? serce mu zapewne powie, żeby tu zajął przed odjazdem, a ja się sprzeciwiać nie będę.

— A jeśli serce nie powie?

— Wszakże zatrzymał się u okna idąc na śmierć, a to światło co waszej przyświecało modlitwie wprzód go i skuteczniej może wstrzymało niż słowa moje! Kto wie? może gdyby tu nie czuł się winnym i skruszonym, tamby mi ocalić się nie dał! Miej więc waćpanna nadzieję, przyjdzie na pożegnanie pewnie, a jak powróci... jak powróci!!

To mówiąc pokiwał głową, Anna zarumieniła się, skryła twarz w rękę i ciche — nie! o! nie! z ust się jej wyrwało. Kapucyn wyszedł powoli.

XIV

W kilka lat po opisanych wypadkach, wstrząsł się kraj cały jakimś konwulsyjnym ruchem, zmieniła fizjonomia stolicy i przetworzyli ludzie... Po czteroletnim sejmie, po reformach jego, które radykalnie uleczyć miały a rozwinąć się nawet nie mogły, po założeniu kościoła Opatrzności z obrzędem, w którego obchodach brzmiało już z niebios jakieś złowrogie prorocтво — ostatni wysiłek poruszył do dna wnętrzości całego kraju.

Warszawa przedstawiała straszliwy widok stolicy oczekującej tylko niemal przewidzianego podboju i krwawej za krew zemsty. Wśród tłumów walczących jeszcze, jeszcze powierzających się losom boju, stał król, który nic nie widział prócz upadku, i zdawał się go z zimną oczekiwać obojętnością. W ciągu tych lat kilku zestarzał się, pochylał prawie, a uśmiech już na ustach był niewidywanym gościem — one już smaku potraw bez assafetidy poczuć nie mogły, jak dusza nie czuła walących się na nią nieszczęść ogromu. Ze zwieszoną głową, jak ofiara szedł obojętny gdzie wiatry powiały, pewien że przeznaczeń, które jak Cassandra zawczasu wyśpiewał, nic przebłagać nie potrafi. Skarby sztuki które zgromadził, świat co jeszcze wdzięczny się do obłamanej jego korony, ludzie co mu pochlebiali dla ostatniej garstki złota, nic go, nic rozmarzyć nie umiało. Poddawał się wszystkim z kolei, robił co tylko chciano, potakiwał każdemu — wszyscy i wszystko mu było równem.

W kilku dniach trwogi stracił resztkę sił jakie z życia pozostały... teraz obawiał się już szelestu, drgnienia, dźwięku dzwonów, wystrzału, głośniejszej rozmowy, silniejszego uczucia, a żaden z tych co się zwali poddanymi jego, mniej nadeń, nie był panem siebie. Obumarły, dożywał resztek z obojętnością człowieka, który w nic prócz w fatalność nie wierzy.

Ryx, Baciarelli, Byszewski, wszyscy dworacy i faworyci próżno szukali sposobów dźwignienia go z tego upadku; uśmiechał się ruszając ramionami, ale na wszystko zimny był jak trup wyjęty z trumny.

Obok zamku w którym dożywał Stanisław August, miasto wrzało jeszcze trwożą i nadzieją, a stolica, okolice jej i wewnątrz militarną miały postać.

Było to w październiku, w roku tym jesień słotna i chłodna gorzej dokuczała od zimy, bruki miejskie płukał deszcz drobny a gęsty, chmury szare powlekały niebo jednolitemi płachtami swemi bez barwy i zarysów, wiatr pociągał z zachodu i smutno było jakoś na świecie. W mieście pustka, rzadki fiaker stał na placu, lub przewlekał się noga za nogą, rzadszy powóz zatętniał żywiej po bruku, a przechodniów prawie nie widać było.

W mieszkaniu prezydenta Zakrzewskiego kilka osób zebrały się na wieczór, który dla wielu z nich miał być pożegnaniem na długo, choć nikt z nich jutra nie przeczuwał.

W pięknej salce, u komina płonącego jasnym i ożywiającym ogniem, ścisnęła się tu garstka mężczyzn w fantazyjnych mundurach owej epoki, lub cywilnych strojach francuzkich. W pośród nich nie wielkiego wzrostu ale silnie zbudowany, oryginalnych rysów twarzy, nacechowanych wyrazem energii, w prostej szarej sukmance zielonemi oszytej sznurkami, stał wódz naczelny. Na pierwszy rzut oka niepozorny i nienagany w tej kupce arystokratyczniejszych postaci, przy wpatrzeniu się pociągał ku sobie jakimś znamieniem ludzi do wyższych powołanych losów. W oczach niespokojnych i gorących, w ustach i na czole miał piętna władzy, sławy i nieszczęścia. Dnia tego chmura jakaś zwiła nad czołem jego, usta ścisnęły się mimowolnie, patrzył w posadzkę, zamyślał i usiłując być wesół, jeszcze wyraźniej okazywał się przejętym, niespokojnym. Za ledwie dwie czy trzy przytomne tu osoby wiedziały z nim razem, że się już generał Fersen potrafił przeprowadzić przez Wisłę, a Poniński go trafem, nieopatrznością czy wolą losu fatalną przepuścił. Nikt też prawie nie wiedział, że o świecie wódz naczelny postanowił opuścić stolicę i sam stanąć na czele szczupłej garstki, do której wątpiono by się w porę potrafił przyłączyć Poniński.

Obok wodza stali, pięknych i odznaczających się rysów twarzy marszałek Potocki, Mostowski, Kochanowski, podkanclerzy Kollątaj, gospodarz domu, młody N... w wojskowym mundurze i przybyły od wojska z depeszą znany nam Ordyński, którego wszakże trudno dziś było poznać... Kilka lat pracy, zmęczyło go, uszlachetniło i odmłodziło razem, zdawało się że podrośł, spotęźniał, i skąpiany w znoju stał się nowym człowiekiem. Biała niegdyś i zmęczona twarz jego, powlokła się barwą tak dobrze zdobiącą mężczyznę, którą nadają wiatr i słońce, oczy odzyskały ogień, usta rumianość, czoło wyraz spokoju i myśli. Wojskowy ubiór przystawał mu wybornie i nikt by się dziś w nim nie domyślał hulaki, który niedawno tracił dnie i nocy w bezmyślnem i osłabiającem próżnowaniu. Znać było że w tej piersi pokrytej mundurem, inaczej teraz, żywiej a spokojniej bić musiało serce, drugą odzyskawszy młodość.

Nie wesół ale nie znużony, miał wyraz dojrzałości, męztwa i pomiarkowania połączony z wrodzoną i niezartaną dobrocią, przebijającą się w uśmiechu i wejrzeniu. Z uszanowaniem stał, patrzył i słuchał, a z roztargnionych rzutów oka na okna, widać było że serce jego uciekało gdzie indziej.

Pomimo pozornej wesołości, którą wzajemnie ducha sobie usiłowali dodać przytomni, nikt z nich w istocie wesół nie był, wszystkich uciskało jakieś niepojęte przecucie, ta woń przyszłości, która ją zawsze poprzedza. Wódz mówił o rzeczach obojętnych, ale co chwila zaczynał o sprawę publiczną, inni dodawali coś każdy do wieści ogólnych — przyniesione z ulicy wiadomości, domysły, przypuszczenia, nadzieje lub przestrachy. Nie brakło w powietrzu krążących skrzydlatych nowin, co często zgadują przyszłość tajemniczym i niepojętym sposobem. Jedni już sprzymierzonych widzieli pod Warszawą, drudzy ich wstrzymywali różnemi środkami, a oczy i nadzieje wszystkich zwracały się na siwą sukmankę, pod którą ostatnie biło serce.

Ordyński stał, słuchał i wzdychał niekiedy, na pytania tylko o wojsku mu zadawane odpowiadając krótkimi słowy. Na chwilę przed wieczorą, ks. podkanclerzy zaszedł niby przypadkiem z wodzem naczelnym do drugiego pokoju, i przez minut kilkanaście pozostał z nim na cichej rozmowie. Wyszli oba nie weseli, a tu i do stołu oznajmiono. Usiedli wszyscy do wieczery.

N... miał właśnie dnia tego na palcu etrusyjski pierścień, wystawujący na pięknym agat-onyxie rannego żołnierza, spartego na puklerzu. Siedział on przy marszałku Potoc-

kim, który ten pierścień spostrzegłszy, prosił żeby mu się dał przypatrzeć i niezmiernie chwalić go począł.

— Weź go marszałku — rzekł N... z uśmiechem nieznacznym spoglądając na wodza i Zajączka — dla mnie dziś żołnierza, zły to wróżby rzecz, nosić się jej boję...

— Ale mój panie, odpowiedział opierając się trochę marszałek, chyba co w zamian odemnie przyjmiesz, to dar zbyt kosztowny.

— Nic nie chcę, — rzekł brześcianin — tymczasem go zatrzymaj panie marszałku, oddasz mi jak się, da Bóg, zobaczymy. Pierścień ten z rannym żołnierzem podawany z rąk do rąk, zakończył niewesołą wieczerzę, a choć wzmianka złowroga była całkiem przypadkową, kilka czoł pochmurniało, N... westchnął.

Naprawdę Zakrzewski prosił, zatrzymywał, usiłował gości swych rozchmurzyć, wódz naczelny, z nim Zajączek, Kollataj, N... i wezwany Ordyński wyszli zaraz po wieczerzy. Ordyńskiego wieczorem przybyłego z depeszami nie puszczając od siebie, bo się młodości jego obawiał i słów które by mu się wymknąć mogły, zabrał z sobą wódz do głównej kwatery, naówczas w Mokotowie będącej, powierzając mu rozpisanie rozkazów i listów, które w nocy przygotować miano. Musiał więc, niezajrzawszy nawet do dworku Anusi, spełniając rozkaz, iść z sercem bijącym za wodzem, a nazajutrz o świcie spieszyć z nim razem na pole walki.

Noc upłynęła szybko; o piątej, nietknąwszy łóżek, wszyscy już byli na koniach, wódz w siwej sukmanie na przodzie. Zajączek, który po nim obejmował dowództwo stolicy, w milczeniu posepnie odprowadził ich do mostu i okiem pożegnał uchodzących.

W ciemną noc jeszcze, nim zaświtał brzask dniowy, wśród słoty i wichru wyjącego, ruszyli wszyscy galopem po ślizkiej i rozmokłej ziemi... Ordyński raz jeszcze okiem Warszawę pożegnał.

Cały dzień zszedł na szybkiej podróży bez chwili wypoczynku. Trudno tam było rozpoznać wodza w tym maleńkim prostą oponczą okrytym jeźdźcu, który gnał zamyślony na mizernej chłopskiej szkapie, z oczyma utkwionemi gdzieś w niedojrzaną przyszłość. Co wioska potrzeba było odmieniać konie, bo żaden gwałtownej jeździe wystarczyć nie mógł, a że i siodeł i uzd brakło często, rzucano wór słomy na grzbiet szkapie, a sznurkiem pysk przeciągnąwszy — dalej! dalej! Do koła, w pluchach jesieni, w szarej, smutnej osłonie chmur i deszczu, pustką przerażającą odkrywał się kraj, przez który już przeszła wszystko niszcząca wojna. Gdzie niegdzie z dworów szlacheckich stały tylko okopcone ściany i rumowiska nieforemne, indziej posadę wioski, rząd sterczących kominów i opalonych plotów oznaczał — pogorzelsko lub pustynia... Po drogach leżały zdechłe konie i bydło na wpół przez zwierza pożarte, a gościńce kopytami stratowane, tam i owdzie rzucone potraskane lawety, świeże przejście wojsk opowiadały.

Jak zbieg przekradając się z garstką swoich towarzyszków, wódz nareszcie dobił się do nielicznego oczekującego nań wojska.

Przed niemi cicha Wisła ciche toczyła wody, na wzgórkach odrapane domostwo, poniżej wioska i drzew trocha... miejsce zwało się Maciejowice. Na widok wodza zbiegło się co żyło z naczelników oddziałów i otoczyło go radośnie. Ordyński, z smutnem jak wszyscy prawie przecuciem, przybył na stanowisko ostatnie, ale tu widok wojska, weselsze twarze dowódców i młodzieży, niedokładne wieści zmniejszające liczbę ludzi i armat generała Fersena, jemu jak innym wlały jakąś otuchę.

Maciejowicki dwór stary, murowany pałacyk na wzgórkach nad rzeką stojący, nosił także na sobie ślady przechodów wojsk i wojny; zajęto go na główną kwaterę dla naczelnego wodza i sztabu, przy którym i nasz znajdował się Ordyński. Smutny był widok tej budowy co spokojniejsze pamiętała czasy, sal które nieraz brzmieć musiały weselem po gospodarskim znoju, izb dziś ogołoconych ze wszystkiego pustych, z porozbijanymi oknami, z na pół wyłamanymi drzwiami, potraskaną i popaloną podłogą, zimnych, wilgotnych, opuszczonych jak kaplica grobowa. W górnej części dworu w jednym z pokojów wisały jeszcze na ścianach wysoko portrety Maciejowskich i Zamojskich, ale ani jeden z nich całym nie pozostał, kawałami powyszarpywano z nich płótno, powystrzelowano oczy, porozcinano piersi, a to pośmiertne męczeństwo znów oczy uderzało jak jakąś wróżba złowroga. Z okien tej sali właśnie widać było obóz Fersena szeroko rozciągnięty: ognie porozpalane pod blizkim lasem, namiot naczelnika, zielone wozy artylerji i tłum

niepoliczony wojownika. Wiatr niekiedy przynosił ztamtąd osłabły odgłos bijących na capstrzyk bębnow i *bura!* żołnierzy.

Na równinie podedworem skupiła się w cichości garść ludu naczelnego wodza, złożona i ze starszego wprawniejszego żołnierza i z świeżej a nieznającej ognia milicji, której większa część w kosy tylko, toporki i ladajaką broń zaopatrzona była. Zdawało się, że na pierwszych najwięcej rachować było można, a drudzy ledwie lik stanowić mogli — ale któż kiedy przewidzi jutro i zgadnie człowieka?

Całą noc prawie mało zażywszy spoczynku, wszyscy chodzili po wzgórzu myśląc i rozprawiając o dniu jutrzejszym, który niechybną zapowiadał potyczkę. Jenerałowie Kniaziewicz, Sierakowski, Kamiński, brygadjer Kopeć, pułkownik Wojciechowski chmurnej twarzy i niewesołej mowy, nareszcie Ursyn dowodzący milicją brzeską, w kupki się zbivszy, rozglądali pozycją, usiłując ciemność przeciąć okiem, a przyszłość myślą niespokojną odgadnąć. Rozmowa ich cicha, nie przerywała milczenia wśród którego dochodził szmer obozowy i rżenie koni z równiny; na niebie ołowianem uparcie nad tą garścią wojowników krążyło z uprzykrzonym krakaniem stado czarnych kruków. Tym duszom pragnącym przepowiedni, zesłał Bóg zwiastunów śmierci, które odezwały się jak w starej pieśni słowiańskiej przedbojowym smutkiem.

Ordyński podniósł oczy i wskazał tę przelatującą chmurę brygadjerowi Kopciowi.

— Co to znaczy? spytał wzdychając.

— Zachciałeś waćpan, odparł Kopeć ruszając ramionami, chociaż sam splunął nie rad zjawisku — wrony na słotę kraczą; a jaki z waści tchórz!

To powiedziawszy zatarł ręce i rozśmiał się choć z przymusem.

Tchórzem jednak nie był Ordyński i nieraz już dał tego dowody w ciągu lat kilku, ale teraz doznawał tego przykrego uczucia odzierającego z nadziei, któremu człowiek całą siłą ducha oprzeć się nie umie, kiedy nań padnie z góry. Sen go nie brał, usiąść nie mógł, jakiś niepokój gnał go z miejsca na miejsce. Szczęściem zawołano go do wodza i użyto go do ekspedycji pism, które znów wysyłano do Ponińskiego — przesiedział więc nad papierem, nie myśląc w tem odrętwieniu moralnem, dla którego mechaniczne zajęcie jest dobrodziejstwem.

Dzień poczynało nareszcie po długiej nad miarę nocy, ruszyły się wojska w obozach, a od Fersena ozwały się o świcie bębny i muzyka, i kolumny wojsk jego wnet jak mrowie ruszać się poczęły, widocznie usiłując garść na wzgórzu oszańcowującą się otoczyć, rozciąć i zewsząd osaczyć. Ordyński na pierwszy odgłos trąbki odzyskał życie, zapał, nadzieję, pchnął papiery ze stołem i ochoczo rzucił się na konia, bo już stawano do boju. Przeznaczony on został wraz z kilką innymi do roznoszenia rozkazów, to jest, do jednej z najniebezpieczniejszych funkcji, gdyż zwykle rozkazy idą w stronę zagrożoną i prowadzą przez grad kul, a niosący je niemogąc walczyć, na śmierć leci bezbronny.

Nim się wojsko po krótkim spoczynku miało czas w porządnę zebrać szyki, już Fersen ruszył usiłując je objąć, i wielkimi działami swemi zdala dokuczać mu począł. Kule jego co chwila rozbijały drzewa i gruchotały budowle upadające z trzaskiem, wyrzywały ziemię, waliły płoty, a jedna z nich o mało nie zabiła samego wodza świsnąwszy o kilka kroków od niego i obrzuciwszy go wyoraną ziemią. Działa jego wojsk nielicznych, mniejszego kalibru, czekać musiały zbliżenia się oblegających, by się odstrzeliwać skutecznie; zawarzały nareszcie gdy przyszli na cel, i poczęły utrudniać nie mało pochód oddziału Fersena, który przez błota i trzęsawiska zarzucając je faszynami, powoli ale uparcie drogę sobie torował. Ordyński, w chwili gdy się już bój rozpoczynał w pierwszych piechoty szeregach, wysłany do jazdy pułkownika Wojciechowskiego, stojącej jeszcze i nieużytej w rezerwie, potem do piechoty brzeskiej, wciąż w ogniu, sam już rozogniony, biegał wśród rozpoczętej walki, którą co chwila sama liczba rozstrzygnąć musiała niechybnie. Na samo pierwsze wejście, potężny oddział Fersena tak dalece przewyższał garść ludu zebraną na wzgórkach u dworu i równinie pod laskiem, że tylko rozpaczliwa odwaga wątpić mogła o wygranej.

We wszystkich zapał był wielki, szedł on z piersi wodza, który nim umiał natchnąć bliższych i rozpromieniał się wkoło, ale słabł tam gdzie wpływ jego nie dochodził. Walka rozpoczęta ze stron obu wzmogła się i stała zaciętym bojem, zamięszanie wkrótce ją zakończyć miało. Niepostrzeżono na nieszczęście i nie opatrzone się aż nie rychło, że prawe skrzydło zostało odcięte i otoczone; gdy w tejsze chwili posłany po jazdę do Wojciechow-

skiego Ordyński, z rozkazem by szła do ataku, zdumiony usłyszał od niego tę obojętną odpowiedź:

— Powiedz pan naczelnikowi, że ja mój pułk odprowadzam do Warszawy, winienem ludzi moich oddać w całości królowi, który mi ich powierzył, noga by ich ztąd nie uszła.

— Panie pułkowniku — zawołał oburzony Ordyński — ale rozkaz wodza! rozkaz wodza jest wyraźny!

— Nie myślę darmo gubić ludzi — rzekł Wojciechowski ruszając ramionami — zresztą wiedz wacpan że i ja także mam rozkazy. — To mówiąc kazał zatrąbić na odwrót i natychmiast ku Warszawie cofać się począł spiesznym marszem. Ordyński nie chciał w początku wierzyć oczom ani uszom swoim, nareszcie przez grad kul pospieszył do wodza, który stał jak zdętwiały, coraz smutniejsze wiadomości odbierając od Sierakowskiego i innych dowódców.

— Wodzu! — zawołał Ordyński — pułk ułanów króla cofa się do Warszawy... inni za nim uchodzą!

— Na Boga zbierajcie panowie kogo można! płazujcie tych tchórzów! — ogniście krzyknął wódz naczelny — ja sam lecę w ogień, za mną! za mną! tu potrzeba zginąć ale się nie zesromocić!

W tem nadbiegł brygadjer Kopec.

— Naczelniku! — rzekł — na miłość Boga uchodź, przegraliśmy na głowę, przegrali!

— Chyba ci się w głowie przewraca! Naprzód zawołał wódz, naprzód mości panowie i jeśliśmy przegrali — to tembardziej naprzód! Gińmy za tych co ginąć nie umieli!

To mówiąc spał konia ostrogami i rzucił się zapamiętale w najgorętszy bój na prawem skrzydle, a Kopec, Drzewiecki i Ordyński poszli za nim, zagrzani myślą pocziwej śmierci lub ocalenia wodza.

Michałowi zabiło serce, cała przeszłość mignęła się różnobarwnym przed oczyma obrazem, pożegnanie zdaleka posłał Annie... Ale już i myśleć nie mógł wśród huku, zamieszania i wrzawy w której się znajdował, tnąc i siekąc na wszystkie strony; nagle uczuł ciepło rozchodzące się po piersi i rozlewające po niej, rozpiął mundur, włożył rękę i dobył ją zakrwawioną, a w tejże chwili prawie padł na ziemię wraz z koniem. Kula kozacka przeszła go z prawego boku.

Tak dla niego, z zamknięciem omglonych oczu, skończyła się Maciejowicka potrzeba, a owe przepowiednie wieszczce, pierścienia i kruków, ziściły się wszystkie. Najdzielniejsi, jeśli nie śmierć, to rany ciężkie i długą znaleźli tu niewolę, a i krukom dość było pastwy.

Gdy oczy otworzył Ordyński, ujrzał się znowu w Maciejowickim dworze, w sieni pustej, na garści słomy, a przy nim krzątało się kilku oficerów rosyjskich, pułkownik Tolstoj, Ursyn z ręką na temblaku, cały podarty i oszarpany, a krwią zeschlą okryty Drzewiecki.

— Co to jest? gdzie jesteśmy? gdzie wódz? — spytał otwierając powieki.

— Żyje! ciężko ranny! w niewoli! — szepnął Ursyn.

— Cóż się stało ze mną? gdzie ja był?

— Leżałeś na placu ranny i bez pamięci, teraz nie pora ci to tłumaczyć, daj felczerowi opatrzyć ranę, boś dużo krwi stracił.

Opowiedzieli mu potem towarzysze, jak nieprzytomny i niemal już nieżywy leżał na pobojowisku, gdy Drzewiecki z pułkownikiem Tolstoj szukając wodza wśród trupów, plac oglądając i na niego trafili; a postrzegłszy że żyje jeszcze, kazano go kozakom przynieść do dworu, gdzie powoli zmysły odzyskał. Rany Ordyńskiego były ciężkie, ale nie wystawiały go na niebezpieczeństwo; główną ta, którą otrzymał postrzałem w bok prawy, kula daleka może rozszarpała ciało nie nadwierzając kości po których się ośliznęła, stracił tylko krwi wiele. Cięty jeszcze czy uderzony w głowę, rozbitą miał na niej skórę i w upadku zgniecioną rękę, ale razem wzięte wszystkie te rany nie okazały się straszne.

Więźniowie wojenni dni kilka jeszcze zatrzymani zostali w Maciejowicach, z kąd Ordyński po opatrzeniu ran, wraz z innymi dostał pozwolenie zgłoszenia się do Warszawy, i choć cudzą ręką napisał do Ojca Spirydjona i do Anny, oznajmując im o losie swoim i żegnając ich, bo się spodziewał długich lat niewoli.

XV. ZAKOŃCZENIE

Minęły znowu lat kilka od opisanych wypadków. — Było to pięknego poranku jesieni, na dziedzińcu pustego dworu w Głuszy zajeżdżało kilka powozów upakowanych, z dalekiej widać przybywających podróży.

Jeśli sobie czytelnik przypomnieć zechce opis tego wspaniałego pałacu w pierwszych rozdziałach naszej powieści, a spodziewa go ujrzeć jakim był naówczas gdy króla jadącego do Kaniowa przyjmował, omyli się bardzo. Nigdzie może czas nie niszczy tak szybko jak u nas — bo mu i klimat pomaga i ludzie. Nie do poznania był pałac ów, arcydzieło smaku, dziś budowa na pozór zestarzała, z tynków odarta, z mnóstwem powybijanych okien, z drzwiami połupanymi, posztukowanymi i na nieforemne zamkniętymi skoble i kłódki.

Bruki dziedzińca i alei zarastały trawą i chwastami, wśród których pasły się swobodnie stada cieląt, świń, indyków i koni w najlepszej zgodzie, ledwie kiedy niekiedy wierzgnięciem i krzykiem przerywanej. Piękne zagrody pogniłe były i połamane, kamienne posągi pogruchotane, zzieleniały od mchów które na nich porosły. Nawet stare ucierpiały drzewa, bo je wiatr i ludzie pooblamywali, a na lipach świeciły żółte rany zadane przez chciwych lubu wieśniaków. Sterczały kaleki gałęzie Nielitościwie poodtrącane siekierą. Owa austerja, w której wojewoda z podczaszyną oczekiwali na Poniatowskiego, była już pustką bez dachu, osmaloną i czarną, a w jednym jej tylko kątku żyd pod słomianą mieścił się strzechą.

W oficynach pałacu pozajmowali sobie pokoje proszeni i nieproszeni goście, a dowodem ich osiedlenia były różne u drzwi, okien i ścian dodatki poprzywieszane i poprzybijane dosyć malowniczo ale bardzo nieporządnie. Żadna fórtka i brama nie chodziła na zawiasach, a gdzie ich całkiem brakło, kawałek z płota plecionki suwał się, jako tako zasłaniając nie pański ogród ale czyjaś grzędę na nim zdobytą. Tak dziwnie teraz i smutno wyglądała piękna Głusza.

Ale też od wyjazdu podczaszynej, od śmierci tego ducha opiekuńczego, który tu ład i dostatek trzymał w drżących rękach i błogosławił domostwu nieustanną modlitwą, nie było już nikogo coby pomyślał o jutrze, coby się potroszczył o zachowanie pracy ludzkiej i darów Bożych. Rabowali z kolei rządcy, dzierżawcy, plenipotenci, słudzy, co żyło, tak, że miejscami ze słupów parkanu cegły nabierano na piece do chat, a ogrodowem drzewem palono sobie najregularniej.

Władał tu Lebedziński na chwilę, po nim przyjechał był Cerulli do mniemanego swego dziedzictwa i przeszedł się po pustych salach marząc o swoim państwie przyszłym, ale mu jego przeciwnik taki tumult i obłączenie wierzących, zastawników, woźnych i sąsiadów z pretensjami spędził, że w tydzień jak niepyszny uciekać musiał, głowę straciwszy.

Byli później dzierżawcy, z których każdy wołał oficynę, ale pałac odzierał, bo tam nie liczone i nie spisane sprzęty, na łasce przybyszów zostające, brać się dawały bez oporu.

Brano więc co było można, co kto chciał i zażądał, aż do lepszych szyb w oknach, które gontami pozalatywano. Odarto i blachę z dachów przykrywając je słomą, i posadzki z sal, i zwierciadła ze ścian, pustkę powoli robiąc z wykwintnej siedziby pańskiej.

Po ostatniej bitwie Maciejowickiej, wzięty w niewolę Ordyński, poszedł z innymi więźniami przez Wołyń, do głębi Rosji będąc przeznaczony, ale w Zaslawiu, staraniem mnogich krewnych i poręczycieli, uwolniony został, a następnie przez O. Spirydjona i Anusię dla wyleczenia się z ran wysłany do wód zagranicznych. Już naówczas Głusza, choć o tem nie wiedział Ordyński, do Anny Sienińskiej należała. Lebedziński umarł był przed rokiem, Cerullego twarde okoliczności zmusiły wynieść się szybko z kraju; sprawę powierzono uczciwemu i zręcznemu prawnikowi, który od Włocha prawo do majątności nabył za bardzo niewielką opłatę.

Wielcy to lekarze ducha — praca, znój i nieszczęście — trudno dziś poznać było Michała, tak się na korzyść swojej odmienił.

W innym kole znalazłszy się Ordyński i innym też stać się musiał. — Uczuł że stoi na drodze której się nigdy wstydzic nie będzie, a wspomnienie jej poniesie razem z pamiętkami dzieciństwa do siwych włosów i grobu. Zahartował duszę i ciało, podniósł umysł obcowaniem z ludźmi, których każde słowo tchnęło wyższem uczuciem i surowym na

świat poglądem; pojął piękności ofiary, wielkość powołania ludzkiego, a w sercu odezwała się żyłka rycerska, którą tylko żywot pierwszy odrętwił na chwilę. Życie wojskowe poczęło dłoń mieć urok którego się w niem nie spodziewał — ta wrzawa, ten niepokój, ta niepewność jutra, boje, utarczki, długie pochody, ranki obozowe, nocne na straży, uśmiechnęły się doń wdziękiem pełnym poezji i wzniosłości. Nigdy w swem życiu pierwszym nie doznał uciech tak czystych a tak silnych, po którychby żadnego nie pozostało mętu. Z myślą o Anusi, z nadzieją jutra, szedł weselszy coraz, aż wreszcie pieśnią wojacką otwarły mu się usta — czuł się spokojnym, oczyszczonym, godniejszym jej i siebie. Czasem kilka słów od niej, błogosławieństwo ks. Spirydjona, przysłana przez nich jaka rzewna a strzelista konfederacka modlitewka, rozgrzały go i sił nowych dodały.

Nieszczęściem przez tych lat kilka, choć go los razy kilka zbliżał do stolicy, choć raz mu nawet w niej być dozwolił, nie mógł zobaczyć Anny, mijał jej okno posłuszny, by rozkazu wodza nie zdradzić. Teraz dopiero po tylu zmianach, po odrodzeniu do nowego życia, powracał wreszcie marząc, że mu już wolno będzie spocząć i być szczęśliwym. Tysiące myśli i nowych projektów snuły mu się po głowie, ale o Głuszy dumać nawet nie śmiał. Chciał gdzieś z pomocą krewnych kupić małą wioseczkę w kątku, w lasach, na ustroniu, by już na Wołyn nie wracać. Z tem jechał do Warszawy z wód, a gdy ujrzął znów siną Wisłę i wieże stolicy i zamczysko już puste, jak gniazdo orle, z którego ostatni wróbel wyleciał, i gród co tyle pożarł jego życia; zamglily mu się oczy, westchnął dotknięty swoim i innych nieszczęściem. Konie choć biegły żywo, zdawały się nielitościwie wlec po wyciągającej się na przekorę drodze.

Spojrząwszy na most, przypomniał sobie ze łzami uroczystą chwilę, gdy tu szukał śmierci po rozpuście i rozpaczy — nareszcie trąbka rozległa się na Bednarskiej ulicy, a Anna, nie wiem jakim przecuciem, wybiegła przed bramę.

Czuła że on jedzie, choć poznać go nie śmiała; skoczył ku niej Ordyński i niemem uściśnieniem ręki powitał, bo przemówić nie mógł. Drżeli oboje patrząc na siebie, szukając na swych twarzach śladów lat co im zbiegły na ciężkiej próbie oczekiwania, tęsknoty i walki. Anna była zawsze tem pięknem dziewczęciem, które podczaszyc w Głuszy pożegnał; ale na tej twarzy troska i niepokój wypiętnowały także swoje przejście, i ona zmężniała niemi, dojrzała, oblekło się łzą wejrzenie, uśmiech był smutniejszy, chmurką nawisło czoło białe. Michał dojrzał, postarzał może, ale odświeżył się bojem, i twarz krwią obmyta, znów się rumieńcem pokryła, tą jutrenką młodości.

Tak ledwie śmiejąc przemówić do siebie, weszli razem do izdebki, w której przez lat tych kilka nic się nie odmieniło. Ławy, stoliki, obrazki, wszystko to było jak wczora. Dla nieżywych czas nie płynie.

Pani Wąchorska rozplywała się we łzach ujrzawszy Ordyńskiego.

— A O. Spirydjon? — spytał Michał.

— Biedny staruszek posunął się bardzo, ale o kiju włóczy się jeszcze — odpowiedziała Anna. — W przeszłym roku, po ślizgocie idąc do chorego nogę złamał, a że staremu i trochę niecierpliwemu do pracy trudno się było dobrze wyleczyć, jeszcze mu zostały ślady tego nieszczęśliwego wypadku.

Nazajutrz, cały wieczór spędziwszy z Anną, Ordyński poszedł na ranną mszę do kapucynów. Trafił że ją właśnie O. Spirydjon odprawiał: pokłękł i wysłuchał jej nabożnie, a wspomnienia cisnące się tłumnie nie jedną łzę wywołały. Przy błogosławieństwie ostatniem poznał go widać starzec, bo mu ręka zadrżała i długo ją wyciągnioną nad głową wojaka zatrzymał.

Z zakrystji powiódł go z sobą do celi zakonnik, tak wesół i rad, że mu się od żartów usta nie zamykały. Łzy ciągle miał na powiekach, a wesołość na wargach. Długo tam, długo trwała pierwsza rozmowa, w której całe swe dzieje zebrać musiał Ordyński, a gdy przyszło do Maciejowickiej bitwy, szczegółów o niej nastarczyć mu nie mógł.

W kilka dni potem, po mszy św. w kościele kapucynów, ten sam starzec błogosławił wzruszony Annie i Michałowi, a nauki które był dla nich przygotował, lzy mu i uczucie dokończyć nie dały.

Po ślubie, Anna oddała zdziwionemu Ordyńskiemu akt nabycia Głuszy i pożegnawszy staruszka, który nadrabiał fantazją i uśmiechając się krzyżyki za niemi kreślił, wyjechali na Wołyn oboje.

Ze smutkiem jakimś ujrzeni przed sobą tę ruinę tylu wspomnień pełną, i lży znowu dobyły się gdy ujrzeni straszliwe zmiany jakie wprędce czas i ludzie dokonali. Oboje z Anną pocieszali się wśród tego zniszczenia, wskazując sobie miejsca gdzie w dzieciństwie bawili się razem, ławkę na której siadała z niemi starościna, drzewa pod którymi były ich dziecinne ogródki.

W tej bez-pańskiej pustce ledwie się dowołano człowieka z kluczami, i weszli naprzód modlić się do pokojów starościnej.

Tę, nie wiem jakim trafem poszanowane, nie tknięte, pozostały prawie jak były, gdy Anna z ojcem opuszczała Głuszę. Znaleźli jeszcze stare krzesło z poduszkami przy stole okrytym pyłem, i kilka sprzączków staruszki. Na ścianie, z przestraczem prawie, ujrzał Michał wiszący obraz swego patrona, który tu Anna po nabyciu zaraz przesłała; ale przestrach ten powiększył się jeszcze gdy zbliżywszy się ujrzał że twarz szatana, co go tak przerażała, znikła... Lucyfer leżał z głową odwróconą, i dwa tylko czarne rogi sterczące na niej, z ciemnego tła wystawały. Na obrazie wszakże nie było śladu poprawy, zamalowania, restauracji; milcząc przeszli i skierowali się ku pałacowi.

Na progu znów zacofali się oboje. — Śliczny ten salon, gabinety, pokoje, poodzierane, poobijane, zaciekle, bez posadzek, nagie, wyglądały jak po wojnie, choć ich nieprzyjaciel nie dotknął. Tylko resztki bogów Olimpu i tancerek herkulańskich skakały jeszcze na ścianach, jedni bez nóg, bez głów drudzy... W pośrodku samym, na słomianych matach, suszył ktoś sobie owoce.

Ani śladu bogatych sprzętów, kosztowności i dzieł sztuki. W galerji wisiały krzywo kilka ram potłuczonych, a w muzeum stał pogięty szaflik blaszany, w bibliotece trochę okładek, pulki niecałe i garściami pyłu znaleźli. Oranżerja zmieniła się w jakiś skład gratów zatęchły, tylko na końcu jej jakimś osobliwym trafem ocalały resztki przyborów, które ustawił Labe Poinso na przyjęcie królewskie. Nikt ich ztamtąd nie ruszył. Na ścianie nawet wisiał jeszcze jeden wyschły wieniec, żółty, zapyłony i szydersko zmalący.

— Chodźmy ztąd kochana Anno! — rzekł Ordyński — co przeszło nie powróci! my myślimy byśmy sobie nowe i trwalsze zbudowali jutro, lży nasze nie odżywią tego co na wieki umarło!!

1853–1854, Hubin–Żytomierz.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-diabel/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Diabeł: powieść z czasów Stanisława Augusta*, tom I, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa: M. Glücksberg, 1873 ([Lwów]: K. Piller).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0422-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.